STEVE BERRY

ZAGADKA ALEKSANDRYJSKA

FASCYNUJĄCA HISTORIA POSZUKIWAŃ
ZAGINIONEJ BIBLIOTEKI ALEKSANDRYJSKIEJ

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

STEVE BERRY

ZAGADKA ALEKSANDRYJSKA

Z języka angielskiego przełożył
Cezary Murawski

WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Tytuł oryginału:
THE ALEXANDRIA LINK

Copyright © 2007 by Steve Berry
Maps copyright © 2007 by David Lindroth
This translation published by arrangement with Ballantine Books, an imprint of Random House Ballantine Publishing Group, a division of Random House, Inc.
Copyright © 2008 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2008 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Marcin Grabski i Olga Rutkowska
Korekta: Magdalena Bargłowska, Barbara Meisner

ISBN: 978-83-8110-272-8

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o. o.
ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadraga.pl
www.soniadraga.pl
www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2017

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Dedykacja

Podziękowania

Prolog

Część pierwsza

- Jeden
- Dwa
- Trzy
- Cztery
- Pięć
- Sześć
- Siedem
- Osiem
- Dziewięć
- Dziesięć
- Jedenaście
- Dwanaście
- Trzynaście
- Czternaście
- Piętnaście
- Szesnaście

Część druga

- Siedemnaście
- Osiemnaście
- Dziewiętnaście
- Dwadzieścia
- Dwadzieścia jeden

Dwadzieścia dwa
Dwadzieścia trzy
Dwadzieścia cztery
Dwadzieścia pięć
Dwadzieścia sześć
Dwadzieścia siedem
Dwadzieścia osiem
Dwadzieścia dziewięć
Trzydzieści
Trzydzieści jeden
Trzydzieści dwa
Trzydzieści trzy
Trzydzieści cztery
Trzydzieści pięć
Trzydzieści sześć
Część trzecia
Trzydzieści siedem
Trzydzieści osiem
Trzydzieści dziewięć
Czterdzieści
Czterdzieści jeden
Czterdzieści dwa
Czterdzieści trzy
Czterdzieści cztery
Czterdzieści pięć
Czterdzieści sześć
Czterdzieści siedem
Czterdzieści osiem
Czterdzieści dziewięć
Pięćdziesiąt
Pięćdziesiąt jeden
Pięćdziesiąt dwa
Pięćdziesiąt trzy

Pięćdziesiąt cztery
Pięćdziesiąt pięć
Pięćdziesiąt sześć
Część czwarta
Pięćdziesiąt siedem
Pięćdziesiąt osiem
Pięćdziesiąt dziewięć
Sześćdziesiąt
Sześćdziesiąt jeden
Sześćdziesiąt dwa
Sześćdziesiąt trzy
Sześćdziesiąt cztery
Sześćdziesiąt pięć
Sześćdziesiąt sześć
Sześćdziesiąt siedem
Sześćdziesiąt osiem
Sześćdziesiąt dziewięć
Siedemdziesiąt
Siedemdziesiąt jeden
Siedemdziesiąt dwa
Siedemdziesiąt trzy
Siedemdziesiąt cztery
Siedemdziesiąt pięć
Siedemdziesiąt sześć
Siedemdziesiąt siedem
Siedemdziesiąt osiem
Siedemdziesiąt dziewięć
Osiemdziesiąt
Osiemdziesiąt jeden
Osiemdziesiąt dwa
Osiemdziesiąt trzy
Osiemdziesiąt cztery
Osiemdziesiąt pięć

Osiemdziesiąt sześć
Osiemdziesiąt siedem
Słowo od autora

Dla Katie i Kevina,
dwóch spadających gwiazd,
które powróciły na moją orbitę

PODZIĘKOWANIA

Z zaimkiem „ja” pisarze powinni obchodzić się jak z jajkiem. Książka jest bowiem rezultatem zbiorowego wysiłku, a zespół, w którego skład mam zaszczyt wchodzić, to prawdziwy cud. Już po raz piąty zatem składam moc podziękowań. Zacznę od Pam Ahearn, mojej agentki, która stawiła czoła cyklonowi Katrina i wyszła z tego bez szwanku. W następnej kolejności pojawiają się wspaniali ludzie z wydawnictwa Random House: Gina Centrello, niezwykły wydawca i pełna uroku dama, Mark Tavani, mój redaktor, obecnie już żonaty, wciąż mądrością ubiegający młody wiek, Cindy Murray, która wzięła na swoje barki sprawy promocji, Kim Hovey, której marketingowe zdolności wymykają się wszelkiemu opisowi, Beck Stvan, obdarzony talentem artysta z mistrzowskim okiem, gdy chodzi o okładki, Laura Jorstad, która ponownie adiustowała tekst, nie przepuszczając żadnego chochlika, Carole Lowenstein, za której sprawą nawet długa lektura nie męczy oczu. I na koniec nieocenieni pracownicy z działu promocji i sprzedaży – gdyby nie ich trud i wysiłek, rezultaty byłyby mizerne.

Jedna osoba zasłużyła na specjalną wzmiankę – Kenneth Harvey. Przed kilkoma laty podczas kolacji w Północnej Karolinie Ken skierował moją uwagę na libańskiego uczonego nazwiskiem Kamal Salibi oraz raczej mało znaną teorię, która ostatecznie przerodziła się w tę powieść. Pomysły zjawiają się w najróżniejszych momentach, czerpiąc z najbardziej nieoczekiwanych źródeł, zadaniem pisarza jest zaś dostrzec je i wykorzystać. Dziękuję, Ken.

W moim życiu pojawiła się również nowa Elizabeth – bystra, piękna i kochająca. Rzecz jasna, moja ośmioletnia córka Elizabeth wciąż stanowi niewyczerpane źródło radości. Książkę tę dedykuję dwójce odchowanych już dzieci, Kevinowi i Katie, za których sprawą czuję się jednocześnie stary i młody.

Historia jest procesem destylacji faktów,
które przetrwały przeszłość.

– OSCAR HANDLIN, ***TRUTH IN HISTORY*** (1979)

Od czasów naszego praojca Adama, który oglądał noc i dzień oraz kształt własnej dłoni, ludzie wymyślali opowieści i utrwalali je na kamieniu, trawili w metalu lub zapisywali na pergaminie, cokolwiek było ich światem lub co im się śniło. Oto jest owoc trudu człowieka: Biblioteka... Ci, w których nie ma wiary, powiedzą, że jeśliby ją spalić, razem z nią spłonie historia. Są jednak w błędzie. Nieustanny ludzki wysiłek przyczynił się do narodzin nieskończonej liczby ksiąg. Jeśli spośród nich nie przetrwa nawet jedna, człowiek zasiądzie i ponownie spłodzi każdą stronicę i każdą linijkę.

– JORGE LUIS BORGES
NA TEMAT BIBLIOTEKI ALEKSANDRYJSKIEJ

Biblioteki są pamięcią ludzkości.

– JOHANN WOLFGANG GOETHE

PROLOG

PALESTYNA
KWIECIEŃ 1948 ROKU

Cierpliwość George’a Haddada wyczerpywała się, kiedy spoglądał gniewnie na człowieka przywiązanego do krzesła. Jego więzień miał śniadą cerę, jak on sam, ostry nos oraz głęboko osadzone brązowe oczy, typowe dla przedstawiciela nacji syryjskiej lub libańskiej. W tym człowieku było jednak coś, co w Haddadzie po prostu nie wzbudzało ciepłych uczuć.

– Zapytam jeszcze tylko raz. Kim jesteś?

Żołnierze Haddada schwytali tego człowieka przed trzema godzinami, tuż przed brzaskiem. Szedł w pojedynkę, bez broni. Co było głupotą. Odkąd w listopadzie Brytyjczycy postanowili podzielić Palestynę na dwa państwa – jedno arabskie i jedno żydowskie – obie strony pogrążyły się w zażartej wojnie. Mimo to ten głupiec szedł prosto na arabskie szańce, nie próbując nawet się bronić, i nie odezwał się słowem od momentu, kiedy przywiązano go do krzesła.

– Czy mnie słyszysz, kretynie? Zapytałem, kim jesteś. – Haddad mówił po arabsku, bo schwytany mężczyzna najwyraźniej rozumiał ten język.

– Jestem gwardianem.

Ta odpowiedź nic mu nie mówiła.

– Co to znaczy?

– Stoimy na straży wiedzy.

Haddad nie był w nastroju do rozwiązywania zagadek. Zaledwie wczoraj członkowie żydowskiego podziemia zaatakowali pobliską wioskę. Czterdzieścioro palestyńskich mężczyzn i kobiet zapędzono do kamieniołomów i bestialsko rozstrzelano. Nic nadzwyczajnego. Arabowie byli regularnie mordowani albo wypędzani. Ziemia, którą ich rodziny zamieszkiwały od szesnastu wieków, była konfiskowana. *Nakba* – katastroficzne przeznaczenie – stała się faktem. Haddad pragnął za wszelką cenę walczyć z wrogiem, nie zaś wysłuchiwać wierutnych bzdur.

– Wszyscy jesteśmy strażnikami wiedzy – dał jasno do zrozumienia więźniowi. – Ja posiadam wiedzę, jak zetrzeć z powierzchni ziemi każdego syjonistę, którego wykryję.

– Dlatego właśnie przyszedłem. Wojna nie jest koniecznością.

Ten człowiek był idiotą.

– Czy jesteś ślepcem? Żydzi zalewają ten kraj. Zgniatają nas. Wojna jest jedyną rzeczą, jaka nam pozostała.

– Nie doceniasz determinacji Izraelczyków. Zdołali przetrwać przez wieki i to się nie zmieni.

– Ta ziemia jest nasza. I to my zwyciężymy.

– Istnieją rzeczy potężniejsze niż kule, które są w stanie zapewnić wam zwycięstwo.

– Racja. Bomby. Mamy ich pod dostatkiem. Unicestwimy każdego z was, wy złodziejscy syjoniści.

– Nie jestem syjonistą.

Deklaracja została wypowiedziana spokojnym głosem, po czym mężczyzna zamilkł. Haddad zdał sobie sprawę, że nadeszła pora zakończyć to przesłuchanie. Nie miał czasu na drążenie ślepych zaułków.

– Przyszedłem tutaj z biblioteki, żeby porozmawiać z Kamalem Haddadem – odezwał się w końcu mężczyzna.

Palestyńczyk poczuł, jak wściekłość ustępuje miejsca zmieszaniu.

– To mój ojciec.

– Powiedziano mi, że mieszka w tym miasteczku.

Jego ojciec był akademickim uczonym, specjalizował się w historii Palestyny i wykładał na uniwersytecie w Jerozolimie. Był mężczyzną o tubalnym głosie i takim też śmiechu, rosłym i serdecznym. Ostatnio podjął się funkcji emisariusza między Arabami a Brytyjczykami, usiłując postawić tamę masowej izraelskiej imigracji oraz uchronić swój naród przed *nakba*. Jego wysiłki nie zdały się jednak na nic.

– Mój ojciec nie żyje.

Po raz pierwszy dostrzegł niepokój i zmartwienie w oczach więźnia.

– Nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Haddad przywołał w pamięci wspomnienie, którego pragnął pozbyć się na zawsze.

– Przed dwoma tygodniami włożył do ust lufę karabinu i odstrzelił sobie tył głowy. Zostawił list, w którym oznajmił, że nie był w stanie dłużej

patrzeć na rozpad swojej ojczyzny. – Haddad przysunął rewolwer do twarzy gwardiana. – Do czego był ci potrzebny mój ojciec?

– Był tym, któremu miałem przekazać informacje. Do niego właśnie wystosowano zaproszenie.

Znów narastał w nim gniew.

– O czym ty mówisz?

– Twój ojciec cieszył się ogromnym szacunkiem i poważaniem. Miał dogłębne wykształcenie, co uprawniało go do dostępu do naszej wiedzy. Dlatego tu przyszedłem, chcąc zaprosić go do partycypowania.

Spokojny głos mężczyzny uderzył Haddada niczym kubeł wody duszący płomienie.

– Do partycypowania w czym?

Strażnik pokręcił przecząco głową.

– Odpowiedź była przeznaczona tylko do jego wiadomości.

– On nie żyje.

– Co oznacza, że zostanie wybrany ktoś inny, kto otrzyma zaproszenie.

O czym ten człowiek bredził? Haddad pojmał już wielu żydowskich jeńców, torturami wyciągając z nich, co się dało, i dobijając z broni palnej to, co z nich zostawało. Zanim nadeszła *nakba*, Haddad pracował na własnej plantacji drzewek oliwnych, lecz podobnie jak ojca pociągało go środowisko akademickie i pragnął podjąć studia wyższe. Teraz stało się to niemożliwe. Ustanowiono państwo Izrael, a jego granice wytyczono, okrawając pradawne arabskie ziemie. Świat najwyraźniej postanowił zadośćuczynić Żydom za Holocaust. Wszystko to zaś działo się kosztem narodu palestyńskiego.

Przyłożył lufę pistoletu między oczy mężczyzny.

– Właśnie sam uczyniłem siebie zaproszonym. Przekaż mi swoją wiedzę.

Oczy mężczyzny zdawały się przenikać go na wskroś i przez chwilę poczuł osobliwą niepewność. Ten emisariusz z pewnością wcześniej stawiał czoła niebezpieczeństwom. Haddad podziwiał jego odwagę.

– Toczycie wojnę, która nie jest konieczna. Z wrogiem, który został wprowadzony w błąd – podjął więzień.

– W imię Boga, o czym ty mówisz?

– O tym dowie się tylko kolejny zaproszony.

Była już prawie pełnia poranka. Haddad potrzebował snu. Miał nadzieję, że z tego więźnia wyciągnie kilka nazwisk członków izraelskiego podziemia, być może nawet trafi na trop bestialskich zabójców odpowiedzialnych za wczorajszą rzeź. Przeklęci Brytyjczycy zaopatrywali syjonistów w karabiny i czołgi, a przez lata zabraniali Arabom posiadania broni, co stawiało ich w bardzo niekorzystnej sytuacji. To prawda, że ludność arabska przeważała liczebnie, ale Żydzi byli lepiej uzbrojeni i Haddad się obawiał, że rezultat wojny potwierdzi legalność państwa Izrael.

Spojrzał ponownie w hardą i nieugiętą twarz, w oczy, które nie uciekały przed jego wzrokiem, i wiedział, że ten więzień był gotów na śmierć. W ciągu ostatnich kilku miesięcy zabijanie przychodziło mu z coraz większą łatwością. Zbrodnie, jakich dopuszczali się Żydzi, pozwoliły mu zagłuszyć resztki sumienia, jakie w nim pozostały. Chociaż miał zaledwie dziewiętnaście lat, jego serce przeobraziło się w kamień.

Ale wojna była wojną.

Dlatego pociągnął za spust.

CZĘŚĆ PIERWSZA

JEDEN

KOPENHAGA, DANIA
WTOREK, 4 PAŹDZIERNIKA, CZASY WSPÓŁCZESNE
GODZINA 1.45

Cotton Malone spoglądał w twarz kłopotom. Przed drzwiami frontowymi księgarni z antykwariatem, której był właścicielem, stała jego była żona. Ostatnia osoba na ziemi, jaką spodziewał się ujrzeć. Od razu dostrzegł przerażenie w jej zmęczonych oczach, przypomniał sobie walenie do drzwi, które go obudziło przed kilkoma minutami, i natychmiast pomyślał o synu.

– Gdzie jest Gary? – zapytał.

– Ty sukinsynie! Zabrali go. Przez ciebie. Zabrali go! – Rzuciła się na Cottona i zaczęła okładać go pięściami po torsie. – Ty żałosny sukinsynie!

Chwycił ją za nadgarstki i powstrzymał desperacki atak. Kobieta wybuchnęła płaczem.

– Zostawiłam ciebie z tego właśnie powodu. Sądziłam, że mam te sprawy za sobą.

– Kto zabrał Gary'ego?

W odpowiedzi usłyszał szlochanie. Nie przestawał trzymać jej za ręce.

– Pam. Posłuchaj mnie. Kto zabrał Gary'ego?

Wbiła w niego wściekły wzrok.

– Skąd, do diabła, mam to wiedzieć?

– Co tutaj robisz? Dlaczego nie poszłaś na policję?

– Ponieważ mi zabronili. Powiedzieli, że jeśli znajdę się w pobliżu jakiegokolwiek komisariatu policji, Gary zginie. Oznajmili, że będą o tym wiedzieć, ja zaś im uwierzyłam.

– Kim są „oni"?

Wyswobodziła ręce, a jej twarz znów wyrażała gniew i złość.

– Nie wiem. Powiedzieli tylko, żebym odczekała dwa dni, a później przyjechała tutaj i dała ci to.

Pogrzebała w torbie przewieszonej przez ramię i wyjęła aparat telefoniczny. Po jej policzkach wciąż spływały łzy.

– Powiedzieli, żebyś połączył się z Internetem i uruchomił pocztę elektroniczną.

Czy się nie przesłyszał? Miał się połączyć z Internetem i uruchomić pocztę elektroniczną?

Otworzył klapkę telefonu i sprawdził częstotliwość. Wystarczająca liczba megaherców, żeby zapewnić globalny zasięg. Co go zresztą zdziwiło. Nagle poczuł się zagrożony. Na Højbro Plads panowały cisza i spokój. O tak późnej porze nikt się już nie wałęsał po miejskim placu.

Zmysły znów stały się czujne.

– Wejdź do środka.

Wciągnął ją do sklepu i zamknął drzwi. Nie włączył światła.

– O co chodzi? – zapytała głosem drżącym ze strachu.

Spojrzał na nią.

– Nie wiem, Pam. Ty mi powiedz. Nasz syn został najprawdopodobniej porwany, Bóg wie przez jakiego świra, a ty czekasz dwa dni, zanim kogoś o tym powiadamiasz? Nie uważasz tego za niezdrowy objaw?

– Nie chciałam wystawiać jego życia na szwank.

– A ja chciałem? Jak zresztą mógłbym to uczynić?

– Będąc tym, kim jesteś – odparła szorstko, on zaś natychmiast przypomniał sobie, dlaczego nie był już z nią.

Nagle coś sobie uświadomił. Pam nigdy wcześniej nie była w Danii.

– Jak mnie znalazłaś?

– Powiedzieli mi.

– Kim, do diabła, są „oni”?

– Nie wiem, Cotton. Dwaj mężczyźni. Tylko jeden z nich się odzywał. Wysoki, o ciemnych włosach i beznamiętnej twarzy.

– Amerykanin?

– Skąd mam wiedzieć?

– Jak mówił?

W końcu odzyskała panowanie nad sobą.

– Nie. Nie Amerykanin. Mówił z akcentem. Europejczyk.

Wskazał gestem na telefon.

– Co mam z tym zrobić?

– Powiedział, żebyś uruchomił pocztę elektroniczną, a wszystko się wyjaśni.

Rozejrzała się nerwowo dookoła po półkach i regałach ukrytych w mroku.

– Na górze, mam rację?

Gary zapewne powiedział matce, że będąc w Danii u ojca, mieszkał nad sklepem z książkami. Pam i Cotton rozmawiali tylko raz, odkąd odszedł z Departamentu Sprawiedliwości i wyjechał z Georgii przed rokiem. Było to dwa miesiące temu, kiedy odwoził syna do domu po jego letniej wizycie. Z lodowatym chłodem Pam oznajmiła mu wtedy, że Gary nie jest jego biologicznym synem. Chłopiec był owocem romansu sprzed szesnastu lat, który stanowił jej odpowiedź na niewierność z jego strony. Cotton zmagał się od tamtej pory z tym brzemieniem i wciąż nie mógł dojść do ładu z wynikającymi z tego implikacjami. Wtedy postanowił jedno – nie miał zamiaru nigdy więcej zamienić choćby słowa z Pam Malone. Cokolwiek będzie musiało być powiedziane, będzie to rozmowa między nim a Garym.

Sytuacja jednak najwyraźniej uległa zmianie.

– Tak – potwierdził. – Na górze.

Weszli do jego mieszkania. Malone usiadł za biurkiem. Włączył laptopa i czekał, aż uruchomi się system operacyjny. Pam wreszcie zdołała opanować wzburzone emocje. Taka właśnie była. Jej nastroje napływały falami – ryczące grzywacze i głębokie dołki. Miała wykształcenie prawnicze, tak jak Cotton, lecz gdy on pracował dla rządu, ona reprezentowała na ważnych procesach firmy z listy „Fortune 500”, które było stać na wypłacanie bajońskich honorariów kancelarii prawniczej, w której była zatrudniona. Kiedy rozpoczęła studia prawnicze, Cotton sądził, że uczyniła to ze względu na niego, żeby mogli potem wspólnie dzielić życie. Później się dowiedział, że był to jej sposób na osiągnięcienie zależności.

Taka była Pam.

System operacyjny laptopa już się uruchomił. Malone włączył skrzynkę e-mailową.

Pusta.

– Nie ma tu żadnego listu.

Pam podbiegła do niego.

– Nic z tego nie rozumiem! Powiedział, że masz uruchomić swoją pocztę elektroniczną.

– To było dwa dni temu. A tak przy okazji – jak tutaj dotarłaś?

– Mieli z sobą bilet, lot był już wykupiony.

Nie był w stanie dać wiary temu, co słyszał.

– Odebrało ci rozum? Dałaś im po prostu dwa dni przewagi.

– Nie sądzisz, że doskonale zdaję sobie z tego sprawę?! – wykrzyknęła. – Uważasz mnie za kompletną idiotkę? Powiedzieli mi, że telefony są na podsłuchu i że mnie śledzą. Jeśli zrobię coś wbrew ich instrukcjom, nawet błahą rzecz, Gary zginie. Pokazali mi zdjęcie... – Puściły jej nerwy, a łzy ponownie spłynęły po policzkach. – Jego oczy... Och, jego oczy.

Znów się rozpłakała.

– Był przerażony.

Malone poczuł ból w klatce piersiowej i pulsowanie w skroniach. Celowo wycofał się z życia w stałym zagrożeniu i pełnego niebezpieczeństw, chcąc odnaleźć coś nowego. Czy tamto życie urządziło sobie teraz łowy na niego? Chwycił krawędź biurka. Jeśli teraz nie zjednoczą sił, nie wyniknie z tego nic dobrego. Gdyby „oni” – kimkolwiek byli – chcieli śmierci Gary’ego, jego syn już by nie żył. Nie! Gary był kartą przetargową, za pomocą której ktoś chciał skupić całą jego uwagę.

Z laptopa dobiegł charakterystyczny dźwięk.

Malone skierował wzrok w prawy dolny róg ekranu. Ikona na pasku zadań informowała o nowej wiadomości w poczcie przychodzącej. Później zobaczył wyraz POZDROWIENIA w rubryce „Od:” oraz wpis ŻYCIE TWOJEGO SYNA w polu „Temat:”. Przesunął kursor i otworzył elektroniczny list:

> MASZ COŚ, CZEGO PRAGNĘ. ALEKSANDRYJSKIE OGNIWO – UKRYŁEŚ TO I JESTEŚ JEDYNĄ OSOBĄ NA ZIEMI, KTÓRA WIE, GDZIE TO ZNALEŹĆ. POJEDŹ TAM I WYDOBĄDŹ TO. MASZ 72 GODZINY. KIEDY TO ZDOBĘDZIESZ, NACIŚNIJ KLAWISZ Z CYFRĄ „2”. JEŚLI SIĘ NIE ODEZWIESZ PRZED UPŁYWEM 72 GODZIN, STANIESZ SIĘ BEZDZIETNYM RODZICEM. JEŚLI W TYM CZASIE BĘDZIESZ ZE MNĄ POGRYWAŁ, TWÓJ SYN STRACI PRZYRODZENIE. MASZ 72 GODZINY. ZNAJDŹ TO, A DOBIJEMY TARGU.

Pam stała z tyłu za Cottonem.

– Co to jest „aleksandryjskie ogniwo”?

Nie odpowiedział jej. Nie mógł, choć w rzeczywistości był jedyną osobą na ziemi, która wiedziała. Poza tym dał słowo.

– Ktokolwiek wysłał tę wiadomość, wie o tym. Co to jest? – nalegała Pam.

Wpatrywał się w ekran i wiedział, że nie istnieje możliwość wyśledzenia tej informacji. Nadawca, podobnie zresztą jak on sam, potrafił z pewnością wykorzystywać czarne dziury – serwery, które losowo przesyłały e-maile po zakamarkach elektronicznego labiryntu. Ich odnalezienie nie było wprawdzie zupełnie niemożliwe, ale bardzo trudne i czasochłonne.

Wstał z krzesła i przejechał dłonią po włosach już od dawna wymagających skrócenia. Starał się przepędzić resztki senności, wziął więc kilka głębokich oddechów. Wcześniej nałożył dżinsy i koszulę z długim rękawem, spod której rozpiętych pół wystawał szary podkoszulek. Nagle poczuł chłód.

– Niech to wszystko szlag, Cotton...

– Pam, zamknij się. Muszę pomyśleć. Wcale mi w tym nie pomagasz.

– Nie pomagam? Co to...

Zadzwonił telefon. Pam rzuciła się do przodu, ale Malone ją zatrzymał.

– Zostaw to! – ostrzegł.

– O co ci chodzi? To może być Gary.

– Myśl trzeźwo.

Po trzecim dzwonku sięgnął po telefon komórkowy i nacisnął przycisk ODBIERZ.

– Trwało to dostatecznie długo – odezwał się w słuchawce męski głos, w którym dało się usłyszeć duński akcent. – I proszę bez brawurowych tekstów w rodzaju „jeśli-skrzywdzisz-mojego-chłopca-odstrzelę-ci-jaja”. Żaden z nas nie ma na to czasu. Właśnie zaczęło się odliczanie twoich siedemdziesięciu dwóch godzin.

Malone milczał, przy okazji przypominając sobie coś, czego nauczył się bardzo dawno temu. „Nigdy nie pozwól drugiej stronie stawiać warunków”.

– Podetrzyj sobie nimi tyłek. Nigdzie się nie wybieram.

– Narażasz na poważne ryzyko życie syna.

– Najpierw zobaczę Gary’ego. Następnie z nim porozmawiam. Wtedy się stąd ruszę.

– Wyjrzyj przez okno.

Podbiegł do okna. Cztery kondygnacje niżej, na Højbro Plads, wciąż było cicho i spokojnie, nie licząc dwóch postaci, które stały przy drugim końcu brukowanego placu.

Obie miały na ramieniu wycelowaną w jego stronę broń.

Granatniki.

– Nie sądzę – powiedział mu do ucha głos w telefonie.

Dwa pociski pomknęły przez noc i unicestwiły szyby na parterze.

Oba też eksplodowały.

DWA

WIEDEŃ, AUSTRIA
GODZINA 2.12

Człowiek, który zasiadał na Niebieskim Krześle, obserwował, jak pod oświetlonym portykiem wysiadło z samochodu dwóch pasażerów. Nie była to limuzyna ani nic nadmiernie pretensjonalnego – po prostu europejski sedan w stonowanym kolorze, jakich mnóstwo jeździ po zatłoczonych austriackich drogach. Idealny środek transportu, który pozwala uniknąć niepotrzebnego zainteresowania terrorystów, przestępców, policji i ciekawskich reporterów. Właśnie podjechał następny samochód, z którego także wysiadło dwóch pasażerów, auto zaś odjechało na wyłożony płytami parking, zatrzymując się wśród pogrążonych w mroku drzew. Po kilku minutach nadjechały kolejne dwa. Niebieskie Krzesło z satysfakcją opuścił sypialnię usytuowaną na drugim piętrze i zszedł na parter.

Spotkanie zwołano w zwykłym miejscu.

Pięć pozłacanych krzeseł z prostymi oparciami stało w szerokim kręgu na węgierskim dywanie. Krzesła były jednakowe – poza jednym, którego tapicerowane oparcie ozdabiała królewska szarfa w błękitnym kolorze. Obok każdego krzesła stał pozłacany stolik, a na nim znajdowała się lampka z brązu, notatnik i kryształowy dzwonek. W kamiennym palenisku po lewej stronie kręgu z krzeseł trzaskał ogień, a jego światło tańczyło nerwowo na malowidłach pod sufitem.

Każde z krzeseł zajął inny mężczyzna.

Siedzieli w ustalonym porządku, zgodnie z uzyskaną rangą. Dwóch spośród nich wciąż jeszcze miało włosy i cieszyło się dobrym zdrowiem. Trzej pozostali zdążyli już wyłysieć i podupaść na zdrowiu. Wszyscy mieli powyżej siedemdziesięciu lat i byli ubrani w stonowane garnitury – ich ciemne chesterfieldy i szare homburgi wisiały na mosiężnych wieszakach po jednej ze stron sali. Za każdym z nich stał inny, młodszy mężczyzna – dziedzic Krzesła, obecny po to, aby słuchać i uczyć się, lecz bez prawa

zabierania głosu. Reguły były ustalone od dawna. Pięć Krzeseł, cztery Cienie. Niebieskie Krzesło dzierżył władzę.

– Przepraszam za tak późną porę, ale kilka godzin temu otrzymałem niepokojące informacje. – Głos Niebieskiego Krzesła był napięty i piskliwy. – Nasze ostatnie przedsięwzięcie może być zagrożone.

– Zdemaskowanie? – zapytał Drugie Krzesło.

– Być może.

Trzecie Krzesło westchnął.

– Czy problem da się rozwiązać?

– Tak sądzę. Trzeba jednak działać bez chwili zwłoki.

– Ostrzegałem, że nie należy się w to mieszać – przypomniał stanowczym tonem Drugie Krzesło, kręcąc z dezaprobatą głową. – Powinniśmy byli pozwolić, żeby sprawy potoczyły się naturalną koleją rzeczy.

Trzecie Krzesło zgodził się z tą opinią, podobnie zresztą jak na poprzednim spotkaniu.

– Być może jest to znak, że trzeba to zostawić w spokoju. Wiele można powiedzieć o naturalnym porządku rzeczy.

Niebieskie Krzesło zaprzeczył ruchem głowy.

– W ostatnim głosowaniu sprzeciwiliśmy się przyjęciu takiego rozwiązania. Decyzja została podjęta i teraz musimy się tego trzymać – przerwał na moment. – Sytuacja wymaga przyjrzenia się jej z bliska.

– Dokończenie sprawy będzie wymagało taktu i umiejętności – wtrącił Trzecie Krzesło. – Niepotrzebne ściąganie uwagi może zniweczyć cel. Jeśli zamierzamy przeć do przodu, sugeruję, żebyśmy dali pełne prerogatywy do działania osobie, którą znamy jako Klauen des Adlers.

Szpony Orła.

Dwaj pozostali przytaknęli.

– Już to zrobiłem – oznajmił Niebieskie Krzesło. – Zwołałem to spotkanie, ponieważ moje wcześniejsze samodzielne działanie wymaga zatwierdzenia.

Wniosek został sformułowany. Ręce uniosły się do góry. Cztery do jednego, a zatem sprawa została przegłosowana.

Niebieskie Krzesło odczuwał zadowolenie.

TRZY

KOPENHAGA

Budynkiem, który wynajmował Malone, zatrzęsło jak podczas trzęsienia ziemi, po czym pęczniejąca fala gorąca z hukiem pomknęła po schodach na górę. Cotton rzucił się w stronę Pam i oboje upadli na chodnik przykrywający deski podłogi. Osłonił ją ciałem, gdy druga eksplozja wstrząsnęła fundamentami i nowe płomienie torowały sobie drogę na wyższe kondygnacje.

Wyjrzał przez próg.

Na dole szalała pożoga.

Dym buchał w górę coraz ciemniejszymi kłębami. Cotton zerwał się na równe nogi i podbiegł do okna. Dwaj mężczyźni zdążyli już zniknąć. Płomienie zaczęły lizać noc. Zdał sobie sprawę z tego, co się stało. Podłożyli ogień pod dolne kondygnacje, nie zamierzali więc ich zabić.

– Co się dzieje?! – krzyknęła Pam.

Zignorował ją i otworzył okno. Dym szybko wypierał powietrze z pomieszczenia.

– Chodź – ponaglił ją i ruszył pospiesznie do sypialni.

Sięgnął pod łóżko i wyciągnął plecak, który zawsze trzymał w pogotowiu, nawet po odejściu na emeryturę, podobnie jak czynił to przez dwanaście lat, służąc jako agent w Magellan Billet. W środku był paszport, tysiąc euro, dodatkowe dokumenty potwierdzające tożsamość, odzież na zmianę oraz jego beretta z amunicją. Wpływowy przyjaciel – Henrik Thorvaldsen – całkiem niedawno odzyskał pistolet z depozytu duńskiej policji, skonfiskowany, kiedy Malone wmieszał się kilka miesięcy wcześniej w rozgrywkę z zakonem templariuszy.

Przełożył plecak przez ramię i wsunął stopy w parę adidasów. Nie było czasu na wiązanie sznurówek. Dym wciskał się już i do tego pomieszczenia. Otworzył oba okna sypialni, co pozwoliło wpuścić do wnętrza odrobinę świeżego powietrza.

– Zostań tutaj.

Wstrzymał oddech i pobiegł przez salon w stronę klatki schodowej. Pod sobą miał cztery kondygnacje. Na parterze znajdowała się księgarnia, na pierwszym i drugim piętrze były ulokowane magazyny, trzecie piętro służyło mu za mieszkanie. Parter i pierwsze piętro były już ogarnięte pożogą. Żar piekł w twarz, zmuszając Malone'a do wycofania się. Granaty zapalające. Niewątpliwie.

Wbiegł z powrotem do sypialni.

– Nie mamy już drogi ucieczki schodami. Zatroszczyli się o to.

Pam stała przytulona do okna, chwytając z trudem powietrze i krztusząc się. Przeszedł obok niej i wystawił głowę za okno. Sypialnia była usytuowana w narożniku budynku. Sąsiednia kamienica, w której mieścił się zakład jubilerski oraz sklep odzieżowy, liczyła jedno piętro mniej i miała płaski dach, otoczony po obwodzie ceglaną balustradą, która jak mu powiedziano, pochodziła z siedemnastego wieku. Spojrzał w górę. Ponad oknem biegł szeroki gzyms, który wychodził daleko poza lico ściany od frontu oraz z boku budynku.

Ktoś z pewnością już zadzwonił po straż pożarną oraz służby ratownicze, Malone jednak nie miał zamiaru czekać, aż ratownicy przystawią drabinę.

Pam kaszlała coraz mocniej, on również miał kłopoty z oddychaniem. Obrócił głowę.

– Spójrz w górę – powiedział, wskazując na gzyms. – Chwycisz się za to i przesuniesz do krawędzi budynku. Potem opadniesz na dach sąsiedniego domu.

Otworzyła szeroko oczy.

– Odebrało ci rozum? Jesteśmy na wysokości trzeciego piętra.

– Pam, ten budynek może wybuchnąć. Są w nim rury z gazem ziemnym. Te granaty wystrzelono po to, aby wywołać pożar. Nie strzelali do nas na trzecie piętro, chcieli bowiem nas stąd wykurzyć.

Najwyraźniej jego słowa w ogóle do niej nie docierały.

– Musimy opuścić to miejsce, zanim dotrze tu policja i straż pożarna.

– Przyjdą nam z pomocą.

– Zamierzasz spędzić następne osiem godzin, odpowiadając na pytania? Mamy ich zaledwie siedemdziesiąt dwie.

Tym razem można było odnieść wrażenie, że natychmiast pojęła ich sens. Spojrzała na gzyms.

– Nie dam rady, Cotton.

Po raz pierwszy w jej głosie nie było buty.

– Gary nas potrzebuje. Musimy iść. Popatrz na mnie, a następnie postępuj tak samo jak ja.

Założył plecak i wyszedł przez okno. Chwycił gzyms. Chropawe kamienie były ciepłe, lecz pozwalały palcom na solidny chwyt. Zawisł na rękach i przesuwał się powoli w bok, dłoń za dłonią, ku narożnikowi. Jeszcze niecały metr i dotarł do narożnika, po czym zeskoczył na dach sąsiedniego budynku.

Podbiegł szybkim krokiem ku frontowej ścianie i spojrzał w górę. Pam wciąż stała w oknie.

– Ruszaj! Zrób to tak, jak ja to zrobiłem!

Wciąż się wahała.

Potężna eksplozja wstrząsnęła drugim piętrem. Okruchy szyb z okien spadły na Højbro Plads. Płomienie rozjaśniły ciemność. Pam cofnęła się do wnętrza. Błąd. Sekundę później znów była w oknie, szarpana gwałtownym kaszlem.

– Musisz iść teraz! – zawołał.

W końcu chyba do niej dotarło, że nie ma innego wyjścia. Naśladując jego ruchy, wyszła przez okno i chwyciła za gzyms. Następnie przesunęła ciało i zawisła na rękach.

Widział jej zamknięte oczy.

– Nie musisz patrzeć. Po prostu przesuwaj dłonie. Po kolei i miarowo, bez pośpiechu.

Tak też zrobiła.

Gzyms długości dwóch i pół metra stanowił dystans, jaki dzielił Malone’a od miejsca, w którym zwisała. Ale radziła sobie całkiem dobrze, przestawiając jedną dłoń po drugiej. Po chwili Malone dostrzegł jakieś sylwetki na dole. Na placu. Dwaj mężczyźni pojawili się z powrotem, tym razem z karabinami.

Zrzucił szybko plecak i sięgnął ręką do środka. Wyjął berettę.

Wystrzelił dwukrotnie do postaci znajdujących się piętnaście metrów niżej. Huk wystrzałów odbijał się od murów i przetaczał głośnym echem przez plac.

– Dlaczego strzelasz? – zaniepokoiła się Pam.

– Nie przestawaj się przemieszczać.

Po następnym strzale mężczyźni na dole zniknęli w ciemnościach.

Pam dotarła do narożnika. Rzucił w jej kierunku szybkie spojrzenie.

– Przejdź za narożnik i podciągnij się tak jak ja.

Spoglądał badawczo w mrok, lecz nigdzie nie dostrzegł uzbrojonych bandytów. Pam wykonywała manewr, jedną ręką trzymając się gzymsu, drugą starając się bezpiecznie złapać.

Wtedy poluzowała chwyt.

I zaczęła spadać.

Wyciągnął ręce, wciąż trzymając w dłoni pistolet, i zdołał ją pochwycić. Oboje upadli na dach. Dyszała ciężko. Cała Pam.

Zadzwonił telefon.

Podszedł na czworakach do plecaka, znalazł telefon i otworzył klapkę.

– Fajnie się bawicie? – zapytał ten sam głos co przedtem.

– Był jakiś powód, żeby wysadzić w powietrze moją księgarnię?

– To ty powiedziałeś, że nigdzie się nie wybierasz.

– Chcę porozmawiać z Garym.

– To ja ustalam reguły. Już wykorzystałeś trzydzieści sześć minut z siedemdziesięciu dwóch godzin, jakie masz do dyspozycji. Na twoim miejscu ruszałbym wykonać zadanie. Od tego zależy życie twojego syna.

Połączenie zostało przerwane.

Nagle dotarły do nich dźwięki syren nadjeżdżających samochodów policji i straży pożarnej. Malone chwycił plecak i zerwał się na równe nogi.

– Musimy iść.

– Kto to był?

– Nasz problem.

– To znaczy kto?

Poczuł, jak ogarnia go nagła furia.

– Nie mam pojęcia.

– Czego chce?

– Czegoś, czego nie mogę mu dać.

– Co to znaczy „nie możesz”? Od tego zależy życie Gary’ego! Rozejrzyj się. Ten ktoś wysadził w powietrze twoją księgarnię.

– O rety, Pam! Sam bym na to nie wpadł, gdybyś mi tego nie podpowiedziała.

Obrócił się, zamierzając odejść.
Chwyciła go za rękę.
– Dokąd zmierzamy?
– Znaleźć odpowiedzi.

CZTERY

Dominick Sabre stał przy wschodnim krańcu Højbro Plads i patrzył, jak pożar pochłania księgarnię Cottona Malone’a. Samochody straży pożarnej pomalowane fluorescencyjną żółtą farbą zajęły już odpowiednie pozycje, a woda lała się strugami w okna wypełnione językami ognia.

„Jak dotąd, wszystko idzie dobrze. Malone ruszył tyłek z miejsca. Chaos przeistacza się w ład”. Jego motto. Jego życie.

– Zeszli teraz na dół z sąsiedniego budynku – odezwał się głos w słuchawce, przesłany drogą radiową.

– Dokąd się udali? – szepnął Sabre do mikrofonu wpiętego w klapę.

– Do samochodu Malone’a.

Właśnie tak, jak sobie tego życzył.

Strażacy biegali po placu, rozwijali nowe węże, nie chcąc dopuścić do rozprzestrzenienia się pożaru. Ognisty żywioł zdawał się rozkoszować sam sobą. Cenne woluminy zapewne płonęły teraz ochoczo i z entuzjazmem. Niebawem wynajmowana przez Malone’a kamienica zamieni się w popiół i zgliszcza.

– Wszystko inne jest w pogotowiu? – Sabre zapytał stojącego obok mężczyznę, jednego z dwóch wynajętych Holendrów.

– Sam sprawdziłem. Gotowe do drogi.

To, co miało się teraz zdarzyć, wymagało ogromnego wysiłku włożonego w planowanie. Nie był nawet pewien, czy sukces był możliwy – cel wydawał się tak bardzo ulotny i nieuchwytny – ale jeśli trop, którym podążał, dokądś prowadził, on z pewnością będzie przygotowany.

Wszystko jednak zależało od Malone’a.

Nosił imiona Harold Earl, ale Sabre nie znalazł w jego dokumentach żadnego wyjaśnienia, skąd wziął się przydomek Cotton. Malone miał teraz czterdzieści osiem lat i był starszy od Sabre’a o jedenaście wiosen. Podobnie jak on, był Amerykaninem – urodził się w stanie Georgia. Matka pochodziła z południa. Ojciec zdecydował się na karierę wojskową

i dosłużył się stopnia komandora porucznika marynarki. Dowodził okrętem, który zatonął, kiedy Malone był zaledwie dziesięcioletnim chłopcem. Co ciekawe, Malone poszedł w ślady ojca, wstąpił do Akademii Marynarki Wojennej i do szkoły pilotów, później nagle zmienił kierunek, w końcu zaczął zarabiać na rządowej posadzie jako prawnik niskiego szczebla. Następnie został przeniesiony do biura Judge Advocate General, gdzie spędził dziewięć lat. Przed trzynastoma laty ponownie zmienił życiorys i przeszedł do Departamentu Sprawiedliwości, do nowo utworzonej agencji Magellan Billet, zajmującej się najbardziej drażliwymi dochodzeniami o charakterze międzynarodowym.

Pozostał tam aż do poprzedniego roku, gdy przeszedł na wcześniejszą emeryturę w stopniu komandora. Zostawił Amerykę i przeniósł się do Kopenhagi, gdzie kupił księgarnię z antykwariatem.

Kryzys wieku średniego? Problemy z administracją rządową?

Sabre nie miał co do tego pewności.

Później doszedł do tego wszystkiego jeszcze rozwód, który Cotton sam zresztą nadal rozgryzał. Kto wie? Malone wydawał się postacią zagadkową. Chociaż był zagorzałym bibliofilem, nic w jego psychologicznym portrecie, o czym czytał Sabre, nie dawało satysfakcjonującej odpowiedzi, jaka tłumaczyłaby tak radykalne zmiany i zwroty w życiorysie.

Inne ciekawostki jedynie potwierdzały kompetencje i kwalifikacje jego przeciwnika.

Władał dość biegle kilkoma językami, nie miał żadnego uzależnienia czy fobii, wykazywał też głęboką motywację i niemal obsesyjne zaangażowanie. Malone był również obdarzony ejdetyczną pamięcią, której Sabre mu zazdrościł.

Kompetentny, doświadczony, inteligentny. Zupełnie inny niż głupcy, których sam wynajął – czwórka Holendrów o ograniczonych mózgownicach, pozbawionych zasad moralnych i niemal bez krzty dyscypliny.

Sabre stał w cieniu, gdy na Højbro Plads zgromadził się tłum gapiów obserwujących strażaków w akcji. Nocne powietrze szczypało go w twarz. Jesień w Danii zdawała się wyłącznie szybkim preludium ustępującym miejsca zimie. Wsunął zaciśnięte w pięść dłonie do kieszeni kurtki.

Oddanie na pastwę płomieni wszystkiego, czego Cotton Malone dorobił się w minionym roku, było konieczne. Nie było w tym nic osobistego. Po prostu interesy. Jeśli Malone nie dostarczy tego, na czym mu zależy, bez mrugnięcia okiem zabije chłopaka.

Stojący obok niego holenderski najemnik, ten sam mężczyzna, który telefonował wcześniej do Malone’a, zakaszlał, lecz wciąż nie przerywał milczenia. Jedna z podstawowych zasad Sabre’a, jaką dawał jasno do zrozumienia od samego początku, brzmiała: mówisz tylko wtedy, gdy dostajesz głos. Nie miał teraz czasu ani ochoty na pogawędki.

Obserwował ognisty spektakl jeszcze przez kilka minut. W końcu szepnął do mikrofonu w klapie:

– Wszyscy w pełnej gotowości. Wiemy, dokąd się udali, wy natomiast wiecie, co macie robić.

PIĘĆ

GODZINA 4.00

Malone zaparkował samochód przed frontem Christiangade – rezydencji Henrika Thorvaldsena, którą wzniesiono na wschodnim wybrzeżu duńskiej wyspy Zelandia, od strony cieśniny Sund. Pokonał dystans około trzydziestu kilometrów w kierunku na północ od Kopenhagi, jadąc nowym modelem mazdy, która stała zaparkowana kilka przecznic od jego księgarni, w pobliżu Christianburg Slot.

Po tym, jak udało mu się wraz z Pam zejść z dachu, Cotton patrzył przez chwilę na strażaków usiłujących powstrzymać zapędy ognistego żywiołu, który szalał w wynajmowanym przez niego budynku. Zdał sobie sprawę, że księgozbiór był już stracony. Jeśli płomienie nie strawiły jeszcze wszystkich woluminów, gorąc i dym dopełnią dzieła zniszczenia. Obserwując tę scenę, starał się pokonać narastający gniew, usiłując wprowadzić w życie to, czego nauczył się dawno temu: „Nigdy nie obdarzaj wroga nienawiścią. To zaciemnia trzeźwy osąd”. Nie. Nie powinien wzbudzać w sobie nienawiści. Musiał trzeźwo myśleć.

Pam wcale mu jednak tego nie ułatwiała.

– Kto tutaj mieszka? – zapytała.

– Przyjaciel.

Usiłowała wydobyć z niego jakieś informacje podczas jazdy, ale on wyjawiał niewiele, co tylko podsycało w niej furię. Zanim zajmie się nią osobiście, musi nawiązać kontakt z kimś innym.

Ciemna budowla była wzorcowym przykładem architektury duńskiego baroku. Dom miał trzy kondygnacje, był wzniesiony z piaskowca oblicowanego cegłą i przykryty wdzięcznie wygiętym w łuki dachem z miedzi. Jedno skrzydło budynku było zwrócone ku lądowi, drugie zaś w stronę morza. Przodek Henrika Thorvaldsena ufundował tę budowlę przed trzema wiekami, kiedy zgromadził dość zysków, zamieniając bezwartościowy torf w paliwo wykorzystywane przy produkcji szkła.

Kolejni Thorvaldsenowie z zamiłowaniem utrzymywali przez stulecia wspaniałą budowlę, w końcu przemieniając firmę Adelgade Glasvaerker, z godłem w formie dwóch pierścieni podkreślonych u dołu linią, w największego wytwórcę wyrobów szklanych w Danii. Współczesnym konsorcjum kierował obecny patriarcha rodu, Henrik Thorvaldsen, człowiek odpowiedzialny za duński epizod w życiu Malone'a.

Cotton ruszył w stronę solidnych frontowych drzwi. Melodia dzwonka, przypominająca brzmienie dzwonów kopenhaskiej katedry w południe, obwieściła jego nadejście. Nacisnął przycisk jeszcze raz, następnie uderzył pięścią w drzwi. W jednym z okien na górze zapaliło się światło. Później kolejne. Po kilku chwilach usłyszał chrobot klucza przekręcanego w zamku i drzwi się otworzyły. Chociaż mężczyzna, który wpatrywał się w niego, nie otrząsnął się z resztek snu, jego włosy koloru miedzianego były nienagannie zaczesane, twarz przybrała maskę kontrolowanej uprzejmości, a na bawełnianej podomce nie dało się dostrzec jednego choćby zagniecenia.

Jesper. Kamerdyner Thorvaldsena.

– Obudź go – odezwał się Malone po duńsku.

– A powód tak radykalnego kroku o czwartej rano?

– Spójrz na mnie! – Malone był umazany potem, brudem i sadzą. – Dostatecznie ważny?

– Jestem skłonny podzielić to zdanie.

– Zaczekamy w gabinecie. Potrzebny mi jest komputer Henrika.

Malone sprawdził najpierw konto swojej duńskiej poczty elektronicznej, ale w skrzynce odbiorczej nie było nic. Następnie zalogował się na chronionym zabezpieczeniami serwerze biura Magellan Billet, posługując się hasłem, jakie otrzymał od byłej szefowej Stephanie Nelle. Co prawda odszedł ze służby i nie pobierał już pensji w Departamencie Sprawiedliwości, ale w rewanżu za to, co zrobił dla Stephanie ostatnio we Francji, zapewniła mu bezpośredni dostęp. Uwzględniając różnicę czasu – w Atlancie była dopiero dziesiąta w poniedziałkowy wieczór – wiedział, że informacja od niego zostanie przekierowana bezpośrednio do niej.

Malone podniósł wzrok znad komputera, kiedy Thorvaldsen wszedł do pomieszczenia, powłócząc nogami. Jego drobna, przygarbiona sylwetka, będąca następstwem choroby kręgosłupa, który dawno temu odmówił

wzrostu wzdłuż linii prostej, skryła się pod o wiele za dużym swetrem w kolorze dyni. Wciąż bujne siwe włosy leżały przyklepane po jednej stronie głowy, brwi były gęste i nieokiełznane. Na czole i w kącikach ust rysowały się głębokie bruzdy, a cera ziemistej barwy kazała się domyślać rzadkiego kontaktu z promieniami słońca, co – jak Malone doskonale wiedział – nie mijało się z prawdą, Duńczyk bowiem bardzo rzadko opuszczał progi rezydencji. Na kontynencie, na którym wiekowe fortuny oznaczały miliardy, Thorvaldsen plasował się w czołówce wszystkich list najbogatszych ludzi.

– Co się dzieje? – zapytał gospodarz.

– Henrik, to jest Pam, moja była żona.

Thorvaldsen obdarzył ją uprzejmym uśmiechem.

– Miło mi panią poznać.

– Nie mamy czasu na te sprawy – odparła, niemal ignorując gospodarza. – Musimy dowiedzieć się co z Garym.

Thorvaldsen spojrzał na Malone’a.

– Wyglądasz okropnie, Cotton. Ona zaś sprawia wrażenie zaniepokojonej.

– Zaniepokojonej? – żachnęła się Pam. – Właśnie cudem udało mi się wydostać z dachu płonącego budynku. Porwano mi syna. Poza tym nie doszłam jeszcze do siebie po długim locie. Od dwóch dni właściwie nic nie jadłam.

– Kazałem przygotować posiłek. – Głos Thorvaldsena pozostał niewzruszony, jak gdyby podobne zdarzenia odbywały się tutaj co wieczór.

– Nie chcę nic jeść. Chcę się dowiedzieć co z moim synem.

Malone opowiedział Thorvaldsenowi, co wydarzyło się w Kopenhadze.

– Obawiam się, że budynek poszedł z dymem – dodał na zakończenie.

– Co jest najmniejszym z naszych zmartwień.

Wychwycił znaczenie tych słów i niemal zdobył się na uśmiech. To właśnie podobało mu się w Thorvaldsenie. Zawsze był po twojej stronie, bez względu na wszystko.

Pam chodziła nerwowym krokiem, niczym lwica zamknięta w klatce. Malone dopiero teraz dostrzegł, że musiała zrzucić kilka kilogramów od czasu, kiedy rozmawiali z sobą ostatni raz. Zawsze była szczupła, miała długie rudawe włosy, a czas w ogóle nie przyciemnił bladej karnacji jej piegowatej cery. Ubranie Pam było potargane w równym stopniu co jej

nerwy, chociaż – ujmując rzecz ogólnie – wciąż prezentowała się tak dobrze jak przed laty, kiedy się z nią ożenił, wkrótce po przejściu do biura prawniczego JAG w strukturach Marynarki Wojennej. I to był jej atrybut: z zewnątrz klasa sama w sobie, szkoda tylko, że wnętrze stanowiło problem. Nawet teraz jej niebieskie oczy, zaczerwienione od płaczu, emanowały lodowatą furią. Była kobietą inteligentną i wyrafinowaną, lecz w tym momencie górę wzięły konsternacja, zagubienie, gniew i niepokój. Jak oceniał, żaden z tych stanów nie wróżył niczego dobrego.

– Na co właściwie czekasz?! – wyrzuciła z siebie.

Spoglądał na ekran komputera. Dostęp do serwera biura Magellan Billet wciąż jeszcze nie został potwierdzony. Ponieważ nie był już w czynnej służbie, jego prośba o kontakt została z pewnością przesłana bezpośrednio do Stephanie w celu zatwierdzenia. Wiedział, że z chwilą, gdy zobaczy, kto jest po drugiej stronie łącza, natychmiast zezwoli mu na logowanie.

– Czy zazwyczaj to właśnie porabiałeś? – zapytała Pam. – Ludzie usiłują puścić twój dom z dymem. Strzelają do ciebie. To właśnie robiłeś? Widzisz, czym to się dla nas skończyło? Widzisz, dokąd zabrnęliśmy?

– Pani Malone – wtrącił Henrik.

– Niech pan nie zwraca się do mnie w ten sposób! – warknęła. – Powinnam była zmienić nazwisko. Intuicja podpowiadała mi, żebym włączyła ten punkt do sprawy rozwodowej. Ale nie, nie chciałam nosić innego nazwiska niż Gary. Chłopak nie pozwoli powiedzieć pieprzonego złego słowa na swojego uwielbianego ojca. Nawet jednego. Nie, Cotton, ty jesteś prawdziwym mężczyzną. Królem w oczach chłopca. Najbardziej przeklętą rzeczą, jaką spotkałam w życiu.

Dążyła do konfrontacji i walki, Malone zaś coraz mocniej żałował, że nie ma czasu, aby stanąć naprzeciw niej na ubitej ziemi.

Z komputera dobiegł elektroniczny dźwięk. Na ekranie pokazała się strona wejściowa do zasobów biura Magellan Billet.

Malone wpisał hasło, a po chwili została nawiązana dwustronna łączność. Pojawiły się słowa RYCERZE TEMPLARIUSZE. Zakodowana tożsamość Stephanie. Wpisał słowa OPACTWO DES FONTAINES, nazwę miejsca, gdzie on i Stephanie przed kilkoma miesiącami trafili na pozostałości średniowiecznego zakonu. Po kilku sekundach pojawiły się słowa: „O co chodzi, Cotton?”.

Krótko streścił ostatnie wydarzenia. Stephanie odpowiedziała: „Mieliśmy tu włamanie. Przed dwoma miesiącami. Ktoś dotarł do zabezpieczonych danych”.

„Zechcesz to wyjaśnić?” – poprosił.

„Nie teraz. Chcieliśmy utrzymać to w tajemnicy. Muszę sprawdzić kilka rzeczy. Gdzie jesteś?”

„W domu twojego ulubionego Duńczyka”.

„Ucałuj go ode mnie”.

Usłyszał, jak Henrik chichocze. Wiedział, że jako dwójka rozwiedzionych rodziców, Stephanie i Henrik tolerowali się nawzajem wyłącznie ze względu na niego.

– Będziemy tu tak siedzieć i czekać? – odezwała się Pam.

Oboje stali za nim i czytali zza jego pleców.

– To właśnie zamierzamy zrobić.

Rzuciła się w stronę drzwi.

– Ty możesz! Ja nie zamierzam siedzieć z założonymi rękoma.

– Co chcesz zrobić? – zapytał.

– Wybieram się na komisariat policji.

Otworzyła z impetem drzwi. Jesper stał w korytarzu, blokując jej przejście. Pam spojrzała gniewnie na kamerdynera.

– Zejdź mi z drogi.

Jesper jednak ani drgnął.

Obróciła się i skierowała tryskające wściekłością spojrzenie na Henrika.

– Niech pan powie swojemu służącemu, żeby się odsunął. W przeciwnym razie to ja go odsunę.

– Niech pani spróbuje, proszę bardzo – zachęcił ją Thorvaldsen.

Malone odczuwał zadowolenie, że Thorvaldsen przewidział nieroztropne zachowanie Pam.

– Pam. Jestem psychicznie rozbity w stopniu nie mniejszym niż ty. Lecz policja nie jest w stanie nic zrobić. Mamy do czynienia z zawodowcami, którzy zyskali nad nami dwa dni przewagi. Jeśli mam skutecznie przyjść z pomocą Gary’emu, potrzebuję informacji.

– Nie uroniłeś choćby jednej łzy. Nie okazałeś nawet zaskoczenia, niczego nie dałeś po sobie poznać. Jak zawsze.

Nie cierpiał tego, zwłaszcza gdy słowa te padały z ust kobiety, która zaledwie przed dwoma miesiącami bez cienia emocji oznajmiła mu, że

Gary nie jest jego synem. Doszedł do wniosku, że rewelacja ta w żaden sposób nie zmieniała jego uczuć do Gary'ego – chłopak był jego synem i zawsze pozostanie jego synem – jednak kłamstwo diametralnie zmieniło jego zdanie na temat byłej żony. Czuł, jak gniew podchodzi mu do gardła.

– Już dostatecznie to zagmatwałaś. Powinnaś była zadzwonić do mnie w chwili, kiedy to się stało. Jesteś niby piekielnie bystra, mogłaś więc znaleźć sposób i skontaktować się ze mną albo ze Stephanie. Ona jest przecież w Atlancie. Ty natomiast dałaś tym facetom dwa dni. Nie mam czasu ani sił na walkę jednocześnie z tobą i z nimi. Posadź więc tyłek na krześle i łaskawie się zamknij.

Przez chwilę stała nieruchomo w milczeniu zwiastującym wybuch. W końcu jednak poddała się i osunęła bezwładnie na skórzaną sofę.

Jesper zamknął cicho drzwi i opuścił gabinet.

– Powiedz mi jedno – odezwała się Pam z kamiennym wyrazem twarzy, opuściwszy wzrok na podłogę.

Domyślał się, co chciała wiedzieć.

– Dlaczego nie jestem w stanie dać temu facetowi tego, czego on pragnie? To nie jest takie proste.

– Chodzi o życie chłopca.

– Nie chłopca, Pam. Naszego syna.

Nie odpowiedziała. Być może w końcu zdała sobie sprawę, że racja jest po jego stronie. Zanim zaczną działać, potrzebują informacji. Utknął w martwym punkcie. Podobnie jak tamtego dnia po końcowych egzaminach na wydziale prawa czy wtedy, kiedy poprosił o przeniesienie ze służby w Marynarce Wojennej do Magellan Billet lub gdy wszedł do biura Stephanie Nelle i złożył rezygnację.

Oczekiwanie, pragnienie, marzenia – wszystko to zmieszane z brakiem wiedzy.

On również się zastanawiał, co właściwie robi teraz Stephanie.

SZEŚĆ

WASZYNGTON
PONIEDZIAŁEK, 3 PAŹDZIERNIKA
GODZINA 22.30

Stephanie Nelle odczuwała zadowolenie z tego, że była sama. Troska zachmurzyła jej twarz i nie życzyła sobie, żeby ktokolwiek, szczególnie zaś przełożeni, widzieli ją ogarniętą niepokojem. Rzadko pozwalała sobie na emocjonalne zaangażowanie w bieg wydarzeń, lecz tym razem porwanie Gary'ego Malone'a mocno nią wstrząsnęło. Znajdowała się w stolicy biznesu i dopiero co skończyła służbowe spotkanie przy kolacji z doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego. Kongres, w którym górę zaczęły brać coraz bardziej umiarkowane nastroje, szykował wprowadzenie zmian do kilku ustaw uchwalonych po 11 września. Rosło poparcie dla liberalizowania pewnych obostrzeń i rygorów, rządowa administracja szykowała się więc do walki. Wczoraj kilku wysoko postawionych oficjeli odbyło rozmowy przy niedzielnym stoliku, otwarcie oskarżając krytyków, a poranne dzienniki opublikowały dziś relacje, którymi nakarmiła je machina zajmująca się kontaktami rządu z opinią publiczną. Stephanie wezwano z Atlanty, żeby pomogła w lobbowaniu kilku liczących się senatorów. Wieczorne spotkanie było, o czym doskonale wiedziała, próbą wyciągnięcia z niej argumentów, jakimi zamierzała się posłużyć.

Nienawidziła polityki.

Służyła krajowi za kadencji trzech prezydentów, pracując w Departamencie Sprawiedliwości. Obecna administracja była jednak, bez dwóch zdań, najtrudniejsza do ugłaskania. Ulokowany zdecydowanie na prawo od centrum i każdego dnia dryfujący dalej w tę właśnie stronę prezydent już zdołał zapewnić sobie drugą kadencję. Zostały mu jeszcze trzy lata urzędowania, zastanawiał się więc nad tym, co po nim zostanie. A nie potrafił wymyślić lepszego epitafium niż „człowiek, który zdusił terroryzm".

Wszystko to dla niej nie znaczyło absolutnie nic.

Prezydenci przychodzili i odchodzili.

Ponieważ konkretne przepisy dotyczące zwalczania terroryzmu były obecnie zagrożone złagodzeniem, zapewniła doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego, że będzie dobrą dziewczynką i obwieści rankiem wszystkie właściwe prawdy na posiedzeniu Kongresu.

Lecz działo się to, zanim się dowiedziała o uprowadzeniu syna Cottona Malone'a.

Telefon w gabinecie Thorvaldsena zadzwonił z jazgotem, który działał Cottonowi na nerwy.

Henrik podniósł słuchawkę.

– Miło cię słyszeć, Stephanie. Ja również przesyłam całusy. – Duńczyk roześmiał się z własnego żartu. – Tak. Cotton jest obok.

Malone chwycił słuchawkę.

– Mów, co wiesz.

– Gdzieś w okolicach Święta Pracy zauważyliśmy włamanie do naszego systemu, które nastąpiło wcześniej. Ktoś zdołał przejrzeć zawartość naszych zabezpieczonych plików, szczególnie jednego.

Wiedział, o który plik chodzi.

– Czy rozumiesz, że zatrzymanie tych informacji grozi zabiciem mojego syna?

Po drugiej stronie telefonicznego łącza zapadła cisza.

– Odpowiedz mi, do jasnej cholery!

– Nie mogę, Cotton. I wiesz dlaczego. Powiedz mi tylko, co chcesz zrobić.

Wiedział, co tak naprawdę oznaczało to pytanie. Czy zamierzał powiedzieć na głos przez telefon słowa „aleksandryjskie ogniwo"?

– Czy muszę cokolwiek robić?

– Jesteś jedyną osobą, która może odpowiedzieć na to pytanie.

– Czy to coś jest rzeczywiście warte narażania życia mojego syna? Muszę zrozumieć całą tę historię. To, czego mi nie powiedziano pięć lat temu.

– Też chciałabym to wiedzieć – wyznała Stephanie. – Mnie również nie wtajemniczono.

Już kiedyś słyszał to zdanie.

– Przestań grać ze mną w te swoje gierki. Nie jestem w nastroju.

– W tej kwestii jestem zupełnie szczera. Niczego mi nie powiedzieli. Poprosiłeś o zgodę na zajęcie się tą sprawą, ja zaś dostałam zielone światło. Skontaktowałam się z prokuratorem generalnym, powinnam więc teraz otrzymać odpowiedź.

– Jakim cudem ktokolwiek wiedział o istnieniu ogniwa? Cała sprawa była tajna na wyższym szczeblu niż ten, jaki zajmowałaś. Taka była zresztą umowa.

Dobre pytanie.

– Wciąż jeszcze nie powiedziałaś, dlaczego nie poinformowałaś mnie o włamaniu?

– Zgadza się, Cotton, nie poinformowałam cię o tym zdarzeniu.

– Czy nigdy nie przyszła ci do głowy myśl, że byłem jedynym człowiekiem na ziemi, który wie coś o ogniwie? Nie byłaś w stanie połączyć z sobą tych faktów?

– Jak mogłam przewidzieć to wszystko?

– Ponieważ możesz się poszczycić dwudziestoletnim doświadczeniem w branży. Ponieważ nie jesteś kretynką. Ponieważ... – Żal i pretensje płynęły teraz szerokim strumieniem. – Twoja głupota może kosztować życie mojego syna.

– Jestem tego świadoma, Cotton.

Nie miał zamiaru popuścić ani na jotę.

– Czyżby? Naprawdę mi ulżyło.

– Zamierzam zająć się tą sprawą tutaj. Ale mogę ci coś zaproponować. Mam agenta w Szwecji, który może znaleźć się rankiem w Danii. On wszystko ci wyjaśni.

– Gdzie i kiedy?

– Zasugerował Kronborg Slot. Jedenasta przed południem.

Znał to miejsce. Niezbyt odległe od domu Henrika, położone na skrawku lądu wychodzącym na cieśninę Sund. Szekspir uwiecznił tę

monstrualną twierdzę, umieszczając w niej akcję *Hamleta*. Dziś była to popularna atrakcja turystyczna Skandynawii.

– Optował za salą balową. Zakładam, że wiesz, gdzie to jest?

– Będę tam.

– Cotton. Zamierzam zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby ci pomóc.

– Co zresztą stanowi minimum tego, co powinnaś zrobić, uwzględniając zaistniałe okoliczności.

Odłożył słuchawkę.

SIEDEM

WASZYNGTON
WTOREK, 4 PAŹDZIERNIKA
GODZINA 4.00

Stephanie weszła do domu O. Brenta Greena, prokuratora generalnego Stanów Zjednoczonych. Przed chwilą dojechała służbowym samochodem do Georgetown. Wcześniej, przed północą, zadzwoniła do Greena i poprosiła o spotkanie twarzą w twarz, zwięźle relacjonując mu, co się wydarzyło. Green chciał mieć trochę czasu, żeby sprawę zbadać, ona zaś nie miała wyboru i musiała to zaakceptować.

Green czekał w gabinecie.

Służył prezydentowi przez całą jego pierwszą kadencję i był jednym z niewielu członków gabinetu, którzy zgodzili się pozostać na następną. Był znanym orędownikiem zasad chrześcijańskich i konserwatyzmu – kawaler z Nowej Anglii, bez choćby śladu skandalu przy nazwisku, który nawet o tak wczesnej porze emanował wigorem. Jego włosy i kozia bródka były pieczołowicie przystrzyżone i dokładnie wyszczotkowane. Pokaźną sylwetkę wbił w markowy prążkowany garnitur. Zasiadał w Kongresie przez sześć kadencji i był gubernatorem stanu Vermont, kiedy prezydent ściągnął go do Departamentu Sprawiedliwości. Szczerość wypowiedzi i bezpośrednie podejście zapewniły mu popularność wśród obu stron politycznej układanki, pełna dystansu osobowość zdawała się jednak przeszkodą w awansowaniu na szczeblach kariery państwowej wyżej niż na stanowisko prokuratora generalnego.

Stephanie Nelle nigdy wcześniej nie była w domu Greena i spodziewała się zobaczyć posępny, pozbawiony wyobraźni wystrój, coś zbliżonego do charakteru jego właściciela. Zamiast tego ujrzała ciepłe i przytulne pokoje – dużo sjeny, szarych brązów, bladej zieleni, a także odcienie rdzawej czerwieni i barwy pomarańczowej – „efekt hemingwayowski”, jak to określała pewna sieć meblowa z Atlanty w swoich reklamówkach.

– Ta sprawa jest niezwykła, nawet jak dla ciebie, Stephanie – powiedział Green na powitanie. – Jakieś wieści od Malone’a?

– Odpoczywał przed wyjazdem do Kronborg Slot. Biorąc pod uwagę różnicę czasu, powinien być już w drodze.

Zaproponował jej, żeby usiadła.

– Ta sprawa wydaje się coraz bardziej gmatwać.

– Brent, rozmawialiśmy już o tym. Jakaś grupa dostała się do chronionej bazy danych. Wiemy, że pliki z danymi o aleksandryjskim ogniwie zostały skopiowane.

– FBI prowadzi śledztwo.

– To farsa. Dyrektor siedzi tak głęboko w dupie prezydenta, że nie ma możliwości, żeby postawili zarzuty komukolwiek z Białego Domu.

– Barwnie, jak zawsze, ale i trafnie. Niestety jest to jedyna możliwa dla nas procedura.

– Moglibyśmy przyjrzeć się temu bliżej.

– To nie przyniosłoby niczego oprócz problemów.

– Do czego jestem przyzwyczajona.

Green się uśmiechnął.

– Owszem, jesteś – zauważył. – Zastanawiam się, jak dużo wiesz o tym ogniwie?

– Kiedy wysłałam Cottona do akcji pięć lat temu, uzgodniliśmy, że nie muszę wszystkiego wiedzieć. Nic niezwykłego. Często mam do czynienia z takimi sprawami, więc się nie martwiłam. Ale teraz muszę wiedzieć.

Na twarzy Greena pojawił się wyraz niepokoju.

– Prawdopodobnie złamię sporo przepisów prawa federalnego, ale się zgadzam. Nadeszła pora, żebyś i ty wiedziała.

Malone przyglądał się kamiennej elewacji Kronborg Slot. Niegdyś działa warownego zamku wycelowane były w obce statki, które chcąc przepłynąć przez wąskie cieśniny prowadzące do Morza Bałtyckiego, musiały wcześniej mytem zasilić duński skarb. Teraz mury barwy kremowego beżu

prezentowały się ponuro na tle czystego lazurowego nieba. Niebędąca już fortecą budowla stanowiła tylko przykład skandynawskiego renesansu – z ośmiokątnymi wieżami, spiczastymi iglicami, a także dachami z pokrytej śniedzią miedzi, które bardziej przywodziły na myśl Holandię niż Danię. Co było zrozumiałe, ponieważ Malone wiedział, że w przebudowie zamku uczestniczył holenderski architekt, żyjący pod koniec szesnastego stulecia. Lubił to miejsce. Publiczne przestrzenie zawsze najskuteczniej chroniły przed niepożądanymi oczyma. Używał wielu z nich podczas służby w biurze Magellan Billet.

Jazda na północ od Christiangade zabrała tylko piętnaście minut, posiadłość Thorvaldsena znajdowała się bowiem w połowie drogi między Kopenhagą a Helsingør, tętniącym życiem miasteczkiem portowym przylegającym do zamku. Malone odwiedził zarówno zamek Kronborg, jak i miasteczko Helsingør, przemierzając pobliskie plaże w poszukiwaniu bursztynu – co było relaksującym sposobem na spędzenie niejednego niedzielnego popołudnia. Dzisiejsza wizyta miała inny charakter. Był spięty. Gotowy do walki.

– Na co czekamy? – zapytała Pam, z twarzą jak maska.

Został niemal zmuszony do zabrania Pam z sobą. Nalegała niezwykle silnie, grożąc, że narobi kłopotów, jeśli ją zostawi. Mógł jednak zrozumieć niechęć byłej żony do bezczynnego czekania u boku Thorvaldsena. Napięcie i monotonia stanowiły wybuchową mieszankę.

– Nasz człowiek powiedział, że zjawi się o jedenastej – zauważył.

– Straciliśmy już wystarczająco dużo czasu.

– Nic, co do tej pory zrobiliśmy, nie było stratą czasu.

Po nawiązaniu kontaktu ze Stephanie udało mu się przespać kilka godzin. Na wpół przytomny nie byłby przydatny do niczego. Zmienił również ubranie na zapasowe z plecaka. Jesper wyczyścił ubiór Pam. Zjedli skromne śniadanie.

Był zatem gotowy.

Sprawdził godzinę – była 10.20 rano.

Samochody zaczynały wypełniać miejsca parkingowe. Wkrótce przyjadą autokary. Każdy chce zobaczyć zamek Hamleta.

Obchodziło go to tyle, co zeszłoroczny śnieg.

– Chodźmy.

– Ogniwo jest osobą – powiedział Green. – Nazwisko tego człowieka brzmi George Haddad. To palestyński badacz biblijny.

Stephanie znała to nazwisko. Haddad był osobistym znajomym Malone’a, a przed pięcioma laty poprosił go o pomoc.

– Co ma taką wartość, że sprawcy postawili na szali życie Gary’ego Malone’a?

– Zaginiona Biblioteka Aleksandryjska.

– Nie mówisz tego serio!

Green skinął przytakująco głową.

– Haddad doszedł do przekonania, że ją odnalazł.

– Jaki to może mieć związek z tym, co dzieje się teraz?

– Wygląda na to, że może. Ta biblioteka była największą skarbnicą wiedzy na naszej planecie. Przetrwała sześćset lat, do połowy siódmego wieku, kiedy to Arabowie w końcu zdobyli Aleksandrię i zniszczyli wszystko, co nie było zgodne z duchem islamu. Pół miliona zwojów, kodeksów, map. Wymień dowolny tytuł starożytnego dzieła, a okaże się, że jego egzemplarz znajdował się w zbiorach Biblioteki Aleksandryjskiej. A dziś? Nikomu nie udało się odnaleźć nawet jednej stronicy.

– Ale Haddad zdołał tego dokonać?

– Tak przynajmniej sugerował. Pracował nad pewną teorią dotyczącą Biblii. Nie wiem, co to było, dowód jego teorii miał się jednak znajdować w zaginionej bibliotece.

– Skąd mógł to wiedzieć?

– Znów nie wiem, Stephanie. Jednak pięć lat temu, gdy nasi ludzie na Zachodnim Brzegu Jordanu, na Synaju czy w Jerozolimie złożyli prośby o wizy, dostęp do archiwów i do wykopalisk archeologicznych, Izraelczycy wpadli w furię. Wtedy to Haddad poprosił Malone’a o pomoc.

– Udział w misji na ślepo, która mi się nie podobała.

Na ślepo oznaczało, że Malone miał chronić Haddada, lecz nie wolno mu było zadawać żadnych pytań. Przypomniała sobie, że Malone’owi także nie spodobał się ten warunek.

– Haddad – stwierdził Green – ufał tylko Malone’owi. Dlatego też Malone w końcu ukrył go gdzieś i dziś jest jedyną osobą, która zna miejsce jego pobytu. Widocznie administracji nie przeszkadzało ukrycie Haddada dopóty, dopóki znali do niego drogę.

– Po co?

Green potrząsnął głową.

– To nie ma większego sensu. Jest jednak pewna wskazówka dotycząca tego, o co może chodzić.

Stephanie spojrzała z zainteresowaniem na Greena.

– W jednym z raportów zauważyłem zapisane na marginesie słowa z Księgi Rodzaju, dwa wersy z rozdziału trzynastego. Pamiętasz je?

– Moja znajomość Biblii nie jest aż tak dobra.

– Brzmi to tak: «Pan rzekł do Abrama: „Spójrz przed siebie i rozejrzyj się z tego miejsca, na którym stoisz, na północ i na południe, na wschód i ku morzu; cały ten kraj, który widzisz, daję tobie i twemu potomstwu na zawsze”».

Znała te słowa. Przymierze, które na wieki stanowiło biblijne potwierdzenie roszczeń Żydów do Ziemi Świętej.

– Abram zwinął swój namiot i później żył na nizinie Mamre, gdzie zbudował ołtarz dla Pana – podjął wątek Green. – Mamre to Hebron, dziś West Bank, ziemia, którą Bóg dał Izraelitom. Abram stał się Abrahamem. I ten krótki biblijny ustęp stanowi jądro wszystkich sporów i waśni na Bliskim Wschodzie.

To też wiedziała. Konflikt na Bliskim Wschodzie, między Żydami i Arabami, nie był wojną polityczną, jak wielu się wydawało. W rzeczywistości była to niekończąca się rywalizacja o Słowo Boże.

– Jest też inny interesujący fakt – dodał Green. – Wkrótce po tym, jak Malone ukrył Haddada, Saudyjczycy wysłali buldożery do zachodniej części Półwyspu Arabskiego i starli z powierzchni ziemi całe osady. Akcja trwała trzy tygodnie. Mieszkańców przesiedlono. Budynki zrównano z ziemią. Z tych miasteczek nie pozostało nic, nawet kamień na kamieniu. Oczywiście jest to zamknięta część kraju, nie było więc reakcji ze strony prasy, nikogo to nie interesowało.

– Dlaczego to zrobili? Jest to dość radykalne nawet jak na Saudyjczyków.

– Nikt nigdy nie wymyślił dobrego wyjaśnienia. Przeprowadzili to jednak rozmyślnie i z premedytacją.

– Musimy dowiedzieć się więcej, Brent. Cotton potrzebuje faktów. Musi podjąć decyzję.

– Godzinę temu próbowałem wyciągnąć coś od doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego. Co ciekawe, wie mniej o tym człowieku niż ja. Słyszał o ogniwie, ale zasugerował, żebym porozmawiał z kim innym.

Wiedziała z kim.

– Larry Daley.

Lawrence Daley pełnił funkcję zastępcy doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego, był blisko prezydenta i wiceprezydenta. Daley nigdy nie pojawił się w żadnym programie typu talk-show, emitowanym w niedzielne poranki. Nie sposób było również zobaczyć go w stacjach CNN czy Fox News. Był zakulisowym pośrednikiem. Kanałem, który łączył wyższe szczeble Białego Domu z resztą politycznego świata.

Wiązał się z nim jednak pewien problem.

– Nie ufam temu człowiekowi – oznajmiła Stephanie.

Green zdawał się rozumieć, co poza tym oznaczał jej ton, ale nie powiedział nic więcej i wpatrywał się w nią swoimi przenikliwymi szarymi oczami.

– Nie mamy żadnej kontroli nad Cottonem – wyjaśniła. – Zrobi to, co będzie musiał. A w tej chwili działa pod wpływem negatywnych i gwałtownych emocji.

– Cotton jest profesjonalistą.

– Sprawy mają się inaczej, kiedy ktoś z twoich bliskich jest zagrożony. – Mówiła to na podstawie własnego doświadczenia, zmagała się bowiem całkiem niedawno z upiorami własnej przeszłości.

– Tylko on wie, gdzie jest Haddad – stwierdził Green. – Ma wszystkie karty w ręku.

– Co jest właśnie powodem, dla którego oni przycisnęli go do ściany.

Green nie spuszczał z niej wzroku.

Wiedziała, że podejrzliwość, której nie mogła się pozbyć ze spojrzenia, zdradzała trapiącą ją rozterkę.

– Powiedz mi, Stephanie, dlaczego mi nie ufasz?

OSIEM

OXFORDSHIRE, ANGLIA
GODZINA 9.00

George Haddad stał w tłumie i słuchał ekspertów, wiedząc, że są w błędzie. To spotkanie nie było niczym więcej, jak tylko sposobem na zwrócenie uwagi mediów na Muzeum Thomasa Bainbridge'a oraz na niecieszących się większym uznaniem kryptologów z Bletchley Park. Rzeczywiście, ci anonimowi mężczyźni i kobiety pracowali w pełnej dyskrecji podczas drugiej wojny światowej, doprowadzając do złamania szyfru niemieckiej maszyny kodującej Enigma i przyspieszając tym samym zwycięski koniec wojny. Niestety, ich historii nie opowiadano w całości, dopóki nie umarli lub też do czasu, gdy byli już zbyt starzy, żeby się tym przejmować. Haddad rozumiał ich frustrację, zbliżał się bowiem do osiemdziesiątki, parał się dociekaniem prawdy, a był okres, kiedy pracował w pełnej dyskrecji.

On także dokonał niegdyś epokowego odkrycia.

Na dobrą sprawę nikt nie znał go teraz pod nazwiskiem George Haddad. Prawdę mówiąc, używał w życiu zbyt wielu przybranych nazwisk, żeby wszystkie spamiętać. Od pięciu lat prowadził zakonspirowaną egzystencję i nie kontaktował się z nikim. Z jednej strony miało to niewątpliwe zalety, z drugiej jednak – milczenie zamieniło jego nerwy w strzępy. Dzięki Bogu tylko jeden człowiek dysponował wiedzą, że on wciąż pozostaje między żywymi. Haddad ufał tej osobie bezgranicznie.

Gdyby nie ten człowiek, on sam już by nie żył.

Jego pojawienie się dzisiaj na forum publicznym było ryzykowne, pragnął jednak usłyszeć, co tak zwani eksperci mieli do powiedzenia. Czytał o tym programie w „The Times" i musiał docenić Brytyjczyków. Mieli prawdziwy zmysł organizowania wydarzeń medialnych. Scenę zaaranżowano jak do hollywoodzkiego filmu. Mnóstwo uśmiechniętych twarzy i garniturów, wiele kamer i innych urządzeń rejestrujących. Tak

więc musiał trzymać się z tyłu za ich obiektywami. Co nie było trudne, zważywszy, że uwaga wszystkich skupiała się na pomniku.

W ogrodach posiadłości stało ich łącznie osiem – zostały rozmieszczone w różnych miejscach, wszystkie były jednak dziełem ówczesnego właściciela, hrabiego Thomasa Bainbridge’a. Haddad znał historię tej rodziny. Ród Bainbridge’ów kupił w 1624 roku posesję ukrytą pośród wzgórz Oxfordshire i otoczoną lasami bukowymi, wznosząc pośrodku, na powierzchni blisko dwustu pięćdziesięciu hektarów, ogromną jakobicką rezydencję. Kolejni przedstawiciele rodu Bainbridge’ów zdołali utrzymać własność do 1848 roku, kiedy to brytyjska korona przejęła prawa do ziemi w publicznej licytacji za długi i królowa Wiktoria otworzyła tutaj muzeum. Od tamtej pory zwiedzający przybywali do rezydencji zobaczyć dawne umeblowanie, a także posmakować odrobiny życia w luksusie sprzed kilku wieków. Biblioteka muzeum została uznana za jeden z najlepszych osiemnastowiecznych księgozbiorów, ale w ostatnich latach większość przybyszy odwiedzała posiadłość z powodu ogrodowej budowli, ponieważ Bainbridge Hall krył zagadkę, a turyści z XXI wieku uwielbiają wszelkie sekrety.

Haddad przyglądał się altanie wzniesionej z białego marmuru.

Na górze, jak wiedział, znajdowała się replika obrazu zatytułowanego *Les Bergers d’Arcadie II*, czyli *Pasterze Arkadii II*, drugorzędnej pracy pędzla Nicolasa Poussina z 1640 roku, będącej lustrzanym odbiciem jego wcześniejszego dzieła *Pasterze Arkadii*. Sielankowa scena przedstawia kobietę patrzącą na trzech pasterzy zgromadzonych wokół kamiennego grobu i wskazujących na wygrawerowany na nim napis ET IN ARCADIA EGO. Haddad znał tłumaczenie napisu. „I w Arkadii ja”. Enigmatyczne, nie do końca sensowne stwierdzenie. Poniżej wyłaniało się następne wyzwanie. Przypadkowo zestawione litery, wyryte dłutem w kamiennej płycie.

D O.V.O.S.V.A.V.V. M

Haddad wiedział, że zwolennicy ideologii New Age i wyznawcy spiskowej teorii dziejów pracowali nad rozwiązaniem tej łamigłówki przez lata, od kiedy tylko zwrócił na nią uwagę dziennikarz „Guardiana”, który przypadkiem odwiedził to muzeum.

– Zwracam się do wszystkich zgromadzonych – przemówił do mikrofonów wysoki i korpulentny człowiek. – My, pracownicy Bainbridge Hall, serdecznie was witamy. Być może wreszcie poznamy znaczenie wiadomości, którą Thomas Bainbridge pozostawił na tej płycie z kamienia ponad dwieście lat temu.

Haddad wiedział, że mówca jest kustoszem muzeum. Stały przy nim dwie osoby w podeszłym wieku – mężczyzna i kobieta. Widział ich zdjęcia w „The Sunday Times". Oboje byli wcześniej kryptologami zatrudnionymi w Bletchley Park. Ich zadaniem było rozważanie możliwych wariantów i odczytanie kodu, który prawdopodobnie widniał na płycie w ogrodowej altanie. Panowała powszechna zgoda, że budowla stanowiła zaszyfrowany przekaz.

„Czym innym mogłaby bowiem być?" – pytano.

Haddad słuchał, jak kustosz opowiadał o zamieszczeniu ogłoszenia zachęcającego do podjęcia próby odczytania tajemniczego przekazu z kamiennej tablicy oraz o tym, jak różni kryptografowie, teologowie, lingwiści i historycy przedstawili sto trzydzieści propozycji rozwiązań.

– Niektóre były dosyć dziwaczne – przyznał kustosz – dotyczyły bowiem między innymi UFO, świętego Graala czy też przepowiedni Nostradamusa. Oczywiście te propozycje nie były w ogóle poparte dowodami lub miały niezbyt przekonujące podstawy źródłowe, dlatego szybko o nich zapominano. Część badaczy sądziła, że litery są anagramem, ale w słowach, jakie proponowali, trudno było doszukać się sensu.

W oczach Haddada było to całkowicie zrozumiałe.

– Jedno obiecujące rozwiązanie nadesłał emerytowany amerykański specjalista od łamania kodów. Sporządził osiemdziesiąt dwie matryce deszyfrujące, żeby w końcu z sekwencji wydobyć litery SEJ. Po odwróceniu uzyskał JES. Zastosowawszy skomplikowany szablon, otrzymał rozwiązanie „Jezus H sprzeciw". Nasi konsultanci z Bletchley Park uznali, że jest to przekaz sugerujący nieboską naturę Chrystusa. Ta propozycja jest co najmniej wątpliwa, ale przecież intrygująca.

Haddad uśmiechnął się, słysząc taki nonsens. Thomas Bainbridge był człowiekiem głęboko religijnym. Nie negowałby istnienia Chrystusa.

Stojąca obok kustosza starsza kobieta wstąpiła na podium. Miała siwe włosy i nosiła jasnoniebieską garsonkę.

– Ta budowla otworzyła przed nami wielkie możliwości – powiedziała melodyjnym głosem. – Kiedy wraz z kolegami pracowaliśmy w Bletchley, stawaliśmy przed wieloma wyzwaniami, jakie niosły z sobą niemieckie kody Enigmy. Trudno je było rozgryźć. Jeśli jednak ludzki umysł potrafi ułożyć szyfr, to potrafi go również złamać. Ten przekaz literowy jest bardziej złożony. Ma osobisty kontekst, przez co interpretacja staje się skomplikowana. My, a więc osoby, które zaangażowano do przestudiowania stu trzydziestu nadesłanych rozwiązań tej zagadki, nie mogliśmy dojść do jednoznacznego wniosku. Tak jak opinia publiczna, my również byliśmy podzieleni. Ale jedna propozycja wydaje się prawdopodobna. – Odwróciła się i wskazała ręką marmurową altanę za sobą. – Myślę, że jest to liścik miłosny.

Zrobiła pauzę, najwyraźniej pozwalając słowom, żeby zadomowiły się w świadomości wszystkich zgromadzonych.

– OVOSVAVV oznacza *Optimae Uxoris Optimae Sororis Viduus Amantissimus Vovit Vitrutibus*. Można to przetłumaczyć mniej więcej następująco: Wierny wdowiec oddany najlepszej z żon i najlepszej z sióstr. Nie jest to idealny przekład. Słowo *sororis* w klasycznej łacinie może znaczyć zarówno „z towarzyszy”, jak i „z sióstr”. Ponadto słowo *vir* – „mąż”, byłoby lepsze niż *viduus*, czyli „wdowiec”. Mimo to znaczenie jest jasne i klarowne.

Jeden z reporterów zapytał o litery D i M, które znajdowały się po obu stronach najważniejszych ośmiu liter.

– To dość proste – odpowiedziała pani kryptolog. – *Dis Manibus*. Rzymski napis oznaczający: O, bogowie Podziemi, witajcie. Zbliżone do współczesnego: Niech spoczywa w pokoju. Litery te można znaleźć na większości rzymskich grobowców.

Kobieta zdawała się zadowolona z siebie. Haddad odczuwał pokusę zadania kilku trafnych pytań, które zniszczyłyby jej intelektualne bzdury, nic jednak nie powiedział. Po prostu patrzył, jak dwoje weteranów z Bletchley Park obfotografowywano przed marmurową altaną razem z jedną z niemieckich maszyn Enigma, specjalnie wypożyczoną na tę okazję. Mnóstwo uśmiechów, pytań oraz pochwalnych komentarzy.

Thomas Bainbridge był rzeczywiście błyskotliwym człowiekiem. Niestety nigdy nie potrafił efektownie przekazać swoich myśli, przez co jego błyskotliwość podupadła, aby w końcu zniknąć niedoceniona. Przez

osiemnastowieczne umysły był postrzegany jako fanatyk. W oczach Haddada był jednak prorokiem. Bainbridge o czymś wiedział. A ta osobliwa budowla, która stała przed nim, odwrócony wizerunek zapomnianego obrazu oraz tajemnicze zestawienie dziesięciu liter zostały stworzone z jakiegoś powodu.

Jedno Haddad wiedział z całą pewnością.

Nie był to liścik miłosny, nie był to żaden kod, nie była to także zakodowana wiadomość.

Było to coś zupełnie innego.

Mapa.

DZIEWIĘĆ

KRONBORG SLOT
GODZINA 10.20

Malone zapłacił 60 koron za siebie i Pam za bilety uprawniające do wejścia na zamek. Podążali za grupą, która wysiadła z jednego z trzech autobusów.

Wewnątrz przywitała ich wystawa fotografii, dokumentująca pracę filmowców nad licznymi ekranizacjami *Hamleta*. Malone pomyślał o ironii losu związanej z tym miejscem. Hamlet był synem, który mścił własnego ojca, a teraz on przybył tutaj jako ojciec, żeby walczyć o życie swojego syna. Jego serca nie opuszczał ból z powodu Gary'ego. Nigdy nie starał się ściągnąć na niego najmniejszego nawet niebezpieczeństwa, a przez dwanaście lat, jakie przepracował w biurze Magellan Billet, zawsze oddzielał grubą kreską pracę od życia prywatnego i domu. Teraz jednak, rok po tym, gdy dobrowolnie odszedł z agencji, jego syn został porwany.

– To zazwyczaj robiłeś przez cały ten czas? – zapytała Pam.

– Częściowo.

– Jak mogłeś tak żyć? Wciąż zbiera mi się na mdłości. Trzęsę się jeszcze od ostatniej nocy.

– Przyzwyczaisz się. – Mówił to szczerze, chociaż już od dawna miał serdecznie dosyć kłamstw, półprawd, nieprawdopodobnych faktów i zdrajców.

– Potrzebowałeś tej podniety, czyż nie?

Czuł zmęczenie w każdej komórce swojego ciała i nie był w nastroju na kolejną dobrze znaną potyczkę.

– Nie, Pam. Nie potrzebowałem tego. Taka była moja praca.

– Samolubny. Taki właśnie byłeś. Zawsze.

– Ty za to byłaś kryształowym człowiekiem. Wspierająca żona, która zawsze stała przy boku męża. Tak bardzo, że zaszłaś w ciążę z innym mężczyzną, miałaś syna i pozwoliłaś mi przez piętnaście lat myśleć, że jest moim dzieckiem.

– Nie jestem dumna z tego, co zrobiłam. Nie wiemy jednak, ile twoich kobiet zaszło w ciążę, prawda?

Zatrzymał się. To się musiało skończyć.

– Jeśli się nie zamkniesz, Gary umrze. Jestem jego jedyną nadzieją i granie mi teraz na nerwach może zniechęcić mnie do działania.

Ta prawda wywołała na moment błysk zrozumienia w jej rozgoryczonych oczach i wtedy pojawiła się Pam Malone, jaką kiedyś kochał. Pragnął, żeby ta kobieta została dłużej, lecz jak zawsze szybko wzięła się w karby i po chwili pozbawione wigoru i życia oczy znów patrzyły na Malone’a.

– Prowadź – powiedziała.

Weszli do sali balowej.

Prostokątne pomieszczenie miało blisko sześćdziesiąt metrów długości. Po obu stronach znajdowały się okna, każde z nich osadzone głęboko w kamiennych niszach, wpuszczając niewyraźne światło, które rzucało łagodny czar na szachownicę podłogi. Kilkunastu zwiedzających przemieszczało się bezładnie, podziwiając ogromne obrazy olejne, przedstawiające głównie sceny bitewne, jakie zdobiły bladożółte mury.

Na drugim końcu sali, przed kominkiem, Malone dostrzegł niskiego, szczupłego mężczyznę z włosami koloru czerwonawego brązu. Pamiętał go z czasów pracy w Magellan Billet. Lee Durant. Rozmawiał z Durantem kilka razy w Atlancie. Agent pochwycił jego spojrzenie, po czym zniknął za drzwiami.

Cotton i Pam ruszyli w poprzek sali.

Przeszli przez kilka skąpo ozdobionych komnat, z umeblowaniem i gobelinami w stylu europejskiego renesansu. Durant trzymał się z przodu, zachowując dystans około piętnastu metrów.

W pewnej chwili agent zatrzymał się.

Malone i Pam weszli do pokoju zwanego Komnatą Narożną. Gobeliny ze scenami polowań ozdabiały białe ściany. Tylko kilka mebli wyróżniało się na tle monotonnej podłogi wyłożonej biało-czarną terakotą.

Malone uścisnął dłoń Duranta i przedstawił Pam.

– Powiedz mi, co się dzieje.

– Stephanie kazała mi poinformować ciebie, nie ją.

– Ja również bardzo bym chciał, żeby jej tu nie było, ale skoro już jest, olej to.

Durant zdawał się oceniać sytuację.

– Kazano mi również robić wszystko, o co poprosisz – rzekł po chwili.

– Miło słyszeć, że Stephanie jest taka uczynna.

– Do rzeczy – wtrąciła Pam. – Jesteśmy pod presją czasu.

Malone pokręcił głową.

– Ignoruj ją. Powiedz, co się dzieje.

– Uzyskano dostęp do naszych chronionych plików. Żadnego śladu działań hakera czy złamania kodu, musiano więc użyć hasła. Jest zmieniane w regularnych odstępach czasu, ale kilkaset osób ma do niego dostęp.

– Żadnych poszlak dotyczących konkretnego komputera?

– Zero. Brak również jakichkolwiek odcisków palców. Co świadczy o tym, że ktokolwiek to zrobił, wiedział, co czyni.

– Przypuszczam, że ktoś prowadzi dochodzenie.

Durant kiwnął głową.

– Agenci FBI, ale do niczego nie doszli. Otworzono około tuzina plików, a jednym z nich było „aleksandryjskie ogniwo”.

„Co mogło być powodem, dla którego Stephanie nie zaalarmowała go od razu. Były inne możliwości wytłumaczenia celu włamania” – pomyślał Malone.

– Najciekawsze w tym wszystkim jest to, że Izraelczycy są teraz wyjątkowo wrażliwi i drażliwi, szczególnie można to było odczuć przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny. Nasze źródła podają, że wczoraj przejęto informację z Zachodniego Brzegu Jordanu od jednego z ich palestyńskich informatorów.

– Co to ma wspólnego z naszą sprawą?

– Padły słowa „aleksandryjskie ogniwo”.

– Jak dużo wiesz?

– Usłyszałem to godzinę temu od jednego z moich informatorów. Nawet jeszcze nie złożyłem pełnego raportu Stephanie.

– W czym to ma pomóc? – zapytała Pam.

– Muszę wiedzieć więcej – Malone zwrócił się do Duranta.

– Spytałam o coś – nalegała głośniej Pam.

Grzeczność Malone’a się wyczerpała.

– Kazałem ci zostawić to mnie!

– Nie zamierzasz przecież dawać im niczego, prawda? – Jej oczy rozżarzyły się i znów była gotowa rzucić się na niego z pięściami.

– Chcę odzyskać Gary’ego.

– Zamierzasz ryzykować jego życiem? Wszystko po to, żeby chronić jakiś cholerny plik?

Grupa turystów uzbrojona w kamery weszła do komnaty. Zobaczył, że Pam roztropnie zamilkła, i był wdzięczny za przerwanie szarży. Zabranie jej było oczywistym błędem. Będzie musiał pozbyć się tego balastu, gdy tylko opuszczą Kronborg, nawet gdyby wymagało to zamknięcia jej w jednym z pokoi w rezydencji Thorvaldsena.

Zwiedzający wyszli.

Spojrzał na Duranta i ponaglił go.

– Powiedz mi więcej o...

Wystraszył go nagły wystrzał, po czym kamera zamontowana pod sufitem wybuchła deszczem iskier. Później rozległy się dwa następne strzały. Durant zatoczył się do tyłu, kiedy plamy krwi pojawiły się na jego oliwkowej koszuli.

Po trzecim strzale Durant upadł na podłogę.

Malone obrócił się gwałtownie.

W odległości sześciu metrów stał człowiek z pistoletem glock w dłoni. Malone wsadził prawą rękę pod kurtkę, żeby znaleźć własną broń.

– Nie ma potrzeby – spokojnie powiedział mężczyzna, po czym rzucił pistolet.

Malone złapał go. Chwycił rękojeść pistoletu, położył palec na spuście, wycelował i nacisnął. W odpowiedzi usłyszał jedynie metaliczne kliknięcie.

Naciskał dalej spust.

Znowu szczęknięcie.

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Chyba nie myślałeś, że dam ci załadowaną broń.

I wybiegł z komnaty.

DZIESIĘĆ

WASZYNGTON
GODZINA 4.40

Stephanie rozważała w myślach pytanie postawione przez Brenta Greena – „Dlaczego mi nie ufasz?” – i zdecydowała, że będzie szczera ze swoim szefem.

– Każdy w tej administracji chce, żebym odeszła. Sama nie wiem, dlaczego wciąż tutaj jestem. Z tego też powodu teraz nie ufam nikomu.

Green pokręcił głową z dezaprobatą wobec jej podejrzliwości.

– Dostęp do tych danych uzyskał ktoś, kto znał hasła – dodała. – Zapewne przejrzał tuzin lub więcej plików, oboje jednak wiemy, który konkretnie go interesował. Tylko kilkoro z nas jest wtajemniczonych w zawartość pliku nazywanego aleksandryjskim ogniwem. Nie znam nawet szczegółów, wiem tylko tyle, że wpadliśmy w spore tarapaty z powodu czegoś pozornie mało znaczącego. Dużo pytań. Żadnych odpowiedzi. Brent, przestań! Ty i ja zawsze darliśmy z sobą koty, dlaczego więc teraz miałabym ci ufać?

– Odpowiem bez owijania w bawełnę – odparł Green. – Nie jestem twoim wrogiem. Gdybym nim był, nie prowadzilibyśmy tej rozmowy.

– Miałam wielu przyjaciół w tej branży, którzy tak mówili. A potem wbijali mi nóż w plecy.

– Tak postępują tylko zdrajcy.

Zdecydowała, że dalej będzie go sprawdzać.

– Nie sądzisz, że powinniśmy poszerzyć krąg podejrzanych?

– FBI prowadzi już śledztwo.

– Brent, działamy po omacku. Musimy się dowiedzieć, co takiego wie George Haddad.

– Nadeszła więc pora, żeby spotkać się z Larrym Daleyem w Białym Domu. Jakąkolwiek ścieżką byśmy poszli, każda prowadzi do niego. Być może również do źródła.

Była tego samego zdania.

Green sięgnął po telefon.

Malone słyszał, jak mężczyzna, który właśnie zamordował Lee Duranta, krzyczał w korytarzu, że w Komnacie Narożnej jest człowiek z pistoletem, który kogoś zastrzelił.

On zaś wciąż trzymał glocka w dłoni.

– Czy Durant nie żyje? – wymamrotała Pam.

Głupie pytanie. Choć paradowanie z narzędziem zbrodni w ręku było jeszcze głupsze.

– Chodźmy stąd!

– Nie możemy go tak zostawić.

– On nie żyje.

Histeria wypełniała jej oczy. Przypomniał sobie sytuację, kiedy sam po raz pierwszy widział czyjąś śmierć, postanowił więc zdobyć się na delikatność.

– Nie powinnaś była tego widzieć. Musimy jednak iść.

Z korytarza dobiegły odgłosy kilku par nóg. „Ochrona” – pomyślał Malone. Złapał dłoń Pam i pociągnął swoją byłą żonę w kierunku przeciwległego końca Komnaty Narożnej, do drugiego wyjścia.

Truchtem mijali kolejne komnaty, urządzone niemal identycznie pojedynczymi meblami i oświetlone bladym światłem poranka. Zauważył więcej kamer i pomyślał, że raczej powinien ich unikać. Wsadził glocka do kieszeni w kurtce i wyjął swoją berettę.

Weszli do pomieszczenia zwanego Komnatą Królowej.

Malone usłyszał w niewielkiej odległości podniesione głosy strażników. Widocznie ciało Duranta zostało znalezione. Coraz więcej osób zbliżało się w ich kierunku.

Komnata Królowej była apartamentem mieszkalnym, z którego prowadziło na zewnątrz troje drzwi – jedne do schodów na górę, drugie do schodów na dół, a trzecie do sąsiedniego pomieszczenia. Żadnej kamery

w zasięgu wzroku. Malone spoglądał na wystrój komnaty, próbując zdecydować, co robić. Duża i ciężka szafa stała przy przeciwległej ścianie.

Zdecydował się zagrać *va banque*.

Pobiegł do szafy i złapał za metalową gałkę podwójnych drzwi. Wnętrze było pojemne i puste. Wystarczająco duże, żeby zmieścili się oboje. Przywołał gestem Pam. Przynajmniej raz podeszła bez komentarza.

– Wchodź do środka – wyszeptał.

Zanim sam tam wszedł, otworzył obie pary drzwi prowadzących na schody. Następnie zamknął szafę od środka na zasuwy, licząc na to, że ścigający ich strażnicy pomyślą, że pobiegli dalej na dół albo na górę zamku.

Stephanie słuchała, jak Brent Green informował Larry’ego Daleya o tym, co się stało. Nie mogła wyjść z podziwu, że ten arogancki dupek po drugiej stronie telefonicznego łącza znał już wszystkie szczegóły, a nawet wiedział więcej.

– Sprawa aleksandryjskiego ogniwa jest mi znana – oznajmił Daley przez słuchawkę.

– Zechcesz powiedzieć nam coś więcej.

– Chciałbym. Ale to ściśle tajne.

– Nawet dla prokuratora generalnego i szefowej jednej z naszych najbardziej elitarnych agencji wywiadowczych?

– Dostępne tylko dla uszu wybranych. Przykro mi, żadne z was się nie kwalifikuje.

– Jak więc ktoś inny zdołał tam zajrzeć? – zapytała Stephanie.

– Jeszcze do tego nie doszłaś?

– Może doszłam.

W pokoju zapadła cisza. Daley najwidoczniej zrozumiał aluzję.

– To nie ja.

– Co jeszcze nam powiesz? – naciskała.

– Licz się ze słowami.

Zignorowała zaczepkę.

– Malone zamierza dać im ogniwo. Nie będzie ryzykował życia syna.

– Trzeba więc będzie go powstrzymać – stwierdził Daley. – My nie zamierzamy przekazywać tego komukolwiek.

Zrozumiała, o co mu chodzi.

– Chcesz je dla siebie, prawda?

– O tak.

Nie mogła uwierzyć w to, co słyszy.

– Stawką może być życie chłopca.

– To nie mój problem – oznajmił beznamiętnie Daley.

Telefon do Daleya okazał się pomyłką i Stephanie widziała, że Green również to zauważył.

– Larry – podjął Green. – Pomóżmy Cottonowi Malone'owi. Nie utrudniajmy mu zadania.

– Brent, to sprawa bezpieczeństwa narodowego, nie misja charytatywna.

– Doprawdy interesujące – powiedziała Stephanie. – Nie jesteś ani trochę zmartwiony tym, że ktoś dostał się do naszych chronionych plików i dowiedział się wszystkiego o tym niezwykle cennym aleksandryjskim ogniwie, domniemanym zagrożeniu dla bezpieczeństwa narodowego.

– Zgłosiłaś to naruszenie ponad miesiąc temu. FBI panuje nad sytuacją. A co ty robisz w tej sprawie, Stephanie?

– Kazano mi nic nie robić. A cóż takiego ty zrobiłeś, Larry?

Przez słuchawkę dało się słyszeć głębokie westchnienie.

– Naprawdę jesteś strasznym wrzodem na tyłku.

– Ale pracuje dla mnie – dał jasno do zrozumienia Green.

– Powiem ci teraz, co ja o tym myślę – podjęła rozmowę Stephanie. – Czymkolwiek jest to ogniwo, w jakiś sposób wiąże się z tym, co wy, geniusze z Białego Domu, zwiecie polityką zagraniczną. Tak naprawdę podoba się wam to, że pliki dostały się w niepowołane ręce i że ktoś zdobył te informacje. Oznacza to, że pozwolicie temu komuś wykonać za was brudną robotę.

– Niekiedy, Stephanie, wrogowie okazują się przyjaciółmi. – Głos Daleya zniżył się do szeptu. – I *vice versa*.

Głos uwiązł jej w gardle. Jej podejrzenia się potwierdziły.

– Zamierzacie poświęcić syna Malone’a w imię dziedzictwa waszego prezydenta?

– Ja tego nie zacząłem – odparł Daley. – Zamierzam jednak z tego skorzystać.

– Nie, jeśli tylko zdołam temu przeszkodzić – dodała z determinacją.

– Zacznij tylko przeszkadzać, a zostaniesz zwolniona. Nie przez ciebie, Brent, lecz przez samego prezydenta.

– To mogłoby być trudne – stwierdził Green.

Wyczuła w jego głosie groźbę.

– Mówisz, że wstawiłbyś się za nią? – zapytał Daley.

– Bez wątpienia.

Wiedziała, że była to groźba, której Daley nie mógł zignorować. Administracja dysponowała środkami do kontrolowania poczynań Greena jako prokuratora generalnego, gdyby jednak złożył dymisję lub został zwolniony, w Białym Domu rozpocząłby się sezon odstrzału. Ze słuchawki nie wydobywał się żaden dźwięk. Wyobrażała sobie, jak Daley siedzi w swoim biurze i głowi się nad nową sytuacją.

– Będę w twoim domu za trzydzieści minut.

– Musimy się spotkać? – zapytał Green.

– Zapewniam cię, że warto będzie poświęcić chwilę.

Usłyszeli trzask odkładanej słuchawki.

Malone stał w szafie i słuchał, jak strażnicy z ochrony muzeum wbiegali do Komnaty Królowej. Pam stała tuż obok niego, co było ich najbliższym kontaktem cielesnym od wielu lat. Emanowała znajomym zapachem, jak słodka wanilia, który kojarzył mu się z mieszaniną radości i cierpienia. Zabawne, jak zapachy pobudzają wyobraźnię.

Wciąż trzymał w dłoni berettę, ale miał nadzieję, że nie będzie musiał jej użyć. Nie miał zamiaru dać się zaaresztować, nie wtedy, kiedy potrzebował go Gary. Z pewnością jednym z powodów zabicia Duranta było zmuszenie Malone’a do działania, choć oznaczało to jednocześnie brak

dostępu do wielu istotnych informacji. Cotton zastanawiał się jednak, skąd ktoś mógł wiedzieć o jego spotkaniu z Durantem. Nie byli śledzeni od Christiangade, tego był pewien. Oznacza to, że telefon Thorvaldsena jest na podsłuchu, a tym samym pozwala wnioskować, że porywacze Gary'ego przewidzieli, że Malone uda się najpierw do Christiangade.

Cotton nie widział Pam, ale wyczuwał, że nie jest specjalnie szczęśliwa. W porównaniu z intymnością, jaką niegdyś dzielili, dziś byli sobie właściwie obcy.

Być może nawet stali się wrogami.

Skupił się na odgłosach z zewnątrz. Kroki stopniowo cichły, aby w końcu utonąć w ciszy. Czekał, trzymając w spoconych dłoniach pistolet.

Cisza się przeciągała.

Nie mógł nic zobaczyć bez uszkodzenia drzwi zabytkowej szafy. To jednak mogło się okazać tragicznym posunięciem, gdyby ktoś z ochrony pozostał w Komnacie Królowej.

Wiedział jednak, że nie może ukrywać się w szafie przez wieczność.

Otworzył drzwi, wychodząc z pistoletem gotowym do strzału.

Komnata Królowej była pusta.

– W dół po schodach – niemal bezgłośnie szepnął do Pam i przez otwarte przejście dotarli do okrągłych schodów, które biegły przy zewnętrznym murze zamku. Kiedy dotarli na parter, znaleźli się przed metalowymi drzwiami. Malone miał nadzieję, że nie są zamknięte.

Zasuwa puściła.

Wyszli na zewnątrz. Szeroki łan lśniącej trawy, po której w bezładzie dreptały łabędzie, rozciągał się od murów zamku aż do morza. Na horyzoncie, sześć kilometrów za szarobrązową wodą, wyłaniała się Szwecja.

Malone schował berettę pod kurtkę.

– Musimy się stąd wydostać – powiedział. – Jednak powoli. Staraj się nie zwracać na siebie uwagi. – Wciąż miała nerwy postrzępione udziałem w scenie zabójstwa, jakiego dokonano na jej oczach.

– Będziesz to widziała jeszcze wiele razy, ale z czasem to minie.

– Troska z twojej strony jest doprawdy wzruszająca. – Z jej głosu znów przebijał raczej wrogi sarkazm.

– Przetraw to więc w sobie. To najprawdopodobniej nie ostatni człowiek, który zginie, zanim sprawa dobiegnie końca.

Poprowadził ją przez szańce, które wychodziły na południową stronę zamku. Kilku zwiedzających kręciło się w pobliżu. Malone i Pam dotarli do miejsca, o którym wiedział, że nazywa się baterią flagową i że niegdyś stały tu działa. Także tutaj Szekspir pozwolił Hamletowi spotkać ducha swojego ojca. Z morza wyrastał mur. Wyrzucił glocka do wzburzonego morza.

Policyjne syreny zawodziły z daleka.

Powoli dotarli do wyjścia. Widząc radiowozy i licznych funkcjonariuszy policji, Malone zdecydował się poczekać, zanim wyjdą poza mury zamku. Uznał za mało prawdopodobne, żeby ktoś podał policji ich rysopis, wątpił też, żeby zabójca pozostał w pobliżu, chcąc pomóc w poszukiwaniach. Z pewnością nie zależało mu na tym, by trafili do aresztu.

Wmieszali się w tłum. Wtem Malone zauważył mężczyznę, który zabił Duranta.

Szedł pięćdziesiąt metrów przed nimi, kierując się ku głównemu wyjściu i próbując nie zwracać na siebie uwagi.

Pam również go zauważyła.

– To on.

– Wiem.

Malone ruszył do przodu.

– Nie rób tego – poprosiła.

– Nie powstrzymasz mnie.

JEDENAŚCIE

WIEDEŃ, AUSTRIA
GODZINA 11.20

Niebieskie Krzesło zastanawiał się, czy krąg podjął właściwą decyzję. Przez osiem lat Klauen des Adlers, Szpony Orła, sumiennie wypełniał przydzielone mu zadania. Co prawda zatrudnili go na mocy wspólnego postanowienia, ale człowiek ten na co dzień działał bezpośrednio pod nadzorem Niebieskiego Krzesła, dzięki czemu Niebieskie Krzesło zdołał poznać Dominicka Sabre'a o wiele lepiej niż reszta.

Sabre był Amerykaninem z krwi i kości, co było sytuacją wyjątkową w dziejach kręgu, wcześniej bowiem zawsze zatrudniano Europejczyków, choć kiedyś dobrze służył im pewien przybysz z Republiki Południowej Afryki. Każdy z tych ludzi, w tym Sabre, został wybrany nie tylko z powodu indywidualnych umiejętności, ale także ze względu na fizyczną przeciętność. Wszyscy byli średniego wzrostu, a rysy ich twarzy niczym się nie wyróżniały. Jedyną cechą szczególną Sabre'a były blizny na twarzy, spowodowane przejściem w dzieciństwie ospy prawdziwej. Czarne włosy zawsze nosił prosto obcięte i posmarowane odrobiną żelu, który dodawał nieco połysku. Policzki często były pokryte kilkudniowym zarostem, zapuszczanym przez Sabre'a po to, jak sądził Niebieskie Krzesło, żeby nie tylko przykryć blizny, ale także oczarowywać osoby kręcące się wokół niego.

Sabre z reguły sprawiał wrażenie człowieka zrelaksowanego. Nosił ubrania rozmiar za duże, maskując przy okazji szczupłą i drobnokościstą, choć muskularną posturę – kolejny powód, żeby być nieustannie lekceważonym.

Sabre musiał jakoś znosić to, że jest tylko najemnikiem, Niebieskie Krzesło dostrzegł zaś poza tym, że Amerykanin wykazuje dość lekceważący stosunek do władzy. Odkrył też jednak, że gdy Sabre dostawał

zlecenie, był informowany o oczekiwanym rezultacie i pozostawiany w spokoju, zawsze spisywał się dobrze.

I to się liczyło.

Zarówno jego, jak i pozostałych członków kręgu nie interesowało, w jaki sposób zadanie zostanie wykonane, najważniejsze, żeby zamierzony cel został osiągnięty. Tak więc współpraca Krzeseł z najemnikiem była owocna. Mimo to człowieka pozbawionego zasad moralnych i respektu wobec przełożonych należało bacznie obserwować.

Szczególnie wtedy, gdy stawka w grze była wysoka.

Tak jak teraz.

Niebieskie Krzesło sięgnął więc po telefon i wybrał numer.

Sabre odebrał komórkę z nadzieją, że dzwoni jego człowiek z Kronborg Slot. W słuchawce odezwał się jednak napięty głos należący do jego pracodawcy.

– Jak się spodobało panu Malone pańskie przywitanie? – zapytał Niebieskie Krzesło.

– Poradził sobie nieźle. Razem z byłą żoną wydostali się przez okno.

– A więc uczynił tak, jak pan przypuszczał. Martwi mnie jednak, czy przypadkiem nie przyciągamy niepotrzebnej uwagi?

– Więcej niż bym chciał, ale trzeba było tak postąpić. Malone próbował sprawdzić, czy nie blefujemy, musiał się więc przekonać, że to nie on ustala warunki. Od teraz będę jednak bardziej dyskretny.

– Słusznie. Nie chcemy zbyt mocno angażować stróżów prawa. – Niebieskie Krzesło umilkł na chwilę. – Przynajmniej w stopniu nie większym niż są zajęci tym wszystkim teraz.

Sabre zaszył się w wynajętym domu na północy Kopenhagi, kilka przecznic od Amalienborg, pałacu królewskiego położonego nad morzem. Przywiózł tutaj z Georgii Gary’ego Malone’a, sugerując, że jego ojciec był w niebezpieczeństwie, w co chłopiec uwierzył dzięki podrobionej legitymacji agenta Magellan Billet, którą Sabre osobiście mu pokazał.

– Jak chłopak? – zapytał Niebieskie Krzesło.

– Był zaniepokojony, ale myśli, że to akcja rządu amerykańskiego. Na razie więc jest spokojny.

Sterroryzowali Pam Malone zdjęciem jej syna. Chłopiec współpracował z nimi, sądząc, że zapewniali mu bezpieczeństwo.

– Czy chłopak nie jest za blisko Malone’a?

– Nie pojechałby nigdzie indziej z własnej woli. Wie, że ojciec jest w pobliżu.

– Widzę, że masz wszystko pod kontrolą. Bądź jednak ostrożny. Malone może cię zaskoczyć.

– Dlatego właśnie mamy jego syna. Nie będzie ryzykował życia Gary’ego.

– Musimy koniecznie zdobyć aleksandryjskie ogniwo.

– Malone zaprowadzi nas wprost do niego.

Jednak wynajęty przez Sabre’a człowiek wciąż nie dzwonił z Kronborg Slot. Realizacja planu wymagała, żeby najemnik wykonał wszystko tak, jak mu rozkazano.

– Musimy to mieć w ciągu kilku dni.

– Tak się stanie.

– Z tego, co mi mówiłeś – powiedział Niebieskie Krzesło – ten Malone jest krnąbrny i niepokorny. Jesteś pewien, że nie zabraknie mu stosownej motywacji?

– Nie ma się czym martwić. Obecnie jest mu zapewniana znacznie większa motywacja niż to potrzebne.

Malone opuścił teren Kronborg Slot i zauważył, jak zabójca spokojnym krokiem zmierza ku Helsingør. Uwielbiał rynek, urocze uliczki i budynki z drewna i cegieł w tym miasteczku, ale nic z tego renesansowego ducha nie było dzisiaj ważne.

Z daleka dobiegał dźwięk coraz większej liczby syren.

Malone wiedział, że morderstwa były w Danii rzadkością. A skoro zostało ono popełnione w Narodowym Muzeum Historycznym, z pewnością stanie się wielką sensacją w mediach. Musiał poinformować Stephanie, że jeden z jej agentów poniósł śmierć, lecz teraz nie było na to czasu. Uznał, że Durant podróżował pod swoim zwykłym nazwiskiem – była to standardowa praktyka biura Magellan Billet – kiedy więc miejscowe służby odkryją, że ofiara pracowała dla amerykańskiego rządu, z pewnością skontaktują się z odpowiednimi osobami. Pomyślał o Durancie. Cholerna szkoda. Już dawno nauczył się jednak nie marnować emocji na coś, czego nie można było zmienić.

Zwolnił tempo i przyciągnął Pam ku sobie.

– Musimy trzymać się z tyłu. Nie jest zbyt uważny, ale wciąż może nas dostrzec.

Przeszli przez ulicę i przywarli do ściany jednego z ładnych budynków, które stały przy wąskiej nadmorskiej alei. Zabójca szedł trzydzieści metrów przed nimi. Malone patrzył, jak skręca za róg.

Dotarli do tego samego narożnika i rozejrzeli się dokładnie. Mężczyzna podążał dalej przez usiany restauracjami i sklepami pasaż, przeznaczony wyłącznie dla pieszych. Kręciło się tutaj sporo ludzi, Malone zdecydował się więc zaryzykować.

Ruszyli za nim.

– Co robimy? – zapytała Pam.

– Jedyne co możemy.

– Czemu po prostu nie dasz im tego, czego chcą?

– To nie jest takie proste.

– Oczywiście, że jest.

Wciąż patrzył przed siebie.

– Dzięki za radę.

– Jesteś dupkiem.

– Też cię kocham. Skoro więc już to ustaliliśmy, skupmy się na tym, co robimy.

Śledzony przez nich osobnik skręcił w prawo i zniknął.

Malone przyspieszył i wyjrzał za róg. Zobaczył, że zabójca podchodzi do brudnego volvo coupé. Miał nadzieję, że nie zamierza odjechać. Nie mogliby go wówczas dalej śledzić, ich samochód był w okolicach zamku. Malone patrzył, jak mężczyzna otwiera drzwi od strony pasażera i wrzuca

coś do środka, następnie zamyka drzwi i rusza z powrotem tą samą drogą, którą przyszedł.

Wśliznęli się do sklepu odzieżowego chwilę przed tym, jak zabójca przeszedł obok nich. Malone wyjrzał przez szybę i dostrzegł, że mężczyzna wchodzi do kawiarni.

– Co on robi? – zapytała Pam.

– Czeka, aż ustanie zgiełk. Nie rób niczego na siłę. Siedź spokojnie, nie denerwuj się. Musimy poczekać.

– To chore. On zabił człowieka.

– I tylko my o tym wiemy.

– Dlaczego w ogóle go zabił?

– Żeby postrzępić nasze nerwy. Przerwać jakikolwiek przepływ informacji. Miał wiele powodów.

– To chora branża.

– A myślisz, że dlaczego zrezygnowałem?

Malone zdecydował się wykorzystać tę przerwę.

– Idź po samochód i podjedź nim tam – wskazał na aleję przy nadmorskiej stacji kolejowej. – Zaparkuj i czekaj na mnie. Kiedy wyjdzie, będzie musiał skierować się właśnie tam. To jedyna droga, która wychodzi z miasteczka.

Dał jej kluczyki i przez chwilę przywołał w pamięci czasy, kiedy wręczał jej kluczyki. Pomyślał o dawnych latach. Po każdym zleceniu wiedza, że jej i Gary’emu nic nie grozi, przynosiła mu uczucie spokoju. I choć żadne z nich nie chciało tego przyznać, kiedyś byli dla siebie dobrzy. Pamiętał jej uśmiech, jej dotyk. Niestety, sprawa ojcostwa Gary’ego zatruwała te przyjemne wspomnienia jadem podejrzeń. Zmuszała go do zastanawiania się nad tym, czy całe ich wspólne życie nie było przypadkiem zwykłą iluzją.

Wydawało się, że wyczuła jego myśli i jej wzrok złagodniał, tak jak to bywało u niej przed złymi wydarzeniami, które zmieniły ich oboje. Postanowił dodać jej otuchy.

– Znajdę Gary’ego. Przysięgam ci. Nie spadnie mu nawet włos z głowy.

Oczekiwał jakiejś odpowiedzi z jej strony, lecz nie powiedziała nic.

To milczenie boleśnie go dotknęło.

Dlatego odszedł.

DWANAŚCIE

OXFORDSHIRE, ANGLIA
GODZINA 10.30

George Haddad wszedł do Bainbridge Hall. Od trzech lat był tutaj częstym gościem. Zaczął tu przychodzić, kiedy się przekonał, że odpowiedź na jego pytania znajduje się gdzieś w tych murach.

Dom był przykładem udanego połączenia marmurowych podłóg, gobelinów z Mortlake oraz kolorowych dekoracji. Główne schody z misternie rzeźbionymi motywami roślinnymi pamiętały czasy Karola II. Gipsowe stropy powstały w latach sześćdziesiątych XVII wieku, a umeblowanie i obrazy pochodziły z XVIII i XIX stulecia. Wszystko to doskonale ilustrowało cechy reprezentacyjnej budowli wzniesionej w angielskim stylu wiejskim.

Dom ten był jednak czymś znacznie więcej.

Był zagadką.

Tak jak altana z białego marmuru w ogrodzie, gdzie wciąż byli zebrani dziennikarze, słuchający tak zwanych ekspertów. I tak jak sam Thomas Bainbridge, nikomu nieznany angielski hrabia, którego żywot przypadł na drugą połowę XVIII wieku.

Haddad przypomniał sobie historię rodziny Bainbridge’ów.

Bainbridge urodził się w świecie przywilejów i wygórowanych ambicji. Jego ojciec był sędzią hrabstwa Oxfordshire. Mimo że jego pozycję społeczną określał zgromadzony przez pokolenia majątek oraz tradycja rodzinna, Thomas Bainbridge stronił od tradycyjnej służby wojskowej i skupił się na nauce – głównie historii, językach obcych i archeologii. Kiedy ojciec umarł, on odziedziczył tytuł hrabiowski i spędził kilkadziesiąt lat, podróżując po świecie. Był jednym z pierwszych ludzi Zachodu, którzy dogłębnie zbadali Egipt, Ziemię Świętą czy Arabię, dokumentując swoje doświadczenia w cyklu opublikowanych dzienników.

Nauczył się języka starohebrajskiego, w którym napisano oryginał Starego Testamentu. To było spore osiągnięcie, gdyż dialekt ten wyszedł z powszechnego użycia około VI wieku przed naszą erą. Thomas Bainbridge w 1767 roku opublikował książkę, w której poddał krytyce znane tłumaczenia Starego Testamentu i stawiał pod znakiem zapytania wiele osiągnięć ówczesnej wiedzy konwencjonalnej. Ostatnia lata życia zeszły mu na obronie sformułowanych przez siebie teorii. Umarł załamany i rozgoryczony, roztrwoniwszy uprzednio rodzinną fortunę.

Haddad znał bardzo dobrze oryginalny tekst, przestudiował bowiem szczegółowo każdą stronę. Mógł więc zrozumieć problemy Bainbridge'a. On również zaatakował niegdyś konwencjonalną wiedzę, co miało opłakane konsekwencje.

Lubił odwiedzać tę rezydencję, wiedział jednak, że większość oryginalnego wyposażenia, w tym imponujący księgozbiór, dawno temu przejęli wierzyciele. Dopiero w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat odnaleziono niektóre przedmioty i druki. Znakomita większość książek wciąż była zgubiona, krążyła gdzieś, począwszy od kolekcjonerów, przez handlarzy, a na śmietniskach kończąc, co było losem sporej części drukowanej i rękopiśmiennej wiedzy ludzkości. Haddadowi udało się jednak trafić na kilka tomów, po tym, jak spędził mnóstwo czasu na badaniu oferty niezliczonych antykwariatów rozsianych po Londynie.

I Internetu.

Co za niesamowity skarb! Ileż można by dokonać w Palestynie sześćdziesiąt lat temu, dysponując tą siecią oferującą natychmiastowy dostęp do informacji.

Ostatnio dużo myślał o 1948 roku.

Kiedy taszczył karabin i zabijał Żydów podczas *nakba*. Biorąc pod uwagę poświęcenie przodków, arogancja obecnej generacji zawsze go zadziwiała. Wypędzono osiemset tysięcy Arabów. Miał dziewiętnaście lat, walczył w palestyńskim ruchu oporu jako jeden z polowych dowódców – wszystko to jednak okazało się bezowocne. Syjoniści zwyciężyli. Arabowie zostali pokonani. Palestyńczycy stali się wygnańcami.

Ale pamięć pozostała.

Haddad próbował zapomnieć. Naprawdę chciał zapomnieć. Zabijanie pociągało jednak za sobą konsekwencje. W jego wypadku było to życie pełne żalu i skruchy. Został uczonym, porzucił przemoc i przeszedł na

chrześcijaństwo, ale żadna z tych rzeczy nie uwolniła go od bólu. Wciąż widział martwe twarze. Szczególnie jedną. Człowieka, który nazywał siebie gwardianem.

„Toczycie wojnę, która nie jest konieczna. Z wrogiem, który został wprowadzony w błąd”.

Te słowa wyryły się w jego pamięci tego dnia w kwietniu 1948 roku i zmieniły go na zawsze.

„Jesteśmy strażnikami wiedzy. Z biblioteki”.

To spostrzeżenie wytyczyło tor, jakim potoczyło się jego życie.

Wciąż poruszał się po Bainbridge Hall, chłonąc wzrokiem popiersia, rzeźby i obrazy, groteskowe złocenia oraz zagadkowe motta i złote myśli. Idąc w odwrotnym kierunku niż kilku nowo przybyłych zwiedzających, dotarł do salonu, gdzie antyczna powaga kolegialnej biblioteki mieszała się z żeńską gracją i bystrością. Skupił się na półkach, które niegdyś pokazywały zróżnicowany dorobek wielu wieków. I na obrazach, jakie przywodziły na myśl ludzi, którzy osobiście zmieniali bieg historii.

Thomas Bainbridge był wybrańcem, tak jak ojciec Haddada. Ale gwardian dotarł do Palestyny dwa tygodnie za późno, żeby przekazać zaproszenie, a kula z pistoletu Haddada uciszyła posłańca na wieki.

Skrzywił się na to wspomnienie.

Impulsywność młodości.

Minęło sześćdziesiąt lat i teraz patrzył na świat z dużo większą dozą cierpliwości i tolerancji. Gdyby tylko w kwietniu 1948 roku potraktował gwardiana z tą samą cierpliwością, być może znalazłby znacznie wcześniej to, czego szukał.

A może nie.

Najwidoczniej na zaproszenie trzeba było sobie zasłużyć.

Ale jak?

Ogarnął pomieszczenie wzrokiem.

Odpowiedź znajdowała się tutaj.

TRZYNAŚCIE

WASZYNGTON
GODZINA 5.45

Stephanie patrzyła, jak Larry Daley opada na jeden z klubowych foteli w gabinecie Brenta Greena. Zgodnie z danym słowem, zastępca doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego zjawił się w ciągu pół godziny.

– Miłe mieszkanko – rzekł Daley do Greena.

– To jest dom.

– Zawsze byłem małomównym facetem, nieprawdaż?

– Słowa, podobnie jak przyjaciół, należy dobierać z rozwagą.

Z twarzy Daleya zniknął przyjazny uśmiech.

– Miałem nadzieję, że nie skoczymy sobie do gardeł tak szybko.

Stephanie odczuwała niepokój.

– Spraw, żeby ta wizyta była warta zachodu, jak obiecałeś to przez telefon.

Dłonie Daleya zacisnęły się na tapicerowanych oparciach fotela.

– Mam nadzieję, że i wy zachowacie się rozsądnie.

– To będzie zależało od ciebie – odparła Stephanie.

Daley przejechał dłonią po siwych krótko ostrzyżonych włosach. Jego przystojna twarz prezentowała chłopięcą szczerość, taką, jaka potrafiła szybko rozbroić kobietę, Stephanie postanowiła więc zachować czujność.

– Zakładam, że wciąż nie masz zamiaru wyjawić nam, czym jest ogniwo? – zapytała.

– Naprawdę nie zamierzam zostać oskarżony o złamanie ustawy o bezpieczeństwie narodowym.

– Od kiedy to łamanie prawa budzi w tobie troskę?

– Od teraz.

– Co zatem robisz tutaj?

– Jak dużo wiesz? – odpowiedział pytaniem Daley. – I nie wciskajcie mi tylko kitu, że nie wiecie nic, ponieważ wtedy rozczarowałbym się

bardzo w stosunku do was obojga.

Green powtórzył kilka faktów, które już znał na temat George’a Haddada.

Daley przytaknął.

– Izraelczycy wpadli w szał z powodu Haddada. Później na scenie pojawili się Saudyjczycy. To zaś było dla nas szokiem. Zazwyczaj nie przywiązują wagi do niczego, co wiąże się z Biblią lub historią.

– Czyli zupełnie bezwiednie przed pięcioma laty wysłałam Malone’a na misję, która teraz oznacza poważne tarapaty? – chciała wiedzieć.

– Na czym zresztą polega twoja praca.

Przypomniała sobie, jak w miarę upływu czasu sytuacja się pogarszała.

– Co wiesz o ataku bombowym?

– To stało się wtedy, kiedy gówno dostało się między szprychy.

– Wybuch samochodu pułapki zmiótł z powierzchni ziemi restaurację w Jerozolimie, w której wnętrzu byli Haddad i Malone.

– Bomba była przeznaczona dla Haddada – podjął Daley. – Oczywiście, ponieważ była to misja prowadzona po omacku, Malone tego nie wiedział. Udało mu się jednak wyciągnąć tego człowieka całego i żywego.

– Trafiło się ślepej kurze ziarno – skomentował z sarkazmem Green.

– Nie sprzedawaj mi tej taniej gadki. Nikogo nie zabiliśmy. Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzyliśmy, była śmierć Haddada.

Stephanie czuła, jak rośnie w niej gniew.

– Wystawiłeś życie Malone’a na ryzyko.

– Jest profesjonalistą. Potrafi sobie radzić.

– Nie wysyłam agentów na samobójcze misje.

– Bądź realistką, Stephanie. Problem z Bliskim Wschodem przypomina lewicę, która nigdy nie wie, co czyni prawica. To, co się wydarzyło, jest typowe dla tamtego rejonu świata. Palestyńscy bojownicy wybrali nie tę restaurację co trzeba.

– Albo i nie – wysunął przypuszczenie Green. – Być może Izraelczycy lub Saudyjczycy wybrali właściwy lokal.

Daley się uśmiechnął.

– Zaczynasz znać się na rzeczy. Dlatego właśnie zgodziłem się na warunki Haddada.

– Powiedz nam zatem, dlaczego amerykański rząd jest zmuszony do poszukiwania Biblioteki Aleksandryjskiej?

Daley zgotował cichą owację.

– Brawo. Nieźle, Brent. Domyślam się, że gdyby twoi informatorzy wiedzieli o Haddadzie, dostarczyliby również i ten kąsek.

– Odpowiedz na jego pytanie – zażądała Stephanie.

– Ważne rzeczy przechowuje się czasami w najdziwniejszych miejscach.

– To nie jest odpowiedź.

– To wszystko, co ze mnie wyciągniecie.

– Jesteś zamieszany w to, co się dzieje po tamtej stronie – oznajmiła.

– Nie, nie jestem. Ale nie zamierzam się wypierać, że są inni w administracji, którzy interesują się wykorzystaniem tej sprawy do szybkiego i łatwego rozwiązania problemu.

– Problemu związanego z czym? – zapytał Green.

– Z Izraelem. Z garstką aroganckich idealistów, którzy nie dają najmniejszego posłuchu temu, co mówią inni. Ale pod byle pretekstem posyłają czołgi i armaty, żeby zniszczyć każdego i wszystko w imię bezpieczeństwa. Co się wydarzyło przed kilkoma miesiącami? Przystąpili do ostrzału Strefy Gazy, jeden z pocisków poszedł bokiem i cała rodzina, która wybrała się na piknik na plażę, poszła do nieba. Cóż wtedy powiedzieli? „Przykro nam. Co za pech”. – Daley pokręcił z dezaprobatą głową. – Wystarczy okazać cień elastyczności, odrobinę kompromisu, i sprawy mogłyby zostać załatwione. Lecz nie. Musi być tak, jak oni chcą, inaczej nici z tego.

Stephanie wiedziała, że świat arabski, przynajmniej ostatnio, był znacznie bardziej przychylnie nastawiony niż Izrael – z pewnością był to rezultat wydarzeń w Iraku, gdzie Amerykanie bezpośrednio zademonstrowali własną determinację. Sympatia światowej opinii publicznej wobec Palestyńczyków wciąż narastała, karmiona zmianą przywódców, złagodzeniem odwetowej polityki oraz głupotą zwolenników twardego kursu w Izraelu. Przypominała sobie z prasowych doniesień jedynego członka tej rodziny, który przeżył na plaży. Małą dziewczynkę pogrążoną w płaczu na widok zwłok ojca. To robiło wrażenie. Zastanawiała się jednak, co można było zrobić, oceniając sprawy realistycznie.

– Czy planują podjęcie jakichś konkretnych kroków w stosunku do Izraela? – zapytała. Po chwili odpowiedź zaświtała jej w głowie. – Potrzebujesz ogniwa, żeby móc podjąć te kroki?

Daley zamilkł.

– Malone jest jedyną osobą, która wie, gdzie to jest – dała jasno do zrozumienia.

– To problem. Ale nie taki, którego nie dałoby się rozwiązać.

– Chciałeś, żeby Malone ruszył do akcji. Nie wiedziałeś tylko, jak nakłonić go, żeby to zrobił.

– Nie zaprzeczam, że jest to coś w rodzaju sposobności.

– Ty sukinsynie! – nie zdołała się powstrzymać.

– Posłuchaj, Stephanie. Haddad chciał zniknąć. Ufał Cottonowi. Izraelczycy, Saudyjczycy, a nawet Palestyńczycy – wszyscy byli przekonani, że Haddad zginął w bombowym zamachu. Uczyniliśmy więc to, czego chciał ten człowiek, później zapomnieliśmy o wszystkim i zajęliśmy się innymi sprawami. Teraz jednak zainteresowanie wszystkich stron znów zostało pobudzone i chcemy odnaleźć Haddada.

Nie zamierzała dać mu nawet odrobiny satysfakcji.

– Może więc powiesz, kto jeszcze chce go odnaleźć?

– Traktuję ich tak, jak postąpiłby każdy polityk.

Na twarzy Greena pojawił się gniewny wyraz.

– Zamierzasz ubić interes?

– Taki już jest ten świat.

Musiała wyciągnąć z niego więcej.

– Co właściwie można odnaleźć w dokumentach, które liczą sobie dwa tysiące lat? Przy założeniu, oczywiście, że manuskrypty zdołały przetrwać, co jest raczej mało prawdopodobne.

Daley spojrzał na nią z ukosa. Zdała sobie sprawę, że przyszedł tutaj po to, żeby powstrzymać ją i Greena od wtrącenia swoich trzech groszy w tę sprawę. Może jednak rzuci im kość na przynętę?

– *Septuaginta*.

Z trudem zdołała ukryć zdumienie.

– Nie jestem ekspertem – kontynuował Daley – ale na podstawie tego, co mi powiedziano, kilkaset lat przed Chrystusem uczeni z Biblioteki Aleksandryjskiej przetłumaczyli hebrajskie święte teksty, nasz Stary Testament, na grekę. Było to ogromne osiągnięcie jak na tamte czasy. Przekład ten stanowi jedynie źródło wiedzy na temat oryginału, ten bowiem zaginął. Haddad utrzymywał, że to tłumaczenie oraz wszystkie późniejsze

przekłady były w dużym stopniu obarczone błędami. Jego zdaniem, błędy te zmieniły wszystko, on zaś jest w stanie to udowodnić.

– Cóż z tego? – zapytała. – W jaki sposób mogłoby to zmienić wszystko?

– Tego nie mogę powiedzieć.

– Nie możesz czy nie chcesz?

– W tym wypadku wychodzi na jedno i to samo.

– *Na wieki pamięta o swoim przymierzu, obietnicę dał dla tysiąca pokoleń* – zaczął deklamować szeptem Green. – *Zawarł je z Abrahamem i przysięgę dał Izaakowi, ustanowił dla Jakuba jako prawo, dla Izraela jako wieczne przymierze, mówiąc: Dam tobie ziemię Kanaan na waszą własność dziedziczną*. Psalm sto piąty.

Zauważyła, że słowa te autentycznie poruszyły starszego mężczyznę.

– Ważna obietnica – oznajmił po chwili Green. – Jedna z wielu, jakie znajdziemy w Starym Testamencie.

– A zatem dostrzegacie, co nas interesuje?

Green przytaknął.

– Dostrzegam sedno sprawy, pytanie brzmi jednak, czy uda się to udowodnić.

Stephanie nie pojmowała i tego, chciała jednak wiedzieć.

– Co ty wyrabiasz, Larry. Uganiasz się za fantomami? To przecież szaleństwo.

– Zapewniam cię, że nie.

Wnioski szybko stały się oczywiste. Malone miał rację, udzielając jej reprymendy. Powinna powiadomić go bez chwili zwłoki o włamaniu. A teraz życie jego syna było zagrożone w rezultacie działań rządu Stanów Zjednoczonych, który najwyraźniej był gotów poświęcić chłopca.

– Stephanie – podjął Daley. – Znam ten wyraz twarzy. Co zamierzasz?

Nie było nawet cienia szansy, żeby wyjawiła cokolwiek temu demonowi. Wypiła więc czarę goryczy i poniżenia, i się uśmiechnęła.

– Dokładnie to, czego sobie życzysz, Larry. Absolutnie nic.

CZTERNAŚCIE

KOPENHAGA
GODZINA 12.15

Dominick Sabre wiedział, że następna godzina będzie rozstrzygająca. Obejrzał relację kopenhaskiej telewizji o strzelaninie w Kronborg Slot. Co oznaczało, że Malone i jego była żona ruszyli już w dalszą drogę. Otrzymał w końcu meldunek od człowieka, którego wysłał do zamku. Zadowoleniem napełnił go fakt, że mężczyzna ten skrupulatnie wykonywał rozkazy.

Zerknął na zegarek, po czym wyszedł z frontowego salonu do sypialni na tyłach, gdzie był przetrzymywany Gary Malone. Udało im się zabrać chłopca ze szkoły dzięki oficjalnym dokumentom i informacji, że działają w imieniu rządu Stanów Zjednoczonych. W ciągu dwóch godzin opuścili Atlantę wyczarterowanym samolotem. Z Pam Malone nawiązali kontakt, kiedy byli już w drodze, przekazując jej precyzyjne instrukcje, jak ma postępować. Wszystkie dane zebrane na jej temat sugerowały, że jest odważną kobietą, ale zdjęcie Gary'ego oraz wizja cierpień, jakie mogą stać się udziałem jej syna, sprawiły, że robiła dokładnie to, czego sobie życzyli.

Otworzył drzwi sypialni i przyozdobił twarz udawanym uśmiechem.

– Chciałem ci powiedzieć, że mamy informacje na temat twojego taty.

Chłopiec siedział okrakiem obok okna i czytał książkę. Poprzedniego dnia poprosił o kilka tytułów, które Sabre zdobył. Oblicze Gary'ego pojaśniało na wieść o ojcu.

– Nic mu nie jest?

– Radzi sobie dobrze. Wyraził też wdzięczność, że roztoczyliśmy nad tobą opiekę. Twoja mama jest razem z nim, swoją drogą.

– Mama jest tutaj?

– Przywiozła ją inna ekipa.

– Jest tutaj pierwszy raz. Nigdy nie była w Danii... – Gary nagle zamilkł. – Ona i mój tato nie pozostają w zbyt dobrych stosunkach.

Znając historię małżeńskich perypetii Malone’a, Sabre wyczuł coś dodatkowego.

– Dlaczego tak się dzieje?

– To przez rozwód. Od dłuższego czasu nie mieszkają już razem.

– Bardzo to przeżywasz?

Gary przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią. Był wysoki, jak na swój wiek, chudy, a jego głowę pokrywała czupryna kasztanowych włosów. Cotton Malone stanowił zupełne jego przeciwieństwo. Jasna cera, krępa sylwetka, włosy blond. Choć Sabre dokładał starań, nie był w stanie dostrzec niczego, co łączyłoby ojca z synem, jeśli chodzi o rysy twarzy czy zachowanie.

– Byłoby lepiej, gdyby byli razem. Ale rozumiem, dlaczego nie są.

– Dobrze, że potrafisz to zrozumieć. Masz głowę na karku.

Gary się uśmiechnął.

– Tato zawsze mi to powtarza. Zna go pan?

– Oczywiście. Przez wiele lat pracowaliśmy razem.

– Co właściwie się dzieje? Dlaczego grozi mi niebezpieczeństwo?

– Nie wolno mi o tym rozmawiać. Ale kilku naprawdę złych facetów wzięło na celownik twojego tatę. Zamierzali też dotrzeć do ciebie i twojej mamy, wkroczyliśmy więc do akcji, żeby chronić ciebie. – Dostrzegł, że to wyjaśnienie wydawało się w pełni satysfakcjonujące.

– Ale mój tato nie pracuje już dla rządu.

– Niestety jego wrogowie wcale się tym nie przejmują. Chcą po prostu zadać mu ból.

– To wszystko jest bardzo dziwne.

Zmusił się do uśmiechu.

– To część jego profesji, obawiam się.

– Czy ma pan dzieci?

Zdziwił się tego rodzaju zainteresowaniem ze strony chłopca.

– Nie. Nigdy nie byłem żonaty.

– Sprawia pan wrażenie sympatycznego człowieka.

– Dziękuję. Ale wykonuję wyłącznie swoją robotę. – Wzruszył ramionami. – Trenujesz coś? – zapytał.

– Gram w bejsbol. Choć na dobrą sprawę minęło już sporo czasu, gdy byłem na boisku. Ale nie miałbym nic przeciwko, żeby trochę porzucać.

– Raczej trudno o to tutaj, w Danii. Bejsbol nie jest narodową rozrywką Duńczyków.

– Byłem tutaj podczas tegorocznych i poprzednich wakacji. Naprawdę mi się tu podoba.

– Masz na myśli czas spędzony z ojcem?

Gary przytaknął.

– To jedyna okazja, kiedy możemy pobyć trochę razem. Ale tak jest w porządku. Cieszę się, że on tu mieszka. To sprawia, że jest szczęśliwy.

Sabre'owi znowu się wydało, że coś wyczuwa.

– Czy to sprawia, że i ty czujesz się szczęśliwy?

– Czasami. Kiedy indziej pragnę, żeby był bliżej.

– Czy zastanawiałeś się kiedykolwiek, żeby zamieszkać z nim?

Na twarzy chłopca pojawił się wyraz niepokoju.

– To by zabiło mamę. Nie życzyłaby sobie, żebym to zrobił.

– Czasami musisz zrobić to, co musisz.

– Myślałem już o tym.

Sabre uśmiechnął się, szczerząc zęby.

– Nie myśl zbyt intensywnie. I postaraj się nie nudzić.

– Tęsknię za mamą i tatą. Mam nadzieję, że u nich wszystko w porządku.

Usłyszał już dostatecznie dużo. Chłopak był uspokojony. Nie będzie stwarzał problemów, przynajmniej nie w ciągu następnej godziny, a było to wszystko, czego Sabre teraz potrzebował.

Później to, co zrobi Gary Malone, nie będzie już miało żadnego znaczenia.

Podszedł do drzwi.

– Nie ma powodu do zmartwień. Jestem pewien, że wkrótce będzie już po wszystkim.

Malone stał na ulicy miasteczka Helsingør i obserwował restaurację. Nieprzerwany strumień stałych klientów napływał do środka i wypływał na

zewnątrz. Człowiek, którego Malone śledził, siedział przy stoliku obok okna, popijając z kubka. Pam, jak zakładał, siedziała w samochodzie zaparkowanym obok dworca kolejowego i czekała. Lepiej, żeby tak było. Kiedy ten facet się ruszy, będą mieli tylko jedną szansę. Jeśli jego kumple znajdowali się gdzieś w pobliżu, on zaś był głęboko przekonany, że tak właśnie było, być może jest to jedyny ślad, jaki może zaprowadzić go do nich.

Pojawienie się Pam w Danii działało mu na nerwy. Kiedyś łączyła ich miłość i wzajemny szacunek, przynajmniej tak mu się wydawało, teraz ciągnął ich ku sobie wyłącznie Gary.

Raz jeszcze odtworzył w myślach słowa, jakie usłyszał od niej w sierpniu. O Garym.

– Po latach okłamywania mnie chcesz teraz być fair?

– Ty również przed wieloma laty nie byłeś święty, Cotton.

– Ty zaś z tego powodu zamieniłaś moje życie w piekło.

Wzruszyła ramionami.

– Po prostu popełniłam niedyskrecję. Nie sądziłam, że będziesz miał coś przeciwko, uwzględniając zaszłości.

– Mówiłem ci o wszystkim.

– Nie, Cotton. Przyłapałam cię.

– Ale pozwoliłaś mi myśleć, że Gary jest moim synem.

– Bo jest. W każdym aspekcie poza więzami krwi.

– W taki właśnie sposób tłumaczysz to sobie?

– Nie muszę. Pomyślałam po prostu, że powinieneś poznać prawdę. Powinnam była poinformować ciebie w zeszłym roku, podczas sprawy rozwodowej.

– Skąd masz pewność, że on nie jest moim synem?

– Cotton, możesz zrobić testy, wszystko mi jedno. Wiedz po prostu, że nie jesteś ojcem Gary'ego. Zrób z tą informacją, co ci się żywnie podoba.

– Czy on wie?

– Oczywiście, że nie. To jest sprawa między nim a tobą. Ode mnie nigdy się tego nie dowie.

Wciąż jeszcze czuł gniew, który zalewał go, kiedy Pam zachowywała stoicki spokój. Tak bardzo różnili się od siebie – być może to właśnie tłumaczyło, dlaczego nie byli już razem. On stracił ojca, gdy był jeszcze dzieckiem, lecz wychowała go matka, która go adorowała. Dzieciństwo Pam było jednym wielkim zamętem. Jej matka była kobietą płochą i niestałą w uczuciach, która prowadziła ośrodek opieki dziennej. Rodzinne oszczędności roztrwoniła nawet nie jeden raz, ale dwukrotnie. Jej słabość stanowili astrologowie. Nigdy nie była w stanie oprzeć się im, zachłannie wsłuchując się w ich słowa, takie, jakie pragnęła usłyszeć. Ojciec Pam przysparzał równie dużo kłopotów – z głową bujającą gdzieś w obłokach, poświęcał znacznie więcej uwagi modelom samolotów sterowanych radiem niż własnej małżonce i trójce dzieci. Przez czterdzieści lat pracował w fabryce waflowych rożków do lodów i nigdy nie wspiął się ponad średni szczebel kierowniczy. Lojalność przemieszana z fałszywym poczuciem zadowolenia – były to podstawowe atrybuty jego teścia do dnia, kiedy w końcu serce odmówiło posłuszeństwa i stanęło, do czego walnie przyczyniły się wypalane codziennie trzy paczki papierosów.

Do czasu, kiedy się spotkali, Pam niewiele wiedziała o miłości i bezpieczeństwie. Uboga w warstwie uczuć, lecz biegła, gdy chodziło o poświęcenie, zawsze dawała dużo mniej niż oczekiwała. Wytykanie jej takiego stanu rzeczy tylko podsycało w niej gniew. Własny błąd z jego strony – romansowanie z innymi kobietami na początku ich małżeństwa – jedynie utwierdził ją w przekonaniu, że nie może polegać na niczym i na nikim.

Ani na matce, ani na ojcu, ani na rodzeństwie, ani też na mężu.

Wszyscy zawiedli.

Ona zresztą również.

Wydając na świat dziecko z nieprawego łoża i nigdy nie zdobywając się na powiadomienie swojego męża, że nie jest ojcem. Można było odnieść wrażenie, że wciąż jeszcze płaciła cenę za tę porażkę.

Zamierzał traktować ją z nieco większą tolerancją. Lecz kompromis wymagał dwóch uczestników, ona zaś najwyraźniej nie wykazywała ochoty – przynajmniej jeszcze nie teraz – na podjęcie dialogu.

Zabójca zniknął z okna.

Malone znów skoncentrował uwagę na restauracji.

Patrzył, jak mężczyzna wychodzi z budynku i zmierza w stronę zaparkowanego samochodu, wsiada do niego i odjeżdża. Malone porzucił punkt obserwacyjny, pobiegł alejką i dostrzegł Pam.

Przebiegł na drugą stronę ulicy i wskoczył na miejsce obok kierowcy.

– Włącz silnik i czekaj w gotowości.

– Ja? Dlaczego ty nie poprowadzisz?

– Nie ma czasu. Zaraz nadjedzie.

Zobaczył jak volvo skręca na autostradę, biegnącą równolegle do morskiego brzegu, i po chwili przyspiesza.

– Ruszaj! – ponaglił.

Ona zaś zrobiła to, co jej kazał.

George Haddad wszedł do swojego londyńskiego mieszkania. Podróż do Bainbridge Hall zakończyła się typową frustracją, zignorował więc komputer, na którego ekranie migała ikona symbolizująca nieprzeczytane e-maile. Usiadł przy stole w kuchni.

Od pięciu lat tkwił w martwym punkcie. Chciał wiedzieć, ale jednocześnie nie chciał. Pragnął zarówno zrozumieć, jak i pozostać w niewiedzy.

Pokręcił z dezaprobatą głową.

Cóż za dylemat.

Rozejrzał się dookoła. Mieszkanie nie zapewniało już kojącej, oczyszczającej magii. Najwyraźniej nadchodził czas. Powinien był podzielić się tym objawieniem z każdą duszą zdruzgotaną podczas *nakba*, której wykradziono ziemię, której zagrabiono dobytek. Był to winien również Żydom.

Każdy miał prawo do prawdy.

Po raz pierwszy od miesięcy nie brał się do pracy. Dlatego właśnie znów sięgnął po telefon.

Teraz, już po raz trzeci, wybrał połączenie z zagranicą.

Malone obserwował drogę przed nimi, a Pam prowadziła samochód przybrzeżną autostradą na południe, w stronę Kopenhagi. Volvo jechało kilkaset metrów przed nimi. Pozwolił, żeby wyprzedziło ich kilka samochodów, które stanowiły swoisty bufor, lecz jednocześnie nie chciał, żeby zostali zbyt daleko z tyłu.

– Nie jestem agentką – oznajmiła Pam ze wzrokiem wpatrzonym w przednią szybę. – Nigdy wcześniej tego nie robiłam.

– Nie uczyli was tego na wydziale prawa?

– Nie, Cotton. Uczyli tego ciebie w szkole dla szpiegów.

– Chciałbym, żeby istniała szkoła dla szpiegów. Niestety musiałem uczyć się wszystkiego sam, na własnej skórze.

Volvo przyspieszyło, on zaś się zastanawiał, czy zostali zauważeni. Po chwili zobaczył, że samochód zabójcy po prostu wyprzedził inny pojazd. Zauważył, że Pam stara się przyspieszyć.

– Nie. Jeśli się pilnuje, to jest najlepszy sposób, żeby się przekonać, czy nie ma towarzystwa. Widzę go, zostań więc tam, gdzie jesteś.

– Wiedziałam, że edukacja w Departamencie Sprawiedliwości zawsze się opłaci.

Beztroska. Rzadkość u niej. On jednak docenił wysiłek z jej strony. Miał nadzieję, że trop przyniesie pożądane rezultaty. Gary musiał być gdzieś blisko. Wszystkim, czego sam potrzebował, była tylko szansa oswobodzenia chłopca.

Dotarli do rogatek stolicy. Samochody jechały tutaj żółwim tempem. Znajdowali się cztery auta z tyłu, kiedy volvo zjechało w Charlottenlund Slotspark, położone od północnej strony Kopenhagi, i kontynuowało jazdę na południe w stronę śródmieścia. Tuż przed pałacem królewskim volvo skręciło na zachód i jechało teraz uliczką prowadzącą przez dzielnicę mieszkaniową.

– Ostrożnie – ostrzegł. – Tutaj mogą nas łatwo spostrzec. Trzymaj się z tyłu.

Pam zwiększyła dystans. Malone znał tę część miasta. Rosenborg Slot, miejsce, w którym wystawiono duńskie klejnoty królewskie, było oddalone zaledwie o kilka przecznic, niedaleko stąd znajdował się również ogród botaniczny.

– Zmierza do konkretnego miejsca – skomentował. – Wszystkie te domy są podobne do siebie, musimy więc precyzyjnie ustalić, dokąd jedzie.

Po dwóch następnych zakrętach volvo wjechało w uliczkę z drzewami. Malone kazał Pam zatrzymać się za rogiem i obserwował, jak ich zwierzyna łowna wjeżdża na podjazd.

– Zjedź na chodnik – powiedział, wskazując gestem.

Kiedy zaparkowała, sięgnął po berettę i otworzył drzwi.

– Zostań tutaj. Mówię poważnie. Może potoczyć się różnie, ja zaś nie mogę jednocześnie szukać Gary’ego i mieć oko na ciebie.

– Sądzisz, że jest tutaj?

– Szanse są duże.

Miał nadzieję, że nie będzie sprawiała kłopotów.

– W porządku, zostanę tutaj.

Zaczął wysiadać. Chwyciła go za rękę. Jej uścisk był mocny, ale nie wrogi. Poczuł, jak wzbiera w nim nagła fala uczuć.

Spojrzał na Pam. W jej oczach dostrzegł nieskrywany ból.

– Jeśli on tam jest, przyprowadź go.

PIĘTNAŚCIE

WASZYNGTON
GODZINA 7.20

Stephanie odczuła ulgę, kiedy Larry Daley wyszedł. Po każdym spotkaniu z Daleyem, pokłady sympatii do tego człowieka topniały w niej coraz bardziej.

– Co o tym sądzisz? – zapytał Green.

– Jedna rzecz jest jasna. Daley nie ma pojęcia, czym jest aleksandryjskie ogniwo. Zdaje sobie jedynie sprawę z istnienia George'a Haddada i łudzi się, że Palestyńczyk cokolwiek wie.

– Skąd to przekonanie?

– Gdyby coś wiedział, nie marnowałby czasu na nas.

– Żeby znaleźć Haddada, potrzebuje Malone'a.

– Ale kto twierdzi, że Haddad ma dla niego znaczenie? Skąd pewność, że jest w stanie powiązać z sobą cokolwiek? Jeśli pliki z tajnymi danymi były kompletne, to również nie marnowałby czasu na Haddada. Po prostu wynająłby kilka tęgich głów, rozwiązał to, co wymagałoby rozwiązania, i ruszył dalej z tego punktu. – Pokręciła głową z niedowierzaniem. – Daley to żałosny krętacz, a my właśnie wysłuchaliśmy porcji jego głodnych kawałków. Cotton jest mu potrzebny do znalezienia Haddada, ponieważ on nie ma zielonego pojęcia o sprawie. Żywi tylko nadzieję, że Haddad zna wszystkie odpowiedzi.

Green siedział w fotelu, nie kryjąc zaniepokojenia. Stephanie zaczynała dochodzić do przekonania, że błędnie oceniła tego człowieka urodzonego w Nowej Anglii. Stanął po jej stronie przeciwko Daleyowi, dając nawet jasno do zrozumienia, że odejdzie, jeśli Biały Dom wyrzuci ją na bruk.

– Polityka to brudny interes – mruknął Green. – Prezydent to ofiara losu. Jego program znalazł się w marazmie. Czas przecieka mu przez palce. On z całą pewnością spogląda w stronę spuścizny, jaką po sobie zostawi. Patrzy na swoje miejsce w podręcznikach historii, a ludzie pokroju Daleya

za swój obowiązek poczytują zapewnienie mu tego miejsca. Zgadzam się z tobą. Nie jestem jednak w stanie zrozumieć, w jaki sposób będzie mógł wykorzystać z pożytkiem tę sprawę.

– Najwyraźniej temat jest tak ważny, że Saudyjczycy, a także Izraelczycy, zajęli się tą sprawą przed pięcioma laty.

– I to jest istotne. Izraelczycy raczej nie zaprzątają sobie głowy drobiazgami. Coś sprawiło, że chcą śmierci Haddada.

– Cotton znalazł się w tarapatach – dodała. – Życie jego syna wisi na włosku, on zaś nie otrzymuje od nas nawet śladowej pomocy. Na dobrą sprawę, oficjalnie mamy siedzieć na tyłkach i przyglądać się rozwojowi sytuacji, a później to wykorzystać.

– Moim zdaniem Daley nie docenia swoich przeciwników. Widać przecież, że ich działania są przemyślane i zaplanowane.

Zgodziła się z tą opinią.

– Na tym polega problem z biurokratami. Uważają, że wszystko może być przedmiotem negocjacji.

Telefon komórkowy w kieszeni Stephanie zaskoczył ją nagłymi wibracjami. Wydała polecenie, żeby jej nie przeszkadzano, chyba że wydarzy się coś ważnego. Odebrała połączenie, przez chwilę słuchała, po czym się rozłączyła.

– Właśnie straciłam agenta. Człowieka, którego posłałam na spotkanie z Cottonem Malone. Został zabity w zamku Kronborg.

Green milczał.

W jej oczach narastał ból.

– Lee Durant miał żonę i dzieci.

– Powiedzieli coś na temat Malone’a?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie usłyszeli nic na jego temat.

– Chyba miałaś wcześniej rację. Może powinniśmy zaangażować inne agencje?

Czuła ucisk w gardle.

– To nie zadziała. Sprawę należy poprowadzić inaczej.

Green siedział nieruchomo, z zaciśniętymi ustami, wpatrując się w nią uporczywie, jak gdyby wiedział, co należy zrobić.

– Zamierzam przyjść Cottonowi z pomocą – oznajmiła.

– I co będziesz w stanie zrobić? Nie jesteś przecież agentem operacyjnym.

Przypomniała sobie, jak Malone całkiem niedawno skierował do niej te same słowa we Francji, ona jednak poradziła sobie wtedy całkiem dobrze.

– Sama zorganizuję pomoc. Zaangażuję ludzi, którym ufam. Mam wielu przyjaciół, którzy są mi winni rewanż lub przysługę.

– Ja również mogę pomóc.

– Nie chcę, żebyś się w to angażował.

– Już to zrobiłem.

– Nic przecież nie jesteś w stanie zrobić – oświadczyła.

– Niewykluczone, że cię zaskoczę.

– A co zamierza uczynić Daley? Nie mamy pojęcia, kim są jego sojusznicy. Lepiej będzie zatem, jeśli będę działać po cichu. Ty zaś trzymaj się od tego z daleka.

Wyraz twarzy Greena nie zdradzał absolutnie nic.

– A dzisiejsza konferencja prasowa w Kongresie Stanów Zjednoczonych?

– Odbędzie się. Tym sposobem udobruchamy też Daleya.

– Mogę zapewnić ci przykrywkę, jaką tylko będę w stanie zorganizować.

Kąciki jej ust uniosły się w uśmiechu.

– Wiesz, że było to chyba kilka najlepszych godzin, jakie do tej pory razem spędziliśmy.

– Przykro mi, że nie było nam dane spędzić więcej takich chwil.

– Mnie również – odparła. – Ale mam przyjaciela, który teraz mnie potrzebuje.

SZESNAŚCIE

Malone zostawił Pam w samochodzie i podszedł bliżej domu, przy którym stało zaparkowane volvo. Nie mógł podejść od frontu – za dużo okien, a tym samym zbyt mało możliwości ukrycia się – skręcił zatem w trawiastą alejkę biegnącą wzdłuż sąsiedniego budynku i zbliżył się od tyłu. Domy mieszkalne w tej części Kopenhagi przypominały jego sąsiedztwo w Atlancie: zacienione uliczki o zwartej zabudowie z ceglanych domów o jednej kondygnacji, otoczonych od frontu i od tyłu niewielkimi ogródkami.

Trzymał berettę ukrytą z boku i chowając się za liściastymi krzewami, podchodził coraz bliżej. Jak dotąd nie dostrzegł nikogo. Żywopłot wysoki do ramion oddzielał jeden ogród od drugiego. Podszedł do miejsca, skąd mógł spojrzeć znad żywopłotu, i dostrzegł tylne drzwi domu, do którego wszedł zabójca. Zanim zdążył postanowić, jak postąpi dalej, tylne drzwi się otworzyły i wyłoniło się zza nich dwóch mężczyzn.

Zabójca z Kronborg Slot oraz drugi mężczyzna – niewysoki, niemal bez szyi.

Rozmawiali z sobą i obeszli dom, zmierzając na front. Posłuchał głosu instynktu i ruszył pędem z kryjówki, wbiegając do ogrodu przez szczelinę w żywopłocie. Popędził wprost do tylnych drzwi i trzymając pistolet gotowy do strzału, wsunął się do środka.

W domu panowała cisza. Znajdowały się w nim dwie sypialnie, salon, kuchnia oraz łazienka. Jedna z sypialni była zamknięta. Pospiesznie sprawdził wszystkie pomieszczenia. Pusto. Podszedł do zamkniętych drzwi. Lewą dłonią chwycił za gałkę, trzymając w prawej pistolet, z palcem na spuście. Powoli przekręcił gałkę, po czym raptownie otworzył drzwi.

I zobaczył Gary’ego.

Chłopiec siedział na krześle obok okna i czytał. Jego syn, zaskoczony, podniósł wzrok znad książki. Twarz Gary’ego rozpromieniła się, kiedy zdał sobie sprawę, kto stał w progu.

Malone czuł również, jak wzbiera w nim gwałtowna fala uczuć.

– Tato – odezwał się Gary. Zobaczył pistolet i dodał: – Co się dzieje?

– Nie mogę tego wyjaśnić, ale musimy stąd znikać.

– Mówili mi, że wpadłeś w tarapaty. Czy tamci ludzie, którzy chcieli skrzywdzić mnie i mamę, są tutaj?

Przytaknął, czując, jak zdejmuje go panika.

– Są tutaj. Musimy iść.

Gary wstał z krzesła, a Malone nie potrafił się powstrzymać. Przytulił syna z całych sił. To było jego dziecko – w każdym calu. Do diabła z Pam!

– Trzymaj się za mną, z tyłu – nakazał. – Rób dokładnie to, co mówię. Zrozumiałeś?

– Czy szykują się jakieś komplikacje?

– Mam nadzieję, że nie.

Wycofał się ku tylnym drzwiom i wyjrzał na zewnątrz. Na podwórku nie było nikogo. Potrzebował zaledwie minuty, żeby znaleźć się wraz z synem w bezpiecznym miejscu.

Wyszedł, a Gary niemal deptał mu po piętach.

W odległości dziesięciu metrów widniała szczelina w żywopłocie.

Puścił Gary’ego przed sobą, gdy bowiem po raz ostatni widział dwójkę mężczyzn, zmierzali w kierunku ulicy po frontowej stronie domu. Z pistoletem gotowym do strzału popędził w stronę sąsiedniego podwórka. Rozglądał się na boki, pozwalając, żeby Gary torował sobie drogę.

Przeszli przez prześwit w żywopłocie.

– Jakie to przewidywalne.

Obrócił się gwałtownie i zamarł w bezruchu.

Sześć metrów od niego stał krępy mężczyzna, trzymając Pam i przyciskając glocka z tłumikiem do jej karku. Zabójca z Kronborg Slot stał obok, z pistoletem wycelowanym w Malone’a.

– Natrafiłem na pańską byłą, kiedy szła spacerkiem w tę stronę – odezwał się krępy mężczyzna z holenderskim akcentem. – Zakładam, że kazał jej pan siedzieć w samochodzie?

Utkwił wzrok w Pam. Jej oczy błagały o wybaczenie.

– Gary – odezwała się, niezdolna do jakiegokolwiek ruchu.

– Mamo.

Malone wychwycił rozpacz w głosie obojga. Przesunął Gary’ego za swoje plecy.

– Przeanalizujmy twoje kroki, Malone. Śledziłeś mojego człowieka od zamku do miasteczka, potem poczekałeś, aż odjedzie, pojechałeś za nim, sądząc, że twój chłopak jest tutaj.

Z całą pewnością był to głos, który słyszał wczoraj wieczorem przez telefon komórkowy.

– Co zresztą okazało się prawdą.

Drugi z mężczyzn stał nieporuszony. Malone poczuł, jak zbiera mu się na mdłości.

Dał się wywieść w pole jak dziecko.

– Wyjmij magazynek z beretty i odrzuć go.

Malone zawahał się, po czym doszedł do wniosku, że nie ma wyboru. Zrobił, co mu kazano.

– Teraz możemy się trochę potargować. Oddam ci twoją żonę, ty zaś dasz mi swojego chłopaka.

– A jeśli powiem, żebyś zatrzymał sobie moją żonę?

Mężczyzna zachichotał.

– Jestem pewien, że nie zamierzasz pozwolić na to, by twój chłopak patrzył, jak odstrzeliwuję mózg jego matce, co właśnie mam zamiar uczynić, bo tak naprawdę nie jest mi do niczego potrzebna.

Oczy Pam rozszerzyły się wobec perspektywy, która stała się rezultatem jej własnej głupoty.

– Tato, co się dzieje? – zapytał Gary.

– Synu, będziesz musiał pójść z nim...

– Nie! – krzyknęła Pam. – Nie zgadzaj się.

– W przeciwnym razie on zabije ciebie – dał jasno do zrozumienia Malone.

Palec krępego mężczyzny wciąż niewzruszenie spoczywał na spuście glocka, a Malone’owi pozostała jedynie nadzieja, że Pam się nie ruszy. Skierował spojrzenie na Gary’ego.

– Musisz to zrobić dla mamy. Ale wrócę po ciebie, przysięgam. Możesz być tego pewien. – Raz jeszcze mocno przytulił chłopca. – Kocham cię. Bądź dzielny. Dla mnie. Dobrze?

Gary przytaknął, zawahał się przez chwilę, po czym zrobił krok w kierunku krępego mężczyzny, który puścił Pam z objęć. Natychmiast wzięła syna w ramiona i zaczęła płakać.

– Nic ci nie jest? – zapytała przez łzy.

– Wszystko w porządku.

– Pozwólcie mi zostać z nim – poprosiła. – Nie będę stwarzać żadnych problemów. Cotton znajdzie to coś, co chcecie, żeby znalazł, a my będziemy grzeczni. Obiecuję.

– Zamknij się – kłapnął krępy mężczyzna.

– Przysięgam. Nie będę stwarzać żadnych problemów.

Przyłożył pistolet do jej czoła.

– Zabierz swój tyłek na tamtą stronę i zamknij się!

– Nie prowokuj go – ostrzegł ją Malone.

Raz jeszcze mocno przytuliła Gary’ego, po czym chłopiec powoli ruszył dalej.

Krępy mężczyzna zachichotał.

– Dobry wybór.

Malone zmierzył swojego przeciwnika od stóp do głów.

Pistolet mężczyzny obrócił się nagle w lewo i trzy pociski wystrzelone z broni z tłumikiem opuściły lufę, wbijając się w tors zabójcy z Kronborg Slot. Jego ciałem najpierw targnęły drgawki, po czym osunął się plecami na ziemię.

Pam zakryła usta dłonią.

– Boże!

Malone dostrzegł przerażenie w oczach Gary’ego. Żaden piętnastolatek nie powinien oglądać takich scen.

– Robił dokładnie to, co mu kazałem. Lecz ja wiedziałem, że wy go śledzicie. On nie wiedział. Na dobrą sprawę powiedział mi, że nikt go nie śledził. Nie mam czasu na idiotów. Ta drobna strzelanina miała ci wybić z głowy wszelką brawurę. A teraz ruszaj po to, co jest mi potrzebne. – Krępy mężczyzna wycelował glocka w głowę chłopca. – Odchodzimy i nie chcę, żebyś się w to mieszał.

– Wyrzuciłem wszystkie naboje z mojej broni.

Spoglądał na Gary’ego. Co ciekawe, na twarzy chłopca nie było nawet cienia niepokoju. Ani paniki. Ani strachu. Jedynie determinacja.

Krępy mężczyzna i Gary zaczęli odchodzić.

Malone trzymał pistolet z boku, rozważając naprędce w myślach rozmaite warianty. Jego syn znajdował się zaledwie kilka centymetrów od załadowanego glocka. Wiedział, że jeśli Gary odejdzie, nie pozostanie mu inne wyjście poza wydaniem ogniwa. Przez cały dzień unikał tej

nieciekawej alternatywy, gdyż podążenie tym szlakiem miało spowodować cały ciąg kłopotów i komplikacji. Krępy mężczyzna zapewne od samego początku przewidywał jego kroki, wiedząc, dokąd dotrze na samym końcu.

Czuł, jak krew w nim tężeje i przenika go niepokojące uczucie.

Nieprzyjemne.

Ale znajome.

Starał się poruszać zupełnie naturalnie. Tak nakazywały zasady. Jego poprzednie zajęcie wiązało się z rachunkiem prawdopodobieństwa. Z obliczeniem szans. Sukces zawsze był czynnikiem wliczenia w ryzyko szansy powodzenia. Wiele razy sam stawał na linii ognia, a w trzech wypadkach ryzyko okazało się większe od szansy powodzenia i wtedy za każdym razem lądował w szpitalu.

Tym razem było inaczej. Stawką było życie jego syna.

Bogu dzięki, rachunek prawdopodobieństwa wychodził całkowicie na jego korzyść.

Krępy mężczyzna i Gary podeszli do szczeliny w żywopłocie.

– Przepraszam – odezwał się Malone.

Krępy mężczyzna się odwrócił.

Malone wystrzelił z beretty. Kula trafiła w klatkę piersiową mężczyzny, który sprawiał wrażenie, że nie pojmuje, co się wydarzyło – jego twarz wyrażała mieszaninę zdumienia i bólu. W końcu z kącików ust mężczyzny popłynęła krew, a wzrok pobiegł ku ziemi.

Upadł jak drzewo zrąbane siekierą. Przez chwilę jego ciało drżało, potem znieruchomiało.

Pam podbiegła do Gary’ego i objęła go ramionami.

Malone opuścił pistolet.

Sabre obserwował, jak Malone zastrzelił ostatniego z wynajętych najemników. Stał w kuchni domu przylegającego do tylnej strony budynku, w którym Gary Malone był przetrzymywany przez trzy dni. Kiedy wynajmował kryjówkę, zapłacił za oba domy.

Uśmiechnął się.

Malone okazał się sprytny, jego najemnik natomiast niekompetentny. Wyciągnięcie magazynku pozbawiało broń amunicji, ale poza pociskiem już umieszczonym w komorze. Każdy dobry agent zawsze trzymał nabój w komorze. Przypomniał sobie szkolenie w siłach specjalnych armii, kiedy jeden z rekrutów postrzelił się w nogę, choć jak mu się wydawało, rozładował broń – zapominając o naboju w komorze.

Miał nadzieję, że Malone wyciągnął, ile się dało z wynajętych przez niego ludzi. Na tym polegał pomysł. A sposobność pojawiła się z chwilą, gdy dostrzegł Pam Malone zmierzającą w stronę domu. Przez radio powiadomił pozostającego na jego usługach najemnika, w jaki sposób może wykorzystać jej beztroskę, żeby dać jeszcze jaśniej do zrozumienia Cottonowi Malone, przekupując przy okazji bandziora obietnicą premii, jeśli zastrzeli drugiego z oprychów.

Na szczęście Malone zatroszczył się o to, że wypłata premii nie była konieczna.

Co jednocześnie oznaczało, że nie pozostał nikt żywy, kto łączyłby Sabre’a z czymkolwiek.

A nawet lepiej – Malone odzyskał syna, co powinno uspokoić najbardziej niebezpieczne instynkty jego przeciwnika.

Lecz nie oznaczało to wcale, że sprawa została zakończona.

W żadnym razie.

W rzeczywistości dopiero teraz tak na dobre się rozpoczynała.

CZĘŚĆ DRUGA

SIEDEMNAŚCIE

WIEDEŃ, AUSTRIA
ŚRODA, 5 PAŹDZIERNIKA
GODZINA 13.30

Sabre zatrzymał samochód przy bramie i opuścił szybę od strony kierowcy. Nie pokazał identyfikatora, ale ochroniarz od razu kiwnął ręką, przepuszczając go. Majestatyczne *château* znajdowało się trzydzieści kilometrów od centrum Wiednia, wśród zalesionych terenów nazywanych Lasem Wiedeńskim. Wzniesiona trzysta lat temu budowla o barokowych murach w kolorze ciemnej żółci i stromym dachu krytym alpejskim łupkiem mieściła siedemdziesiąt pięć przestrzennych sal i mniejszych komnat.

Przez przyćmione szyby audi, które przepuszczały tylko odrobinę promieni słonecznych, Sabre zauważył, że asfaltowy podjazd i boczne parkingi były puste. Jedynie strażnicy przy frontowej bramie i ogrodnicy zajmujący się pałacowymi ścieżkami zakłócali sielankową scenę.

Najwyraźniej rozmowa miała mieć charakter prywatny.

Zaparkował obok portyku i wysiadł z samochodu, dając się ponieść ciepłu wczesnego popołudnia. Po chwili zapiął jednak kurtkę z ekskluzywnego domu mody Burberry i podążył żwirową ścieżką w stronę motylarium – enklawy z żelaza i szkła, położonej sto metrów na południe od *château*. Pomalowane na zielono ściany wykonane z ogromnych tafli węgierskiego szkła kryły imponujące wnętrze pawilonu z XIX wieku, który doskonale komponował się z leśnym otoczeniem. W motylarium rosły setki egzotycznych roślin, a ich kwiaty były stołówką dla tysięcy motyli swobodnie fruwających w jego wnętrzu.

Sabre z impetem otworzył skrzypiące drzwi i wszedł do przedsionka bez posadzki. Skórzana kotara utrzymywała wewnątrz wysoką temperaturę i odpowiednią wilgotność powietrza.

Odepchnął kotarę.

Motyle tańczyły w powietrzu w rytm stłumionej muzyki instrumentalnej. Sabre był niemal pewien, że słyszy jeden ze znanych utworów Bacha. Wiele roślin znajdowało się w fazie kwitnienia, a sielankowa scena stanowiła uderzający kontrast z surowym obrazem jesieni, jaki zostawił za drzwiami pawilonu.

Właściciel pałacu i motylarium, Niebieskie Krzesło, siedział wśród obfitości listowia. Miał twarz człowieka, który pracował zbyt dużo, spał za mało i nie przykładał najmniejszej wagi do sposobu odżywiania. Miał na sobie tweedowy garnitur, a pod nim zapinany sweter. „Nie jest to chyba zbyt wygodne” – pomyślał Sabre, ale jak zauważył w milczeniu, zimnokrwiste istoty potrzebowały dużo ciepła.

Ściągnął kurtkę i podszedł do drewnianego fotelika.

– *Guten morgen, Herr* Sabre.

Usiadł i odwzajemnił powitanie. Najwidoczniej tego dnia ich wspólnym językiem będzie niemiecki.

– Rośliny, Dominick. Nigdy nie pytałem, ale co wiesz na ich temat?

– Tylko tyle, że produkują tlen z dwutlenku węgla.

Niebieskie Krzesło uśmiechnął się wyrozumiale.

– Nie uważasz, że robią dużo więcej? A kolory, ciepło, piękno?

Sabre spojrzał na przeniesiony z tropików deszczowy las, przeniósł wzrok na motyle i wsłuchał się w cichą muzykę. Nic go nie obchodziła kojąca estetyka, ale wiedział, że lepiej nie wyrażać tej opinii.

– Mają swoje miejsce w naturze – odpowiedział po prostu.

– Czy wiesz dużo na temat motyli?

Porcelanowy talerz, wysmarowany poczerniałym już miąższem banana, spoczywał na kolanach Niebieskiego Krzesła.

Owady, których skrzydła pyszniły się tysiącami barw, łapczywie ssały smakowite dla nich kąski.

– Przyciąga je zapach. – Niebieskie Krzesło delikatnie pogłaskał skrzydła jednego z motyli. – To naprawdę piękne stworzenia. Latające klejnoty, eksplodujące na tym świecie feerią kolorów. Niestety, żyją zaledwie kilka dni lub tygodni, zanim ponownie włączą się w łańcuch pokarmowy.

Do bankietu dołączyły cztery motyle o biało-złocistych skrzydłach.

– Ten gatunek jest bardzo rzadki. *Papilio dardanus*. Należy do rodziny paziowatych. Sprowadziłem jego poczwarki specjalnie z Afryki.

Sabre nie cierpiał owadów, ale starał się sprawiać wrażenie zainteresowanego i czekał.

– Czy w Kopenhadze wszystko poszło dobrze? – zapytał w końcu starzec.

– Malone wyruszył na poszukiwanie ogniwa.

– Tak jak przewidywałeś. Skąd wiedziałeś?

– Nie ma wyboru. Jeśli chce chronić syna, musi dotrzeć do ogniwa, żeby w ten sposób odsunąć zagrożenie. Ludzi takich jak on można łatwo rozpracować.

– Niewykluczone, że w końcu zda sobie sprawę, że jest przedmiotem manipulacji.

– Jestem pewien, że tak się stanie. W rzeczywistości jednak na koniec dojdzie do przekonania, że jest górą. Wątpię, żeby przyszło mu do głowy, że chciałem, aby ci ludzie ponieśli śmierć.

Na twarzy Niebieskiego Krzesła pojawiły się zmarszczki rozbawienia.

– Ta gra sprawia ci radość, mam rację?

– Ma w sobie pewne aspekty dające satysfakcję. – Sabre przerwał na chwilę. – Oczywiście kiedy odpowiednio prowadzi się grę.

Do motyli siedzących już na talerzu dołączyły następne.

– Na dobrą sprawę wszystko to przypomina te rzadkie stworzenia – skomentował Niebieskie Krzesło. – Objadają się, przyciągnięte pokusą łatwej uczty.

Kościste palce chwyciły skrzydła jednego z motyli, który gwałtownie zaczął otwierać przetchlinki i machać nóżkami, usiłując się uwolnić.

– Z łatwością mógłbym zabić ten okaz. Czy byłoby to trudne?

Niebieskie Krzesło zwolnił uchwyt. Pomarańczowo-żółte skrzydła rozpostarły się i motyl odleciał.

– Ale równie dobrze mogłem puścić go wolno. – Niebieskie Krzesło skoncentrował na nim wzrok pełen radosnego entuzjazmu. – Wykorzystaj instynkty Malone’a z pożytkiem dla nas.

– Taki właśnie jest plan.

– Co masz zamiar zrobić, kiedy ogniwo zostanie odnalezione? – chciał wiedzieć Niebieskie Krzesło.

– To zależy.

– Malone’a trzeba będzie zlikwidować.

– Mogę się tym zająć.

Niebieskie Krzesło rzucił na niego szybkie spojrzenie.

– On może stanowić prawdziwe wyzwanie.

– Jestem gotów.

– Mamy jednak problem.

Zastanawiał się, dlaczego został wezwany do Wiednia.

– Izraelczycy zostali zaalarmowani. Wygląda na to, że George Haddad wykonał kolejny telefon do kogoś na Zachodnim Brzegu, a żydowscy szpiedzy we władzach Autonomii Palestyńskiej przekazali tę informację do swojego łącznika w Tel Awiwie. Wiedzą więc, że on żyje, i zakładam, że wiedzą, gdzie on przebywa.

To zaś był problem.

– Krzesła są świadome zagrożenia i zatwierdziły prerogatywy, które ci przekazuję, dając ci wolną rękę, żebyś działał w taki sposób, jaki uznasz za stosowny.

Co zresztą Sabre tak czy inaczej planował uczynić.

– Jak wiesz, Żydzi kierują się zupełnie innymi motywami niż my. My chcemy zdobyć ogniwo, oni pragną, żeby ślad po nim zaginął.

Sabre przytaknął.

– Wysadzili w powietrze niewinnych Żydów w restauracji tylko po to, żeby zabić Haddada.

– Żydzi stanowią problem – oznajmił cichym głosem Niebieskie Krzesło. – Zawsze sprawiali kłopoty. Z tego, że są inni i uparci, wypływa ich bezbrzeżna duma.

Sabre zdecydował się pozostawić tę wypowiedź bez komentarza.

– Zamierzamy pomóc Żydom zakończyć ten problem.

– Nie zdawałem sobie sprawy z istnienia problemu.

– To nie my mamy problem, ale nasi arabscy przyjaciele. Musisz wyprzedzić Żydów. Nie można pozwolić, żeby się wmieszali.

– W takim razie muszę ruszać.

– Dokąd udał się Malone?

– Do Londynu.

Niebieskie Krzesło zamilkł na chwilę, koncentrując wzrok na owadach trzepoczących skrzydłami na jego kolanach. W końcu odgonił motyle.

– W drodze do Londynu będziesz musiał zatrzymać się w pewnym miejscu.

– Czy mam na to czas?

– Nie masz wyboru. Inny nasz informator w izraelskiej administracji ma informacje, które przekaże osobiście tylko tobie, i chce wziąć za to zapłatę.

– Czyż oni wszyscy tego nie chcą?

– On jest teraz w Niemczech. To nie zabierze dużo czasu. Poleć jednym z naszych korporacyjnych odrzutowców. Powiedziano mi, że ten człowiek bywa ckliwy. Naraził się, chociaż nie zdaje sobie z tego sprawy. Załatw z nim nasze rozliczenia.

Sabre zrozumiał, o co chodzi.

– Nie trzeba chyba dodawać, że są także inni, którzy będą obserwować. A zatem spraw, żeby spektakl zapadł w pamięć. Żydzi powinni zrozumieć, że stawka jest ogromna. – Niebieskie Krzesło przesunął się na foteliku, po czym skierował spojrzenie ponownie w stronę talerza. – Zdajesz sobie sprawę, co odbędzie się w ten weekend.

– Oczywiście.

– Potrzebne jest mi finansowe *dossier* pewnej osoby. Do piątku. Czy da się to zrobić?

Sabre znał właściwą odpowiedź, chociaż również na to nie miał czasu.

– Oczywiście.

Niebieskie Krzesło podał mu nazwisko osoby, na której temat należało zebrać informacje.

– Dostarcz tutaj dane, które zdobędziesz. Tymczasem rób to, co robisz najlepiej.

OSIEMNAŚCIE

WASZYNGTON
GODZINA 7.30

Stephanie postanowiła zostać w Waszyngtonie. Znajdowali się tutaj główni gracze, jeśli więc miała rzeczywiście pomóc Cottonowi Malone, musiała być blisko każdego z nich. Za pomocą laptopa i telefonu komórkowego połączyła się z centralą biura Magellan Billet w Atlancie i w tej chwili trójka agentów zmierzała do Danii. Dwóch innych przebywało już w Londynie, jeden zaś był w drodze do Waszyngtonu. Jej hotelowy pokój stał się tymczasowym sztabem dowodzenia.

Czekała od dwudziestu minut, a kiedy telefon na biurku w końcu zadzwonił, na jej twarzy pojawił się uśmiech. Wiele można było powiedzieć o Thorvaldsenie, ale z pewnością nie to, że był niepunktualny. Podniosła słuchawkę.

– Tak, Henriku.

– Skąd pewność, że to ja?

– Zadzwoniłeś o czasie.

– Spóźnianie się jest przejawem złych manier.

– Zgadzam się z tobą w całej rozciągłości. Czego się dowiedziałeś?

– Dostatecznie dużo, żeby uznać, że mamy problem.

Wczoraj Thorvaldsen wysłał szwadron detektywów, żeby prześledzili działania dwóch mężczyzn, którzy zginęli w Kopenhadze. Jednego z nich zastrzelił Malone, drugi zabił wcześniej agenta federalnego, co pozwoliło Henrikowi skorzystać z baz Europolu.

– Czy słyszałaś kiedyś o organizacji Orden des Goldenen Vliesses? O Zakonie Złotego Runa?

– To ekonomiczny kartel z Europy. Wiem o jego istnieniu.

– Muszę mieć dostęp przez Internet do twojego laptopa.

– Łącze jest ściśle tajne – odparła niefrasobliwie.

– Gwarantuję ci, że to, co wiem, zapewni mi wszelkie klauzule dostępności do tajemnicy.

Podała mu adres internetowy i po minucie na ekranie pojawiło się pięć fotografii. Trzy przedstawiały ujęcia portretowe, a dwie całe sylwetki. Pięciu mężczyzn było już dobrze po siedemdziesiątce, ich twarze wyglądały jak karykatury – pełne znużenia, uczuciowego chłodu i pozbawione wyrazu. Każdy z nich usiłował zachować pozory wyrafinowania i finezji – arystokratyczny nawyk ludzi przyzwyczajonych do postępowania tak, jak sobie życzą.

– Zakon Złotego Runa został ponownie sformowany pod koniec lat czterdziestych, tuż po tym, jak w Austrii przeprowadzono nacjonalizację przemysłu w duchu socjalistycznym. Zakon powstał w Wiedniu, a pierwsi członkowie rekrutowali się z grupy przemysłowców i finansistów. W następnej dekadzie poszerzono formułę i do składu dołączyli nowi fabrykanci i magnaci przemysłu wydobywczego, a także kolejni finansiści.

Stephanie przysunęła bliżej notatnik i wzięła długopis.

– Co masz na myśli, mówiąc „ponownie sformowany”?

– Nazwa pochodzi od francuskiego średniowiecznego zakonu, który w 1430 roku założył Filip III Dobry, książę Burgundii. Ale to bractwo rycerskie przetrwało zaledwie kilkadziesiąt lat. Przez stulecia pojawiały się próby jego reaktywowania, z kolei społeczny Zakon Złotego Runa wciąż istnieje w Austrii. Lecz ja mam na myśli ekonomiczny kartel o tej samej nazwie, który rzeczywiście stwarza zagrożenie.

Stephanie spojrzała na ekran laptopa, starając się zapisać w pamięci ponure twarze.

– Interesująca grupa – podjął Thorvaldsen. – Przedsięwzięcia i interesy zakonu reguluje rygorystyczny kodeks i równie formalistyczny statut. Liczba członków jest ograniczona do zaledwie siedemdziesięciu jeden osób. Ciałem kierowniczym jest krąg Pięciu Krzeseł. Tak zwane Niebieskie Krzesło kieruje zarówno kręgiem, jak i całym zakonem. Ludzie ci noszą szaty barwy karmazynowej, a na szyjach zawieszają złote medaliony. Na każdym medalionie widnieje krzesiwo i krzemień, z którego biją języki ognia otaczające złote runo. Efekt jest zaiste demoniczny.

Zgodziła się z tym stwierdzeniem.

– Musisz się czegoś dowiedzieć o pięciu postaciach, które widzisz na ekranie. Twarz u góry po lewej to austriacki przemysłowiec, Alfred

Hermann. Obecnie to on zasiada na Niebieskim Krześle. Ma na koncie wiele miliardów, jest też właścicielem europejskich hut i stalowni, kopalni w Afryce, plantacji kauczuku na Dalekim Wschodzie oraz bankowych karteli na całym świecie.

Thorvaldsen podał jej szczegóły na temat pozostałych członków kręgu. Jeden z nich był właścicielem pakietu kontrolnego banku VRN, który prowadził filie w Austrii, Niemczech, Szwajcarii i Holandii, ponadto miał udziały w firmach farmaceutycznych i samochodowych. Drugi dominował na europejskim rynku ubezpieczeń, będąc właścicielem znaczących firm inwestycyjnych działających w licznych państwach Unii Europejskiej. Trzeci był wyłącznym właścicielem przedsiębiorstw produkujących samoloty – dwóch francuskich i jednego belgijskiego, które plasowały się tuż za firmami amerykańskimi. Ostatni był, jak sam siebie określał, „królem betonu", a jego zakłady należały do przodujących wytwórców w Europie, Afryce oraz na Bliskim Wschodzie.

– To rzeczywiście groźna grupa – skomentowała Stephanie.

– Najdelikatniej mówiąc. Ci, którzy zasiadają na krzesłach, to klasyczne typy aryjskie. Zawsze zresztą dominowali członkowie z Niemiec, Szwajcarii i Austrii. Krzesła są wybierane spośród członków i zasiadają dożywotnio. Jednocześnie są też wskazywane Cienie, które natychmiast przejmują schedę w razie śmierci swojego Krzesła. Niebieskie Krzesło jest wybierany przez pozostałe Krzesła i również pełni tę funkcję do końca życia.

– Kwintesencja zła.

– I z tego są dumni. Wszyscy członkowie zbierają się dwa razy do roku na formalnym zgromadzeniu, raz późną wiosną, drugi raz tuż przed nadejściem zimy. Zjazdy odbywają się na terenie liczącej sto sześćdziesiąt lat posiadłości należącej do Alfreda Hermanna, położonej pod Wiedniem. Przez resztę roku sprawy są prowadzone przez Krzesła lub specjalnie powołane komisje. W strukturze występuje także kanclerz, skarbnik i sekretarz oraz personel pomocniczy, który pracuje na terenie *château* Hermanna. Organizacja ma bardzo sprawne struktury. Nie ma tu żadnych zbędnych parlamentarnych opóźnień ani obstrukcji.

Zapisała w notesie kilka informacji.

– Niebieskie Krzesło nie ma prawa głosu zarówno w kręgu, jak i podczas Walnego Zgromadzenia, chyba że brakuje rozstrzygnięcia.

Nieparzysta liczba siedemdziesięciu jeden członków i pięć Krzeseł stwarza taką możliwość.

Podziwiała w duchu wysiłek dochodzeniowy Thorvaldsena.

– Powiedz mi teraz coś o członkach zakonu.

–Większość to Europejczycy, choć jest też czterech Amerykanów, dwóch Kanadyjczyków, trzech Azjatów, Brazylijczyk i Australijczyk. Mężczyźni i kobiety. Już kilkadziesiąt lat temu struktura nabrała charakteru mieszanego. Nowi członkowie pojawiają się rzadko, ale długa lista oczekujących sprawia, że liczba siedemdziesiąt jeden pozostaje niezmienna.

Jedna rzecz ją zastanowiła.

– Dlaczego centrala znajduje się w Austrii?

– Z tych samych powodów, z jakich wielu z nas lokuje tam pieniądze. Określone przepisy austriackiej konstytucji zakazują złamania tajemnicy bankowej. A zatem pieniądze trudno wytropić. Zakon zaś jest sowicie finansowany. Członkowie w równym stopniu dokładają się do uchwalonego budżetu. W ostatnim roku budżet ten opiewał na sto pięćdziesiąt milionów euro.

– Na co przeznaczają tak wielkie przychody?

– Na to, na co ludzie od setek lat wydawali pieniądze, czyli na zdobywanie wpływów politycznych, głównie zmierzających do przyjęcia w Unii Europejskiej jednolitej waluty oraz do ograniczenia barier handlowych. Wejście do Wspólnoty krajów Europy Wschodniej również wzbudziło ich zainteresowanie. Odtwarzanie wolnorynkowej infrastruktury w Republice Czeskiej, na Słowacji i Węgrzech, w Rumunii i Polsce to duży biznes. Za pomocą odpowiednio ulokowanych ludzi członkowie zyskują więcej niż wynikałoby to z wielkości ich udziałów w kontraktach handlowych.

– Mimo to, Henriku, trudno co roku wydawać sto pięćdziesiąt milionów euro tylko na zapewnienie kontraktów oraz przekupywanie polityków.

– Masz rację. Grupa ta wyznaczyła sobie też większy cel.

Zaczynała się niecierpliwić.

– Czekam.

– Bliski Wschód. To ich priorytet.

– Skąd, na Boga, wiesz to wszystko?

Po drugiej stronie telefonicznego łącza zapadła cisza.

Stephanie czekała.

– Jestem członkiem zakonu.

DZIEWIĘTNAŚCIE

LONDYN
GODZINA 12.30

Malone schodził wraz z Pam po schodkach, opuszczając samolot rejsowy linii British Airways. Noc spędzili w Christiangade, później polecieli razem z Kopenhagi do Anglii, skąd Pam zamierzała wrócić do Georgii. Londyn był natomiast celem podróży Malone'a. Gary pozostał z Thorvaldsenem. Jego syn znał Henrika z dwóch poprzednich letnich wakacji, jakie spędził w Danii. Dopóki nie będzie w stanie stwierdzić precyzyjnie, co właściwie się dzieje, Malone był przekonany, że Christiangade jest najbezpieczniejszym miejscem dla Gary'ego. W celu zwiększenia bezpieczeństwa Thorvaldsen wynajął prywatną firmę ochroniarską, która patrolowała jego rezydencję. Pam nie była zbyt szczęśliwa z tej decyzji i nawet pokłócili się o to. W końcu jednak zrozumiała zasadność takiego postępowania, zwłaszcza uwzględniwszy to, co wydarzyło się w Atlancie. Kiedy sytuacja kryzysowa dobiegła końca, musiała wracać do pracy. Wyjechała w pośpiechu, nie zawiadamiając nawet swojej kancelarii. Nie bardzo chciała zostawiać tutaj Gary'ego, ale po namyśle przyznała, że Malone potrafi chronić go lepiej niż ona byłaby w stanie to kiedykolwiek uczynić.

– Żywię nadzieję, że wciąż jeszcze mam pracę – oświadczyła.

– Wyobrażam sobie, że rachunki za twoje nadgodziny są wystarczającą rekompensatą, żeby ci wybaczono. Zamierzasz im powiedzieć, co się wydarzyło?

– Muszę.

– W porządku. W takim razie powiedz im, co uznasz za stosowne.

– Dlaczego dalej się w to pchasz? – zapytała. – Dlaczego nie zostawisz spraw własnemu biegowi?

Zauważył, że najwyraźniej odespała już przygnębienie. Wielokrotnie przepraszała za wczorajsze wydarzenia, on zaś zupełnie porzucił myśl

o tym. Na dobrą sprawę nie chciał z nią rozmawiać, a dzięki zbyt późno dokonanej rezerwacji nie musieli siedzieć razem w samolocie. Z czego się ucieszył. Wciąż jednak były rzeczy, które należało powiedzieć na temat Gary'ego. Nieprzyjemne rzeczy. Teraz jednak nie była na to odpowiednia pora.

– To jedyny sposób, żeby to się nie powtórzyło – przekonywał. – Jeśli nie będę jedynym, który dysponuje wiedzą o istnieniu ogniwa, wtedy przestanę być celem. A przy okazji przestaniesz nim być ty i Gary.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytała Pam.

Nie bardzo wiedział.

– Przekonam się, kiedy dotrę na miejsce – udzielił zdawkowej odpowiedzi.

Kluczyli wśród tłumu pasażerów w zatłoczonej hali, kierując się w stronę terminalu, a cisza i zamyślone spojrzenia stanowiły czytelny sygnał, że lepiej będzie, jeśli się rozdzielą. Uśpione zmysły, wyćwiczone w ciągu dwunastu lat służby w Departamencie Sprawiedliwości, znów się obudziły. Malone zauważył coś dziwnego w samolocie. Mężczyznę. Siedział trzy rzędy przed nimi, po drugiej stronie. Sylwetka strąka fasoli, opalony na brązowo, ciemne policzki z kilkudniowym zarostem. Wsiadł w Kopenhadze. Coś w nim przyciągnęło uwagę Malone'a. Podczas lotu nie stwarzał żadnych problemów. Choć wysiadł z samolotu przed nimi, teraz znalazł się z tyłu za Pam i Cottonem.

I to stanowiło problem.

– Zastrzeliłeś wczoraj człowieka bez cienia wyrzutów sumienia – podjęła rozmowę Pam. – To naprawdę przeraża, Cotton.

– Stawką było życie Gary'ego.

– Na tym właśnie polegała twoja praca?

– Przez cały czas.

– Widziałam już dostatecznie dużo śmierci i więcej nie chcę.

On również nie chciał.

Ruszyli dalej. Widział, że intensywnie nad czym się zastanawiała. Zawsze potrafił rozpoznać, kiedy w jej głowie kłębiły się myśli.

– Nie wspomniałam o tym wczoraj – powiedziała – gdy to wszystko się działo, ale w moim życiu jest nowy mężczyzna.

Odczuł zadowolenie, zdziwił się jednak, dlaczego powiadamia go o tym.

– Minęło już sporo czasu, kiedy mówiliśmy sobie o takich rzeczach.

– Wiem. Ale on jest do pewnego stopnia kimś niezwykłym. – Uniosła rękę, odsłaniając nadgarstek. – Dał mi ten zegarek.

Sprawiała wrażenie dumnej z tego, postanowił więc trochę dogodzić jej próżności.

– TAG Heuer. Nieźle.

– Też tak myślałam. Sprawił mi tym ogromną niespodziankę.

– Dobrze cię traktuje?

Skinęła głową, przytakując.

– Lubię spędzać z nim czas.

Nie bardzo wiedział, co ma powiedzieć.

– Wspominam o tym tylko dlatego, żebyś wiedział, że być może nadeszła pora na zawarcie pokoju.

Weszli do hali przylotów, w której mrowił się tłum ludzi. Przyszedł czas, żeby ich drogi się rozdzieliły.

– Czy miałbyś coś przeciwko, gdybym ci towarzyszyła? – zapytała. – Samolot do Atlanty odlatuje dopiero za siedem godzin.

Na dobrą sprawę w duchu już przygotował się na powiedzenie jej „do widzenia”, pragnąc wyglądać przy tym nonszalancko.

– To nie jest dobry pomysł. Muszę to załatwić w pojedynkę.

Nie powiedział jednak tego, o czym oboje myśleli. Szczególnie po tym, co się stało wczoraj.

Przytaknęła.

– Rozumiem. Pomyślałam sobie tylko, że byłby to dobry sposób na spędzenie tego popołudnia.

Zdziwiło go to.

– Dlaczego chciałabyś pójść ze mną? Sądziłem, że wolisz trzymać się z dala od tego wszystkiego.

– O mały włos nie zginęłam z powodu tego ogniwa, jestem więc ciekawa. Poza tym, co miałabym robić tu na lotnisku?

Musiał przyznać, że wyglądała wspaniale. Młodsza od niego o pięć lat, ale sprawiająca wrażenie jeszcze młodszej. Jej twarz przypominała dawną Pam, początkowo bezradną, później niezależną, która mocno na niego oddziaływała i w jego oczach była nonszalancka. Rysy jej pokrytej piegami twarzy oraz niebieskie oczy wywołały w jego umyśle falę wspomnień.

Takich, które starał się mocno stłumić, zwłaszcza od momentu, kiedy w sierpniu poznał prawdę na temat tego, kto jest ojcem Gary’ego.

On i Pam byli małżeństwem przez wiele lat. Dzielili życie. Na dobre i na złe. On miał teraz czterdzieści osiem lat. Od roku był rozwiedziony, w separacji pozostawał przez blisko sześć lat.

Być może nadeszła pora, żeby mieć to już za sobą. Co się stało, to się nie odstanie. On również nie był aniołem. Zawarcie pokoju musiało jednak jeszcze poczekać.

– Lecisz z powrotem do Atlanty i trzymasz się z dala od kłopotów, jasne? – oznajmił stanowczo.

Uśmiechnęła się.

– Mogłabym to samo powiedzieć pod twoim adresem.

– W moim wypadku to niemożliwe. Ale jestem pewien, że ten nowy mężczyzna w twoim życiu ucieszy się, widząc cię w domu.

– Mimo to wciąż musimy porozmawiać, Cotton. Oboje unikaliśmy tego tematu.

– Musimy, ale jak będzie już po wszystkim. Póki co proponuję rozejm.

– Okay.

– Dam ci znać, jak sprawy się potoczyły, i nie martw się o Gary’ego. Henrik zatroszczy się o niego. Będzie go dobrze chronił. Masz zresztą numer telefonu, możesz więc sprawdzić sytuację, kiedy tylko zechcesz.

Pomachał do niej czule, chcąc dorównać jej uśmiechowi, po czym ruszył w stronę terminalu i postoju taksówek. Nie wziął z sobą torby. W zależności od tego, jak długo tutaj pozostanie, kupi sobie potrzebne rzeczy później, po tym, jak odnajdzie ogniwo.

Przed wyjściem z budynku musiał jednak coś sprawdzić.

Przy drzwiach wejściowych podszedł do stanowiska informacyjnego i wziął ze stojaka mapę miasta. Obrócił się, jak gdyby nigdy nic, i analizował mapę, jednocześnie podnosząc znad niej wzrok ku rzeszy pasażerów przemierzających szeroką halę terminalu.

Spodziewał się, że mężczyzna z samolotu będzie czekał, aż on wyjdzie, jeśli rzeczywiście go śledzi.

Zamiast tego jednak facet postanowił śledzić Pam.

Teraz Malone naprawdę się zaniepokoił.

Rzucił mapę na ladę i ruszył w poprzek terminalu. Pam weszła do jednej z licznych restauracji, najwyraźniej mając zamiar spędzić czas przy

posiłku lub kawie. Mężczyzna z samolotu zajął pozycję obserwacyjną w sklepie wolnocłowym, skąd miał niczym nieskrępowany widok na restaurację.

Interesujące. Najwyraźniej to nie Malone stanowił gwóźdź programu.

On również wszedł do restauracji.

Pam siedziała w boksie, on zaś podszedł do niej. Na jej twarzy pojawiło się zdziwienie.

– Zmieniłem zamiary. Dlaczego właściwie nie miałabyś mi towarzyszyć?

– Naprawdę bym chciała.

– Pod jednym warunkiem.

– Wiem. Mam trzymać buzię na kłódkę.

Stephanie raz jeszcze przeanalizowała w myślach słowa Thorvaldsena.

– Jesteś członkiem Zakonu Złotego Runa? – zapytała cichym głosem.

– Od trzydziestu lat. Zawsze traktowałem to wyłącznie jako sposób na zawieranie bliższych kontaktów z ludźmi dysponującymi pieniędzmi i władzą. Przynajmniej to robimy przez większość czasu.

– Jeśli akurat nie opłacacie polityków lub nie rozdajecie łapówek za intratne kontrakty.

– Przestań, Stephanie. Wiesz przecież, jak działa ten świat. To nie ja ustalam reguły. Biorę tylko udział w grze, dostosowując się do obowiązujących w niej zasad.

– Powiedz mi, co wiesz, Henriku. I proszę, żadnych bzdur.

– Moi detektywi dotarli do Amsterdamu, badając ślady dwóch ludzi, którzy zginęli wczoraj w Kopenhadze. Jeden z nich miał przyjaciółkę. Powiedziała nam, że jej chłopak pracował regularnie dla innego faceta. Raz nawet miała z nim styczność, a na podstawie opisu doszedłem do przekonania, że ja również go widziałem.

Stephanie wciąż czekała.

– Co interesujące, przez wiele lat na spotkaniach członków zakonu całkiem dużo mówiło się o zaginionej Bibliotece Aleksandryjskiej. Osoba, która zasiada na Niebieskim Krześle, Alfred Hermann, ma obsesję na tym punkcie.

– Czy wiesz dlaczego?

– Jest przekonany, że możemy nauczyć się bardzo dużo od naszych przodków.

W to raczej powątpiewała. Musiała jednak wiedzieć więcej.

– Jaki jest związek między zabitymi mężczyznami a zakonem?

– Mężczyzna opisany przez tę kobietę był obecny na zgromadzeniu zakonu. Nie jest naszym członkiem, został po prostu zatrudniony. Kobieta nie zna jego nazwiska, ale jej przyjaciel użył pewnego sformułowania, które ja również słyszałem. Klauen des Adlers.

Przetłumaczyła w myślach: Szpony Orła.

– Czy zamierzasz powiedzieć mi coś więcej?

– Skąd masz tę pewność?

W czerwcu, kiedy po raz pierwszy spotkała Thorvaldsena, on nie zachowywał się wobec niej zbyt życzliwie, co tylko zwiększało istniejące między nimi tarcia, ale od tamtej pory Stephanie nauczyła się, że nie wolno nie doceniać starego Duńczyka.

– W porządku. Powiedziałeś, że głównym obszarem zainteresowania zakonu jest Bliski Wschód. Co miałeś na myśli?

– Byłbym wdzięczny, gdybyś nie naciskała.

– Prędzej czy później będę musiała rozpocząć z tobą współpracę. Poza tym nie zamierzałeś mi tego wcale powiedzieć.

Thorvaldsen zachichotał.

– Jesteśmy do siebie podobni.

– Przestań, to mnie przeraża.

– Nie jest tak źle. Odpowiadając na twoje pytanie dotyczące Bliskiego Wschodu, powiem tak: niestety, świat arabski respektuje wyłącznie siłę. Oni wiedzą, jak się z nią obchodzić i mają przekonujące argumenty przetargowe, zwłaszcza ropę naftową.

Nie była w stanie dyskutować z tak sformułowanym wnioskiem.

– Kto jest wrogiem numer jeden Arabów? – zapytał Thorvaldsen. – Ameryka? Nie. Izrael. To zadra w ich tyłku, na której siedzą. Pośrodku ich świata. Państwo Żydów. Wydzielone w tysiąc dziewięćset czterdziestym

ósmym roku, kiedy niemal milion ludzi, jeśli dać wiarę relacjom Arabów, zostało zmuszonych do przesiedlenia. Palestyńczycy, Egipcjanie, Jordańczycy, Libańczycy oraz Syryjczycy przez stulecia na oczach świata ulegali Żydom. *Nakba*. Katastrofa. Tak to nazwali. Trafna nazwa.

Thorvaldsen przerwał na chwilę.

– Dla obu stron.

– I natychmiast wybuchła wojna – podjęła Stephanie. – Pierwsza z wielu.

– W każdej z nich, na szczęście, zwyciężył Izrael. W ciągu minionych sześćdziesięciu lat Izraelczycy przywiązali się do ich ziemi tylko dlatego, że Bóg obiecał Abrahamowi, że tak właśnie się stanie.

Przypomniała sobie fragment z Biblii, jaki przytoczył Brent Green.

Pan rzekł do Abrama: „Spójrz przed siebie i rozejrzyj się z tego miejsca, na którym stoisz, na północ i na południe, na wschód i ku morzu; cały ten kraj, który widzisz, daję tobie i twemu potomstwu na zawsze”.

– Obietnica Boga złożona Abrahamowi jest jednym z powodów, dla którego Palestynę oddano Żydom – oznajmił Henrik. – Miała to być rzekomo ojczyzna ich przodków, przekazana w spuściźnie przez samego Boga. Któż może się temu sprzeciwić?

– Przynajmniej jeden palestyński uczony, o którym wiem.

– Cotton powiedział mi o George’u Haddadzie oraz o bibliotece.

– Nie powinien był.

– Nie sądzę, żeby w tej chwili przejmował się twoimi zasadami. A ty obecnie nie należysz do jego faworytów.

Zasłużyła na to.

– Moje źródła w Waszyngtonie poinformowały mnie, że Biały Dom chce odnaleźć Haddada. Zakładam, że wiesz o tym.

Nie odpowiedziała.

– Nie wyobrażam sobie, żebyś zaprzeczyła albo potwierdziła taką informację, ale coś tam się dzieje, Stephanie. I to coś bardzo istotnego. Ludzie u władzy zazwyczaj nie marnują czasu na błahostki.

Zgodziła się z tym stwierdzeniem.

– Możesz wysadzać ludzi w powietrze, terroryzować ich każdego dnia, ale to niczego nie rozwiąże. Jeśli jednak masz coś, co chce posiąść twój wróg, albo też nie chcesz tego, czego chcą wszyscy inni, wtedy posiadasz

prawdziwą władzę. Znam Zakon Złotego Runa. Ma wpływy. I do tego właśnie zmierza Alfred Hermann. I oczywiście zakon.

– Do czego chcą to wykorzystać?

– Jeśli uderzenie trafi w serce Izraela, co może się zdarzyć, to świat arabski zacznie działać w celu odzyskania tego, co stracił. Każdy z członków zakonu zmierza do osiągnięcia zysków dzięki przyjaznym relacjom z Arabami. Sama już tylko cena ropy jest dostatecznym argumentem, żeby przyciągnąć ich uwagę. Ale nowe rynki dla ich towarów i usług... Czyż nie byłaby to jeszcze większa nagroda? Kto wie. Być może taka informacja zatrzęsłaby posadami izraelskiego państwa, które musiałoby wtedy koić niezliczone otwarte rany. Długotrwała obrona Izraela przez Amerykę jest dla niej kosztowna. Ile razy tak się działo? Naród arabski głosi, że Izrael powinien zostać zniszczony. Organizacja Narodów Zjednoczonych zastanawia się nad tą kwestią. Stany Zjednoczone dementują. Wszyscy wpadają w gniew. Wyciągają miecze z pochew. Wtedy ustępstwa i dolary musiałyby znów zostać rozdzielane, żeby uspokoić zaognione temperamenty. Wyobraź sobie, że to nie byłoby już potrzebne. Jak bardzo skłonny do ustępstw byłby wówczas świat, a zwłaszcza Ameryka?

Co zresztą mogłoby być dziedzictwem, jakie Larry Daley chciałby zapewnić prezydentowi.

– Cóż mianowicie mogłoby mieć taki potencjał? – zapytała Stephanie.

– Tego nie wiem. Ale ty i ja przed kilkoma miesiącami czytaliśmy pradawne dokumenty, które całkowicie zmieniły wszystko. Być może mamy do czynienia z czymś równie potężnym.

Miał rację, lecz tak naprawdę liczyła się rzeczywistość.

– Cotton powinien o tym wiedzieć.

– Dowie się, ale najpierw musimy poznać całą tę historię.

– Jak zamierzasz to zrobić?

– Zakon zbiera się w ten weekend na zimowym Walnym Zgromadzeniu. Nie zamierzałem brać w nim udziału, lecz teraz się tam wybieram.

DWADZIEŚCIA

LONDYN
GODZINA 13.20

Malone wysiadł z taksówki i przez chwilę obserwował spokojną ulicę. Było tutaj mnóstwo fasad budynków zwieńczonych spadzistymi dachami, skromne ogrodzenia oraz okienne parapety ozdobione skrzynkami z kwiatami. Każdy z tych malowniczych domów, pochodzących z lat 1910-1920, a więc z początku panowania króla Jerzego V, wydawał się błogim nawiązaniem do minionych czasów, miejscem, które stanowiło najlepszą kryjówkę dla moli książkowych oraz uczonych. George Haddad powinien być teraz w domu.

– To on tutaj mieszka? – zapytała Pam.

– Mam nadzieję. Nie kontaktowałem się z nim od blisko roku, a ten adres dostałem trzy lata temu.

Popołudnie było chłodne i suche. Wcześniej Malone przeczytał w „The Times”, że w Anglii wciąż panowała niezwykła jak na jesień susza. Mężczyzna z samolotu nie podążył za nimi z lotniska Heathrow, ale zapewne ktoś inny przejął to zadanie, gdyż ten typ z pewnością komunikował się ze swoimi mocodawcami. Teraz jednak nie dostrzegł żadnej taksówki w polu widzenia. Wciąż czuł się dziwnie, mając u boku Pam, ale w pełni zasłużył na to osobliwe uczucie. Sam się o to prosił, nalegając, żeby poszła z nim.

Weszli na ganek i wkroczyli do budynku. Malone na chwilę zatrzymał się w korytarzu, tak żeby nie było go widać, i obserwował ulicę.

Nie pojawił się jednak żaden samochód ani nawet przypadkowy przechodzień.

Z mieszkania na trzecim piętrze wydobył się dyskretny dźwięk dzwonka. Mężczyzna o oliwkowej skórze, który otworzył drzwi, był niski i korpulentny, miał grzywę popielato-białych włosów oraz kanciastą twarz.

Brązowe oczy emanowały życiem, kiedy rozpoznał gościa. Malone zauważył ślad tłumionej ekscytacji w szerokim powitalnym uśmiechu.

– Cotton! Cóż za niespodzianka. Myślałem o tobie któregoś dnia.

Wymienili serdeczne uściski dłoni, po czym Malone przedstawił Pam. Haddad zaprosił ich do środka. Światło dzienne wpadało tutaj przyćmione przez grube koronkowe firanki. Urządzenie wnętrza stanowiło zamierzoną dysharmonię – stało tu pianino, kilka kredensów, fotele z oparciami oraz lampy ozdobione jedwabnymi abażurami, był także dębowy stół, na którym gospodarz umieścił komputer otoczony stosami książek i dokumentów.

Haddad wykonał gest ręką, jak gdyby chciał objąć cały ten galimatias.

– To mój świat, Cotton.

Na ścianach wisiały mapy, w takiej liczbie, że szarozielony kolor, na jaki pomalowano wnętrze, był ledwie widoczny. Malone rozejrzał się wokół i szybko się zorientował, że mapy przedstawiają Ziemię Świętą, Półwysep Arabski i półwysep Synaj, dokumentując zarówno stan współczesny, jak i ważniejsze zmiany historyczne, jakie nastąpiły na tych terenach od starożytności. Niektóre mapy były fotokopiami, inne wyglądały na oryginalne, wszystkie wyglądały jednak interesująco.

– To jeszcze jedna z moich obsesji – oznajmił Haddad.

Po krótkiej i sympatycznej rozmowie na tematy ogólne Malone postanowił przejść do sedna.

– Sprawy uległy zmianie. Dlatego właśnie tutaj jestem.

Po czym wyjaśnił, co się wydarzyło poprzedniego dnia.

– Czy twojemu synowi nic się nie stało? – zapytał Haddad.

– Nic mu nie jest. Przed pięcioma laty nie zadawałem pytań, ponieważ nie na tym polegało moje zadanie. Teraz jednak sytuacja wymaga, żebym się dowiedział, o co w tym wszystkim chodzi.

– Ocaliłeś mi życie.

– Za co chyba zasłużyłem na poznanie prawdy.

Haddad zaprowadził ich do kuchni, gdzie zasiedli przy owalnym stole. Powietrze było tutaj chłodne i przesiąknięte zapachem wina oraz tytoniu.

– To skomplikowane, Cotton. Sam zrozumiałem to wszystko dopiero kilka lat temu.

Jakaś niewyraźna nić porozumienia zawiązała się między nimi. Stara przyjaźń może ulec atrofii. Ludzie się zmieniają. To co kiedyś łączyło dwoje ludzi, czasami staje się przeszkodą. Malone wiedział jednak, że

Haddad darzył go zaufaniem. On zaś pragnął wzajemności. W końcu stary człowiek przemówił. Malone słuchał, jak Haddad opowiadał im o wydarzeniach z 1948 roku, kiedy jako dziewiętnastolatek walczył w strukturach palestyńskiego ruchu oporu, starając się powstrzymać inwazję syjonistów.

– Zastrzeliłem wtedy wielu ludzi – kontynuował Haddad. – Jednego z nich nigdy jednak nie zapomnę. Przyszedł spotkać się z moim ojcem. Niestety, ten święty człowiek nieco wcześniej popełnił samobójstwo. Pojmaliśmy tego mężczyznę, biorąc go za syjonistę. Byłem młody, pełen nienawiści, niecierpliwy. On zaś opowiadał jakieś nonsensy, zastrzeliłem go więc.

W oczach Haddada zaiskrzyły się łzy.

– Był gwardianem, a ja go zabiłem, niczego się nie dowiedziawszy.

Palestyńczyk przerwał na chwilę.

– Później, pięćdziesiąt kilka lat później, odwiedził mnie inny gwardian.

Malone zastanawiał się nad znaczeniem tego, co słyszał.

– Pojawił się w moim domu, stojąc w ciemności i powtarzając te same słowa, które powiedział tamten wysłannik w 1948 roku:

– Jestem gwardianem.

Czy Haddada nie mylił słuch? To pytanie natychmiast pojawiło się w jego głowie.

– Z biblioteki? Czy chcesz mi wręczyć zaproszenie?

– Skąd o tym wiesz?

Opowiedział przybyszowi, co wydarzyło się dawno temu. Kiedy relacjonował zdarzenia z przeszłości, jednocześnie usiłował ocenić swojego gościa. Był to żylasty mężczyzna o czarnych jak węgiel, gęstych włosach, miał ogorzałą od słońca cerę, która nabrała faktury wyprawionej cielęcej skóry. Był ubrany schludnie, cechowały go też nienaganne maniery. Podobnie zresztą jak pierwszego wysłannika.

Młody mężczyzna siedział w milczeniu, a Haddad zdecydował, że tym razem on również okaże cierpliwość. W końcu gwardian przemówił.

– Zgłębialiśmy pańskie teksty i opublikowane prace badawcze. Pańską wiedzę na temat antycznych tekstów biblijnych, podobnie jak

pańską zdolność interpretacji oryginalnego języka hebrajskiego. Pańskie argumenty dotyczące ogólnie przyjętych przekładów Biblii również są przekonujące.

Docenił te komplementy, słyszał je bowiem rzadko, i to tylko wtedy, gdy mieszkał na Zachodnim Brzegu Jordanu.

– Istniejemy od starożytnych czasów. Bardzo dawno temu pierwsi gwardianie ocalili przed zniszczeniem ogromną część zasobów Biblioteki Aleksandryjskiej. Był to ogromny wysiłek. Tym, którzy naszym zdaniem zasługują na taką wspaniałomyślność, przedkładamy zaproszenie.

W głowie Haddada zrodziło się wiele pytań.

– Gwardian, którego zastrzeliłem, oznajmił, że wojna, jaką wtedy toczyliśmy, nie była konieczna – powiedział tylko. – Stwierdził, że istnieją rzeczy potężniejsze niż kule. Cóż miał na myśli?

– Tego nie wiem. Oczywiście pański ojciec nie zdołał pojawić się w bibliotece, nigdy więc nie mógł skorzystać z naszej wiedzy, my również nie skorzystaliśmy z jego wiedzy. Miejmy nadzieję, że pan nas nie zawiedzie.

– Co ma pan na myśli, mówiąc, że „nie zdołał pojawić się w bibliotece”?

– Żeby zyskać prawo do skorzystania z księgozbioru biblioteki, musi pan przejść przez „peregrynacje herosa”. – Przybysz wyciągnął kopertę. – Niech pan interpretuje te słowa, kierując się mądrością, a spotkam się z panem w progu, gdzie będę miał niewątpliwy honor wprowadzić pana do biblioteki.

Wziął kopertę.

– Jestem starym człowiekiem. W jaki sposób zdołam odbyć tak długą podróż?

– Z pewnością znajdzie pan dość sił.

– Dlaczego miałoby się tak stać?

– Ponieważ w bibliotece znajdzie pan odpowiedzi.

– Moim błędem było powiadomienie władz Palestyny o tej wizycie. Powiedziałem jednak prawdę, nie zdołałem dotrzeć do celu podróży. Kiedy zdawałem sprawę z tego, co się wydarzyło, sądziłem, że rozmawiam z przyjaciółmi na Zachodnim Brzegu Jordanu. Lecz szpiedzy Izraela

podsłuchiwali wszystko i następną rzeczą, o czym zresztą dobrze wiesz, była eksplozja w restauracji.

Malone przypomniał sobie tamten dzień. Jeden z tych, który wywołał największą grozę w jego życiu. Z trudem zdołali ujść z życiem.

– Co tam robiłeś? – zapytała go Pam, z dającym się wyczuć niepokojem w głosie.

– George i ja znamy się od wielu lat. Łączy nas zainteresowanie książkami. Przede wszystkim zaś Biblią. – Wskazał gestem na Haddada. – Ten człowiek jest jednym z najlepszych ekspertów w tej dziedzinie na świecie. Z radością korzystałem z jego wiedzy.

– Nigdy nie wiedziałam, że się tym interesowałeś – oznajmiła Pam.

– Najwyraźniej wiele jest jeszcze rzeczy, o których żadne z nas nie wiedziało. – Dostrzegł, że zrozumiała ukrytą między wierszami aluzję, pozwolił więc, żeby prawda zawisła w powietrzu. – Kiedy George wyczuł kłopoty i przestał ufać Palestyńczykom, poprosił mnie o pomoc. Stephanie wysłała mnie, żebym wybadał, co się dzieje. Po wybuchu bomby George chciał stamtąd uciec, ale w tajemnicy. Wszyscy wychodzili z założenia, że zginął w zamachu. Ja zaś pomogłem mu zniknąć.

– Kryptonim „aleksandryjskie ogniwo” – domyśliła się Pam.

– Ktoś jednak musiał dowiedzieć się o mnie – oznajmił Haddad.

Malone przytaknął.

–Było włamanie do danych w komputerze agencji. Tajne pliki nie zawierały jednak informacji o tym, gdzie mieszkasz. Jestem jedyną osobą, która wie coś o miejscu twojego pobytu. Dlatego właśnie przyszli po Gary’ego.

– Z tego powodu bardzo mi przykro. Nigdy nie chciałem narażać twojego syna.

– W takim razie powiedz mi, George, dlaczego różni ludzie chcą twojej śmierci?

– W tamtym czasie, kiedy odwiedził mnie gwardian, pracowałem nad pewną teorią dotyczącą Starego Testamentu. Wcześniej opublikowałem kilka artykułów poświęconych ówczesnemu stanowi wiedzy na temat tekstów biblijnych. Teraz jednak sformułowałem dodatkowe wnioski.

Zmarszczki w kącikach oczu Haddada się pogłębiły, a Malone obserwował, jak jego przyjaciel najwyraźniej zmagał się z własnymi myślami.

– Chrześcijanie zdają się koncentrować na Nowym Testamencie – podjął temat Haddad. – Żydzi natomiast korzystają ze Starego Testamentu. Ośmielam się twierdzić, że większość chrześcijan w niewielkim stopniu zna i rozumie Stary Testament. Poza poglądem, że Nowy Testament stanowi wypełnienie proroctw opisanych w Starym Testamencie. Ale Stary Testament jest ważny, a w jego treści można spotkać wiele niespójności i sprzeczności, i to takich, które są w stanie podać w wątpliwość niesiony przekaz.

Malone słyszał już wcześniej, jak Haddad mówił na ten temat. Teraz jednak wyczuł w tym coś ważnego i pilnego.

– Przykłady można mnożyć. W Księdze Rodzaju znajdujemy dwie sprzeczne wersje stworzenia świata, są też przedstawione dwie odmienne genealogie potomków Adama. Później mamy potop. Bóg nakazuje Noemu zabrać siedem par czystych zwierząt oraz jedną parę nieczystych. W innym ustępie tej samej księgi jest mowa tylko o jednej parze każdego gatunku. W jednym wersecie Noe wypuszcza kruka, żeby ten szukał lądu, w innym fragmencie ptakiem tym jest gołąb. Nawet czas trwania potopu jest różny: czterdzieści dni i nocy czy też trzysta siedemdziesiąt. Nie wspominając już o tuzinach podwojonych i potrojonych wersów przedstawiających te same fakty, jak choćby różne imiona stosowane na określenie Boga. W jednej części jest mowa o YHWH, *Yahweh*, a w innej występuje *Elohim*. Czy nie sądzicie, że przynajmniej imię Boga powinno być ujednolicone?

Przez pamięć Malone’a przemknęły wydarzenia sprzed kilku miesięcy we Francji, kiedy słyszał podobne zarzuty dotyczące czterech nowotestamentowych Ewangelii.

– Obecnie większość badaczy uważa – kontynuował Haddad – że Stary Testament został napisany przez dużą liczbę autorów w ciągu bardzo długiego czasu. Umiejętne połączenie rozmaitych źródeł przez skrybów, którzy kompilowali teksty. Wniosek ten należy uznać za absolutnie jednoznaczny, choć nie jest on niczym nowym. W dwunastym stuleciu hiszpański filozof był jednym z pierwszych badaczy, który zauważył, że fragment w Księdze Rodzaju: „A w kraju tym mieszkali wówczas Kananejczycy”, nie mógł być napisany ręką Mojżesza. Ponadto jakim cudem Mojżesz mógł być autorem wszystkich ksiąg Pięcioksięgu, skoro w ostatniej z nich opisano ze szczegółami dokładny czas oraz okoliczności jego śmierci? Pominąwszy liczne wyraźne niespójności. Jak choćby takie,

kiedy są stosowane nazwy miejscowości, po czym padają słowa, że miejsca te są wciąż rozpoznawalne po dziś dzień. Takie sformułowania absolutnie jednoznacznie wskazują na późniejsze wpływy, obejmujące redagowanie, rozszerzanie i stylistyczne poprawianie tekstu.

– I za każdym razem, gdy dochodziło do takich prac redakcyjnych – wtrącił Malone – coraz większe fragmenty pierwotnego przekazu ulegały utracie lub były przekłamywane.

– Niewątpliwie. Według najbardziej prawdopodobnych szacunków, Stary Testament został zebrany w całość między tysięcznym a pięćset osiemdziesiątym szóstym rokiem przed Chrystusem. Późniejsze redakcje pojawiły się między pięćsetnym a czterechsetnym rokiem przed naszą erą. Następnie tekst mógł ulec zmianom gdzieś około trzechsetnego roku przed Chrystusem, nikt nie wie tego na pewno. Wiemy natomiast bez cienia wątpliwości, że Stary Testament to prawdziwa składanka, której każdy segment został napisany w innych warunkach historycznych i politycznych, przedstawiając odmienne religijne zapatrywania.

– Doceniam to wszystko – skomentował Malone, raz jeszcze przywołując w myślach sprzeczności z Nowego Testamentu, o których słyszał we Francji. – Wierz mi, że naprawdę tak jest, ale nie ma w tym nic wywrotowego. Ludzie albo traktują Stary Testament jako Słowo Boże, albo też są przekonani, że jest to jedynie zbiór starożytnych opowieści.

– Ale co będzie, jeśli się okaże, że słowa te zostały zmienione w stopniu, który podważa pierwotne przesłanie? Jeśli, dajmy na to, Stary Testament w formie, jaką znamy, nie jest i nigdy nie był Starym Testamentem, jaki istniał w okresie jego powstania. Taki stan rzeczy mógłby zmienić bardzo dużo.

– Zamieniam się w słuch.

– To właśnie podoba mi się w tobie – podjął Haddad, uśmiechając się serdecznie. – Jesteś dobrym słuchaczem.

Malone dostrzegł wyraz twarzy Pam, która niekoniecznie się z tym zgadzała, ponieważ jednak dała mu wcześniej słowo, zachowywała milczenie.

– Ty i ja rozmawialiśmy już wcześniej o tym – podjął Haddad. – Stary Testament różni się znacznie od Nowego Testamentu. Chrześcijanie traktują tekst Nowego Testamentu w sensie dosłownym, uznając go nawet za relację historyczną. Ale opowieści zawarte w księgach patriarchów i w Księdze

Wyjścia oraz podbój krainy Kanaan nie znajdują potwierdzenia w historii. To po prostu pełne fantazji przedstawienie religijnej reformy, jaka wydarzyła się dawno temu w miejscu nazywanym Judeą. Trzeba przyznać, że są w tych relacjach ziarna prawdy, ale w przeważającym stopniu są to zmyślone opowieści, nie zaś historyczne fakty. Kain i Abel stanowią tutaj dobry przykład. W czasie, gdy zaczyna się opowieść, na ziemi żyło tylko czworo ludzi: Adam, Ewa, Kain i Abel. W Księdze Rodzaju czytamy jednak, że Kain zbliżył się do swojej żony, a ona poczęła. Ale skąd się wzięła jego żona? Czy była to Ewa, jego matka? Czyż to nie tłumaczyłoby nam wiele? Później, kiedy jest opisywane potomstwo Adama, w piątym rozdziale Księgi Rodzaju czytamy, że Mahalaleel żył osiemset dziewięćdziesiąt pięć lat, Jered osiemset, a Enoch trzysta sześćdziesiąt pięć. Później Abraham, który miał liczyć sobie sto lat, kiedy Sara powiła Izaaka, a miała wtedy lat dziewięćdziesiąt.

– Nikt nie bierze tych relacji dosłownie – odezwała się w końcu Pam.

– Pobożni Żydzi argumentowaliby, że jest wręcz przeciwnie.

– Co chcesz przez to powiedzieć, George? – zapytał Malone.

– Stary Testament w formie, w jakiej go znamy, jest rezultatem licznych przekładów. Język hebrajski tekstu oryginalnego wyszedł z użytku około pięćsetnego roku przed naszą erą. Żeby zatem zrozumieć Stary Testament, musimy albo zaakceptować tradycyjną żydowską interpretację, albo też szukać wskazań z nowoczesnych dialektów, które pochodzą od martwego już języka starohebrajskiego. Nie jesteśmy w stanie użyć pierwszej z metod, ponieważ żydowscy uczeni, którzy pierwotnie tłumaczyli ten tekst między pięćsetnym a dziewięćsetnym rokiem naszej ery, czyli jakieś tysiąc lub więcej lat po tym, jak tekst został napisany, nie znali nawet języka starohebrajskiego, opierali się więc w swojej rekonstrukcji głównie na zgadywaniu. Stary Testament, który wielu uznaje za Słowo Boże, nie jest niczym więcej niż tylko przypadkowym tłumaczeniem.

– George, ty i ja rozmawialiśmy już o tym wcześniej. A uczeni debatowali nad tą kwestią od setek lat. Nie jest to zatem nic nowego.

Haddad posłał mu chytry uśmiech.

– Ale ja jeszcze nie dokończyłem wyjaśnień.

DWADZIEŚCIA JEDEN

WIEDEŃ, AUSTRIA
GODZINA 14.45

W swoim *château* Alfred Hermann czuł się zazwyczaj jak w monumentalnym grobowcu. Tylko podczas obrad Walnego Zgromadzenia zakonu lub w trakcie spotkania kręgu ponura samotność tej budowli ulegała chwilowemu ożywieniu.

Tym razem nie odbywało się ani jedno, ani drugie.

Co sprawiało mu satysfakcję.

Własne apartamenty mieszkalne Alfred Hermann rozlokował w amfiladzie przestrzennych pomieszczeń na drugim piętrze *château*, a każda z tych sal przechodziła naturalnym ciągiem w drugą w stylu francuskim, czyli bez korytarzy. Zimowa sesja czterdziestego dziewiątego zgromadzenia miała być zainaugurowana za dwa dni, on zaś odczuwał zadowolenie z tego, że wszystkich siedemdziesięciu jeden członków Zakonu Złotego Runa będzie w nim uczestniczyć. Nawet Henrik Thorvaldsen, który początkowo oznajmił, że się nie pojawi, teraz potwierdził swoją obecność. Członkowie nie dyskutowali wspólnie od minionej wiosny, Alfred Hermann wiedział już jednak, że spotkanie to będzie uciążliwe i trudne. Jako Niebieskie Krzesło miał obowiązek zapewnić, żeby obrady były owocne i produktywne. Personel administracyjny zakonu pracował obecnie nad przygotowaniem sali konferencyjnej *château* – wszystko miało być gotowe na czas, gdy pod koniec tygodnia pojawią się tutaj członkowie – lecz Niebieskie Krzesło nie kłopotał się Walnym Zgromadzeniem. Jego myśli krążyły wokół sprawy poszukiwań Biblioteki Aleksandryjskiej. Było to coś, o czym marzył od dziesięcioleci.

Przeszedł przez pokój.

Model, jaki wiele lat temu polecił zbudować, zajmował północny narożnik sali konferencyjnej. Była to spektakularna miniatura

przedstawiająca Bibliotekę Aleksandryjską w takiej formie, jaką mogła mieć w czasach Juliusza Cezara. Przysunął krzesło bliżej i usiadł, skupiając wzrok na szczegółach, a jego myśli podążyły swobodnym torem.

Dwie kolumnady stanowiły dominujący element wystroju. Obie, o czym wiedział, były pełne posągów, na posadzkach spoczywały dywany, na ścianach wisiały kobierce. Na wielu siedzeniach biegnących wzdłuż korytarzy uczeni, członkowie biblioteki, spierali się o znaczenie słów czy też rytm wierszy albo pogrążali się w swarach na temat nowego odkrycia. Obie sale były zwieńczone dachem i otwierały się na boczne pomieszczenia, w których gromadzono papirusy, zwoje, a później również kodeksy umieszczone w pojemnikach, luźno zapakowane, przygotowane do sporządzenia sygnatur lub ułożone na półkach. W innych pomieszczeniach kopiści w skupieniu pracowali nad tworzeniem kopii i replik, które sprzedawano za odpowiednią zapłatą. Uczeni zatrudnieni w bibliotece otrzymywali wysokie pensje, byli zwolnieni z wnoszenia podatków, mieli także zapewniony wikt i opierunek. W budowli znajdowały się również sale wykładowe, pracownie naukowe, obserwatoria, a nawet ogród zoologiczny. Gramatycy i poeci zyskiwali najbardziej prestiżowe posady, z kolei medycy, matematycy i astronomowie – najlepsze wyposażenie i instrumenty. W architekturze przeważał zdecydowanie styl hellenistyczny, całość zaś przypominała monumentalną i pełną elegancji świątynię.

„Cóż za miejsce” – pomyślał Niebieskie Krzesło. – „Cóż za czasy”.

Tylko dwa okresy w historii rodzaju ludzkiego cechowały się radykalnym rozpowszechnianiem wiedzy w skali globalnej. Pierwszy raz nastąpiło to w czwartym stuleciu przed naszą erą, kiedy światem władała Grecja, drugi raz w renesansie, i trwa do dziś.

Niebieskie Krzesło podążył myślami ku czasom odległym o trzysta lat przed Chrystusem, do nagłej śmierci Aleksandra Wielkiego. Jego wodzowie podjęli wówczas walkę o przejęcie wielkiego imperium i w końcu państwo zostało podzielone na trzy części. Rozpoczęła się epoka hellenistyczna, okres dominacji w świecie cywilizowanym kultury greckiej. Jedną z tych części zdobył dla siebie pewien Macedończyk, człowiek obdarzony zdolnością myślenia perspektywicznego – Ptolemeusz, który w 304 roku przed naszą erą ogłosił się królem Egiptu, zakładając tym samym dynastię ptolemejską, a na stolicę swojego państwa obrał Aleksandrię.

Ptolemeusze byli intelektualistami. Ptolemeusz I zgłębiał historię. Ptolemeusz II poświęcił się zoologii. Ptolemeusz III stał się patronem literatury. Ptolemeusz IV pisał dramaty sceniczne. Każdy z nich wybierał czołowych uczonych i myślicieli na nauczycieli własnych dzieci oraz zachęcał wybitne umysły do zamieszkania w Aleksandrii.

Ptolemeusz I założył muzeum, miejsce, w którym mogli się spotykać uczeni mężowie, a żeby wesprzeć ich wysiłki, ufundował również bibliotekę. W czasach Ptolemeusza III, w 246 roku przed naszą erą, księgozbiór był umieszczony w dwóch miejscach – w pobliżu pałacu królewskiego, w Bruchejon, oraz w innym miejscu, mniejszym, które stanowiło sanktuarium boga Serapisa, znane pod nazwą Serapejon.

Ptolemeusze byli zdeklarowanymi kolekcjonerami książek i rozsyłali swoich emisariuszy po całym ówczesnym cywilizowanym świecie. Ptolemeusz II wykupił księgozbiór Arystotelesa. Ptolemeusz III wydał polecenie przeszukiwania wszystkich statków przybijających do portu w Aleksandrii. Gdy znajdowano papirusy lub zwoje, były one kopiowane – repliki zwracano właścicielom, a oryginały trafiały do biblioteki. Tematyka gromadzonych dzieł była zróżnicowana, począwszy od poezji i historii, przez retorykę, filozofię, religię, medycynę, nauki ścisłe, na prawie kończąc. Serapejon mieścił łącznie 43 tysiące zwojów udostępnianych publicznie, z kolei w muzeum, którego zbiory były zastrzeżone wyłącznie dla uczonych, zgromadzono blisko 700 tysięcy pergaminów i zwojów.

Cóż się stało z tym wszystkim?

Według jednej z hipotez, zbiory spłonęły, kiedy Juliusz Cezar toczył walki z Ptolemeuszem XIII w 48 roku przed naszą erą. Cezar rozkazał spalić królewską flotę, ogień jednak przeniósł się na miasto i prawdopodobnie pochłonął również bibliotekę. Inna wersja obwiniała chrześcijan, którzy mieli rzekomo zniszczyć główny księgozbiór w 272 roku naszej ery, a Serapejon w 391 roku, co było elementem działań służących ograniczeniu wpływów pogan w mieście. Ostatnia z teorii przypisuje Arabom dzieło zniszczenia biblioteki po tym, jak podbili Aleksandrię w 642 roku. Kalif Omar, gdy zapytano go o księgi w królewskiej skarbnicy, miał podobno powiedzieć: „Jeśli to, co zostało zapisane, jest zgodne z Księgą Boga, nie jest nam potrzebne. Jeśli jednak nie jest zgodne, nie jest też pożądane. Zniszczcie księgi”. Tym sposobem

przez sześć miesięcy zwoje wykorzystywano jako opał w aleksandryjskich łaźniach.

Hermann zawsze krzywił się na tę myśl. Jak można było po prostu spalić zwoje i księgi, w których zapisano największe osiągnięcia rodzaju ludzkiego?!

Lecz czy rzeczywiście tak się stało?

Kiedy Egipt stawał się w coraz większym stopniu obiektem społecznych niepokojów oraz agresji z zewnątrz, biblioteka z pewnością padła ofiarą prześladowań, gwałtowności pospólstwa i wojskowej okupacji, tracąc wcześniejsze specjalne przywileje.

Kiedy jednak została ostatecznie zniszczona?

Tego nie wiedział nikt.

Czy legenda miała coś wspólnego z prawdą? Grupa entuzjastów, jak chodziły słuchy, zdołała wydobyć zwój po zwoju, niektóre z nich kopiując, inne wykradając, w rezultacie stopniowo oraz metodycznie zachowując wiedzę dla potomnych. Kronikarze wspominali o ich istnieniu przez całe stulecia.

Gwardianie.

Alfred Hermann lubił sobie wyobrażać, co zdołali zachować dla potomnych ci pełni poświęcenia i zaangażowania entuzjaści. Nieznane prace Euklidesa? Platona? Arystotelesa? Augustyna? Obok niezliczonych innych uczonych mężów, których później uznano by za ojców różnych dyscyplin wiedzy i nauki.

Trudno było to rozstrzygnąć.

I dlatego właśnie poszukiwania były tak ekscytujące, nie wspominając już o teoriach George’a Haddada, który dostarczył Hermannowi dalszej inspiracji dla działań zakonu. Komitet Polityczny postanowił już wcześniej, w jaki sposób destabilizacja Izraela może zostać z pożytkiem wykorzystana. Plan biznesowy był zarówno ambitny, jak i całkiem realny, pod warunkiem oczywiście, że dociekania Haddada zyskają potwierdzenie w dowodach.

Przed pięcioma laty Haddad przedstawił relację z wizyty pewnej osoby, którą nazwał gwardianem. Szpiedzy Izraela przekazali tę informację do Tel Awiwu. Żydzi jednak zareagowali wówczas nadpobudliwie jak zawsze i natychmiast podjęli próbę zabicia Haddada. Na szczęście dla sprawy swoje trzy grosze wtrącili Amerykanie, a Haddad pozostał wśród żywych. Hermann był równie wdzięczny za to, że amerykańskie źródła polityczne

były teraz przekupne, potwierdzając ostatnio te fakty i dodając nowe. Z tego właśnie powodu Sabre wyruszył w ślad za Cottonem Malone.

Ale kto wiedział coś więcej? Być może Sabre zdołał wyciągnął więcej informacji od skorumpowanego Izraelczyka, który czekał na spotkanie w Niemczech?

Jedynym pewnym źródłem pozostawał George Haddad.

Należało więc koniecznie go odnaleźć.

DWADZIEŚCIA DWA

ROTHENBURG, NIEMCY
GODZINA 15.30

Sabre szedł uliczką wyłożoną kocimi łbami. Rothenburg leżał sto kilometrów na południe od Würzburga i był miastem otoczonym murami z kamiennymi szańcami i wieżami strażniczymi, które pamiętały czasy średniowiecza. Wewnątrz murów wąskie uliczki wiły się między domami wzniesionymi z muru pruskiego. Sabre szukał konkretnego budynku. Baumeisterhaus stał tuż obok rynku, w niewielkiej odległości od historycznej wieży zegarowej. Żelazny szyld informował, że budowlę wzniesiono w 1596 roku. W minionym stuleciu we wnętrzu trzykondygnacyjnego budynku otwarto zajazd z restauracją.

Sabre pchnął drzwi wejściowe. W środku przywitał go słodki zapach drożdży chlebowych oraz jabłecznika z cynamonem. Wąska sala jadalniana na parterze przechodziła w dwukondygnacyjny wewnętrzny dziedziniec, którego pobielone ściany były ozdobione porożami jeleni.

Jeden z informatorów zakonu czekał w dębowym boksie. Był to mężczyzna o szczupłej sylwetce, znany tylko pod imieniem Jonah. Sabre podszedł do niego i wsunął się do boksu. Na stoliku nakrytym obrusem w kolorze delikatnego różu stała porcelanowa filiżanka z kawą, a tuż obok w połowie zjedzone ciastko z owocami i kruszonką.

– Dzieją się dziwne rzeczy – powiedział Jonah po angielsku.

– To typowe dla Bliskiego Wschodu.

– Bardziej dziwne niż zazwyczaj.

Ten człowiek miał powiązania z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych i był pracownikiem placówki dyplomatycznej w Niemczech.

– Poprosiliście mnie, żebym wyszukał informacje na temat George’a Haddada. Wydaje się, że powstał ze zmarłych. Nasi ludzie działają niezwykle gorączkowo.

Sabre udawał brak zainteresowania.

– Co jest źródłem tych rewelacji?

– W ciągu kilku ostatnich dni telefonował do Palestyny. Chce im coś powiedzieć.

Sabre spotykał się już wcześniej z Jonahem, rozmawiali trzykrotnie. Ludzie tacy jak on, którzy przedkładali euro nad lojalność, byli użyteczni, ale jednocześnie wymagali ostrożności w kontaktach z nimi. Oszuści zawsze oszukują.

– Może przestałbyś kluczyć i powiedział mi to, co chcesz, żebym wiedział.

Mężczyzna upił łyk kawy.

– Zanim Haddad przed pięcioma laty zniknął, odwiedził go ktoś, kto nazywał siebie gwardianem.

Sabre wiedział już o tym, lecz się nie odezwał.

– Otrzymał wtedy pewne informacje. Nieco dziwne, lecz z upływem czasu stały się one jeszcze bardziej dziwne.

Sabre nigdy nie doceniał dramatyzmu, jaki starał się nadać swoim wypowiedziom Jonah.

– Haddad nie był pierwszym, który przeżył tego rodzaju epizod. Widziałem tajne akta. Od 1948 roku było trzech ludzi, którym złożyły wizytę osoby nazywające siebie gwardianami. Izrael dowiedział się o każdej z nich i wszyscy ci ludzie zginęli w ciągu kilku dni lub tygodni po wizycie. – Jonah przerwał na moment. – Jeśli sobie pan przypomina, Haddad o mały włos nie przeniósł się na tamten świat.

Powoli zaczynał rozumieć.

– Twoi rodacy ukrywają coś przed całym światem?

– Najwyraźniej tak.

– W jakim czasie następowały te wizyty?

– Mniej więcej raz na dwie dekady przez ostatnie sześćdziesiąt lat. Wszyscy byli akademickimi uczonymi: jeden był Żydem, a trzej pozostali Arabami, wliczając w to Haddada. Wszystkich mordów dokonali agenci Mosadu.

Sabre musiał poznać jeszcze kilka szczegółów.

– Jakim sposobem zdołałeś się dowiedzieć o tym wszystkim?

– Jak już powiedziałem, widziałem tajne akta. – Jonah zamilkł na chwilę. – Informacja wyszła kilka godzin temu. Haddad mieszka w Londynie.

– Potrzebny mi jest jego adres.

Jonah podał adres.

– Wysłano już ludzi z plutonu egzekucyjnego – dodał po chwili.

– Dlaczego chcą zabić Haddada?

– Zadałem ambasadorowi to samo pytanie. On wcześniej służył w Mosadzie i opowiedział mi całkiem interesującą historię.

– Zakładam, że właśnie dlatego się tutaj znalazłem?

Jonah posłał mu uśmiech.

– Wiedziałem, że jesteś bystry.

David Ben-Gurion zdał sobie sprawę, że jego polityczna kariera dobiegła końca. Od czasów, gdy jako słabowite dziecko mieszkał w Polsce, marzył o tym, żeby Żydzi otrzymali w końcu biblijną ojczyznę. Został później ojcem narodu Izraela i poprowadził go przez burzliwe lata od 1948 do 1963 roku, dowodząc w wojnach i udowadniając, że dysponuje cechami wielkiego męża stanu.

Ciężkie obowiązki, jak na człowieka, który na dobrą sprawę pragnął zostać intelektualistą.

Pochłaniał książki filozoficzne, studiował Biblię, wdał się we flirt z buddyzmem, nauczył się nawet starożytnej greki, chcąc czytać Platona w oryginale. Wykazywał również niewyczerpaną ciekawość do nauk przyrodniczych, przy tym nie cierpiał beletrystyki. Jego ulubionym sposobem komunikowania się były werbalne boje i utarczki, nie zaś wyrafinowane dialogi.

Mimo to nie był myślicielem abstrakcyjnym.

Wręcz przeciwnie – był człowiekiem twardym i żylastym, o pomarszczonej twarzy, z gęstą czupryną srebrzystych włosów. Zarys jego szczęki wyrażał silną wolę i wybuchowy temperament.

W maju 1948 roku ogłosił niepodległość Izraela, ignorując nadchodzące do ostatniej chwili upomnienia z Waszyngtonu i odrzucając katastroficzne przepowiednie najbliższych współpracowników. Teraz przypominał sobie, jak w ciągu kilku godzin po deklaracji siły zbrojne pięciu arabskich państw najechały Izrael, dołączając do palestyńskiej milicji w jawnej próbie wytępienia Żydów. Sam poprowadził izraelską armię. W walkach tych zginęły tysiące Żydów i Arabów. Ponad pół miliona

Palestyńczyków utraciło domy. W końcu Żydzi zwyciężyli, a wielu określiło Ben-Guriona mianem wcielonego Mojżesza, Króla Dawida, Garibaldiego oraz Boga Wszechmogącego razem wziętych. Później przez piętnaście lat stał na czele państwa. Teraz jednak był już rok 1965, on zaś dochodził osiemdziesięciu lat życia i czuł się znużony.

Co gorsza, pomylił się.

Spoglądał na majestatyczną bibliotekę. Ogrom zgromadzonej wiedzy. Człowiek, który sam się nazywał gwardianem, oznajmił mu, że peregrynacje okażą się wyzwaniem, jeśli jednak zakończy je powodzeniem, nagroda będzie bezcenna.

Posłaniec się nie mylił.

Ben-Gurion czytał kiedyś, że miarą wielkości idei jest to, w jakim stopniu dotyczy ona nie tylko swoich czasów, ale także przyszłości i przeszłości.

Jego epoka zaowocowała powstaniem nowoczesnego państwa izraelskiego, choć stało się to kosztem tysięcy ludzkich istnień – poza tym obawiał się, że wielu jeszcze zginie w przyszłych dekadach. Przeznaczeniem Żydów i Arabów była walka. Dawniej był przekonany, że jego cel był słuszny, a jego sprawa była sprawiedliwa. Lecz teraz zmienił zdanie.

Mylił się.

We wszystkim.

Ostrożnie wertował stronice ciężkiego woluminu leżącego na stole. Trzy takie tomy czekały na niego, kiedy dotarł na miejsce. Gwardian, który odwiedził go sześć miesięcy wcześniej, stał przy wejściu z szerokim uśmiechem na ogorzałej twarzy.

Ben-Gurion nigdy nawet nie śnił, że miejsce, w którym zgromadzono tyle wiedzy, mogło istnieć, a teraz był wdzięczny, że wrodzona ciekawość pozwoliła mu odważyć się na podjęcie peregrynacji.

– Skąd to wszystko pochodzi? – zapytał, wchodząc do wnętrza.

– Z serc i umysłów mężczyzn i kobiet.

Była to zagadka, a jednocześnie prawda, ale jako filozof zrozumiał te słowa.

– Ben-Gurion opowiedział tę historię w 1973 roku, kilka dni przed śmiercią – podjął relację Jonah. – Niektórzy byli zdania, że majaczył. Z kolei inni sądzili, że popadł w obłęd. Czegokolwiek się jednak dowiedział w bibliotece, zachował to dla siebie. Jeden fakt jest przy tym oczywisty. Polityka i poglądy Ben-Guriona dramatycznie się zmieniły po tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym roku. Stał się mniej wojowniczy i bardziej skłonny do ugody. Wezwał też do ustępstw na rzecz Arabów. Większość przypisywała to podeszłemu wiekowi, ale agenci Mosadu byli zdania, że kryło się za tym coś więcej. Do tego stopnia, że Ben-Gurion stał się w końcu podejrzanym – dlatego nigdy nie pozwolono mu na powrót do życia politycznego. Czy może pan to sobie wyobrazić? Ojciec Izraela trzymany na dystans.

– Kim jest gwardian?

Jonah wzruszył ramionami.

– W tajnych dokumentach nie ma na ten temat mowy. Jakimś sposobem Mosad zdołał się jednak dowiedzieć o każdej z czwórki osób, które zostały odwiedzone przez gwardiana, i zadziałał szybko. Bez względu na to, o kogo chodzi, Izrael nie życzy sobie, żeby ktokolwiek z nimi rozmawiał.

– Twoi rodacy postanowili wyeliminować Haddada?

Jonah przytaknął.

– To jasne jak słońce.

Sabre usłyszał już dość, wysunął się więc z boksu.

– A co z moją zapłatą? – pospiesznie zapytał Jonah.

Sabre wyciągnął kopertę z kieszeni i rzucił ją na stół.

– To powinno wyrównać bieżące saldo. Daj nam znać, kiedy będziesz miał coś więcej do powiedzenia.

Jonah schował pieniądze do kieszeni.

– Będziesz pierwszym, który się o tym dowie.

Sabre patrzył, jak jego informator wstał i ruszył, ale nie do drzwi wejściowych, tylko w stronę niszy, gdzie znajdowały się toalety. Zdecydował, że jest to równie dobra sposobność jak każda inna, dlatego podążył w ślad za nim.

Przy drzwiach do toalety się zawahał.

Restauracja była w połowie zapełniona gośćmi, słabo oświetlona. Panował w niej hałas, a ludzie siedzący przy stołach byli zajęci sobą, rozmawiając dość głośno w kilku językach.

Wszedł do środka, zamknął drzwi i szybko rozejrzał się dookoła. Dwie kabiny, umywalka i lustro, bursztynowe światło z jarzącej się świetlówki. Jonah zajął pierwszą kabinę, druga była pusta. Sabre chwycił garść papierowych ręczników i czekał, aż ucichnie dźwięk wody spływającej ze spłuczki. Wyciągnął z kieszeni nóż. Jonah wyszedł z kabiny, zapinając zamek od spodni.

Sabre obrócił się i wbił nóż w tors mężczyzny, obracając ostrze do góry, a drugą dłoń, w której trzymał papierowe ręczniki, przycisnął do rany. Patrzył, jak oczy Izraelczyka najpierw wypełniły się grozą, następnie dostrzegł wywrócone białka. Przytrzymał ręczniki na ranie, gdy wyciągał nóż.

Jonah osunął się na posadzkę.

Wyciągnął kopertę z kieszeni mężczyzny i wytarł ostrze o jego spodnie. Szybko chwycił martwego Jonaha pod ramiona i wciągnął krwawiące ciało do kabiny, podsadzając zwłoki na muszlę klozetową.

Zamknął drzwi od kabiny i wyszedł.

Na zewnątrz Sabre podążył za przewodniczką, która prowadziła grupę turystów w stronę miejskiego ratusza. Starsza kobieta wskazała na historyczną siedzibę rajców miejskich i opowiadała o długiej historii Rothenburga.

Zawahał się na moment, ale słuchał dalej. Dzwony wybijały właśnie godzinę szesnastą.

– Jeśli spojrzycie teraz na zegar, zobaczycie dwa okna w kształcie wolich oczu po lewej i prawej stronie tarczy zegara.

Wszyscy się obrócili i obserwowali moment, kiedy okna się otworzyły. Pojawiła się wtedy mechaniczna postać zamontowana na górze i opróżniła kufel napełniony winem, podczas gdy druga postać przyglądała się temu. Przewodniczka wciąż opowiadała o historycznej randze miasta. Trzaskały migawki aparatów fotograficznych. Było słychać brzęczenie kamer. Cała scenka trwała około dwóch minut. Kiedy Sabre się oddalił, dostrzegł jednego z turystów, mężczyznę, który odwrócił obiektyw aparatu od wieży zegarowej i skoncentrował uwagę na jego odejściu.

Uśmiechnął się.

Wystawianie się na tego rodzaju dekonspirację zawsze bywa ryzykowne, kiedy zdrada staje się faktem. Na szczęście usłyszał wszystko,

czego należało się dowiedzieć od Jonaha. Co wyjaśniało, dlaczego fakty te za wszelką cenę usiłowano utrzymać w sekrecie. Izraelczycy wiedzieli jednak teraz, że Jonah był wtyczką. Niebieskie Krzesło zdawał się tym nie przejmować, przekazał mu przecież specjalne instrukcje, żeby Sabre zapewnił „dobre widowisko”. Co zresztą uczynił.

Zarówno dla Izraelczyków, jak i Alfreda Hermanna.

DWADZIEŚCIA TRZY

LONDYN
GODZINA 14.30

Malone czekał, aż George Haddad skończy wyjaśnienia. Jego stary przyjaciel jednak kluczył.

– Sześć lat temu napisałem artykuł – kontynuował Haddad. – Dotyczył pewnej teorii, która mówiła o tym, w jaki sposób Stary Testament został pierwotnie przetłumaczony z języka starohebrajskiego.

Haddad opowiedział im o *Septuagincie*, która powstała między III a I wiekiem przed naszą erą i była najstarszą oraz najpełniejszą interpretacją Starego Testamentu, przetłumaczoną na grekę. Przekładu tego dokonano w Bibliotece Aleksandryjskiej. Następnie opisał też *Codex Sinaiticus* – rękopis zawierający Stary i Nowy Testament, pochodzący z czwartego stulecia po Chrystusie, wykorzystany później przez wielu uczonych do potwierdzenia innych biblijnych tekstów, nawet mimo tego, że nikt nie wiedział na pewno, czy był to tekst wierny oryginałowi i poprawny. Z kolei *Wulgata*, która powstała w mniej więcej tym samym czasie i była dziełem świętego Hieronima, stanowiła pierwszy przekład z języka hebrajskiego bezpośrednio na łacinę i stała się głównym źródłem odniesienia dla zmian, jakie wniesiono w XVI, XVIII i XX wieku.

– Nawet Marcin Luter – kontynuował Haddad – majstrował przy *Wulgacie*, usuwając niektóre ustępy na potrzeby wyznania luterańskiego. Ostateczne znaczenie tłumaczonych wersji zostało więc w dużym stopniu pogmatwane. Wiele uczonych głów zmieniało znaczenie tego przekazu. *Biblia Króla Jakuba*. Wielu uważa, że zawiera oryginalny przekaz, ale powstała ona dopiero w siedemnastym stuleciu po przekładzie *Wulgaty* na język angielski. Ci tłumacze nigdy nie widzieli oryginalnych hebrajskich tekstów. A nawet jeśli je widzieli, to jest bardzo mało prawdopodobne, że byli w stanie je zrozumieć. Cotton, Biblia, jaką dziś znamy, to piąta przetłumaczona wersja pierwszego tekstu powstałego w formie pisemnej.

Biblia Króla Jakuba uznaje sama siebie za wersję autoryzowaną i pierwotną. Ale to nie oznacza wcale, że jest autentyczna, oryginalna ani nawet prawdziwa.

– Czy istnieje jakaś Biblia w języku hebrajskim? – zaciekawiła się Pam.

Haddad przytaknął.

– Najstarszą, jaka przetrwała, jest Kodeks z Aleppo, który uratowano od zniszczenia w Syrii w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku. Jest to jednak manuskrypt powstały w dziesiątym stuleciu po Chrystusie, a zatem blisko dwa tysiące lat po tym, jak oryginalny tekst nieznanego autorstwa ujrzał światło dnia.

Malone widział kiedyś ten manuskrypt, sporządzony na rozsypującym się już, pożółkłym pergaminie, zapisany wyblakłym brązowym atramentem w Żydowskiej Bibliotece Narodowej i Uniwersyteckiej w Jerozolimie.

– W moim artykule – podjął temat Haddad – przedstawiłem hipotezę, w jaki sposób określone manuskrypty pomogłyby w rozstrzygnięciu tych dylematów. Wiemy, że Stary Testament był przedmiotem dociekań starożytnych filozofów w Bibliotece Aleksandryjskiej. Ludzi, którzy rozumieli język starohebrajski. Wiemy też, że swoje przemyślenia przelali oni na papier. Istnieją pewne odniesienia, a także cytaty i fragmenty w manuskryptach, które zdołały przetrwać, lecz niestety, oryginalne teksty zaginęły. Co więcej, mogą istnieć starożytne teksty żydowskie – wiemy, że w bibliotece było ich wiele. Masowe niszczenie żydowskich pism stało się działaniem powszechnym później, dotyczy to zwłaszcza Starego Testamentu napisanego po hebrajsku. Sama tylko inkwizycja spaliła dwanaście tysięcy egzemplarzy Talmudu. Już samo przeanalizowanie tego faktu może okazać się decydującym czynnikiem, żeby rozstrzygnąć wszelkie wątpliwości.

– Jakie to ma znaczenie? – zainteresowała się Pam.

– Ma. I to bardzo duże – odparł Haddad. – Zwłaszcza jeśli teksty te obarczone są błędami.

– Jakie to ma znaczenie? – Tym razem zapytał Malone, tracąc powoli cierpliwość.

– Mojżesz powodujący rozstąpienie się wód Morza Czerwonego. Księga Wyjścia. Księga Rodzaju. Dawid i Salomon. Archeolodzy z osiemnastego stulecia z zapałem przekopywali Ziemię Świętą, pragnąc udowodnić, że w Biblii są opisane fakty historyczne. Nie znaleziono jednak

nawet jednej skorupy, która stanowiłaby fizyczny dowód potwierdzający jakąkolwiek relację zawartą w Starym Testamencie. Dobrym przykładem jest Księga Wyjścia. Rzekomo tysiące Izraelitów wędrowały po pustyni na półwyspie Synaj. Tworzyli osady opisane ze szczegółami w Biblii. Miejsca, które powinno się odnaleźć jeszcze dzisiaj. Ale nikt nigdy nie znalazł nawet fragmentu ceramiki, żadnej bransoletki – niczego, co pochodziłoby z tamtych czasów i potwierdziło fakty opisane w Księdze Wyjścia. Z takim samym całkowitym brakiem dowodów mamy do czynienia, gdy archeologia podjęła próby potwierdzenia innych biblijnych wydarzeń. Czy nie uważacie tego za dziwne? Czyż nie powinny przetrwać jakieś pozostałości po choćby jednym z wydarzeń opisanych w Starym Testamencie, zagrzebane gdzieś w ziemi?

Malone wiedział, że Haddad, podobnie jak wielu ludzi, cenił Biblię jedynie w takim zakresie, w jakim znajdował w niej fakty historyczne. Zgodnie z tym podejściem, Pismo Święte zawierało okruchy prawdy, choć niezbyt liczne. Cottonem również targały wątpliwości. Na podstawie własnej lektury doszedł do wniosku, że ci, którzy bronili opowieści biblijnych jako relacji historycznych, w dużo większym stopniu opierali się na przesłankach teologicznych niż naukowych.

Jakie jednak implikacje pociągało to za sobą?

– George, opowiadałeś mi o tym wszystkim już wcześniej, a ja zgadzam się z tobą. Teraz jednak muszę wiedzieć, cóż jest tak ważne, że stawką stało się twoje życie?

Haddad wstał od stołu i poprowadził ich do map rozwieszonych na ścianie.

– Ich zgromadzenie zajęło mi pięć lat. To nie było łatwe. Wyznaję ze wstydem, że kilka z nich wykradłem.

– Skąd? – zainteresowała się Pam.

– Głównie z bibliotek. Większość tych instytucji nie pozwala na robienie fotokopii rzadkich ksiąg. Poza tym przy kopiowaniu traci się szczegóły, a w rzeczywistości to właśnie szczegóły liczą się tutaj najbardziej.

Haddad podszedł do mapy, która prezentowała granice współczesnego państwa Izrael.

– Kiedy państwo to było formowane w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku, a syjoniści otrzymali rzekomo należną im część, mówiło się

dużo i głośno o przymierzu Abrahama. O słowach Boga, że region ten – tu Haddad przyłożył palec do mapy – a ściślej ta ziemia, należał rzekomo do Abrahama.

Malone przyjrzał się biegowi granic.

– Kiedy dość dobrze poznałem język starohebrajski, zgłębiłem wiedzę. Być może za bardzo. Trzy dekady temu dostrzegłem coś interesującego. Zrozumienie tego odkrycia wymaga jednak poznania dziejów Abrahama.

Malone znał jego dzieje.

– W Księdze Rodzaju – podjął wątek Haddad – czytamy o zdarzeniu, jakie wywarło przemożny wpływ na dzieje świata. Być może był to nawet najważniejszy epizod w dziejach ludzkości.

Malone słuchał, gdy Haddad opowiadał o Abramie, który wyruszył w podróż z ojczystej Mezopotamii do kraju Kanaan, wędrując przez różne ziemie i krainy, czołobitnie i pokornie wysłuchując nakazów Boga. Jego małżonka, Saraj, pozostawała niebrzemienną i w końcu zasugerowała Abrahamowi, żeby związał się z jej ulubioną służącą, egipską niewolnicą imieniem Hagar, która pozostawała z nimi od czasu, gdy jej ród został wypędzony z Egiptu przez faraona.

– Narodziny Ismaela – kontynuował Haddad – pierwszego syna Abrama spłodzonego z Hagar, stały się wydarzeniem o fundamentalnym znaczeniu w siódmym wieku naszej ery, kiedy na ziemiach Półwyspu Arabskiego formowała się nowa religia. Islam. Koran nazywa Ismaela apostołem i prorokiem. Był najbardziej akceptowany w oczach swojego Boga. Imię Abram pojawia się w dwudziestu pięciu surach Koranu, na ogólną liczbę stu czternastu takich rozdziałów. Po dziś dzień imiona Ibrahim oraz Isma’il są najpopularniejszymi imionami wśród muzułmanów. Sam Koran nakazuje muzułmanom wyznawać religię Abrahama.

– On nie był żydem ani chrześcijaninem, wyznawał jednak prawdziwą wiarę i nie brał innych bogów przed Bogiem.

– Dobrze, Cotton. Widzę, że zgłębiałeś Koran, odkąd ostatnio rozmawialiśmy z sobą.

Malone się uśmiechnął.

– Czytałem coś raz, może dwa razy. Fascynująca lektura.

– Koran nie pozostawia wątpliwości, że to Abraham i Isma’il położyli fundamenty pod Dom.

– Kaaba – wtrąciła Pam. – Świątynia będąca obiektem największego kultu w islamie.

Malone był pod wrażeniem.

– Kiedy zgłębiałaś wiedzę o islamie?

– Nie zgłębiałam. Ale oglądam *History Channel*.

Dostrzegł jej uśmiech.

– Kaaba znajduje się w Mekce. Dorośli muzułmanie są zobowiązani do odbycia pielgrzymki do świątyni, to tak zwany *hadżdż*. Problem polega na tym, że kiedy każdego roku gromadzą się tam miliony wiernych, setki z nich są zadeptywane na śmierć. W gazetach rokrocznie pojawiają się tego rodzaju wiadomości.

– Arabowie, szczególnie zaś Arabowie muzułmanie, wywodzą swoje korzenie od Ismaela – dodał Haddad.

Malone wiedział, co stało się później. Trzynaście lat po narodzinach Ismaela Bóg obwieścił Abramowi, że stanie się patriarchą wielu narodów. Najpierw nakazał mu zmienić imię na Abraham, a Saraj na Sara. Później Bóg zwiastował Sarze, że urodzi syna. Ani Sara, ani Abraham nie dawali wiary w słowa Boga, lecz przed upływem roku na świat przyszedł Izaak.

– Dzień tych narodzin jest być może najważniejszym dniem w dziejach rodzaju ludzkiego – skomentował Haddad. – Później wszystko już było inaczej. Biblia i Koran różnią się w wielu punktach, jeśli chodzi o Abrama. Każde ze świętych pism podaje odrębną wersję. Według Biblii Bóg oznajmił Abrahamowi, że wszystkie ziemie wokół niego, kraj Kanaan, będą należeć do niego oraz jego potomka, Izaaka.

Malone znał ciąg dalszy. Bóg ponownie objawił się Jakubowi, synowi Izaaka, i powtórzył obietnicę o ziemi, oznajmiając, że Jakub da początek narodowi, do którego kraj Kanaan będzie należał na wieki. Bóg nakazał też zmienić Jakubowi imię na Izrael. Z dwunastu synów Jakuba powstało dwanaście odrębnych plemion, których wspólnotę utrzymywało przymierze między Bogiem i Abrahamem. Oni też pozakładali własne rody, które stały się dwunastoma plemionami Izraela.

– Abraham jest ojcem wszystkich trzech głównych religii świata – ponownie podjął temat Haddad. – Islam, judaizm i chrześcijaństwo właśnie w nim doszukują się swoich korzeni, chociaż w wypadku każdej z nich dzieje życia Abrahama przebiegają odmiennie. Cały konflikt na Bliskim Wschodzie, który ciągnie się już od tysięcy lat, to w istocie spór o to, która

z tych wersji jest prawdziwa oraz której religii przyznano boskie prawo do tej ziemi. Arabom przez Izraela. Izraelczykom przez Izaaka. Chrześcijanom za sprawą Chrystusa.

Malone przypomniał sobie stosowny ustęp z Biblii.

– *Pan rzekł do Abrama: „Wyjdź z twojej ziemi rodzinnej i z domu twego ojca do kraju, który ci ukażę. Uczynię bowiem z ciebie wielki naród, będę ci błogosławił i twoje imię rozsławię: i staniesz się błogosławieństwem. Będę błogosławił tym, którzy tobie błogosławić będą, a tym, którzy tobie będą złorzeczyli, i Ja będę złorzeczył. Przez ciebie będą otrzymywały błogosławieństwo ludy całej ziemi”*.

– Mówisz te słowa z przekonaniem – skomentowała Pam.

– Gdyż są pełne znaczenia – zauważył Haddad. – Żydzi wierzą, że to im przyznano wyłączne prawo do Palestyny. Większość dorosłego życia spędziłem na zgłębianiu Biblii. To zdumiewająca księga. To, czym Pismo Święte wyróżnia się od innych epickich opowieści, jest całkiem proste. Nie ma w tym nic mitycznego ani magicznego. Biblia koncentruje się na ludzkiej odpowiedzialności.

– Jest pan osobą wierzącą? – zapytała Pam.

Haddad zaprzeczył ruchem głowy.

– W religię? Nie. Zbyt wyraźnie dostrzegam próby manipulacji z jej strony. W Boga? To inna sprawa. Ale widziałem też boskie zaniechania. Urodziłem się w wierze islamskiej. Mój ojciec był muzułmaninem, podobnie jak jego ojciec. Ale po wojnie w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku coś przyciągnęło moją uwagę. Wtedy właśnie Biblia stała się moją pasją. Zapragnąłem przeczytać ją w wersji oryginalnej. Chciałem poznać jej prawdziwy przekaz.

– Dlaczego Izraelczycy pragną twojej śmierci? – zapytał Malone.

– Są potomkami Abrahama. Tymi, którym Bóg obwieścił, że są przez niego błogosławieni, a których wrogom on złorzeczy. Miliony zginęły przez wieki, a tysiące w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat tylko dlatego, żeby dać dowód prawdziwości tych słów. Ostatnio, Cotton, zaangażowałem się w pewną debatę. Pewien niezwykle arogancki człowiek w miejscowym pubie powiedział mi, że Izrael dysponuje absolutnym prawem do istnienia. Wymienił sześć argumentów, które wiązały się kolejno z archeologią, historią, pragmatyzmem, humanizmem, obroną i co jego zdaniem było najważniejsze, z odziedziczonym prawem.

Haddad przerwał na chwilę.

– Z odziedziczonym prawem, Cotton. Biblijnym prawem. Z przymierzem Abrahama. Ziemią nadaną przez Boga ludowi Izraela, jak głoszą w glorii słowa Księgi Rodzaju.

Malone czekał.

– A jeśli to wszystko jest nieprawdą? – Haddad skierował rozpalone spojrzenie na mapę Izraela, obok której wisiała mapa Arabii Saudyjskiej.

– Niech pan kontynuuje – odezwał się obcy głos.

Cała trójka obróciła się w stronę, z której dobiegły te słowa.

W progu stał niski mężczyzna w okularach, z wyraźnymi już zakolami na głowie. Obok niego stała kobieta w wieku trzydziestu kilku lat, o drobnej i szczupłej sylwetce i ciemnej karnacji. Oboje byli uzbrojeni w pistolety z tłumikami. Malone natychmiast rozpoznał wytwórcę i model broni, od razu też się domyślił, dla kogo pracowali ci dwoje.

Dla Izraela.

DWADZIEŚCIA CZTERY

WASZYNGTON
GODZINA 9.50

Stephanie dokończyła śniadanie i dała znak kelnerowi, że chce zapłacić. Siedziała w restauracji nieopodal Dupont Circle, blisko hotelu, w którym się zatrzymała. Cały personel biura Magellan Billet był zmobilizowany, a siedmiu z dwunastu pracowników wspierało ją teraz bezpośrednio. Morderca Lee Duranta dostarczył im wszystkim motywacji do działania, choć podjęte wysiłki wiązały się z określonym ryzykiem. Inne agencje wywiadowcze szybko się dowiedzą o jej poczynaniach, co oznacza, że wkrótce wieść dotrze również do Larry'ego Daleya. Do diabła z nimi! Malone potrzebował wsparcia z jej strony, ona zaś nie zamierzała zostawić go na pastwę losu. Po raz kolejny.

Zapłaciła rachunek, przywołała taksówkę i piętnaście minut później wysiadła przy Siedemnastej, tuż obok National Mall. Dzień był jasny i słoneczny. Kobieta, do której zadzwoniła przed dwiema godzinami, siedziała na zacienionej ławce niedaleko pomnika poświęconego ofiarom drugiej wojny światowej. Była to długonoga blondynka o prężnym ciele, na tyle przebiegła, o czym Stephanie wiedziała, żeby traktować ją z należytą rozwagą. Stephanie znała się z Heather Dixon od blisko dziesięciu lat. Dixon, która zachowała nazwisko męża po krótkotrwałym związku małżeńskim, miała obywatelstwo Izraela i pracowała w placówce dyplomatycznej w Waszyngtonie, wchodząc w skład struktur Mosadu oddelegowanych do Ameryki Północnej. Pracowały razem i przeciwko sobie, co zresztą stanowiło regułę, jeśli chodziło o Żydów. Stephanie żywiła nadzieję, że dzisiejsze spotkanie odbędzie się w przyjacielskiej atmosferze.

– Miło cię widzieć – powiedziała na powitanie i usiadła.

Dixon była ubrana gustownie, jak zresztą zawsze. Miała na sobie spodnie w szkocką kratę w kolorach brązu i złota, białą bluzkę i czarną kamizelkę.

– Sprawiałaś wrażenie zaniepokojonej, kiedy dzwoniłaś.

– Bo jestem zaniepokojona. Muszę wiedzieć, dlaczego twój rząd interesuje się osobą o nazwisku George Haddad.

Beztroski wyraz zniknął z atrakcyjnej twarzy Heather Dixon.

– Ostatnio jesteś bardzo zajęta.

– Podobnie jak twoi ludzie. W ciągu kilku minionych dni mówiło się bardzo dużo na temat Haddada. – Stephanie znalazła się teraz w niekorzystnej sytuacji, ponieważ Lee Durant był jej zaufanym kontaktem z Izraelczykami i niestety nie miał nawet szansy przekazać jej wszystkiego, czego się dowiedział.

– Co interesuje Amerykanów? – zapytała Dixon.

– Przed pięcioma laty jeden z moich agentów o mało nie zginął z powodu Haddada.

– A potem wy ukryliście gdzieś Palestyńczyka. Zatrzymaliście go wyłącznie dla siebie. I nie pofatygowaliście się powiadomić o tym waszego sojusznika.

Wreszcie dochodziły do sedna.

– Wy zaś nie czuliście się zobowiązani poinformować nas, że zamierzacie wysadzić w powietrze tego człowieka razem z naszym agentem.

– O niczym wtedy nie wiedziałam. Po prostu tak się złożyło. Ale teraz wiem, że Haddad znów się pojawił, a my chcemy go dla siebie.

– Podobnie jak my.

– Cóż jest takie ważne z waszego punktu widzenia?

Nie była w stanie rozstrzygnąć, czy Dixon próbowała wyciągnąć od niej informacje, czy też grała na zwłokę.

– Ty mi powiedz, Heather. Dlaczego Saudyjczycy przed pięcioma laty zrównali z ziemią całe osady w zachodniej części Półwyspu Arabskiego? Dlaczego Mosad skupił uwagę na Haddadzie?

Posłała Dixon piorunujące spojrzenie.

– Dlaczego on musi umrzeć?

Malone poczuł, jak nagle ogarnia go zniechęcenie i depresja. W branży wywiadowczej wszyscy przestrzegali jednej zasady – nie zadzierać z Izraelczykami. Malone złamał tę racjonalną regułę, kiedy za jego sprawą Izrael doszedł do przekonania, że Haddad opuścił ziemski padół w wysadzonej w powietrze restauracji. Teraz wiedział, że oni również wiedzą. Lee Durant poinformował go, że agenci Mosadu byli podekscytowani, nie wspominał jednak nic na temat zdekonspirowania tajemnicy związanej z Haddadem. W przeciwnym razie nie pozwoliłby, żeby Pam mu towarzyszyła.

– Naprawdę powinniście zamykać drzwi – oznajmił intruz. – Może tu wejść każdy niepożądany gość.

– Masz jakieś nazwisko? – zapytał Malone.

– Mów mi Adam. A to jest Ewa.

– Interesujące imiona jak na izraelski pluton egzekucyjny.

– Co masz na myśli? – zapytała Pam. – Egzekucyjny?

Spojrzał na nią.

– Przyjechali dokończyć to, co zaczęli przed pięcioma laty.

Obrócił się w stronę Haddada, który nie wykazywał nawet cienia strachu.

– Co oni tak bardzo chcą utrzymać w tajemnicy?

– Prawdę – odpowiedział Haddad.

– Nie wiem nic na ten temat – wtrącił Adam. – Nie jestem politykierem. Jedynie wynajętą pomocą. Moim zadaniem jest eliminacja. Rozumiesz to, Malone. Sam przecież do niedawna byłeś w branży.

Tak, pojmował, o co chodzi. Dla Pam jednak była to zupełnie inna bajka.

– Wszystkim wam chyba odbiło – dorzuciła swoje trzy grosze. – Mówicie o zabijaniu, jak gdyby stanowiło to część waszej profesji.

– W istocie – odparł Adam. – To moje jedyne zadanie.

Kiedy Malone rozpoczął służbę w Magellan Billet, nauczył się, że przeżycie niejednokrotnie zależało od tego, czy wiedziało się, w którym momencie zaatakować, a w którym ustąpić. Gdy spojrzał na starego przyjaciela, weterana i wiarusa, dostrzegł, że Haddad zdał sobie sprawę, że dla niego nadszedł czas dokonania takiego wyboru.

– Przykro mi – wyszeptał Malone.

– Mnie również, Cotton. Lecz ja podjąłem decyzję już wtedy, kiedy wykonałem telefony.

Czy słuch go nie mylił? Telefony?

– Jeden już dość dawno temu, a dwa pozostałe ostatnio. Zadzwoniłem na Zachodni Brzeg Jordanu.

– To nie było zbyt mądre, George.

– Być może. Ale wiedziałem, że się tu zjawisz.

– Cieszę się, że ty wiedziałeś, ponieważ ja nie miałem takiej wiedzy.

Wzrok Haddada nabrał intensywności.

– Nauczyłeś mnie bardzo wiele. Pamiętam każdą lekcję i przez cały czas, aż do ubiegłego tygodnia, rygorystycznie stosowałem się do nich. Nawet do tych, które nauczały, że tak naprawdę najważniejsza jest ochrona. – Jego głos stał się głuchy i cichy.

– Powinieneś był najpierw zadzwonić do mnie.

Haddad zaprzeczył ruchem głowy.

– Jestem to winny gwardianowi, którego zastrzeliłem. Muszę spłacić dług.

– Cóż za sprzeczność – skomentował Adam. – Palestyńczyk, który ma honor.

– Oraz Izraelczyk, który morduje – odparł Haddad. – Ale jesteśmy takimi, jakimi jesteśmy.

Umysł Malone’a pracował na wysokich obrotach w poszukiwaniu jakiegoś wyjścia. Musiał coś zrobić, lecz Haddad chyba wyczuł jego intencje.

– Zrobiłeś wszystko, co było w twojej mocy. Przynajmniej do tej pory – oznajmił Haddad. Potem wskazał gestem na Pam. – Miej ją pod swoją opieką.

– Cotton, nie pozwolisz im chyba zabić go – wyszeptała Pam z wyraźną rozpaczą.

– Chyba jednak pozwoli – odpowiedział jej Haddad, z wyczuwalną goryczą w głosie, po czym skierował wzrok na Adama. – Czy wolno mi będzie odmówić ostatnią modlitwę?

Adam wykonał gest bronią.

– Kim jestem, żebym miał odmówić spełnienia tak uzasadnionej prośby?

Haddad otworzył powoli szufladę i dwiema dłońmi zaczął wyciągać karmazynową poduszkę. Podszedł następnie do jednego z okien i spojrzał na Malone’a, opuszczając poduszkę na podłogę.

Malone zobaczył pistolet.

W mocnym uścisku prawej dłoni Haddada.

Stephanie czekała, aż padnie odpowiedź na zadane przez nią pytanie.

– Haddad stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa Izraela – wyjaśniła Dixon. – Stanowił to zagrożenie przed pięcioma laty i stanowi teraz.

– Będziesz uprzejma to wyjaśnić?

– Dlaczego nie zapytasz o to swoich rodaków?

Miała nadzieję, że nie dojdzie do wymiany takich pytań, ale w tej sytuacji postanowiła być szczera.

– U nas występuje wyraźny podział.

– A gdzie znajdujesz się ty w ramach tego podziału?

– Mam byłego agenta, który znalazł się w poważnych kłopotach. Zamierzam przyjść mu z odsieczą.

– Cotton Malone. Wiemy. Ale Malone wiedział, w co się pakuje, kiedy postanowił ukryć Haddada.

– Jego syn nie wiedział.

Dixon wzruszyła ramionami.

– Kilku moich przyjaciół zginęło z rąk terrorystów.

– To dość świętoszkowate podejście, nie sądzisz?

– Jestem innego zdania. Palestyńczycy nie pozostawiają nam specjalnego wyboru w kwestii tego, jak mamy ich traktować.

– Nie robią w zasadzie nic innego niż to, co robili Żydzi w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku. – Stephanie nie mogła powstrzymać się od tego komentarza.

Dixon uśmiechnęła się z wyższością.

– Gdybym wiedziała, że znów będziemy się o to spierać, w ogóle bym nie przyszła.

Stephanie wiedziała, że Dixon niechętnie słucha o terroryzmie z końca lat czterdziestych ubiegłego wieku, którego korzenie znacznie głębiej sięgały w żydowską niż w arabską glebę. Nie zjawiła się tu jednak, by prawić jej komplementy.

– Możemy porozmawiać o hotelu King David, jeśli sobie życzysz.

To miejsce w Jerozolimie było siedzibą kwatery głównej brytyjskiego wywiadu wojskowego i policji kryminalnej. Po dokonaniu rewizji w pewnej żydowskiej agencji i przeniesieniu poufnych dokumentów do hotelu izraelscy bojownicy odpowiedzieli zamachem bombowym w lipcu 1946 roku. Śmierć poniosło dziewięćdziesiąt jeden osób, czterdzieści pięć zostało rannych. Wśród ofiar piętnaście osób było narodowości izraelskiej.

– Brytyjczyków ostrzeżono – odparła oschle Dixon. – Nie nasza wina, że zignorowali to ostrzeżenie.

– Jakie ma znaczenie to, że ktoś do nich zadzwonił? – odpowiedziała pytaniem Stephanie. – Był to akt terroru. Żydów przeciwko Brytyjczykom. Chcieli w ten sposób postawić na swoim. Żydzi zamierzali pozbyć się z Palestyny zarówno Brytyjczyków, jak i Palestyńczyków, sięgnęli więc po sposób, który okazał się skuteczny. Później przez dziesiątki lat taktykę tę stosowali Palestyńczycy.

Dixon pokręciła głową z dezaprobatą.

– Mam po dziurki w nosie wysłuchiwania tych bezsensownych bzdur. *Nakba* to żart. Arabowie opuścili Palestynę pod koniec lat czterdziestych dwudziestego stulecia z własnej woli, wystraszyli się bowiem na śmierć. Bogatych zdjęła panika. Reszta porzuciła tę krainę, gdy poprosili ich o to arabscy przywódcy. Wszyscy oni wierzyli szczerze, że zgniotą nas w ciągu kilku tygodni. Ci, którzy odeszli, schronili się w ościennych krajach arabskich. I nikt, wliczając w to was, nie zająknął się nawet słowem o Żydach wypędzanych z tych właśnie arabskich państw. – Dixon wzruszyła ramionami. – Padały wtedy słowa oburzenia. I co z tego? Kto się przejmuje ich losem? Ale za to Arabowie są biedni i pokrzywdzeni. Cóż za tragedia.

– Zabierz człowiekowi jego ziemię, a zyskasz wroga na zawsze.

– Niczego nie zabieraliśmy. Kupiliśmy tę ziemię, zresztą większość to były nieużytki – mokradła i busz, których nikt nie chciał. A swoją drogą, osiemdziesiąt procent Arabów, którzy opuścili te ziemie, byli to chłopi,

nomadzi, Beduini. Właściciele tej ziemi, ci, którzy sprowokowali tyle zła, mieszkali w Bejrucie, Kairze i Londynie.

Stephanie słyszała już wcześniej wszystkie te argumenty.

– Sposób postępowania Izraela nigdy się nie zmienia.

– Wszystkim, co Arabowie musieli uczynić – podjęła Dixon – to zaaprobować rezolucję Organizacji Narodów Zjednoczonych z tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku, która powoływała do życia dwa państwa: jedno arabskie, drugie żydowskie, i wtedy wszyscy byliby zwycięzcami. Ale nie. Pod żadnym pozorem nie. Żadnego kompromisu. Repatriacja odbywała się zawsze i wciąż stanowi warunek wstępny wszelkich rozmów, lecz to się nigdy nie stanie. Izrael jest bytem rzeczywistym, który nie zniknie nigdy. Zbiera mi się na mdłości, gdy patrzę, jak inni podchodzą do Arabów. Żyją w obozach dla uchodźców, bo tego życzą sobie arabscy przywódcy. Gdyby było inaczej, mogliby coś temu zaradzić. Lecz oni wykorzystują obozy oraz wyznaczone strefy zamieszkania jako środek, za pomocą którego chcą zawstydzić świat tym, co wydarzyło się w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku. Lecz nikt, nawet Ameryka, nigdy ich za to nie skarcił.

– Teraz jednak, Heather, interesuje mnie tylko syn Cottona Malone’a oraz George Haddad.

– Podobnie zresztą jak Biały Dom. Naszych ludzi poinformowano, że mieszacie się w sprawę Haddada. Larry Daley oświadczył, że to ty jesteś drzazgą w tyłku.

– On to z całą pewnością wie.

– Tel Awiw nie życzy sobie żadnego wtrącania się w tę sprawę.

Stephanie nagle pożałowała decyzji o spotkaniu z Dixon. Mimo to musiała zadać jeszcze jedno pytanie.

– Cóż jest takie ważne? Powiedz mi, a być może będę trzymać się od tego z daleka.

Dixon usiłowała zdławić chichot.

– Dobre sobie. Czy ktoś kiedykolwiek na to wpadł?

– Miałam nadzieję, że jakoś nawiążemy współpracę. – Łudziła się, że ich przyjaźń coś znaczy.

Dixon rozejrzała się dokoła po betonowych ścieżkach. Ludzie spacerowali po parku, ciesząc się pogodnym dniem.

– Sprawa jest bardzo poważna, Stephanie.

– Jak bardzo?

Dłoń Dixon przesunęła się za jej plecy, po czym pojawiła się ponownie, ale już z pistoletem.

– Właśnie tak.

DWADZIEŚCIA PIĘĆ

LONDYN

Malone dostrzegł pistolet w dłoni Haddada i wiedział, że jego przyjaciel zdecydował, że będzie to jego ostatni bój. Koniec z ukrywaniem się. Nadeszła pora stawić czoła demonom.

Haddad wystrzelił pierwszy, kula uderzyła Ewę w pierś i zwaliła młodą kobietę z nóg. Z rany trysnęła krew.

Adam strzelił drugi. Haddad wydał z siebie przerażający okrzyk, gdy pocisk przewiercił koszulę i rozerwał rdzeń kręgowy, rozbryzgując na ścianie i mapach z tyłu za nim gęste czerwone ciapki.

Pod Haddadem ugięły się nogi. Usta wciąż miał otwarte, lecz nie wydobywał się z nich już żaden dźwięk, kiedy starzec osunął się na podłogę.

Za to z gardła Pam wydobył się świdrujący i przenikliwy falset.

Można było odnieść wrażenie, że z pomieszczenia uszło całkowicie powietrze. Malone poczuł się zdany na łaskę ludzi o bezwzględnym sercu.

Stał twarzą w twarz z Adamem, który opuścił broń.

– Przybyłem tu, żeby go zabić, to wszystko – oznajmił Adam, a łagodność jego głosu gdzieś zniknęła. – Mój rząd nie ma nic do ciebie, Malone, chociaż nas oszukałeś. Zresztą takie było twoje zadanie. Puścimy to więc w niepamięć.

– Jak to miło z twojej strony.

– Nie jestem mordercą ani zamachowcem.

– A co z nią? – zapytał, wskazując na ciało Ewy.

– Nic już dla niej nie mogę zrobić. Podobnie zresztą jak ty nie jesteś już w stanie uczynić cokolwiek dla niego. Za błędy płaci się słoną cenę.

Malone nie odpowiedział, chociaż był bliski szału z powodu grozy i cierpienia, jakie stały się jego udziałem. Z pewnością ktoś usłyszał strzały i zadzwonił na policję.

Izraelski agent obrócił się i zniknął.

Z klatki schodowej dobiegły odgłosy kroków.

Pam zamarła w bezruchu, spoglądając z niedowierzaniem na ciało Haddada. Z ciągle otwartych ust starego człowieka wydobył się ostatni protest. Wymienili spojrzenia, lecz nie słowa. Był niemal w stanie zrozumieć sposób myślenia agenta Mosadu. W rzeczywistości też był płatnym zabójcą, zatrudnionym przez suwerenne państwo, z licencją na zabijanie. Mimo to tamten sukinsyn wciąż był mordercą.

George Haddad nie żył.

Istniała też cena, jaką należało za to zapłacić.

W głowie kłębiły mu się mroczne myśli. Pochylił się i podniósł pistolet Haddada, potem wstał i obrócił się ku drzwiom.

– Zostań tu – powiedział do Pam.

– Co zamierzasz zrobić?

– Zabić sukinsyna.

Widok broni bardziej zdziwił niż przestraszył Stephanie.

– Najwyraźniej więc, Heather, zasady uległy zmianie. Sądziłam, że jesteśmy sojuszniczkami.

– To zabawna rzecz w relacjach między Stanami Zjednoczonymi a Izraelem. Czasami trudno jest odróżnić, po której w rzeczywistości jest się stronie.

– Ty natomiast odczuwasz pewną dozę swobody, odkąd zadzwonił Biały Dom.

– Zawsze miło jest widzieć, kiedy Amerykanie są z sobą skłóceni.

– Larry Daley chce mieć Haddada dla siebie. Zdajesz sobie z tego sprawę, czyż nie? Niepotrzebnie marnujesz czas, gdyż nasi agenci już go szukają.

– Powodzenia. Tylko my i Malone wiemy, gdzie on jest.

Słowa te nie spodobały się Stephanie. Należało położyć temu kres. Od chwili, kiedy usiadła, palce jej prawej dłoni spoczywały na kolanach,

a opuszki dotykały radiowego nadajnika ukrytego wewnątrz luźno dopasowanych spodni.

– To zależy od tego, czy wywiad amerykański ma wtyczkę w waszych strukturach czy nie.

– Ta operacja ma charakter ściśle tajny, wątpię więc, żeby doszło do jakiegoś przecieku. Poza tym Haddad zapewne o tej porze jest już martwy. Nasi agenci wyruszyli do akcji wiele godzin temu.

Lewa dłoń Stephanie przesunęła się w stronę broni, prawa zaś spoczywała w gotowości na nodze.

– W jakim więc celu urządziłaś ten spektakl?

– Stwierdzam z przykrością, że stałaś się problemem dla naszego rządu.

– O rany! Sądziłam, że moja rezygnacja będzie wystarczającym ustępstwem.

– Już nie. Jak sądzę, zostałaś ostrzeżona, żeby trzymać się od tego z daleka, lecz ty zmobilizowałaś do działania całe biuro Magellan Billet. I to wbrew temu, co ci nakazano.

– Larry Daley nie wydaje mi poleceń.

– Ale jego szefowie już tak.

W jednej chwili zdała sobie sprawę, że skoro stanowiła teraz cel, to samo mogło również dotyczyć Brenta Greena. Zabicie prokuratora generalnego stanowiło jednak poważniejszy problem logistyczny niż pozbawienie jej życia. Biały Dom najwyraźniej doszedł do przekonania, że zdjęcia ich ciał nie pojawią się w porannych wydaniach niedzielnych gazet. Jej palce były gotowe nacisnąć guzik alarmowy.

– Jesteś tu, żeby wykonać brudną robotę powierzoną przez Daleya?

– Powiedzmy po prostu, że mamy pokrewne interesy. Poza tym lubimy, kiedy Biały Dom ma wobec nas dług.

– Zamierzasz zastrzelić mnie tutaj?

– Nie ma takiej potrzeby. Mam kilku znajomych, którzy uczynią to z ochotą.

– Twoi ludzie?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– To zdumiewające, Stephanie. Zdołałaś dokonać tego, co politycy usiłowali osiągnąć od setek lat. Sprawiłaś, że Arabowie i Żydzi działają ręka w rękę. Saudyjczycy pracują w tym wypadku razem z nami. Najwyraźniej przyświeca nam wspólny cel, a zatem wszelkie różnice zdań

zostały odłożone na bok – dodała Dixon, wzruszając ramionami. – Tylko ten jeden raz.

– Tym samym spada wam z głowy problem zabicia obywatela Stanów Zjednoczonych przez Izraelczyków.

Na twarzy Dixon pojawił się grymas, który miał pozorować zamyślenie.

– Dostrzegasz te korzyści? My identyfikujemy problem, oni zaś się go pozbywają. Obie strony są górą.

– Nie licząc mnie.

– Znasz zasady gry. Twój dzisiejszy przyjaciel jutro może stać się wrogiem i *vice versa*. Izrael ma na tym świecie niewielu przyjaciół, a zagrożenia nadchodzą ze wszystkich stron. Robimy to, co musimy robić.

Stephanie po raz pierwszy zobaczyła wycelowaną w siebie broń, kiedy wraz z Cottonem Malone poszukiwała zakonu templariuszy. Wtedy też była naocznym świadkiem czyjejś śmierci. Na całe szczęście potrafiła myśleć z wyprzedzeniem.

– Czyń zatem swoją powinność.

Prawym palcem wskazującym wysłała sygnał alarmowy, który powinien sprawić, że za niecałą minutę zjawią się tutaj jej agenci.

Wystarczyło, że jeszcze przez chwilę zdołała grać na zwłokę.

Nagle Heather Dixon wywróciła do góry białka oczu, po czym zamknęła powieki, kiedy jej głowa opadła do przodu, a ciało zrobiło się wiotkie i bezwładne.

Pistolet osunął się na trawę.

Stephanie chwyciła Dixon, kiedy ta padała w jej stronę. Potem dostrzegła strzałkę z lotkami wystającą z szyi Heather. Widywała takie już wcześniej.

Z pełnym spokojem się obróciła.

Kilka metrów za ławką stała kobieta. Wysoka, o cerze koloru błotnistego strumienia, z długimi czarnymi włosami. Miała na sobie drogą marynarkę z kaszmiru oraz dżinsy biodrówki, ciasno dopasowany zestaw, który podkreślał jej szczupłą i zgrabną figurę. W lewej dłoni trzymała pistolet pneumatyczny magnum.

– Doceniam pomoc – powiedziała Stephanie, usiłując zamaskować zaskoczenie.

– W tym właśnie celu przybywam.

Cassiopeia Vitt uśmiechnęła się od ucha do ucha.

Malone zbiegał schodami na parter. Zabicie Adama wcale nie będzie łatwe. Likwidowanie zawodowców nigdy nie było proste.

Przeskakiwał po dwa stopnie naraz, jednocześnie sprawdzając magazynek pistoletu. Pozostało siedem naboi. Nakazał sobie zachowanie ostrożności. Z pewnością Izraelczyk liczył się z tym, że on ruszy za nim w pościg. Na dobrą sprawę wystosował nawet zaproszenie do pojedynku, zanim zniknął, nie zabierając pistoletu Haddada. Profesjonaliści nigdy nie dopuszczali do takiej sposobności. Natomiast zdanie dotyczące zawodowej grzeczności było pozbawione sensu. Skrytobójcy nie przestrzegają przecież żadnego protokołu. Są woźnymi wywiadowczej branży. Wysyła się ich wyłącznie po to, żeby posprzątali bałagan. Świadkowie stanowili element tego bałaganu. Dlaczego więc nie posprzątać wszystkiego? Być może Adam chciał tej konfrontacji? Zabicie amerykańskiego agenta, także w stanie spoczynku, musiało pociągnąć za sobą konsekwencje. Jeśli jednak agent zaatakuje pierwszy, sprawa ma się inaczej.

Odpędził niepewność z myśli, gdy znalazł się na parterze. Jego palec wskazujący znajdował się na spuście. Szykował się do walki.

Powróciły też bardziej znane mu uczucia. Te, które kiedyś, o czym przekonał się przed kilkoma miesiącami, stanowiły po prostu część jego psychiki. We Francji na dobrą sprawę zawarł rozejm z tymi demonami, kiedy zdał sobie sprawę z tego, że był graczem i zawsze nim pozostanie, bez względu na wycofanie się z czynnej służby. Wczoraj w Kronborg Slot Pam zbeształa go za to, że potrzebował ryzyka i podniety – że ona i Gary nigdy mu nie wystarczali. Oskarżenie to dotknęło go do głębi, ponieważ mijało się z prawdą. Nie odczuwał potrzeby ryzyka, ale z pewnością potrafił sobie z nim radzić.

Wyszedł na październikowe słońce, którego światło wydało mu się mocne w porównaniu z mrocznym wnętrzem budynku. Ostrożnie podszedł

do frontowego ganku. Adam znajdował się piętnaście metrów od niego, szedł chodnikiem po drugiej stronie ulicy.

Malone ruszył za nim.

Po obu stronach wąskiej przecznicy stały zaparkowane samochody. Z obu końców alejki, gdzie przebiegały ruchliwe ulice, dobiegał ustawiczny i głośny hałas. Chodnikiem po drugiej stronie szło bez pośpiechu kilkoro przechodniów.

Rozmowa wydawała się zbędną stratą czasu.

Podniósł broń.

Ale Adam się odwrócił.

Malone padł na ziemię.

Kula przeleciała ze świstem obok, po czym z brzdękiem odbiła się od samochodów. Malone przesunął się i oddał strzał w kierunku Adama. Izraelczyk przezornie zniknął z chodnika, wykorzystując teraz zaparkowane samochody jak zasłonę.

Malone przeturlał się na ulicę, między samochody.

Uniósł się na kolana i spojrzał przez przednią szybę jednego z aut, usiłując dostrzec przeciwnika. Adam ukrył się dziesięć samochodów przed nim. Przechodnie na chodniku po drugiej stronie uliczki rozpierzchli się w pośpiechu.

Wtem usłyszał bolesny jęk.

Obrócił się i zobaczył Pam. Leżała na schodach prowadzących do budynku, w którym mieszkał George Haddad.

Jej lewa ręka zamieniła się w plamę krwi.

DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

WASZYNGTON

Stephanie odczuła radość na widok Cassiopei Vitt. Kiedy ostatni raz pracowała wspólnie z tą kobietą, w której żyłach płynęła mauretańska krew, znajdowały się we francuskich Pirenejach, uwikłane w zupełnie inne problemy.

– Połóż ją na ziemię i znikajmy stąd – ponagliła Vitt.

Stephanie wstała z ławki i pozwoliła, żeby głowa Heather Dixon uderzyła o drewniane listwy.

– Będzie miała porządnego guza – skomentowała Cassiopeia.

– Jakoś się tym nie przejmuję. Dopiero co zamierzała mnie zlikwidować. Zechcesz mi łaskawie wyjaśnić, skąd się tutaj wzięłaś?

– Henrik uznał, że możesz potrzebować pomocy. Nie spodobało mu się przeczucie, jakie miał po rozmowie ze swoimi ludźmi w Waszyngtonie. Ponieważ znajdowałam się w pobliżu, w Nowym Jorku, poprosił mnie, żebym miała na ciebie oko.

– Jak mnie znalazłaś?

– To wcale nie było trudne.

Stephanie po raz pierwszy doceniła zakonspirowane dojścia Thorvaldsena.

– Przypomnij mi, żebym dopisała go do listy tych, którym trzeba przesłać kartki z życzeniami na Boże Narodzenie.

Cassiopeia uśmiechnęła się serdecznie.

– Z pewnością się ucieszy.

Stephanie wskazała gestem w stronę Dixon.

– Potworne rozczarowanie. Uważałam ją za przyjaciółkę.

– W twojej profesji raczej trudno o przyjaciół.

– Cotton wpadł w poważne tarapaty.

– Henrik jest tego samego zdania. Miał nadzieję, że będziesz w stanie przyjść mu z pomocą.

– W tej chwili sama jestem na celowniku – odparła.

– Co prowadzi nas do drugiego z naszych problemów.

Te słowa wcale się jej nie spodobały.

– Pani Dixon nie przybyła tutaj w pojedynkę. – Cassiopeia wskazała w kierunku pomnika Waszyngtona. – Dwaj mężczyźni w samochodzie za tamtym pagórkiem. I wcale nie wyglądają na Izraelczyków.

– Saudyjczycy.

– To mamy pasztet. Jakim cudem zdołałaś wkurzyć ich wszystkich?

Dwaj mężczyźni weszli na szczyt pagórka i zmierzali teraz w ich kierunku.

– Nie ma czasu na wyjaśnienia – odparła Stephanie. – Znikamy stąd?

Ruszyły pospiesznie w przeciwnym kierunku, dysponując przewagą około pięćdziesięciu metrów nad prześladowcami, co w zasadzie było niczym, gdyby ci zdecydowali się strzelać.

– Zakładam, że przewidziałaś taką ewentualność? – zwróciła się z pytaniem do Cassiopei.

– Nie do końca. Ale potrafię improwizować.

Malone natychmiast zapomniał o Adamie. Opuścił na czworakach bezpieczną kryjówkę za samochodami i dotarł do miejsca, gdzie leżała brocząca krwią Pam. Uliczny kurz przylgnął do jej ubrania. Obrócił się na moment i dostrzegł znikającą sylwetkę agenta Mosadu.

– Nic ci nie jest?

Twarz Pam wykrzywił grymas bólu. Prawą dłoń zacisnęła na ranie na lewym barku.

– Boli – odezwała się zduszonym szeptem.

– Pozwól mi zobaczyć.

Pokręciła przecząco głową.

– Jak zaciskam, to... pomaga.

Sięgnął ręką i zaczął odciągać jej dłoń z rany. Oczy Pam zrobiły się niczym młyńskie koła z bólu i gniewu.

– Nie.

– Muszę to zobaczyć.

Nie potrzebował mówić na głos tego, o czym oboje myśleli. Dlaczego nie została na górze?

W końcu ustąpiła i odsunęła zakrwawione palce. Zobaczył to, czego się spodziewał. Kula tylko ją drasnęła. Rana tkanek miękkich. Gdyby było to coś poważniejszego, z pewnością zostałoby już rozpoznane. Ludzie z postrzałem wpadają w szok. Ich ciało się zamyka.

– Kula cię tylko drasnęła – wyjaśnił.

Jej dłoń znów zakryła ranę.

– Dzięki za diagnozę.

– Dysponuję pewnym doświadczeniem, jeśli chodzi o rany postrzałowe.

Jej spojrzenie złagodniało, kiedy zdała sobie z tego sprawę.

– Musimy stąd znikać.

Grymas bólu ponownie wykrzywił jej twarz.

– Krwawię.

– Nie mamy wyboru. – Pomógł jej stanąć na nogi.

– Niech cię szlag, Cotton.

– Zdaję sobie sprawę, że to boli. Ale gdybyś została na górze, jak ci powiedziałem...

Z oddali dobiegło wycie radiowozów.

– Musimy iść. Ale najpierw muszę załatwić jeszcze jedną sprawę.

Zdawała się odzyskiwać panowanie nad sobą, zdeterminowana zachować spokój i nie stracić przytomności. Wprowadził ją do budynku.

– Zaciskaj ranę – powiedział, kiedy wchodzili po schodach do mieszkania Haddada. – Krwawienie powinno ustać. Rana nie jest głęboka.

Wycie syren policyjnych samochodów znacznie się przybliżyło.

– Co właściwie robimy? – zapytała, kiedy dotarli na podest trzeciego piętra.

Przypomniał sobie słowa Haddada wypowiedziane tuż przed strzelaniną. „Nauczyłeś mnie bardzo wiele. Pamiętam każdą lekcję i przez cały czas, aż do ubiegłego tygodnia, rygorystycznie stosowałem się do nich. Nawet do tych, które nauczały, że tak naprawdę najważniejsza jest ochrona”. Kiedy po raz pierwszy wyciągnął Haddada z opresji, nauczył Palestyńczyka trzymać najważniejsze rzeczy pod ręką, na wypadek

konieczności natychmiastowego salwowania się ucieczką. Pora się zatem przekonać, co Haddad miał na myśli, mówiąc te słowa.

Weszli do mieszkania.

– Idź do kuchni i znajdź ręcznik – polecił jej. – Ja muszę coś sprawdzić.

Mieli do dyspozycji dwie, może trzy minuty.

Wpadł do sypialni. Stosy od dawna nietkniętych książek i dokumentów leżały poukładane na podłodze. Łóżko nie było pościelone, na nocnym stoliku oraz na komodzie panował bałagan jak na kramach pchlego targu. Malone dostrzegł kolejne mapy powieszone na ścianach. Izrael, dawniej i teraz.

Kucnął obok łóżka w nadziei, że intuicja go nie myli.

Haddad zadzwonił na Bliski Wschód wiedząc, że konfrontacja jest już bliska. Kiedy pojawił się ten nieunikniony konflikt, nie stronił od walki, wręcz przeciwnie, przeszedł do ofensywy, mając świadomość przegranej. Co powiedział jego przyjaciel? „Wiedziałem, że przyjdziesz”. To cholerna głupota. Haddad wcale nie musiał poświęcać własnego życia. Brzemię winy za śmierć człowieka, którego zamordował dziesiątki lat temu, najwyraźniej przez bardzo długi czas nie dawało spokoju staremu człowiekowi.

„Jestem to winny gwardianowi, którego zastrzeliłem. Muszę spłacić dług”.

Tak, Malone potrafił to zrozumieć.

Wsadził rękę pod łóżko i coś wyczuł. Chwycił to i wyciągnął – była to skórzana torba na ramię. Szybko rozpiął zapięcie na rzemyki. Wewnątrz znajdowała się książka, trzy notesy ze spiralnym grzbietem oraz cztery złożone mapy. Przypuszczał, że spośród wszystkich dokumentów w mieszkaniu te ukryte w torbie były najważniejsze.

Musieli stąd iść.

Wbiegł z powrotem do salonu. Pam wyszła z kuchni, przyciskając ręcznik do ramienia.

– Cotton? – odezwała się.

Wyczuł w jej głosie pytającą intonację.

– Nie teraz.

Trzymając w ręku torbę, pchnął Pam w kierunku drzwi, lecz wcześniej chwycił jeszcze jej szal z oparcia jednego z krzeseł.

Potem szybko zbiegli po schodach.

– Zatamowałaś krwawienie? – zapytał, kiedy znaleźli się na chodniku.

– Przeżyję. Cotton?

Samochody policyjne znajdowały się przecznicę dalej. Owinął szalem ramię Pam, zakrywając krwawiącą ranę.

Potem poszli chodnikiem jak gdyby nigdy nic.

– Trzymaj szal na ramieniu – doradził.

Trzydzieści metrów dalej znajdował się bulwar, zanurzyli się w tłumie nieznajomych twarzy, opierając się pokusie przyspieszenia kroku.

Spojrzał za siebie.

Na drugim końcu przecznicy pojawiły się migające światła, a po chwili radiowozy zatrzymały się przed budynkiem, w którym mieszkał Haddad.

– Cotton?

– Wiem. Ale najpierw wydostańmy się stąd.

Wiedział, o co jej chodziło. Kiedy powrócili do mieszkania, on również to zauważył. Nie było śladów krwi na ścianach. Ani na podłodze. Nie dało się również wyczuć duszącego odoru śmierci.

Co więcej, ciała Ewy oraz George’a Haddada gdzieś zniknęły.

DWADZIEŚCIA SIEDEM

DOLINA RENU, NIEMCY
GODZINA 17.15

Sabre spoglądał na wysokie wzgórza ciągnące się stromymi skarpami wzdłuż brzegów wąskiego koryta rzeki. Obszar ten porastały gęste lasy liściaste. Od blisko siedmiuset lat na szczytach najwyższych wzniesień budowano tutaj twierdze i warowne fortece, ochrzczone takimi nazwami, jak Rheinstein, Sooneck i Pfalz. Mijając zdradliwą skałę Lorelei, pod którą niegdyś rozbijały się łodzie i statki niesione zwodniczym prądem, wysoko nad wschodnim brzegiem rzeki zobaczył zaokrągloną basztę zamku Burg Katz. Dalej widniał warowny Stolzenfels, którego płowe, liczące blisko dwieście lat mury z wapienia z trudem tylko odróżniały się od skalnych występów. Po kilku minutach dostrzegł ostatni z charakterystycznych punktów podróży, w jaką się udał.

Dostrzegł zarys warowni Marksburg, której nie można było z niczym pomylić.

Przed dwiema godzinami wyjechał z Rothenburga i zmierzał autostradą na północ, utrzymując stałą prędkość stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Zwolnił dopiero na rogatkach Frankfurtu, kiedy trafił w sam środek popołudniowego szczytu w ruchu podmiejskim. Z tego miejsca do Kolonii prowadziły dwie drogi – autostrada A60 lub dwupasmowa N9, biegnąca wzdłuż koryta Renu. Postanowił pokonać pierwszą połowę tego odcinka, jadąc z biegiem rzeki, a resztę trasy przejechać autostradą. Jechał więc teraz powoli przez historyczną dolinę, podążając za niebieskimi znakami, które wskazywały dojazd do A60.

Dotarł do wjazdu na autostradę i przyspieszył, gdy znalazł się na trasie szybkiego ruchu. Zwiększył obroty silnika w wynajętym bmw i zjechał na pierwszy pas od lewej. Kraciasta kompozycja złożona ze wzgórz, lasów łąk i pastwisk przesuwała się do tyłu po obu stronach drogi.

Spojrzał w lusterko wsteczne.

Samochód, który siedział mu na ogonie, srebrny mercedes, wciąż jechał za nim.

Utrzymujący rozsądny dystans, oddzielony przez trzy samochody, mercedes mógł z łatwością pozostać niezauważony. Lecz Sabre spodziewał się ich, oni zaś nie zawiedli go, podążając za nim od chwili, kiedy wyjechał z Rothenburga. Zastanawiał się, czy ktoś już znalazł zwłoki w Baumeisterhaus. Zabicie Jonaha najprawdopodobniej oszczędziło fatygi Izraelczykom – na Bliskim Wschodzie za zdradę płaciło się najwyższą cenę – lecz tym samym Żydzi stracili okazję przepytania zdrajcy, co mogło im nieco zepsuć dobry nastrój.

Uwielbiał sposób, w jaki Niemcy budowali autostrady – trzy szerokie pasy jezdni, nieliczne zakręty, szerokie wjazdy i zjazdy. Idealne do szybkiej jazdy, zapewniające dużą dozę prywatności. Mijana tablica poinformowała go, że do Kolonii pozostały jeszcze osiemdziesiąt dwa kilometry. Wiedział, w którym miejscu znajdował się w tym momencie. Niedaleko na południe od Koblencji, piętnaście kilometrów na wschód od Renu, w szybkim tempie zbliżając się do Mozeli.

Zmienił pas ruchu.

Z tyłu za mercedesem dostrzegł cztery kolejne samochody.

Najwyższa pora.

Od dziewięciu lat poszukiwał Biblioteki Aleksandryjskiej, przez cały czas na zlecenie Niebieskiego Krzesła. Stary człowiek miał obsesję na punkcie odnalezienia tego, co znajdowało się w jej zasobach, on zaś początkowo traktował te poszukiwania z pewnym rozbawieniem. W miarę jednak zdobywania wiedzy na ten temat, zdał sobie sprawę, że wytyczony cel wcale nie był tak iluzoryczny i wyssany z palca, jak sądził początkowo. Z czasem zaczął nawet sądzić, że być może naprawdę jest to coś, co można odnaleźć. Żydzi rzeczywiście mocno zaangażowali się w tę sprawę. Alfred Hermann skupiał na tym całą uwagę. On sam dowiedział się tymczasem wielu rzeczy. Nadeszła pora, żeby tę wiedzę wykorzystać.

Z pożytkiem dla siebie.

Od miesięcy wyczuwał, że to może być jego życiowa sposobność. Mógł jedynie żywić nadzieję, że Cotton Malone jest na tyle pomysłowy i przezorny, że nie wpadnie w pułapkę zastawioną na niego przez Izraelczyków. Poruszali się szybko. Jak zresztą zawsze. Na podstawie tego wszystkiego, co wiedział i czego doświadczył na własnej skórze, Malone

był ekspertem, chociaż wyszedł już nieco z wprawy. Mimo to powinien poradzić sobie z tą sytuacją.

Przed nim pojawił się most drogowy.

Obserwował, jak pierwszy z czterech sedanów wyprzedza mercedesa, zmienia pas i potem zajeżdża mu drogę.

Dwa następne samochody szybko zrównały się z mercedesem, podjeżdżając od strony lewego pasa.

Czwarte auto siedziało mu na ogonie.

Wszystkie wjechały pędem na most. Konstrukcja przeprawy rozciągała się na dystansie ponad ośmiuset metrów, rzeka Mozela wiła się meandrami sto dwadzieścia metrów poniżej. W połowie drogi, dokładnie w miejscu, które wyznaczył Sabre, samochód jadący z przodu nagle zahamował. Kierowca mercedesa zareagował i nacisnął gwałtownie hamulec.

Gdy to się działo, dwa samochody jadące z boku uderzyły w mercedesa od strony kierowcy, z kolei auto, które zamykało kordon, staranowało tylny zderzak.

Suma wszystkich tych uderzeń oraz prędkość sprawiły, że mercedes odbił w prawo i wpadł na barierkę mostu.

Chwilę później samochód szybował w powietrzu.

Sabre wyobraził sobie, co stało się potem.

Impet przyspieszenia wbił pasażerów w oparcia ich siedzeń. Zapewne próbowali odpiąć pasy bezpieczeństwa, lecz nie mieli żadnej szansy. A nawet gdyby zdołali je odpiąć, co mogło im to dać? Opadanie z wysokości blisko stu dwudziestu metrów mogło trwać kilka sekund, a siła uderzenia podwozia o koryto rzeki była równa sile uderzenia o betonową nawierzchnię. Nikt nie miał najmniejszych szans na przeżycie. Zimna woda w szybkim tempie wypełniła kabinę i wciągnęła pojazd w muliste dno, a wartki nurt pociągnął wrak w kierunku Renu, gdzie prąd był jeszcze bardziej gwałtowny.

Koniec.

Cztery samochody przejechały obok niego, a kierowca ostatniego auta kiwnął w jego stronę ręką. Sabre odwzajemnił ten gest. Wynajęcie tych ludzi kosztowało go słono, termin roboty był ekspresowy, lecz zadanie było warte zapłacenia każdej ceny w euro.

Znów mknął z dużą prędkością w kierunku Kolonii.

Upłynie kilka dni, zanim Izraelczycy dojdą do tego, co się wydarzyło. Problemem stanie się trup znaleziony w Rothenburgu oraz zaginiony zespół agentów operacyjnych. Zastanawiał się, czy zdołali go zidentyfikować. Prawdopodobnie nie. Gdyby znali jego tożsamość, nie musieliby robić mu zdjęć. Wciąż pozostawał obiektem niezidentyfikowanym.

Górę wezmą zamieszanie i niepewność. W Izraelu i wkrótce potem w Austrii.

Lubił takie sytuacje.

Czas przemienić ten chaos w ład i porządek.

DWADZIEŚCIA OSIEM

WASZYNGTON

Stephanie zastanawiała się gorączkowo, co planuje jej nowa towarzyszka. Cassiopeia Vitt była kobietą bystrą, bogatą i odważną, która potrafiła radzić sobie w trudnych sytuacjach. Nie była to zła kombinacja. Pod warunkiem, że Cassiopeia miała przygotowany odpowiednio wcześnie plan awaryjny.

– Jak się stąd wydostaniemy? – zapytała Stephanie, kiedy biegły w dół spacerowego pasażu.

– Masz jakieś pomysły?

Na dobrą sprawę miała, ale ich nie zdradziła.

– Ty jesteś osobą, która pojawiła się znikąd.

Cassiopeia uśmiechnęła się z przekąsem.

– Nie musisz być taka przemądrzała.

– Jesteśmy osaczane. Zakładam, że wiedziałaś o tym.

Pomnik Lincolna wyrósł przed nimi na zachodnim krańcu pasażu. Staw blokował drogę ucieczki na południe. Od północy szpaler wysokich drzew ciągnął się wzdłuż ruchliwego bulwaru.

– Wbrew temu, co sądzi Henrik, a z czym ty się zapewne zgadzasz – odezwała się Stephanie – wcale nie jestem bezradna. Mam dwóch agentów przy Constitution Avenue. Kiedy się zjawiłaś, nacisnęłam guzik alarmowy.

– Mam kiepską nowinę. Tych dwóch ludzi już nie ma.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Tuż po tym, jak usiadłaś na ławce z Dixon, oni odjechali.

Pasaż kończył się tam, gdzie stał pomnik Lincolna. Spojrzała za siebie. Dwaj mężczyźni, którzy podążali za nimi, właśnie się zatrzymali.

– Najwyraźniej dotarłyśmy do miejsca, do którego chcieli nas zapędzić.

Od strony Independence Avenue z rykiem silnika nadjechała taksówka.

– Najwyższy czas – powiedziała Cassiopeia, machając czarną chusteczką.

Taksówka się zatrzymała, one zaś pospiesznie wsiadły do środka.

– Zadzwoniłam po taksówkę kilka minut temu – wyjaśniła Cassiopeia, zatrzaskując tylne drzwi. – Proszę jechać. Powiemy panu, kiedy ma pan nas wysadzić – powiedziała do kierowcy.

Taksówka odjechała bez chwili zwłoki.

Stephanie wsunęła rękę do kieszeni i znalazła telefon komórkowy. Wybrała numer jednego z dwóch agentów, którzy mieli zapewnić jej wsparcie. Obu mężczyzn czekało dyscyplinarne zwolnienie.

– Zechcesz mi łaskawie powiedzieć, dlaczego mnie tam zostawiliście? – odezwała się cichym głosem do telefonu, kiedy połączenie zostało odebrane.

– Polecono nam opuścić stanowisko.

– Ja jestem waszym szefem. Któż może się sprzeciwić moim poleceniom?

– Pani szef.

Zdumiewające.

– Który?

– Prokurator generalny Brent Green zjawił się osobiście i kazał nam odjechać.

Malone rzucił na łóżko torbę zabraną z mieszkania George’a Haddada. On i Pam byli teraz w hotelu niedaleko Hyde Parku, w znajomym miejscu, które wynajął ze względu na intensywny ruch w okolicy, uważał bowiem, że nigdzie nie da się lepiej ukryć niż w tłumie. Zaletą była również znajdująca się w pobliżu apteka. Kupił w niej opatrunki z gazą, środki antyseptyczne i bandaże.

– Muszę popracować nad twoim ramieniem – oznajmił.

– Co masz na myśli? Pojedźmy lepiej do szpitala.

– Chciałbym, żeby to było takie proste.

Usiadł obok niej na brzegu łóżka.

– To będzie takie proste. Chcę iść do lekarza.

– Gdybyś została na górze, jak ci kazałem, nic by się nie stało.

– Sądziłam, że potrzebujesz pomocy. Chciałeś zabić tamtego człowieka.

– Nie pojmujesz tego, Pam? Czy nie miałaś dość widoku umierającego George’a? Te sukinsyny traktują poważnie swoją robotę. Zabijają ofiarę z chwilą, kiedy ją wypatrzą.

– Szłam ci z odsieczą – wyznała cichym głosem.

Dostrzegł w jej oczach coś, czego nie widział od lat. Szczerość. Co swoją drogą, wywołało w jego umyśle wiele pytań, których jednak nie zamierzał zadać. Ani też nie był pewien, czy chce usłyszeć jej odpowiedzi.

– Lekarz będzie musiał powiadomić policję, a to oznacza tarapaty.

Wziął kilka głębokich oddechów. Zmęczenie i niepokój wyssały z niego wszystkie żywotne soki.

– Pam, w tej grze jest wielu graczy. Izraelczycy nie uprowadzili Gary’ego...

– Skąd o tym wiesz?

– Nazwij to instynktem. Przeczucie podpowiada mi, że oni tego nie zrobili.

– Z całą pewnością zastrzelili tego starego człowieka.

– I z tego właśnie powodu przed laty zapewniłem mu dobrą kryjówkę.

– On zadzwonił do nich, Cotton. Słyszałeś, co mówił. Zadzwonił, wiedząc, że się zjawią.

– W ten sposób odprawił pokutę. Zabójstwo pociąga za sobą następstwa, budzi demony. George stawił im dziś czoła.

Myśl o martwym przyjacielu znów wzbudziła w nim uczucie głębokiego żalu.

– Muszę opatrzyć twoją ranę.

Ściągnął szal z jej ramion i zobaczył ręcznik przesiąknięty krwią.

– Czy rana ponownie się otworzyła?

Przytaknęła.

– Kiedy tu jechaliśmy.

Zerwał opatrunek z gazy.

– Cokolwiek się tutaj dzieje, z pewnością jest skomplikowane. Śmierć Haddada czemuś służyła...

– Jego ciało zniknęło, Cotton. Podobnie zresztą jak ciało tej kobiety.

– Najwyraźniej Izraelczycy pospiesznie posprzątali bałagan – dokonał skrupulatnych oględzin jej ramienia i stwierdził, że rana była rzeczywiście

płytka. – Co zresztą tylko potwierdza moją tezę. Graczy jest wielu. Co najmniej dwóch, być może trzech, a nie da się wykluczyć, że nawet czterech. Izraelczycy nie mają w zwyczaju zabijać amerykańskich agentów. Lecz ludzie, którzy zamordowali Lee Duranta, nie mieli najwidoczniej tego rodzaju skrupułów. Można nawet odnieść wrażenie, że prowokują problemy. Tego Izraelczycy również nigdy nie czynią.

Wstał i poszedł do łazienki. Kiedy wrócił, otworzył buteleczkę ze środkiem antyseptycznym i podał Pam świeży ręcznik.

– Zaciśnij na tym zęby.

Na jej twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia.

– Dlaczego?

– Muszę zdezynfekować ranę, ale nie chcę, żeby ktokolwiek usłyszał, gdy będziesz krzyczeć.

Jej oczy zrobiły się wielkie.

– Czy ten środek sprawia ból?

– Większy niż jesteś sobie w stanie wyobrazić.

Stephanie wyłączyła telefon komórkowy. „Prokurator generalny Brent Green zjawił się osobiście i kazał nam odjechać”. Czuła, jak ciarki przechodzą jej po plecach, ale lata służby w wywiadzie sprawiły, że wyraz jej twarzy w najmniejszym nawet stopniu nie zdradzał zaskoczenia czy przykrego zawodu.

Skierowała spojrzenie na kobietę, która siedziała obok niej w taksówce.

– Obawiam się, że jesteś teraz jedyną osobą, której mogę ufać.

– Wydajesz się rozczarowana.

– Nie znam cię.

– To nieprawda. We Francji sprawdziłaś mnie gruntownie.

Cassiopeia miała rację – została skrupulatnie prześwietlona, a Stephanie dowiedziała się wtedy, że piękność o śniadej cerze ma trzydzieści siedem lat i urodziła się w Barcelonie. W połowie muzułmanka, chociaż nieuznawana za osobę pobożną, Cassiopeia uzyskała tytuł magistra

inżyniera na studiach politechnicznych oraz ukończyła wydział historii średniowiecznej. Była jedyną właścicielką akcji i szefową międzynarodowej korporacji z centralą w Paryżu, która działała w licznych przedsiębiorstwach różnych branż i zgromadziła aktywa szacowane na wiele miliardów dolarów. Jej ojciec założył firmę, którą odziedziczyła, chociaż w niewielkim tylko stopniu angażowała się w jej bieżącą działalność. Pełniła jednocześnie obowiązki prezesa holenderskiej fundacji współdziałającej blisko z Organizacją Narodów Zjednoczonych w zwalczaniu AIDS oraz głodu na świecie, szczególnie w Afryce. Stephanie wiedziała również z własnego doświadczenia, że Cassiopeia Vitt nie należy do osób, które dają sobie dmuchać w kaszę, poza tym posługiwała się karabinem z precyzją strzelca wyborowego. Czasami nazbyt arogancka, co nie służyło jej własnemu dobru, Cassiopeia była związana z mężem Stephanie w ostatnich latach jego życia i wiedziała więcej na temat tego małżeństwa niż ona sama sobie tego życzyła. Mimo to darzyła tę kobietę zaufaniem. Bez cienia wątpliwości. Thorvaldsen dokonał mądrego wyboru, kiedy ją tu wysłał.

– Mam poważny problem.

– Tyle to już wiemy.

– Cotton również jest w tarapatach. Muszę koniecznie nawiązać z nim kontakt.

– Henrik nie miał od niego żadnych wieści. Malone obiecał, że zadzwoni, kiedy będzie gotów, ty zaś znasz go lepiej niż ktokolwiek inny.

– Jak się czuje Gary?

– On jest taki sam jak jego ojciec. Twardziel. Z Henrikiem nic mu nie grozi.

– Gdzie jest Pam?

– W drodze powrotnej do Georgii. Poleciała z Cottonem do Londynu, a stamtąd miała udać się wprost do domu.

– Izraelczycy są również w Londynie. Pluton egzekucyjny.

– Cotton to wielki gość. Poradzi sobie. Teraz musimy ustalić, co robimy w sprawie twoich tarapatów.

Stephanie wciąż jeszcze analizowała w myślach zagadkowe słowa. „Prokurator generalny Brent Green zjawił się osobiście i kazał nam odjechać”. Co również wyjaśniało, dlaczego w okolicy nie było funkcjonariuszy straży kongresowej. Zazwyczaj można było ich spotkać na

każdym kroku. Wyjrzała przez okno taksówki i stwierdziła, że znajdują się w pobliżu Dupont Circle i jej hotelu.

– Musimy się upewnić, że nikt nas nie śledzi.

– Lepiej zrobimy, fundując sobie przejażdżkę metrem.

Przyznała jej rację.

– Dokąd więc zmierzamy? – chciała wiedzieć Cassiopeia.

Stephanie spojrzała na pneumatyczny pistolet ukryty pod żakietem Cassiopei.

– Masz więcej tych strzałek, które potrafią ukołysać ludzi do snu?

– Mam ich dużo.

– W takim razie wiem dokładnie, dokąd musimy się udać.

DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ

LONDYN
GODZINA 19.30

Malone obserwował pogrążoną we śnie Pam. Siedział przygarbiony w fotelu obok okna pokoju hotelowego, trzymając na kolanach skórzaną torbę George'a Haddada. Nie mylił się co do środka dezynfekującego. Pam z całych sił zacisnęła zęby na ręczniku, kiedy on przemywał ranę. W jej oczach wezbrały łzy, spisała się jednak dzielnie. Jej cierpień i katuszy nie zdradził żaden dźwięk. Gnębiony wyrzutami sumienia, zszedł do hotelowego butiku i kupił jej nową bluzkę.

On również odczuwał zmęczenie, lecz jego „nerwy Billet", jak sam je nazywał, zapewniały mięśniom nieograniczone zasoby energii. Przypominał sobie czasy, kiedy całymi dniami potrafił nic nie jeść, gdy w jego organizmie gromadziła się adrenalina, on natomiast całkowicie koncentrował się na tym, żeby przeżyć i wykonać powierzoną misję. Przebiegł myślami wiele epizodów z przeszłości. Były to zdarzenia, których nie doświadczy już nigdy więcej.

Lecz teraz znalazł się w tym miejscu.

W samym środku tarapatów.

Ostatnie godziny mogły się wydawać koszmarnym snem, gdyby nie to, że wydarzenia te wciąż rozgrywały się w jego świadomości, zupełnie inaczej niż senne wizje. George'a Haddada, jego przyjaciela, zastrzelono na jego oczach. Uczynili to ludzie, którzy mieli określony cel i czegoś szukali. W innych okolicznościach uznałby, że sprawa ta zupełnie go nie dotyczy. Lecz niektórzy z tych ludzi uprowadzili jego syna i puścili z dymem księgarnię z antykwariatem. Nie. Ta sprawa miała charakter osobisty.

Był im to winien.

I podobnie jak Haddad, zamierzał spłacić swoje długi.

Musiał jednak wiedzieć więcej.

Słowa Haddada były raczej niejasne, zarówno przed wizytą agentów Mosadu, jak i po ich pojawieniu się w domu starego Palestyńczyka. Co gorsza, Haddad nie zdołał wyjaśnić do końca tego, co zrozumiał przed laty – i co niewątpliwie stało się motywem mordu popełnionego na nim przez Izraelczyków. W nadziei, że w skórzanej torbie, która leżała na jego kolanach, znajdzie odpowiedzi, rozpiął ją i wyjął jej zawartość: książkę, trzy notesy i cztery mapy.

Peregrynacje herosa Eusebiusa Hieronimusa Sophroniusa.

Przejrzał pobieżnie stronice woluminu.

Była to powstała ponad dwieście lat temu powieść, napisana przez autora o niewielkiej wyobraźni i skąpego w słowach. Zastanawiał się nad znaczeniem tej książki i miał nadzieję, że zapiski w notesie coś wyjaśnią.

Przekartkował po kolei każdy z trzech notesów.

Drobne litery pisane ręką Haddada, notatki czynione po angielsku. Przystąpił do lektury wybranego fragmentu.

...wskazówki, jakie pozostawił mi gwardian, okazały się niejasne. Peregrynacje herosa stanowią wyzwanie. Obawiam się, że okazałem się głupcem. Nie pierwszym zresztą. Thomas Bainbridge również nie grzeszył roztropnością. W drugiej połowie osiemnastego stulecia najprawdopodobniej otrzymał zaproszenie do biblioteki i zdołał ukończyć peregrynacje herosa. Warunkiem wystosowania zaproszenia jest z całą pewnością przysięga zachowania wizyty w całkowitej tajemnicy. Gwardianie nie spędzili dwóch tysiącleci, chroniąc skarbnicę wiedzy jedynie po to, żeby sekret został wyjawiony przez któregoś z zaproszonych. Lecz Bainbridge złamał zasady i opisał własne doświadczenia. Starając się złagodzić stopień zdrady, nadał swoim wynurzeniom charakter literackiej fikcji, którą zatytułował w sposób niewzbudzający raczej sensacji, choć i nieoryginalny – Peregrynacje herosa. Książka została wydana w niewielkiej liczbie egzemplarzy, ale pozostała niemal niezauważona. W czasach Bainbridge'a świat roił się od fantastycznych opowieści (beletrystyki nie darzono zbytnim poważaniem), główny bohater wędrówki do jakiejś mitycznej biblioteki był więc postrzegany bez nadmiernego entuzjazmu. Przed trzema laty natrafiłem na egzemplarz powieści, który wykradłem

z pewnej posiadłości w Walii. Lektura dzieła wnosi niewiele światła do moich poszukiwań. Bainbridge nie potrafił jednak oprzeć się i nadwerężył zaufanie, jakie pokładali w nim gwardianie. W ostatnich latach przed śmiercią wzniósł altanę w ogrodzie swojej posiadłości w hrabstwie Oxfordshire. W licu marmurowej płyty kazał wyryć pewien obraz oraz napis po łacinie. Obraz, w oryginale pędzla Nicolasa Poussina, pierwotnie nazwany Szczęście poddane władzy śmierci, jest dziś określany tytułem Pasterze Arkadii II.

Malone wiedział niewiele na temat Poussina, chociaż tytuł obrazu był mu znany. Na szczęście jeden z notesów Haddada dostarczył nieco szczegółów.

Poussin był duszą niepokorną, podobnie jak Bainbridge. Urodził się w 1594 roku w Normandii, a pierwsze trzydzieści lat jego życia było okresem udręk i zgryzot. Cierpiał z powodu braku protektorów, niewdzięczności kurtyzan, problemów ze zdrowiem oraz długów. Nawet prace nad malowidłem na sklepieniu Wielkiej Galerii w Luwrze nie natchnęły go inspiracją. Dopiero kiedy w 1642 roku Poussin wyjechał z Francji do Włoch, nastąpiła zmiana. Podróż ta, która normalnie zajmowała kilka tygodni, w wypadku Poussina trwała niemal sześć miesięcy. Kiedy dotarł do Rzymu, zaczął malować w nowym stylu z dużą pewnością siebie, która nie uszła uwadze innych i która szybko przyniosła mu laur najbardziej celebrowanego artysty w Rzymie. Wielu spekulowało, że w trakcie długiej eskapady Poussin poznał wielki sekret. Co interesujące, kiedy płótno Pasterze Arkadii zostało ukończone, zleceniodawca, kardynał Rospigliosi, który później zasiadł na Tronie Piotrowym, przybrawszy imię Klemensa IX, postanowił nie wystawiać dzieła na widok publiczny, ale trzymał je w prywatnych apartamentach. Rospigliosi był człowiekiem wrażliwym na sztukę, który interesował się ponadto wiedzą tajemną oraz ezoteryką. Posiadał też imponujący prywatny księgozbiór, a historycy określili go po latach mianem „papieża wolnomyśliciela”.

Trop wskazujący na to, czego Poussin mógł doświadczyć w trakcie peregrynacji, można odnaleźć w liście napisanym sześć lat

po ukończeniu Pasterzy Arkadii. Jego autor, duchowny, brat ministra finansów na dworze Ludwika XIV, wyraził przekonanie, że dowiedział się od Poussina czegoś, co mogłoby zainteresować francuskiego monarchę. Odnalazłem tę epistołę przed laty wśród szpargałów archiwum rodziny Cossé-Brissac:

On i ja omawialiśmy pewne sprawy, które powinien objaśnić tobie bez trudu ze szczegółami – sprawy, które dadzą tobie, za pośrednictwem Monsieur Poussina, przewagi, jakie nawet królowie wyciągaliby z niego z ogromnym mozołem. Których też, w jego opinii, nie odkryje nikt inny w ciągu najbliższych stuleci. Co więcej, są to rzeczy tak trudne do odkrycia, że nic z tego, co znajduje się obecnie na ziemi, nie zapowiada większej fortuny czy choćby z nimi równej.

Osobliwe stwierdzenie – zagadkowe, w rzeczy samej. Ale budowla, którą Bainbridge wzniósł w swoim ogrodzie, jest jeszcze bardziej zagadkowa. Po ukończeniu Pasterzy Arkadii z jakiegoś nie dającego się wytłumaczyć powodu Poussin namalował lustrzane odbicie obrazu i nadał mu tytuł Pasterze Arkadii II. I ten właśnie wizerunek Bainbridge postanowił uwiecznić w formie marmurowej płaskorzeźby. Nie wersję oryginalną, lecz jej przeciwieństwo. Bainbridge był sprytny, a wzniesiona przez niego budowla, pełna symboliki, przez dwieście lat pozostawała w zapomnieniu.

Malone czytał dalej, przebiegając myślami labirynt różnych możliwych wyjaśnień. Niestety, Haddad ujawnił niewiele więcej. Reszta notatek dotyczyła Starego Testamentu, jego przekładów oraz sprzeczności i niespójności, od jakich roiły się biblijne opowieści. Malone nie znalazł jednak nawet słowa, które wyjaśniłoby przyczynę tak wielkiego zainteresowania Haddada zaginioną biblioteką. Nie natrafił też nigdzie na żadną wzmiankę na temat gwardiana. Żadnych szczegółów o *peregrynacjach herosa*, jedynie drobna uwaga na końcu jednego z notesów.

W salonie w Bainbridge Hall można odnaleźć kolejne przejawy arogancji Bainbridge'a. Już sam tytuł dzieła jest szczególny. Epifania Świętego Hieronima. Fascynujący i bardzo trafny, gdyż wielkie peregrynacje często rozpoczynają się od epifanii, czyli objawienia.

Wreszcie jakiś konkret, lecz wciąż mnóstwo pytań pozostawało bez odpowiedzi. On zaś przekonał się już dawno, że zmagania z zagadkami, które nie mają rozwiązania, to najprostszy sposób na sparaliżowanie szarych komórek.

– Co czytasz?

Podniósł wzrok. Pam wciąż leżała w łóżku, z głową na poduszce i otwartymi oczami.

– To, co zostawił George.

Powoli usiadła, przeganiając z oczu senność. Zerknęła na zegarek.

– Jak długo spałam?

– Jakąś godzinę. Jak twoje ramię?

– Boli.

– I będzie bolało przez kilka dni.

Wyprostowała nogi.

– Ile razy byłeś postrzelony, Cotton? Trzy?

Przytaknął.

– Takich rzeczy się nie zapomina.

– Ja też nie zapomniałam. Jeśli sobie przypominasz, opiekowałam się wtedy tobą.

Rzeczywiście tak było.

– Kochałam ciebie – wyznała. – Wiem, że być może nie dasz temu wiary. Ale naprawdę cię kochałam.

– Powinnaś była powiedzieć mi o Garym.

– Zraniłeś mnie swoim postępowaniem. Nigdy nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego zdradzałeś mnie na lewo i prawo. Dlaczego ja ci nie wystarczałam.

– Byłem młody. I głupi. Zadufany w sobie. To było dwadzieścia lat temu, na Boga! Później oczywiście tego żałowałem. Dokładałem starań, żeby być dobrym ojcem. Naprawdę się starałem.

– Ile było tych innych kobiet? Nigdy mi nie powiedziałeś.

Nie miał zamiaru skłamać.

– Cztery. Każda z nich była tylko przygodą na jedną noc – wyjawił. Teraz on chciał wiedzieć. – A ty?

– Tylko jeden. Ale spotykałam się z nim przez kilka miesięcy.

Poczuł ukłucie.

– Kochałaś go?

– W takim stopniu, w jakim zamężna kobieta jest w stanie kochać kogoś, kto nie jest jej mężem.

Zrozumiał jej przekaz.

– Gary jest owocem tamtego związku. – Zdawało się, że się zmaga ze znakiem zapytania, który najwyraźniej wyłaniał się z jej przeszłości. – Kiedy patrzę na Gary'ego, jakaś część mnie odczuwa złość na to, czego się dopuściłam. Boże, dopomóż mi! Ale inna część jest również wdzięczna za to, co się stało. Gary zawsze był przy mnie. Ty natomiast przychodziłeś i odchodziłeś.

– Kochałem ciebie, Pam. Chciałem być twoim mężem. Naprawdę bardzo żałowałem tego, czego się dopuściłem.

– To nie wystarczyło – wymruczała, spoglądając na podłogę. – Wtedy tego nie wiedziałam, ale później uświadomiłam sobie, że nigdy mi to nie wystarczało. Dlatego właśnie upłynęło pięć lat, zanim się w końcu rozstaliśmy. Pragnęłam utrzymać nasze małżeństwo, później jednak przestało mi na tym zależeć.

– Tak bardzo mnie znienawidziłaś?

– Nie. Darzyłam nienawiścią samą siebie za to, co zrobiłam. Upłynęły lata, zanim wreszcie to sobie uświadomiłam. Możesz sprawdzić u kogoś, kto się na tym zna. Osoba, która kieruje nienawiść ku samej sobie, wpada naprawdę w tarapaty. Chociaż nawet nie zdaje sobie z tego sprawy.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi o Garym wtedy, kiedy to się wydarzyło?

– Nie zasługiwałeś na prawdę. Przynajmniej tak wtedy sądziłam. Dopiero w zeszłym roku zdałam sobie sprawę, że to był błąd. Puszczałeś się, ja się puszczałam, ale zaszłam w ciążę. Masz rację. Powinnam była powiedzieć ci wtedy. Ale to jest kwestia dojrzałości i jak sam powiedziałeś, oboje byliśmy młodzi i głupi.

Zamilkła. On zaś nie przerywał ciszy.

– To właśnie dlatego byłam na ciebie zła, Cotton. Nie byłam w stanie przekląć samej siebie. Ale z tego powodu w końcu powiedziałam ci o Garym. Zdajesz sobie przecież sprawę, że nie musiałam ci tego wyznawać i nigdy byś się o tym nie dowiedział. Chciałam jednak w końcu zrobić z tym porządek. Chciałam zawrzeć z tobą pokój...

– I z sobą.

Przytaknęła powolnym ruchem głowy.

– W głównej mierze. – Jej głos się załamał.

– Dlaczego poszłaś za mną, gdy byliśmy u Haddada? Wiedziałaś, że nie unikniemy strzelaniny.

– Powiedzmy, że był to kolejny nieprzemyślany krok.

On jednak wiedział lepiej. Nadeszła pora powiedzieć prawdę.

– Nie możesz wracać do domu, do Atlanty. Ktoś cię śledził na lotnisku. Dlatego właśnie wróciłem po ciebie.

Z jej oblicza emanowało złowrogie spojrzenie.

– Powinieneś był mi powiedzieć.

– Tak. Powinienem był.

– Dlaczego ktoś miałby mnie śledzić?

– Szykując się do kolejnej sposobności. Być może jesteś zbędnym świadkiem, którego należy uciszyć.

Dostrzegł, że zrozumiała znaczenie wypowiedzianych słów.

– Chcą mnie zabić?

Wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. I to właśnie stanowi problem. Musimy zgadywać.

Ponownie opadła na łóżko, najwidoczniej zbyt zmęczona, obolała i zdezorientowana, żeby dalej prowadzić rozmowę.

– Co zamierzasz teraz zrobić? Haddad nie żyje. Izraelczycy chyba już sobie poszli.

– Co otwiera nam drogę do poszukiwań tego, czego nie zdołał znaleźć George. Chodzi o te „peregrynacje herosa”. Zostawił nam te notatki nie bez powodu. Chciał, żebyśmy ruszyli tym śladem.

Położyła głowę na poduszkę.

– Nie. On chciał, żebyś ty ruszył.

Dostrzegł grymas bólu na jej twarzy.

– Przyniosę trochę lodu, żeby przyłożyć do rany. To pomoże.

– Nie będę się z tobą spierać.

Wstał, sięgnął po pusty kubełek i skierował się ku drzwiom.

– Chciałabym wiedzieć, co ma aż taką wartość, żeby chcieć za to umrzeć.

Zatrzymał się.

– Zdziwisz się, jak niewiele warte bywa to czasami.

– Sądzę, że zadzwonię do Gary’ego – dodała. – Chciałabym się upewnić, że u niego wszystko w porządku.

– Powiedz mu, że tęsknię za nim.

– Jest mu tam dobrze?

– Henrik zapewni mu najlepszą opiekę. Nie ma powodów do zmartwienia.

– Gdzie zatem zaczniemy szukać?

Dobre pytanie. Gdy spojrzał w poprzek pokoju na zawartość skórzanej torby, wiedział, że odpowiedź jest tylko jedna.

TRZYDZIEŚCI

LONDYN
GODZINA 21.00

Sabre spoglądał przez okno w mrok nocy. Wynajęta przez niego kobieta, która czekała na lotnisku Heathrow na przybycie Malone’a, pojechała za byłym agentem do mieszkania znajdującego się w szeregu kamienic o dwuspadowych dachach, jakie z całą pewnością gwarantowały przyjemną egzystencję, ład i porządek oraz niczym niezakłóconą prywatność.

Typowe dla Brytyjczyków.

Kobieta ta słyszała także strzały dobiegające z wnętrza budynku, później zaś była świadkiem strzelaniny, jaka wywiązała się między Cottonem Malone a drugim mężczyzną, w wyniku której była żona byłego agenta została draśnięta jedną z kul. Napastnik zdołał uciec, a Malone i jego była żona wrócili do mieszkania Haddada. Niedługo potem wyszli, zabierając z sobą skórzaną torbę na ramię.

Wszystko to wydarzyło się przed trzema godzinami, ale od tamtej pory Sabre nie miał kontaktu z wynajętą przez siebie kobietą. Było to oczywiste, przez większość czasu przebywał przecież na pokładzie samolotu lecącego z Kopenhagi do Londynu, mimo to jednak kobieta powinna się już zgłosić.

Odczuwał zmęczenie, ale jednocześnie i pobudzenie, gdyż wyznaczony cel stopniowo się przybliżał.

Do mieszkania Haddada dostał się bez większego trudu, zastanawiając się, czy zastanie tam gospodarza, ale w środku nie było nikogo. Na ścianach wisiały mapy. Z pomocą kieszonkowej latarki przyjrzał się tym osobliwym arkuszom kartograficznym, lecz to, co na nie naniesiono – państwa Bliskiego Wschodu – nie zdziwiło go. Liczne książki oraz sterty nieuporządkowanych artykułów prasowych również były poświęcone tematowi przewodniemu.

Bibliotece Aleksandryjskiej.

Przez minioną godzinę analizował materiały, jakie widział w bladym świetle kieszonkowej latarki. Zastanawiał się nad losem Haddada. Człowiek, z którym Cotton Malone toczył pojedynek na ulicy, był z pewnością izraelskim agentem. W Rothenburgu Jonah dał jasno do zrozumienia, że pluton egzekucyjny Mosadu był już w drodze do Londynu. Czy Malone przeszkodził im? Czy zdołali wykonać w pełni powierzone im zadanie? Czy może Haddad zdołał uciec i gdzieś się ukryć? Odpowiedzi nie znajdzie, ponieważ jego człowiek roztropnie trzymał się blisko Malone'a.

Nie odczuwał w ogóle triumfu, chociaż zdołał precyzyjnie zlokalizować miejsce pobytu Haddada, zgodnie zresztą z planem. Mógł jedynie mieć nadzieję, że wynajęta przez niego kobieta równie dobrze wykona swoją robotę.

Wprawdzie to zadanie zostawił sobie na koniec, ale nadeszła pora, żeby przejrzeć zawartość komputera Haddada. Włączył urządzenie i wpatrywał się w ekran.

Wbrew bałaganowi i rozgardiaszowi, jaki panował w jego mieszkaniu, Haddad zdawał się nad wyraz drobiazgowy i schludny, gdy chodziło o uporządkowanie danych elektronicznych.

Sabre otworzył kilka plików i przejrzał ich zawartość.

Haddad zgłębiał temat Biblioteki Aleksandryjskiej z podziwu godną szczegółowością. Ale co interesujące, zajmował się również gwardianami. Alfred Hermann wprowadził Sabre'a w ten temat. Jonah wypełnił kilka pustych miejsc. Jeden z plików w komputerze Haddada oferował jednak jeszcze więcej.

...ich początki pozostają nieznane, utracone na skutek niedorzecznych działań ludzi antyku, którzy całkowicie bezkarnie wymazywali pamięć rodzaju ludzkiego.

Gdy nadeszło II stulecie, człowiek opanował sztukę wojny i zadawania tortur. W wielu regionach świata powstawały imperia, w których ustanawiano prawa i podejmowano środki bezpieczeństwa. Żaden jednak z tych systemów nie chronił ludzi przed samowolą ich władców. Formowała się religia, a kapłani stawali się ochoczymi sojusznikami tyranów. Egipt był jednym z miejsc, gdzie wystąpiła tego rodzaju farsa. Lecz około II wieku

pojawił się nad Nilem religijny zakon, który nie oddawał boskiego hołdu władzy, czcił bowiem kultywowanie wiedzy i mądrości.

Coś na kształt klasztoru powstało z chwilą, kiedy ludzie o podobnych przekonaniach i dążeniach zaczęli tworzyć wspólnotę. Miejsce to było świadomie oddalone od skupisk ludzkich, a kto mógł, unikał zbliżania się do niego. Ta grupa ludzi była wyjątkowa. Jej członkowie w rzeczywistości działali w obu aleksandryjskich bibliotekach jako urzędnicy i zarządcy. Dzięki temu dysponowali dostępem do całego księgozbioru, a w miarę jak rodzajowi ludzkiemu wiodło się coraz lepiej, lecz jednocześnie pogłębiano wiedzę, jak unicestwiać innych, grupa ta w coraz większym stopniu odsuwała się na ubocze.

Początkowo zajmowali się wyłącznie kopiowaniem tekstów, w końcu jednak postanowili wykradać pergaminy i zwoje. Ogrom zasobów biblioteki (kilkaset tysięcy manuskryptów) wymusił na nich podjęcie takiej decyzji, ale w ciągu kolejnych trzystu lat, kiedy biblioteka popadała w coraz większą niełaskę, wykradanie stawało się łatwiejsze, głównie z braku rzetelnie sporządzonych katalogów. Do czasu inwazji muzułmanów w VII wieku gwardianie znajdowali się w posiadaniu większej części zbiorów zgromadzonych w bibliotekach Aleksandrii. Wtedy też zniknęli, pojawiając się od czasu do czasu, przekazując zaproszenia do odwiedzin i czerpania z wiedzy.

Sabre czytał dalej, zastanawiając się, w jaki sposób George Haddad zdołał uzyskać tak szczegółowe informacje. Zdaje się, że ten Palestyńczyk zaskoczy go jeszcze nieraz swoimi zdolnościami.

Ruch, jaki dostrzegł kątem oka, postawił jego zmysły na baczność. Cienie ożyły. Ciemna postać podeszła bliżej.

Jego dłonie pozostały na klawiaturze. Pechowym zbiegiem okoliczności nie miał przy sobie broni. Obrócił się, gotów podjąć walkę.

W poświacie komputerowego monitora zmaterializowała się sylwetka kobiety.

Wynajętej przez niego.

– Tego rodzaju bezmyślność skończy się kiedyś źle dla ciebie – skarcił ją.

– Nie jestem w nastroju.

Korzystał z jej usług regularnie, kiedy potrzebował pomocy na terenie Wielkiej Brytanii. Cechowała się szczupłą budową ciała i ładnymi rysami. Dzisiaj jej czarne włosy były zaczesane razem i zaplecione w gruby warkocz.

– Gdzie byłaś? – zapytał.

– Śledziłam Malone’a. Wynajęli hotel w pobliżu Hyde Parku.

– Gdzie się podział Haddad?

Pokręciła głową bezradnie.

– Nie wiem. Deptałam Cottonowi po piętach. Ryzykował, wracając do mieszkania Haddada, policja była już bowiem w drodze. Po chwili wyszedł ze skórzaną torbą.

Podziwiał jej intuicję.

– Musimy więc dalej szukać Palestyńczyka.

– On tutaj wróci, chyba że już nie żyje. Wyglądasz jakoś inaczej.

Zniknęły gdzieś jego pełne uroku czarne loki i znoszone ubrania. Miał krótko obcięte, rozwichrzone włosy w kolorze piaszczystego brązu. Był schludnie ubrany w dżinsy, płócienną koszulę i kurtkę z materiału. Przed opuszczeniem Niemiec przekazał Niebieskiemu Krzesłu informacje o tym, czego zdołał się dowiedzieć, następnie dokonał zmiany fizycznego wyglądu – wszystko to zresztą stanowiło elementy precyzyjnie opracowanego planu, o którym Alfred Hermann miał jedynie mgliste pojęcie.

– Akceptujesz te zmiany? – chciał wiedzieć.

– Lubiłam poprzedni wygląd.

Wzruszył ramionami.

– Może następnym razem. Co się dzieje?

– Zostawiłam czujkę, która obserwuje hotel. Jeśli Malone się ruszy, ten ktoś zadzwoni.

– Nic więcej nie wiadomo o Izraelczykach?

– Tamten mężczyzna szybko się stąd zwinął.

Rozejrzał się dookoła. Może po prostu zaczeka tutaj na powrót Haddada. To wydawało się najlepszym rozwiązaniem. Z pewnością były mu potrzebne wszystkie dane z komputera Haddada, nie chciał jednak zabierać z sobą twardego dysku. Łatwo zresztą dałoby się to odkryć. Bezpieczniej będzie skopiować dane. Wśród przedmiotów leżących na stole

dostrzegł przenośną pamięć. Sięgnął po urządzenie i wsunął wtyk do wolnego portu USB.

Sprawdził pamięć nośnika. Żadnych danych.

Po kilku kliknięciach myszą udało mu się skopiować wszystkie pliki z twardego dysku komputera.

Z tyłu za monitorem zauważył coś jeszcze.

Niewielką czerwoną diodę.

Spojrzał dokładniej w to miejsce i zobaczył kieszonkowy dyktafon analogowy, który leżał między dokumentami. Podniósł urządzenie i zauważył, że nie pokrywa go warstwa kurzu, co oznaczało, że dyktafon położono tutaj niedawno. Taśma w kasecie była przewinięta do końca, ale bateria jeszcze się nie wyczerpała.

Nacisnął przycisk REWIND.

Wynajęta przez niego kobieta stała w milczeniu.

Nacisnął przycisk PLAY.

Nagranie zawierało całą rozmowę, jaką Haddad odbył z Cottonem Malone, a później z izraelskimi agentami. Ze zdumieniem słuchał, jak zastrzelono Haddada. Ostatnią rzeczą, jaka się nagrała, była deklaracja Cottona Malone’a, że zamierza zabić tego sukinsyna.

Wyłączył urządzenie.

– Haddad nie żyje? – Kobieta nie kryła zdziwienia. – Zabili go tutaj? Dlaczego więc nic nie wskazuje, że jest to miejsce zbrodni?

– Przypuszczam, że Izraelczycy zdołali posprzątać bałagan, zanim zjawiła się tu policja.

– Co teraz?

– Mamy Malone’a. Przekonajmy się, dokąd nas poprowadzi.

TRZYDZIEŚCI JEDEN

Malone wyszedł z pokoju i ruszył wzdłuż korytarza. Wcześniej zauważył maszynę do lodu, co go zaskoczyło. W coraz większym stopniu amerykańskie wyposażenie trafiało do europejskich hoteli.

Był zły na siebie, że wystawił Pam na niebezpieczeństwo. Właściwie jaki miał wtedy wybór? Nie mógł jej przecież pozwolić, żeby opuściła lotnisko Heathrow – nie bez ogona, który ciągnął się za nią. Lecz kim był ten człowiek? Być może był powiązany z tymi, którzy uprowadzili Gary'ego? Wydawało się to logiczne. Wciąż jednak wiedział bardzo mało.

Izraelczycy bardzo szybko zareagowali na informację, że Haddad wciąż żyje. Pam miała jednak rację. Skoro Haddad nie żył, ich interesy były chronione, a problem został rozwiązany. Mimo to Pam była tą osobą, którą śledzono. Nie on.

Dlaczego?

Doszedł do maszyny z lodem i stwierdził, że nie działa. Chociaż kompresor pracował, w kubełku nie było lodu. „Zupełnie jak w Ameryce" – pomyślał.

Pchnął drzwi prowadzące na klatkę schodową i zszedł piętro niżej.

Tam maszyna była wypełniona lodem po brzegi. Stanął w niszy z boku korytarza i napełniał wiaderko.

Usłyszał, jak drzwi jednego z pokojów zamykają się z trzaskiem, po czym do jego uszu dobiegły głosy. Wciąż jeszcze nabierał bryłki lodu, kiedy obaj mężczyźni minęli niszę, rozmawiając z podnieceniem. Zawrócił, chcąc wyjść, i wtedy dostrzegł profil twarzy jednego z mężczyzn oraz jego smukłą sylwetkę i mocno opaloną skórę – facet z lotniska Heathrow.

Cofnął się do niszy i wyjrzał za próg, obserwując, jak mężczyźni wchodzą do windy.

Jechali na górę.

Ruszył biegiem w stronę drzwi prowadzących na klatkę schodową, a następnie pędem ruszył na górę. Przymknął lekko drzwi, gdy usłyszał dzwonek windy. Dwaj mężczyźni wyszli na korytarz.

Odchylił nieco drzwi i spojrzał w głąb korytarza. Dostrzegł, jak jeden z mężczyzn sięgnął po tacę używaną przez służbę hotelową, drugi zaś wyciągnął rewolwer z krótką lufą. Szli prosto do pokoju, w którym czekała Pam.

Zaklął w duchu.

Pistolet Haddada został w pokoju. Nie zabrał go z sobą. Naprawdę się popisał. Teraz musi improwizować.

Mężczyźni zatrzymali się przy drzwiach. Jeden z nich, ten z pistoletem, zastukał, po czym odsunął się na bok. Drugi udawał stewarda, balansując tacą trzymaną w dłoni.

Mężczyzna z pistoletem ponownie zastukał.

Być może Pam wciąż jeszcze rozmawia przez telefon z Garym? Dzięki temu zyskałby chwilę, jaka była mu potrzebna.

– Służba hotelowa – usłyszał, jak mówi mężczyzna.

W odróżnieniu od amerykańskich hoteli, gdzie judasze były standardem, Brytyjczycy zazwyczaj ich nie stosowali, a ten hotel nie stanowił wyjątku. Malone mógł jedynie żywić nadzieję, że Pam nie będzie tak głupia, że przekręci gałkę i otworzy drzwi.

– Przyniosłem dla pani posiłek na zamówienie – powiedział mężczyzna, tym razem głośniej.

Pauza.

– Zamówienie złożył pewien gentleman.

„Cholera, najprawdopodobniej uwierzy, że to on złożył zamówienie, kiedy jeszcze spała”. Musiał więc działać. Podniósł kubełek z lodem, przysłaniając twarz, i ruszył wzdłuż korytarza.

– Posiłek do tego pokoju – wyjaśnił mężczyzna.

Malone usłyszał zwalniany zamek w drzwiach.

Zerkając zza niesionego kubełka, zauważył, że mężczyzna z pistoletem zobaczył go. Natychmiast przesłonił pistolet. Malone wykorzystał tę chwilę nieuwagi i rzucił lód oraz kubełek w twarz uzbrojonego mężczyzny, po czym wymierzył prawy prosty w szczękę mężczyzny, który trzymał tacę. Poczuł, jak pęka kość, napastnik pada na wykładzinę, a taca i jej zawartość rozlatują się dookoła.

Mężczyzna z bronią doszedł do siebie po pierwszym szoku i unosił już pistolet, kiedy Malone wymierzył mu dwa ciosy w głowę i uderzył kolanem

w klatkę piersiową. Napastnik osunął się na ziemię i leżał teraz nieruchomo.

Drzwi od pokoju otworzyły się powoli.

Pam wpatrywała się w niego ze zdziwieniem.

– Dlaczego otworzyłaś drzwi? – zapytał.

– Sądziłam, że zamówiłeś posiłek.

Sięgnął po pistolet napastnika i wsunął go za pasek.

– I nie powiedziałbym tobie o tym?

Szybkimi ruchami obszukał obu mężczyzn, lecz nie znalazł żadnych dokumentów potwierdzających ich tożsamość.

– Kim oni są? – zapytała Pam.

– Jeden z nich śledził ciebie na lotnisku.

Chwycił pierwszego napastnika za ramiona i wciągnął go do pokoju, po czym złapał drugiego za nogi i również zaciągnął go do wnętrza.

– Jesteś upartą kobietą.

Zatrzasnął drzwi nogą.

– Byłam głodna.

– Jak się miewa Gary?

– Wszystko u niego w porządku, ale nie zdążyłam powiedzieć mu więcej.

Jeden z mężczyzn zaczął jęczeć. „Wkrótce się ockną” – pomyślał Malone. Chwycił skórzaną torbę na ramię i pistolet Haddada.

– Ruszajmy.

– Opuszczamy to miejsce?

– Chyba że zamierzasz być tutaj, kiedy oni dojdą do siebie.

Zauważył, że ta perspektywa niezbyt ją przekonała.

– Masz pistolet – przypomniała mu.

– Którego nie zamierzam użyć. To nie jest Dziki Zachód. Jesteśmy w hotelu, wokół są ludzie. A zatem postępujmy rozsądnie i znikajmy stąd. W tym mieście jest mnóstwo innych hoteli.

Pam chwyciła szal i owinęła nim ramiona. Oboje w pośpiechu opuścili pokój i wsiedli do windy, po czym wyszli z hotelu na chłodny wieczór. Rozejrzał się badawczo dookoła i doszedł do wniosku, że trudno będzie się przekonać, czy nikt za nimi nie idzie. Zbyt dużo było rzeczy, które należało obserwować. Najbliższa stacja metra znajdowała się dwie przecznice dalej, ruszył więc w tym kierunku, postanawiając mocno mieć się na baczności.

Mózg ponownie wskoczył na wysokie obroty.

„Jakim cudem mężczyzna z lotniska Heathrow odnalazł ich?” Jeszcze bardziej niepokojące było jednak to, skąd mężczyzna, który udawał stewarda, wiedział, że jego nie było w pokoju?

„Pewien gentleman zamówił posiłek”.

Spojrzał na Pam, kiedy szli do metra.

– Czy powiedziałaś temu facetowi za drzwiami, że niczego nie zamawiałaś?

Przytaknęła.

– Wtedy właśnie oznajmił, że ty to zamówiłeś.

Nie do końca było to zgodne z prawdą. Ten facet powiedział, że posiłek zamówił „gentleman”.

A jednak. Intuicja?

W żadnym razie.

TRZYDZIEŚCI DWA

WASZYNGTON
GODZINA 21.00

Stephanie prowadziła Cassiopeię Vitt przez spokojną okolicę. W ciągu kilku minionych godzin ukrywały się na przedmieściach. Zadzwoniła do centrali biura Magellan Billet z aparatu telefonicznego w restauracji Cracker Barrel i dowiedziała się, że Malone się nie odezwał. Biały Dom również nie nawiązywał kontaktu. Z biura Larry'ego Daleya dzwoniono trzykrotnie. Stephanie poleciła podległemu jej personelowi, aby przekazał zastępcy doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego, że nawiąże z nim kontakt przy pierwszej sposobności. Co było dość ryzykownym posunięciem, o czym wiedziała. Cóż, niech Daley zastanawia się do czasu, kiedy nie zobaczy ponownie jej uśmiechniętej twarzy, nawet jeśli będą to wiadomości CNN. Strach Daleya przed takim obrotem sprawy był dostatecznie duży, przynajmniej w tej chwili, co powinno powstrzymać go na jakiś czas od działania. Heather Dixon oraz Izraelczycy to była jednak zupełna inna para kaloszy.

– Dokąd idziemy? – chciała wiedzieć Cassiopeia.

– Załatwić pewien problem.

W okolicy dominowała architektura z końca XIX i początku XX wieku, która − z czego Stephanie właśnie zdała sobie sprawę − cieszyła się popularnością wśród dziewiętnastowiecznych przemysłowców, którzy pierwsi zasiedlili szerokie na trzy pasma aleje. Szeregi kolonialnych budynków i krytych brukową kostką chodników jedynie dodawały powagi tej zamożnej dzielnicy w świetle wieczoru.

– Nie jestem jedną z twoich agentek – odparła Cassiopeia. – Lubię wiedzieć, w co się pakuję.

– Możesz odejść, kiedy tylko zechcesz.

– To miłe z twojej strony. Ale tak łatwo się mnie nie pozbędziesz.

– W takim razie przestań zadawać pytania. Czy Thorvaldsena również nagabujesz w ten sam sposób?

– Dlaczego tak go nie lubisz? We Francji mocno na niego naciskałaś.

– Spójrz, gdzie się znalazłam? Cotton wpadł w tarapaty. Podlegli mi ludzie pragną mojej śmierci. Izraelczycy i Saudyjczycy również mnie tropią. Czy sądzisz, że roztropnie byłoby darzyć w tej sytuacji kogokolwiek sympatią?

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

Nie, to nie była odpowiedź. Stephanie nie zamierzała jednak wyjawić prawdy. Wiązało się to z bliskością tego człowieka, z jej mężem, w ostatnich latach jego życia. Thorvaldsen znał jej mocne i słabe strony, a w jego pobliżu czuła się zagrożona i bezbronna.

– Wystarczy powiedzieć, że on i ja znamy się zbyt dobrze.

– Henrik martwił się o ciebie. Dlatego właśnie poprosił, żebym tu przyjechała. Wyczuwa kłopoty.

– A ja to doceniam. Nie znaczy to jednak wcale, że muszę go lubić.

Skierowała wzrok na dom, jedną z wielu ceglanych rezydencji na symetrycznym planie, ozdobioną płaskorzeźbami, z portykiem i mansardowym dachem. Światła paliły się tylko w oknach na parterze. Stephanie rozejrzała się badawczo po ulicy.

W pobliżu nie było nikogo.

– Chodź ze mną.

Alfred Hermann sypiał niewiele. Już dawno wyćwiczył swój umysł tak, że jego organizm funkcjonował, zadowalając się nie więcej niż trzema godzinami snu. Nie był aż tak stary, żeby osobiście doświadczyć okropności drugiej wojny światowej, chociaż wciąż jeszcze żywe były w nim dziecięce wspomnienia z parady nazistów na ulicach Wiednia. W późniejszych dekadach aktywnie walczył przeciw Sowietom i stawiał wyzwania ich marionetkowym rządom, które zdominowały Austrię. Fortuna rodziny Hermanna sięgała czasów Habsburgów i zdołała przetrwać dwa burzliwe

politycznie stulecia w dziejach jego kraju. W ostatnim półwieczu rodzinny majątek został wielokrotnie powiększony, a spora część tego sukcesu wiązała się z Zakonem Złotego Runa. Początkowo Alfred Hermann współpracował z wybraną grupą ludzi z całego świata, co dawało korzyści, o jakich ani jego ojciec, ani jego dziad nie mogli nawet marzyć. Bycie u steru – to zapewniało jeszcze większe korzyści.

Jego kadencja powoli się jednak kończyła.

Po jego śmierci córka odziedziczy wszystko. Myśl ta jednak nie zapewniała mu poczucia komfortu. To prawda, że pod wieloma względami była taka jak on. Odważna i zdeterminowana, doceniała przeszłość i z równym co on entuzjazmem pragnęła posiąść najcenniejszą z ludzkich dziedzin – wiedzę. Wciąż jednak brakowało jej ostatecznego szlifu. Była niczym praca, która wciąż jeszcze trwała. On zaś się obawiał, że dzieło to nigdy nie zostanie ukończone.

Skierował wzrok na córkę, która podobnie jak on sypiała niewiele. Dał jej imię Margarete, po matce. Podziwiała makietę Biblioteki Aleksandryjskiej.

– Czy ją odnajdziemy? – zapytała cichym głosem.

Podszedł bliżej.

– Jestem przekonany, że Dominick jest już blisko.

Spojrzała na niego badawczo bystrymi szarymi oczyma.

– Sabre nie jest godny zaufania. Żaden Amerykanin nie jest.

Poruszali już ten temat wcześniej.

– Nie ufam nikomu.

– Nawet mnie?

Wyszczerzył zęby w uśmiechu. O tym też już wcześniej rozmawiali.

– Nawet tobie.

– Sabre ma zbyt dużo swobody.

– Czyżbyś mu zazdrościła? Zlecamy mu trudne misje. Nie możesz tego robić i spodziewać się, że będzie działał tak, jak my uznamy za stosowne.

– On stanowi problem. Amerykański geniusz i te sprawy. Nigdy nie można być pewnym.

– On jest bystrym facetem. Potrzebna jest mu motywacja. Dajemy mu tę motywację, w zamian on przybliża nas do celu.

– Ostatnio wyczułam w nim coś więcej. Usiłuje ukryć swoje ambicje, ale wiem, że je ma. Musisz tylko baczniej mu się przyglądać.

Pomyślał, że się z nią podroczy.

– Być może czujesz do niego pociąg?

Żachnęła się na tak postawione pytanie.

– To się nigdy nie zdarzy. Tak naprawdę zwolnię go natychmiast po twoim odejściu.

Zastanawiał się nad tym, jak Margarete będzie postępować, kiedy już odziedziczy po nim wszystko, co posiada.

– Nie ma gwarancji, że zasiądziesz na Niebieskim Krześle. Wyboru dokonują wszystkie Krzesła spośród siebie.

– Znajdę się w kręgu. Zapewniam cię. Kiedy już tam będę, pozostanie mi tylko prosta decyzja.

On jednak nie miał co do tego pewności. Wiedział o jej kontaktach z pozostałymi czterema Krzesłami. Na dobrą sprawę sam zachęcał ją do tego, testując ją przy okazji. Jego bogactwo przekraczało dobytek innych, jeśli chodzi o wiek fortuny, jej wartość i skalę. Finansowe instytucje, które kontrolował, były w skomplikowany sposób powiązane z biznesami wielu członków zakonu, wliczając w to także trzy Krzesła. Żaden z nich nie chciał się narażać, ujawniając to pozostałym. Ceną za jego milczenie zawsze była lojalność z ich strony. Przez całe dekady wykorzystywał ich słabość, lecz próby jego córki były dość marne. Powinien ją więc ostrzec.

– Kiedy odejdę, to prawda, Dominick będzie miał do czynienia z tobą, podobnie jak ty z nim, lecz nie spiesz się. Ludzie tacy jak on, którzy nie kierują się emocjami, bez zasad moralnych, o lwim sercu, są cenni. Być może się okaże, że także dla ciebie.

Miał nadzieję, że słucha go uważnie, obawiał się jednak, jak zresztą zawsze, że jednym uchem wpuszczała, a drugim wypuszczała to, co do niej mówiono. Jej matka zmarła, gdy Margarete miała osiem lat. Początkowo wydawało się, że jest taka jak on – „stworzona z żebra”, jak lubiła mówić – ale w miarę upływu lat ta obietnica się nie spełniała. Edukację rozpoczęła we Francji, kontynuowała w Anglii, a zakończyła w Austrii, zdobywając doświadczenie biznesowe w radach nadzorczych jego licznych korporacji.

Jednak raporty, jakie stamtąd otrzymywał, nie brzmiały zbyt zachęcająco.

– Co zrobisz, jeśli odnajdziemy bibliotekę? – zapytała.

Ukrył rozbawienie. Najwyraźniej nie zamierzała dyskutować na temat Sabre’a ani własnej osoby.

– Ludzkie wyobrażenie przekracza to, jak wielkie myśli są w niej zgromadzone.

– Słyszałam, jak mówiłeś o tym wczoraj. Opowiedz mi więcej.

– Ach, mapa Piri Reis z tysiąc pięćset trzynastego roku, znaleziona w Istambule. Opowiadałem właśnie o tym. Nie wiedziałem, że słuchasz.

– Zawsze słucham.

Uśmiechnął się szeroko, słysząc ten komentarz. Oboje wiedzieli, że nie było to prawdą.

– Opowiadałem kanclerzowi zakonu o tym, że mapa została narysowana na wyprawionej skórze gazeli przez tureckiego admirała, który wcześniej był korsarzem. Zawiera mnóstwo niewiarygodnych szczegółów. Jest tam narysowana linia brzegowa Ameryki Południowej, chociaż europejscy nawigatorzy nie sporządzili jeszcze wtedy map tego regionu. Jest również na niej Antarktyda z czasów, zanim została pokryta lodową czapą. Dopiero ostatnio, przy zastosowaniu radarów geologicznych, zdołaliśmy określić precyzyjnie bieg linii brzegowej tego kontynentu, a jednak linia wytyczona w tysiąc pięćset trzynastym roku jest równie precyzyjna jak ta z naszych czasów. Na tylnej stronie mapy kartograf zanotował, że posługiwał się rycinami sporządzonymi w czasach Aleksandra, Pana o Dwóch Rogach. Wyobrażasz sobie! Być może starożytni żeglarze odwiedzali Antarktydę przed tysiącami lat, zanim utworzyła się na niej lodowa powłoka, i zdołali narysować to, co widzieli.

Myśli Hermanna kłębiły się, kiedy rozważał, co jeszcze mogło kryć się w takich dziedzinach, jak matematyka, astronomia, geometria, meteorologia i medycyna.

– Niezapisana wiedza ulega zapomnieniu lub też miesza się i plącze tak, że nie sposób jej poznać. Znasz Demokryta? To on wpadł na pomysł, że wszystkie rzeczy składają się z nieskończonej liczby drobnych cząsteczek. Dzisiaj nazywamy je atomami, lecz to on był pierwszym, który założył ich istnienie i sformułował teorię atomu. Napisał siedemdziesiąt dzieł. Wiemy o tym z innych źródeł, nie przetrwała jednak nawet jedna księga. Upłynęło wiele stuleci, zanim inni ludzie już w naszych czasach wymyślili dokładnie to samo. Prawie nic nie dotrwało z tego, co napisał Pitagoras. Manethon przelał na papirus historię Egiptu. Zaginęła. A Galen, wielki rzymski medyk? Własnoręcznie stworzył pięćset traktatów o medycynie. Zachowały się jedynie drobne fragmenty. Arystarch z Samos uważał, że Słońce, nie

Ziemia, stanowiło centrum wszechświata, ale to Kopernikowi, który żył siedemnaście stuleci później, przypisuje się zasługę za to odkrycie.

Jego myśli biegły ku kolejnym wielkim myślicielom. Eratostenesowi i Strabonowi, geografom. Archimedesowi, fizykowi i matematykowi. Zenodotusowi i jego gramatyce. Kalimachowi, poecie. Talesowi, pierwszemu filozofowi.

Wszystkie ich idee przepadły.

– Zawsze było tak samo – podjął rozmowę. – Wiedza jest pierwszą rzeczą, jaka zostaje wymazana, kiedy ktoś dochodzi do władzy. Historia udowadniała to po wielekroć.

– Czegóż więc obawia się Izrael? – zapytała Margarete.

Wiedział, że prędzej czy później ona w końcu zacznie drążyć ten temat z jego pomocą.

– Być może jest to bardziej lęk niż rzeczywistość – zauważyła. – Zmienianie świata jest trudne.

– Ale można tego dokonać. Mężczyźni... – Przerwał na moment. – Mężczyźni i kobiety czynili to od wieków. Natomiast przemoc nie zawsze wywoływała najbardziej dramatyczne zmiany. Często były to jedynie słowa. Biblia dramatycznie zmieniła dzieje rodzaju ludzkiego. Podobnie jak Koran. Także Wielka Karta Swobód. Konstytucja Stanów Zjednoczonych. Miliardy ludzi kierują się zasadami wyznaczonymi przez te słowa. Dzieła te zmieniły też społeczeństwa. To nie wojny, lecz traktaty wyznaczają prawdziwy bieg historii. Plan Marshalla zmienił świat bardziej niż sama druga wojna światowa. W istocie rzeczy słowa są prawdziwą bronią masowego rażenia.

– Uchyliłeś się od odpowiedzi na moje pytanie? – odrzekła rozbawionym tonem, który przypomniał mu głos jego dawno zmarłej żony.

– Czego lęka się Izrael? – powtórzył.

– Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć?

– Być może nie wiem.

– Wątpię w to.

Zastanawiał się, czy nie powiedzieć jej wszystkiego. Nie zdołałby jednak przeżyć, gdyby nie okazał rozwagi i roztropności. Zbyt długi język przyczynił się do tragicznego kresu niejednego dziecka szczęścia.

– Powiedzmy dla uproszczenia, że prawdę zawsze trudno jest zaakceptować. Dotyczy to zarówno ludzi, jak i kultur, a nawet narodów.

Stephanie pierwsza weszła do ogrodu na tyłach domu i stanęła zdumiona tym, jak dobrze był utrzymany. Kwiatów była prawdziwa obfitość. Kolorowe astry, krwawniki, bratki i chryzantemy. Taras tworzył swego rodzaju półwysep – na kamiennych płytach stały meble odlewane z żeliwa, a pośród nich ozdobne donice z kwiatami.

Prowadziła Cassiopeię w stronę grubego pnia wysokiego klonu, jednego z trzech, który majestatycznie ocieniał ogród. Spojrzała na zegarek. Była dwudziesta pierwsza czterdzieści dziewięć. Dotarła aż tak daleko, kierując się mieszaniną gniewu i ciekawości, ale za chwilę miała nieodwołalnie przekroczyć ostatnią granicę.

– Przygotuj pistolet – szepnęła.

Cassiopeia wsunęła strzałkę do lufy.

– Mam nadzieję, że doceniasz ślepe posłuszeństwo wobec tej nierozwagi.

Zastanawiała się nad następnym ruchem.

Włamanie do domu z pewnością stanowiło jedno z możliwych rozwiązań. Cassiopeia dysponowała odpowiednimi umiejętnościami. Ale wystarczyło po prostu zastukać do drzwi. Na dobrą sprawę ten sposób najbardziej jej odpowiadał. Dalszy bieg zdarzeń został jednak dramatycznie zmieniony, kiedy otworzyły się drzwi prowadzące na taras i ciemna postać przeszła między smukłymi filarami podpierającymi skrytą w cieniu kolumnadę. Wysoki mężczyzna miał na sobie szlafrok przewiązany w talii, a jego stopy w kapciach szurały po tarasie.

Stephanie wskazała gestem na pistolet, później zaś na mężczyznę.

Cassiopeia wymierzyła i nacisnęła spust. Rozległo się ciche stuknięcie, a potem powietrze przeszył świst towarzyszący lecącej strzałce. Grot strzałki trafił mężczyznę, który krzyknął z bólu, łapiąc się jednocześnie za bark. Przez chwilę próbował wyciągać strzałkę, po czym westchnął i osunął się na ziemię. Stephanie podbiegła i nachyliła się nad nim.

– Ta substancja działa szybko.

– O to właśnie chodzi. Kto to jest?

– Gratulacje. Właśnie trafiłaś strzałką usypiającą prokuratora generalnego Stanów Zjednoczonych. Teraz pomóż mi wciągnąć go do wnętrza domu.

TRZYDZIEŚCI TRZY

LONDYN
CZWARTEK, 6 PAŹDZIERNIKA
GODZINA 3.15

Sabre analizował na swoim laptopie zawartość plików skopiowanych z komputera George'a Haddada. Zajęło mu to już trzy godziny. I był doprawdy zdumiony.

Informacje te z pewnością wydobyłby osobiście od Palestyńczyka, ale teraz nie potrzebował zmuszać go do rozmowy. Haddad najprawdopodobniej spędził wiele lat na dociekaniach związanych z Biblioteką Aleksandryjską, a także z mitycznymi gwardianami, zgromadziwszy budzącą podziw ilość danych.

Wiele notatek dotyczyło angielskiego hrabiego nazwiskiem Thomas Bainbridge, o którym Sabre słyszał wcześniej od Alfreda Hermanna. Zdaniem Haddada, w połowie XVIII wieku Bainbridge przybył do Biblioteki Aleksandryjskiej, a następnie napisał powieść poświęconą temu doświadczeniu, w której zgodnie z zapiskami znajdowały się wskazówki dotyczące miejsca, gdzie została ukryta biblioteka.

Czyżby Haddad odnalazł egzemplarz tej powieści?

Czy to właśnie odzyskał Malone?

Była jeszcze posiadłość na zachód od Londynu, którą Bainbridge odziedziczył po przodkach. Haddad najwyraźniej odwiedził kilkakrotnie to miejsce i był przekonany, że znajdzie tam dalsze wskazówki. Najwięcej uwagi poświęcił marmurowej altanie oraz czemuś, co nazwał *Epifanią Świętego Hieronima*. W zapiskach prowadzonych na komputerze nie wyjaśnił jednak bliżej znaczenia ani jednego, ani drugiego.

Poza tym były jeszcze „peregrynacje herosa".

Przed godziną Sabre odnalazł zapis rozmowy, jaką przed pięcioma laty Haddad przeprowadził w swoim domu na Zachodnim Brzegu Jordanu.

Przeczytał tę notatkę z zainteresowaniem, a teraz w myślach analizował opisane w niej wydarzenia, czując rosnące podekscytowanie.

– Mówi pan, że biblioteka wciąż istnieje? – Haddad zapytał gwardiana.

– Chroniliśmy ją przez stulecia, ocaliliśmy to, co zostałoby stracone w rezultacie ignorancji i chciwości.

Haddad wskazał gestem na kopertę, którą jego gość mu wręczył.

– Czy te „peregrynacje herosa” wskażą drogę?

Mężczyzna przytaknął.

– Ci, którzy zrozumieją, dostrzegą ścieżkę natychmiast.

– A jeśli ja nie zrozumiem?

– W takim razie nie zobaczymy się już nigdy więcej.

Rozważał możliwe warianty.

– Obawiam się, że lepiej by było, gdyby to, co chcę poznać, pozostało ukryte.

– Dlaczego pan tak mówi? Przed wiedzą nigdy nie należy czuć trwogi. Znam pańskie prace, również zgłębiam Stary Testament. Dlatego właśnie wybrano mnie jako pańskiego gwardiana. – Twarz młodego człowieka rozpromieniła się w uśmiechu. – Dysponujemy źródłami, jakich pan sobie nawet nie wyobraża. Oryginalne teksty. Korespondencja. Analizy. Napisane przez ludzi z dawnych czasów, którzy wiedzieli znacznie więcej niż ja czy pan. Nie władam tak dobrze językiem starohebrajskim jak pan. Widzi pan, gwardian może osiągnąć pewien poziom wiedzy i tylko dzięki postępom ma szansę piąć się w górę. Podobnie jak pana, fascynuje mnie chrześcijańska interpretacja Starego Testamentu i sposób, w jaki zmanipulowano jego treść. Chciałbym dowiedzieć się więcej, a pan, szanowny panie, może mnie nauczyć.

– I ta nauka pomoże panu piąć się w górę?

– Jeśli pańska teoria się potwierdzi, będzie to wielkie osiągnięcie dla nas obu.

Wtedy otworzył kopertę.

Sabre przewinął na ekranie zadrukowaną stronę. Haddad najwyraźniej zeskanował dokument znajdujący się w kopercie i zapisał go na twardym dysku komputera. Słowa skreślono ostrym, ukośnym charakterem pisma. Tekst był łaciński, na szczęście Haddad przetłumaczył treść dokumentu. Sabre przeczytał „peregrynacje herosa", które rzekomo miały wskazywać ścieżkę do Biblioteki Aleksandryjskiej.

Jak dziwne są manuskrypty, wielki podróżniku przez nieznane. Pojawiają się osobno, lecz wydają się jednością dla tych, którzy wiedzą, że wszystkie kolory tęczy łączą się w jedno białe światło. Jak odnaleźć pojedynczy promień, to tajemnica, lecz odwiedź kaplicę nieopodal rzeki Tag, w Betlejem, poświęconą naszemu świętemu patronowi. Zacznij podróż w mroku, a ukończ ją w świetle, gdzie powracająca gwiazda odnajduje rozetę, przebija drewniany krzyż i przemienia srebro w złoto. Odnajdź miejsce, które ma adres, lecz nie ma lokalizacji, gdzie znajduje się kolejne miejsce. Później, niczym pasterze malarza Poussina, zdziwiony zagadką, zostaniesz zalany światłem inspiracji. Zbierz ponownie czternaście kamieni, następnie posłuż się kwadratem i kompasem, żeby znaleźć ścieżkę. W południe wyczuj obecność czerwonego światła, dostrzeż niekończącą się spiralę czerwonego węża z gniewem. Lecz wczytaj się w sens liter. Niebezpieczeństwo grozi temu, kto przybędzie w wielkim pośpiechu. Jeśli podążysz właściwym szlakiem, nie zwątpisz w prawdziwą drogę.

Sabre pokręcił z niechęcią głową. Zagadki. Nie stanowiły jego mocnej strony. Nie miał też czasu na zmaganie się z nimi. Przejrzał każdy plik z komputera Haddada, ale Palestyńczyk nie odszyfrował tego przekazu.

I to był problem.

Nie był ani historykiem, ani lingwistą, ani też uczonym zajmującym się Biblią. Alfred Hermann uchodził za eksperta, ale Sabre wciąż nie był pewien, ile ten Austriak rzeczywiście wiedział. Obaj byli oportunistami, usiłującymi do maksimum wykorzystać tę niezwykłą sytuację.

Jednak ze zgoła odmiennych powodów.

Hermann usiłował posiąść dziedzictwo i przypieczętować swój znak na Zakonie Złotego Runa. Być może pragnął też zapewnić dojście Margarete

do władzy. Bóg wiedział, że potrzebna jest jej pomoc, Sabre zaś się nie łudził, że ona wyeliminuje go z chwilą, gdy Hermann odejdzie z tego świata. Jeśli jednak zdoła uprzedzić jej ruchy i będzie szedł przed nią o krok, pozostając poza jej zasięgiem, być może uda mu się odnieść sukces. Pragnął dotrzeć na szczyt, bez względu na cenę, jaką musiałby zapłacić. Zasiąść przy stole. Targując się o władzę, stać się w pełni opierzonym członkiem Zakonu Złotego Runa. Jeśli zaginiona Biblioteka Aleksandryjska zawierała to, o czym mówił mu Alfred Hermann, wtedy wejście w jej posiadanie było warte więcej niż jakakolwiek rodzinna fortuna.

Zadzwonił telefon komórkowy. Na wyświetlaczu pojawił się znany mu numer telefonu. Nacisnął przycisk.

– Malone ruszył z miejsca – usłyszał kobiecy głos. – Nieco za wcześnie. Co chcesz, żebym teraz zrobiła?

– Dokąd pojechał?

– Najpierw wsiadł do autobusu jadącego na Paddington Station, a następnie pojechał pociągiem na zachód.

– Czy Oxfordshire leży po drodze?

– Prosto jak sierpem rzucił.

Najwyraźniej Malone również był ciekaw.

– Czy zaaranżowałaś dodatkowe wsparcie, tak jak prosiłem?

– Są tutaj.

– Czekajcie na Paddington Station. Już ruszam.

Wyłączył telefon.

Czas rozpocząć następną fazę.

Stephanie chlusnęła wodą ze szklanki w twarz Brenta Greena. Zaciągnęły jego bezwładne ciało do kuchni, po czym przywiązały go do krzesła za pomocą taśmy do pakowania, jaką Cassiopeia znalazła w szufladzie. Prokurator generalny powoli odzyskiwał przytomność, otrząsając krople wody z oczu.

– Dobrze się spało? – zapytała Stephanie.

Green wciąż jeszcze dochodził do siebie, pomogła mu więc w pełni otrzeźwieć kolejnym chluśnięciem.

– Wystarczy – warknął Green, otwierając szeroko oczy. Miał mokrą twarz i zmoczony szlafrok. – Zakładam, że masz dobre usprawiedliwienie, skoro zdecydowałaś się złamać tyle przepisów prawa federalnego.

Słowa z jego ust wypływały bardzo wolno, a ton przypominał melorecytację osoby prowadzącej ceremoniał pogrzebowy, choć w wypadku Greena i jedno, i drugie było normą. Nigdy nie słyszała, żeby mówił szybko lub głośno.

– Ty mi powiedz, Brent. Dla kogo pracujesz?

Green spojrzał na taśmę, którą związano mu nadgarstki i kostki.

– A ja sądziłem, że czynimy postępy w ramach naszej znajomości.

– Tak było, dopóki mnie nie zdradziłeś.

– Stephanie, przez całe lata mówiono mi, że jesteś beczką prochu, ale zawsze ceniłem w tobie te cechy. Teraz zaczynam dostrzegać to, na co narzekali inni.

Podeszła bliżej.

– Nie ufałam ci, ale przeciwstawiłeś się Daleyowi. Być może po prostu byłam w błędzie.

– Czy zdajesz sobie sprawę, co mogłoby się zdarzyć, gdyby oddział ochrony przyszedł tutaj i sprawdził, czy nic się nie dzieje? Co zresztą czynią każdej nocy.

– Niezła próba. Odesłałeś ich kilka miesięcy temu. Stwierdziłeś, że są niepotrzebni. Chyba że zostanie podniesiony poziom zagrożenia, ale póki co tak nie jest.

– Skąd wiesz, że nie nacisnąłem przycisku alarmowego, zanim nie straciłem przytomności na tarasie?

Wyciągnęła transmiter, który trzymała w kieszeni.

– Nacisnęłam mój, Brent, jeszcze pod pomnikiem Lincolna. I wiesz, co się stało? Do jasnej cholery, nic.

– Tutaj może być zupełnie inaczej.

Wiedziała, że Green, podobnie jak wszyscy wyżsi urzędnicy administracji rządowej, mieli przy sobie urządzenie alarmowe. Naciśnięcie przycisku natychmiast przekazywało informacje o problemach zarówno do znajdującego się w pobliżu oddziału służby bezpieczeństwa, jak i do

centrum zarządzania Secret Service. Urządzenie to mogło również służyć jako nadajnik sygnału pomagający przy poszukiwaniach.

– Patrzyłam ci na dłonie – odparła. – Nic w nich nie miałeś. Byłeś zbyt zajęty sprawdzaniem, co cię ukłuło.

Na twarzy Greena pojawił się sztywny grymas, po czym skierował wzrok na Cassiopeię.

– To pani mnie postrzeliła?

Ukłoniła się przed nim z gracją.

– Do usług.

– Jaki to związek chemiczny?

– Błyskawicznie działający preparat, który odkryłam w Maroku. Szybki, bezbolesny, o krótkotrwałym działaniu.

– Mogę to wszystko sprawdzić. – Green obrócił się ponownie ku Stephanie. – To zapewne jest Cassiopeia Vitt. Znała twojego męża, Larsa, zanim popełnił samobójstwo.

– Skąd, na Boga, o tym wiesz?

Nie wspomniała nigdy nikomu po tej stronie Atlantyku o tym, co się stało. Jedynie Cassiopeia, Henrik Thorvaldsen i Malone wiedzieli.

– Zapytaj mnie lepiej o to, o co chciałaś mnie zapytać – odezwał się Green z ironią.

– Dlaczego odwołałeś mój oddział wsparcia? Wystawiłeś mnie z gołym tyłkiem na pastwę Izraelczyków. Przyznaj, że to zrobiłeś.

– Zrobiłem.

To wyznanie ją zaskoczyło. Była przyzwyczajona do kłamstw.

– Wiedząc, że Saudyjczycy podejmą próbę zabicia mnie?

– To również wiedziałem.

Poczuła, jak wzbiera w niej gniew, i spróbowała zapanować nad impulsem przypuszczenia ataku.

– Czekam – powiedziała tylko.

– Panno Vitt – odezwał się Green. – Czy jest pani w stanie mieć oko na tę kobietę do czasu, kiedy będzie po wszystkim?

– A cóż to ciebie, do diabła, obchodzi? – wyrwało się Stephanie. – Nie jesteś moim aniołem stróżem.

– Ktoś musi być. Telefon do Heather Dixon nie był przejawem kierowania się rozsądkiem. Przestałaś myśleć.

– Jakbym potrzebowała, żebyś mi to mówił.

– Spójrz na siebie. Jesteś tutaj, dokonałaś więc zamachu na urząd najwyższego stróża prawa w Stanach Zjednoczonych, nie mając niemal żadnych ku temu powodów. Z kolei twoi wrogowie mają dostęp do informacji wywiadowczych, co zresztą w pełni wykorzystują.

– O czym ty, do jasnej cholery, bredzisz? Poza tym nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– To prawda. Nie odpowiedziałem. Chciałaś wiedzieć, dlaczego odwołałem twoją ochronę. Odpowiedź jest prosta. Ktoś mnie poprosił, żebym to zrobił.

– Ktoś poprosił o to ciebie?

Oczy Greena wpatrywały się w nią z niczym niezmąconym spokojem Buddy.

– Henrik Thorvaldsen.

TRZYDZIEŚCI CZTERY

BAINBRIDGE HALL, ANGLIA
GODZINA 5.20

Malone podziwiał marmurową altanę w ogrodzie. Razem z Pam przejechali pociągiem dwadzieścia kilometrów, wyruszając z Londynu, następnie wzięli taksówkę z postoju przy stacji kolejowej i dojechali do Bainbridge Hall. Malone przeczytał wszystkie notatki Haddada schowane w torbie na ramię oraz przejrzał pobieżnie powieść, dokładając przy tym starań, żeby przypomnieć sobie wszystko, o czym on i Haddad dyskutowali przez wszystkie te lata. Doszedł jednak do wniosku, że jego stary przyjaciel najważniejsze sprawy zabrał z sobą do grobu.

W górze rozciągało się aksamitne niebo. Chłodny powiew porannego powietrza sprawił, że po plecach przebiegły mu ciarki. Idealnie przystrzyżona trawa wychodziła poza ogród, tworząc morze koloru grafitowego, z kępami krzewów w roli wysp. W pobliskiej fontannie tańczyła woda. Postanowił złożyć tu wizytę przed brzaskiem, uznając to za najlepszy sposób dowiedzenia się czegokolwiek. Zabrał też z sobą latarkę.

Z tego, co przeczytał w notatkach Haddada, posiadłość pełniła funkcję muzeum, jakich w Wielkiej Brytanii były setki. W kilku pomieszczeniach na parterze rezydencji świeciło się światło. Przez okna bez zasłon dostrzegł ludzi, którzy wyglądali jak ekipa sprzątająca.

Ponownie skupił uwagę na altanie.

Wiatr szeleścił między drzewami, po czym pomknął w górę ku chmurom. Światło księżyca znikło, lecz jego oczy przyzwyczaiły się już do niesamowitej scenerii.

– Zamierzasz mi powiedzieć, o co w tym chodzi? – zapytała Pam, która, co dla niej nietypowe, przez całą drogę zachowywała się spokojnie.

Skierował światło latarki na wizerunek wyryty w marmurze.

– To jest obraz zatytułowany *Pasterze Arkadii* i oznaczony numerem drugim. Thomas Bainbridge zadał sobie wiele trudu, żeby powstała ta

płaskorzeźba.

Opowiedział jej, co znajdywało się w notatkach Haddada na temat tego obrazu, po czym poświecił latarką na litery wyryte poniżej.

D O.V.O.S.V.A.V.V. M

– Co powiedział ci o tym? – chciała wiedzieć Pam.

– Ani słowa. Stwierdził tylko, że jest to wskazówka. Wewnątrz rezydencji ma być ich więcej.

– Co z pewnością wyjaśnia, dlaczego jesteśmy tutaj o piątej rano.

Wyczuł w jej głosie rozdrażnienie.

– Nie lubię tłoku.

Pam skierowała wzrok na marmurową budowlę.

– Zastanawiam się, dlaczego litery „D” i „M” są rozdzielone spacjami.

Nie miał pojęcia. Była jednak rzecz, którą rozumiał. Sielankowa scena z *Pasterzy Arkadii II* przedstawiała kobietę obserwującą trzech pasterzy skupionych wokół kamiennego nagrobka, a każdy z nich wskazywał napis wyryty w marmurze. ET IN ARCADIA EGO. Wiedział, jak brzmi tłumaczenie.

I w Arkadii ja.

Ta enigmatyczna inskrypcja nie wydawała się zbyt sensowna. On jednak widział już wcześniej te słowa. We Francji. Znajdowały się w szesnastowiecznym inkunabule, w którym opisano, czego rycerze zakonu templariuszy dokonali kilka miesięcy przed masowymi aresztowaniami w październiku 1307 roku.

Et in Arcadia ego.

Anagram do *I tego arcana dei.*

Ukrywam sekrety Boga.

Wyjaśnił Pam, co znaczy to zdanie.

– Nie mówisz tego serio – skomentowała.

Wzruszył ramionami.

– Mówię ci tylko to, co wiem.

Musieli obejrzeć rezydencję. Z bezpiecznego oddalenia w ogrodzie, wśród kępy wysokich żywotników, Malone patrzył badawczo na parter. Światła zapalały się i gasły, gdy ekipa sprzątająca przemieszczała się z pokoju do pokoju. Drzwi na tylny taras były otwarte i podparte krzesłami.

Zobaczył, jak jakiś mężczyzna wychodzi na zewnątrz, wynosząc dwa worki ze śmieciami, które rzucił na pryzmę, po czym zniknął ponownie wewnątrz.

Malone spojrzał na zegarek. Była piąta czterdzieści rano.

– Wkrótce skończą robotę – oznajmił. – Kiedy znikną, będziemy mieli kilka godzin, zanim pojawi się któryś z pracowników. Muzeum otwierają dopiero o dziesiątej.

Dowiedział się tego z tabliczki ustawionej obok głównego wejścia.

– Nie muszę mówić, jak bardzo jest to niemądre.

– Zawsze chciałaś wiedzieć, jak zarabiam na chleb, a ja nigdy nie mogłem ci powiedzieć. Ściśle tajne zadania i tym podobne bzdury. Nadeszła pora, abyś się dowiedziała.

– Podobało mi się bardziej, kiedy nie wiedziałam.

– Nie wierzę. Przypominam sobie, jak zawsze wpadałaś w zdenerwowanie.

– Przynajmniej nie miałam ran od kul.

Roześmiał się.

– Twój rytuał inicjacji. – Wskazał jej gestem drogę. – Proszę, idź pierwsza.

Sabre patrzył na ciemne sylwetki Cottona Malone’a i jego byłej żony wyłaniające się zza drzew na tyłach Bainbridge Hall. Malone przyjechał prosto do Oxfordshire. Dobrze. Wszystko zależało od jego ciekawości. Kobieta wynajęta przez Sabre’a wywiązała się z zadania. Zapewniła trzech dodatkowych ludzi, o których prosił, i dostarczyła mu broń. Wziął kilka głębszych wdechów, a rześkie poranne powietrze sprawiło mu radość. Wyciągnął pistolet marki Sig Sauer z kieszeni marynarki.

Czas na spotkanie z Cottonem Malone.

Malone podszedł do otwartych tylnych drzwi, stanął z boku, kryjąc się w cieniu, i zajrzał do środka. Pomieszczenie przed nim było misternie ozdobionym salonem. Mdłe światło spływało ze sklepionego stropu, oświetlając pozłacane meble, a także ściany pokryte boazerią i udekorowane gobelinami oraz obrazami. W środku nie było nikogo, ale Malone słyszał szum froterki i głośne dźwięki radia dobiegające zza przejścia zwieńczonego łukiem.

Dał znak ręką i wraz z Pam wszedł do środka.

Nie znał rozkładu posiadłości, ale na tabliczce informacyjnej odczytał, że znajduje się w Sali Apolla. Przypomniał sobie, co napisał Haddad: „W salonie w Bainbridge Hall można odnaleźć kolejne przejawy arogancji Bainbridge'a. Już sam tytuł dzieła jest szczególny. *Epifania Świętego Hieronima*. Fascynujący i bardzo trafny, gdyż wielkie peregrynacje często rozpoczynają się od epifanii, czyli objawienia".

A zatem muszą odnaleźć salon.

Poprowadził Pam do jednego z wyjść, które wiodło do hallu z majestatycznymi liniami katedralnej nawy – łukami zbiegającymi się jeden nad drugim. Interesująca była ta nagła zmiana stylu i architektury. Słabe światło pozwalało dostrzec miękkie zarysy mebli pogrążonych w szarym cieniu. W jednym z łuków dostrzegł popiersie.

Ruszył bez pośpiechu po marmurowej posadzce, ostrożnie stąpając w butach na gumowych podeszwach. W popiersiu rozpoznał Thomasa Bainbridge'a. Twarz mężczyzny w średnim wieku zryta zmarszczkami, szczęka zaciśnięta, nos orli, oczy zimne i przenikliwe. Z tego, co przeczytał w notatkach Haddada, Bainbridge był najprawdopodobniej człowiekiem wykształconym w naukach i literaturze, a także pasjonował się kolekcjonerstwem. Gromadził dzieła sztuki, książki i rzeźby, kierując się przy tym własnym osądem. Był też podróżnikiem, który dotarł do Arabii i na Bliski Wschód w czasach, gdy oba te miejsca były Zachodowi znane mniej więcej tak jak Księżyc.

– Cotton – odezwała się cichym głosem Pam.

Podeszła do stolika, na którym leżał stos broszurek.

– Plan rezydencji.

Podszedł bliżej i wziął jedną ulotkę ze stosu. Szybko odnalazł pomieszczenie oznaczone jako salon. Zorientował się, którędy powinni iść.

– Tędy.

Froterka i radio toczyły z sobą pojedynek na piętrze.

Wyszli z pogrążonego w półmroku hallu, przemykając teraz ostrożnie szerokimi korytarzami, po czym weszli do oświetlonego pomieszczenia.

– Jej! – wyrwało się Pam.

Cotton również był pod wrażeniem. Wspaniałe wnętrze przypominało westybul pałacu rzymskiego cesarza. Kolejny uderzający kontrast w porównaniu z resztą budynku.

– To miejsce przypomina disnejowski Epcot – stwierdził. – Każde pomieszczenie pochodzi z innej epoki i z innego kraju.

Marmurowe schody wyłożone chodnikiem w kolorze kasztanowym były pogrążone w bogatej poświacie, jaką rzucał żyrandol. Stopnie schodów prowadziły do perystylu ze żłobionymi kolumnami w porządku jońskim. Kolumny były połączone z sobą ozdobną balustradą z pomalowanego na czarno żelaza. W niszach po obu stronach znajdowały się posągi, niczym w muzealnej galerii. Malone spojrzał do góry. Takiego stropu nie powstydziłaby się nawet katedra Świętego Pawła.

Pokręcił z niedowierzaniem głową. „Gdy się ogląda ten budynek z zewnątrz, nic nie zapowiada takiego bogactwa i przepychu”.

– Te schody prowadzą do salonu – wyjaśnił.

– Czuję się jak przed spotkaniem z królową – odparła Pam.

Ruszyli dalej schodami bez poręczy, krocząc po eleganckim chodniku. Podwójne drzwi z boazerii otwierały dostęp do pogrążonego w mroku pomieszczenia. Malone włączył światło i żyrandol wykonany ze zwierzęcych kłów zapłonął jaskrawym światłem, ukazując ich oczom salon pełen sprzętów i wygodnych mebli, ze ścianami pokrytymi aksamitem w kolorze zielonego groszku.

– Spodziewałem się czegoś podobnego – skomentował Cotton. – Szczególnie po obejrzeniu hallu.

Zamknął za sobą drzwi.

– Czego właściwie szukamy? – zapytała Pam.

Malone zaczął się badawczo przyglądać obrazom, które w większości były portretami osób żyjących w XVI i XVII stuleciu. Żadnej z nich nie rozpoznał.

Biblioteczki z klonowego drewna stały w szeregach pod portretami. Bibliofilskim okiem Malone szybko rozpoznał, że zgromadzone tutaj tomy nie były cenne. Służyły jedynie jako dekoracja i nie miały wartości historycznej czy literackiej. Na szczycie regałów z książkami były ustawione popiersia odlane z brązu. Ponownie nie dostrzegł żadnej znanej postaci.

– *Epifanii Świętego Hieronima* – odpowiedział na pytanie Pam. – Być może to jeden z tych portretów.

Pam obeszła salon dookoła, przyglądając się każdemu z wizerunków. Cotton policzył obrazy. Czternaście. Większość przedstawiała kobiety ubrane w misterne szaty lub mężczyzn w perukach i powłóczystych strojach z epoki. Dwie sofy oraz trzy krzesła tworzyły literę „U” w pobliżu kamiennego kominka. Wyobrażał sobie, że było to miejsce, w którym Thomas Bainbridge mógł spędzać wiele czasu.

– Żaden z tych obrazów – stwierdziła Pam – nie ma nic wspólnego ze świętym Hieronimem.

To go zaskoczyło.

– George stwierdził, że to znajdowało się tutaj.

– Być może tak było, ale teraz już tego nie ma.

TRZYDZIEŚCI PIĘĆ

WASZYNGTON

Stephanie spoglądała na Brenta Greena. Wyraz obojętności na jej twarzy ustąpił miejsca zdziwieniu.

– Thorvaldsen powiedział ci, żebyś odwołał moją ochronę? Skąd w ogóle znasz tego człowieka?

– Znam wielu ludzi. – Wskazał głową na własne pęta. – W tej chwili jednak jestem zdany na twoją łaskę.

– Odwołanie ochrony nie było zbyt rozsądne – wtrąciła Cassiopeia. – A gdyby mnie tam nie było?

– Henrik powiedział, że pani tam będzie i sobie poradzi.

Stephanie usiłowała powstrzymać wściekłość.

– Chodziło o mój tyłek!

– Który tak głupio sama nadstawiłaś.

– Nie miałam pojęcia, że Dixon zamierza mnie zaatakować.

– I to właśnie mam na myśli. Przestałaś myśleć. – Green raz jeszcze wskazał głową na spętane przeguby i kostki. – To jeszcze jeden przykład głupoty. Wbrew temu, co sobie możesz myśleć, oddział ochrony zjawi się tutaj niebawem. Zawsze tak robią. Mogę życzyć sobie prywatności, lecz w odróżnieniu od ciebie nie jestem lekkomyślny.

– Co ty właściwie robisz? – zapytała Stephanie. – Dlaczego w tym tkwisz? Czy pracujesz razem z Daleyem? Czy wszystko to, co działo się między nami, było jedynie spektaklem na pokaz, pozornie tylko dla mojego dobra?

– Nie mam ani czasu, ani cierpliwości na pokazowe spektakle.

Na Stephanie nie zrobiło to specjalnego wrażenia.

– Mam już dość wszystkich tych kłamstw. Chłopak Malone’a został porwany z mojej winy. Cotton jest teraz w Londynie razem z izraelskim plutonem egzekucyjnym. Nie mogę go odnaleźć, nie jestem więc w stanie go ostrzec. Być może stawką jest życie George’a Haddada. Teraz dowiaduję

się, że mój szef wystawia mój goły tyłek na wiatr, wiedząc, że Saudyjczycy zamierzają mnie zabić. Cóż w takim razie powinnam o tym myśleć?

– Że twój przyjaciel Henrik Thorvaldsen przemyślał sprawę dostatecznie wnikliwie, żeby przysłać ci wsparcie. Że inny twój przyjaciel, czyli ja, postanowił, że ten pomocnik powinien działać w pojedynkę. Co o tym sądzisz? Czy to ma sens?

Rozważała jego słowa.

– I jeszcze jedna rzecz – dodał Green.

Spojrzała na niego gniewnym wzrokiem.

– Temu przyjacielowi szczególnie leży na sercu to, co się z tobą stanie.

Malone czuł rozdrażnienie. Przyjechał do Bainbridge Hall w nadziei znalezienia odpowiedzi. Notatki Haddada prowadziły prosto do tego miejsca. Lecz nie znalazł nic.

– Być może jest tutaj jeszcze inny salon – podpowiedziała Pam.

Cotton obejrzał raz jeszcze broszurkę i stwierdził, że było to jedyne pomieszczenie nazwane salonem. Co pominął? Nagle coś zauważył. Obok jednej z nisz okiennych, w której znajdował się misterny witraż oczekujący na poranne słońce, fragment ściany wyróżniał się nagością. Wszystkie wolne fragmenty ścian w pomieszczeniu były wypełnione portretami, ale nie w tym miejscu. Słaby zarys prostokąta widniał na aksamitnej tapiserii.

Podszedł pospiesznie do niszy.

– Brakuje jednego.

– Cotton, nie chcę komplikować sprawy, ale wydaje mi się, że jest to szukanie wiatru w polu.

Zaprzeczył ruchem głowy.

– George chciał, żebyśmy tutaj trafili.

Chodził po salonie pogrążony w myślach, w pewnej chwili uświadomił sobie jednak, że nie mogli dłużej pozostać w tym pomieszczeniu. Ktoś z ekipy sprzątającej mógł przecież tutaj zaglądnąć. Chociaż miał przy sobie

pistolet Haddada i broń odebraną napastnikowi w hotelu, nie zamierzał użyć żadnego z nich.

Pam spojrzała na stół, który znajdował się obok obu kanap. Były na nim ułożone książki oraz magazyny, rozmieszczone między figurkami i roślinami doniczkowymi. Przyjrzała się z uwagą jednej z brązowych statuetek. Figurka przedstawiała starszego mężczyznę o pomarszczonej skórze, z muskularnym ciałem, ubranego tylko do pasa. Postać stała na skale, a brodata twarz koncentrowała się na księdze.

– Musisz to zobaczyć – powiedziała.

Malone podszedł i zobaczył napis wytrawiony w podstawie statuetki.

ŚWIĘTY HIERONIM
DOKTOR KOŚCIOŁA

Był do tego stopnia pogrążony w poszukiwaniach bardziej skomplikowanych elementów układanki, że nie dostrzegał tego, co oczywiste. Pam wskazała ręką na wolumin, który znajdował się pod figurką.

– *Epifania Świętego Hieronima* – oznajmiła.

Spojrzał badawczo na obwolutę.

– Masz dobre oko.

– Potrafię być przydatna – uśmiechnęła się niewinnie.

Chwycił ciężką statuetkę z brązu i ostrożnie uniósł.

– Bądź więc użyteczna i wyciągnij książkę.

Stephanie nie była pewna, jak powinna potraktować wyznanie Brenta Greena.

– Co masz na myśli, mówiąc o tym szczególnym przyjacielu?

– Trochę mi trudno dyskutować w tych warunkach.

Dostrzegła coś osobliwego w oczach Greena. Niepokój. Przez pięć lat pełnił funkcję rządowego buldoga w licznych bojach z Kongresem, prasą

i grupami lobbystów. Uchodził za profesjonalistę. Za prawnika, który walczył o sprawy administracji na szczeblu państwowym. Był też człowiekiem głęboko religijnym i nawet cień skandalu nie splamił jego nazwiska.

– Powiedzmy – podjął Green niemal szeptem – że nie chciałem, żeby Saudyjczycy cię zabili.

– W tej chwili nie stanowi to dla mnie zbyt wielkiego pocieszenia.

– Co z jego oddziałem ochrony? – zapytała Cassiopeia. – Mam przeczucie, że w tym wypadku on wcale nie blefuje.

– Przejdź na front domu i zobacz, co się dzieje na ulicy – powiedziała Stephanie, dając jasno do zrozumienia wzrokiem, że w tym momencie chciała być sam na sam z Greenem.

Cassiopeia opuściła kuchnię.

– W porządku, Brent. Co masz mi do powiedzenia, czego nie chciałeś wyjawić w jej obecności?

– Ile masz lat, Stephanie? Sześćdziesiąt jeden?

– Nie rozmawiam o moim wieku.

– Twój mąż nie żyje od dwunastu lat. To musi być wyjątkowo trudne. Nigdy się nie ożeniłem, nie wiem więc, jak to jest, gdy traci się małżonka.

– Nie jest łatwo. Ale co to ma do rzeczy?

– Wiem, że ty i Lars nie byliście w dobrych stosunkach, kiedy on zmarł. Nadszedł już czas, żebyś komuś zaufała.

– O rety! Powiem ci coś. Zorganizuję cykl spotkań i każdy, włączając w to tych, którzy próbowali mnie zabić, otrzyma szansę udowodnienia mi swojej solidności.

– Henrik nie próbuje ciebie zamordować. Cassiopeia również nie. Podobnie jak Cotton Malone. – Przerwał na chwilę. – Ja też nie chcę cię zabić.

– Odwołałeś moje wsparcie, wiedząc, że jestem w opałach.

– Jak myślisz, co by się stało, gdybym ich nie odwołał? Dwóch twoich agentów wkroczyłoby do akcji, doszłoby do strzelaniny. Czy coś byśmy w ten sposób rozwiązali?

– Aresztowałabym Heather Dixon.

– I do rana zostałaby wypuszczona, zapewne po interwencji sekretarza stanu, a może i samego prezydenta. Wtedy zostałabyś wyrzucona z pracy,

a Saudyjczycy zabiliby cię przy pierwszej nadarzającej się okazji. I wiesz co? Stałoby się tak, bo nikt już by się tym nie przejmował.

Słowa Greena miały sens. Niech go diabli!

– Działałaś za szybko i nie przemyślałaś tego dobrze. – Oczy Greena złagodniały i ujrzała w nich coś, czego nigdy wcześniej nie było jej dane zobaczyć.

Zaniepokojenie.

– Zaoferowałem ci wcześniej pomoc. Ale odmówiłaś. Teraz powiem ci coś, czego nie wiesz. Coś, czego nie powiedziałem ci wcześniej.

Czekała.

– To ja pozwoliłem na zdekonspirowanie tajnych danych o aleksandryjskim ogniwie.

Malone otworzył książkę o świętym Hieronimie. Cienki wolumin, datowany na 1845 rok, zawierał siedemdziesiąt trzy pożółkłe strony. Przekartkował dzieło i wychwycił kilka szczegółów.

Hieronim żył między 342 a 420 rokiem. Biegle posługiwał się łaciną i greką. W wieku młodzieńczym z lubością oddawał się uciechom i przyjemnościom życia. Ochrzczony przez papieża w 360 roku, zdecydował się poświęcić dalsze życie Bogu. Przez następne sześćdziesiąt lat podróżował, pisał rozprawy naukowe, bronił wiary i został powszechnie uznany za jednego z ojców i doktorów religii chrześcijańskiej. Najpierw przełożył Nowy Testament, następnie – aż do końca swojego życia – tłumaczył Stary Testament z języka hebrajskiego na łacinę. W ten sposób narodziła się *Wulgata*, którą sobór trydencki tysiąc sto lat później uznał za autorytatywny tekst Pisma Świętego dla Kościoła katolickiego.

Trzy słowa zwróciły szczególną uwagę Malone’a.

Eusebius Hieronimus Sophronius.

Imię Hieronima nadano mu przy chrzcie.

Pomyślał o powieści ukrytej przez Haddada w skórzanej torbie. *Peregrynacje herosa* Eusebiusa Hieronimusa Sophroniusa.

Najwyraźniej Thomas Bainbridge z wielką starannością dobrał sobie pseudonim literacki.

– Masz coś? – zapytała Pam.

– Mam wszystko. – Jego podekscytowanie z czasem jednak przygasło i ustąpiło miejsca przeczuciu, że dzieje się coś niedobrego. – Musimy się stąd wydostać.

Pospieszył do drzwi i zgasiwszy światło, lekko je uchylił. Pogrążony w półmroku korytarz był pusty. Radio wciąż grało w jednym z odległych pomieszczeń. Właśnie nadawano jakąś relację sportową. Komentator i tłum zachowywali się głośno. Froterka ucichła.

Zaprowadził Pam na szczyt schodów.

Trzech mężczyzn z bronią w ręku wtargnęło do hallu.

Jeden z nich wystrzelił.

Malone popchnął Pam na podłogę.

Kula z wizgiem odbiła się od kamiennej ściany.

Raptownym ruchem przeturlał na tył jednej z kolumn siebie i Pam. Zobaczył, jak jej twarz wykrzywia się w grymasie bólu.

– Moje ramię – wystękała.

Trzy następne kule próbowały dosięgnąć ich przez marmur. Malone chwycił półautomatyczny pistolet Haddada i przygotował się do ataku. Do tej pory żadnemu z wystrzałów nie towarzyszył głośny huk, jedynie przytłumione trzaski, jakby ktoś strzelał przez poduszkę. Napastnicy mieli broń z tłumikami. „Dobrze, że znajdujemy się na górze” – pomyślał. Z tego miejsca zauważył, że dwaj napastnicy podchodzą coraz bliżej z prawej strony, podczas gdy trzeci skrada się w lewo. Nie mógł pozwolić, żeby ci dwaj zajęli tę pozycję – mogliby wtedy strzelać z obu stron kolumny – strzelił więc pierwszy.

Spudłował, wystrzał ten sprawił jednak, że napastnicy zawahali się przez dostatecznie długą chwilę, żeby Malone mógł precyzyjnie wycelować i posłać kulę idącemu na przodzie mężczyźnie, który trafiony, głośno krzyknął i z łomotem upadł na podłogę. Drugi napastnik skoczył w poszukiwaniu osłony, unikając zranienia. Z ciała zastrzelonego mężczyzny wypłynął strumień krwi, który szybko zmienił się w jaskrawoczerwoną kałużę na białym marmurze podłogi.

Padły kolejne strzały wymierzone w Cottona i Pam. W powietrzu można było wyczuć zapach prochu.

W magazynku pistoletu Haddada zostało pięć naboi, ale Malone miał jeszcze przy sobie broń odebraną mężczyźnie w hotelu. Mimo wyraźnego strachu w oczach, Pam starała się zachować spokój i opanowanie.

Pomyślał o wycofaniu się do salonu. Podwójne drzwi zabarykadowane meblami mogły dać im kilka minut na ewentualną ucieczkę przez jedno z okien. Znajdowali się jednak na piętrze, co z pewnością sprawiłoby dodatkowe problemy. Mimo wszystko mogła to być ich jedyna szansa, chyba że mężczyźni na parterze zamierzali odsłonić się i wystawić mu czysty strzał.

Co było raczej mało prawdopodobne.

Jeden z napastników podbiegł do podnóża schodów. Drugi osłaniał go, oddając cztery strzały, które odłupały kawałki ściany za Cottonem i Pam. Malone musiał oszczędzać amunicję i nie mógł strzelać, jeśli nie było to naprawdę konieczne.

Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, co przeciwnicy właściwie zamierzali.

Chcąc wystrzelić do jednego, musiałby się wychylić zza kolumny, odsłaniając się drugiemu z nich. Zrobił więc coś niespodziewanego, ignorując lewą stronę i obracając się ku prawej. Posłał kulę w kierunku czerwonego chodnika, wprost przed nogi nacierającego przeciwnika.

Mężczyzna odskoczył ze schodów w poszukiwaniu osłony.

Pam dotknęła ramienia i wyczuła krew. Rana ponownie się otworzyła. Zbyt dużo gwałtownych ruchów. Spoglądała na Cottona niebieskimi oczyma przepełnionymi nieskrywanym strachem.

W hallu dwukrotnie coś huknęło.

Nie był to jednak odgłos strzałów z pistoletu z tłumikiem. Raczej z broni sporego kalibru.

Potem zapadła cisza.

– Halo! – odezwał się męski głos.

Malone wyjrzał ostrożnie zza kolumny. Na parterze stał wysoki mężczyzna o włosach barwy piasku. Miał szerokie czoło, niewielki nos i okrągły podbródek. Krępą sylwetkę ukrył pod dżinsami i płócienną koszulą, na którą założył skórzaną kurtkę.

– Wyglądało na to, że potrzebujesz pomocy – powiedział mężczyzna, trzymając pistolet po prawej stronie.

Dwóch napastników leżało martwych na podłodze, z ran postrzałowych sączyła się krew. Z całą pewnością ten facet również był dobrym strzelcem.

Malone z powrotem skrył się za kolumną.

– Kim pan jest?

– Przyjacielem.

– Wybaczy mi pan, jeśli jestem niedowiarkiem.

– Nie winię pana za to. Niech więc zostanie pan tam, gdzie jest, i zaczeka na policję. Może im pan wytłumaczyć, skąd się wzięły trzy trupy. – Usłyszał oddalające się kroki. – Przy okazji: witajcie w grze.

Coś przyszło mu do głowy.

– Co z ekipą sprzątającą? Czemu tutaj nie przybiegli?

Odgłosy kroków ucichły.

– Są nieprzytomni, na górze.

– To pańska robota?

– Nie, nie moja.

– Jaki ma pan w tym interes?

– Taki jak każdy, kto przychodzi tutaj w środku nocy. Poszukuję Biblioteki Aleksandryjskiej.

Malone nic nie odpowiedział na to wyznanie.

– Powiem panu coś. Zatrzymałem się w hotelu Savoy, pokój czterysta pięćdziesiąt trzy. Posiadam pewne informacje, którymi jak sądzę, pan nie dysponuje, a pan ma takie, o których zapewne nie mam pojęcia. Jeśli będzie pan miał ochotę na rozmowę, znajdzie mnie pan. Jeżeli nie, spotkamy się prawdopodobnie prędzej czy później. Wybór należy do pana. Ale wspólnie będziemy w stanie przyspieszyć bieg zdarzeń. Pan decyduje.

Obcasy zastukały z impetem o podłogę, potem ich odgłos ucichł w głębi budynku.

– Co to, do cholery, miało znaczyć? – zapytała Pam.

– W ten sposób nam się przedstawił.

– On zabił tych dwóch mężczyzn.

– Za co jestem mu wdzięczny.

– Cotton, musimy zmywać się stąd jak najszybciej.

– Nie musisz mnie do tego przekonywać. Najpierw jednak musimy się dowiedzieć, kim są ci ludzie.

Wybiegł zza kolumny i popędził w dół marmurowymi schodami. Pam podążyła za nim. Malone przeszukał trzy martwe już ciała, ale nie znalazł

żadnego dowodu tożsamości.

– Weź broń – powiedział, chowając do kieszeni sześć zapasowych magazynków znalezionych przy zwłokach napastników. – Ci mężczyźni przyszli tutaj uzbrojeni po zęby i gotowi do walki.

– Zaczynam powoli przyzwyczajać się do widoku krwi – wyznała.

– Mówiłem, że przyjdzie ci to bez większego trudu.

Malone pomyślał o tajemniczym mężczyźnie. Hotel Savoy. Pokój 453. Sposób, w jaki mówił o tym, że jest przyjacielem.

Pam wciąż kurczowo trzymała książkę o Świętym Hieronimie oraz skórzaną torbę na ramię z mieszkania Haddada. Odwróciła się w stronę wyjścia.

– Dokąd idziesz? – zapytał.

– Jestem głodna. Mam nadzieję, że w hotelu Savoy serwują wyborne śniadania.

Uśmiechnął się szeroko.

Szybko się uczyła.

TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ

WASZYNGTON

Stephanie nie była pewna, czy może brnąć w to dalej. Wbiła wzrok w Brenta Greena.

– Wytłumacz się.

– Pozwoliliśmy na zdekonspirowanie tajnych danych. Jest pośród nas zdrajca i chcemy go złapać. Lub ją.

– Jacy „my”?

– Departament Sprawiedliwości. To dochodzenie jest ściśle tajne. Wiem o nim tylko ja i dwie inne osoby. Wspólnie z dwójką moich najbliższych współpracowników powierzyliśmy moje życie w ich ręce.

– Nie dam złamanego grosza za prawdziwość twoich słów.

– Masz rację, ale przeciek nie nastąpił w Departamencie Sprawiedliwości. Gdzieś wyżej. Poza departamentem. Zapuściliśmy przynętę i chwyciła.

Nie mogła dać wiary temu, co usłyszała.

– I naraziliście tym samym życie Gary’ego Malone’a.

– Nikt nie mógł tego przewidzieć. Nie mieliśmy pomysłu, w przeciwieństwie do Izraelczyków i Saudyjczyków, którzy bardzo się przejęli Haddadem. Przeciek, który usiłujemy zatamować, nie doprowadził nas do nikogo innego, tylko właśnie do nich.

– O czym zresztą wiedziałeś.

Jej myśli podążyły ku Zakonowi Złotego Runa.

– Gdybym był w posiadaniu jakichkolwiek poszlak, że rodzina Malone’a jest w niebezpieczeństwie, nigdy nie pozwoliłbym na zastosowanie takiej taktyki.

Chciała w to wierzyć.

– Rzeczywiście myśleliśmy, że wiedza o miejscu pobytu Haddada to raczej błahostka. Wydawało się nam, że niczym nie ryzykujemy,

pozwalając Izraelczykom dowiedzieć się, że Haddad żyje. Zwłaszcza że w tajnym pliku nie było niczego, co wskazywałoby miejsce jego ukrycia.

– Z wyjątkiem tropu, który prowadził wprost do Cottona.

– Wyszliśmy z założenia, że Malone, nawet jeśli stanie przed wyzwaniem, będzie wiedział, co zrobić.

– On jest na emeryturze, Brent! – krzyknęła. – Nie pracuje już dla nas. Nie narażamy byłych agentów na niebezpieczeństwo, zwłaszcza bez ich wiedzy.

– Rozważyliśmy to ryzyko i zadecydowaliśmy, że odnalezienie przecieku jest tego warte. Uprowadzenie chłopca zmienia jednak wszystko. Ogromnie się cieszę, że Cotton zdołał go uwolnić.

– To miło z twojej strony. Będziesz mieć szczęście, jeśli nie rozkwasi ci nosa.

– Biały Dom jest odrażający – wymamrotał Green. – Banda skorumpowanych sukinsynów.

Nigdy nie słyszała, aby Green mówił w ten sposób.

– Deklarują, jak bardzo są chrześcijańscy, jak bardzo amerykańscy, lecz tak naprawdę są lojalni tylko wobec siebie i dolarów. Podejmuje się kolejne decyzje, wszystkie owinięte w amerykańską flagę, które nie wnoszą niczego poza napychaniem kieszeni wielkich korporacji – tych, które odpowiednio wsparły sprawę ich własnej partii. Napawa mnie to obrzydzeniem. Bywam na spotkaniach, gdzie polityka jest kreowana z punktu widzenia interesów telewizji, z pominięciem dobra narodu. Mimo to wciąż zachowuję milczenie. Jestem jednym z graczy. Nie oznacza to jednak, że pozwolę na kompromitację tego kraju. Przysięgałem, że w odróżnieniu od wielu gnojków w tym rządzie losy mojego narodu będą dla mnie coś znaczyć.

– Dlaczego więc nie ujawnisz ich prawdziwego oblicza?

– Do tej pory nie przyłapałem nikogo na łamaniu prawa. Oburzający, niemoralni, chciwi? Tak, żaden z nich nie robi jednak nic, co można uznać za nielegalne. Zapewniam cię, że jeżeli któryś z nich, wliczając w to samego prezydenta, przekroczy granicę, zacznę działać. Póki co jednak nikt nie posunął się tak daleko.

– Nikt oprócz tego, kto jest zdrajcą.

– Dlatego jestem tak bardzo zainteresowany jego odkryciem. Tama najpierw pęka, zanim wreszcie ulegnie zniszczeniu.

Nie dała się ogłupić.

– Spójrzmy prawdzie w oczy, Brent. Podoba ci się posada najwyższego stróża prawa. Nie utrzymałbyś jej jednak długo, gdybyś wytoczył sprawę któremuś z nich i przegrał.

Green patrzył na nią z widocznym smutkiem w oczach.

– Wolałbym jednak, żebyś jeszcze trochę pożyła.

Odganiała od siebie jego niepokój.

– Znalazłeś ten przeciek?

– Wierzę, że zdołamy...

Cassiopeia wbiegła z powrotem do kuchni.

– Mamy towarzystwo. Dwóch mężczyzn zaparkowało samochód przy krawężniku. W garniturach i ze słuchawkami w uszach. Są z Secret Service.

– To mój przyboczny patrol – wyjaśnił Green. – Rutynowa kontrola na nocnej zmianie.

– Musimy iść – dała jasno do zrozumienia Cassiopeia.

– Nie – zaoponował Green. – Uwolnijcie mnie. Poradzę sobie z nimi.

Cassiopeia pobiegła do drzwi prowadzących na taras. Stephanie podjęła decyzję, jaką podejmowała już setki, a może tysiące razy. I chociaż tego dnia dokonywała fatalnych wyborów, postanowiła postąpić tak, jak mawiał jej ojciec. „Dobrze czy źle, to nie jest ważne. Po prostu zrób coś”.

– Zaczekaj! – zawołała do Cassiopei.

Stephanie podeszła do szafki kuchennej i zajrzała do kilku szuflad, szukając noża.

– Rozetniemy mu więzy. – Podeszła do Greena. – Mam nadzieję, że wiem, co robię.

Sabre biegł przez lasy Oxfordshire do miejsca, gdzie zostawił swój samochód. Brzask powoli obejmował we władanie angielską prowincję. Mgła spowijała pola, powietrze było zimne i wilgotne. Odczuwał dumę z przebiegu pierwszego spotkania z Cottonem Malone. Tyle wystarczyło, żeby podsycić ciekawość Amerykanina, jednocześnie tłumiąc ewentualną

paranoję. Zabicie dwóch mężczyzn, których sam wynajął do przypuszczenia ataku na Malone’a, wydawało się doskonałym zagraniem otwierającym. Mógłby zastrzelić wszystkich trzech, gdyby były agent nie zapisał pierwszego z nich na swoje konto. Zapewne Malone przeszukał ciała napastników przed opuszczeniem posiadłości, ale Sabre dopilnował, żeby żaden z mężczyzn nie miał przy sobie dokumentów, które mogłyby potwierdzić ich tożsamość. Wydał im jasne polecenie, żeby stanęli do konfrontacji z Cottonem i przyparli go do muru. Gdy jednak Malone wyeliminował pierwszego z nich, gra zmieniła bieg. Sabre nie był tym zresztą zaskoczony. Malone już w Kopenhadze udowodnił, że potrafi sobie radzić.

Na szczęście w mieszkaniu Haddada znajdował się dyktafon. To, łącznie z informacjami, które odnalazł w komputerze Palestyńczyka, dostarczyło mu dostatecznie dużo danych, by mógł wywieść Malone’a w pole i zyskać jego zaufanie. Wszystko, co musiał teraz zrobić, to wrócić do hotelu Savoy i czekać.

Malone przyjdzie.

Wynurzył się z lasu i zauważył swój samochód. Tuż za nim był zaparkowany inny pojazd. Przyjechała nim kobieta, którą wynajął wcześniej w Londynie.

– Ty skurwysynie! – krzyczała wyraźnie zdenerwowana. – Zabiłeś tamtych mężczyzn.

– W czym problem?

– Zatrudniłam ich. Jak myślisz, czy ktokolwiek będzie chciał dla mnie pracować, jeśli my, do jasnej cholery, zabijamy własnych ludzi?

– Któż się o tym dowie? Oprócz ciebie i mnie?

– Ty skurwielu! Obserwowałam cię z zewnątrz. Strzeliłeś do nich od tyłu. Nie spodziewali się tego. Od samego początku miałeś taki zamiar.

Doszedł do swojego samochodu.

– Zawsze byłaś bystra.

– Pieprz się, Dominick! Ci mężczyźni byli moim i kumplami.

Teraz wezbrała w nim ciekawość.

– Sypiałaś z którymś z nich?

– Nie twój pieprzony interes.

Wzruszył ramionami.

– Masz rację.

– Skończyłam z tobą. Nigdy więcej! Znajdź sobie innego pomocnika – powiedziała, ruszając w stronę swojego samochodu.

– Nawet tak nie myśl! – zawołał.

Obróciła się gwałtownie, gotowa stawić mu czoła. Oczekiwała surowej reprymendy. Toczyli podobne spory już wcześniej. Tym razem jednak Sabre z zimną krwią strzelił jej prosto w głowę.

Nikt nie będzie mu wchodził w drogę. Zbyt dużo wysiłku włożył w to, co zaplanował. Zamierzał oszukać jedno z najpotężniejszych nieformalnych stowarzyszeń gospodarczych na świecie. Najmniejszy błąd pociągnie za sobą straszliwe konsekwencje. Nie chciał nawalić. Nie zostawi po sobie żadnych śladów.

Otworzył drzwi samochodu i wślizgnął się do środka.

Cotton Malone był jednym, którym należało się jeszcze zająć.

Stephanie stała w kuchni z Cassiopeią i słuchała, jak Brent Green otworzył drzwi wejściowe i rozmawiał z dwoma agentami Secret Service. Albo miała rację, albo za chwilę zostaną aresztowane.

– To jest beznadziejnie głupie – wyszeptała Cassiopeia.

– Ale to moja głupota. I nie prosiłam ciebie ani Henrika, żebyście się do tego wtrącali.

– Jesteś upartą suką.

– I kto to mówi! Mogłaś się stąd wydostać. Ty jesteś równie uparta.

Słuchała, jak Green ucinał sobie pogawędkę na temat pogody i jak żartował, opowiadając o przypadkowym rozlaniu wody na swój szlafrok. Chwilę wcześniej Stephanie uwolniła Greena z więzów i z ubawieniem patrzyła, jak zmagał się z odklejaniem taśmy z nadgarstków i kostek. Grymas na twarzy, który pojawiał się z każdym kolejnym pociągnięciem taśmy, i towarzyszący temu ból wyrywania włosów z rąk i nóg był po prostu bezcenny.

Ponownie usłyszała w myślach słowa Greena, wymawiane z nieukrywaną pewnością: „Ten przyjaciel z pewnością przejmuje się tym,

co się z tobą stanie”.

– Wyda nas i mamy całkiem przechlapane – wyszeptała Cassiopeia.

– Nie zrobi tego.

– Skąd w tobie tyle pewności siebie?

– Dwadzieścia lat pełnych błędów.

Green w końcu pożegnał się z agentami. Stephanie spokojnie pchnęła wahadłowe drzwi i spojrzała na Greena, który wyglądał przez szczelinę między listewkami żaluzji. Odwrócił się w jej kierunku.

– Zadowolona?

Przeszła przez jadalnię. Cassiopeia szła tuż za nią.

– W porządku, Brent. Co teraz?

– Wspólnie postaramy się uratować twoją skórę i za jednym zamachem zatamować przeciek.

– A tak przy okazji, nigdy nie wspominałeś, kim jest ta osoba.

– Tak. Nie wspominałem. Ponieważ nie wiem kto to.

– Wydawało mi się, że zidentyfikowałeś tę osobę?

– Mówiłem jedynie, że możemy mieć problem z rozpoznaniem jej tożsamości.

– Czekam.

– Nie spodoba ci się to.

– Sprawdźmy.

– W tej chwili głównym „kretem”, który pracuje dla Izraelczyków, jest Pam Malone.

CZĘŚĆ TRZECIA

TRZYDZIEŚCI SIEDEM

GODZINA 7.40

Henrik Thorvaldsen bardzo źle znosił podróże liniami lotniczymi, dlatego też żadna z jego firm nie miała samolotów. Chcąc złagodzić nieco dyskomfort, gdy już musiał wzbić się w niebo, zawsze siadał w pierwszej klasie i odbywał loty wczesnym rankiem. Większe siedzenia, dodatkowe usługi wliczone w cenę oraz wczesna pora do pewnego stopnia uśmierzały tę fobię. Z kolei Gary Malone uwielbiał latanie w przestworzach. Chłopiec pochłonął do ostatniego okruszka śniadanie podane przez stewardesę oraz większą część porcji Henrika.

– Wkrótce będziemy lądować – Henrik poinformował Gary'ego.

– Jest świetnie. Gdyby nie to, byłbym w domu i chodził do szkoły. A tak jestem w Austrii.

Henrik i Gary poznali się przed dwoma laty i bardzo polubili. Kiedy Gary spędzał część letnich wakacji z ojcem, wiele razy nocował w Christiangade. Obaj z pasją żeglowali dwunastometrowym keczem, zacumowanym w przystani przylegającej do rezydencji, zakupionym dawno temu w celu odbywania rejsów przez cieśninę Sund do Norwegii i Szwecji. Rodzony syn Thorvaldsena, Cai, kochał wodę. On sam wciąż odczuwał nieutulony żal po śmierci chłopca. Od jego śmierci upłynęły już blisko dwa lata. Zginął w Mexico City z powodów, których Thorvaldsen nigdy nie zdołał do końca zrozumieć. Malone był tam, wypełniając jedną ze swoich misji, i uczynił wszystko, co było w jego mocy, co w rezultacie sprawiło, że się poznali. Thorvaldsen nie zapomniał jednak tamtych wydarzeń. Później dowiedział się też prawdy o śmierci syna. Długów takich jak ten nie spłaca się nigdy. Wspólne spędzanie czasu z Garym przywracało mu jednak do pewnego stopnia radość życia, jaką los odebrał mu tak surowo i bezwzględnie.

– Cieszę się, że pozwolono ci tu przyjechać – podjął rozmowę. – Nie chciałem zostawiać cię samego w rezydencji.

– Nigdy jeszcze nie byłem w Austrii.

– To piękny kraj. Rozległe lasy. Góry o szczytach pokrytych śniegiem. Alpejskie jeziora. Spektakularne krajobrazy.

Przez cały wczorajszy dzień obserwował uważnie chłopca i odniósł wrażenie, że Gary dobrze sobie radzi z ciężkimi przeżyciami, jakie stały się jego udziałem, zwłaszcza uwzględniwszy to, że na własne oczy widział, jak dwóch ludzi zostało zastrzelonych. Kiedy Malone i Pam odlecieli do Anglii, Gary zrozumiał, dlaczego pojechali. Matka musiała wrócić do pracy, ojciec zaś koniecznie chciał się dowiedzieć, jaka była rzeczywista przyczyna zagrożenia jego syna. Gary znał już rezydencję Christiangade i ochoczo zgodził się tam zostać. Wczoraj jednak, po rozmowie ze Stephanie, Thorvaldsen zrozumiał, co musi koniecznie zrobić.

– To spotkanie, w którym zamierzasz uczestniczyć... – odezwał się Gary. – Czy jest ważne?

– Może się takim okazać. Muszę pojawić się na kilku posiedzeniach, ale znajdziemy dla ciebie jakieś zajęcia, kiedy będę uczestniczył w obradach.

– A co na to tata? Czy on wie, co teraz robimy? Nie powiedziałem tego mamie.

Pam Malone zadzwoniła kilka godzin temu i przez chwilę rozmawiała z Garym. Odłożyła jednak słuchawkę, zanim Thorvaldsen zdążył zamienić z nią choćby jedno słowo.

– Jestem pewien, że któreś z nich znowu zadzwoni, a Jesper poinformuje ich, gdzie się znajdujemy.

Ryzykował trochę, zabierając z sobą Gary’ego, ale doszedł do przekonania, że będzie to słuszne posunięcie. Jeśli Alfred Hermann rzeczywiście krył się za sprawą uprowadzenia chłopca, czego Thorvaldsen był niemal pewien, wtedy uczestniczenie w Walnym Zgromadzeniu z chłopcem u boku, w otoczeniu wpływowych kobiet i mężczyzn z całego świata, z których wszyscy mieli z sobą osobistych ochroniarzy, wydawało się najbardziej bezpiecznym wariantem postępowania. Wciąż zastanawiał się nad porwaniem. Na podstawie skąpych informacji, jakich mu dostarczono, Dominick Sabre, Amerykanin z urodzenia, był profesjonalistą, który raczej nie zgodziłby się na wynajęcie tak marnego wsparcia, jak trójka Holendrów, którzy spartaczyli uprowadzenie chłopca. Coś jednak nie trzymało się kupy. Malone był klasą sam w sobie, musiał mu to przyznać,

bieg zdarzeń rozwijał się jednak z niepokojącą precyzją. Czy cała ta intryga została tak skonstruowana, żeby Malone był zawsze górą? Żeby tym samym motywować go do posuwania się naprzód? Jeśli tak, oznaczało to, że Gary’emu rzeczywiście nic już nie groziło.

– Pamiętaj, o czym rozmawialiśmy – zwrócił się do chłopca. – Uważaj na to, co mówisz. I nadstawiaj pilnie uszu.

– Zrozumiałem.

Uśmiechnął się.

– Doskonale.

Teraz pozostało mu jedynie żywić nadzieję, że właściwie rozczytał rozgrywkę Alfreda Hermanna.

TRZYDZIEŚCI OSIEM

WIEDEŃ
GODZINA 8.00

Hermann odsunął talerz ze śniadaniem. Jedzenie nie sprawiało mu przyjemności, szczególnie w gronie licznych biesiadników, uwielbiał jednak przebywać w sali jadalnianej. Osobiście nadzorował jej projekt i wystrój wnętrza w stylu neogotyckim. Skrzydła okien i kasetony na suficie przedstawiały herby licznych znakomitych rycerzy krzyżowców, a na ścianach wisiały płótna ze scenami zdobycia Jerozolimy przez chrześcijan.

Śniadanie wypadło spektakularnie, jak zwykle, a legion stewardów w białych marynarkach obsługiwał zebranych gości. Jego córka zasiadła na przeciwnym końcu długiego stołu, a pozostałe dwanaście miejsc zajęła wybrana grupa członków zakonu – Komitet Polityczny – którzy przybyli poprzedniego dnia, żeby wziąć udział w Walnym Zgromadzeniu, jakie miało odbyć się w ten weekend.

– Mam nadzieję, że wszyscy dobrze się tutaj czujecie – powiedziała do zgromadzonych Margarete.

W tłumie to ona zawsze brylowała.

Hermann zauważył jej zachmurzoną minę, z jaką spoglądała na jego nietknięty posiłek. Powstrzymała się od komentarza – udzieli mu nagany, gdy znajdą się na osobności, jak gdyby apetyt sam w sobie zapewniał długi żywot i dobre zdrowie. Gdyby to rzeczywiście było tak proste!

Kilkoro członków komitetu rozmawiało na temat *château* oraz wyjątkowych i przepięknych mebli stanowiących jego wyposażenie, zwracając jednocześnie uwagę na kilka zmian, jakie nastąpiły od ostatniej wiosny. Chociaż były to osoby płci obojga, obyte z bogactwem i dostatkiem, ich majątki razem wzięte nie dorównałyby nawet jednej czwartej fortuny Hermanna. Każda z tych osób była jednak przydatna. Wyraził więc uznanie dla ich spostrzegawczości.

– Jestem ciekaw – odezwał się po chwili – co Komitet Polityczny zamierza zarekomendować Walnemu Zgromadzeniu w sprawie projektu numer tysiąc dwieście dwadzieścia trzy.

Inicjatywa ta, przyjęta na wiosennym zgromadzeniu przed trzema laty, obejmowała całościowy plan destabilizacji Izraela oraz Arabii Saudyjskiej. Hermann sam był autorem tej koncepcji i z tego też powodu opłacał informatorów w strukturach administracji rządowej Izraela i Stanów Zjednoczonych – dzięki tym informatorom nieoczekiwanie dotarł do George'a Haddada.

– Zanim to uczynimy – głos zabrał przewodniczący komitetu – może zechciałbyś nas powiadomić, czy twoje wysiłki przynoszą owoce. Jeśli nie odniosłeś sukcesu, nasze plany będą musiały ulec zmianie.

Skinął głową, przytakując.

– Sprawy nabierają biegu. I to szybkiego. Jeśli jednak osiągnę sukces, czy zapewnimy sobie klientów, którzy zechcą pozyskać tę informację?

Inny z członków komitetu przytaknął.

– Przeprowadziliśmy rozpoznanie w Jordanii, Syrii, Egipcie i Jemenie. Wszyscy są zainteresowani przynajmniej podjęciem rozmów.

Odczuł zadowolenie. Dowiedział się, że entuzjazm krajów arabskich – czy to w kwestii towarów i usług, czy też w kwestii terroru – narastał wprost proporcjonalnie do wzrostu zainteresowania ze strony sąsiadów.

– Ignorowanie Saudyjczyków może okazać się ryzykowne – odezwał się inny z obecnych przy stole. – Mają rozległe powiązania z licznymi członkami naszego zakonu. Działania odwetowe mogą okazać się bardzo kosztowne.

– Wasi negocjatorzy – odparł Hermann – będą musieli zapewnić, że oni zachowają spokój do momentu, kiedy zajęcie się nimi będzie korzystne dla nas.

– Czy nie nadeszła pora, żebyś powiedział nam dokładnie, o co w tym wszystkim chodzi? – zapytał inny z członków komitetu.

– Nie – odpowiedział. – Jeszcze nie.

– Wplątujesz nas, i to mocno, w coś, co mówiąc szczerze, Alfredzie, budzi wątpliwości z naszej strony.

– Jaka wątpliwość cię trapi?

– Co na przykład tak bardzo intryguje Jordanię, Syrię, Egipt i Jemen, że kraje te są gotowe wyłączyć ze swojego grona Arabię Saudyjską?

– Wyeliminowanie Izraela.

W sali jadalnianej zapadło milczenie.

– Można uznać za pewnik, że jest to wspólny cel wszystkich wymienionych państw, lecz jednocześnie jest to cel nierealny. To państwo będzie trwać na wieki.

– To samo mówiło się o Związku Sowieckim. Ale kiedy sens jego istnienia został podważony, gdy wysunięto oskarżenia o oszustwa i nadużycia, zobaczcie, co się stało. Nastąpił rozpad, i to w ciągu kilku dni.

– I jesteś w stanie sprawić, że tak się stanie? – zapytał inny z obecnych.

– Gdybym nie sądził, że jest to możliwe, nie marnowałbym naszego czasu.

Jeszcze inny z członków komitetu, zresztą wieloletni znajomy, wydawał się nieco sfrustrowany enigmatycznością jego wypowiedzi.

– Mogę podsunąć wam pewien trop – kontynuował Alfred Hermann. – Jaka byłaby wasza reakcja, gdybyście się dowiedzieli, że wiążący charakter Starego Testamentu został podany w wątpliwość?

Kilkoro spośród gości wzruszyło ramionami.

– I co z tego?

– Fundamentalnie przesunęłoby to środek ciężkości debaty związanej z Bliskim Wschodem – odparł Hermann. – Żydzi upierają się stanowczo przy objawionym charakterze ich Tory. Słowo Boże i tego rodzaju bzdury. Nikt nigdy nie stawił im czoła na poważnie. Krążyły jedynie pogłoski, spekulacje, lecz jeśli Tora okazałaby się przekłamaniem, wyobraźcie sobie, jakim byłoby to ciosem dla wiarygodności Izraela. Pomyślcie, jak bardzo mogłoby to pobudzić inne kraje Bliskiego Wschodu.

Słowa te wypowiedział z powagą i przekonaniem. Żaden agresor nigdy nie zdołał całkowicie pokonać Izraela. A wielu się na to porywało. Asyryjczycy, Babilończycy, Rzymianie, Turcy. Inkwizycja. Nawet Marcin Luter darzył nienawiścią synów Izraela. Jednak te tak zwane dzieci Boga uparcie odmawiały ugięcia karku. Chyba najgorzej obszedł się z nimi Hitler. A jednak w następstwie tej martyrologii i Holocaustu świat po prostu obdarował ich przyobiecaną im biblijną ojczyzną.

– Co masz przeciwko Izraelowi? – chciała wiedzieć jedna z członkiń komitetu. – Od samego początku utrzymywałam, że niepotrzebnie marnujemy na to czas.

Kobieta ta znajdowała się rzeczywiście w opozycji, wraz z dwojgiem innych członków, którzy do niej dołączyli. Ponieważ cała trójka była w zasadzie niegroźna, Hermann pozwolił na swobodną dyskusję, nadając tym samym obradom pozory demokracji.

– Gra idzie o coś znacznie więcej niż wyłącznie Izrael – zauważył, wiedząc, że ściągnie na siebie uwagę wszystkich zebranych, w tym własnej córki. – Jeśli rozegramy ją właściwie, będziemy w stanie destabilizować jednocześnie Izrael i Arabię Saudyjską. W tym wypadku jest to system naczyń połączonych. Jeśli spowodujemy dostatecznie duży zamęt w obu tych państwach, zapanujemy nad tym zamętem, a następnie popuścimy wodze, co wywoła chaos i być może uda nam się nieodwołalnie obalić rządy obu krajów.

Skierował spojrzenie na przewodniczącego Komitetu Politycznego.

– Czy rozważyłeś już, jak nasi członkowie mogą wykorzystać tę sytuację, jeśli puścimy w ruch bieg zdarzeń?

Starszy mężczyzna skinął głową, przytakując. Przyjaźnił się z Hermannem od dziesiątków lat i był już bardzo blisko miejsca w kręgu.

– Scenariusz, jaki planujemy, opiera się na tym, że Palestyńczycy, Jordańczycy, Syryjczycy oraz Egipcjanie chcą wszystkiego, co im podsuniemy.

– Tak się przecież nie stanie – odezwał się inny z oponentów.

– A któż by pomyślał, że świat pozwoli na przesiedlenie blisko miliona Arabów i podaruje Żydom ojczyznę? – Hermann wyrażał się jasno. – Wielu na Bliskim Wschodzie także utrzymywało, że coś takiego nigdy się nie stanie.

Gwałtownie wyrzucał z siebie te słowa, złagodził więc trochę ton, aby to, co zamierzał teraz powiedzieć, zabrzmiało bardziej kompromisowo.

– W najgorszym razie będziemy w stanie obalić ten bzdurny mur, który Izraelczycy wznieśli, chcąc chronić własną granicę, i jednocześnie zakwestionujemy wszystkie ich dawne roszczenia, jakie zgłaszali. Arogancja syjonistów zostanie upokorzona, być może nawet w stopniu tak głębokim, żeby pobudzić sąsiadujące państwa arabskie do wspólnego i skoordynowanego działania. A przecież nie wspomniałem jeszcze o Iranie, który nie uczyniłby niczego z większą rozkoszą niż całkowite unicestwienie Izraela. Dla nich byłoby to błogosławieństwo.

– Za sprawą czego miałoby się tak zdarzyć?

– Wiedzy.

– Nie mówisz tego poważnie. Wszystko opiera się na tym, że czegoś się dowiemy?

Nie spodziewał się tak szczerej i otwartej dyskusji, uznał jednak, że nadszedł właściwy moment. Członkowie komitetu, zebrani teraz przy stole w sali jadalnianej, byli zobowiązani przez statut zakonu do formułowania ogólnej linii politycznej, która była bezpośrednio powiązana z przedsięwzięciami podejmowanymi przez Komitet Ekonomiczny, ponieważ z perspektywy zakonu jego struktura polityczna oraz zyski oznaczały jedno i to samo. Komitet Ekonomiczny wytyczył cel – zwiększenie o jedną trzecią przychodów tych członków, którzy zainwestowali pokaźne kwoty w przedsięwzięcia na Bliskim Wschodzie. Przeprowadzono analizę, określono minimalną kwotę inwestycji wyrażoną w euro, oszacowano potencjalne zyski w obecnych warunkach ekonomicznych i politycznych, następnie opracowano kilka wariantów rozwoju zdarzeń. W rezultacie spodziewano się zysków na poziomie trzydziestu procent. Sytuacja w regionie mogła się zaognić nawet przy najmniejszym konflikcie. Każdy dzień przynosił nową przyczynę katastrofy, Komitet Polityczny dążył więc do opanowania sytuacji. Tradycyjne metody – łapówki i groźby – przestawały być skuteczne w wypadku ludzi, którzy z przekonania opasywali sobie torsy ładunkami wybuchowymi. Fortuny ludzi, którzy podejmowali decyzje w takich krajach, jak Jordania, Syria, Kuwejt, Egipt i Arabia Saudyjska, były zbyt duże, za dobrze chronione i powiązane z wieloma fanatykami. Zakon musiał zatem zdać sobie sprawę, że należało znaleźć nową talię kart do gry – Hermann był przekonany, że jedna taka karta niebawem znajdzie się w jego posiadaniu.

– Wiedza jest bez porównania potężniejszą bronią niż cokolwiek innego – powiedział niemal szeptem.

– Wszystko zależy od wiedzy – zadeklarował któryś z członków komitetu.

Zgodził się ochoczo.

– Będziemy w stanie osiągnąć nasz cel, jeśli zdołamy rozpowszechnić to, co wiemy, oferując tę wiedzę odpowiednim kupcom za porządną cenę we właściwym momencie.

– Znam cię, Alfredzie – zabrał głos starszy mężczyzna. – Zaplanowałeś to wszystko z najdrobniejszymi szczegółami.

Hermann uśmiechnął się promiennie, zadowolony z siebie.

– Sprawy wreszcie ruszyły z miejsca. Teraz zainteresowanie okazali również Amerykanie, a to otwiera wiele nowych możliwości.

– Co z Amerykanami? – zapytała Margarete, a z jej głosu przebijało zniecierpliwienie.

Jej pytanie rozdrażniło go. Powinna się nauczyć ukrywać to, czego nie wie.

– Wygląda na to, że niektórzy ludzie pozostający u władzy w Stanach Zjednoczonych również pragną upokorzyć Izrael. Widzą w tym korzyść dla amerykańskiej polityki zagranicznej.

– Jakim cudem coś takiego może być możliwe? – zainteresował się jeden z członków komitetu. – Arabowie z Arabami, a do tego Arabowie z Żydami toczą wojny od tysięcy lat. Cóż, do diabła, ma tak porażającą siłę?

Wytyczył niezwykle ambitny cel dla siebie i dla zakonu, lecz jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu, że upór i zapał miały być nagrodzone. Spojrzał więc z powagą na siedzących przy stole gości.

– Powinienem znać odpowiedź, zanim ten weekend dobiegnie końca – zadeklarował.

TRZYDZIEŚCI DZIEWIĘĆ

WASZYNGTON
GODZINA 3.30

Stephanie siedziała w fotelu do cna wyczerpana. Brent Green usadowił się naprzeciwko niej na sofie. Siedział zgarbiony w pozycji, w jakiej nigdy wcześniej go nie widziała. Cassiopeia postanowiła zdrzemnąć się na górze. Przynajmniej jedno z nich mogło odpocząć. Stephanie z pewnością nie było to teraz dane. Odniosła wrażenie, że od momentu, kiedy była tutaj ostatni raz, przed dwoma dniami, upłynęły dwa miesiące. Nie ufała Greenowi, podchodziła z nieufnością do jego słów, zła na siebie za to, że ściągnęła niebezpieczeństwo na głowę syna Malone'a. I chociaż Gary Malone był teraz bezpieczny, w jej głowie wciąż kłębiły się wątpliwości co do osoby Brenta Greena, zwłaszcza uwzględniając słowa, jakie wypowiedział kilka godzin wcześniej.

„Głównym «kretem», który pracuje dla Izraelczyków, jest Pam Malone".

Wzięła w dłonie puszkę napoju diet Dr Pepper, którą znalazła w lodówce Greena. Poruszyła puszką.

– Naprawdę pijasz to coś?

Przytaknął skinieniem głowy.

– Smakuje jak oryginał, ale nie zawiera cukru. Jak dla mnie to całkiem dobry pomysł.

Uśmiechnęła się.

– Jesteś dziwnym facetem, Brent.

– Jestem po prostu prywatną osobą, która zachowuje dla siebie swoje przyjemności i słabostki.

Czuła kłucie w sercu i pustkę w głowie. Starała się zdusić głęboki niepokój, który odciągał jej uwagę od Greena. Z premedytacją zgasili wszystkie światła, chcąc przekonać czyjeś ewentualne czujne spojrzenia, że gospodarz tego domu udał się na nocny spoczynek.

– Rozmyślasz o Cottonie Malone? – zapytał Green zza zasłony mroku.

– Jest w tarapatach.

– Nie jesteś w stanie zrobić nic, dopóki się nie odezwie.

Pokręciła głową z dezaprobatą.

– To jednak nie wystarczy.

– Masz przecież agenta w Londynie. Jakie są szanse, że uda mu się odnaleźć Cottona?

Mało prawdopodobne. Londyn to wielka aglomeracja, poza tym kto wie, czy Malone wciąż tam jest. Mógł przecież pojechać dokądkolwiek na terenie Wielkiej Brytanii. Nie miała jednak ochoty myśleć o sprawach nierealnych.

– Od jak dawna wiesz o Pam? – zapytała, celowo zmieniając temat.

– Od niedawna.

Nie cierpiała sytuacji, gdy odstawiano ją od przepływu informacji, postanowiła więc uzyskać coś, co i tak sama musiałaby dać.

– Jest jeszcze inny gracz w twojej grze.

Przekazała mu wiedzę, jaką otrzymała od Thorvaldsena na temat Zakonu Złotego Runa.

– Henrik nic mi o tym nie wspomniał.

– To ci dopiero niespodzianka! – Upiła kolejny łyk bezalkoholowego napoju. – On mówi tylko to, co chce, żebyś wiedział.

– Czy to oni porwali syna Malone’a?

– Są na czele mojej listy.

– To by wiele wyjaśniało – skomentował Green. – Izraelczycy zachowywali niezwykłą ostrożność w trakcie całej operacji. Zdekonspirowaliśmy ogniwo w nadziei, że ich miejscowy agent połknie przynętę. Od kilku lat ich dyplomaci prywatnie usiłowali zgromadzić jakąś wiedzę na temat George’a Haddada. Nie udało się nam wywieść ich w pole tak do końca, kiedy Malone ukrył ogniwo. Przeszukali skrupulatnie zgliszcza restauracji, ale bomba zrównała wszystko z ziemią. Kiedy jednak rzuciliśmy im ogniwo na przynętę, Izraelczycy rozegrali wszystko w całkowitej tajemnicy.

– Powiedz mi coś, czego nie wiem.

– Uprowadzenie syna Malone’a zbiło nas z tropu. Z tego właśnie powodu opóźniłem nasze spotkanie, kiedy zadzwoniłaś do mnie po raz pierwszy z tą nowiną.

– A ja sądziłam, że uczyniłeś to po prostu dlatego, że nie darzysz mnie sympatią.

– Przyzwyczajenie się do ciebie wymaga cierpliwości, ale jakoś nauczyłem się sztuki adaptacji.

Uśmiechnęła się szeroko.

Green sięgnął do kryształowej kokilki stojącej na małym stoliku, w której znajdowały się solone orzeszki. Stephanie także odczuwała głód, zaczerpnęła więc pełną garścią.

– Wiemy, że Izraelczycy nie są winni porwania Gary'ego Malone'a – podjął wątek Green. – Zdziwił nas również spokój, jaki zachowali, kiedy do tego doszło.

Przerwał na chwilę.

– Potem zadzwoniłaś do mnie, a ja zostałem poinformowany o Pam Malone.

Zamieniła się w słuch.

– Jakieś trzy miesiące temu wdała się w romans z pewnym mężczyzną. Odnoszący sukcesy prawnik pewnej kancelarii w Atlancie, jeden z głównych wspólników, ale jednocześnie izraelski patriota. Aktywnie wspomagający sprawy ojczyzny. Wydział Spraw Wewnętrznych jest przekonany, że dopomógł w finansowaniu jednej z bardziej wojowniczych frakcji w łonie izraelskiego rządu.

Wiedziała, że pieniądze Ameryki od dawna wspomagały politykę Izraela.

– Nie miałam pojęcia, że interesujesz się takimi sprawami na co dzień.

– Raz jeszcze powtórzę, Stephanie, że nie zdajesz sobie sprawy z wielu rzeczy, które mnie dotyczą. Mam publiczny wizerunek dostosowany do politycznych potrzeb. Kiedy jednak obejmowałem to stanowisko, nie zamierzałem odgrywać roli gadającej głowy. Jestem w tym kraju najwyższym rangą urzędnikiem stojącym na straży prawa i wykonuję swoją robotę.

Zauważyła, że nie zjadł jeszcze nawet jednego orzeszka. Zamiast tego trzymał prawą dłoń otwartą, a lewą przebierał orzeszki.

– Co ty właściwie robisz?

– Wyszukuję połówki.

– Dlaczego?

– Jest na nich więcej soli.

– Słucham?

– Jeśli trafisz na cały orzeszek, zauważysz, że środek nie jest pokryty solą. Kiedy jednak orzeszek jest podzielony na połowy, porcja soli jest podwojona.

– Nie mówisz tego poważnie.

Sięgnął po orzeszek i wrzucił go do ust.

–Niby dlaczego połówki mają więcej soli niż całe orzeszki?

– Nie słuchałaś tego, co mówię? – zapytał rozbawionym tonem. – Dwie posolone połówki połączone z sobą mają więcej soli niż cały orzeszek.

Wrzucił do ust następny orzeszek.

Nie była w stanie rozsądzić, czy mówił to na serio, czy też tylko się z nią drażnił, nie przestał jednak wyławiać połówek.

– Co zatem robisz z całymi orzeszkami?

– Zostawiam je na koniec. Zjadam je dopiero w ostateczności. Ale wymienię się z tobą całością za połówkę.

Taki Brent Green podobał się jej. Odrobinę swawolny. Kwintesencja humoru. Nagle poczuła się bezpiecznie w jego obecności.

– Chcesz dopaść tych aroganckich durni w Białym Domu z równą determinacją co ja. Zapewne słyszałeś, co mówią o tobie. Nazywają ciebie Prawy Wielebny Green. Ukrywają fakty przed tobą. Posługują się tobą wyłącznie dla poprawienia własnego wizerunku.

– Wolałbym myśleć, że znaczę jednak trochę więcej.

– Wszyscy, którzy liżą im tyłki, znaczą niewiele. Jeśli ktoś tego potrzebuje, to właśnie oni. Wliczając w to prezydenta.

– Zgadzam się.

Zgarnął z dłoni pozostałe orzeszki i kończył je przeżuwać. Powoli zaczynała rzeczywiście doceniać człowieka, który siedział naprzeciwko niej.

– Powiedz mi coś więcej na temat Pam – poprosiła.

– Ona i ten prawnik umawiali się na randki przez blisko trzy miesiące. Wiemy, że on kontaktował się z Heather Dixon. Spotkał się z nią kilka razy.

Ta informacja wprawiła ją w osłupienie.

– Chyba coś przeoczyłam. Jakim cudem Izraelczykom przyszło do głowy, że Pam zechce mieszać się w te sprawy? Ona i Malone przez długi czas pozostawali w separacji. Prawie z sobą nie rozmawiają. Poza tym sam stwierdziłeś, że nie sądzisz, żeby porwanie Gary’ego było ich dziełem.

– Izraelczycy muszą wiedzieć coś, czego my nie wiemy. Oni przewidzieli to wszystko. Wiedzieli, że to się wydarzy, i wiedzieli również, że Pam Malone skontaktuje się z Cottonem. To jedyna rzecz, jaka ma sens. Przygotowano ją do tego z premedytacją. A teraz ty mówisz mi o Zakonie Złotego Runa. Moim zdaniem Izraelczycy wiedzieli także o ich zaangażowaniu oraz o tym, że chłopiec w pewnym momencie zostanie uprowadzony. Być może sami planowali podjęcie takiego kroku?

– Zatem Pam jest szpiegiem?

– Stopień jej zaangażowania stanowi zagadkę. I niestety, prawnik, z którym się spotykała, zginął przedwczoraj. – Green przerwał na chwilę. – Został zastrzelony w podziemnym garażu.

Nic nowego. Bliski Wschód z reguły pożera sam siebie.

– Co wiesz na jego temat? – zapytała.

– Prowadzimy dochodzenie w sprawie jego zaangażowania w kontrakty „pieniądze za broń”. Tel Awiw publicznie oświadcza, że próbuje postawić temu tamę, ale za kulisami wspiera te praktyki. Powiedziano mi, że ten prawnik z własnej inicjatywy zbliżył się do Pam. Spędzał z nią dużo czasu. Dawał jej prezenty. Te sprawy. Jak na osobę, która pragnie uchodzić w oczach ludzi za twardziela, Pam Malone okazała się po prostu samotna i podatna na wpływy.

Wyczuła ukrytą intencję w jego głosie.

– Te słowa odnoszą się również do ciebie?

Green nie odpowiedział natychmiast, ona się zaś zastanawiała, czy nie przekroczyła progu jego emocjonalnej wrażliwości. W końcu odpowiedział szeptem.

– Bardziej niż zdajesz sobie z tego sprawę.

Chciała dalej zgłębiać ten trop i szykowała się do następnej próby, kiedy od strony schodów dobiegł odgłos kroków. W progu pojawił się zarys sylwetki Cassiopei.

– Mamy towarzystwo. Przed chwilą jakieś auto zaparkowało przy krawężniku.

Green wstał.

– Nie zauważyłem żadnych świateł.

– Przyjechał na zgaszonych.

Stephanie się zaniepokoiła.

– Sądziłam, że się zdrzemnęłaś.

– Ktoś musi czuwać nad wami.

Zadzwonił telefon.

Nikt się nie ruszył.

Kolejny dzwonek.

Green ruszył przez mrok, znalazł bezprzewodowy telefon i odebrał rozmowę. Stephanie zauważyła, że jego głos brzmiał tak, jakby wyrwano go z głębokiego snu.

Na kilka chwil zapadła cisza.

– Dobrze, przyjdź, jeśli to takie ważne. Za chwilę będę na dole.

Green się rozłączył.

– Larry Daley. Jest na zewnątrz i chce się ze mną zobaczyć.

– To nie wróży niczego dobrego – skomentowała Stephanie.

– Być może nie. Ale schowajcie się gdzieś i przekonajmy się, czego chce ten szatan.

CZTERDZIEŚCI

LONDYN
GODZINA 8.15

Malone uwielbiał mieszkać w hotelu Savoy. Zatrzymywał się w nim kilkakrotnie, wypełniając misje powierzone przez rządy Stanów Zjednoczonych lub Wielkiej Brytanii. Jedna rzecz podobała mu się w jego pracy w Magellan Billet – dodatkowe korzyści równoważyły do pewnego stopnia ryzyko. Nie był tutaj od kilku lat, lecz z przyjemnością się przekonał, że hotel z końca epoki wiktoriańskiej wciąż oferował wspaniałą mieszaninę przepychu i nieprzyzwoitej pikanterii. Noc spędzona w pokoju, którego okna wychodziły na Tamizę, o czym wiedział, kosztowała więcej niż całoroczna pensja większości mieszkańców ziemskiego globu. Co oznaczało, że ich wybawca lubił podróżować w luksusie.

Cotton i Pam oddalili się pospiesznie z Bainbridge Hall, kradnąc furgonetkę ekipy sprzątaczy, którą Malone zaparkował później kilka kilometrów od dworca kolejowego. Zdążyli złapać pociąg do Londynu o szóstej trzydzieści rano. Na Paddington Stadion nie wydarzyło się nic niepokojącego. Zrezygnowali z taksówki i postanowili dojechać do hotelu Savoy metrem.

Ramię Pam nie sprawiało na razie większych problemów. Krwawienie ustało. W hotelowym lobby Malone sięgnął po słuchawkę aparatu telefonicznego i poprosił o połączenie z pokojem numer 453.

– Szybko się pan przemieszcza – odezwał się głos po drugiej stronie łącza.

– Czego pan chce?

– W tej chwili odczuwam głód. Najważniejszą sprawą jest teraz dla mnie śniadanie.

Malone zrozumiał aluzję.

– Proszę zejść na dół.

– Powiedzmy za dziesięć minut w restauracji? Oferują tam doskonały szwedzki bufet.

– Będziemy czekać.

Mężczyzna, który pojawił się przy ich stoliku, był tym samym człowiekiem, którego widzieli przed dwiema godzinami, tym razem jednak paradował w drelichach khaki oraz płóciennej koszuli koloru jasnobrązowego. Starannie ogolona, przystojna twarz wyrażała dobrą wolę i chęć towarzyskiej rozmowy.

– Nazywam się McCollum. James McCollum. Znajomi mówią mi Jimmy.

Malone był zbyt zmęczony i podejrzliwy, żeby zdobyć się na uprzejmości, ale wstał. Uścisk dłoni był mocny i pewny. Oczy tego mężczyzny, barwy nefrytu, wytrzymały jego spojrzenie i emanowały niezaspokojoną ciekawością. Pam nie fatygowała się wstawaniem od stołu. Malone przedstawił siebie i ją, po czym przeszedł z miejsca do sedna sprawy.

– Co pan robił w Bainbridge Hall?

– Mógłby mi pan przynajmniej podziękować za ocalenie wam skóry. Nie musiałem tego robić.

– Zupełnie przypadkiem znalazł się pan w pobliżu?

Wąskie usta mężczyzny wygięły się w uśmiechu.

– Zawsze się pan tak zachowuje? Żadnej gry wstępnej, od razu do rzeczy?

– Unika pan odpowiedzi na moje pytanie.

McCollum odsunął krzesło i dosiadł się do stołu.

– Umieram z głodu. Może najpierw coś zjemy, a później opowiem wam o wszystkim?

Malone nawet nie drgnął.

– Może jednak udzieli pan odpowiedzi na postawione przeze mnie pytanie?

– W porządku, żeby pokazać moją dobrą wolę. Jestem poszukiwaczem skarbów i trafiłem na trop Biblioteki Aleksandryjskiej. Od ponad dziesięciu lat szukam tego, co z niej pozostało. Znalazłem się w Bainbridge Hall z powodu tych trzech mężczyzn. Cztery dni temu zabili kobietę, która mogła się okazać niezwykle cennym źródłem informacji, postanowiłem

więc deptać im po piętach w nadziei, że dowiem się, dla kogo właściwie pracują. Oni jednak zaprowadzili mnie do was.

– Tam, w rezydencji, utrzymywał pan, że posiada informacje, których ja nie mam. Co skłania pana do takiej opinii?

McCollum odsunął krzesło i wstał.

– Powiedziałem tylko, że być może posiadam informacje, których pan nie ma. Niech pan posłucha, nie mam czasu ani cierpliwości na takie zabawy. Już wcześniej złożyłem wizytę w rezydencji. Nie jest pan pierwszym, który tam dotarł. Każdy z was, amatorów, zna jakiś kawałek prawdy wymieszany z obfitością zmyśleń i fantazji. Zamierzam pohandlować czymś, co wiem, w zamian za odrobinę tego, co jest być może w pana posiadaniu. To wszystko, Malone. Nie ma w tym żadnego podstępu.

– Zatem strzelił pan dwóm ludziom w głowę po to tylko, żeby udowodnić szczerość swoich intencji w tej sprawie? – zapytała Pam, a Malone dostrzegł spojrzenie sceptycznego prawnika.

McCollum zatrzymał wzrok na Pam.

– Zastrzeliłem tych ludzi, żeby ocalić wam życie. – Rozejrzał się po sąsiednich stolikach. – Uwielbiam to miejsce. Czy wiecie, że pierwsze martini zostało nalane w Barze Amerykańskim w hotelu Savoy? Hemingway, Fitzgerald, Gershwin, wszyscy oni sączyli tutaj drinki. Wiele tu historii.

– Lubi pan historię? – zaciekawiła się Pam.

– Zawodowa konieczność.

– Wybiera się pan dokądś? – zapytał Malone.

McCollum stał sztywny, zachowując nienaganne maniery i niewzruszony spokój, chociaż Malone dokładał starań, żeby wytrącić go z równowagi.

– Jak dla mnie, jest pan zbyt podejrzliwy. Niech pan rusza. I podąży szlakiem „peregrynacji herosa”. Mam nadzieję, że się panu powiedzie.

Ten człowiek był naprawdę dobrze zorientowany.

– Skąd pan o tym wie?

– Jak już powiedziałem, od jakiegoś czasu jestem na tropie. A od jak dawna pan w tym siedzi? Mogę zgadywać? Jest pan nieopierzonym żółtodziobem. Co gorsza, jest pan nowicjuszem, który ma ambicję. Spotykałem bez liku ludzi takich jak pan. Wydaje się im, że pozjadali wszystkie rozumy. Prawda jest jednak taka, że nie wiedzą absolutnie nic.

Nie bez powodu ta biblioteka pozostaje w ukryciu od piętnastu wieków. – McCollum przerwał na chwilę. – Wie pan co, Malone? Można pana przyrównać do osła, który znalazł się na łące o wspaniałej, sięgającej kolan trawie i przełożył głowę przez płot, żeby skubać chwasty. Miło było poznać pana. Zamierzam usiąść przy stoliku po tamtej stronie i zjeść w spokoju śniadanie.

McCollum ominął ich i ruszył przez w połowie pustą salę restauracyjną.

– Co o tym sądzisz? – chciała poznać jego opinię Pam.

– Arogancki typ. Ale nie możesz brać mu tego za złe.

Uśmiechnął się.

– On coś wie, my zaś nie dowiemy się niczego siedząc tutaj.

Wstała od stolika.

– Zgadzam się. Zjedzmy więc śniadanie razem z naszym nowym znajomym.

Sabre siedział przy swoim stoliku i czekał. Jeśli precyzyjnie skalkulował, już wkrótce ci dwoje dołączą do niego. Malone w żaden sposób nie oprze się takiej pokusie. Najwidoczniej jego wiedza ogranicza się wyłącznie do tego, co zdołał mu powiedzieć George Haddad – czego nie było zbyt dużo, co był w stanie ocenić, wysłuchawszy taśmy z nagraniem. Być może to, co Malone zdołał wynieść z mieszkania Haddada, zanim pospiesznie się oddalił, wypełniało pewne luki, ale Sabre był gotów iść o zakład, że najważniejsze pytania wciąż pozostawały bez odpowiedzi.

Co stanowiło również jego problem.

Zmusił się więc do współdziałania. Był to dla niego nowy obszar. Przywykł do ciszy własnych myśli – intymne towarzystwo było rzadkie, ograniczone właściwie do przypadkowo poznawanych kobiet, które zapewniały seks. W swoich działaniach najczęściej posługiwał się najemnikami obu płci. Profesjonalistami, jak on sam, którzy wykonywali swoją robotę, mówiąc mu wieczorem to, co chciał usłyszeć, a rankiem znikali. Surowa rzeczywistość fizycznego zagrożenia oraz intelektualne

napięcie, przynajmniej w jego wypadku, raczej neutralizowały niż rozbudzały erotyczne doznania. Złowieszcze konsekwencje osłabiały mózg. Czasami sypiał z wynajmowanymi przez siebie kobietami. Lecz podobnie jak w wypadku Angielki, którą wcześniej zastrzelił, czasami towarzyszyły temu niezbyt miłe skutki uboczne. Zamiast romansu szukał więc samotności.

Tę konkretną rolę odgrywał już wcześniej, przed innymi widzami, kiedy potrzebował zdobyć ich zaufanie. Słowa i czyny, sposób, w jaki się poruszał i zachowywał, pełen buty głos – wszystkiego nauczył się od jednego z licznych przyjaciół matki. Ten konkretny był gliniarzem z pieszego patrolu w Chicago, gdzie mieszkali, kiedy Sabre miał dwanaście lat. Pamiętał, jak ten gość usiłował zaimponować matce niepohamowaną pewnością siebie. Przywołał w pamięci mecz drużyny White Sox oraz wycieczkę nad jezioro. Później przekonał się, że podobnie jak większość kochanków matki, policjant tylko do czasu usiłował jej imponować. Kiedy już dostawali to, czego chcieli, co zazwyczaj było oceniane nocą w łóżku jego matki, ich awanse ustawały. Wtedy zaczął nienawidzić wszystkich jej konkurentów i adoratorów. Na jej pogrzebie nie pokazał się żaden z nich. Umarła samotna i bez grosza przy duszy.

Nie miał zamiaru podzielić jej losu.

Wstał i ruszył w stronę szwedzkiego bufetu.

Uwielbiał hotel Savoy, pokoje umeblowane drogimi antykami, obsługiwane przez pokojowych ze Starego Świata. Był to ten gatunek luksusu, którego zażywali Alfred Hermann oraz pozostali członkowie Zakonu Złotego Runa. On również pragnął zaznać tego przywileju. Ale na swoich warunkach. Nie zaś na takich, jakie oni wyznaczą. Żeby jednak zmienić rzeczywistość, potrzebował Cottona Malone’a, i zastanawiał się, czy coś z tego, czego poszukiwał, znajdowało się w skórzanej torbie, którą taszczył z sobą Malone. Jak dotąd cały czas wyprzedzał swojego rywala o krok. Kątem oka dostrzegł z zadowoleniem, że wciąż utrzymywał tę przewagę.

Malone i jego była żona sunęli między pospiesznie zapełniającymi się stolikami.

– W porządku, McCollum – oznajmił Malone, gdy tylko się zbliżył. – Już jesteśmy.

– Wchodzicie do gry?

– Jasne. Przynajmniej tyle możemy zrobić.
Mężczyzna zachichotał z widocznym przymusem.
– Mam nadzieję, że nie jest to maksimum tego, na co was stać.

CZTERDZIEŚCI JEDEN

WASZYNGTON

Stephanie i Cassiopeia ukryły się w kuchni w momencie, gdy Brent Green otwierał drzwi frontowe. Powróciły do poprzednich pozycji, sytuując się blisko wahadłowych drzwi i nasłuchując, jak Green wprowadza Daleya do jadalni i obaj siadają przy stole.

– Brent – powiedział Daley. – Mamy pewne sprawy do przedyskutowania.

– Zawsze je mieliśmy, Larry.

– Mamy poważny problem. A użyłem słowa „my”, ponieważ przyszedłem, żeby pomóc ci go rozwiązać.

– Spodziewałem się, że jest dostatecznie palący, biorąc pod uwagę porę twojej wizyty. Może mi więc powiesz, jaki jest ten „nasz” problem?

– Niedawno w pewnej posiadłości na zachód od Londynu znaleziono trzy ciała. Dwa z nich z kulami w głowie, trzeci trup miał kulę w klatce piersiowej. Inne zwłoki, tym razem kobiety, zostały znalezione kilka kilometrów od tego miejsca. Ofiara została zastrzelona z bliskiej odległości, trafiono ją w głowę. Strzały w głowę oddano z pistoletu tego samego kalibru. Samochód ekipy sprzątającej został skradziony z miejsca zbrodni. Pracowników pozbawiono przytomności. Następnie samochód porzucono w pobliskim miasteczku. Widziano też mężczyznę i kobietę, którzy opuszczali samochód, później zaś odjechali pociągiem do Londynu. Nagranie z kamer na stacji kolejowej Paddington potwierdza, że Cotton Malone i jego była żona wysiedli z tego pociągu.

Stephanie wiedziała, do czego zmierza ta rozmowa.

– Przypuszczam – odparł Green – że Cottonowi Malone przypisujesz morderstwo tamtych czterech osób.

– Fakty zdają się na to wskazywać.

– Najwyraźniej, Larry, nigdy nie prowadziłeś sprawy o morderstwo.

– A ty tak?

– Sześć, aż do teraz. Kiedy byłem zastępcą prokuratora stanowego. Nie masz pojęcia, czy to Malone zastrzelił tych ludzi.

– Może nie, Brent. Ale mam dość, żeby rozjuszyć Anglików do białej gorączki. Przekażę im szczegóły sprawy, żeby je rozpracowali.

Stephanie zdała sobie sprawę, że może to sprawić kłopoty Cottonowi, i zauważyła w spojrzeniu Cassiopei, że podziela to zdanie.

– Brytyjczycy zidentyfikowali Malone'a. Jedynym powodem, dla którego nie zaczęli go ścigać, była chęć zdobycia informacji od nas, co on tam właściwie robi. Chcą wiedzieć, czy to oficjalna misja. Czy przypadkiem nie znasz odpowiedzi?

Cisza unosiła się w powietrzu. Wyobraziła sobie granitowy wyraz twarzy Greena. Obstrukcja była rzeczą, którą opanował do perfekcji.

– To poza moimi prerogatywami. I kto na dobrą sprawę twierdzi, że Malone robi tam cokolwiek, co powinno nas interesować?

– Odnoszę wrażenie, że wyglądam jak głupek.

– Nie zawsze.

– Cięte, Brent. Poczucie humoru. Coś nowego w twoim wykonaniu. Ale wracając do tego, co mówiłem. Malone jest tam nie bez powodu, a czworo ludzi nie żyje za jego sprawą, bez względu na to, czy to on pociągnął za spust. Według moich przypuszczeń, sprawa dotyczy aleksandryjskiego ogniwa.

– Kolejne luki w logicznym rozumowaniu. Czy w ten sposób Biały Dom wytycza politykę?

– Nie wciągałbym w to Białego Domu. W tym momencie nie jesteś zbyt wysoko na liście ich ulubionych osób.

– Jeśli prezydent nie chce, żebym mu dalej służył, z pewnością może zrobić coś z tym faktem.

– Nie jestem przekonany, czy twoja rezygnacja wystarczy.

Stephanie zrozumiała, że Daley przechodzi w końcu do sedna sprawy.

– Co masz na myśli? – spytał Green.

– Sprawa ma się tak. Sondaże poparcia dla prezydenta nie wypadają zbyt dobrze. Realnie rzecz biorąc, pozostały nam jeszcze trzy lata, po czym dwie kolejne kadencje przepadną, a my chcielibyśmy wdrapać się na sam szczyt. Kto by nie chciał? A nic nie podnosi tak poparcia w sondażach, jak pobudzenie uczuć patriotycznych. Najlepsze sondaże robi się po zamachu terrorystycznym.

– Choć raz masz rację.

– Gdzie jest Stephanie?

– Skąd mam wiedzieć?

– Ty mi powiedz. Dzień lub dwa dni temu chciałeś zrezygnować, udzielając jej poparcia. Mówiłem jej, żeby nie mieszała w to biura Magellan Billet, ale ona natychmiast zmobilizowała całą cholerną agencję. Robi to za twoim przyzwoleniem?

– Nie jestem jej opiekunką.

– Prezydent zwolnił ją z pracy. Została zdymisjonowana.

– Bez porozumienia się ze mną?

– Skonsultował się sam z sobą i to wystarczy. Jest wylana na bruk.

– Kto będzie teraz odpowiedzialny za Magellan Billet?

– Co powiesz na krótką opowieść? Nie jest moja. Pochodzi z jednej z moich ulubionych książek, *Hardball*, napisanej przez Chrisa Matthewsa. Nie podziela on moich przekonań politycznych, ale mimo to nadal jest bystrym facetem. Opowiada o tym, jak były senator Bill Bradley był na kolacji wydanej na jego cześć. Bradley chciał kolejną kostkę masła, lecz kelner niosący tacę, mimo wysiłków czynionych przez Bradleya, ani razu do niego nie podszedł. W końcu więc Bradley pofatygował się do kelnera i oznajmił mu, że ten najwyraźniej nie wie, z kim ma do czynienia. „Jestem Bill Bradley, stypendysta Rhodesa, zawodowy gracz w koszykówkę, senator Stanów Zjednoczonych, i prosiłbym o trochę masła”. Kelner nie był pod wrażeniem całej tej przemowy i odrzekł Bradleyowi prosto z mostu, że ten najwyraźniej nie wie, kim on jest. „Jestem facetem zarządzającym tym masłem” – wyjaśnił senatorowi. Jak widzisz, Brent, władza jest tym, co trzymasz pod kontrolą. Tak więc na razie to ja jestem odpowiedzialny za Magellan Billet.

– Czy nie byłeś czasem lobbystą korporacyjnym, zanim zacząłeś pracować w Białym Domu? A wcześniej doradcą politycznym? Jakie masz kwalifikacje, żeby zarządzać agencją wywiadowczą wymiaru sprawiedliwości?

– Wystarczy mi to, że prezydent liczy się z moim zdaniem.

– I pewnie to, że całujesz go w dupę za każdym razem, gdy się pochyli.

– Nie przyszedłem tutaj, żeby dowodzić swoich kwalifikacji. Decyzja została podjęta. Więc, gdzie jest Stephanie?

– Przypuszczam, że w swoim hotelu.

– Wydałem nakaz jej aresztowania.

– I kto z departamentu brał w tym udział?

– Prawnicy Białego Domu zajęli się formalnymi szczegółami. Złamała już kilka przepisów prawa.

– Zechciałbyś mi powiedzieć, które konkretnie?

– Co powiesz o napadzie na obywatela innego państwa? Mam na to świadka, pracownicę izraelskiej placówki dyplomatycznej, która przysięga, że Stephanie chciała ją zabić. Kobieta ta ma paskudny guz na głowie jako dowód.

– Zamierzasz wnieść przeciw niej oskarżenie?

– Zamierzam zaciągnąć jej żałosny tyłek w miejsce, gdzie nie ma żadnych reporterów.

– Z którego już nigdy nie wróci.

Zapadło milczenie.

– To się zdarza, Brent.

– Czy to dotyczy również mnie?

– Mówiąc prawdę, tak. Wygląda na to, że Izraelczycy darzą ciebie specjalną sympatią, chociaż nie chcą wyjawić dlaczego. Może chodzi o cały ten przestarzały, chrześcijański konserwatyzm, jaki uwielbiasz głosić.

Daley zamilkł na chwilę.

– A może po prostu dlatego, że jesteś dupkiem. Sam już nie wiem.

– To ciekawe. Szacunek, jakim darzysz urząd, który piastuję.

– Szacunkiem obdarzam jedynie tych, którzy obsadzili mnie na urzędzie, tak jak ty to powinieneś był zrobić. Bądźmy z sobą szczerzy. Moglibyśmy posłużyć się atakiem terrorystycznym i nikt, kogo znam, nie uroniłby wielu łez, jeśli stałbyś się przypadkową ofiarą. Byłoby to zwycięstwo – zwycięstwo dla nas. Upieklibyśmy dwie pieczenie na jednym ogniu, i tym podobne pierdoły. Jesteś załatwiony. Izrael jest zadowolony, wreszcie. A nasze notowania idą w górę. Każdy liczy na to, że prezydent znów stanie się przywódcą. Życie jest piękne.

– Przyszedłeś więc tutaj, żeby zastraszyć prokuratora generalnego Stanów Zjednoczonych?

– Czemu mówisz teraz takie rzeczy? Przyszedłem tu, żeby przekazać ostrzeżenia. To jedyne rozsądne wyjście, stosowne środki ostrożności będą podjęte przez ochronę. Wliczając w to Stephanie. Z jakiegoś powodu Izraelczycy są na nią wściekli. Ale oczywiście nie wiesz nic o jej miejscu

pobytu. Nie możemy więc jej ostrzec. Jaka szkoda. Ty natomiast stanowisz zupełnie inne zagadnienie. Potraktuj to jak dobrą radę.

– Zakładam, że Izraelczycy nie mają ochoty mieszać się bezpośrednio w jakieś morderstwa?

– Oczywiście, że nie. Izrael nie państwem sięgającym po terror. Ale są zaradni i potrafią oddać przedsięwzięcie w inne ręce. Dysponują odpowiednimi kontaktami z, jak to się mówi, elementami niepożądanymi. Dlatego właśnie zostałeś ostrzeżony.

Stephanie usłyszała, jak któryś z nich wstaje.

– Na tym polega ta robota, Brent.

– I jeśli będę grzecznym chłopcem i się podporządkuję, te niepożądane elementy przestaną się mną interesować.

– Nie mogę powiedzieć na pewno. Ale jest to możliwe. Dlaczego nie spróbujesz i wtedy zobaczymy, jak to będzie.

Cisza unosiła się w powietrzu na tyle długo, że stało się to krępujące. Stephanie wyobraziła sobie dwa lwy patrzące sobie śmiało w oczy.

– Czy spuścizna po prezydencie jest warta tego wszystkiego? – spytał Green.

– A więc, twoim zdaniem, o to w tym wszystkim chodzi? W żadnym wypadku. Tu chodzi o moją spuściznę. O to, co ja mogę pozostawić po sobie. Taki rodzaj kapitału politycznego jest cenniejszy niż złoto.

Usłyszała odgłos butów uderzających o drewnianą podłogę. Domyśliła się, że to Daley wychodził z jadalni.

– Larry – powiedział Green mocniejszym głosem.

Daley się zatrzymał.

– Nie boję się ciebie.

– A powinieneś.

– Oddaj swój najlepszy strzał. Potem ja oddam mój.

– Tak, jasne, Brent. Po moim znajdziesz się z powrotem w Vermont w drewnianej skrzyni, sześć stóp pod ziemią.

– Nie bądź tego taki pewien.

Daley zachichotał.

– Rzeczą, która mnie w tym wszystkim bawi, jest to, że dwa największe wrzody na moim tyłku mogłyby z powodzeniem wyciągnąć tę administrację z gówna. Porozmawiaj z osobą, którą kryjesz.

– Możemy ciebie zaskoczyć.

– Możesz sobie tak dalej myśleć. Życzę miłego dnia.

Drzwi się otworzyły, potem zamknęły.

– Poszedł sobie – powiedział Green.

Stephanie wyszła z kuchni.

– Zgaduję, że nie możesz dłużej podpowiadać mi, co mam robić – zasugerowała.

Zauważyła zmęczenie w jego szarych oczach. Ona również nie czuła się najlepiej.

– W końcu doprowadziłaś do tego, że cię wywalili.

– Co jest naszym najmniejszym zmartwieniem – Cassiopeia wyraziła się jasno.

– Mamy zdrajcę w tym rządzie – powiedział Green. – Zamierzam go odnaleźć.

– Zapewniam pana, panie prokuratorze generalny – podjęła Cassiopeia – że nigdy nie miał pan do czynienia z tymi niepożądanymi elementami. Daley ma rację. Izraelczycy sami nie będą parać się żadną brudną robotą. Wynajmą kogoś. I to ludzie, których oni zatrudnią, będą stanowić problem.

– Zatem wszyscy będziemy musieli być ostrożni.

Stephanie niemal się uśmiechnęła. Brent Green był obdarzony większą odwagą niż mogła sobie to wyobrazić. Ale było coś jeszcze. Zauważyła to wcześniej, a teraz była pewna.

– Masz plan, prawda?

– Och tak. Nie brak mi pomysłowości.

CZTERDZIEŚCI DWA

WIEDEŃ, AUSTRIA
GODZINA 10.50

Alfred Hermann pożegnał się z członkami Komitetu Politycznego i wyszedł z jadalni. Powiadomiono go, że specjalny gość w końcu przybył.

Pokonał labirynt korytarzy na parterze i wkroczył do przestronnego hallu rezydencji w chwili, gdy Henrik Thorvaldsen wszedł z podjazdu, powłócząc nogami. Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Henrik! Jak miło cię widzieć – powiedział na powitanie po angielsku.

Thorvaldsen odwzajemnił uśmiech, gdy dostrzegł gospodarza.

– Alfredzie, witaj. Nie zamierzałem przyjeżdżać, ale zdecydowałem, że muszę po prostu spotkać się ze wszystkimi.

Hermann zbliżył się i wymienili uścisk dłoni. Znał Thorvaldsena od czterdziestu lat. Duńczyk zmienił się nieznacznie. Zawsze podziwiał Thorvaldsena za jego emocjonalną powściągliwość, która sprawiała wrażenie wyuczonej i nienagannej, tak jakby nadzorował ją wyuczony na pamięć schemat. I ten pożądany dar. Ale Thorvaldsen był Żydem. Nie pobożnym czy ostentacyjnie się manifestującym, ale wciąż synem Izraela. Co gorsza, pozostawał w zażyłej przyjaźni z Cottonem Malone. Ponadto Hermann nie wątpił, że Thorvaldsen nie przybył na Walne Zgromadzenie po to, żeby udzielać się towarzysko.

– Jestem rad, widząc cię tutaj – oznajmił Hermann. – Mam z tobą do przegadania wiele spraw.

Podczas zgromadzeń często spędzali z sobą czas. Thorvaldsen był jednym z tych członków zakonu, którego bogactwo mogło równać się z fortuną Hermanna. Był blisko związany z większością rządów europejskich i miliardy euro, jakie posiadał, mówiły same za siebie.

W oczach Duńczyka pojawił się błysk.

– Umieram z ciekawości, żeby usłyszeć to wszystko.

– A kim jest ta osoba? – zapytał Hermann, wskazując na chłopca stojącego za Thorvaldsenem.

– To Gary Malone. Spędzi ze mną kilka tygodni, dopóki jego ojciec jest daleko. Postanowiłem zatem zabrać go z sobą.

„Fascynujące. Thorvaldsen go sprawdza”.

– Wspaniale. Jest tutaj jeszcze kilku młodych ludzi, którzy przyjechali wraz z członkami zakonu. Dopilnuję osobiście, żeby zapewniono im wszystkim godziwą rozrywkę.

– Wiedziałem, że tak uczynisz.

Steward wszedł z bagażami. Hermann skinął na niego i bagaże zostały zaniesione na drugie piętro. Już wcześniej wybrał sypialnię, w której zamieszka Thorvaldsen.

– Chodź, Henriku. Pójdziemy do mojego gabinetu, podczas gdy twoje bagaże zostaną umieszczone w pokoju. Margarete nie może się doczekać, kiedy wreszcie cię zobaczy.

– Ale Gary jest ze mną.

– Weź go z sobą. Nie będzie w niczym przeszkadzał.

Malone jadł śniadanie i próbował rozgryźć McColluma. Na dobrą sprawę chciał też wiedzieć, czy było to prawdziwe nazwisko tego człowieka.

– Zamierza mi pan wreszcie wyjawić, jaki ma pan interes w tym wszystkim? – zapytał McCollum. – Biblioteka Aleksandryjska nie jest dokładnie tym samym co święty Graal. Wielu jej szukało, ale zazwyczaj byli to fanatycy lub pomyleńcy. Pan natomiast nie wygląda ani na fanatyka, ani na obłąkanego.

– Pan też ich nie przypomina – odparła Pam. – Jaki pan ma w tym interes?

– Co się pani stało w bark?

– Czy ktoś mówił, że coś się stało?

McCollum zagarnął do ust spory kęs.

– Poruszała się pan tak, jakby miała pani złamany bark.

– Może jest złamany.

– W porządku, nie zamierza mi pani powiedzieć. – McCollum spojrzał badawczo na Malone’a. – Wykazujecie dużą nieufność wobec osoby, która uratowała wam tyłek.

– Ona zadała trafne pytanie. Jaki pan ma interes w odnalezieniu biblioteki?

– Powiedzmy, że jeśli znalazłbym coś ciekawego, są ludzie, którzy wynagrodziliby moje wysiłki na wiele wspaniałych sposobów. Osobiście jestem przekonany, że to strata czasu. Ale czasami się zastanawiam, dlaczego ludzie zabijają się nawzajem. Ktoś musi coś wiedzieć na ten temat.

Malone postanowił sypnąć do wody odrobinę zanęty.

– „Peregrynacje herosa”, o których pan wspomniał. Wiem coś na ten temat. Są to wskazówki prowadzące do biblioteki. – Zawiesił na chwilę głos. – Hipotetycznie.

– O tak, prowadzą. Niech mi pan wierzy. Inni już tam byli. Nigdy nie spotkałem ani nie rozmawiałem z żadnym z nich, ale słyszałem o ich doświadczeniach. „Peregrynacje herosa” są prawdziwe, tak samo jak prawdziwi są gwardianie.

Kolejne kluczowe słowo. Ten człowiek był nieźle poinformowany. Malone z powrotem skierował uwagę na ciepłą angielską bułeczkę, którą umoczył w dżemie śliwkowym.

– Co możemy zrobić dla siebie nawzajem?

– Może wytłumaczyłby mi pan, dlaczego pojechał do Bainbridge Hall?

– *Epifania Świętego Hieronima*.

– No, wreszcie coś nowego. Mógłby pan to bliżej wyjaśnić?

– Skąd pan pochodzi? – zapytał nagle Malone.

McCollum zachichotał.

– Ciągle mnie pan bada? W porządku, pobawię się razem z panem. Urodziłem się we wspaniałym stanie Kentucky. Louisville. A zanim zdąży pan zapytać... Nie, nie byłem w college’u. Zaciągnąłem się do armii. Służyłem w siłach specjalnych.

– Załóżmy, że to sprawdzę. Czy w bazie danych znajduje się rekrut Jimmy McCollum? Niech pan spojrzy prawdzie w oczy.

– Niechętnie to stwierdzam, ale jest tam mój paszport i akt urodzenia. Znajdzie pan tam również moje nazwisko. Swoje odsłużyłem. Przeniesienie

do rezerwy z honorami. Ale jakie to wszystko ma znaczenie? Wydaje mi się, że liczy się tylko tu i teraz.

– Jaki jest pański cel? – zapytał Malone.

– Mam nadzieję, że zyskam bardzo dużo, kiedy uda mi się odnaleźć bibliotekę. Ale wciąż nie wiem, jakie są pańskie motywy.

– Te „peregrynacje” mogą się okazać prawdziwym wyzwaniem.

– W końcu powiedział pan coś, co ma sens.

– Mam na myśli to, że są też inni, którzy szukają biblioteki.

– Niech mi pan powie coś, czego nie wiem.

– Może coś o Izraelczykach?

Wychwycił moment, w którym w bystrych oczach McColluma pojawiło się zakłopotanie. Później powróciła niezachwiana pewność siebie, wraz z uśmiechem.

– Uwielbiam wyzwania.

Czas wyciągnąć z niego jakieś informacje.

– Mamy *Epifanię Świętego Hieronima.*

– Założę się o dużą stawkę, że znacie znaczenie tego dzieła.

Malone przytaknął.

– Mam „peregrynacje herosa” – oznajmił McCollum.

Ta rewelacja przykuła uwagę Malone’a, zwłaszcza że George Haddad nie zostawił im żadnych szczegółów dotyczących tej podróży.

– Chcę wiedzieć – podjął McCollum – czy posiada pan powieść pióra Thomasa Bainbridge’a?

Pam w dalszym ciągu jadła, zajęta teraz owocami i jogurtem. Z pewnością znała pierwszą zasadę prawniczego rzemiosła – nigdy nie ujawniaj tego, co wiesz – Cotton jednak zdecydował, że jeśli ma coś otrzymać, będzie musiał coś dać.

– Posiadam – odparł. Po czym, chcąc zwieść słuchacza, dodał: – I nie tylko to.

Na twarzy McColluma pojawił się wyraz nieskrywanego zachwytu.

– Wiedziałem, że stawiam na właściwego konia, gdy postanowiłem ocalić wam skórę.

Hermann spoglądał, jak Thorvaldsen i jego podopieczny opuszczali jego gabinet. Margarete stała obok niego. Grzecznościowa wizyta trwała trzydzieści minut.

– Co o nich sądzisz? – zapytał córkę.

– Henrik jest taki jak zawsze. Bierze więcej niż sam z siebie daje.

– To już leży w jego naturze, podobnie jak i w mojej.

„I powinno być również w twojej” – pomyślał.

– Masz jakieś przeczucia?

Potrząsnęła przecząco głową.

– Nic, nawet w stosunku do chłopca? – zapytał.

– Wydaje się dobrze wychowany.

Zdecydował się powiedzieć jej coś, o czym nie wiedziała.

– Henrik jest częściowo wmieszany w przedsięwzięcie, którego realizację nadzoruje obecnie krąg. Sprawy, o których dyskutowaliśmy przy śniadaniu, mają kardynalne znaczenie.

– Biblioteka Aleksandryjska?

Przytaknął.

– Jeden z jego najbliższych współpracowników, człowiek nazwiskiem Cotton Malone, ma swój udział w tym, co się dzieje.

– Sabre prowadzi tę operację?

– Z niezłym skutkiem. Wszystko idzie tak, jak zaplanowaliśmy.

– Ten chłopak ma na nazwisko Malone. Czy on również jest w to wplątany?

– To syn Cottona Malone’a.

Na jej twarzy pojawiło się zdziwienie.

– Dlaczego znalazł się tutaj?

– Właściwie to sprytne posunięcie ze strony Henrika. Są tutaj członkowie zakonu, wszyscy więc musimy zachować nienaganne maniery. To może być najbezpieczniejsze miejsce dla nich dwóch. Oczywiście wypadki czasem się zdarzają.

– Skrzywdziłbyś chłopca?

Spojrzał na nią surowym wzrokiem.

– Zrobię wszystko, co jest konieczne, żeby ochronić nasze interesy. Ty także powinnaś postępować w ten sposób.

Nic nie odpowiedziała. Hermann dał jej chwilę do namysłu. W końcu się odezwała.

– Czy ten wypadek koniecznie musi się wydarzyć?

Odczuwał zadowolenie z tego, że zaczęła zdawać sobie sprawę z powagi całej sytuacji.

– To zależy od tego, co naszemu drogiemu Henrikowi chodzi po głowie.

– Skąd ma pan ten przydomek? – zapytał McCollum. – Cotton?

– Właściwie to całkiem... – zaczęła Pam.

Malone przerwał jej bez pardonu.

– Długo by opowiadać. Porozmawiamy o tym innym razem. W tym momencie chciałbym się dowiedzieć czegoś o „peregrynacjach herosa”.

– Zawsze jest pan taki drażliwy, gdy mówi się o tym przydomku?

– To, co mnie drażni, to marnowanie czasu.

McCollum kończył jeść owoce z talerza. Malone zwrócił uwagę, że ten mężczyzna zdrowo się odżywia. Owsianka, truskawki, jaja i sok.

– W porządku, Malone. Jestem w posiadaniu „peregrynacji”. Zdobyłem je od osoby zaproszonej, która zginęła, zanim wyruszyła w podróż.

– Pańska robota?

– Nie tym razem. Śmierć z przyczyn naturalnych. Odnalazłem tę osobę i wykradłem jej „peregrynacje”. Nie pytajcie mnie kto to, ponieważ i tak wam nie powiem. Mam pewne przypuszczenia.

– Ma pan pewność, że dokument jest autentyczny?

McCollum zachichotał.

– W moim fachu nigdy się tego nie wie, dopóki się go nie dostanie. Zamierzam jednak podjąć ryzyko.

– Czego tak naprawdę pan pragnie? – zapytała Pam, która przez resztę śniadania nie odezwała się nawet słowem. – Oczywiście wie pan znacznie więcej od nas. Dlaczego marnuje pan czas, siedząc tu z nami?

– Mówiąc szczerze, mam problem. Przez ostatnie kilka tygodni zmagałem się z „peregrynacjami”. To łamigłówka. Taka, której nie potrafię rozwiązać. Pomyślałem, że wy dwoje możecie mi pomóc. W zamian jestem gotów podzielić się z wami moją wiedzą.

– I jest pan gotów strzelić w głowę dwóm osobom? – skomentował Malone.

– Oni postąpiliby tak samo w stosunku do was. Przy okazji, być może powinniście dać sobie z tym spokój. Ale kto chciałby was sprzątnąć?

„Doskonałe pytanie” – pomyślał Malone. Nikt nie podążał za nimi z Londynu, czego był pewien. Wydawało się bez sensu, że zabójcy czekali na nich w Bainbridge Hall. Zaledwie kilka godzin wcześniej zdecydował się odwiedzić to miejsce.

– Te „peregrynacje” – powiedział McCollum – są znacznie bardziej złożone niż wydawało mi się na początku. Teraz mówi mi pan, że są w to wmieszani także Żydzi.

– Mój przyjaciel został wczoraj zamordowany, co powinno zakończyć zainteresowanie Izraela.

– Ten przyjaciel wiedział coś o bibliotece?

– To właśnie był powód, dla którego go zabili.

– Nie on pierwszy tak skończył.

Malone musiał się czegoś dowiedzieć.

– Przypuszczam, że zamierza pan rozpuścić pogłoski wśród handlarzy starodrukami o odnalezieniu manuskryptów?

McCollum wzruszył ramionami.

– Chcę sobie wynagrodzić wszelkie trudności. Przeszkadza to panu?

– Jeżeli manuskrypty wciąż istnieją, należy je zabezpieczyć i rzetelnie przestudiować.

– Nie jestem zachłanny, Malone. Z pewnością podczas poszukiwań odnajdzie się kilka zwojów, które sprzedałbym jako rekompensatę za osobistą fatygę. – McCollum przerwał na moment. – Łącznie z wynagrodzeniem za znalezisko, ma się rozumieć. To wszystko samo w sobie będzie sporo warte.

– Sława i fortuna – podsumowała Pam.

– Nieśmiertelna sława – podchwycił McCollum. – Jedno i drugie ma zadowalające aspekty.

Usłyszał już dostatecznie dużo.

– Niech nam pan da wskazówkę.

McCollum usiadł przed nimi, powściągliwy niczym bóstwo, przebiegły jak demon. Prześwietlał ich wzrokiem. Zbyt łatwo przychodziło mu mordowanie ludzi. Malone uznał jednak, że jeśli był w posiadaniu „peregrynacji herosa”, mógł się okazać jedynym tropem, który pozwoli im podążyć dalej.

McCollum sięgnął do kieszeni i wyjął kartkę wielkości fiszki.

– Oto jest początek.

Malone wziął kartonik i zaczął czytać.

Jak dziwne są manuskrypty, wielki podróżniku przez nieznane. Pojawiają się osobno, lecz wydają się jednością dla tych, którzy wiedzą, że wszystkie kolory tęczy łączą się w jedno białe światło. Jak odnaleźć pojedynczy promień, to tajemnica, lecz odwiedź kaplicę nieopodal rzeki Tag, w Betlejem, poświęconą naszemu świętemu patronowi.

– A gdzie jest reszta? – zapytał.

McCollum zdusił śmiech.

– Niech pan rozwiąże tę część łamigłówki, to się potem zobaczy. Krok po kroku.

Malone wstał.

– Dokąd pan idzie? – zapytał McCollum.

– Zarobić na swoje utrzymanie.

CZTERDZIEŚCI TRZY

WASZYNGTON
GODZINA 5.30

Stephanie przeżyła już wiele, ale jeszcze nigdy nie była aresztowana. Larry Daley podbijał stawkę.

– Musimy teraz zaatakować Daleya – dała jasno do zrozumienia.

Ona, Green i Cassiopeia stali w kuchni Greena, parząc kawę. Aromat unoszący się z ekspresu uświadomił jej, że jest głodna.

– Co ci chodzi po głowie? – zapytała Cassiopeia.

W ciągu trzynastu lat ani razu nie naraziła biura Magellan Billet na zdekonspirowanie. Złożoną przysięgę wzięła sobie do serca. Otchłań wątpliwości sprawiła jednak, że nie była pewna, jaki powinien być jej następny ruch. W końcu zdecydowała, że pozostała tylko jedna możliwość.

– Śledziliśmy Daleya – wyjawiła.

Na twarzy Greena zawitał wyraz powagi.

– Wytłumacz to.

– Chciałam wiedzieć, co tego faceta wprawia w ruch, dlatego wyznaczyłam agenta, który miał to wykryć. Dziewczyna rozpracowywała go na różne sposoby, niemal przez cały rok. Dowiedziałam się wiele.

– Nie przestajesz mnie zadziwiać, Stephanie. Czy zdajesz sobie sprawę, co mogło się stać, gdyby on to odkrył?

– Zapewne wyrzucono by mnie z pracy, ale jakie to ma dziś znaczenie?

– On usiłuje cię zabić. Być może wie o twoich poczynaniach.

– Wątpię w to. Dziewczyna była dobra. Daley ma jednak oczy dokoła głowy, kiedy wpada w tarapaty. Mówiłeś wcześniej, że nigdy nie dostrzegłeś w działaniach rządu łamania prawa. Ja natomiast widziałam. Wiele razy. Finansowanie wyborczych kampanii, wręczanie łapówek, oszustwa wszelkiej maści. Daley jest dojną krową dla ludzi, którzy nie chcą, żeby ich nazwiska zostały ujawniane.

– Dlaczego nie skierowałaś przeciw niemu zarzutów?

– Miałam taki zamiar, ale wtedy pojawił się ten przeciek. Wszystko musiało poczekać.

– A teraz, gdy on przejął kierowanie biurem Magellan Billet, odkryje, co zrobiłaś? – zapytała Cassiopeia.

Pokręciła przecząco głową.

– Wszystkie informacje są odpowiednio zabezpieczone. Agentka, która prowadziła to śledztwo, została oddelegowana z Magellan Billet kilka miesięcy temu. Nikt inny poza mną i nią nie ma o tym pojęcia.

Green nalał kawę do dwóch kubków.

– Co masz zamiar zrobić?

– Ponieważ mam tutaj przyjaciela, który ma wiele różnorodnych zdolności, pomyślałam sobie, że dokończymy śledztwo.

– Nie podoba mi się to – skomentowała Cassiopeia.

– Moje panie, dodajcie sobie do kawy, co wam się podoba.

– Ty nie pijesz? – zapytała Stephanie.

– Nigdy nie piję.

– To do czego jest ci potrzebny ekspres do kawy?

– Miewam gości – odparł, po czym zamilkł na chwilę. – Od czasu do czasu.

Solidność Greena i jego męska rzetelność sprawiły, że przez moment emanowała z niego chłopięca szczerość. I to jej się podobało.

– Ktoś, kogo bym znała? – zapytała.

Green się uśmiechnął.

– Jesteś pełen niespodzianek – dodała.

– Zupełnie jak ktoś inny, kogo wszyscy znamy – wtrąciła Cassiopeia, popijając kawę.

Green przytaknął. Wydawało się, że zmiana tematu mu pasowała.

– Henrik jest fascynującym człowiekiem. Zawsze krok do przodu. Co jednak z tobą, Stephanie? Co miałaś na myśli, mówiąc o dokończeniu śledztwa?

Rozkoszowała się aromatem wydobywającym się z kubka i pozwoliła, żeby łyk kawy rozgrzał jej gardło.

– Musimy złożyć mu wizytę w domu.

– Dlaczego? – zapytała Cassiopeia. – Nawet jeśli uda się nam dostać do środka, jego komputer z pewnością jest zabezpieczony hasłem.

Uśmiechnęła się.

– To żaden problem.

Green świdrował Stephanie ciekawskim spojrzeniem. Nie był już w stanie dłużej ukryć zdumienia.

– Nie potrzebujesz hasła, prawda?

Pokiwała głową, przytakując.

– Czas przygwoździć tego sukinsyna – oświadczyła.

Malone wszedł do centrum biznesowego hotelu Savoy. Obszerne pomieszczenie było wyposażone w komputery, faksy i kopiarki. Powiedział administratorowi, czego potrzebuje, po czym został szybko zaprowadzony do komputera. Rachunkiem obciążono McColluma.

Siadał, gdy nadeszła Pam.

– Mogę? – zapytała.

Zdecydował się jej ustąpić. Gdy wychodzili z restauracji, zauważył, że ona już wie, co on zamierza zrobić.

– Dlaczego nie? Dasz sobie radę.

Dał jej fiszkę z początkiem „peregrynacji”, następnie zwrócił się do McColluma.

– Powiedział pan, że zdobył to niedawno?

– Nie. Nie wspominałem nic o czasie. Niezła próba, Malone.

– Muszę wiedzieć. To bardzo ważne. W ciągu kilku ostatnich miesięcy?

McCollum zawahał się, potem skinął głową.

Malone myślał.

– Z tego co wiem, gwardianie od wieków zapraszali ludzi do biblioteki. Zatem tropy musiały się zmieniać. Dostosowywali „peregrynacje” do swoich czasów. Założę się, że dopasowywali również wskazówki pod konkretne zapraszane osoby. Dlaczego nie? Indywidualizowali „peregrynacje”. Zadawali sobie tyle trudu przy wszystkich innych rzeczach. Dlaczegoż więc nie mieli tego robić?

McCollum przytaknął.

– To ma sens.

Pam stukała w klawiaturę.

– Pierwsza część wydaje się pozbawiona sensu – powiedział Malone. – *Jak dziwne są manuskrypty, wielki podróżniku przez nieznane. Pojawiają się osobno, lecz wydają się jednością dla tych, którzy wiedzą, że wszystkie kolory tęczy łączą się w jedno białe światło. Jak odnaleźć pojedynczy promień*. Moim zdaniem to po prostu sposób na przekazanie, że istnieje wiele informacji. Ale następna część: *To tajemnica, lecz odwiedź kaplicę nieopodal rzeki Tag, w Betlejem, poświęconą naszemu świętemu patronowi*, to już konkretny trop. Od tego powinniśmy zacząć.

– Zrozumiałam – oznajmiła Pam.

Uśmiechnął się. Wciąż była przed nim, co mu się podobało.

– Poszukałam informacji na temat Tag i Betlejem.

– Czy nie byłoby to zbyt łatwe? – powątpiewał McCollum.

– Gwardianie z pewnością nadążają za postępem tego świata. Istnieje przecież Internet, nie ma więc powodu, żeby, ich zdaniem, osoba zaproszona nie korzystała ze światowej pajęczyny.

Spojrzał na ekran. Witryna internetowa, którą odnalazła Pam, była stroną sporządzoną po portugalsku. Zawierała informacje o tematyce podróżniczej i turystycznej, z opisem lokalnych atrakcji w samej Lizbonie i jej okolicach.

– Belém – powiedziała Pam. – Tuż obok śródmieścia, gdzie rzeka Tag spotyka się z morzem. *Belém* to po portugalsku „Betlejem”.

Przeczytał informacje o skrawku ziemi położonym na południowy zachód od centrum Lizbony. O miejscu, gdzie portugalskie karawele wieki temu wyruszały w podróż do Nowego Świata. Da Gama do Indii. Magellan, żeby opłynąć dookoła ziemski glob, Dias, by okrążyć Przylądek Dobrej Nadziei. Belém zaczęło bujnie rozkwitać dzięki bogactwom, głównie przyprawom, które napływały do kraju z Nowego Świata. Król Portugalii wybudował w tym miejscu letni pałac, a bogaci obywatele zaczęli się osiedlać wokół monarszej rezydencji. Kiedyś było to samodzielne miasto, dziś magnes przyciągający turystów, z radością i frajdą zaglądających do tamtejszych sklepów i kawiarni oraz zwiedzających miejscowe muzea.

– Henryk Żeglarz jest powiązany z tym miejscem – poinformowała Pam.

– Sprawdźmy to – zasugerował. – We fragmencie jest mowa o „kaplicy poświęconej naszemu świętemu patronowi”.

Kilka kliknięć myszą i Pam wskazała na ekran.

– Masz to przed sobą.

Ekran zapełniło zdjęcie gigantycznego gmachu. Misternie wykończone iglice wzbijały się w kierunku pochmurnego nieba. Było to połączenie architektury gotyckiej ze stylem renesansowym oraz wyraźnymi wpływami mauretańskimi.

– Klasztor Santa Maria de Belém – wyczytał z ekranu.

Pam zjechała w dół strony i przeczytała, że jest to jeden z najbardziej rozpoznawalnych zabytków architektury w Portugalii, częstokroć określany nazwą klasztoru Hieronimitów. Wiele wybitnych postaci w historii tego kraju, wliczając w to królów i królowe, zostało pochowanych w ulokowanych tu grobowcach.

– Dlaczego to się pojawiło? – skierował pytanie do Pam.

Kliknęła odnośnik.

– Wpisałam kilka kluczowych słów i wyszukiwarka wskazała właśnie to. W 1498 roku, gdy Vasco da Gama powrócił z wyprawy po odkryciu morskiej drogi do Indii, portugalski król przyznał fundusze na wybudowanie klasztoru. Zakon św. Hieronima przejął to miejsce na własność w tysiąc pięćsetnym roku, a kamień węgielny został położony szóstego stycznia tysiąc pięćset pierwszego roku.

Od dzieciństwa znał znaczenie tej daty w kalendarzu. Matka była katoliczką i wszyscy uczęszczali regularnie do kościoła, szczególnie po śmierci ojca. Dzień 6 stycznia. Święto Trzech Króli, dzień Objawienia Pańskiego.

Co Haddad zapisał w swoim dzienniku?

Wielkie peregrynacje często rozpoczynają się od epifanii, czyli objawienia.

– Główna kaplica w klasztorze – znów informowała Pam – została ostatecznie poświęcona świętemu Hieronimowi. Cotton, przypominasz sobie, co Haddad o nim powiedział?

Pamiętał. Jeden z wczesnych Ojców Kościoła, którego żywot przypadł na czwarty wiek, przetłumaczył wiele biblijnych tekstów na łacinę, przede wszystkim zaś Stary Testament.

– Tu jest link do kolejnych informacji o Hieronimie – powiedziała Pam i widok na ekranie zmienił się za jednym kliknięciem myszy.

Czytali wszyscy troje. Malone pierwszy coś zauważył.

– On jest patronem bibliotekarzy. Wygląda na to, że „peregrynacje” rozpoczynają się w Lizbonie.

– Nieźle, Malone.

– Zarabiamy na swoje utrzymanie?

– Jak już przyznałem, jestem kiepski w rozwiązywaniu łamigłówek. Wy dwoje wydajecie się w tym całkiem dobrzy. Ale reszta jest trudniejsza.

Uśmiechnął się szeroko.

– Co pan na to, żebyśmy wzięli się za to razem i przekonali się, dokąd nas to doprowadzi?

CZTERDZIEŚCI CZTERY

WIEDEŃ
GODZINA 13.00

Thorvaldsen wyszedł z łazienki i spojrzał na Gary'ego, który rozpakowywał bagaż. Oprócz tego, w co był ubrany kilka dni wcześniej, gdy został porwany, nie miał innych ubrań. Toteż poprzedniego dnia Jesper pojechał do Kopenhagi na zakupy i przywiózł chłopcu spory zapas garderoby.

– Ta rezydencja jest wiekowa, prawda? – zapytał Gary.

– Wybudowano ją wiele pokoleń temu, podobnie zresztą jak Christiangade.

– W Europie roi się od zabytkowych budowli. Inaczej niż w Ameryce.

Uśmiechnął się szeroko.

– Zamieszkujemy tutaj odrobinę dłużej.

– Wspaniała komnata.

Jemu również pomieszczenie wydawało się interesujące. Na drugim piętrze. W pobliżu pokoju gospodarza. Następne drzwi. Wykwintna komnata z meblami w kobiecym stylu, która z pewnością kiedyś należała do damy z wyszukanym gustem.

– Lubisz historię? – zapytał chłopca.

Gary wzruszył ramionami.

– Zacząłem się interesować dopiero przed dwoma laty, na wakacjach. To jest bardziej interesujące, jeśli widzi się historię.

Henrik uznał, że przyszedł odpowiedni moment, żeby powiedzieć chłopcu, jak naprawdę wygląda jego sytuacja.

– Co sądzisz o naszym gospodarzu i jego córce?

– Niezbyt mili. Ale sprawiają wrażenie, jakby darzyli ciebie sympatią.

– Znam Alfreda wiele lat, ale obawiam się, że on coś knuje.

Gary usiadł na łóżku.

– Myślę, że to on mógł stać za twoim porwaniem.

Obserwował, jak chłopiec powoli zaczyna zdawać sobie sprawę z ich kłopotliwego położenia.

– Jesteś pewien?

Pokręcił przecząco głową.

– Dlatego tutaj jesteśmy. Po to, żeby się tego dowiedzieć.

– Ja również chciałbym to wiedzieć. Ci ludzie bardzo nastraszyli moją mamę, a to mi się nie podoba.

– Boisz się?

– Nie przyprowadziłbyś mnie tutaj, gdybym był w niebezpieczeństwie.

Podobała mu się ta odpowiedź. Chłopiec był bystry.

– Na twoich oczach zginęło dwóch ludzi. Niewielu piętnastolatków może się tym pochwalić. Radzisz sobie z tym?

– Ten, którego zastrzelił tato, zasłużył sobie na to. Próbował mnie zabrać. Tato zrobił to, co musiał. A ty co zamierzasz zrobić?

– Nie jestem pewien. Ale mnóstwo osób dotrze tutaj w ciągu najbliższych kilku dni. To potężni i wpływowi ludzie. Od nich będę w stanie dowiedzieć się tego, co potrzebujemy wiedzieć.

– To jest klub czy coś w tym rodzaju?

– Można tak powiedzieć. Są to ludzie o podobnych dążeniach, którzy zebrali się po to, żeby omówić te dążenia.

Z nocnego stolika dobiegł dzwonek komórki. Podszedł i spojrzał na wyświetlony numer. Wcisnął przycisk TALK.

– Przed chwilą zadzwonili. Z Tel Awiwu.

– Za wszelką cenę posłuchajmy więc, co mają do powiedzenia.

Kilka sekund później, po nawiązaniu połączenia, usłyszał głęboki baryton.

– Henriku, w co ty się wplątałeś?

– Co masz na myśli?

– Nie udawaj niewiniątka. Gdy zatelefonowałeś wczoraj, miałem podejrzenia, ale teraz to już kompletna paranoja.

Thorvaldsen odbył wczoraj rozmowę z kancelarią izraelskiego premiera. Ponieważ przekazywał milionowe dotacje, wspierając żydowskie interesy, i finansował wielu polityków izraelskich, włączając w to obecnego premiera, jego telefon nigdy nie został zignorowany. Zadał jedno, proste pytanie: „Dlaczego Izraelczycy interesują się Haddadem?”. Celowo nie

rozmawiał bezpośrednio z premierem, kierując pytanie do szefa kancelarii, który teraz, jak zauważył, nie emanował pewnością siebie.

– Czy znalazłeś odpowiedzi na moje pytanie? – zapytał prosto z mostu.

– Ludzie z Mosadu powiedzieli nam, żebyśmy pilnowali własnych interesów.

– Czy to tak rozmawiają z osobami u władzy?

– Dzieje się tak, kiedy chcą, żebyśmy pilnowali swoich interesów.

– Nie udzielisz mi więc żadnej odpowiedzi?

– Tego nie powiedziałem. Oni chcą śmierci George'a Haddada oraz chcą zatrzymać Cottona Malone'a. Wygląda bowiem na to, że Cotton Malone wraz z byłą żoną są obecnie w drodze do Lizbony. I to po tym, jak zeszłej nocy w muzeum na zachód od Londynu zamordowano cztery osoby. Interesujący jest fakt, że Brytyjczycy wiedzą, że Malone był zamieszany w te zbrodnie, ale nie chcą go tknąć. Pozwolili mu bez problemu wyjechać z kraju. Nasza strona twierdzi, że stało się tak za sprawą Amerykanów, którzy dali zielone światło i wolną rękę. Ich zdaniem Ameryka znów miesza się w nasze sprawy, przynajmniej jeśli chodzi o George'a Haddada.

– Skąd twoi ludzie o tym wiedzą?

– Mają bezpośrednią wtyczkę blisko Malone'a. Wiedzą dokładnie, gdzie jest i co robi. W dodatku od dłuższego czasu przewidują jego kroki.

– Można odnieść wrażenie, że zdarzenia nabierają tempa.

– Ujmując rzecz najoględniej. Premier i ja doceniamy twoją przyjaźń. Jesteś przyjacielem tego kraju. Dlatego oddzwoniliśmy do ciebie. Mosad zamierza pozbyć się Malone'a. Agenci są już w drodze do Lizbony. Jeżeli możesz go ostrzec, zrób to.

– Chciałbym mieć taką możliwość, ale nie mam.

– W takim razie niech Bóg ma go w swojej opiece. Będzie jej potrzebował.

Połączenie zostało przerwane.

Nacisnął przycisk END.

– Jakiś problem? – zapytał Gary.

Zapanował nad sobą.

– Tylko mało ważna sprawa dotycząca jednej z moich firm. Wiesz, wciąż muszę prowadzić interesy.

Wyglądało na to, że chłopiec zaaprobował to wytłumaczenie.

– Mówiłeś, że jesteśmy tutaj z powodu jakiegoś klubu, ale nigdy nie wyjaśniłeś mi, co to ma wspólnego ze mną.

– Rzeczywiście, znakomite pytanie. Pozwól, że wyjaśnię ci to podczas spaceru. Chodź, oprowadzę cię po posiadłości.

Alfred Hermann usłyszał, jak drzwi od pokoju Henrika Thorvaldsena się zamknęły. Urządzenie podsłuchowe zainstalowane w komnacie sypialnej działało doskonale. Margarete usiadła naprzeciw niego, gdy wyłączał głośnik.

– Ten Duńczyk stanowi problem – oznajmiła.

Uświadomienie sobie tego faktu zabrało jej dość dużo czasu. Thorvaldsen zjawił się tu, chcąc wysondować sprawę, lecz Hermanna bardziej zaciekawiła ta telefoniczna rozmowa. Jego stary przyjaciel powiedział niewiele, za mało, żeby można było wskazać na jej charakter. Wątpił też, że miało to cokolwiek wspólnego z interesami.

– Czy on ma rację? – zapytała Margarete. – Uprowadziłeś chłopca?

Pozwolił jej słuchać nie bez powodu, pokiwał więc głową, przytakując.

– Była to część naszego planu. Ale też pozwoliliśmy, żeby został przy życiu. W tym momencie Dominick zbiera owoce tego, co zasadziliśmy.

– Masz na myśli bibliotekę?

Potwierdził.

– Wydaje nam się, że wpadliśmy na trop.

– I zamierzacie powierzyć Dominickowi te informacje?

– Jest naszym emisariuszem.

Pokręciła głową z dezaprobatą.

– Ojcze, przecież on jest chciwym oportunistą. Powtarzam ci to od lat.

Hermann czuł, jak wyczerpują się w nim pokłady cierpliwości.

– Nie po to dopuściłem cię do wiedzy o tym, co się tu dzieje, żebyś się ze mną spierała. Potrzebuję twojej pomocy.

Zorientował się, że ona wychwyciła napięcie w jego głosie.

– Oczywiście. Nie zamierzałam przekroczyć granicy.

– Margarete, świat jest skomplikowany. Musisz wykorzystać wszelkie dostępne źródła. Skup się. Pomóż mi zmierzyć się z tym, co przed nami, i pozwól Dominickowi zająć się tym, co do niego należy.

Wzięła głęboki wdech, po czym powoli wypuszczała powietrze przez zaciśnięte zęby. Był to rutynowy odruch, za każdym razem, kiedy ogarniało ją zdenerwowanie.

– Co mam twoim zdaniem zrobić?

– Pokręć się po okolicy. I natknij się przypadkiem na Henrika. Sądzi, że jest tu bezpieczny. Spraw, żeby dalej tak się czuł.

CZTERDZIEŚCI PIĘĆ

WASZYNGTON
GODZINA 10.30

Stephanie nie spodobał się nowy wygląd. Jej srebrnoblond włosy miały teraz jasny odcień kasztanowy dzięki szybkiemu farbowaniu wykonanemu przez Cassiopeię. Zupełnie odmienny makijaż, nowe ciuchy i para przezroczystych okularów dopełniły przemianę. Nie idealnie, ale wystarczająco, żeby ukryć się w tłumie.

– Od dłuższego czasu nie nosiłam już spodni z wełny geraldine – przyznała się przed Cassiopeią.

– Sporo zapłaciłam za te spodnie, uważaj więc na nie.

Stephanie uśmiechnęła się szeroko.

– Tak, jakby nie było cię na nie stać.

Bluzka z wycięciem pod szyją i żeglarska marynarka zaokrąglały jej sylwetkę. Siedziała razem z Cassiopeią z tyłu taksówki, która przeciskała się przez ulice zatłoczone popołudniowym szczytem.

– Ledwie cię poznaję – skomentowała Cassiopeia.

– Masz na myśli to, że ubieram się jak staruszka?

– Twojej szafie przydałoby się niewielkie odświeżenie.

– Może, jeśli wyjdę z tego cało, zaprowadzisz mnie na małe zakupy.

W oczach Cassiopei rozbłysły wesołe iskierki. Stephanie lubiła tę kobietę. Jej pewność siebie potrafiła być zaraźliwa.

Zmierzały do domu Larry’ego Daleya. Mieszkał w Cleveland Park, w bardzo ładnej okolicy, niedaleko katedry narodowej. Kiedyś było to miejsce letniej ucieczki mieszkańców Waszyngtonu, którzy poszukiwali schronienia przed żarem miasta. Obecnie mieściły się tutaj sklepy z osobliwościami, modne restauracje oraz popularny teatr w stylu art déco.

Stephanie powiedziała kierowcy, żeby się zatrzymał. Były trzy przecznice przed docelowym adresem. Zapłaciła za kurs. Pozostałą część drogi pokonały piechotą.

– Daley to arogancki dupek – ulżyła sobie Stephanie. – Jest przekonany, że nikt nie patrzy mu na ręce. Ale przechowuje rejestry. Niepojęta głupota, jeśli chcesz poznać moją opinię, ale on wciąż to robi.

– Jak ci się udało do niego zbliżyć?

– Leci na panienki. Po prostu podsunęłam mu okazję.

– Intymne zwierzenia w łóżku.

– Najgorsze z możliwych.

Dom był jedną z dawnych wiktoriańskich budowli. Początkowo Stephanie się zastanawiała, jakim cudem Daley mógł sobie pozwolić na tak astronomiczną hipotekę, później się jednak dowiedziała, że budynek był tylko wynajmowany. Nalepka na jednym z okien na parterze oznajmiała, że posiadłość jest chroniona alarmem. Był środek dnia, Daley powinien się więc znajdować w Białym Domu, gdzie z reguły spędzał co najmniej osiemnaście godzin. Konserwatywna prasa uwielbiała wychwalać jego etykę zawodową, ale Stephanie nie dała się nabrać. On po prostu nie chciał ani na moment wypaść z obiegu.

– Wyświadcz mi przysługę – powiedziała.

Na twarzy Cassiopei pojawił się uśmiech przebiegłości.

– Chcesz, abym się włamała?

– Wtedy będę mogła zająć się alarmem.

Sabre dostosowywał się do osobowości Jamesa McColluma. Imię samo w sobie stanowiło odrębną kwestię. Nie używał go już od dłuższego czasu, lecz podanie się za Jimmiego uznał za rozważne, zakładając, że Malone zechce sprawdzić go dokładnie. Jeśli tak, jego dane znajdują się w wojskowych bazach danych. Był tam akt urodzenia, polisa ubezpieczeniowa i niewiele więcej, ponieważ zmienił nazwisko, kiedy przenosił się do Europy. Dominick Sabre kryło w sobie nutę pewności siebie i tajemniczości. Ludzie, którzy go wynajęli, znali tylko jego nazwisko, dlatego było to tak ważne, żeby ta etykieta kusiła i wabiła z odpowiednią mocą.

Znów był Jamesem McCollumem.

Matka dała mu imię James po swoim ojcu, którego nazywał Dużym Tatuśkiem – był to jeden z niewielu mężczyzn w jego życiu, który okazywał mu respekt. Nigdy nie poznał własnego ojca. Nie wierzył nawet w to, że matka byłaby w stanie wskazać tego jednego kochanka spośród wielu, któremu można byłoby przypisać zasługę poczęcia Jimmiego. Chociaż była dobrą matką i traktowała go z ogromną czułością, to jednak miała ponury charakter, przechodziła z ramion jednego mężczyzny w ramiona drugiego, trzykrotnie wychodząc za mąż i roztrwaniając odziedziczone po rodzinie pieniądze. Sabre w wieku osiemnastu lat opuścił dom, żeby zaciągnąć się do armii. Matka zawsze pragnęła, by poszedł do college'u, studia akademickie jednak znajdywały się poza sferą jego zainteresowań. Natomiast, podobnie jak w wypadku jego matki, okazja była tym, co go pociągało.

W przeciwieństwie do niej potrafił wykorzystać każdą sposobność, jaka nawinęła mu się pod rękę.

Armia. Jednostki specjalne. Europa. Krzesła.

Od szesnastu lat pracował dla innych, wykonując ich polecenia, akceptując ich warunki, zadowalając się skromną pochwałą z ich strony.

Nadeszła wreszcie pora, żeby zaczął pracować sam dla siebie.

Ryzykowne? Z pewnością.

Jednakże krąg respektował moc, podziwiał spryt i negocjował wyłącznie z silnymi ludźmi. Chciał zostać członkiem zakonu. Być może nawet Krzesłem. Co więcej, jeżeli zaginiona Biblioteka Aleksandryjska zawierała to, o czym był przekonany Alfred Hermann, on sam, Sabre, mógłby wpływać na dzieje tego świata.

To oznaczało władzę.

Skupioną w jego rękach.

Musiał odnaleźć bibliotekę.

Mężczyzna, który siedział po drugiej stronie samolotu linii TAP, lecącego na trasie z Londynu do Lizbony, miał wytyczyć drogę.

Cotton Malone i jego była żona rozwiązali pierwszą część „peregrynacji herosa" w zaledwie kilka minut. Był pewien, że są w stanie rozwiązać i resztę, a gdy to się stanie, wyeliminuje ich oboje.

Nie był jednak głupcem. Malone z pewnością będzie czujny i przezorny.

Po prostu musiał działać w sposób nieprzewidywalny.

Stephanie przyglądała się, jak Cassiopeia pokonywała tylne drzwi posiadłości Larry’ego Daleya.

– Mniej niż minuta – powiedziała. – Nieźle. Uczyli cię tego w Oxfordzie?

– Zabawne, ale nauczyłam się włamywać właśnie tam. Do barku z alkoholem, o ile dobrze pamiętam.

Otworzyła drzwi i nasłuchiwała.

Brzęczenie dobiegało z przyległego hallu. Stephanie sięgnęła do klawiatury i wcisnęła czterocyfrowy kod, mając nadzieję, że ten głupiec nie zmienił sekwencji cyfr.

Brzęczenie ustało i lampka wskaźnika zmieniła się z czerwonej na zieloną.

– Skąd znałaś kod?

– Moja dziewczyna podpatrzyła, jak go wklepywał.

Cassiopeia pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Czy on jest naprawdę aż tak skończonym idiotą?

– Nazywa się to myśleniem nie głową, lecz główką. Był przekonany, że ona przychodzi tutaj tylko po to, żeby zrobić mu dobrze.

Rozglądała się badawczo po oświetlonym słońcem wnętrzu udekorowanym w nowoczesnym stylu. Dużo czerni, srebra, bieli i szarości. Na ścianach wisiały abstrakcyjne obrazy. Nigdzie żadnego charakteru. Żadnych uczuć ani emocji. Jakże trafne.

– Czego szukamy? – zapytała Cassiopeia.

– Tędy.

Podążała krótkim korytarzem wiodącym do alkowy, która jak wiedziała służyła jako gabinet. Jej agentka dowiedziała się, że Daley przechowywał wszystkie dane na zabezpieczonych hasłem przenośnych pamięciach, nigdy zaś na osobistym laptopie ani na komputerze w Białym Domu. Agentka, którą wynajęła, żeby ta uwiodła Daleya, zauważyła ten sposób

postępowania pewnego wieczoru, gdy Daley pracował przy komputerze, a ona przy nim.

Wtajemniczyła Cassiopeię w to, co wiedziała.

– Jednakże, na nieszczęście, nie zauważyła, gdzie jest miejsce, w którym chowa przenośne pamięci.

– Była zbyt zajęta?

Uśmiechnęła się.

– Wszyscy mamy jakiś zawód. I nie lekceważ tego. Prostytutki są jednym z najbardziej produktywnych źródeł informacji.

– I ty mówisz, że to ja jestem zakręcona.

– Musimy odnaleźć miejsce, w którym je schował.

Cassiopeia usiadła z impetem na drewnianym krześle biurowym, które odpowiedziało skrzypieniem i zgrzytaniem na jej niewielki ciężar.

– To powinno być gdzieś pod ręką.

Stephanie zbadała wnękę. Na biurku znajdowała się kartonowa podkładka, pojemnik na długopisy, fotografie Daleya z prezydentem i wiceprezydentem oraz lampka biurkowa. Wąskie półki, ciągnące się od podłogi po sufit, zajmowały dwie ogromne ściany. Podłoga w alkowie, podobnie jak w pozostałej części domu, była wykonana z twardego drewna.

Niewiele miejsc nadających się na kryjówkę.

Książki na półkach przyciągnęły uwagę Stephanie. Można było odnieść wrażenie, że Daley uwielbiał traktaty polityczne. Było ich około stu, część w twardej, a część w miękkiej oprawie, na wielu okładkach były ślady częstego używania, co wskazywało, że te konkretne publikacje były najchętniej czytane. Potrząsnęła głową ze zdziwieniem.

– Znawca współczesnej polityki, a czyta co popadnie.

– Skąd się bierze w twoim tonie takie złe nastawienie do niego?

– Po prostu po każdym spotkaniu z nim czuję potrzebę zmycia z siebie brudu, jaki go otacza. Nie wspominając o tym, że próbował mnie zwolnić już od pierwszego dnia – przerwała na chwilę. – Do czego w końcu udało mu się doprowadzić.

Od strony frontowych drzwi dobiegł dźwięk klucza przekręcanego w zamku.

Stephanie odwróciła głowę. Spojrzała w głąb korytarza ku frontowej stronie domu.

Drzwi się otworzyły i usłyszała głos Larry’ego Daleya. Wtedy też dobiegł do niej głos innej osoby. Kobiety.

Heather Dixon.

Dała znak gestem i przeszły przez hall do jednej z sypialń.

– Pozwól, że zajmę się alarmem – odezwał się Daley.

Nastąpiło kilka sekund ciszy.

– To dziwne – mruknął Daley.

– Jakiś problem?

Stephanie od razu wiedziała, o co chodzi. Zapomniała zresetować system alarmowy po tym, jak się włamały.

– Jestem pewien, że nastawiłem alarm, zanim stąd wyszedłem – wyjaśnił Daley.

Przez kilka chwil panowała cisza, następnie Stephanie usłyszała metaliczny szczęk naboju wsuwanego do komory pistoletu.

– Rozejrzyjmy się – zasugerowała Dixon.

CZTERDZIEŚCI SZEŚĆ

LIZBONA
GODZINA 15.30

Malone spoglądał na klasztor i kościół Santa Maria de Belém. On, Pam i Jimmy McCollum polecieli z Londynu do Lizbony, po czym pojechali taksówką z lotniska na nabrzeże.

Lizbona siedziała okrakiem na szerokiej serpentynie pagórków, które wznosiły się nad rozlewiskiem rzeki Tag wpadającej do oceanu. Było to skupisko szerokich, symetrycznie wytyczonych bulwarów oraz eleganckich, porośniętych drzewami placów. Jeden z najwspanialszych wiszących mostów spinał brzegi potężnej rzeki i prowadził do wielkiej niczym wieża statuy Chrystusa z rozpostartymi ramionami, który obejmował miasto od wschodniego brzegu. Malone wielokrotnie bywał w Lizbonie i zawsze przychodziło mu na myśl skojarzenie z San Francisco, zarówno jeśli chodziło o wygląd miasta, jak i jego podatność na trzęsienia ziemi. Kilka z nich pozostawiło po sobie ślady.

Każdy kraj może się poszczycić szczególnymi i niepowtarzalnymi atrakcjami. Egipt ma piramidy. Włochy mają Bazylikę św. Piotra. Anglia ma Westminster, Francja – Wersal. Słuchając objaśnień taksówkarza w drodze z lotniska, wiedział, że powodem narodowej dumy w Portugalii był zespół kościelno-klasztorny, który teraz rozciągał się przed nim. Fasada z białego wapienia miała długość większą od boiska piłkarskiego. Czas sprawił, że nabrała koloru starej kości słoniowej. Styl stanowił połączenie porządków mauretańskiego, bizantyjskiego i francuskiego gotyku, olśniewając obfitością dekoracji i zdobień, a wysokie mury zwieńczone iglicami zdawały się tętnić życiem.

Wszędzie roiło się od turystów. Strumienie zwiedzających z kamerami i aparatami wpływały do budowli i wypływały z niej licznymi wejściami. Na zatłoczonym bulwarze i wzdłuż torów kolejowych, które biegły naprzeciw monumentalnej południowej fasady, na turystów czekały

autokary ustawione po linii łamanej, niczym statki zacumowane w porcie. Tablica informowała przybyszy o początkach budowli, pod którą kamień węgielny położono w 1501 roku, co stanowiło spełnienie obietnicy złożonej Marii Dziewicy przez króla Manuela I. Klasztor i kościół wzniesiono na miejscu dawnego hospicjum dla marynarzy, zbudowanego pierwotnie przez księcia Henryka Nawigatora. Kolumb, da Gama i Magellan uczestniczyli tutaj w modłach przed wyruszeniem w dalekie morskie podróże. Przez stulecia monumentalna budowla służyła za Dom Boży, dom starców oraz sierociniec. Obecnie obiekt został wpisany na listę Światowego Dziedzictwa Kulturalnego i Przyrodniczego UNESCO, odzyskując bardzo dużo z dawnej świetności.

– Kościół i klasztor zostały poświęcone świętemu Hieronimowi – powiedziała po włosku do grupy turystów przewodniczka. – Symboliczne, i to w dwójnasób, jest to, że zarówno Hieronim, jak i ten klasztor reprezentował nowy sposób podejścia do chrześcijaństwa. Statki wypływały stąd, by odkrywać Nowy Świat i przyłączać go do Królestwa Chrystusa. Hieronim przetłumaczył starożytną grecką Biblię na łacinę, żeby więcej ludzi mogło poznać objawione w niej prawdy.

Zorientował się, że McCollum także rozumie słowa kobiety.

– Włada pan również włoskim? – zapytał Malone.

– W dostatecznym stopniu.

– Jest pan człowiekiem o wielu talentach.

– Tylko tych, które są potrzebne.

Malone wychwycił kontekst w domyśle.

– Jakie są następne kroki w tej „peregrynacji”?

McCollum wyciągnął drugą fiszkę, na której był zapisany fragment pierwszego ustępu oraz dalsze zagadkowe zdania.

To tajemnica, lecz odwiedź kaplicę nieopodal rzeki Tag, w Betlejem, poświęconą naszemu świętemu patronowi. Zacznij podróż w mroku, a ukończ ją w świetle, gdzie powracająca gwiazda odnajduje rozetę, przebija drewniany krzyż i przemienia srebro w złoto. Odnajdź miejsce, które ma adres, lecz nie ma lokalizacji, gdzie znajduje się kolejne miejsce. Później, niczym pasterze malarza Poussina, zdziwiony zagadką, zostaniesz zalany światłem inspiracji.

Wręczył karteczkę Pam.

– W porządku. Złóżmy wizytę i przekonajmy się, co tam jest.

Podążyli za grupą turystów w kierunku wejścia. Tablica informacyjna obwieszczała, że wstęp do kościoła był wolny, ale zwiedzanie reszty zespołu zabudowy wymagało kupienia biletu.

Wewnątrz kościelnej budowli, a właściwie w jej części – dolnym chórze, panował pełen powagi półmrok, gdyż sklepienie krzyżowe w tym miejscu opadało nisko. Po lewej stronie znajdował się cenotaf, grobowiec z pomnikiem Vasco da Gamy. Prosty i dostojny, ozdobiony licznymi żeglarskimi symbolami. Inny grobowiec, poety Luisa de Camõesa, stał po jego prawej stronie wraz z chrzcielnicą. Nagie ściany w obu nagrobnych niszach tworzyły zarazem wrażenie surowości i majestatyczności. Zwiedzający tłoczyli się wokół bocznych niszy. Błyskały flesze aparatów fotograficznych. Przewodnicy snuli opowieści o randze i znaczeniu pochowanych tu osobistości.

Malone wszedł niespiesznie do głównej nawy, a początkowy półmrok dolnego chóru zaczął ustępować cudownej świetlanej poświacie. Sześć wysmukłych kolumn, każda opleciona spiralną girlandą kwiecia, pięło się wysoko ku górze. Słońce późnego popołudnia przesączało się feerią kolorów przez okna z witrażami. Promienie i cienie radośnie bawiły się w berka na wapiennych ścianach, poszarzałych od upływu wieków. Łukowe sklepienie przypominało pęki spiętych z sobą żeber, a kolumny zamieniły się w podpory sklepienia, z kolei siatka ochronna upodobniła się do okrętowego takielunku. Malone niemal namacalnie poczuł obecność Saracenów, którzy kiedyś władali Lizboną. Dostrzegł też bizantyjskie wątki i motywy. Wokół niego mnożyły się tysiące zdobniczych detali, lecz żaden nie stanowił kopii czy powtórzenia.

Niesamowite.

„Jeszcze bardziej niezwykły był fakt – pomyślał – że dawni budowniczowie porwali się na wzniesienie tak monumentalnej budowli na wstrząsanych drganiami terenach, gdzie rozlokowała się Lizbona”.

Drewniane ławki, w których przesiadywali kiedyś mnisi, obecnie służyły jedynie ciekawym wszystkiego turystom. Cichy pomruk głosów odbijał się echem w poprzek nawy, od czasu do czasu rozlegał się przytłumiony głos płynący z systemu nagłaśniającego, który w licznych językach nawoływał zwiedzających do zachowania ciszy. Malone

zlokalizował źródło, skąd dobiegały wielojęzyczne upomnienia. Duchowny stał przed mikrofonem obok głównego ołtarza, pośrodku kościelnego wnętrza w kształcie krzyża. Nikt najwyraźniej nie przejmował się upomnieniami księdza – a w najmniejszym już stopniu przewodnicy, którzy nieprzerwanie snuli opowieści, jakimi zarabiali na chleb.

– To wspaniałe miejsce – wyznała Pam.

Zgodził się z nią.

– Na tablicy przed wejściem napisano, że zamykają o piątej. Musimy kupić bilety, jeśli mamy zwiedzić resztę.

– Pójdę je załatwić – zadeklarował się McCollum. – Ale czy trop nie prowadzi nas właśnie tutaj, do tego kościoła?

– Nie mam pojęcia. Żeby mieć pewność, rzućmy okiem na to, co jeszcze tu jest.

McCollum ruszył z powrotem w kierunku tłumu ludzi zgromadzonego w pobliżu portyku.

– Masz jakiś pogląd?

Pam wciąż trzymała w dłoni kartkę papieru.

– O nim czy o „peregrynacjach”?

– Jedno i drugie stanowi problem.

Uśmiechnął się. Postanowił przejść do tematu „peregrynacji”.

– Część tego tekstu zaczyna nabierać sensu. *Zacznij podróż w mroku, a ukończ ją w świetle*. Wejście do kościoła świetnie do tego pasuje. Najpierw wchodzisz do mrocznej piwnicy, a potem wychodzisz na przesycony światłem strych.

Ksiądz ponownie poprosił turystów o zachowanie ciszy i powagi, wszyscy jednak całkowicie go zignorowali.

– Ma niewdzięczną fuchę – skomentowała Pam.

– Jak dzieciak w szkole, który ma utrzymać porządek i spokój, kiedy nauczyciel wychodzi z klasy.

– Okay, panie geniuszu – zmieniła temat. – Co ze słowami: *gdzie powracająca gwiazda odnajduje rozetę, przebija drewniany krzyż i przemienia srebro w złoto. Odnajdź miejsce, które ma adres, lecz nie ma lokalizacji, gdzie znajduje się kolejne miejsce.*

Już od pewnego czasu myślał o tym, a jego uwagę przyciągnęło znajdujące się dalej z przodu prezbiterium, gdzie prostokątna płaszczyzna posadzki przechodziła do półkolistej apsydy, u wejścia której znajdował się

ołtarz główny. Apsydę wieńczyła półkolista kopuła, podparta sklepieniem kolebkowym oraz kamiennym kasetonowym stropem. Kolumny w porządku jońskimi i korynckim wyrastały symetrycznie po trzech stronach prezbiterium, stanowiąc ramy dla kamiennych sklepionych nisz, w których spoczywały misternie zdobione królewskie grobowce. Ściany apsydy pokrywało pięć malowideł. Wszystko, co się tutaj znajdowało, przyciągało wzrok ku majestatycznemu barokowemu tabernakulum, stojącemu pośrodku, wyniesionemu ponad główny ołtarz.

Przeciskał się przez tłum przechadzających się bez ładu i składu turystów, zmierzając na tyły ołtarza głównego. Wejście do prezbiterium blokowały jednak aksamitne sznury. Z tabliczki informacyjnej dowiedział się, że tabernakulum, całe wykonane ze srebra, było dziełem złotnika João de Sousy i powstało w latach 1674-1678. Oglądane z odległości piętnastu metrów, bogato zdobione sakramentarium, pełne misternych detali, robiło majestatyczne wrażenie.

Malone obrócił się i skierował wzrok ponownie wzdłuż nawy głównej, obok kolumn i kościelnych ław, w kierunku niższego chóru – miejsca, którędy weszli do sakralnej budowli.

Po chwili to zobaczył. Na górnym chórze, za masywną kamienną balustradą, piętnaście metrów nad kamienną posadzką. Umieszczone wysoko w najdalszej zewnętrznej ścianie ogromne oko spoglądało w dół, ku niemu. Laskowania i maswerki odchodziły promieniście z punktu środkowego. Żebra sklepienia biegły krętą ścieżką w kierunku oka i wydawały się rozpływać w pozbawionym cienia blasku, jaskrawym niczym światła scenicznych reflektorów, które zalewały światłem wnętrze kościoła.

Typowy element zdobniczy wielu średniowiecznych kościołów, który otrzymał nazwę z powodu fantazyjnego kształtu.

Rozeta.

Wychodząca precyzyjnie na zachodnią stronę. Późnym popołudniem. Promieniejąca oślepiającym blaskiem niczym słońce.

Ale to nie wszystko.

Pośrodku balustrady górnego chóru stał duży krzyż. Malone ruszył przed siebie i zauważył, że krzyż wpasowuje się idealnie w okrągły obrys okna, a jaskrawe promienie omijają go, pogrążając nawę w świetlanej poświacie.

Gdzie powracająca gwiazda odnajduje rozetę, przebija drewniany krzyż i przemienia srebro w złoto.

Wygląda na to, że znaleźli właściwe miejsce.

CZTERDZIEŚCI SIEDEM

WIEDEŃ
GODZINA 16.30

Thorvaldsen podziwiał spektakl z udziałem kwiatów, wody i marmuru. Ogromny ogród, który był, co oczywiste, efektem pracy i znoju kilku pokoleń. Ocienione ścieżki wiły się meandrami, prowadząc od *château* ku połaciom ziemi porośniętym soczystą murawą. Obok nich ciągnęły się wyłożone cegłą alejki, wzdłuż których stały posągi, płaskorzeźby oraz fontanny. Od czasu do czasu wpływy francuskie ustępowały miejsca motywom włoskim w czystej postaci.

– Kim są ludzie, do których należy to miejsce? – zapytał Gary.

– Hermannowie to ród o długich tradycjach w Austrii, podobnie jak moja rodzina w Danii. Bardzo bogaty i wpływowy.

– Czy on jest twoim przyjacielem?

Interesujące pytanie, uwzględniwszy podejrzenia, jakie żywił od niedawna.

– Jeszcze przed kilkoma dniami tak właśnie sądziłem. Lecz teraz nie jestem już taki pewien.

Dociekliwość chłopca podobała mu się. Znał prawdę w kwestii ojcostwa Cottona. Kiedy Malone, po odwiezieniu syna do Ameryki po letnich wakacjach, wrócił do Kopenhagi, opowiedział mu o rewelacjach, jakie usłyszał z ust Pam. Thorvaldsen udawał, że nie wie o niczym, kiedy kilka nocy temu zobaczył ją po raz pierwszy, chociaż natychmiast rozpoznał jej prawdziwą naturę. Jej obecność w jego rezydencji razem z Cottonem oznaczała kłopoty. Dlatego właśnie ustawił Jespera przy drzwiach na zewnątrz gabinetu. Pam Malone była osobą bardzo pobudliwą. Na całe szczęście zdołała się opanować. O tej porze powinna być już z powrotem w Georgii. Tak jednak nie było, o czym świadczyły słowa człowieka, który zadzwonił z Tel Awiwu: „Wygląda na to, że Malone wraz z byłą żoną są obecnie w drodze do Lizbony”.

„Co się działo? Dlaczego tam jechali? I gdzie podział się człowiek zwany Szponami Orła?”

– Przyjechaliśmy tutaj – zwrócił się do chłopca – żeby pomóc twojemu ojcu.

– Tato nie wspominał nic o naszym wyjeździe. Powiedział mi, żebym nigdzie się nie ruszał i miał oczy dookoła głowy.

– Powiedział również, żebyś robił to, co ci każę.

– Kiedy więc zechce na mnie nakrzyczeć, spodziewam się, że weźmiesz winę na siebie.

Henrik uśmiechnął się szeroko.

– Z przyjemnością.

– Czy widziałeś kiedykolwiek z bliska, jak do kogoś strzelają?

Wiedział, że wstrząsające wspomnienia z wtorku na długo pozostaną w pamięci Gary’ego, bez względu na to, jak bardzo pragnął być dzielny.

– Kilka razy.

– Tato ukatrupił tego faceta. Ale wiesz co? Wcale się tym nie przejmuję.

Pokiwał głową z dezaprobatą, słysząc tak buńczuczne słowa.

– Ostrożnie, Gary. Niech ci nigdy nie przyjdzie do głowy, że zabijanie to rzecz, do której można się przyzwyczaić. I nie ma przy tym znaczenia, jak bardzo ktoś zasłużył na śmierć.

– Nie to miałem na myśli. Chodzi mi wyłącznie o to, że to był zły człowiek. Groził mamie, że ją zabije.

Minęli marmurowe kolumny, które otaczały posąg Diany. Lekki wiatr muskał liście drzew, na falującej murawie igrały z sobą rozedrgane cienie.

– Twój ojciec zrobił to, co musiał zrobić. Choć wcale mu się to nie podobało. Po prostu to zrobił.

– Też bym to zrobił.

Przeklęta genetyka. Gary był synem Malone’a. I chociaż chłopiec miał dopiero piętnaście lat, z pewnością łatwo wpadał w gniew – podobnie jak jego ojciec – zwłaszcza kiedy ktoś bliski znajdował się w niebezpieczeństwie. Gary wiedział, że rodzice pojechali do Londynu, nie miał jednak pojęcia, że jego matka wciąż była zaangażowana w bieg zdarzeń. Zasługiwał na prawdę.

– Twoja matka i twój ojciec jadą teraz do Lizbony.

– O tym rozmawiałeś w pokoju przez telefon?

Skinął głową, przytakując, po czym uśmiechnął się, uzmysławiając sobie, jak dorośle chłopiec radzi sobie z nowinami.

– Dlaczego mama wciąż jest z nim? Nie wspominała nic o tym, że zamierza zostać, kiedy dzwoniła wczoraj wieczorem. Nie pozostają z sobą w najlepszych stosunkach.

– Nie mam pojęcia. Musimy zaczekać, aż któreś z nich ponownie zadzwoni.

Sam również desperacko chciał poznać odpowiedź na to pytanie.

Przed sobą zobaczył miejsce, do którego zmierzali. Pawilon z kolorowego marmuru, zbudowany na planie koła i zwieńczony daszkiem z pozłacanego żelaza. Otwarta balustrada wychodziła na stawek o kryształowo czystej wodzie, której srebrzystej, ocienionej i gładkiej tafli nie zakłócała nawet jedna zmarszczka.

Weszli do pawilonu i zbliżyli się do balustrady.

Duże donice z wonnymi kwiatami stanowiły wspaniałą ozdobę wnętrza. Jak zawsze Hermann dbał o to, żeby jego posiadłość prezentowała się nienagannie pod każdym względem.

– Ktoś tutaj idzie – zauważył Gary.

Thorvaldsen nie obejrzał się za siebie. Nie musiał. Widział ją oczyma duszy. Niska, przysadzista, oddychająca głośno, kiedy szła. Nie przestawał patrzeć w stronę stawu i rozkoszował się słodkim zapachem traw, kwiatów oraz urokiem chwilowego doznania.

– Czy ona idzie pospiesznym krokiem?

– Skąd wiedziałeś, że to kobieta?

– Nauczysz się, Gary, że nie można wygrać walki, jeśli twój przeciwnik, przynajmniej do pewnego stopnia, nie jest przewidywalny.

– To córka pana Hermanna.

Wciąż podziwiał staw, obserwując, jak rodzina kaczek przemieszcza się ku brzegowi.

– Nie odzywaj się za wiele. Słuchaj. Tym sposobem dowiesz się tego, co potrzebujesz wiedzieć.

Usłyszał odgłos butów stukających o kamienną posadzkę pawilonu, kiedy Margarete podeszła bliżej.

– W rezydencji powiedziano mi, że wybraliście się tutaj – powiedziała na przywitanie. – Pamiętam, że to jedno z twoich ulubionych miejsc.

Uśmiechnął się do niej, w najmniejszym stopniu nie kryjąc satysfakcji.

– Chodzi o prywatność. Daleko stąd do *château*. Drzewa zapewniają niczym niezmącony spokój. Naprawdę lubię ten zakątek. O ile sobie przypominam, było to również ulubione miejsce twojej matki.

– Ojciec zbudował ten pawilon specjalnie dla niej. Tu spędziła ostatni dzień życia.

– Tęsknisz za nią?

– Umarła, kiedy byłam jeszcze mała. Nigdy więc nie nawiązałyśmy bliskiej więzi. Ale ojciec bardzo za nią tęskni.

– Nie tęskni pani za swoją matką? – zdziwił się Gary.

Chociaż chłopiec złamał zalecenie, jakie mu wcześniej przedstawił, Thorvaldsen nie miał nic przeciw postawionemu pytaniu. Na dobrą sprawę, sam był ciekaw.

– Oczywiście, że mi jej brakuje. Chodzi mi tylko o to, że nie łączyła nas bliska więź między matką i córką.

– Można odnieść wrażenie, że odziedziczyłaś po ojcu zainteresowanie rodzinnym biznesem oraz zakonem.

Patrzył, jak myśli powoli docierały do jej umysłu. Odziedziczyła więcej z surowej austriackiej urody ojca niż z pruskiego piękna rysów matki. Nie była kobietą szczególnie atrakcyjną – ciemne włosy, brązowe oczy, cienki i zadarty do góry nos. Kim jednak był, żeby dokonywać osądu, uwzględniwszy jego skrzywiony kręgosłup, zmierzwione włosy oraz ogorzałą cerę? Zastanawiał się, czy ma adoratorów starających się o jej rękę, ale doszedł do wniosku, że ta kobieta nigdy nikomu się nie odda. Potrafiła wyłącznie brać.

– Jestem jedynym żyjącym potomkiem Hermannów.

Dodała do tego uśmiech, jaki zapewne miał emanować duchowym ciepłem, lecz zamiast tego był przesycony rozdrażnieniem.

– Czy to oznacza, że odziedziczysz to wszystko?

– Oczywiście. Dlaczego nie miałabym?

Wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia, jak zapatruje się na to twój ojciec. Z własnego doświadczenia wiem jednak, że na tym świecie nie ma nic pewnego.

Dostrzegł, że konkluzja płynąca z jego słów niezbyt przypadła jej do gustu. Nie pozostawił jej czasu na reakcję.

– Dlaczego twój ojciec chciał skrzywdzić tego chłopca? – zapytał bez ogródek.

To zaskakujące pytanie wprawiło ją w konsternację, której nie była w stanie ukryć. Najwidoczniej również nie była mistrzem w zachowaniu stoickiego spokoju – tym razem inaczej niż jej ojciec.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Przez chwilę się zastanawiał. Być może Hermann nie wtajemniczył jej w swoje plany?

– A zatem nie masz pojęcia, co porabia człowiek zwany Szponami Orła?

– To nie wchodzi w zakres moich obow... – Przerwała w pół słowa, uświadamiając sobie, że dała się zaskoczyć.

– Nie ma powodów do obaw, moja droga. Wiem o nim. Zastanawiałem się tylko, czy ty o nim wiesz.

– Ten człowiek stanowi zagrożenie.

Teraz wiedział, że ona nie uczestniczyła w intrydze. Zbyt dużo informacji zostało wymienionych swobodnie.

– Zgadzam się z tobą całym sercem. Ale, jak sama stwierdziłaś, żadne z nas nie odpowiada za jego działania. Jedynie krąg.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że członkowie zakonu wiedzą o nim.

– Jest wiele spraw, o których wiem. Szczególnie dotyczy to działań twojego ojca. To również stanowi zagrożenie.

Można było odnieść wrażenie, że dostrzegła stanowczość w jego głosie. Na jej pucołowatej twarzy pojawił się nerwowy uśmiech.

– Pamiętaj, gdzie jesteś, Henriku. To jest ziemia Hermanna. Panujemy nad tym, co się tutaj dzieje, nie powinieneś się więc w to mieszać.

– To interesujące spostrzeżenie. Postaram się o nim nie zapomnieć.

– Uważam, że być może ty i ojciec powinniście dokończyć tę rozmowę.

Obróciła się, zamierzając odejść. Kiedy to robiła, on szybkim gestem uniósł rękę do góry.

Z gęstej kępy żywotników, zmęczonych już brzemieniem wieku, wyłoniło się znienacka trzech mężczyzn ubranych w polowe mundury o maskujących barwach. Pobiegli truchtem przed siebie i dotarli na miejsce w chwili, kiedy Margarete opuszczała pawilon.

Dwóch mężczyzn ją pochwyciło.

Jeden dłonią zasłonił jej usta.

Stawiała opór.

– Henriku – odezwał się Gary. – Co Jesper tutaj robi?

Trzecim z mężczyzn był jego kamerdyner, który przyleciał tu wcześniej i ukradkiem dostał się na teren posiadłości. Dzięki poprzednim wizytom Thorvaldsen wiedział – wbrew przechwałkom Margarete – że służba ochrony niemal całkowicie koncentrowała się na zabezpieczaniu budynku rezydencji. Pozostałe setki hektarów nie były nawet ogrodzone. Nie wspominając już w ogóle o patrolach służby ochrony.

– Stój spokojnie – powiedział do niej.

Przestała się szarpać.

– Pójdziesz z tymi gentlemanami.

Potrząsnęła gwałtownie głową.

Spodziewał się, że będzie sprawiać kłopoty. Skinął głową, a w miejsce dłoni zasłaniającej jej usta pojawiła się chusteczka, o której wiedział, że jest nasączona środkiem znieczulającym wywołującym głęboki sen. Wystarczyło kilka sekund, żeby opary zaczęły działać. Ciało Margarete nagle zwiotczało.

– Co ty robisz? – zaniepokoił się Gary. – Dlaczego wyrządzasz jej krzywdę?

– Nie robię tego. Ale zapewniam cię, że oni skrzywdziliby ciebie, gdyby twój ojciec nie zaczął działać – odparł. Spojrzał na Jespera. – Trzymajcie ją w bezpiecznym miejscu, jak uzgodniliśmy.

Jego kamerdyner przytaknął. Jeden z wynajętych mężczyzn zarzucił na ramię bezwładne ciało Margarete, po czym wszyscy trzej wycofali się w stronę kępy drzew.

– Wiedziałeś, że ona tutaj przyjdzie? – chciał się upewnić Gary.

– Jak wspomniałem, dobrze jest znać swojego wroga.

– Dlaczego ją porywasz?

Lubił udzielać lekcji i tęsknił za naukami, jakie dawał Caiowi.

– Nie jedziesz samochodem, jeśli nie masz wykupionego ubezpieczenia. To, co zamierzamy zrobić, wiąże się z ryzykiem. Ona jest zatem naszą polisą ubezpieczeniową.

CZTERDZIEŚCI OSIEM

WASZYNGTON

Stephanie zamarła w bezruchu. Heather Dixon była uzbrojona i podejrzliwa. Cassiopeia omiotła wzrokiem sypialnię, ona zaś wiedziała, że jej przyboczna strażniczka rozpaczliwie szukała czegoś, co mogło posłużyć za broń.

– Co się dzieje? – usłyszała pytanie zadane Dixon przez Daleya.

– Twój alarm jest wyłączony. To znaczy, że ktoś tutaj jest.

– Wniosek logicznie nienaganny, chyba się zgodzisz?

– Włączyłeś alarm przed wyjściem z domu?

Nastąpiła chwila ciszy. Stephanie zdała sobie sprawę, że znalazły się w pułapce.

– Nie wiem – odpowiedział w końcu Daley. – Być może zapomniałem. Zresztą nie byłby to pierwszy raz.

– Może się jednak rozejrzę, tak na wszelki wypadek?

– Nie ma czasu, żebyś odgrywała tutaj rolę chojraka, zwłaszcza że spluwa w twojej dłoni bardzo mnie podnieca. Naprawdę wyglądasz seksownie.

– Zebrało ci się dziś na pochlebstwa. Jeśli to złodziej, wyniesie ci wszystko z domu.

Na chwilę zapadła cisza, po czym Stephanie usłyszała protest, któremu towarzyszył na poły zduszony jęk.

– Uważaj na moją głowę. Ten guz naprawdę boli.

– Nic ci się nie stało? – zapytał Daley.

Dźwięk rozpinanego zamka błyskawicznego.

– Odrzuć ten pistolet – nalegał Daley.

Odgłosy kroków na schodach.

Stephanie spojrzała ze zdumieniem na Cassiopeię.

– Nie daję temu wiary.

– Przynajmniej wiemy, gdzie oboje się znajdują.

Trafne spostrzeżenie, ale pociecha niewielka.

– Muszę to sprawdzić.

Cassiopeia chwyciła ją za ramię.

– Zostaw ich samym sobie.

W przeciwieństwie do minionych dwunastu godzin, kiedy w najlepszym razie podejmowała wątpliwe decyzje, teraz myślała jasno i klarownie. Wiedziała, co należy zrobić.

Wykradła się z sypialni i weszła do salonu. Schody z tyłu prowadziły na górę, po prawej miała drzwi frontowe. Usłyszała przytłumione głosy, śmiech i skrzypienie podłogowych desek, które wystawiono na ciężką próbę.

– Co się dzieje, do diabła? – zdziwiła się na głos Stephanie.

– Czy twoje dochodzenie nie wykryło tego?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nawet słowa o tym. To musiało stać się ostatnio.

Cassiopeia zniknęła ponownie w korytarzu. Przez moment Stephanie się wahała, potem na jednym z krzeseł dostrzegła ten sam rewolwer, z którego Heather Dixon mierzyła do niej wczoraj.

Chwyciła broń i wyszła z salonu.

Malone spoglądał na rozetę, następnie zerknął na zegarek. Była godzina szesnasta czterdzieści. O tej porze roku słońce zacznie zachodzić za kilkadziesiąt minut.

– Ta budowla jest zorientowana wzdłuż osi wschód-zachód – powiedział do Pam. – To okno umieszczono po tamtej stronie, żeby wychwytywało promienie zachodzącego słońca. Musimy więc udać się tam, na górę.

Dostrzegł wejście w miejscu, gdzie strzałka informacyjna wskazywała na górny chór. Przeszedł przez wejście i dojrzał przytulone do północnej ściany kościoła, szerokie kamienne schody pod kolebkowym sklepieniem, które sprawiało wrażenie, jakby idący nimi człowiek znalazł się w tunelu.

Podążył za grupą zwiedzających.

Po dotarciu na szczyt schodów wszedł na chór.

Dwa rzędy drewnianych ław z wysokimi oparciami stały naprzeciw siebie, ozdobione misternymi girlandami i arabeskami. Nad ławami wisiały barokowe obrazy przedstawiające kilku apostołów. Przejście między ławami prowadziło w stronę zachodniej ściany świątyni oraz rozety zawieszonej blisko dziesięć metrów wyżej.

Spojrzał do góry.

Drobinki kurzu unosiły się w jaskrawej słonecznej poświacie. Malone obrócił się i spoglądał badawczo na krzyż wznoszący się na drugim końcu górnego chóru. On i Pam podeszli do balustrady i podziwiali pełen dramatyzmu realizm, z jakim przedstawiono rzeźbiony wizerunek ukrzyżowanego Chrystusa. Tabliczka u podstawy krzyża zawierała informację w dwóch językach.

CRISTO NA CRUZ
CHRYSTUS NA KRZYŻU
C.1550
ESCULTURA EM MADEIRA POLICROMA
RZEŹBA Z DREWNA KRYTA POLICHROMIĄ

– *Gdzie powracająca gwiazda odnajduje rozetę, przebija drewniany krzyż* – przemówiła Pam. – To jest to.

Podzielił jej zdanie. Ale myślami był już przy następnych słowach.

I przemienia srebro w złoto.

Spojrzał ponownie ku oślepiająco jaskrawej rozecie i pobiegł wzrokiem za złocącymi się od kurzu promieniami, które omijały krzyż i spływały do nawy głównej. Poniżej światło przebijało się niczym przekop wzdłuż posadzki o wzorze w szachownicę, podążając środkowym przejściem rozdzielającym dwa rzędy ław baptysterium. Zwiedzający kręcili się dookoła, jak gdyby niczego nie dostrzegali. Światło podążało dalej ku głównemu ołtarzowi i rzucało delikatną rozżarzoną linię na czerwony dywan rozłożony przed nim.

McCollum pojawił się od strony niskiego chóru i szedł teraz nawą główną w kierunku frontowej części kościoła.

– Zapewne będzie się zastanawiał, gdzie się podzialiśmy – wysunęła przypuszczenie Pam.

– Nigdzie stąd nie pójdzie. Wydaje się, że nas potrzebuje.

McCollum zatrzymał się obok ostatniej z sześciu kolumn i rozejrzał się dookoła, potem zawrócił i zobaczył ich. Malone podniósł dłoń do góry i dał mu znak, żeby zaczekał tam, gdzie stoi, potem wystawił palec wskazujący, przekazując tym sposobem, że za minutę będą na dole.

Wyjawił McCollumowi prawdę. Jeśli chodzi o rozwiązywanie zagadek, był w tym całkiem niezły. Ta konkretna łamigłówka początkowo wydawała się trudna do rozgryzienia, lecz teraz, kiedy spoglądał w dół na kłębowisko rzeźb, żeber i łuków, harmonię linii oraz przeplatających się kamieni, których upływające wieki, warunki atmosferyczne i zapomnienie niemal nie tknęły, znał rozwiązanie.

Znów podążył wzrokiem za promieniami zachodzącego słońca, kiedy przechodzili w poprzek przez prezbiterium, minęli środek głównego ołtarza i dostrzegli srebrne sakramentarium.

Które teraz promieniało złotym blaskiem.

Srebro w złoto.

Zorientował się, że Pam również to zauważyła.

– To zdumiewające. – Nie mogła się powstrzymać. – Jakim cudem światło daje taki efekt?

Nie ulega wątpliwości, że rozeta była umieszczona na takiej wysokości, żeby zachodzące słońce, przynajmniej przez kilka minut, mogło oświetlić sakramentarium. Najwidoczniej wykonane ze srebra tabernakulum umieszczono tu celowo i świadomie. Jedno z sześciu płócien wiszących dookoła usunięto, zakłócając tym samym symetrię, w której tak bardzo byli rozmiłowani średniowieczni budowniczowie.

Przywołał w pamięci ostatnie słowa drugiego ustępu „peregrynacji”.

Odnajdź miejsce, które ma adres, lecz nie ma lokalizacji, gdzie znajduje się kolejne miejsce.

Ruszył w kierunku schodów.

Na poziomie parteru podszedł do aksamitnych sznurów, które wciąż blokowały dostęp do prezbiterium. Zauważył harmonijną grę płyt marmuru, czarnego, białego i czerwonego, które nadawały wnętrzu atmosferę

szlachetności – zresztą jedyną, jaka tu pasowała, ponieważ prezbiterium służyło za miejsce pochówku członków rodzin królewskich.

Sakramentarium znajdowało się dziesięć metrów od niego.

Podziwianie z bliska tabernakulum nie było jednak dane zwiedzającym. Kapłan przy bocznym ołtarzu obwieścił za pomocą systemu nagłaśniającego, że za pięć minut podwoje kościoła i klasztoru zostaną zamknięte. Wiele grup turystów zaczęło powoli opuszczać wnętrze świątyni, także pojedynczy pielgrzymi ruszyli w kierunku wyjścia.

Wcześniej już zauważył sceny, jakie wytrawiono w drzwiczkach sakramentarium, za którymi kiedyś przechowywano święty sakrament. Być może wciąż jeszcze trzymano tam Hostię. Chociaż budowlę wpisano na listę Światowego Dziedzictwa Kulturalnego i Przyrodniczego UNESCO, to nawę główną wykorzystywano zapewne od czasu do czasu do celebrowania specjalnych religijnych uroczystości. Podobnie jak w wypadku Bazyliki św. Piotra oraz Opactwa Westminsterskiego. Co tłumaczyłoby, dlaczego zwiedzających nie dopuszczano do miejsca stanowiącego bez dwóch zdań największą atrakcję świątyni.

McCollum podszedł bliżej.

– Mam bilety.

Malone wskazał sakramentarium.

– Muszę przyjrzeć się temu z bliska, ale bez świadków.

– To może być trudne. Zakładam, że za kilka minut wypędzą stąd wszystkich na zewnątrz.

– Jakoś nie wygląda pan na osobę, która kłania się nisko przed władzą.

– Pan również nie.

Pobiegł myślami ku wydarzeniom w Awinionie oraz temu, co on i Stephanie robili tam pewnego deszczowego wieczoru w czerwcu.

– W takim razie znajdźmy jakieś miejsce, gdzie uda się skryć do czasu, kiedy wszyscy stąd wyjdą.

Stephanie cofnęła się do sypialni, idąc na czubkach palców. Musiała odnaleźć schowek Daleya, zanim sprawy na górze osiągną punkt kulminacyjny. Miała tylko nadzieję, że ani Daleyowi, ani też Dixon nie spieszyło się specjalnie ze szczytowaniem, chociaż Daley wydawał z siebie odgłosy, jakby był już blisko celu.

Cassiopeia od jakiegoś czasu prowadziła już milczące poszukiwania.

– W raporcie stwierdzono, że nigdy nie zostawiał przenośnych pamięci w tym biurku. Korzystał z nich, pracując na laptopie, ale nie zostawiał ich tutaj. Zawsze mówił jej, żeby szła do sypialni, on zaś dołączał do niej później.

Jej słowa bardziej były oddechem aniżeli głosem.

– Naprawdę ryzykujemy, pozostając tu.

Przerwała poszukiwania i przez moment nasłuchiwała.

– Sadząc po odgłosach, wciąż są zajęci sobą.

Cassiopeia otworzyła szuflady biurka, sprawdzając, czy nie ma w nich jakiejś skrytki. Zdaniem Stephanie nic raczej tam nie znajdzie. To było zbyt oczywiste. Raz jeszcze przebiegła wzrokiem po półkach z książkami, a jej wzrok zatrzymał się na jednej z politycznych rozpraw – cienkim tomie w oprawie koloru szaro-brązowego, z niebieskimi literami na grzbiecie.

Walka po trupach Chrisa Matthewsa.

Przypomniała sobie opowieść, jaką Daley podzielił się z Greenem, kiedy chełpił się dopiero co zdobytą władzą w agencji Magellan Billet.

Co wtedy powiedział?

Władza jest tym, co trzymasz pod kontrolą.

Sięgnęła po książkę, otworzyła ją i dostrzegła, że blisko jedna trzecia końcowych stron była z sobą sklejona – w stronach tych wycięto otwór głębokości nieco ponad pół centymetra. W środku znajdowało się pięć pamięci podręcznych, każda z nich opatrzona rzymską cyfrą.

– Skąd wiedziałaś? – wyszeptała Cassiopeia.

– Na dobrą sprawę zaczynam się bać, że wiedziałam. Najwidoczniej myślę jak idiotka.

Cassiopeia spojrzała w stronę tyłu domu, ku tylnym drzwiom, lecz Stephanie chwyciła ją za rękę i ruszyła w kierunku frontu. Cassiopeia spoglądała na nią, nic nie rozumiejąc – wyraz jej twarzy zdawał się wyrażać pytanie: „Dlaczego prosisz się o kłopoty?”.

Weszły do salonu, potem do hallu.

Klawiatura urządzenia alarmowego zamocowanego obok drzwi wejściowych wskazywała, że alarm wciąż nie był włączony. Stephanie sięgnęła po pistolet Dixon.

– Larry! – zawołała.

Cisza.

– Larry. Mogłabym cię prosić na chwilę?

Na piętrze dały się słyszeć tępe odgłosy kroków, a w progu sypialni pojawił się Daley, tylko w spodniach, z nagim torsem.

– Świetne włosy, Stephanie. Nowe *emploi*? I te ciuchy. Chwytliwe.

– Specjalnie dla ciebie.

– Co tutaj robisz?

Uniosła książkę.

– Przyszłam po twoje ukryte fanty.

Po chłopięcej twarzy Daleya przemknęła trwoga.

– Racja. Czas, żebyś zaczął się pocić. A Heather? – Podniosła głos. – Jestem rozczarowana jakością kochanków, jakich sobie dobierasz.

Dixon wyszła z pokoju zupełnie naga, nie okazując nawet krzyny wstydu.

– Już nie żyjesz.

Stephanie wzruszyła ramionami.

– To się jeszcze okaże. Póki co, to ja mam twój pistolet.

Pokazała broń.

– Co zamierzasz zrobić? – chciał wiedzieć Daley.

– Jeszcze nie podjęłam decyzji – odparła. Chciała jednak wiedzieć jeszcze jedno. – Wy dwoje od dawna jesteście z sobą?

– Nie twoje zmartwienie – zbyła ją Dixon.

– Jestem po prostu ciekawa. Przerwałam wam wyłącznie dlatego, żebyście się dowiedzieli, że od teraz w tej grze chodzi już nie tylko o moją skórę.

– Najprawdopodobniej wiesz całkiem sporo – wtrącił Daley. – Kim jest twoja przyjaciółka?

– To Cassiopeia Vitt – odpowiedziała Dixon.

– Pochlebia mi, że pani mnie zna.

– Zawdzięczam pani strzałkę w szyi.

– Nie musi mi pani dziękować.

– Wy dwoje wracajcie natychmiast do łóżka – poleciła Stephanie.

– Nie mam takiego zamiaru – powiedział Dixon, zaczynając schodzić po schodach. Stephanie widząc to, wymierzyła pistolet.

– Nie prowokuj mnie, Heather. Od niedawna jestem bezrobotna, wydano też nakaz aresztowania mnie.

Agentka Mosadu zatrzymała się, wyczuwając prawdopodobnie, że to nie czas na próbę sił.

– Sypialnia – powtórzyła Stephanie.

Dixon się zawahała.

– Natychmiast.

Dixon wróciła na szczyt schodów. Stephanie zebrała jej ubranie, wliczając w to buty.

– Nie zaryzykowałbyś publicznej kompromitacji – powiedziała do Daleya – ruszając za nami w pościg. Ale ona mogłaby to uczynić. Brak garderoby przynajmniej spowolni jej działania.

Po tych słowach wyszły.

CZTERDZIEŚCI DZIEWIĘĆ

WIEDEŃ
GODZINA 18.40

Thorvaldsen włożył szkarłatną szatę. Wszyscy członkowie byli zobowiązani do noszenia szat podczas Walnego Zgromadzenia. Pierwsze posiedzenie miało się rozpocząć o dziewiętnastej, nie czekał jednak na tę chwilę ze zniecierpliwieniem. Za dużo gadania i zazwyczaj mało działania. Nigdy nie potrzebował innych do osiągnięcia wyznaczonych celów. Ale sprawiało mu przyjemność przebywanie ze wspólnotą, która organizowała się po posiedzeniach.

Gary siedział na jednym z tapicerowanych krzeseł.

– Jak wyglądam? – zapytał Henrik jowialnym tonem.

– Niczym król.

Monarsza szata sięgała do kostek. Była uszyta z aksamitu, z wyhaftowanym złotymi nićmi mottem zakonu: *JE L'AY EMPRINS*. Odważyłem się. Strój był wzorowany na piętnastowiecznej szacie noszonej przez członków pierwszego Zakonu Złotego Runa.

Thorvaldsen sięgnął do znajdującego się na szyi łańcucha. Ciężkie złoto z czarnym emaliowanym krzemieniem tworzyło języki ognia. Ozdobne złote runo zwisało z jego środka.

– Dostaje to każdy członek, którego przyjmujemy do naszego grona. To nasz symbol.

– Wygląda na kosztowne.

– W rzeczy samej.

– Jest to naprawdę bardzo ważne dla ciebie?

Wzruszył ramionami.

– Jest to coś, co daje mi radość. Choć nie jest to bliskie przeżyciu religijnemu.

– Tato powiedział mi, że jesteś Żydem.

Thorvaldsen przytaknął.

– Nie wiem zbyt dużo na temat Żydów. Tylko to, że zginęły ich miliony podczas drugiej wojny światowej. Nie jest to coś, co w pełni rozumiem.

– Nie ty jeden. Nie-Żydzi zmagali się z naszym istnieniem od niepamiętnych czasów.

– Dlaczego ludzie nienawidzą Żydów?

Wielokrotnie rozmyślał o tej kwestii – podobnie zresztą jak filozofowie, teologowie i politycy, którzy debatowali o tym od wieków.

– Zaczęło się to od Abrahama. Miał dziewięćdziesiąt dziewięć lat, gdy Bóg go nawiedził i zawarł przymierze, tworząc Naród Wybrany, tych, którzy mieli otrzymać ziemię Kanaan. Na nieszczęście ten zaszczyt stał się zarazem naszym przekleństwem.

Zauważył, że temat interesuje chłopca.

– Czytałeś kiedykolwiek Biblię?

Gary potrząsnął przecząco głową.

– Powinieneś. Wspaniała księga. Bóg dał Izraelitom błogosławieństwo. Tak, żeby stali się Narodem Wybranym. Ale to ich reakcja na to błogosławieństwo ostatecznie zdeterminowała ich los.

– Co się wydarzyło?

– W Starym Testamencie jest mowa o tym, że się zbuntowali, palili kadzidła, dawali wiarę bożkom i idolom, kierowali się egoizmem. Dlatego Bóg za karę rozrzucił ich pośród nie-Żydów.

– To dlatego ludzie ich nienawidzą?

Dokończył zapinać pelerynę.

– Trudno powiedzieć. Jednakże Żydzi borykają się z prześladowaniami od tamtego czasu do dziś.

– Można odnieść wrażenie, że Bóg bywa porywczy.

– Bóg ze Starego Testamentu jest zupełnie inny od tego znanego z Nowego Testamentu.

– Nie jestem pewien, czy takim go lubię.

– Nie jesteś jedyny – przerwał mu Henrik. – Żydzi pierwsi podkreślali, że to człowiek jest odpowiedzialny za swoje czyny. Nie z winy Boga życie stało się niedobre. To nasza wina. I to sprawia, że się różnimy. Chrześcijanie interpretują to jeszcze szerzej. Ludzie zostali wypędzeni z Raju z własnej winy, ale ponieważ Bóg kocha ludzi, postanowił odkupić nasze winy przez krew swojego syna. Żydowski Bóg jest pełen gniewu.

Jego celem jest sprawiedliwość. Bóg chrześcijan jest miłosierny. Kolosalna różnica.

– Bóg powinien być dobry i łaskawy, prawda?

Uśmiechnął się, po czym rozejrzał się po eleganckim pokoju. Pora wyjaśnić wszystkie sprawy.

– Powiedz mi, co myślisz o tym, co się wydarzyło w pawilonie?

– Nie jestem pewien, czy panu Hermannowi spodoba się to, że uprowadziłeś jego córkę.

– Tak jak twoim rodzicom nie spodobało się to, co przydarzyło się tobie. Różnica jest taka, że ona jest dorosłą kobietą, a ty nastolatkiem.

– Dlaczego to wszystko się dzieje?

– Wydaje mi się, że niebawem się dowiemy.

Drzwi od komnaty sypialnej niespodziewanie się otworzyły i Alfred Hermann wtargnął do środka. On także paradował w królewskiej szacie ze złotym medalionem. Jego pelerynę ozdabiała szarfa z niebieskiego jedwabiu.

– Masz moją córkę? – zapytał Hermann ze wściekłością wymalowaną na twarzy.

Thorvaldsen stał niewzruszony.

– Mam.

– I wiesz oczywiście, że ten pokój jest na podsłuchu.

– To nie wymaga zbyt wielkiej inteligencji.

Dostrzegł rosnące napięcie. Hermann znalazł się na nieznanym sobie terenie.

– Henriku, nie będę tego tolerował.

– Co masz zamiar zrobić? Wezwać Szpony Orła, żeby się mną zajął?

Hermann się zawahał.

– To jest to, czego chcesz, prawda?

Thorvaldsen przybliżył się do Hermanna.

– Przekroczyłeś granicę, kiedy porwałeś tego młodzieńca. – Wskazał na Gary’ego.

– Gdzie jest Margarete?

– Jest bezpieczna.

– Nie masz w sobie dość determinacji, żeby ją skrzywdzić.

– Mam w sobie dość determinacji, żeby zrobić to, co będzie konieczne. Powinieneś to dobrze wiedzieć.

Hermann wbił w niego przenikliwe spojrzenie. Zawsze mu się wydawało, że koścista twarz Alfreda bardziej pasuje do chłopca niż do arystokraty.

– Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi.

– Tak samo jak ja. Najwidoczniej nie oznaczało to nic, skoro zabrałeś tego młodego chłopca jego matce i zniszczyłeś księgarnię jego ojca.

Pierwsza sesja Walnego Zgromadzenia miała zacząć się niebawem, dlatego właśnie Henrik zaplanował z precyzją moment ujawnienia własnych rewelacji. Hermann, jako Niebieskie Krzesło, przez cały czas musiał zachowywać dyscyplinę oraz pewność siebie. Nie mógł w żadnym wypadku pozwolić, żeby członkowie zakonu dowiedzieli się o kłopotliwym położeniu, w jakim się znalazł.

Nie wolno mu było również się spóźnić.

– Musimy iść – przemówił w końcu Hermann. – Ale to jeszcze nie koniec, Henriku.

– Zgadzam się. Dla ciebie to zaledwie początek.

PIĘĆDZIESIĄT

WASZYNGTON
GODZINA 13.30

– Czy nie mówiłaś, że przyciśniesz Daleya do ściany? – Green skierował pytanie do Stephanie.

Ona i Cassiopeia jechały teraz w limuzynie Greena, której tylny przedział był oddzielony od przednich siedzeń dźwiękoszczelną taflą pleksiglasu. Green zabrał je ze śródmieścia chwilę po tym, jak opuściły dom Daleya.

– Nie ruszyłby w pościg za nami. Heather mogła założyć jego ubranie, ale nie jego obuwie. Nie sądzę, żeby pędziła za nami boso i bez broni.

Green nie wydawał się do końca przekonany.

– Zakładam, że ujawnienie Daleyowi twojej tam obecności służyło jakiemuś celowi?

– Chętnie również bym o tym posłuchała – dodała Cassiopeia. – Mogłyśmy wymknąć się stamtąd, oni zaś nie mieliby o niczym pojęcia.

– Ja natomiast wciąż znajdowałabym się w krzyżowym ogniu. A teraz on musi zachować ostrożność. Mam coś, czego on potrzebuje. Jeśli nie odgrywa poważniejszej roli, Daley jest z pewnością dealerem.

Green wskazał na egzemplarz książki *Walka po trupach.*

– Cóż jest takie ważne?

Stephanie sięgnęła po laptop, o którego przywiezienie poprosiła Greena. Wsunęła jedną z przenośnych pamięci do wolnego portu USB i w polu edycji przeznaczonym na hasło wpisała CIOTKA B’S.

– Twoja dziewczyna dowiedziała się tego również? – zapytała Cassiopeia.

Stephanie przytaknęła.

– To pewna knajpka w stanie Maryland. Daley często wpada tam w weekendy. Jedzenie na wiejską modłę. Takie, jakie lubi. Choć we mnie

wzbudziło to zdziwienie, bo uważałam Daleya za konesera stołującego się w pięciogwiazdkowych restauracjach.

Na ekranie pojawiła się lista plików, każdy z nich miał jednowyrazową nazwę.

– Kongres – wyjaśniła.

Kliknęła jeden z plików.

– Dowiedziałam się, że Daley jest mistrzem, jeśli chodzi o dane i daty. Kiedy przyciska jakiegoś członka Kongresu w sprawie oddania głosu, dysponuje precyzyjnymi informacjami na temat kwot, jakie zawędrowały do kieszeni tego kongresmana. To osobliwe, on bowiem nigdy nie przekazuje tych pieniędzy bezpośrednio. Po prostu lobbyści, którym podoba się idea wyświadczania przysługi Białemu Domowi, wykonują brudną robotę. To zaś podsunęło mi myśl, że on prowadzi rejestr tych operacji. Nikt nie dysponuje tak doskonałą pamięcią.

Podliczyła.

– Czternaście płatności dla tego faceta na kwotę ogółem sto osiemdziesiąt siedem tysięcy dolarów w okresie sześciu lat. Tu są kwoty, miejsca oraz daty dokonania każdej zapłaty. – Pokręciła głową z niedowierzaniem. – Nic nie powoduje większej trwogi u polityka niż szczegóły.

– Czy mówimy o łapówkach?

Skinęła głową, przytakując.

– Wpłaty gotówkowe. Forsa do kieszeni. Kwoty zbyt małe, żeby przyciągać czyjąś uwagę, lecz dostatecznie duże, by podtrzymać sprawne łącza komunikacyjne. Proste i słodkie, ale właśnie tego rodzaju polityczny kapitał gromadzi Daley. Takim też posługuje się obecny Biały Dom. Dzięki temu udało im się przepchnąć wiele ustaw pod swoje dyktando.

Green wpatrywał się w ekran.

– Musi tu być ze stu członków Izby Reprezentantów, jeśli nie więcej.

– On jest skuteczny. Przyznaję mu to. Pieniądze krążą wokół niego. Po obu stronach politycznego podziału.

Kliknęła kolejny plik, który zawierał zestawienie senatorów. Około trzydziestu.

– Ma też w garści sporą kadrę sędziów federalnych. Wpadają w finansowe tarapaty, on zaś podsyła im ludzi, którzy na czas oferują pomoc. Znalazłam jednego w Michigan, który zaczął sypać. Był na

krawędzi bankructwa, gdy nagle jeden z przyjaciół pojawił się z pieniędzmi. W końcu dopadły go wyrzuty sumienia, zwłaszcza po tym, jak Daley zażądał od niego postępowania w ściśle określony sposób. Wydaje się, że prawnik, który piastował przed nim ten urząd, był hojnym partyjnym sponsorem i potrzebował niewielkich tylko gwarancji zwycięstwa.

– Sądy federalne to wylęgarnia korupcji – mruknął Green. – Mówię to od lat. Dajesz komuś dożywotnią nominację i sam prosisz się o kłopoty. Zbyt dużo władzy, zbyt mało kontroli.

Sięgnęła po inną pamięć przenośną.

– Jeden z nich wystarczy, żeby skazać kilku spośród tych padlinożernych sępów.

– Dość elokwentne określenie.

– To przez ich czarne togi. Wyglądają w nich jak padlinożerne sępy siedzące na konarach drzew, czekające, aż ścierwa zostaną ogryzione do samych kości.

– Taki masz szacunek dla naszej sędziowskiej palestry?

– Na szacunek trzeba zasłużyć.

– Mogę coś wtrącić? – zabrała głos Cassiopeia. – Dlaczego nie podamy tego do wiadomości publicznej? Przyciągnijmy uwagę. Zazwyczaj nie postępuję w ten sposób, ale wydaje się, że w tym wypadku to zadziała.

Green pokręcił głową z dezaprobatą.

– Jak zauważyła pani wcześniej, nie wiem zbyt dużo o Izraelczykach. Poza tym nie rozumie pani, jak działa machina *public relations* tej administracji. To dyscyplina mistrzowska w kreowaniu faktów. Potrafią tak zagmatwać sprawę, że po jakimś czasie nikt już nie będzie wiedział, o co chodziło, a my stracimy Daleya i zdrajcę.

– Brent ma rację – zgodziła się Stephanie. – To nie zadziała. Musimy to załatwić po swojemu.

Samochód utknął w korku. Telefon komórkowy Greena dał o sobie znać cichym dzwonkiem. Prokurator generalny sięgnął po aparat do kieszeni garnituru i wyciągnął go, po czym spojrzał na wyświetlacz.

– To powinno okazać się całkiem interesujące – skomentował. Nacisnął dwa przyciski i przemówił do mikrofonu. – Czekałem na telefon od ciebie.

– Założę się, że czekałeś – odezwał się Daley.

– Wydaje się, że jednak nie zawiozą mnie w tej skrzynce do Vermont.

– To jest jak partia szachów, Brent. Każdy ruch jest niczym przygoda. W porządku. Przyznaję ci punkty, spisałeś się całkiem nieźle.

– Musisz przyznać te punkty Stephanie.

– Jestem pewien, że ona jest obok ciebie. A zatem, dobra robota, Stephanie.

– Zawsze do usług, Larry.

– Niewiele to jednak zmienia – dał jasno do zrozumienia Daley. – Te elementy, o których wspominałem. Ci ludzie wciąż są rozdrażnieni.

– Musisz ich zatem uspokoić – odparła Stephanie.

– Czy chcesz porozmawiać? – zapytał Daley.

Stephanie zaczęła mówić, ale Green podniósł dłoń.

– Jaka będzie z tego korzyść?

– Może być spora. Gra idzie o wielką stawkę.

Nie mogła oprzeć się ciekawości.

– Większą niż mój tyłek?

– O wiele większą.

– Skłamałeś, kiedy twierdziłeś, że nie wiesz nic na temat aleksandryjskiego ogniwa, nieprawdaż? – chciał wiedzieć Green.

– Kłamstwo to takie ostre słowo. Raczej ukryłem pewne fakty w interesie narodowego bezpieczeństwa. Czy to jest cena, jaką będę musiał zapłacić?

– Uważam, że jest rozsądna, uwzględniając okoliczności.

Stephanie wiedziała, że Daley zdawał sobie sprawę, że mogą rozpowszechnić wiedzę na jego temat z całkowitą swobodą. Zarówno ona, jak i Green dysponowali kontaktami z mediami, takimi, które z niewypowiedzianą ochotą zmieszałyby z błotem obecną rządową administrację.

– W porządku. – Z głosu Daleya przebijała rezygnacja. – Jak zatem zamierzasz to rozegrać?

Stephanie znała odpowiedź.

– W publicznym miejscu. Wśród tłumu ludzi.

– To nie jest najlepszy pomysł.

– Jedyny sposób, w jaki możemy to załatwić.

W słuchawce na chwilę zapadła cisza, po czym Daley znów się odezwał.

– Powiedz mi gdzie i kiedy.

PIĘĆDZIESIĄT JEDEN

LIZBONA
GODZINA 19.40

Malone się obudził. Zajmował pozycję siedzącą, opierając się o ścianę z nieociosanego kamienia.

– Jest dziewiętnasta trzydzieści – powiedziała mu szeptem do ucha Pam.

– Jak długo spałem?

– Godzinkę.

Nie widział jej twarzy. Otaczała ich całkowita ciemność. Przeanalizował w myślach ich aktualne położenie.

– Wszystko w porządku? – zapytał cichym głosem McColluma.

– Miło i spokojnie.

Opuścili nawę kościoła tuż przed piątą i szybko przenieśli się na górny chór, gdzie znajdowały się drzwi prowadzące do klasztoru. Turyści powoli opuszczali świątynię, korzystając przy okazji z przedwieczornego słońca, które pozwalało im zrobić kilka ostatnich fotografii bardzo bogatych zdobień i ornamentów w stylu mauretańskim. Górna galeria nie oferowała bezpiecznego schronienia, lecz kiedy szli wzdłuż północnej ściany kościoła na poziomie parteru, natrafili na ciąg jedenastu drewnianych drzwi. Tabliczka wyjaśniała, że te niewielkie pomieszczenia służyły niegdyś za konfesjonały.

Chociaż drzwi do dziesięciu konfesjonałów były zamknięte, McCollum uporał się z otwarciem jednych z nich dzięki otworowi wywierconemu pod zasuwką. Najwyraźniej zamek był już niesprawny, a dziura służyła duchownym do otwierania drzwi. McCollum posłużył się robiącym wrażenie nożem wyciągniętym z kieszeni, za pomocą którego odsunął rygiel, a potem zasunął ponownie, kiedy już znaleźli się we wnętrzu. Malone nie miał pojęcia, że ich towarzysz był uzbrojony. Nie istniała żadna możliwość, żeby miał nóż na pokładzie samolotu, ale na lotnisku

w Londynie McCollum nadał niewielki bagaż, teraz umieszczony w skrytce w porcie lotniczym w Lizbonie. Malone do innej skrytki na lizbońskim lotnisku włożył torbę zabraną z mieszkania Haddada. To, że McCollum nie był łaskaw wspomnieć o nożu, jedynie pogłębiło podejrzliwość Cottona.

Wnętrze konfesjonału było oddzielone żelazną kratą od innej pogrążonej w mroku klitki. Drzwi tego drugiego pomieszczenia prowadziły do kościoła, pozwalając skruszonym pokutnikom wejść do konfesjonału. Krata oddzielała spowiednika od wiernego, kiedy ten pierwszy zadawał pokutę temu drugiemu.

Malone wstał i przypomniał sobie podobny, choć znacznie prostszy przybytek we własnym kościele. Nigdy nie potrafił zrozumieć, dlaczego nie wolno mu było patrzeć na duchownego, który odpuszczał mu grzechy, jakie popełnił. Kiedy zapytał o to, zakonnica, która uczyła go religii, odpowiedziała po prostu, że to oddzielenie było pożądane. Później się dowiedział, że Kościół katolicki był wielki i wspaniałomyślny, gdy chodziło o to, co należy zrobić, lecz nie kwapił się z wyjaśnieniami, dlaczego. Co po części tłumaczyło przyczyny, dla których Malone nie był już praktykującym chrześcijaninem.

Spojrzał na świecącą światłem fluorescencyjnym tarczę zegarka Pam marki TAG. Dochodziła dwudziesta. Było wcześnie, lecz to miejsce było już zamknięte od trzech godzin.

– Jakieś ruchy na zewnątrz? – zapytał cichym głosem McColluma.

– Nawet jednego szmeru.

– Bierzmy się więc do roboty – zachęcił szeptem przez ciemność. – Nie ma sensu przesiadywać tu choćby chwilę dłużej.

Usłyszał szczęknięcie otwieranego noża McColluma, potem zgrzyt metalu pocieranego o metal.

Drzwi konfesjonału otworzyły się ze skrzypieniem.

Cotton stał już na nogach, ale musiał pochylić głowę ze względu na niski strop.

McCollum odciągnął drzwi do wnętrza. Wyszli na zewnątrz do dolnej galerii. Chłodne wieczorne powietrze powitało ich po trzech godzinach przesiadywania w klitce wielkości szafy. W klasztornym wnętrzu, na górnej i dolnej galerii, bladym światłem jarzyły się świetlówki, misterne maswerki między łukami wydawały się bardziej cieniami niż architektonicznymi detalami. Malone wszedł do najbliższej arkady i spojrzał w górę na

wieczorne niebo. Ponurą atmosferę pogrążonego w mroku klasztoru dodatkowo podkreślało pozbawione gwiazd niebo.

Ruszył przed siebie w kierunku schodów, które prowadziły na górny chór. Miał nadzieję, że drzwi umożliwiające wejście do wnętrza kościoła – te same, z których korzystał wcześniej, kiedy przechodził z nawy na chór – nie zostały zamknięte.

Z zadowoleniem stwierdził, że były otwarte.

W nawie głównej panowała grobowa cisza.

Światła z reflektorów ustawionych na zewnątrz, w których kąpała się frontowa fasada, padały również na okna z witrażami. Kilka słabych żarówek rozpraszało nieco gęsty mrok w obrębie niższego chóru.

– To miejsce wygląda inaczej po zapadnięciu zmroku – stwierdziła Pam.

Podzielał jej zdanie. Znów wzmógł czujność.

Ruszył prosto w stronę baptysterium, po drodze przeskakując nad aksamitnymi sznurami. Gdy dotarł do głównego ołtarza, wszedł po pięciu schodkach i stanął przed sakramentarium.

Obrócił się i ponownie skoncentrował wzrok na górnym chórze przy drugim końcu nawy głównej.

Tęczówka rozety, teraz barwy bladoszarej, spoglądała ku niemu. Martwa, pozbawiona słonecznego światła.

McCollum potrafił chyba przewidzieć, co było mu potrzebne, i pojawił się obok niego ze świecą oraz zapałkami.

– Ofiarny świecznik, tam z tyłu, w pobliżu chrzcielnicy. Zauważyłem go już wcześniej.

Malone chwycił świecę, a McCollum zapalił knot. Przystawił płomyk świecy do tabernakulum – na drzwiczkach pojawił się wizerunek.

Matka Boska w pozycji siedzącej, z Dzieciątkiem na kolanach, Józef z tyłu za nią, wszystkie trzy postaci w aureolach. Trzech brodatych mężczyzn, z których jeden klęczał przed Dzieciątkiem, składało hołd. Trzech innych mężczyzn – jeden z nich, co osobliwe, miał na głowie coś, co przypominało wojskowy hełm – przyglądało się z boku. Nad tą sceną, na niebieskim firmamencie oddzielonym chmurami, świeciła wielkim blaskiem pięcioramienna gwiazda.

– To narodzenie Chrystusta – usłyszał głos Pam dobiegający z tyłu.

Zgodził się z nią.

– Z pewnością tak to wygląda. Trzech Króli podążających za gwiazdą, którzy przybyli oddać hołd nowo narodzonemu królowi.

Przywołał w myślach słowa „peregrynacji” oraz to, czego powinni tutaj szukać – w miejscu, gdzie srebro przemieniało się w złoto. *Odnajdź miejsce, które ma adres, lecz nie ma lokalizacji, gdzie znajduje się kolejne miejsce.*

Zagadka, która stanowiła prawdziwe wyzwanie.

– Musimy opuścić to miejsce, ale wcześniej potrzebne nam będzie zdjęcie tej sceny. Nikt z nas nie ma aparatu fotograficznego, co zatem robimy?

– Po tym, jak kupiłem bilety – odezwał się McCollum – poszedłem schodami na górę. Tam jest sklepik z dewocyjnymi pamiątkami. Pełen albumów i widokówek. Założę się, że znajdziemy tam właściwe zdjęcie.

– Niezły pomysł – pochwalił Malone. – Niech pan prowadzi.

Sabre szedł po schodach prowadzących na górną galerię, zadowolony z dokonania właściwego wyboru. Kiedy Alfred Hermann powierzał mu zadanie odnalezienia biblioteki, w jego umyśle szybko uformował się ostateczny plan. Zlikwidowanie na terenie Niemiec izraelskiej ekipy, która go inwigilowała, przypieczętowało realizację tego planu.

Hermann nigdy nie usankcjonowałby sprowokowania Żydów uczynionego z premedytacją. Raczej niemożliwe było również przekonanie go o konieczności tych zabójstw, które po prostu miały na celu zachwianie równowagi na kilka dni, jakie były mu potrzebne do osiągnięcia celu.

O ile jego osiągnięcie było w ogóle możliwe.

Ale przecież mogło być.

Sam nigdy nie zdołałby rozwiązać zagadek zawartych w „peregrynacjach herosa”. Zaangażowanie kogoś innego niż Malone nie przyniosłoby żadnego pożytku poza zwiększeniem ryzyka dekonspiracji. Uczynienie z Malone’a pozornego sojusznika było jedynym realnym sposobem na to, aby posuwać się naprzód.

Ryzykowny ruch, ale – jak dotąd – niezwykle produktywny. Połowa zagadek umieszczonych w „peregrynacjach” była już rozwiązana.

Dotarł na ostatni stopień schodów i wszedł na górną galerię. Skręcił w lewo i ruszył prosto w kierunku przeszklonych drzwi, jakie zupełnie nie pasowały do tego renesansowego wnętrza. Telefon komórkowy, wsunięty do kieszeni spodni, zarejestrował tymczasem cztery próby połączenia, jakie podjął Alfred Hermann. Sabre zastanawiał się w myślach, czy nawiązać kontakt i nieco ukoić niepokój starego człowieka, ale doszedł do przekonania, że byłoby to głupotą. Za dużo pytań – on zaś był w stanie udzielić odpowiedzi zaledwie na kilka. Przez długi czas zgłębiał historię zakonu, a zwłaszcza losy Alfreda Hermanna, i uważał, że zrozumiał ich mocne i słabe strony.

Przede wszystkim, członkowie zakonu byli dealerami.

Zanim Izraelczyków, Saudyjczyków lub Amerykanów będzie można wycisnąć jak cytryny, Zakon Złotego Runa będzie musiał dogadać się z nim.

On zaś nie zamierzał tanio sprzedać skóry.

Malone podążał za Pam i McCollumem na zwieńczoną żebrowanym sklepieniem górną galerię, podziwiając fachową robotę. Z urywków opowieści, jakie słyszał wcześnie z ust przewodników grup turystycznych, wiedział, że zakon hieronimitów, który przejął klasztor w XVI stuleciu, stanowił niewielką grupę ludzi oddanych modłom, kontemplacji oraz szerzeniu idei reformacji. Nie wypełniali bezpośrednio misji ewangelizacyjnej ani duszpasterskiej. Za to koncentrowali się na prowadzeniu żywota na wzór Chrystusa, przez oddawanie czci Bogu – w dużym stopniu naśladując swojego patrona Hieronima, o którym czytał sporo w książce zabranej z Bainbridge Hall.

Zatrzymali się przed przeszklonymi drzwiami wpasowanymi w jeden z misternie wykończonych łuków. Za nimi znajdował się sklepik z pamiątkami.

– Raczej nie ma tu alarmu – wysunął przypuszczenie McCollum. – Cóż można stąd ukraść? Pamiątki?

Drzwi były wykonane z grubych tafli szkła, umocowanych w ozdobnych zawiasach z pomalowanego na czarno metalu i wyposażonych w chromowane klamki.

– Otwierają się na zewnątrz – stwierdził Malone. – Nie można więc otworzyć ich kopnięciem. Szkło ma grubość ponad centymetra.

– Dlaczego nie sprawdzisz, czy w ogóle są zamknięte? – zapytała Pam.

Cotton chwycił za klamkę i pociągnął.

Drzwi się otworzyły.

– Teraz rozumiem, dlaczego twoi klienci wysoko cenią twoją opinię.

– Po cóż mieliby je zamykać? – skomentowała. – To miejsce przypomina fortecę. Poza tym McCollum ma rację. Co stąd można ukraść? Same drzwi są warte więcej niż wyłożony towar.

Malone uśmiechnął się, doceniając logikę jej myślenia. Niektóre aspekty typowego dla niej opryskliwego sposobu bycia powróciły, lecz jemu to nie przeszkadzało. Pomagało mu to myśleć przenikliwie.

Weszli do środka. Ciemne, pachnące nieco stęchlizną wnętrze przypominało mu konfesjonał. Otworzył drzwi na oścież i przytrzymał w tej pozycji, w jakiej zapewne pozostawały w ciągu dnia, kiedy tłumy turystów sunęły tu nieprzerwanym potokiem.

Sklepik miał powierzchnię kilku metrów kwadratowych. Były tu trzy wysokie gabloty przystawione do jednej ze ścian.

Dwa stojaki z książkami stały przy pozostałych dwóch ścianach, a ladę i kasę ustawiono przy czwartej ścianie. Pośrodku pomieszczenia znajdował się wolno stojący stół zapełniony książkami.

– Potrzebujemy światła – oznajmił Malone.

McCollum podszedł do drugiej pary przeszklonych drzwi, które prowadziły ku pogrążonym w mroku schodom. Ze ściany wystawały tu trzy włączniki.

– Jesteśmy we wnętrzu klasztoru – podjął Malone. – Światło nie przejdzie przez te ściany. Lecz na wszelki wypadek niech pan włączy je tylko na moment i zaraz zgasi. Sprawdźmy, co się stanie.

McCollum nacisnął jeden z włączników. Zapaliły się cztery halogenowe reflektorki, które oświetliły szklaną gablotę. Wąskie smugi

światła były skierowane ku dołowi. Zrobiło się jaśniej niż tego potrzebowali.

– Wystarczy – uznał Malone. – A teraz poszukajmy czegoś z fotografiami.

Na ustawionym pośrodku stole leżały woluminy w twardej oprawie, wydane w językach portugalskim i angielskim, wszystkie opatrzone tym samym tytułem: *Opactwo Hieronimitów w Santa Maria*. Kredowy papier, bardzo dużo tekstu. Sporo też fotografii. Cieńsze woluminy ułożone w dwóch stosach obok zawierały więcej zdjęć, za to mniej opisów. Cotton zaczął kartkować książki z pierwszego stosu, Pam zajęła się drugim. McCollum sprawdzał zawartość innych półek. W jednej z publikacji Malone natrafił na rozdział poświęcony prezbiterium oraz na kolorową fotografię, na której widniały wykonane ze srebra drzwiczki sakramentarium.

Podszedł z książką bliżej źródła światła. Zdjęcie było zbliżeniem i przedstawiało detale obiektu.

– To jest to.

Zaczął czytać tekst poświęcony sakramentarium, starając się ocenić, czy informacje te będą przydatne. Dowiedział się, że było ono wykonane z drewna i pokryte srebrem. Umieszczenie tabernakulum w prezbiterium wymagało ściągnięcia w dolnym rzędzie środkowego płótna, które później gdzieś zaginęło. Scenę z tego obrazu uwieczniono w płaskorzeźbie zdobiącej drzwiczki sakramentarium, uzupełniając tym samym ikonograficzny cykl, jaki prezentowały obrazy – wszystkie z nich wiązały się z epifanią, dniem Objawienia Pańskiego. Scena na drzwiczkach przedstawiała Kacpra, jednego z Mędrców, który składał pokłon przed nowo narodzonym Dzieciątkiem. W przewodniku podkreślono, że epifania symbolizowała poddanie tego, co świeckie, temu, co boskie, a Trzej Mędrcy stanowili symbol znanych wówczas części świata – Europy, Azji oraz Afryki.

Dalej natrafił na interesujący ustęp.

> *Osobliwe zjawisko jest obserwowane o określonej porze roku, kiedy promienie słońca przechodzą przez kościelną nawę w niezwykły sposób. Przez dwadzieścia dni przed wiosennym zrównaniem dnia z nocą oraz w ciągu trzydziestu dni po jesiennym zrównaniu złociste*

promienie słońca, począwszy od godziny nieszporów aż po zachód słońca, wchodzą do wnętrza od zachodu i pokonują dystans 450 kroków, idąc w linii prostej przez chór, nawę główną kościoła i docierają do sakramentarium, przemieniając srebro, jakim jest pokryte, w złoto. Jeden z proboszczów parafii Bélem, oddany żarliwie zgłębianiu historii, już dawno temu zauważył, że „można by odnieść wrażenie, że słońce prosi swojego stwórcę o chwilę wytchnienia od tak uciążliwego obowiązku, w ciągu kilku nocnych godzin, obiecując powrócić na firmament wraz z brzaskiem, kiedy to znów zaświeci”.

Przeczytał im ten ustęp na głos.

– Gwardianie byli najwyraźniej dobrze poinformowani.

– I dysponują dobrym wyczuciem czasu – dodała Pam. – Upłynęły dwa tygodnie od jesiennego ekwinokcjum.

Wyrwał stronę ze zdjęciem z książki i przywołał z pamięci ostatnie zdanie z fiszki.

– *Odnajdź miejsce, które ma adres, lecz nie ma lokalizacji, gdzie znajduje się kolejne miejsce.* To kolejna zagadka. Jeszcze trudniejsza.

– Cotton, zapewne już wcześniej dostrzegłeś powiązanie – stwierdziła Pam.

Tak było, on zaś poczuł zadowolenie, że jej umysł również pracuje na wysokich obrotach.

– *Gdzie powracająca gwiazda odnajduje rozetę, przebija drewniany krzyż i przemienia srebro w złoto. Odnajdź miejsce* – wskazała na fotografię z książki. – Drzwiczki tabernakulum. Betlejem. Narodzenie Chrystusa. Teraz znajdujemy się w Belém. Pamiętasz, co czytaliśmy rano w Londynie. To portugalska nazwa Betlejem. A co napisał Haddad? *Wielkie podróże często rozpoczynają się od epifanii, czyli objawienia*.

– Sądzę, że dojdziesz do finałowej rundy Wielkiej Gry – skomentował Malone.

Z oddali dosłyszeli odgłos tłuczonego szkła.

– To dobiegło z wnętrza klasztoru – ocenił McCollum.

Malone podbiegł do wyłączników i zgasił halogenowe reflektorki. Znów ogarnęła ich ciemność. Upłynęła chwila, zanim jego wzrok przyzwyczaił się do mroku.

Znowu brzęk tłuczonego szkła.

Podkradł się do otwartych drzwi i zorientował się, skąd dobiegł odgłos. Przeciwległy narożnik po przekątnej, na dolnym poziomie.

W półmroku dostrzegł jakiś ruch, potem zobaczył, jak trzej mężczyźni przechodzą przez inne przeszklone drzwi.

Każdy z nich był uzbrojony.

Rozeszli się tyralierą po dolnej galerii.

PIĘĆDZIESIĄT DWA

WASZYNGTON
GODZINA 14.45

Stephanie podała bilet woźnemu i weszła do Narodowego Muzeum Lotnictwa i Kosmonautyki. Green nie przyjechał z nimi, ponieważ obecność prokuratora generalnego w miejscu do tego stopnia publicznym raczej nie przeszłaby niezauważona. Stephanie wybrała muzeum ze względu na liczne przezroczyste ściany w budynku, który cieszył się reputacją najliczniej odwiedzanego na świecie, a także dlatego, że wiedziała o zastępach funkcjonariuszy służby ochrony oraz zainstalowanych wykrywaczach metalu. Wątpiła, żeby Daley już teraz chciał uruchomić oficjalną procedurę, która musiałaby prowadzić do niewygodnych pytań, ale mógł przyprowadzić z sobą Heather Dixon oraz Arabów.

Stephanie i Cassiopeia przepychały się przez tłum zwiedzających i rozglądały po wnętrzu gmachu muzeum, długości trzech przecznic, wzniesionego ze stali, marmuru i szkła. Strop wisiał nad nimi na wysokości ponad trzydziestu metrów, co tworzyło efekt ogromnego hangaru. Prezentowano tutaj historię podboju przestworzy i potem kosmosu, poczynając od aeroplanu braci Wright, przez *Spirit of St. Louis* Lindbergha i na *Apollo 11*, rakiecie, jaka odbyła podróż na Księżyc, kończąc.

– Sporo tu ludzi – mruknęła Cassiopeia.

Minęły kino IMAX, gdzie ustawiła się długa kolejka, i weszły do tłumnie obleganej Sali Przestrzeni Kosmicznej. Daley stał obok naturalnych rozmiarów Księżycowego Modułu, kształtem przypominającego pająka. Astronauta manekin balansował na drabince przy nodze lądownika.

Daley sprawiał wrażenie osoby spokojnej, pogrążonej w myślach. Nawet jeden włosek nie burzył jego jak zawsze nienagannej fryzury wyretuszowanej brylantyną.

– Przyniosłam ci twoje ubranie – powiedziała, kiedy podeszły bliżej.

– Nie doceniałem ciebie, Stephanie. Mój błąd. Nie popełnię go ponownie.

– Zostawiłeś w domu całą swoją eskortę?

Wiedziała, że Daley rzadko ruszał się gdziekolwiek bez osobistych ochroniarzy.

– Wszystkich za wyjątkiem jednego.

Wykonał gest. Stephanie i Cassiopeia odwróciły się. Po drugiej stronie ekspozycji Skylab pojawiła się Heather Dixon.

– Umowa jest anulowana, Larry – oznajmiła.

– Chcesz się dowiedzieć więcej na temat aleksandryjskiego ogniwa? Ona właśnie uzupełni luki w twojej wiedzy.

Dixon szła bez pośpiechu w ich kierunku, przeciskając się przez grupy zwiedzających. Grupa rozkrzyczanych dzieciaków zastygła w bezruchu przy Księżycowym Module, przywierając do drewnianej balustrady, jaka otaczała muzealny eksponat. Daley poprowadził je bliżej do wąskiego przejścia z tyłu za nim, wzdłuż którego biegła ściana ze szkła, oddzielająca również zatłoczoną muzealną restaurację.

– Wciąż możesz uważać się za nieboszczkę – Dixon nie pozostawiła jej żadnych złudzeń.

– Nie przyszłam tutaj wysłuchiwać pogróżek.

– Ja natomiast jestem tutaj wyłącznie dlatego, że otrzymałam takie polecenie od własnego rządu.

– Wszystko po kolei – przywołał je do porządku Daley.

Dixon wyjęła elektroniczny przyrząd rozmiarów telefonu komórkowego i włączyła go. Po kilku sekundach pokręciła przecząco głową.

– Nie mają podsłuchu.

Stephanie wiedziała, jak działa to urządzenie. Agenci biura Magellan Billet rutynowo z niego korzystali. Chwyciła detektor i wycelowała go w Dixon, a następnie w Daleya.

Tych dwoje również nie miało pluskiew.

Rzuciła przyrząd z powrotem do Dixon.

– W porządku, ponieważ jesteśmy sami, mów.

– Jesteś suką – zaczęła Dixon.

– Świetnie. Czy możemy teraz przejść do sedna tego dramatu?

– A zatem, krótko i treściwie – zabrał głos Daley. – Przed trzydziestoma laty George Haddad przeczytał egzemplarz gazety z Arabii Saudyjskiej, opublikowanej w Rijadzie, poświęcony nazwom miejscowości w zachodniej części Półwyspu Arabskiego, przetłumaczonym na język starohebrajski. Po co mu to było, nie mam zielonego pojęcia. Brzmi to tak, jak patrzenie na wysychającą farbę. Wtedy jednak dostrzegł, że niektóre nazwy są zbieżne z nazwami, jakie pojawiają się w Biblii.

– Starohebrajski – wtrąciła Cassiopeia – to trudny język. Brak w nim samogłosek. Trudny w interpretacji i pełen niejednoznaczności. Naprawdę trzeba się na nim dobrze znać.

– Ekspertka? – zapytała Dixon.

– Raczej nie.

– Haddad jest ekspertem – podjął Daley. – I tu właśnie tkwi problem. Te biblijne nazwy osad i miejsc, jakie wychwycił, skupiały się na pasie ziemi długości około sześciuset pięćdziesięciu kilometrów i szerokości stu pięćdziesięciu. W zachodniej części Arabii Saudyjskiej.

– Asir? – chciała upewnić się Cassiopeia. – Tam, gdzie leży Mekka?

Daley przytaknął.

– Haddad spędził lata na poszukiwaniu innych miejsc, lecz nie znalazł podobnej koncentracji starohebrajskich nazw miejscowości w żadnym innym zakątku świata, wliczając w to samą Palestynę.

Stephanie zdała sobie sprawę, że Stary Testament był tekstem autorstwa Izraelitów żyjących w starożytności. Jeśli więc nazwy miejscowości istniejących współcześnie w zachodniej części Półwyspu Arabskiego, przetłumaczone na starohebrajski, były nazwami rzeczywistych biblijnych osad i miejsc, pociągałoby to za sobą kolosalne konsekwencje polityczne.

– Chcesz przez to powiedzieć, że Izraelici nigdy nie zamieszkiwali Ziemi Świętej?

– Oczywiście, że nie chcę – odparła Dixon. – Byliśmy tam. Wszystkim, co on chce powiedzieć, jest to, że w przekonaniu Haddada Stary Testament jest zbiorem relacji opisujących losy Żydów zamieszkujących zachodnie obszary Półwyspu Arabskiego. Zanim wyruszyli na północ na ziemie, które znamy pod nazwą Palestyny.

– Biblia zatem pochodzi z Arabii? – zapytała Stephanie.

– To jedna z możliwych hipotez – podjął relację Daley. – Wnioski Haddada potwierdziły się, kiedy zaczął sprawdzać szczegóły geograficzne.

Przez ponad stulecie archeologowie usiłowali odnaleźć w Palestynie miejsca, które odpowiadałyby biblijnym opisom. Nic jednak nie pasuje. Haddad natomiast odkrył, że jeśli przyjrzeć się z bliska osadom na zachodzie Arabii Saudyjskiej, których nazwy uprzednio przełoży się na starohebrajski i potem porówna się to z biblijną geografią, miejsce po miejscu pasuje jak ulał.

Stephanie wciąż żywiła wątpliwości.

– Dlaczego więc nikt nie dostrzegł tego wcześniej? Przecież z całą pewnością Haddad nie jest jedynym człowiekiem, który włada dobrze starohebrajskim.

– Inni również to zauważyli – wtrąciła Dixon. – Trzy osoby, między tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym a dwa tysiące drugim rokiem.

Uwadze Stephanie nie uszedł ostateczny charakter wypowiedzi Dixon.

– Ale twój rząd zatroszczył się o nich? Dlatego właśnie Haddad musi zginąć?

Dixon nie fatygowała się z odpowiedzią.

Cassiopeia przerwała chwilową ciszę.

– Wszystko to sprowadza się do wzajemnie sprzecznych roszczeń, czyż nie? Bóg zawarł przymierze z Abrahamem i podarował mu Ziemię Obiecaną. W Księdze Rodzaju czytamy, że przymierze zostało przeniesione na Żydów za pośrednictwem Izaaka, syna Abrahama.

– Przez całe stulecia zakładano – znów przemówił Daley – że kraina, którą Bóg przeznaczył dla Abrahama, leży tam, gdzie dzisiejsza Palestyna. Jeśli jednak tak nie jest, to co? Jeśli kraina upatrzona przez Boga znajdowała się gdzie indziej, co wtedy? Gdzieś z dala od Palestyny. Na zachodzie Półwyspu Arabskiego.

Cassiopeia nie mogła powstrzymać chichotu.

– Chyba się panu pomieszało w głowie. Tam mają się znajdować korzenie Starego Testamentu? W sercu islamu? Na ziemi Żydów, obiecanej im przez Boga, ma leżeć Mekka? Przed kilkoma laty islamscy fanatycy wywołali zamieszki na całym świecie tylko z powodu karykatury Mahometa. Wyobraża pan sobie, do czego zdolni byliby ci ludzie, dysponując czymś takim?

Daley sprawiał wrażenie niczym nieporuszonego.

– Z tego właśnie powodu Saudyjczycy i Izraelczycy pragnęli śmierci Haddada. On zaś oznajmił, że dowody potwierdzające jego hipotezę

znajdują się w zaginionej Bibliotece Aleksandryjskiej. Dowiedział się o tym od osoby, która nazwała siebie gwardianem.

– Podobnie jak tamci trzej pozostali – uzupełniła Dixon. – Każdemu z nich złożył wizytę emisariusz zwany gwardianem, który oferował przekazanie wskazówek umożliwiających dotarcie do biblioteki.

– O jakiego rodzaju dowodach może być mowa? – chciała wiedzieć Stephanie.

Daley sprawiał teraz wrażenie, jakby tracił cierpliwość.

– Przed pięcioma laty Haddad powiadomił władze Autonomii Palestyńskiej, że w jego przekonaniu można posłużyć się starożytnymi dokumentami w celu potwierdzenia sformułowanej przez niego teorii. Jedynie Stary Testament, spisany na długo przed Chrystusem w oryginalnej hebrajskiej wersji, byłby rozstrzygający. Obecnie najstarszy zachowany egzemplarz pochodzi z dziesiątego stulecia naszej ery. Z innych materiałów źródłowych, jakie zdołały dotrwać do naszych czasów, Haddad wiedział, że w zbiorach Biblioteki Aleksandryjskiej były też teksty biblijne. Ich odnalezienie stanowiłoby jedyny sposób potwierdzenia czegokolwiek, Saudyjczycy bowiem nie pozwolą na prowadzenie wykopalisk archeologicznych na obszarze Asiru.

Stephanie wciąż miała w pamięci słowa, jakie we wtorkowy ranek powiedział do niej Green.

– Z tego też powodu z pomocą buldożerów zniszczyli te osady. Ogarnęła ich trwoga. Nie chcieli, żeby cokolwiek odnaleziono. Nic, co mogłoby zostać powiązane z Biblią Żydów.

– I dlatego też teraz pragną twojej śmierci – podsumowała Dixon. – Mieszasz się w ich sprawy. Oni zaś nie zamierzają podejmować nawet najmniejszego ryzyka.

Stephanie spojrzała w stronę Sali Przestrzeni Kosmicznej. Wystawione tu rakiety sięgały stropu. Podekscytowane szkolne dzieci przemykały między poszczególnymi eksponatami. Skierowała na Dixon nienawistne spojrzenie.

– Twój rząd daje wiarę temu wszystkiemu?

– Dlatego właśnie zginęli ci trzej ludzie. I dlatego Haddad znalazł się na celowniku.

Wskazała na Daleya.

– On nie jest przyjacielem Izraela. Zamierza wykorzystać to, co uda mu się znaleźć, żeby powalić wasz rząd na kolana.

Dixon się roześmiała.

– Stephanie, przegrywasz tę partię.

– Nie ulega wątpliwości, że on kieruje się jakimiś motywami.

– Nie masz pojęcia o moich motywach – zadeklarował Daley, nie będąc w stanie powstrzymać narastającego oburzenia.

– Wiem, że jesteś kłamcą.

Daley spojrzał na nią niepewnym wzrokiem. Sprawiał nawet wrażenie zdezorientowanego, co ją zaskoczyło.

– Co tu się dzieje, ale tak naprawdę, Larry?

– Więcej, niż jesteś w stanie pojąć.

PIĘĆDZIESIĄT TRZY

LIZBONA
GODZINA 20.45

Malone wycofał się do wnętrza sklepiku, lecz nie spuszczał wzroku z trójki uzbrojonych mężczyzn, którzy wyszkolonymi ruchami zbliżali się dolną galerią. „Profesjonaliści. Pięknie!”

Wykorzystał jedną z przeszklonych gablot stojących obok drzwi w charakterze osłony, mając koło siebie Pam. Wciąż spoglądał w stronę klasztornej galerii. McCollum podkradł się za stół ustawiony pośrodku.

– Oni są na dole, a my na górze. Dzięki temu możemy zyskać kilka minut. Kościół i galerie są rozległe. Szukanie zajmie im trochę czasu. Czy te drzwi są zamknięte? – zwrócił się do McColluma, wskazując na drugą parę przeszklonych drzwi wychodzących ze sklepu.

– Obawiam się, że tak. Prowadzą na dół i na zewnątrz. Muszą więc być zamykane, na wszelki wypadek.

Ich położenie wcale nie przypadło mu do gustu.

– Musimy się stąd wynosić.

– Cotton – odezwała się Pam.

Ponownie skupił uwagę na górnej galerii. Jeden z mężczyzn pojawił się u szczytu schodów prowadzących na dół i ruszył w kierunku sklepiku z pamiątkami.

McCollum podczołgał się do Cottona.

– Nie pan ją zabierze za ladę z kasą i tam się ukryje.

Każdy, kto zabił dwóch ludzi strzałem w głowę, a niedługo potem zajadał się śniadaniem, budził sporą dozę respektu. Mallone postanowił się więc nie spierać. Chwycił Pam za rękę i poprowadził ją na drugą stronę lady z kasą.

Zobaczył, jak McCollum bierze do ręki nóż.

Trzy przeszklone gabloty, ustawione jedna obok drugiej, stały odsunięte od siebie na tyle, żeby McCollum swobodnie wsunął się między nie. Mrok

sprawił, że był niewidoczny, przynajmniej do chwili, kiedy będzie już za późno, aby jego ofiara zdążyła zareagować.

Uzbrojony mężczyzna podchodził coraz bliżej.

Stephanie traciła resztki cierpliwości dla Larry’ego Daleya.

– Co masz na myśli, mówiąc „więcej niż jesteś w stanie pojąć”.

– W tej administracji są tacy, którzy pragną, żeby teoria Haddada się potwierdziła – wyjaśnił Daley.

Przypomniała sobie słowa, które Daley skierował do Brenta Greena, kiedy sądził, że byli sami.

– Wliczając ciebie.

– To nieprawda.

Nie dawała mu wiary.

– Bądź realistą, Larry. Znalazłeś się tu wyłącznie dlatego, że mam na ciebie haki.

Daley był tym najwyraźniej niewzruszony.

– Czas spojrzeć prawdzie w oczy, Stephanie. Nasi ludzie od mediów obrócą wszystko, co przyniesiesz, w opowieść o dowodach sfabrykowanych przez urzędnika pozbawionego właściwej kontroli, który usiłował ocalić własną posadę. Z pewnością zrobi się trochę zamieszania, prasa będzie zadawać dociekliwe pytania, lecz posiadasz zbyt mało, by pociągnąć mnie czy kogokolwiek innego na dno. Nie wręczyłem nikomu nawet złamanego centa. A ci lobbyści? Słowa przeciw słowom. To bitwa, którą przegrasz.

– Być może. Ty jednak będziesz unurzany w błocie. Twoja kariera dobiegła kresu.

Daley wzruszył ramionami.

– Ryzyko zawodowe.

Cassiopeia spoglądała badawczo w stronę sali ekspozycyjnej. Stephanie wyczuła w niej niepokój. Zwróciła się więc do Daleya.

– Przejdź do sedna sprawy.

– Sedno – podjęła Dixon – polega na tym, że chcemy ukręcić sprawie łeb, ale ktoś w waszym rządzie najwyraźniej pragnie, żeby stało się odwrotnie.

– Zgadza się. On – podchwyciła Stephanie i wskazała na Daleya.

Cassiopeia podeszła do Księżycowego Modułu i grupy dzieciaków skupionych dookoła lądownika.

– Stephanie – odparł Daley. – Oskarżasz mnie o zainicjowanie przecieku w sprawie aleksandryjskiego ogniwa. Nie potrafisz jednak odróżnić wrogów od przyjaciół. Ziejesz nienawiścią do obecnej administracji. W twoich oczach prezydent jest idiotą. Ale w administracji są również inni, znacznie gorsi, niebezpieczni ludzie.

– Nie – wyraziła odmienny pogląd. – Wszyscy oni są fanatykami. Lojalni wobec swoich partii, których usta od lat są pełne frazesów. Teraz wreszcie znaleźli się w położeniu, które pozwala im czegoś dokonać.

– Obecnie ich najważniejszym priorytetem jest Izrael.

– Przestań mówić zagadkami, Larry. Powiedz mi to, co chcesz, żebym wiedziała.

– Za wszystkim kryje się wiceprezydent.

Nie wierzyła własnym uszom.

– Nie żartuj sobie.

– Jest powiązany z Saudyjczykami. Od długiego czasu finansują go. Potrafił być wszędobylski. Kilka kadencji w Kongresie, trzy lata jako sekretarz skarbu, a teraz drugi fotel w hierarchii. On jednak pragnie najwyższej posady, czego zresztą nie kryje. Lojalni działacze partyjni zresztą już obiecali mu nominację. Ma przyjaciół, którzy potrzebują dobrych relacji z Saudyjczykami, ci przyjaciele natomiast udzielą mu finansowego wsparcia. On i prezydent pozostają w sporze w kwestii Bliskiego Wschodu. Jest też blisko związany z saudyjską rodziną królewską, chociaż się z tym nie afiszuje. Oficjalnie nawet skopał im tyłki kilka razy. Ale to za jego sprawą Saudyjczycy dowiedzieli się o aleksandryjskim ogniwie. To jego kupon, który zapewnia mu ich przychylne nastawienie.

To, co słyszała, przeczyło całkowicie słowom Brenta Greena; prokurator generalny wziął bowiem na siebie całą winę za przeciek.

Cassiopeia powróciła na miejsce.

– Co się dzieje? – zapytała ją Stephanie.

– Kończ to.

– Problemy?

– Złe przeczucia.

– Zbyt dużo intryg w pani życiu – zwróciła się Dixon do Cassiopei.

– Zbyt wiele kłamstw w pani egzystencji.

Stephanie spoglądała na Daleya, zmagając się z myślami.

– Wydawało mi się, że przed kilkoma minutami stwierdziłeś, że komuś w tej administracji zależy na potwierdzeniu teorii Haddada. Teraz natomiast utrzymujesz, że wiceprezydent przekazał Saudyjczykom informacje na ten temat. Oni przecież też chcą ukręcić łeb sprawie. Jak to rozumieć?

– Stephanie, to, co zabrałaś z mojego domu, wykończy mnie. Pracowałem w cieniu. Zawsze tak było. Ale ktoś musi to robić. Chcesz dopaść mnie czy wolisz złapać tego, który rzeczywiście kryje się za tym wszystkim?

To jednak nie była odpowiedź na postawione przez nią pytanie.

– Pragnę dopaść was wszystkich.

– Nie ma takiej możliwości. Czy chociaż raz możesz posłuchać? Czasami trzeba rąbać kloc drewna toporem przez cały dzień, a lecą tylko wióry. Wystarczy jednak wbić klin w sam środek, a pień rozszczepi się na szczapy za każdym razem.

– Starasz się po prostu ocalić własną skórę.

– Powiedz jej – Daley zwrócił się do Dixon.

– W waszym rządzie zarysował się podział. Wciąż jesteście naszymi przyjaciółmi, ale są tacy, którzy pragną to zmienić.

Na Stephanie nie zrobiło to specjalnego wrażenia.

– Zawsze tak jest. Dwie strony w każdej sprawie.

– Tym razem jest inaczej – nie zgodziła się Dixon. – Dzieje się coś więcej. A Malone dotarł już do Portugalii.

Ta wieść przyciągnęła jej uwagę.

– Mosad planuje zająć się tam nim.

Daley przejechał palcami po włosach.

– Stephanie, dwie frakcje toczą z sobą walkę. Jedna po stronie Arabów, druga trzymająca z Żydami. Obie dążą do tego samego, tym razem kierują się tymi samymi pobudkami. Wiceprezydent jest powiązany z Arabami...

W przepastnej hali muzeum rozległ się alarm, następnie z głośników systemu nagłaśniającego dobiegł beznamiętny głos, obwieszczając, że

gmach muzeum należy jak najszybciej opuścić.

Stephanie chwyciła Daleya za rękę.

– To nie ja – odparł pospiesznie.

Sabre stał nieruchomo jak skała. Musiał odczekać, aż mężczyzna z pistoletem wejdzie do wnętrza sklepiku z pamiątkami.

A tak się stanie.

Musiał wejść.

Sabre zastanawiał się, gdzie zniknęli pozostali dwaj. Odpowiedź otrzymał z chwilą, gdy dostrzegł ruch za drugą parą przeszklonych drzwi, tym razem zamkniętych.

Interesujące.

Cała trójka najwidoczniej znała dobrze topografię budowli, poza tym sklepik z pamiątkami również był celem obranym w pełni świadomie.

Czyżby dostrzegli światło?

Dwaj napastnicy z bronią w rękach sprawdzali drzwi po jego lewej stronie i przekonali się, że są zamknięte. Wtedy sylwetki cofnęły się nieco, potem padły strzały w kierunku tafli szkła.

Nie rozległ się huk wystrzałów. Jedynie przytłumione, głuche odgłosy. Jak stuknięcie młotkiem w łepek gwoździa. Metalowe pociski uderzały w szybę, wprawiły ją w wibracje, lecz szkło nie rozprysło się na kawałki.

Szyby kuloodporne.

Trzeci z uzbrojonych intruzów wpadł do środka przez otwarte drzwi, trzymając pistolet przed sobą. Sabre wyczekał na moment niezdecydowania, kiedy jego przeciwnik próbował ocenić sytuację. Wtedy skoczył do przodu, wytrącając kopnięciem broń napastnikowi, jednocześnie przekładając nóż na drugą stronę i podrzynając mu gardło. Nie dał zabójcy czasu, by ten zdołał pojąć, jaki los go spotka, wbijając nóż w jego kark.

Z gardła ofiary wydobyło się kilka charczących jęków, potem mężczyzna osunął się na posadzkę.

Kolejne głuche uderzenia trafiły w zamknięte przeszklone drzwi. Kilka kopnięć również nie posunęło sprawy do przodu. Po chwili Sabre usłyszał odgłos kroków, kiedy dwaj pozostali napastnicy zbiegali schodami w dół.

Sięgnął po broń martwego mężczyzny.

Syreny alarmowe nie przestawały wyć. Setki zwiedzających ruszyły pędem w kierunku wyjścia z muzeum. Stephanie wciąż trzymała Daleya w uścisku.

– Wiceprezydent ma sojuszników – oznajmił. – Nie jest w stanie zrobić tego w pojedynkę.

Nadstawiła uszu.

– Stephanie. Brent Green działa z nim ręka w rękę. On nie jest twoim przyjacielem.

Jej spojrzenie pobiegło ku Heather Dixon, która zabrała teraz głos.

– On mówi prawdę. Któż jeszcze wiedział, że się tu wybierasz? Jeśli naprawdę chcielibyśmy, żebyś była już trupem, z pewnością nie zgodzilibyśmy się na spotkanie w takim miejscu.

Uważała siebie za osobę, która potrafi zapanować nad sobą. Teraz jednak miała co do tego wątpliwości. Green był rzeczywiście jedyną osobą, która wiedziała, gdzie się teraz znajdowała – o ile Dixon i Daley mówili prawdę.

Puściła rękę Daleya, który podjął wątek.

– Green jest w zmowie z wiceprezydentem. I to już od dłuższego czasu. W zamian otrzymał obietnicę, że zasiądzie na drugim w hierarchii fotelu. Brent nie mógł liczyć na zwycięstwo w wyborach. W ten sposób niektórzy pną się w górę.

Rozległ się kolejny komunikat, nakazujący wszystkim natychmiastowe opuszczenie budynku. Funkcjonariusz ochrony wyszedł z restauracji i kazał im wyjść na zewnątrz.

– Co się dzieje? – zapytał go Daley.

– To jedynie środki ostrożności. Ten gmach musi być czysty.

Przez ustawione dalej ściany ze szkła Stephanie dostrzegła grupę ludzi idącą od drogi i drzew, jakie oddzielały muzeum od trawiastego deptaka.

Jedynie środki ostrożności.

Grupa zmierzała w kierunku głównego wejścia. Zwiedzający wciąż jeszcze wychodzili, żywo przy tym dyskutując, z posępnymi twarzami. W większości były to nastolatki lub całe rodziny, a temat rozmów krążył wokół potencjalnych przyczyn alarmu.

– Znajdźmy inne wyjście – zasugerowała Cassiopeia. – Okażmy się przynajmniej odrobinę nieprzewidywalne.

Zgodziła się z tą sugestią. Oddaliły się. Daley i Dixon pozostali w miejscu, jak gdyby chcieli przydać wiarygodności swoim słowom.

– Stephanie – zawołał za nią Daley.

Obróciła się.

– Jestem jedynym przyjacielem, jakiego masz. Odnajdź mnie, kiedy zdasz sobie z tego sprawę.

Nie bardzo pojęła sens tych słów, chociaż z ogromną niechęcią powitała uczucie niepewności, jakie przez nią przeszło.

– Musimy stąd znikać – ponaglała Cassiopeia.

Przeszły pospiesznie przez kilka kolejnych ekspozycji, mijając sklep z pamiątkami, opuszczany w pośpiechu przez klientów. Cassiopeia zamierzała skorzystać z jednego z wyjść ewakuacyjnych – co było całkiem rozsądne, biorąc pod uwagę ogłoszony alarm.

Przed nimi, zza gabloty pełnej miniaturowych samolocików, wyłonił się jakiś mężczyzna. Wysoki, ubrany w ciemny biznesowy garnitur. Uniósł prawą dłoń. Stephanie dostrzegła cienki spiralny przewód, który odchodził od lewego ucha mężczyzny.

Razem z Cassiopeią zatrzymały się i zawróciły. Z tyłu za nimi stali dwaj inni mężczyźni, podobnie ubrani i wyposażeni.

Secret Service. Służba odpowiedzialna za ochronę prezydenta.

Pierwszy z mężczyzn powiedział coś do mikrofonu wpiętego w klapę. Syrena alarmowa w gmachu muzeum ucichła.

– Czy możemy to załatwić bez zbędnych ceregieli, pani Nelle?

– Dlaczego miałabym się zgodzić?

Mężczyzna podszedł bliżej.

– Ponieważ prezydent Stanów Zjednoczonych pragnie z panią porozmawiać.

PIĘĆDZIESIĄT CZTERY

LIZBONA
GODZINA 21.30

Malone ominął ladę i podszedł schylony do miejsca, gdzie McCollum przeszukiwał kieszenie zabitego mężczyzny. Obserwował wcześniej, jak ten, który podawał się za poszukiwacza skarbów, pozbawił życia napastnika z biegłością i precyzją eksperta od mokrej roboty.

– Tamci dwaj przechodzą teraz na drugą stronę kościoła i zmierzają tutaj – ostrzegł.

– Rozumiem – odparł McCollum. – Znalazłem kilka zapasowych magazynków. I drugi pistolet. Jakieś sugestie, kim oni mogą być?

– Izraelczycy. To muszą być oni.

– O ile pamiętam, stwierdził pan, że oni już zeszli ze sceny.

– A ja przypominam sobie, jak utrzymywał pan, że jest amatorem. Przed chwilą zademonstrował pan nie lada umiejętności.

– Robi pan, co musi robić, kiedy pański tyłek jest na celowniku.

– Urządzenie radiolokacyjne.

Posługiwał się takim wielokrotnie, gdy śledził cel, któremu podpięto pluskwę. Uaktywnił ekran wideo i zobaczył, że urządzenie wyszukuje jakiś obiekt w trybie wyłączonej akustyki. Migający punkt wskazywał cel znajdujący się bardzo blisko.

– Musimy stąd iść – ponagliła Pam.

– Z tym możemy mieć problem – zauważył Malone. – Jedyna droga wyjścia prowadzi na galerię. Lecz tamci dwaj mężczyźni muszą już być blisko schodów. Musimy wydostać się stąd inaczej.

Włożył do kieszeni urządzenie radiolokacyjne. Z bronią w rękach wymknęli się ze sklepiku z pamiątkami.

Dwóch uzbrojonych mężczyzn wyskoczyło ze sklepionego przejścia oddalonego o trzydzieści metrów i zaczęło strzelać.

W klasztornym wnętrzu rozległy się odgłosy przypominające pękające balony.

Malone dał nura na posadzkę galerii, ciągnąc za sobą Pam. Narożniki nie miały dziewięćdziesięciu stopni, lecz tworzyły kąt rozwarty, gdyż klasztor zbudowano na planie ośmiokąta. Wykorzystał jeden z narożników do ochrony.

– Biegnijcie w tym kierunku – odezwał się McCollum. – Zapewnię im zajęcie na jakiś czas.

Długa kamienna ława ciągnęła się po zewnętrznym obwodzie, łącząc z sobą arkady i tworząc misternie ozdobioną balustradę. Przemieszczając się na czworakach, oddalali się od sklepiku z pamiątkami, gdzie McCollum otworzył ogień w kierunku dwóch napastników.

Kule odbiły się od kamiennej ściany trzy metry po jego lewej stronie, kilka z tyłu, a kilka z przodu. Zdał sobie sprawę, co się dzieje. Ich cienie, rzucane przez światło jarzeniówek, które oświetlały mdłą poświatą galerię, zdradzały ich obecność. Chwycił Pam. Przestali się przemieszczać i przylgnęli do posadzki. Wymierzył i oddał trzy strzały, unicestwiając lampy, jakie znajdowały się przed nim.

Pogrążyli się w ciemności.

McCollum wstrzymał ogień.

Podobnie postąpili uzbrojeni napastnicy.

Malone dał znak i ruszyli pospiesznie do przodu, wciąż idąc w kucki, wykorzystując w charakterze osłony filary arkad, maswerki oraz kamienną ławę.

Dotarli do końca galerii.

Po ich prawej stronie biegła wewnętrzna ściana następnych arkad. Nie było tu żadnych drzwi. Na drugim końcu widniała lita ściana. Bezpośrednio na lewo ciągnął się rząd przeszklonych drzwi, jedne z nich były otwarte. Jakby zapraszały gości do środka. Z tabliczki informacyjnej wynikało, że pomieszczenie to służyło niegdyś za refektarz, salę jadalnianą zakonnego bractwa. Być może w jego wnętrzu znajdą drogę ucieczki?

Dał znak i weszli.

Rozległy się trzy głuche odgłosy, kiedy trzy kule uderzyły o taflę szkła. Żadna nie przeszła. Te szyby również były kuloodporne. Dzięki niech będą temu, kto zamawiał te drzwi.

– Cotton, chyba mamy problem – zakomunikowała Pam.

Spojrzał do wnętrza refektarza.

Poprzez mrok rozpraszany jedynie słabą poświatą przesączającą się przez okna dojrzał pomieszczenie na planie prostokąta, zwieńczone żebrowanym stropem podobnym do sklepienia w kościele. Niski kamienny gzyms obiegał salę jadalnianą dookoła, pod nim znajdowała się kolorowa mozaika z płytek ceramicznych. Żadne inne drzwi nie prowadziły na zewnątrz. Okna znajdowały się nad ich głowami na wysokości dobrych trzech metrów i nie było żadnego sposobu, żeby dosięgnęli do nich.

Dostrzegł jedynie dwa otwory.

Jeden widniał po drugiej stronie, pokonał więc truchtem dystans piętnastu metrów i przekonał się, że kiedyś był to być może kominek, lecz teraz otwór pełnił wyłącznie funkcję dekoracyjnej niszy.

Zaślepionej z tyłu.

Drugi otwór był mniejszy, mierzył metr dwadzieścia na półtora metra, tworząc w ścianie wklęsłość głęboką na niecały metr. Refektarz służył dawniej za klasztorną jadalnię, być może więc było to miejsce, gdzie kiedyś przygotowywano posiłki przed ich podaniem na stoły.

Pam się nie myliła. Naprawdę wpadli w tarapaty.

– Wejdź na górę! – nakazał jej.

Nie zaprotestowała, tylko wspięła się na kamienną półkę nad pustą kamienną misą.

– Chyba postradałam zmysły, skoro się tu znalazłam.

– Trochę późno, jak na tego rodzaju spostrzeżenie.

Nie spuszczał wzroku z drzwi prowadzących do górnej galerii. W bladej poświacie dostrzegł ciemnoszary cień. Pam znalazła się już w bezpiecznej niszy. Teraz on wspiął się na górę, ponad kamienną misę, i przycisnął ciało do gzymsu, wsuwając się możliwie najdalej do wnętrza niszy w ścianie.

– Co masz zamiar zrobić? – zapytała, szeptając mu do ucha.

– To, co muszę.

Sabre dostrzegł, jak dwaj mężczyźni się rozdzielili. Jeden pobiegł za Cottonem i Pam, drugi przemykał się wzdłuż galerii, która prowadziła z powrotem do kościoła. Doszedł do wniosku, że zyska przewagę, kiedy znajdzie się na górnym poziomie, ostrożnie podążył więc w kierunku tego samego wyjścia, mając nadzieję, że prowadzi ono na górny chór, gdzie wcześniej znajdowali się Malone i jego była żona.

Lubił polowanie, zwłaszcza kiedy zdobycz stanowiła wyzwanie. Zastanawiał się, kim mogli być ci ludzie. Czy byli to Izraelczycy, jak sugerował Malone? To miało sens. Jonah poinformował go o plutonie egzekucyjnym wysłanym do Londynu, ale przecież George'a Haddada już sprzątnęli. Odsłuchał z taśmy przebieg tego spotkania, co zresztą potwierdził Malone. Co wobec tego robili tutaj Izraelczycy? Chcieli go dopaść? Mało prawdopodobne. W takim razie o kogo mogło im chodzić?

Dotarł do wejścia i zakradł się do środka.

Po jego lewej stronie zbiegały schody prowadzące do kościoła. Przez ciemność usłyszał odgłosy kroków gdzieś poniżej.

Wszedł na chór, zatrzymując się w miejscu, gdzie balustrada dochodziła do zewnętrznej ściany, i ostrożnie spojrzał w dół. Wysokie okna południowej fasady żarzyły się nastrojową poświatą. Ciemna sylwetka mężczyzny z bronią w ręku przemykała wzdłuż przejścia między ostatnimi ławkami a północną ścianą świątyni. Mężczyzna starał się trzymać cienia, zmierzając w kierunku dolnego chóru.

Sabre oddał dwa strzały.

Przytłumiony huk odbił się echem w przepastnej nawie. Jeden pocisk trafił w cel – mężczyzna wykrzyknął, obrócił się, po czym zachwiał się na nogach i oparł o ławkę. Sabre raz jeszcze przymierzył się i strzelił dwukrotnie, a napastnik osunął się na posadzkę.

Nieźle.

Wysunął magazynek i włożył nowy, który wyciągnął z kieszeni.

Odwrócił się w stronę wyjścia. Pora odnaleźć Malone'a.

Przed oczyma zobaczył pistolet.

– Rzuć broń – powiedział głos po angielsku.

Zawahał się przez chwilę, usiłując dostrzec twarz, do której należał głos, w ciemności dostrzegł jedynie mroczny cień. Po chwili się zorientował, że mężczyzna miał na głowie kaptur. Nagle poczuł na karku zimny dotyk lufy drugiego pistoletu.

Podwójne kłopoty.

– Powtarzam raz jeszcze – odezwał się pierwszy mężczyzna. – Rzuć broń.

Nie miał wyboru. Pistolet z hukiem uderzył o kamienną posadzkę.

Pistolet przed jego twarzą osunął się w dół. Potem coś śmignęło w powietrzu i grzmotnęło go w skroń. Zanim w jego mózgu zrodziło się odczucie bólu, świat wokół niego zamienił się w ciszę.

PIĘĆDZIESIĄT PIĘĆ

Malone sięgnął po pistolet i czekał. Zaryzykował i rozejrzał się dookoła niszy, w której skrył się wraz z Pam.

Cień robił się stopniowo większy, kiedy uzbrojony napastnik podchodził coraz bliżej.

Malone zastanawiał się, czy mężczyzna wiedział, że w refektarzu nie ma drugiego wyjścia. Przyjął założenie, że nie wiedział. Gdyby było inaczej, nie zbliżałby się tu. Po prostu czekałby cierpliwie w galerii. Dawno temu przekonał się jednak, że przywarą wielu ludzi, którzy zarabiali na życie zabijaniem, była niecierpliwość. Wykonać mokrą robotę i zniknąć. Czekanie tylko zwiększało ryzyko fiaska.

Pam oddychała ciężko, on zaś nie mógł jej obwiniać. Jemu również, kiedy walczył, puls przyspieszał. Zmusił własne nerwy do uspokojenia. „Myśl. Bądź gotowy”.

Cień przesuwał się teraz po ścianie refektarza.

Mężczyzna wpadł do środka, mierząc z pistoletu.

W pierwszej chwili napastnik dostrzegł ciemne i puste pomieszczenie, w którym nie było żadnych mebli. Nisza na drugim końcu z pewnością natychmiast przyciągnie jego uwagę. Malone nie zamierzał jednak czekać, aż wszystko to zarejestruje umysł przeciwnika. Wysunął się z kryjówki i wystrzelił.

Kula chybiła celu i odbiła się rykoszetem od ściany. Uzbrojony napastnik przez moment sprawiał wrażenie zaskoczonego, potem się zorientował, że wystawił się na strzał.

Szykował się pojedynek.

Malone strzelił ponownie, tym razem jego kula trafiła mężczyznę w udo.

Rozległ się okrzyk cierpienia, ale napastnik nie upadł.

Malone ulokował trzecią kulę w klatce piersiowej uzbrojonego mężczyzny, który najpierw wpadł w drgawki, potem osunął się na ziemię, plecami do dołu.

– Trudno cię zabić, Malone – odezwał się męski głos zza wejścia do refektarza.

Rozpoznał ten głos. Adam z mieszkania Haddada. Teraz wiedział. Izraelczycy. Ale jakim cudem go odnaleźli?

Usłyszał odgłosy kroków. Szybkie i oddalające się.

Zawahał się na moment, po czym pobiegł w kierunku wyjścia, zamierzając z pełną determinacją zakończyć to, co zostało rozpoczęte w Londynie.

Zatrzymał się i wyjrzał.

– Tutaj, Malone – zawołał Adam.

Cotton spojrzał przez klasztorną nawę, w kierunku przeciwległego narożnika położonego po przekątnej, gdzie stał Adam w cieniu jednej z arkad. Od razu rozpoznał tę twarz.

– Jest dobrym strzelcem, ale nie na tyle dobrym. Teraz zostaliśmy tylko ty i ja.

Zobaczył, jak Adam znika w wejściu prowadzącym do kościoła.

– Nie ruszaj się – nakazał Pam. – Jeśli tym razem zignorujesz moje słowa, będziesz musiała stanąć twarzą w twarz z tym uzbrojonym typem.

Wybiegł co tchu z refektarza i popędził wzdłuż galerii. Gdzie się podział McCollum? Dwóch napastników było już martwych. Wcześniej widział tylko trzech. Czy Adam zabił McColluma? „Tylko ty i ja”. To właśnie powiedział Izraelczyk.

Doszedł do wniosku, że pościg za Adamem w kościelnej nawie byłby głupotą. „Rób to, co jest nieoczekiwane”. Przeskoczył przez jedną z ławek wytyczających prawy skraj galerii i spojrzał w dół. Ornamenty i dekoracyjne maswerki klasztoru jednocześnie robiły wrażenie i zachwycały obfitością. Wsunął pistolet za pasek, wyciągnął się, chwycił dłońmi górę kamiennej ławy, potem wyszukał stopami wystający ze ściany gargulec, który pełnił funkcję ozdobnej rynny. Balansując ciałem, pochylił się, chwycił kamienną rynnę, po czym odbił się i stanął na półce, która wystawała z jednego z filarów arkady. W tym miejscu odległość do porośniętego trawą klasztornego dziedzińca wynosiła niecałe dwa metry.

Nagle z wnętrza kościoła wyłonił się Adam, na drugim końcu krużganku, i pobiegł wzdłuż arkad.

Malone sięgnął po pistolet i wystrzelił. Kula przeszła obok, ale z pewnością przyciągnęła uwagę człowieka, którego teraz ścigał.

Adam dał nura na ziemię i zniknął z pola widzenia, kryjąc się za taką samą kamienną ławą sięgającą do pasa, za jaką schował się Malone.

Izraelczyk wychylił się i oddał strzał.

Malone zanurkował między maswerkami podtrzymującymi łuki dolnej galerii i uderzył mocno o kamienne płyty posadzki. Na chwilę odebrało mu dech. Jego czterdziestoośmioletnie ciało nie było już tak sprawne, bez względu na to, co kiedyś stanowiło jego powszedni chleb. Podbiegł ponownie do ławki i spojrzał w poprzek klasztornego dziedzińca.

Adam znowu biegł.

Zerwał się na równe nogi i popędził w lewo, minął zakręt i pognał wprost za Adamem. Ten, którego ścigał, zniknął za kolejną parą przeszklonych drzwi, precyzyjnie wpasowanych w misterną arkadę i ograniczonych po bokach posągami.

Dobiegł do drzwi i zatrzymał się przed nimi.

Z tabliczki informacyjnej wynikało, że ciemne pomieszczenie za drzwiami służyło kiedyś za kapitularz, w którym zakonnicy zbierali się na narady. Otwarcie drzwi nie byłoby przejawem roztropności. Światła było zbyt mało, żeby dojrzeć szczegóły wnętrza. Zobaczył tylko dwa okna, których zarysy widział wyraźnie.

Postanowił posłużyć się tym, co wiedział.

Otworzył na oścież jedno skrzydło przeszklonych drzwi, kryjąc się za drugim skrzydłem, które powinno ochronić go przed kulami.

Strzały jednak nie padły.

Pośrodku wysokiego pomieszczenia o zarysie prostokąta znajdował się ogromny grobowiec.

Przebiegł wzrokiem po całej sali. Nic. Spojrzał na okna. To z prawej było rozbite, odłamki potłuczonego szkła leżały na podłodze. Dostrzegł też linę znikającą w górze, odciąganą gdzieś z zewnątrz.

Adam zniknął.

Usłyszał odgłosy kroków na kamiennej posadzce, potem zobaczył Pam i McColluma biegnących w jego kierunku. Wyszedł z refektarza do zewnętrznej galerii.

– Co się z panem działo? – zapytał McColluma.

– Oberwałem w głowę. Było ich dwóch. Na górnym chórze. Sprzątnąłem jednego w nawie kościoła, potem oni dopadli mnie.

– Dlaczego więc jest pan wciąż jeszcze wśród żywych?

– Tego nie wiem, Malone. Niech pan ich zapyta.

Wykonał prosty rachunek. Trzech zabitych. Dwóch innych rzekomo pozbawiło przytomności McColluma. Pięciu? On jednak widział tylko trzech.

Podniósł pistolet i wycelował w McColluma.

– Ci faceci włamali się tutaj, usiłowali zabić mnie i Pam, ale panu przyłożyli jedynie w łeb i poszli sobie. Czy to trochę nie za wiele, nie sądzi pan?

– Do czego pan zmierza, Malone?

Wyciągnął z kieszeni urządzenie lokalizujące.

– Oni pracują dla pana. Ściągnął ich pan tutaj, żeby nas sprzątnęli, oszczędzając panu fatygi.

– Zaręczam panu, gdybym chciał, żebyście nie żyli, już dawno bylibyście martwi.

– Poszli na górę, prosto do sklepiku z pamiątkami. Otoczyli go niczym wataha wilków. Znali rozkład budowli – podniósł urządzenie. – Poza tym mieli na nas namiar. Zabiłem jednego na górze i byłem naprawdę bliski zabicia trzeciego. Potem on po prostu ucieka? To najdziwniejszy pluton egzekucyjny, jaki widziałem w życiu.

Włączył przyrząd i skierował go na McColluma. Przestawił tryb z bezgłośnego na akustyczny. Ciche, generowane elektronicznie dźwięki wskazywały, że detektor namierzył cel.

– Oni mieli namiar na pana. To urządzenie z pewnością powie nam prawdę.

– Proszę bardzo, Malone. Nie pan robi to, co pan musi.

Pam stała obok niego, zachowując milczenie.

– O ile pamiętam, kazałem ci zostać na górze – skarcił ją.

– Byłam tam do chwili, kiedy on się pojawił. Poza tym, Cotton, on ma wielką śliwę na skroni.

Nie zrobiło to na nim specjalnego wrażenia.

– On ma w sobie dość odwagi, żeby wziąć na siebie kule wystrzelone do nas przez jego najemników.

Skierował urządzenie na McColluma, lecz rytmiczny puls dźwiękowego sygnału nie uległ najmniejszej zmianie.

– Zadowolony? – zapytał McCollum.

Przesunął detektor w prawo, potem w lewo, lecz sygnał pozostał taki sam. Zatem McCollum nie miał przy sobie pluskwy. Pam przeszła obok, przyglądając się wnętrzu refektarza.

Modulacja sygnału się zmieniła.

McCollum również to zauważył.

Malone wciąż trzymał wycelowany pistolet, dając McCollumowi do zrozumienia, żeby się nie ruszał. Skierował urządzenie radiolokacyjne w stronę Pam. Modulowany sygnał zwiększył częstotliwość.

Ona również to usłyszała i obróciła się ku niemu.

Opuścił pistolet i podszedł dwa kroki, wciąż przesuwając na boki detektor. Sygnał osłabł, potem ponownie się wzmocnił, gdy wymierzył urządzenie w Pam.

Na jej twarzy pojawił się wyraz bezgranicznego zdziwienia.

– O co chodzi? – zapytała.

– Namierzali ciebie. W ten sposób znaleźli George’a. To ty.

Z jego głosu emanował gniew. Odrzucił urządzenie radiolokacyjne, wsunął pistolet do kieszeni i zaczął ją obmacywać.

– Co ty robisz, do jasnej cholery? – wykrzyknęła.

Była najwyraźniej poirytowana, lecz on zupełnie nie przejmował się jej odczuciami.

– Pam, nawet jeśli będę musiał rozebrać cię do naga i zajrzeć do każdego otworu, zamierzam znaleźć to, co ci podłożyli. Zatem powiedz, gdzie to jest.

Sprawiała wrażenie, jakby jej umysł nie był w stanie pojąć tego, co się dzieje.

– Gdzie jest co?

– To coś, co nadaje sygnał wychwytywany przez urządzenie radiolokacyjne.

– Zegarek – podpowiedział McCollum.

Obrócił się. Drugi mężczyzna wskazywał na nadgarstek Pam.

– To musi być to. Ma źródło zasilania oraz bardzo dużo miejsca, żeby pomieścić emiter.

Chwycił przegub Pam i odpiął zegarek, zdjął go z jej nadgarstka i rzucił na posadzkę krużganku. Potem znów włączył urządzenie radiolokacyjne i skierował je na zegarek. Intensywny modulowany sygnał potwierdził, że

pluskwa znajdowała się w zegarku. Ponownie skierował detektor na Pam, a sygnał wyraźnie osłabł.

– O mój Boże – wymamrotała. – Ten stary człowiek zginął przeze mnie.

PIĘĆDZIESIĄT SZEŚĆ

Malone wszedł do pomieszczenia, w którym mieściło się centrum biznesowe hotelu Ritz Four Seasons. Klasztor opuścili głównym wejściem. Ponieważ drzwi nie dało się otworzyć od wewnątrz, portal okazał się najszybszą drogą wydostania się na zewnątrz.

Potem obeszli sakralną budowlę dookoła i odkryli, którędy do wnętrza dostali się Adam i jego ludzie. Misterne okna refektarza, ozdobione dekoracyjnymi maswerkami, były jedynymi taflami szkła, których nie zabezpieczały kraty. Ich nasada była umieszczona na wysokości niecałych dwóch metrów od ziemi. Okna wychodziły na ciemną ulicę. Dwa silnie rozgałęzione drzewa doskonale maskowały tych, którzy chcieli włamać się do środka.

Poszli kilka przecznic w kierunku biznesowego obszaru dzielnicy Belém i złapali tramwaj, którym dojechali do śródmieścia Lizbony. Stąd wzięli taksówkę, która zawiozła ich kilka kilometrów na północ, do hotelu. W trakcie jazdy żadne z nich nie odezwało się nawet słowem. Malone wciąż pozostawał w rozterce. Choć podejrzewał, że zagrożenie stanowi McCollum, okazało się, że niebezpieczeństwo czaiło się znacznie bliżej. Przerwał jednak możliwość dalszego ich tropienia, rzucając zegarek między krzewy żywopłotu z bukszpanu, który wyznaczał granice klasztornego ogrodu.

Musiał pomyśleć.

Weszli do jednej z sal konferencyjnych centrum biznesowego i zamknęli za sobą drzwi. Na stole stał telefon i komputer, były też długopisy oraz kartki. To właśnie podobało mu się w hotelach sieci Four Seasons. Wystarczyło powiedzieć, co jest potrzebne, i natychmiast to dostarczali.

– Cotton – odezwała się z miejsca Pam. – Ten zegarek to był prezent. Mówiłam ci. Od mężczyzny, z którym się spotykałam.

Przypomniał sobie, jak o tym mówiła w Londynie. Marka TAG. Droga. Był pod wrażeniem.

– Kim on jest?

– Prawnikiem z innej kancelarii. Starszym wspólnikiem.

– Jak długo stanowiliście parę? Sprawiał wrażenie, że mu na tobie zależy, lecz w rzeczywistości tak nie było.

– Kilka miesięcy. Przestań. Jakim niby sposobem miałby wiedzieć, że będą dziać się takie rzeczy? Dał mi ten zegarek wiele tygodni temu.

Chciał jej wierzyć. Żony agentów już wcześniej wciągano przecież w intrygi. Sięgnął po telefon i wybrał numer do Atlanty i dalej do Magellan Billet. Głosowi po drugiej stronie powiedział, kim jest i czego chce. Kazano mu zaczekać przez chwilę. Po dwóch minutach w słuchawce odezwał się męski głos.

– Cotton, tu Brent Green. Twoja rozmowa została przełączona do mnie.

– Muszę pomówić ze Stephanie.

– Teraz nie da się z nią połączyć. Sporo się tutaj wydarzyło. Musisz więc współpracować ze mną.

– Od kiedy prokurator generalny zajmuje się szczegółowo sprawami agencji Magellan Billet? Zazwyczaj trzymał się pan od tego z dala.

– To skomplikowane, Cotton. Stephanie została zwolniona z pełnionych obowiązków, oboje teraz znaleźliśmy się w bitewnym zgiełku.

Nawet się nie zdziwił.

– I wszystko to wiąże się, rzecz jasna, z tym, co robię tutaj.

– Dokładnie. W tej administracji są ludzie, którzy wystawili na niebezpieczeństwo twojego syna.

– Kto?

– Nie jesteśmy pewni. To właśnie próbuje rozgryźć Stephanie. Możesz mi powiedzieć, co dzieje się po twojej stronie?

– Mamy tu niezły ubaw. Ciągle wpadają nowi goście. W Lizbonie zabawa jest na medal.

– Jakiś powód, dla którego tryskasz tak sowicie sarkazmem?

– Mógłbym wymienić ich z tysiąc. Ale potrzebuję, żeby zrobił pan coś dla mnie. Proszę sprawdzić człowieka nazwiskiem James McCollum. Twierdzi, że służył w armii, w siłach specjalnych.

Opisał pokrótce jego fizyczny wygląd.

– Muszę wiedzieć, czy on istnieje naprawdę oraz poznać jego życiorys. – Kiedy składał tę prośbę, wpatrywał się bezceremonialnie w McColluma, lecz ten nawet się nie skrzywił. – Co się dzieje ze Stephanie?

– Opowiadanie zajęłoby zbyt dużo czasu. Ale musimy wiedzieć na bieżąco, co robisz. To może jej pomóc.

– Nie wiedziałem, że panu tak na niej zależy.

– Nie bardzo rozumiem, dlaczego wszyscy sądzą, że nie darzę jej sympatią. Na dobrą sprawę ona dysponuje licznymi mocnymi stronami. W tej chwili jednak wpadła w tarapaty. Od kilku godzin nie miałem żadnej wiadomości od niej ani od pani Vitt.

– Cassiopeia tam jest?

– Ze Stephanie. Przysłał ją twój przyjaciel, Henrik Thorvaldsen.

Green miał rację. Działo się tam naprawdę sporo.

– Mam też temat związany z moją byłą żoną. Wygląda na to, że Izraelczycy podpięli jej pluskwę.

– Wiemy o tym. Człowiek, z którym spotykała się w Atlancie, był sympatykiem Izraela. Mosad poprosił go, żeby wręczył jej kilka rzeczy. Zegarek, medalion, koktajlowy pierścionek. Wszystko można było namierzyć za pomocą GPS-u. Zakładamy, że ich zdaniem miała nosić na przemian któryś z tych podarków.

– To oznacza, że Izraelczycy wiedzieli o porwaniu mojego syna, zatem postanowili to wykorzystać.

– To całkiem logiczny wniosek. Czy aleksandryjskie ogniwo pozostało nietknięte?

– Nie miałem pojęcia, że pan cokolwiek wie na ten temat.

– Teraz wiem.

– Wczoraj Izraelczycy zatroszczyli się o ogniwo na dobre, a nie tak dawno temu o mały włos nie uporali się z nami.

Teraz naprawdę potrzebował intensywnie pomyśleć.

– Muszę już iść. Ma pan numer, pod który mogę bezpośrednio zadzwonić?

Green podał mu numer.

– Niech pan nigdzie się nie rusza. Niebawem do pana oddzwonię.

– Cotton – odezwał się Green. – Ten prawnik, z którym widywała się twoja była żona. On nie żyje. Został zastrzelony kilka dni temu. Mosad zatarł ślady po sobie.

Przyjął tę nowinę do wiadomości.

– Będą miał na nią oko – zapewnił Green. – Ona też jest teraz niezatartym śladem.

– Lub nawet czymś więcej.

– Tak czy inaczej wdepnęła w niezłe błocko.

Odłożył słuchawkę. Pam wbiła w niego wzrok.

– Twój adorator nie żyje. Izraelczycy zaopiekowali się nim. Pracował dla nich.

Na jej twarzy zawitał szok. Jego jednak nie wzruszało to w najmniejszym stopniu. Ten człowiek stanowił część układanki, która sprawiła, że Gary znalazł się w niebezpieczeństwie.

– Takie rzeczy się zdarzają, kiedy zamiast chomika trzymasz w domu grzechotnika. Zastanawiałem się, jakim cudem trafili do naszego hotelu w Londynie. Nie było żadnej możliwości, żeby pojechali za nami z mieszkania Haddada.

Widział, że wieść ta wstrząsnęła nią do głębi, lecz nie była teraz pora, by przejmować się jej uczuciami. Zamartwianie się tym, co już się stało, mogło jedynie przynieść opłakane skutki. Skierował wzrok na McColluma.

– Słyszał pan. Sprawdzam pańskie dane personalne.

– Demonstrując te teatralne scenki? Niech pan pamięta, że wciąż to ja mam resztę „peregrynacji”, my zaś nie wiemy, dokąd udać się dalej z tego miejsca.

– Kto tak twierdzi? – Wyciągnął fotografię wyrwaną z książki w sklepiku z pamiątkami i rozłożył ją. – Odnajdź miejsce, które ma adres, lecz nie ma lokalizacji, gdzie znajduje się kolejne miejsce. W porządku, znaleźliśmy miejsce, w którym srebro zamienia się w złoto. To Narodziny Chrystusa. Betlejem. Belém. Co ma adres, lecz nie ma lokalizacji?

Wskazał na komputer.

– Mnóstwo adresów, lecz żadnej lokalizacji, która byłaby związana chociaż z jednym z nich. Adresy witryn internetowych.

Usiadł przed komputerem.

– Gwardianie musieli w jakiś sposób kontrolować przekazywane wskazówki. Nie wyglądają na ludzi, którzy pozostawiają po sobie jakiś ślad i potem po prostu znikają. Gdy zaproszona osoba lub ktoś obcy dotrze tak daleko, muszą dysponować jakimś sposobem, by powstrzymać dalszą podróż. Jakiż jest lepszy sposób wzięcia tego pod kontrolę niż skorzystanie z internetowej witryny.

Wpisał adres WWW.BETLEJEM.COM, lecz w rezultacie wszedł na stronę komercyjną pełną śmieci. Spróbował więc WWW.BETLEJEM.NET i znalazł

więcej stron o takim samym charakterze. W końcu wpisał WWW.BETLEJEM.ORG. Pojawił się czysty ekran i zapytanie napisane czarnymi literami.

CZEGO SZUKASZ?

Kursor migał pod pytaniem tuż nad czarną linią, oczekując na wpisanie odpowiedzi. Wpisał z klawiatury BIBLIOTEKA ALEKSANDRYJSKA. Ekran zamigotał, potem pojawiło się inne pytanie.

NIC POZA TYM?

Wpisał to, co jego zdaniem chcieli usłyszeć.

WIEDZA

Zawartość ekranu zmieniła się ponownie.
28º41’41’’ N
33º38’44’’ E

Malone wiedział, co kryło się pod tymi liczbami. Odnajdź miejsce, które ma adres, lecz nie ma lokalizacji, gdzie znajduje się kolejne miejsce.

– To właśnie kolejne miejsce.

– Koordynaty GPS – domyślił się McCollum.

Zgodził się, lecz potrzebował jeszcze umieścić te koordynaty na mapie. Przywołał więc odpowiednią witrynę WWW i wpisał liczby.

Po kilku sekundach pojawiła się mapa.

Natychmiast rozpoznał ten kształt – odwrócony trójkąt równoramienny. Klin wciśnięty między Afrykę i Azję, kraina będąca unikalnym połączeniem górskich pasm oraz pustyni, od zachodu otoczona wąską Zatoką Sueską, od wschodu natomiast jeszcze węższą zatoką Akaba i wodami Morza Czerwonego od południa.

Synaj.

Koordynaty GPS wskazywały na miejsce położone w rejonie wysuniętym najdalej na południe, w górach, w pobliżu wierzchołka odwróconego trójkąta.

– Wygląda na to, że odnaleźliśmy to miejsce.

– Jak zamierza się pan tam dostać? – zapytał McCollum. – To terytorium Egiptu, patrolowane przez jednostki ONZ, blisko Izraela.

Malone sięgnął po telefon.

– Nie sądzę, żeby stanowiło to większy problem.

CZĘŚĆ CZWARTA

PIĘĆDZIESIĄT SIEDEM

WIEDEŃ
GODZINA 22.30

Thorvaldsen siedział w wielkiej sali *château*, obserwując, jak przebiegają obrady zimowego Walnego Zgromadzenia Zakonu Złotego Runa. On, podobnie jak pozostali członkowie, zasiadł na pozłacanym zabytkowym krześle. Krzesła były ustawione w rzędach po osiem i stały naprzeciw kręgu, w którego środku znajdowało się krzesło Alfreda Hermanna, ozdobione niebieską jedwabną szarfą. Wydawało się, że każdy chciał zabrać głos, a temat dyskusji szybko zszedł na sprawy Bliskiego Wschodu oraz tego, co Komitet Polityczny zaproponował minionej wiosny. Wtedy plany znajdowały się jeszcze na bardzo wstępnym etapie. Teraz jednak sprawy przedstawiały się inaczej i nie wszyscy się z tym zgadzali.

W rzeczywistości opory były silniejsze niż spodziewał się tego Alfred Hermann. Niebieskie Krzesło już dwukrotnie zabierał głos w debacie, co było rzadkością. Zazwyczaj, o czym Thorvaldsen wiedział, Hermann zachowywał milczenie.

– Przesiedlenie Żydów jest niemożliwe i jednocześnie absurdalne – zabrał głos jeden z członków obecny na sali.

Thorvaldsen znał tego człowieka, Norwega mocno zaangażowanego w rybołówstwo na północnym Atlantyku.

– Księga Kronik stanowi jednoznacznie, że Bóg wybrał Jerozolimę i poświęcił tutejszą świątynię. Znam Biblię. Pierwsza Księga Królewska głosi, że Bóg dał Salomonowi jedno plemię, dzięki czemu Dawid mógł zapalić mu światło w Jerozolimie. To Bóg wybrał to miejsce dla siebie. Ponowne utworzenie współczesnego państwa Izrael nie było przypadkiem. Wielu wierzy w to, że stało się tak z inspiracji niebios.

Kilku innych członków poparło to zastrzeżenie, podając inne cytaty z Księgi Kronik oraz z Księgi Psalmów.

– A jeśli te cytaty są błędne?

Ze wszystkich stron sali zaczęły padać pytania. Niebieskie Krzesło wstał.

– Czy przypominacie sobie, kiedy dokładnie powstało współczesne państwo izraelskie?

Nikt nie udzielił odpowiedzi na to pytanie.

– Czternasty maj tysiąc dziewięćset czternasty rok. Godzina szesnasta trzydzieści dwa. David Ben-Gurion zjawił się wtedy w muzeum w Tel Awiwie i oznajmił, co następuje: *Na mocy prawa naturalnego i historycznego narodu żydowskiego państwo Izrael zostaje ustanowione*.

– Prorok Izajasz dał jasno do zrozumienia, że kraj się rodzi jednego dnia – odezwał się jeden z członków zakonu. – Bóg dotrzymał obietnicy. W ramach przymierza z Abrahamem ziemia Izraelitów została im przywrócona.

– Ale co naprawdę wiemy o tym przymierzu? – postawił pytanie Hermann. – Jest tylko jedno źródło. Stary Testament. Wielu z nas dzisiaj odwołuje się do tego tekstu. Ben-Gurion mówił o naturalnym i historycznym prawie narodu żydowskiego. On również odnosił się do Starego Testamentu. To jedyny istniejący dowód, w którym jest mowa o tych boskich objawieniach. Autentyczność tego źródła budzi jednak poważne wątpliwości.

Thorvaldsen rozejrzał się po sali.

– Gdybym musiał odebrać od was akt notarialny dotyczący waszych dóbr, a byłyby to dokumenty pochodzące sprzed dziesiątków lat, przetłumaczone na poszczególne języki przez ludzi, którzy zmarli dawno temu i nawet nie mówili w waszym języku, czyż każdy z was nie zwątpiłby w jego autentyczność? Czy nie chcielibyście dodatkowych dowodów, oprócz niezweryfikowanego i nieautoryzowanego tłumaczenia. – Hermann przerwał na moment. – A jednak zaakceptowaliśmy Stary Testament bez żadnych pytań jako Słowo Boże, choć tekst ten wpłynął ostatecznie na przekłamania w Nowym Testamencie. A słowa Ewangelii po dziś dzień mają konsekwencje geopolityczne.

Zebrani czekali, aż Hermann przejdzie do sedna.

– Siedem lat temu człowiek nazwiskiem George Haddad, palestyński uczony zajmujący się Biblią, napisał artykuł opublikowany przez uniwersytet w Bejrucie. Twierdził w nim, że Stary Testament w formie przekładu zawiera przekłamania.

– Ciekawe założenie – odezwał się któryś z członków.

Korpulentna i ociężała kobieta wstała z miejsca.

– Traktuję Słowo Boże z większą powagą niż pan.

Hermann zdawał się rozbawiony.

– Czyżby? A cóż pani wie na temat tego Słowa Bożego? Czy zna pani jego historię? Jego autora? A także tłumacza? Te słowa zostały napisane przed tysiącami lat przez nieznanych skrybów w języku starohebrajskim. W mowie, która od ponad dwóch tysięcy lat jest już martwa. Cóż pani wie o starohebrajskim?

Kobieta odpowiedziała milczeniem.

Hermann przytaknął.

– Brak wiedzy, jaki pani wykazuje, jest jak najbardziej zrozumiały. Był to język wysoce fleksyjny, w którym znaczenie słów w dużym stopniu wiązało się z użytym kontekstem, a w mniejszym z pisownią. To samo słowo mogło mieć i w rzeczywistości miało kilka różnych znaczeń, w zależności od tego, jak zostało użyte. Dopiero całe stulecia po pierwszym spisaniu Starego Testamentu żydowscy uczeni przetłumaczyli te słowa na ówczesny język hebrajski. A uczeni ci nie potrafili już mówić w języku starohebrajskim, dlatego po prostu zgadywali znaczenie słów lub, co jeszcze gorsze, zmieniali ich znaczenie. Upłynęły następne stulecia i nowe uczone głowy, tym razem chrześcijanie, po raz kolejny wzięły się za przekład tych słów. Oni również nie znali starohebrajskiego, a zatem z konieczności zgadywali. Z całym należnym respektem dla pani wiary, nie mamy pojęcia, jak brzmiało to boskie słowo.

– Nie ma w panu wiary – oznajmiła kobieta.

– W tym wypadku nie ma, ponieważ to nie dotyczy Boga. Jest to dzieło człowieka.

– Jakie są właściwie argumenty Haddada? – zapytał inny mężczyzna, którego ton sugerował, że jest zainteresowany.

– Mówiąc prawdę, głosił, że w czasie, kiedy opowieść o przymierzu między Bogiem a Abrahamem została opowiedziana po raz pierwszy, Żydzi już zamieszkiwali w ich Ziemi Obiecanej – która obecnie nosi nazwę Palestyny. Oczywiście działo się to wiele wieków po tym, jak boska obietnica miała zostać rzekomo złożona. Według biblijnego przyrzeczenia Ziemia Obiecana miała się rozciągać między rzeką Egiptu a wielką rzeką Eufrat. Podano też wiele nazw miejsc. Kiedy jednak Haddad zaczął

przyrównywać biblijne nazwy, przetłumaczył je z powrotem na język starohebrajski i porównał je z rzeczywistymi miejscami na mapie, odkrył coś niezwykłego. – Tu Hermann zrobił przerwę, najwyraźniej zadowolony z siebie. – Ziemia Obiecana Mojżesza oraz kraina Abrahama w rzeczywistości znajdują się w zachodniej części Arabii Saudyjskiej, w regionie o nazwie Asir.

– Tam, gdzie leży Mekka? – padło pytanie z sali.

Hermann potwierdził skinieniem głowy. Thorvaldsen zobaczył, że wielu członków zakonu natychmiast pojęło znaczenie tego faktu.

– To niemożliwe – skomentował jeden ze zgromadzonych.

– A jednak – odparł Hermann. – Zaraz wam to pokażę.

Dał znak i z sufitu zaczął się zsuwać podwieszony pod nim ekran. Ktoś włączył też projektor. Na ekranie pojawiła się mapa przedstawiająca część Arabii Saudyjskiej, z wyraźnie widoczną nierówną i postrzępioną linią brzegową Morza Czerwonego, biegnącą od północy ku południu. Podziałka w dolnym prawym rogu pozwoliła wyciągnąć wniosek, że pokazany obszar ma czterysta kilometrów długości i trzysta szerokości. O sto kilometrów od brzegu morza ciągnęły się górskie masywy, które później nabierały bardziej płaskiego charakteru, przechodząc w pustynne obszary środkowej części półwyspu.

– Wiedziałem, że będą wśród was sceptycy – uśmiechnął się Hermann, kiedy na sali, gdzie zgromadzili się członkowie Walnego Zgromadzenia, dały się słyszeć nerwowe śmiechy. – Oto jest współczesny Asir.

Ponownie dał znak i obraz na ekranie się zmienił.

– Widzimy tutaj domniemane granice biblijnej Ziemi Obiecanej, w której wykorzystano miejsca zidentyfikowane precyzyjnie przez George'a Haddada. Linia przerywana wyznacza granicę ziemi Abrahama, z kolei linia ciągła to kraj Mojżesza. Nazwy biblijne, przetłumaczone ponownie na język starohebrajski, odpowiadają nazwom rzek, miast oraz pasm górskich w tym regionie, i to z perfekcyjną precyzją. Wiele z nich wciąż jeszcze zachowało brzmienie z języka starohebrajskiego – zaadaptowane, co oczywiste, do języka arabskiego. Postawcie sobie

pytanie, dlaczego nie ma żadnych paleograficznych czy archeologicznych dowodów, które potwierdzałyby istnienie w Palestynie miejsc związanych z Biblią. Odpowiedź jest prosta. Ponieważ tych miejsc tam nie ma. Leżą setki kilometrów dalej na południe, w Arabii Saudyjskiej.

– Dlaczego nikt nie zauważył tego wcześniej?

Thorvaldsen docenił to pytanie, gdyż nasunęła mu się ta sama wątpliwość.

– Obecnie żyje na świecie kilku uczonych, którzy biegle władają językiem starohebrajskim. Żaden z nich oprócz Haddada najwyraźniej nie był na tyle zainteresowany tematem, żeby go zgłębiać. Chcąc jednak zyskać pewność, wynająłem jednego z tych ekspertów, by potwierdził odkrycia Haddada. I rzeczywiście tak uczynił, co do najmniejszych szczegółów.

– Czy możemy porozmawiać z pańskim ekspertem? – padło szybkie pytanie z sali.

– Niestety, był on już w podeszłym wieku i w zeszłym roku opuścił ziemski padół.

„Bardziej prawdopodobne, że ktoś pomógł temu człowiekowi znaleźć się w grobie – pomyślał Thorvaldsen. – Ostatnią rzeczą, jakiej życzył sobie Hermann, był drugi uczony gotów przeprowadzić spektakularny zamach stanu”.

– Ale dysponujemy szczegółowym sprawozdaniem jego autorstwa, które można poddać analizie. Brzmi całkiem przekonująco.

Na ekranie pojawił się nowy obraz. Kolejna ilustracja przedstawiająca Asir.

– Tutaj mamy ilustrację punktu widzenia Haddada. W Księdze Sędziów, w rozdziale osiemnastym, jedno z plemion Izraela, potomkowie Dana, założyli osadę o nazwie Laisz w regionie o tej samej nazwie. Biblia głosi, że miasto znajdowało się niedaleko innego o nazwie Sydon. W pobliżu Sydonu wzniesiono warowną fortecę Zor. Chrześcijańscy historycy w czwartym wieku naszej ery rzekomo zidentyfikowali Dan jako osadę położoną w górnym biegu rzeki Jordan. W tysiąc osiemset trzydziestym ósmym roku grupa uczonych prowadziła tam badania i natrafiła na wzgórze, które uznano za pozostałości biblijnej osady Dan. Po dziś dzień uznaje się to miejsce za osadę Dan – jest tam obecnie nowa osada izraelska, również nazwana Dan, która rozwija się dynamicznie.

Thorvaldsen zauważył, że Hermann najwyraźniej odczuwał radość, jak gdyby przygotowywał się na ten moment od dawna. Zastanawiał się jednak, czy jego nieoczekiwany manewr z Margarete nie przyspieszył zaplanowanego harmonogramu działań gospodarza zgromadzenia.

– Archeolodzy przeszukiwali to wzgórze przez czterdzieści minionych lat. Nie znaleziono nawet jednego okruchu, który potwierdzałby identyfikację tego miejsca jako osady Dan.

Hermann znów dał znak, a obraz na ekranie ponownie się zmienił. Pojawiły się teraz nazwy na drugiej mapie regionu Asir.

– Tu widzimy odkrycia, jakich dokonał Haddad. Biblijny Dan można bez trudu zidentyfikować jako osadę położoną w zachodniej części Półwyspu arabskiego o nazwie al-Danadinah, która znajduje się w rejonie o nazwie al-Lit. Główne miasto również nosi nazwę al-Lit. Po przetłumaczeniu nazwa ta jest identyczna z biblijnym Laish. Po dziś dzień istnieje również osada o nazwie Zidon, położona w niedużej odległości. Jeszcze bliżej al-Danadinah znajduje się al-Sur, która w wersji po przekładzie brzmi Zor.

Thorvaldsen musiał przyznać, że zbieżność nazw geograficznych rzeczywiście była intrygująca. Zdjął okulary bez oprawek i przesuwał palcem po grzbiecie nosa, masując nabrzmiałą krawędź i usiłując się skupić.

– Topograficznych korelacji jest więcej. W Drugiej Księdze Samuela miasto Dan znajdowało się blisko rejonu o nazwie Tahtim. Nigdzie w Palestynie nie przetrwało miejsce o nazwie Tahtim. Ale w zachodniej części Arabii Saudyjskiej osada al-Danadinah znajduje się w pobliżu górskiego pasma o nazwie Jabal Tahyatayn, co stanowi arabską formę od

nazwy Tahtim. To nie może być zbieg okoliczności. Haddad sformułował tezę, że jeśli archeologowie przekopaliby ten obszar, z pewnością znaleźliby tu dowody potwierdzające istnienie starożytnych żydowskich osad. Nigdy jednak do tego nie doszło. Saudyjczycy całkowicie zakazali prowadzenia prac wykopaliskowych. W rzeczy samej, przed pięcioma laty, kiedy dostrzegli zagrożenie wynikające z efektów prac badawczych Haddada, Saudyjczycy zniszczyli wszystkie osady w tym rejonie, zanieczyścili te miejsca, sprawiając, że obecnie niemal niemożliwe jest przeprowadzenie prac wykopaliskowych i wyciągnięcie na ich podstawie obiektywnych wniosków.

Thorvaldsen zauważył, że gdy uczestnicy Walnego Zgromadzenia słuchali z coraz większą uwagą, Hermann zyskiwał pewności siebie.

– Ale to nie wszystko. W całym Starym Testamencie Jordan jest przedstawiany przy użyciu hebrajskiego słowa *yarden*. Nigdzie jednak nie pada stwierdzenie, że jest to rzeka. W rzeczywistości słowo to oznacza „opadać, wpadać w ziemię". Przekład jednak traktuje Jordan jako rzekę, której przekroczenie stało się wydarzeniem o wielkim znaczeniu. Cóż z tego, przecież rzeka Jordan położona w Palestynie nie niesie wielkiej masy wód. Mieszkańcy obu brzegów przechodzili przez rzekę od wielu stuleci. Ale tu – w tym miejscu wskazał pasmo górskie ciągnące się na mapie – mamy wielki Zachodni Uskok Arabski. Niemożliwy do przejścia poza miejscami, gdzie są przełęcze, ale i wtedy też jest to trudne zadanie. W każdym miejscu, gdzie w Starym Testamencie jest mowa o Jordanie, geografia oraz analiza tekstu wskazuje, że chodzi o miejsce położone tutaj na Półwyspie Arabskim.

– Jordan miałby być górskim łańcuchem?

– Żadne inne tłumaczenie Starego Testamentu nie ma sensu.

Obserwował badawczo twarze osób spoglądających na niego.

– Nazwy miejsc są przekazywane wraz z uświęconą tradycją ustną – podjął wątek. – Stare nazwy przetrwały w pamięci ludowej i zazwyczaj jedne potwierdzają drugie. Haddad stwierdził, że jest to szczególnie prawdziwe w regionie Asir.

– Czy nie dokonano żadnych odkryć archeologicznych, które łączyłyby Biblię z Palestyną?

– Są pewne odkrycia, ale żadna z odkopanych inskrypcji niczego nie udowadnia. Kamień Moabitów odnaleziony w tysiąc osiemset

sześćdziesiątym ósmym roku mówi o wojnie między krajem Moab a Izraelem, o której wspomina się w Księdze Królewskiej. Inny obiekt, odkryty w dolinie Jordanu w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku, mówi o tym samym. W żadnym z nich nie ma jednak mowy o tym, że Izrael był zlokalizowany w Palestynie. Źródła historyczne asyryjskie i babilońskie opowiadają o podboju Izraela, ale żadne z nich nie wspomina o tym, gdzie jest położony Izrael. W Księdze Królewskiej czytamy, że armie Izraela, Judy i Edomu maszerowały przez siedem dni na pozbawionej wody pustyni, a przecież rów tektoniczny w Palestynie, który często jest uznawany za tę pustynię, można pokonać w jeden dzień. Ponadto w jego obrębie jest obfitość wody.

Teraz Hermann mówił już z pełną swadą i swobodą, jak gdyby zbyt długo tłumił prawdę w sobie.

– Nie pozostał nawet jeden kamień z pierwszej świątyni Salomona, nigdy nic nie znaleziono, chociaż Księga Królewska głosi, że użyto *wielkich kamieni, wyborowych i ciosanych*. Czy nawet jeden blok nie zdołał przetrwać?

Doszedł do sedna.

– W rzeczywistości było tak, że uczeni pozwolili na to, żeby ich z góry przyjęte osądy wpłynęły na interpretację. Chcieli po prostu, żeby Palestyna była krajem starożytnych Żydów ze Starego Testamentu, cel bowiem uświęca środki. Rzeczywistość jest jednak bardzo odmienna. Archeologia na dobrą sprawę udowodniła, że Palestyna ze Starego Testamentu była to kraina ludzi żyjących w małych miasteczkach i osadach, głównie chłopów, którzy zaledwie liznęli wyższej kultury. Prymitywna społeczność, nie zaś wysoka kultura Izraelitów ery po Salomonie. To jest fakt naukowy.

– A co głosi Księga Psalmów? – zapytał któryś z członków. – *Wierność z ziemi wyrośnie*.

– Co zamierza pan zrobić? – ktoś inny sformułował pytanie.

Hermann najwyraźniej docenił to pytanie.

– Bez względu na brak zgody Saudyjczyków na jakiekolwiek poszukiwania archeologiczne, Haddad jest przekonany o istnieniu dowodu, który potwierdzałby jego teorię. Jeśli ta teoria będzie mogła zostać potwierdzona – przynajmniej w stopniu, który pozwoli podać w wątpliwość obietnicę ze Starego Testamentu – pomyślcie o konsekwencjach. Nie tylko Izrael, ale też Arabia Saudyjska staną wobec destabilizacji i zamętu. My zaś

od dawana jesteśmy sfrustrowani stopniem korupcji rządów obu tych państw. Wyobraźcie sobie, co uczynią radykalni muzułmanie. Ich najświętsze miejsce okaże się w rzeczywistości biblijną ojczyzną Żydów. Byłoby to miejsce podobne do Wzgórza Świątynnego w Jerozolimie, które wszystkie trzy religie uznają za swoje źródło. To miejsce rodzi chaos od tysięcy lat. Chaos w zachodniej części Arabii Saudyjskiej byłby w równym stopniu nieprzewidywalny.

Thorvaldsen dostatecznie długo zachowywał milczenie. Wstał.

– Nie masz prawa sądzić, że rewelacje te, nawet jeśli zostaną udowodnione, wywołają tak daleko idące skutki. Cóż jeszcze jest w tym, co tak bardzo interesuje Komitet Polityczny?

Hermann spoglądał na niego z pogardą, którą wyłącznie oni dwaj rozumieli. Krąg wydał polecenie podjęcia działań wobec Cottona Malone’a i uprowadzenia jego syna. Teraz on wywierał presję na Hermanna. Co oczywiste, Niebieskie Krzesło nigdy nie ujawni tej słabości. Thorvaldsen zagrał mądrze asem ukrytym w rękawie tu, w trakcie Walnego Zgromadzenia, na którym Hermann musiał zachować ostrożność. Coś mu jednak podpowiadało, że Austriak wciąż ma jeszcze jeden atut.

A szyderczy uśmiech, w jaki wykrzywiły się wąskie usta starca, sprawił, że Thorvaldsen przerwał wypowiedź.

– Masz rację, Henriku. Jest jeszcze jeden aspekt. Taki, który sprawi, że chrześcijanie również ruszą do walki.

PIĘĆDZIESIĄT OSIEM

WIEDEŃ
GODZINA 22.50

Alfred Hermann zamknął drzwi prywatnego apartamentu i zdjął szatę oraz łańcuch z herbem zakonu. Łączna waga obu tych przedmiotów fatygowała jego utrudzone wiekiem ciało. Położył pelerynę na łóżko, zadowolony z przebiegu obrad zgromadzenia. Po trzech godzinach członkowie w końcu zaczynali pojmować. Plany zakonu były nad wyraz ambitne i niemal genialne. Teraz potrzebował jedynie poprzeć swoje racje dowodem, który miał pojawić się niebawem.

Zaczynał się jednak coraz bardziej niepokoić.

Już zbyt długo nie miał żadnej wiadomości od Sabre'a.

Czuł, jak niepokój wywołuje w nim mdłości. Nie znał takiego uczucia. Chcąc przejąć inicjatywę, przyspieszył bieg zdarzeń. Być może było to największe przedsięwzięcie za czasów jego urzędowania w roli Niebieskiego Krzesła – jego kadencja powoli dobiegała kresu. Zakon Złotego Runa powołano po to, żeby wykorzystywał nadarzające się sposobności i odnosił sukcesy. Skład personalny wielu rządów ulegał zmianom, niektóre zostały nawet obalone tylko po to, żeby wspólnota mogła bujnie się rozwijać. To, co sobie obmyślił, mogło powalić na kolana kilka innych administracji, być może nawet samych Amerykanów, jeśli rozegra wszystko zręcznie i z głową.

Wiedział, że Thorvaldsen może stanowić problem. Dlatego właśnie polecił, aby Sabre przygotował finansowe dossier Duńczyka. Kiedy poprzedniego dnia siedział w motylarni i obserwował, jak Sabre posłusznie zgadza się wypełnić to zadanie, nie przyszło mu nawet do głowy, że Thorvaldsen zdobędzie się na taki rodzaj agresji. Znali się od wielu lat. Nie łączyła ich co prawda zażyła przyjaźń, ale na pewno koleżeńskie porozumienie. Jakimś sposobem Duńczyk zdołał szybko powiązać to, co wydarzyło się w Kopenhadze, z nim i z zakonem.

Nie spodziewał się, że istniał jakikolwiek trop.

To zaś skierowało jego myśli ku Dominickowi.

Do jakiego stopnia ten człowiek zachował się nieostrożnie?

Chyba że postępował z premedytacją?

Przez umysł przebiegły mu ostrzeżenia wypowiedziane przez Margarete. „Za dużo swobody. Zbyt wiele zaufania”. Dlaczego wynajęty przez niego najemnik nie dzwonił? Ostatnią wiadomość otrzymał od Sabre’a, kiedy ten opuściwszy Rothenburg, był w drodze do Londynu, żeby odnaleźć George’a Haddada. Usiłował dodzwonić się do niego kilkakrotnie, lecz bez powodzenia. Sabre był mu potrzebny. Tutaj. Teraz.

Od drzwi dobiegło ciche pukanie.

Przeszedł przez komnatę i przekręcił gałkę.

– Pora, żebyśmy dokończyli rozmowę – zwrócił się do niego Thorvaldsen.

Był tego samego zdania.

Thorvaldsen wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

– Nie możesz mówić tego wszystkiego na poważnie, Alfredzie. Czy zdajesz sobie sprawę, co planujesz wyzwolić?

– Przemawiasz jak Żyd, Henriku. I to jest twoja wada. Jesteś zaślepiony rzekomą obietnicą Boga. Waszym tak zwanym prawem nabytym.

– Przemawiam jak ludzka istota. Kto wie, czy Stary Testament głosi prawdę? Ja z pewnością nie mam o tym pojęcia. Jednak świat islamu nie będzie tolerował najmniejszej choćby sugestii, że jego najświętsza ziemia jest zbrukana przez judaizm. Z pewnością zareagują gwałtownie.

– Saudyjczycy – odparł Hermann – otrzymają szansę dobicia targu, zanim informacje zostaną rozpowszechnione. Zawsze działamy w ten sposób. Wiesz o tym. Przemoc będzie ich winą, nie naszą. Naszym celem są wyłącznie zyski. Komitet Polityczny jest przekonany, że będziemy w stanie uzyskać ogromne ekonomiczne ustępstwa, które przyniosą pożytek naszym członkom. Ja zaś zgadzam się z tym.

– To czysty obłęd – oświadczył Thorvaldsen.

– Cóż więc zamierzasz uczynić?

– Cokolwiek będę musiał.

– Nie masz w sobie dość ikry, żeby podjąć tę walkę, Henriku.

– Jeszcze się zdziwisz.

Hermann nie był tego pewien, postanowił więc odłożyć starcie na później.

– Być może powinieneś bardziej pochylić się nad własnym położeniem. Sprawdziłem twoją sytuację finansową. Nigdy nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo niepewna jest branża szklarska. Sukces twojego koncernu Adelgade Glasvaerker zależy od wielu niestabilnych czynników.

– Ty natomiast sądzisz, że możesz mieć na nie wpływ?

– Jestem w dużym stopniu przekonany, że mogę spowodować komplikacje.

– Mój kapitał netto z pewnością dorównuje twojemu.

Hermann się uśmiechnął.

– Ale ty cenisz wysoko reputację. Nie do pomyślenia jest, żeby jakaś z twoich firm upadła.

– Jeśli chcesz, spróbuj, Alfredzie.

Zdał sobie sprawę, że każdy z nich obracał miliardami euro, w większości zgromadzonymi przez przodków. Każdy z nich pełnił teraz funkcję oddanego zarządcy. I żaden nie był głupcem.

– Nie zapominaj o jednym – rzekł Thorvaldsen. – Mam twoją córkę.

Hermann wzruszył ramionami.

– Ja zaś mam ciebie i chłopca.

– Czyżby? Zamierzasz wystawić na ryzyko jej życie?

Hermann, jak dotąd, nie zdecydował, jak rozwiązać ten dylemat. Odpowiedział więc pytaniem.

– Czy chodzi w tym wszystkim o Izrael? Wiem, że uważasz siebie za patriotę.

– A ja wiem, że jesteś dogmatykiem.

Poczuł, jak zalewa go nagły gniew.

– Nigdy wcześniej nie rozmawiałeś ze mną tak obcesowo.

– Zawsze wiedziałem, co czujesz, Alfredzie. Twój antysemityzm nie budzi cienia wątpliwości. Wprawdzie usiłujesz go zamaskować – w końcu kilku członków zakonu to Żydzi – ale to jest oczywiste.

Pora skończyć z pozorami.

– Problem stanowi twoja religia. Zawsze zresztą tak było.

Tym razem to Thorvaldsen wzruszył ramionami.

– W nie większym stopniu niż chrześcijaństwo. Porzuciliśmy wojenne ścieżki i spoglądaliśmy z boku, jak chrześcijanie mordowali bez

opamiętania w imię zmartwychwstałego Boga.

– Nie jestem osobą wierzącą. Wiesz o tym, Henriku. Tutaj chodzi o politykę oraz o zyski. A ci Żydzi w zakonie? Im również tylko na tym zależy. Izrael stanowi przeszkodę, którą należy usunąć. Syjonistów zdjęła trwoga wobec tej prawdy.

– Co miałeś na myśli, mówiąc podczas sesji zgromadzenia, że chrześcijan to również dotyczy?

– Jeśli Biblioteka Aleksandryjska zostanie odnaleziona, będą w niej teksty, którą pozwolą ujawnić fakt, że Biblia jest jednym wielkim oszustwem.

Thorvaldsen nie sprawiał wrażenia przekonanego.

– Może się okazać, że trudno będzie ci osiągnąć ten cel.

– Zapewniam cię, Henriku. Przemyślałem wszystko bardzo gruntownie.

– Gdzie przebywa człowiek zwany Szponami Orła?

Rzucił w kierunku Thorvaldsena spojrzenie pełne uznania.

– Nieźle. Ale on jest poza twoją kontrolą.

– Lecz nie poza twoją.

Postanowił wyrazić się jasno i konkretnie.

– Nie jesteś w stanie tego wygrać. Masz moją córkę, lecz to mnie nie powstrzyma.

– Być może ja również powinienem wyrazić się jasno. Moja rodzina przetrwała nazistowską okupację Danii. Wielu z nas zostało zabitych, ale zabiliśmy też wielu Niemców. Nie raz, nie dwa razy spoglądałem śmierci w oczy. Osobiście los Margarete nie porusza mnie w najmniejszym stopniu. To kobieta arogancka, rozpieszczona, pozbawiona inteligencji. Liczą się dla mnie wyłącznie Cotton Malone, jego syn i moja adoptowana ojczyzna. Jeśli będę zmuszony ją zabić, nie zawaham się.

– Mogę ci coś pokazać.

– Musisz to powstrzymać.

– W tej grze stawką jest nie tylko dbałość o nasze finansowe interesy.

– W takim razie pokaż mi.

– Muszę to przygotować.

PIĘĆDZIESIĄT DZIEWIĘĆ

MARYLAND
GODZINA 16.50

Stephanie siedziała z tyłu samochodu typu kombi, Cassiopeia rozlokowała się obok niej. Wjechały przez główną bramę bez zatrzymywania – samochód mijał uzbrojonych wartowników, nie zmniejszając prędkości. Jechały z Waszyngtonu na północ, przez wiejskie, pagórkowate tereny stanu Maryland. Natychmiast się zorientowała, co jest celem ich podróży.

Camp David. Weekendowa rezydencja prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Minęły wartowników i kolejny punkt kontroli, po czym samochód zatrzymał się przed budowlą z drewnianych bali, usytuowaną pośród drzew i otoczoną zadaszoną werandą. Wysiadły na rześkie powietrze popołudnia. Agent służby Secret Service, który przywiózł je z muzeum, dał znak ręką i frontowe drzwi się otworzyły.

Prezydent Robert Edward Daniels junior wyszedł z budynku.

Wiedziała, że prezydent nigdy nie posługiwał się imieniem z chrztu. Dawno temu przyjął przydomek Danny. Towarzyska dusza, obdarzony tubalnym barytonem. Danny Daniels otrzymał od Boga talent zwyciężania wyborów. Przez trzy kadencje zasiadał na fotelu gubernatora, jedną spędził w senacie, zanim z powodzeniem wystartował po prezydenturę. Ponowna elekcja w zeszłym roku to była bułka z masłem.

– Stephanie, świetnie, że przyjechałaś – powiedział na przywitanie Daniels, zeskakując po stopniach werandy.

Był ubrany w dżinsy, koszulę z diagonalu oraz buty z cholewkami.

Zebrała się na odwagę i zrobiła krok do przodu.

– Czy miałam jakiś wybór?

– Nie bardzo. Lecz mimo to świetnie, że przyjechałaś. Powiedziano mi, że wdepnęłaś w niezłą aferę.

Daniels dodał do tego beztroski chichot, ona jednak nie była w nastroju do żartów – nawet jeśli na krotochwile pozwalał sobie przywódca wolnego, demokratycznego świata.

– Dzięki pańskim ludziom.

Uniósł ręce w geście udawanych przeprosin.

– Cóż, to się dopiero okaże. Jeszcze nawet nie wysłuchałaś tego, co mam do powiedzenia. A ta nowa prezencja? Włosy i ciuchy? Podoba mi się.

Nie dając jej szansy na odpowiedź, zwrócił się do Cassiopei.

– Z pewnością mam przyjemność z panią Vitt. Wiele o pani słyszałem. Prowadzi pani fascynujące życie. A ten zamek, który rekonstruuje pani we Francji? Z prawdziwą przyjemnością zobaczyłbym tę twierdzę.

– Powinien pan przyjechać. Oprowadzę pana.

– Powiedziano mi, że przywraca pani dawną świetność tej budowli, ale z użyciem metod stosowanych sześćset lat temu. Zdumiewające.

Stephanie zdała sobie sprawę, że Daniels przekazuje jej jakąś wiadomość. Znalazły się tutaj, on wiedział o wszystkim, powinna więc wyluzować.

„W porządku. Pora się przekonać, dokąd mnie to zaprowadzi”.

– Wbrew temu, co sądzisz, Stephanie – podjął rozmowę Daniels – nie jestem idiotą.

Siedzieli teraz na werandzie od frontu, każde z nich w bujanym fotelu z wysokim oparciem. Daniels bujał się na swoim z wigorem, deski podłogi skrzypiały wystawione na prawdziwą próbę pod jego ciężarem – miał blisko metr dziewięćdziesiąt wzrostu.

– Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek nazwała pana idiotą – odparła.

– Mój tato zwykł mawiać do mamy, że nigdy nie nazwał jej suką w jej obecności. – Skierował na nią niezbyt przyjazne spojrzenie. – Co, swoją drogą, było prawdą.

Nie odezwała się słowem.

– Zadałem sobie wiele trudu, żeby wyciągnąć cię z tego muzeum. To jedno z moich ulubionych miejsc. Kocham samoloty i kosmos. Kiedy byłem młody, przeczytałem wszystko na ten temat. Piastowanie urzędu prezydenta to wspaniała rzecz. Możesz obserwować start kosmicznej rakiety, kiedy tylko masz ochotę. – Prezydent założył nogę na nogę

i odchylił się do tyłu w fotelu na biegunach. – Mam problem, Stephanie. Poważny.

– To jest nas już dwoje. Jestem bez pracy i jak utrzymuje pański doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, wydano nakaz aresztowania mnie. Czy to nie pan wywalił mnie na bruk?

– Zrobiłem to. Larry poprosił mnie o to, ja zaś wyraziłem zgodę. Lecz musiało się tak stać, żebyś mogła teraz znaleźć się tutaj.

Cassiopeia przesunęła się z fotelem do przodu.

– Zastanawiałam się wcześniej. Teraz wiem. Pan działa ręka w rękę z Izraelczykami, nieprawdaż? Usiłowałam poskładać elementy układanki. Teraz to nabiera sensu. Oni przyszli do pana.

– Poinformowano mnie również, że pani ojciec był jednym z najbardziej uzdolnionych ludzi w Hiszpanii. Z niczego zbudował finansowe imperium. To, którym pani teraz kieruje.

– Nie jest to moja najmocniejsza strona.

– Ale słyszałem, że jest pani doskonałym strzelcem, ma odwagę lwicy i poziom inteligencji geniusza.

– W tym momencie znalazłam się jednak w centrum politycznego galimatiasu.

Daniels z rozbawieniem zmrużył oczy.

– Galimatias. Właśnie z tym mamy tutaj do czynienia. I ma pani rację. Izraelczycy zwrócili się do mnie. Są poirytowani poczynaniami Cottona Malone’a.

Stephanie wiedziała, że Daniels miał słabość do Malone’a. Przed dwoma laty Malone uczestniczył w Mexico City w procesie o morderstwo – ofiarą był szef DEA, Rządowej Agencji do Walki z Narkotykami, współlokator Danielsa z czasów studiów w college’u, zamordowany w sposób, który wyglądał na egzekucję. Stephanie wysłała Malone’a, żeby dopilnował, by wydano wyrok skazujący, lecz pewnego dnia podczas przerwy na lunch Malone znalazł się w krzyżowym ogniu. W rezultacie strzelaniny śmierć ponieśli meksykańska prokurator oraz syn Henrika Thorvaldsena. Malone zastrzelił zamachowców i wrócił do kraju z kulą w barku, lecz wyrok skazujący zapadł. Kiedy postanowił przejść wcześniej na emeryturę, Daniels, w podzięce za to, co zrobił, zwolnił go z procedury załatwiania formalności w komisji Marynarki Wojennej.

– Jakie jest pańskie stanowisko, sir? – zapytała. – Również jest pan zły na Malone’a?

– Sir? To chyba pierwszy raz. Zauważyłem, że podczas kilku naszych spotkań nigdy nie używałaś tego słowa.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że zwraca pan na to tak dużą uwagę.

– Stephanie, zwracam dużą uwagę na wiele rzeczy. Na przykład całkiem niedawno Cotton Malone zadzwonił do biura Magellan Billet. Oczywiście ty byłaś zajęta czym innym, rozmowę przełączono więc do Brenta Greena, na osobiste polecenie prokuratora generalnego.

– Sądziłam, że moje obowiązki przejął Daley?

– Ja również. Dlaczego Green to robi?

– Skąd pan wie, że on to zrobił? – chciała wiedzieć Cassiopeia.

– Jego telefony są na podsłuchu.

Stephanie nie wierzyła własnym uszom.

– Kazał pan założyć mu podsłuch?

– Do jasnej cholery, tak! Jemu oraz kilku innym. I owszem, jednym z nich jest Larry Daley.

Poczuła, jak przechodzi przez nią fala niepewności. Zmusiła umysł do koncentracji. Ta układanka składała się najwyraźniej z większej liczby elementów.

– Stephanie, przepracowałem całe życie, żeby dostać się tutaj. To pozycja, która umożliwia człowiekowi zrobienie czegoś naprawdę. Ja zaś wywiązuję się z tego poprawnie. Bezrobocie spadło do najniższego poziomu od trzydziestu lat. Inflacja w zasadzie nie istnieje. Stopy oprocentowania są umiarkowane. Przed dwoma laty zdołałem nawet obniżyć stawki podatkowe.

– Dzięki temu, że Kongres siedzi w kieszeni Larry’ego Daleya. Trudno przegrywać w głosowaniach.

Nie potrafiła się powstrzymać. Choć ten człowiek był prezydentem, w tej chwili poziom jej tolerancji wobec gładkich frazesów spadł poniżej zera.

Daniels bujał się w milczeniu, spoglądając ku pobliskim skupiskom drzew.

– Pamiętasz trzeci film z serii *Rocky*?

Nie odpowiedziała.

– Uwielbiam te filmy. Rocky zawsze zbierał srogie baty, aż ledwie dyszał. Potem rozlegała się monumentalna muzyka, fanfary i tak dalej. Dostrzegał wszystko z pełną jasnością, chwytał drugi oddech i tłukł przeciwnika na kwaśne jabłko.

Słuchała tego z rozbawieniem.

– W trzeciej części Rocky dowiaduje się, że Mickey, jego trener, aranżuje łatwe walki. Pewne zwycięstwa. Po to tylko, żeby Rocky utrzymał tytuł i za bardzo nie oberwał. Stallone zagrał to świetnie. Pragnie stoczyć walkę z Panem T, lecz Mickey odmawia, przekonując go, że nie zszedłby z ringu żywy. Rocky wpada w furię, kiedy uświadamia sobie, że być może wcale nie jest taki dobry, jak mu się wydawało. Rzecz jasna, Mickey umiera, a Rocky w końcu powala na deski Pana T.

W słowach prezydenta można było usłyszeć szacunek.

– Daley to mój Mickey – podjął niemal szeptem. – On aranżuje moje starcia. Jestem jak Rocky. Nie podoba mi się to.

– I nie wiedział pan? – zapytała.

Pokręcił głową z osobliwą mieszaniną rozdrażnienia i ciekawości.

– Sam pracowałem nad przygwożdżeniem go, kiedy odkryłem, że prowadzisz dochodzenie. Wykorzystując prostytutki. Pomysłowe. Moi ludzie okazali się mniej kreatywni. Muszę przyznać, że tego dnia, kiedy mi o tym powiedziano, zmieniłem opinię na twój temat.

Musiała się teraz tego dowiedzieć.

– Skąd wiedział pan, że prowadzę dochodzenie?

– Moi ludzie uwielbiają podsłuchy i ukryte kamery. A więc słuchali i patrzyli. Wiedzieliśmy o przenośnych pamięciach. I wiedzieliśmy, gdzie je przechowywał. Dlatego po prostu czekaliśmy.

– Moje dochodzenie przeprowadzono kilka miesięcy temu. Dlaczego nie skierował pan przeciw niemu oskarżenia?

– A dlaczego ty tego nie zrobiłaś?

Odpowiedź była oczywista.

– Ja nie mogę wywalić go na bruk. Pan może.

Daniels umieścił obie stopy na podłodze i balansował na końcach biegunów.

– Skandal to przykra sprawa. Nikt w tym kraju nie dałby wiary, że nie wiedziałem, czym parał się Daley. Muszę go zdjąć, ale bez pozostawiania odcisków palców.

– Zatem Daley sam powinien to zrobić? – chciała wiedzieć Cassiopeia.

Daniels spojrzał na nią.

– To byłby najbardziej pożądany sposób. Ale Larry wyspecjalizował się w sztuce przetrwania. I muszę przyznać, że jest w tym dobry.

– Jakie ma na pana haki? – zapytała Stephanie bez ogródek.

Jej zuchwałość raczej go rozbawiła niż rozgniewała.

– Poza kompromitującymi fotografiami w towarzystwie kozy raczej niewiele.

Uśmiechnęła się z ulgą.

– Musiałam o to zapytać.

– Tak, musiałaś. Rozumiem teraz komentarze na twój temat, Stephanie. Potrafisz być irytująca. Może jednak powrócilibyśmy do mojego pytania, którego żadna z was zdaje się nie traktować poważnie. Dlaczego Brent Green chce rozmawiać bezpośrednio z Cottonem?

Przypomniała sobie to, co usłyszała od Daleya w muzeum.

– Daley powiedział mi, że Brent usilnie zabiega o fotel wiceprezydenta.

– I ten fakt prowadzi nas do celu tego spotkania. – Daniels znów oparł plecy na fotelu i zaczął się bujać. – Lubię odgrywać dobrego chłopca. To zresztą wyniosłem po części z rodzinnego domu w Tennessee w ramach prowincjonalnego wychowania. To jeden z powodów, dla których tak bardzo lubię Camp David. Przypomina mi rodzinne strony. Teraz jednak znów muszę wcielić się w rolę prezydenta. Ktoś dostał się do utajnionych plików i zajrzał do tego, co tam jest na temat aleksandryjskiego ogniwa. Potem ten ktoś przekazał tę informację rządom dwóch państw, które teraz działają nad wyraz gorączkowo. Izraelczycy są naprawdę wkurzeni. Przyznam, że oficjalnie wygląda to tak, jakbyśmy sobie nawzajem skakali do gardeł. Ale na stopie prywatnej lubię tych gości. Nikt, ale to doprawdy nikt nie będzie pogrywał z Izraelem, kiedy ja jestem u władzy. Niestety, w tej administracji są osoby, które myślą inaczej.

Zamierzała zapytać kto, lecz postanowiła pozwolić mu mówić.

– Ktoś uruchomił bieg zdarzeń, które rozpoczęły się z chwilą uprowadzenia syna Cottona Malone’a. Na szczęście ci faceci nie wiedzieli, z kim zadzierają, wciągając w to Malone’a. Co daje nam sposobność wyświetlenia sprawy do końca. Jeden z moich wujów zwykł mawiać tak: Chcesz zabić węże? Podłóż ogień w buszu i czekaj cierpliwie, aż wypełzną. Potem możesz porozwalać im łby. To właśnie zamierzamy tutaj zrobić.

Cassiopeia pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Jak już powiedziałam, panie prezydencie, tu się zrobił prawdziwy galimatias. Tkwię w tym zaledwie dwa dni i już nie mam zielonego pojęcia, kto mówi prawdę.

– Wliczając w to mnie?

Cassiopeia zmrużyła szmaragdowe oczy.

– Wliczając w to pana.

– To dobrze. Powinna pani być podejrzliwa. – Z jego głosu emanowała szczerość. – Ale potrzebuję waszej pomocy. Dlatego właśnie wywaliłem cię na bruk, Stephanie. Była ci potrzebna swoboda poruszania się. Teraz ją masz.

–Po co?

– Żeby znaleźć tego, kto mnie zdradza.

SZEŚĆDZIESIĄT

WIEDEŃ
GODZINA 23.20

Thorvaldsen zaprowadził Gary’ego z drugiego piętra *château* na parter. Nie kontaktował się z Alfredem Hermannem od czasu ich wcześniejszej krótkiej rozmowy. Gary spędził wieczór z kilkoma innymi gośćmi. Dwoje członków przyjechało na zgromadzenie razem z nastoletnimi dziećmi, a Hermann kazał przygotować dla nich kolację w motylarni na tyłach posiadłości.

– To było fascynujące – nie krył zachwytu Gary. – Motyle siadały na talerzach.

Thorvaldsen odwiedzał motylarnię kilka razy i również był pod ogromnym wrażeniem. Zastanawiał się nawet nad postawieniem podobnego obiektu w Christiangade.

– To niezwykłe stworzenia, które wymagają ogromnej troski.

– To miejsce przypomina tropikalną dżunglę.

Żaden z nich nie mógł zasnąć. Gary najwidoczniej również był nocnym markiem. Wybrali się więc do biblioteki Hermanna.

Thorvaldsen usłyszał wcześniej, że Niebieskie Krzesło zamierza spotkać się z Komitetem Ekonomicznym. Ich dyskusja musiała trochę potrwać, co dawało mu czas na stosowną lekturę oraz przygotowanie się do starcia. Na jutrzejszym posiedzeniu Walnego Zgromadzenia miały zostać podjęte ostateczne decyzje. Debata musiała być krótka i treściwa. Wszyscy mieli wyjechać w niedzielę. Zgromadzenie nigdy się nie przeciągało. Personel administracyjny oraz komisje ograniczały liczbę spraw wyłącznie do tych, które wymagały kolektywnego głosowania. Sprawy te referowano, następnie dyskutowano i podejmowano decyzję – w ten sposób wytyczano zamierzenia i cele zakonu na kilka następnych miesięcy, aż do wiosny.

Musiał się więc przygotować.

Przepastna biblioteka miała wysokość dwóch kondygnacji i była wyłożona boazerią z drewna orzecha włoskiego. Kominek z czarnego

marmuru, z barokowymi figurkami po bokach, oraz francuskie gobeliny stanowiły dekorację jednej ze ścian. Wzdłuż pozostałych trzech znajdowały się wbudowane półki, od posadzki aż po sufit. Strop pokrywało dramatyczne malowidło sufitowe, które sprawiało wrażenie, że sala otwiera się na niebo.

Spiralne schody wiły się do górnej galerii z książkami. Henrik chwycił za śliską żelazną poręcz i wchodził powoli na górę wąskimi schodkami.

– Co my tutaj robimy? – zapytał Gary, kiedy dotarli na górę.

– Chcę coś przeczytać.

Wiedział o podium w bibliotece Hermanna, na którym znajdowała się niezwykła Biblia. Hermann chlubił się, że był to jeden z pierwszych egzemplarzy, jaki powstał po odkryciu druku. Thorvaldsen podszedł do zabytkowego woluminu i podziwiał jego misternie wykonaną oprawę.

– Biblia była pierwszą księgą, jaką wydrukowano, kiedy technikę druku doprowadzono w końcu do perfekcji pod koniec piętnastego wieku. Gutenberg opublikował wiele egzemplarzy Biblii. To jest jedna z nich. Jak już wspomniałem wcześniej, powinieneś ją przeczytać.

Gary wpatrywał się w księgę, lecz Thorvaldsen wiedział, że chłopiec nie pojmuje jej znaczenia.

– Słowa te – dodał – zmieniły bieg historii człowieka. Rozwój społeczny rodzaju ludzkiego potoczył się innym torem, wykuwały się polityczne systemy. Biblia oraz Koran to dwie najważniejsze księgi na tej planecie.

– Jakim sposobem słowa mogą mieć tak wielką wagę?

– Nie chodzi o same słowa, Gary. Istota rzeczy leży w tym, co z nimi robimy. Po tym, jak Gutenberg zainicjował druk na szeroką skalę, księgi zaczęły się szybko rozpowszechniać. Nie były tanie, ale około tysiąc pięćsetnego roku stały się już rzeczą powszechną. Większy dostęp do wiedzy oznaczał silniejszą opozycję, bardziej merytoryczne dysputy oraz szerzej rozpowszechniony krytycyzm wobec władzy. Przepływ informacji zmienił świat. Sprawił, że stał się innym miejscem. – Wskazał na Biblię. – Ta księga zmieniła wszystko.

Otworzył ostrożnie okładkę.

– Co to za język? – zapytał Gary.

– Łacina.

Spojrzał na spis treści.

– Potrafisz czytać w tym języku?

Henrik uśmiechnął się, słysząc niedowierzanie w głosie Gary’ego.

– Uczono mnie tego języka, kiedy byłem dzieckiem. – Poklepał chłopca po ramieniu. – Ty również powinieneś nauczyć się łaciny.

– Co miałbym robić, gdybym się nauczył?

– Mógłbyś na przykład przeczytać tę Biblię.

Wskazał na spis treści.

– Trzydzieści dwie księgi. Żydzi uznają pięć pierwszych: Księgę Rodzaju, Księgę Wyjścia, Księgę Kapłańską, Księgę Liczb oraz Księgę Powtórzonego Prawa. Zawierają one opowieści o losach starożytnego ludu Izraela, poczynając od stworzenia świata, przez potop, wyjście z Egiptu, wędrówkę po pustyni, aż po przekazanie prawa Mojżeszowi na górze Synaj. Prawdziwa epopeja.

Wiedział, że dla Żydów teksty te miały ogromne znaczenie. Podobnie zresztą jak księgi proroków – Jozuego, Sędziów, Samuela i Królewskie – które opisywały dzieje synów Izraela od przekroczenia Jordanu aż po podbój krainy Kanaan, powstanie i upadek licznych królestw oraz podbój i niewolę, najpierw asyryjską, następnie babilońską.

– Księgi te – zwrócił się do Gary’ego – opowiadają nam jakby historię narodu izraelskiego, obejmującą tysiące lat przed narodzinami Chrystusa. Był to naród, którego przeznaczenie i losy wiązały się bezpośrednio z Bogiem oraz z obietnicą, jaką Bóg dał.

– Czy to wszystko działo się tak dawno?

Przytaknął.

– Cztery tysiące lat temu. Lecz Arabowie i Żydzi toczą z sobą wojny od tamtego czasu, usiłując udowodnić, że prawda leży po ich stronie.

Powoli kartkując strony Księgi Rodzaju, znalazł ustęp, z powodu którego tutaj przyszedł.

– *Pan rzekł do Abrama: „Spójrz przed siebie i rozejrzyj się z tego miejsca, na którym stoisz, na północ i na południe, na wschód i ku morzu; cały ten kraj, który widzisz, daję tobie i twemu potomstwu na zawsze”*. – Przerwał na chwilę. – Te słowa kosztowały życie milionów ludzkich istnień.

Po cichu przeczytał raz jeszcze sześć najważniejszych słów.

– O co w tym chodzi? – zapytał Gary.

Henrik spojrzał na chłopca przenikliwym wzrokiem. Ileż to razy Cai zadawał mu to samo pytanie? Jego syn nie tylko praktykował wiarę przodków, lecz także nauczył się łaciny i czytywał Biblię. Był dobrym człowiekiem. Stał się jeszcze jedną ofiarą bezsensownej przemocy.

– Prawda jest istotna – powiedział bardziej do siebie niż do Gary'ego.

...z tego miejsca, na którym stoisz...

– Miałeś jakieś wiadomości od taty? – zmienił temat Gary.

Spojrzał na chłopca i pokręcił przecząco głową.

– Ani słowa. Wyruszył na poszukiwanie czegoś podobnego do miejsca, które nas otacza. Biblioteki. W której być może są przechowywane teksty stanowiące klucz do zrozumienia tych biblijnych słów.

Dobiegający z dołu hałas przyciągnął jego uwagę. Drzwi biblioteki otworzyły się raptownie, usłyszał też głosy. Jeden z nich rozpoznał – był to głos Alfreda Hermanna.

Dał Gary'emu znak i obaj wycofali się do miejsca, gdzie górne półki urywały się, robiąc miejsce na okienną niszę. Dolna kondygnacja była słabo oświetlona lampami, galeria zaś – lampami podwieszonymi u sufitu. Henrik przyłożył palec do ust, nakazując Gary'emu zachowanie ciszy. Chłopiec przytaknął. Nadstawił uszu.

Drugi z mężczyzn mówił po angielsku.

Amerykanin.

– To ważne, Alfredzie. Na dobrą sprawę to bardziej niż ważne. To kwestia życia i śmierci.

– Zdaję sobie sprawę z twojego położenia – odparł Hermann. – Lecz nie jest to bardziej ważne niż w naszym wypadku.

– Malone jest w drodze na Synaj. Mówiłeś, że wszystko pójdzie dobrze.

– I tak też się stanie. Czy mogę ci nalać odrobinę koniaku?

– Usiłujesz mnie uspokoić?

– Usiłuję nalać ci odrobinę koniaku.

Gestem kazał chłopcowi pozostać na miejscu, sam natomiast podkradł się do brzegu niszy, ryzykując spojrzenie przez ozdobną metalową balustradę. Alfred Hermann stał poniżej, nalewając koniak z karafki. Obok niego stał młodszy mężczyzna, w wieku około pięćdziesięciu pięciu lat, ubrany w ciemny garnitur. Jego głowę pokrywała bujna czupryna w kolorze blond. Twarz elegancko ogolona, emanująca energią i urokiem cherubina.

Thorvaldsen znał tego człowieka.

Wiceprezydent Stanów Zjednoczonych.

SZEŚĆDZIESIĄT JEDEN

CAMP DAVID, MARYLAND

Stephanie analizowała słowa prezydenta.

– Co ma pan na myśli, mówiąc „tego, kto mnie zdradza”?

Daniels rzucił w jej kierunku zmartwione spojrzenie.

– Niektórzy w tym rządzie usiłują pokrzyżować mi szyki. Prowadzą własną politykę, dbając o swoje interesy, wychodząc z założenia, że jestem albo zbyt leniwy, albo też zbyt tępy, żeby to spostrzec. Cóż, nie trzeba być geniuszem, żeby się domyślić, kto jest prowodyrem. Mój tak zwany lojalny wiceprezydent. To ambitny gość.

– Panie prezydencie... – odezwała się.

– Teraz pierwszy raz mówisz do mnie „panie prezydencie”. Może jednak poczynimy jakiś krok naprzód w naszej znajomości?

– Miałam pewne zastrzeżenia co do pana i pańskiej administracji.

– Na tym polega problem z biurokratami, którzy robią karierę. My, politycy, przychodzimy i odchodzimy. Ale wy zostajecie, zostajecie i zostajecie. W rezultacie dysponujecie ogromnym materiałem porównawczym. Na nieszczęście dla mnie, Stephanie, w tym wypadku masz rację. Jestem otoczony przez zdrajców. Mój wiceprezydent pragnie mojego fotela tak bardzo, że już nie może się doczekać. Żeby go zdobyć, gotów jest podpisać cyrograf z samym diabłem. – Prezydent zrobił krótką pauzę, ona zaś nie przerywała toku jego myśli. – Z Zakonem Złotego Runa.

Czy słuch jej nie mylił?

– On tam jest. Właśnie teraz. Spotyka się ze zwierzchnikiem zakonu. Człowiekiem o nazwisku Alfred Hermann.

W dużym stopniu nie doceniała Danny’ego Danielsa. Podobnie zresztą jak Brenta Greena. Obaj byli bardzo dobrze poinformowani. Cassiopeia bujała się w swoim fotelu, lecz Stephanie widziała, że nadstawia pilnie ucha. Przekazała Cassiopei posiadaną wiedzę na temat zakonu.

– Mój ojciec był jego członkiem – oznajmiła Cassiopeia.

Nie wspomniała o tym wcześniej, kiedy z sobą rozmawiały.

– Przez wiele lat on i Henrik jeździli tam razem. Po jego śmierci postanowiłam nie przedłużać członkostwa.

– Dobre posunięcie – skomentował Daniels. – Ten zakon ma swój udział we wznieceniu wielu niepokojów na całym świecie. Są w tym dobrzy. Nigdy i nigdzie nie pozostawiają odcisków palców. Oczywiście kluczowi gracze zazwyczaj kończą w trumnie. Jak każdy dobrze zorganizowany gang, mają też swoich ludzi od mokrej roboty. Teraz jest nim człowiek nazywany Szponami Orła. To typowe dla Europejczyków. Płatny zabójca, któremu nadali wyszukany przydomek. To właśnie oni uprowadzili chłopaka Malone'a.

– I dopiero teraz pan nam to mówi?

– Tak, Stephanie. Właśnie tak. Jedną z prerogatyw bycia przywódcą wolnego świata jest to, że w dużym stopniu wolno mi robić to, co mi się żywnie podoba. – Skierował na nią wnikliwe spojrzenie. – Tutaj dzieje się bardzo dużo. Dzieje się, i to szybko. W różnych aspektach. W tych okolicznościach zrobiłem wszystko, co mogłem.

Ponownie skierowała jego uwagę na meritum.

– Po co właściwie wiceprezydent spotyka się z Niebieskim Krzesłem?

– Niebieskim Krzesłem? Widzę, że również jesteś dobrze poinformowana. Miałem nadzieję, że tak będzie. Wiceprezydent zaprzedaje własną duszę. Z tego co wiem, zakon wyruszył na poszukiwania Biblioteki Aleksandryjskiej. Szukają dowodów na potwierdzenie pewnej teorii i chociaż uważałem całą sprawę za swego rodzaju dziwactwo, najwyraźniej kryje się za tym coś więcej.

– Co mówią Izraelczycy? – zapytała Cassiopeia.

– Nie życzą sobie, żeby cokolwiek zostało odnalezione. Kropka. Nie chcą niczego ruszać. Zakon od dziesiątków lat wyciskał jak cytrynę saudyjską rodzinę królewską, a teraz postanowił, że po prostu zagarnie wszystko. Napuszczają na siebie Żydów i Arabów. Mówiąc prawdę, perfidna rozgrywka. O nas zresztą mówiło się, że robimy to samo. Ale teraz ulega to znacznemu przyspieszeniu. Nie da się przewidzieć zachowań fanatyków, bez względu na to, czy są Arabami, Izraelczykami... – Zawahał się na moment. – ...czy Amerykanami.

– Co więc, pańskim zdaniem, mam zrobić? – zadała pytanie Stephanie.

– Najpierw pozwólcie, że powiem wam coś, czegoś jeszcze nie wiecie. Cotton zadzwonił ponownie do Greena. Prosił o przysługę. Green wydał zgodę na przerzut samolotem Malone'a, jego byłej żony oraz drugiego mężczyzny, jeśli dacie wiarę, na półwysep Synaj. W tej chwili są już w powietrzu. Jak się domyślamy, tą trzecią osobą jest płatny zabójca na usługach zakonu. Malone poprosił również Greena o sprawdzenie tożsamości tego człowieka – którą to prośbę, tak przy okazji, prokurator generalny zignorował. Ale my sprawdziliśmy. Cotton podał imię i nazwisko: James McCollum. Opis wyglądu fizycznego nie bardzo się zgadza, ale był facet o takim nazwisku, który służył w armii, w siłach specjalnych, a teraz jest najemnikiem działającym jako wolny strzelec. Wygląda to na odpowiedni życiorys osoby, która pracuje dla zakonu. Zgodzisz się chyba ze mną?

– Jakim cudem nawiązał kontakt z Cottonem Malone? – zdziwiła się Cassiopeia.

Daniels pokręcił głową.

– Nie wiem, ale jestem zadowolony, że to Cotton ma na niego oko. Niestety, w żaden sposób nie możemy mu pomóc.

– Może skontaktować się z samolotem drogą radiową – podsunęła Cassiopeia.

Prezydent ponownie zaprzeczył ruchem głowy.

– W żadnym wypadku. Nie możemy pozwolić, żeby ktokolwiek wiedział, że trzymamy rękę na pulsie. Chcę dopaść tych, którzy mnie zdradzili. Jeśli mamy ich dopaść, musimy siedzieć cicho.

– A do finału zakwalifikowali się – podsumowała Stephanie – Larry Daley i Brent Green.

Daniels przechylił głowę pod osobliwym kątem.

– Zwycięzca tej rywalizacji otrzyma w nagrodę w pełni opłaconą podróż do federalnego więzienia. Ale najpierw osobiście skopię mu dupę.

Wydawało się, że nawyk przewodzenia znów wrócił na swoje miejsce w psychice Danielsa.

– Wy dwie jesteście wszystkim, co mam, żeby odnaleźć odpowiedź na pytanie dnia. Nie mogę zaangażować żadnej innej agencji z przyczyn oczywistych. Pozwoliłem, by stało się to wszystko, żebyście mogły zyskać sposobność. Stephanie, wiedziałem, że śledziłaś Daleya, ale na szczęście nie wniosłaś przeciw niemu oskarżenia. Teraz musimy dotrzeć do prawdy.

– Naprawdę uważa pan, że prokurator generalny jest w to zamieszany? – zapytała Cassiopeia.

– Nie mam pojęcia. Brent opanował do perfekcji rolę świętoszka i być może rzeczywiście jest bogobojnym chrześcijaninem, który na każdym kroku cytuje Biblię. Ale jednocześnie jest człowiekiem, który nie zamierza porzucać stanowiska, jakie daje mu władzę oraz wpływy, i stać się tylko „doradcą", który swoim nazwiskiem przyda prestiżu jakiejś kancelarii prawniczej w Waszyngtonie. Dlatego postanowił pełnić ten urząd przez drugą kadencję. Do diabła, wszyscy inni uciekli ze statku! Podretuszowali swoje *curriculum vitae* doświadczeniami z pracy w administracji rządowej i teraz odcinają kupony dzięki intratnym kontaktom. Ale nie Brent.

Poczuła, że musi coś wyznać.

– Powiedział mi, że to on dokonał przecieku w sprawie aleksandryjskiego ogniwa, na własną rękę szukając zdrajcy.

– Do diabła, może i tak zrobił. Wiem tylko, i to na pewno, że mój zastępca doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego przekupywał członków Kongresu. Mój wiceprezydent knuje intrygi do spółki z jednym z najbogatszych ludzi tego świata. A dwa państwa na Bliskim Wschodzie, które zazwyczaj gardzą sobą, teraz działają ręka w rękę, nie chcąc dopuścić do odnalezienia biblioteki, która zaginęła piętnaście wieków temu. Czy klarownie to podsumowałem, Stephanie?

– Tak, panie prezydencie. Mamy teraz ogólne pojęcie.

– W takim razie znajdźcie zdrajcę.

– Ma pan jakieś sugestie co do tego, jak mamy to zrobić?

Uśmiechnął się, wyczuwając pełną determinację w tak postawionym pytaniu.

– Sporo się nad tym zastanawiałem. Najpierw coś zjedzmy, potem się trochę prześpicie. Obie wyglądacie na wykończone. Tutaj możecie odpocząć całkowicie bezpiecznie.

– To nie może czekać do rana – upierała się Stephanie.

– Musi. Wiecie, jak się przyrządza dobrą kaszę? Nie należy jej gotować, lecz dusić w rondlu na małym ogniu pod przykryciem. Wtedy zwykła kasza kukurydziana staje się prawdziwym niebem w gębie. Teraz więc potrzymamy to na małym ogniu przez kilka godzin. Potem powiem wam, co mi chodzi po głowie.

SZEŚĆDZIESIĄT DWA

WIEDEŃ

Thorvaldsen cofnął się w głąb okiennej niszy, ale nie przestał nadstawiać uszu, chcąc usłyszeć, o czym jest mowa na dole. Fakt, że tu, w posiadłości Hermanna, znalazł się amerykański wiceprezydent, otwierał cały wachlarz nowych ewentualności. Rzucił szybkie spojrzenie w kierunku Gary'ego i przyłożył palec do ust, nakazując dalsze zachowanie milczenia.

Z dołu dobiegł odgłos stuknięcia kieliszkami.

– Za naszą przyjaźń – wzniósł toast Hermann.

– To właśnie lubię w tobie, Alfredzie. Lojalność. W dzisiejszej dobie to rzadki towar.

– Być może twój przełożony jest tego samego zdania.

Drugi mężczyzna zachichotał.

– Daniels jest głupcem. Ma zbyt uproszczone poglądy na życie i świat.

– Chcesz powiedzieć, że jesteś lojalny?

– Jak najbardziej. Przez pięć lat cierpiałem u boku Danielsa. Robiłem to, czego on sobie życzył. Uśmiechałem się. Broniłem go. Pozwalałem mu na chwilę oddechu. Ale nie jestem w stanie robić tego ani chwili dłużej. Ameryka nie jest w stanie robić tego dłużej.

– Mam nadzieję, że ten czas nie został zmarnowany.

– Te lata upłynęły na budowaniu koalicji. Zdobywaniu przyjaciół. Ugłaskiwaniu wrogów. Mam teraz wszystko, co jest mi potrzebne...

– Oprócz pieniędzy.

– Tego bym nie powiedział. Mam zdeklarowane obietnice, że sprawy ruszą z miejsca. Moi arabscy przyjaciele naprawdę są hojni.

– Zakon również docenia tych, którzy popierają sprawę. Twój prezydent nie okazuje zbytniej łaskawości wobec światowej gospodarki. Wygląda na to, że darzy sympatią taryfy, ograniczenia w międzynarodowym handlu i nie lubi swobody bankowych przepływów.

– Co zresztą stanowi całkowicie odrębny problem. Zapewniam cię, że w Waszyngtonie wielu jest takich, którzy myślą inaczej niż Daniels.

Odgłosy dobiegające z dołu wskazywały, że obaj mężczyźni usiedli. Thorvaldsen podkradł się do balustrady. Hermann siedział w fotelu, a wiceprezydent na jednej z kanap. Obaj mężczyźni trzymali w dłoniach kieliszki z koniakiem.

– Izrael usiłuje rozgryźć, co się dzieje – podjął rozmowę wiceprezydent. – Wiedzą, że ogniwo zostało zdekonspirowane.

– Zostałem o tym poinformowany – odparł Hermann. – Mam pomocnika, jak wspomniałem, który zajmuje się tym wszystkim.

– Szef mojego gabinetu powiedział mi, że w Niemczech zaginęła izraelska ekipa prowadząca inwigilację. Z kolei w Rothenburgu znaleziono zwłoki wysoko postawionego urzędnika ich Ministerstwa Spraw Zagranicznych, podejrzanego o sprzedawanie poufnych informacji. Do Londynu z kolei wysłano pluton egzekucyjny. Na dobrą sprawę Tel Awiw chciał, żebyśmy o tym wiedzieli.

– Raz jeszcze powtarzam, mój przyjacielu, wiem o tym.

– W takim razie z pewnością wiesz także, że nasz były agent, Cotton Malone, znajduje się w drodze na Synaj razem ze swoją byłą żoną i innym mężczyzną.

W odpowiedzi zapadła cisza.

– Trochę to nas zdziwiło – podjął wątek wiceprezydent. – Zdjęto zatem odciski palców, które ten drugi mężczyzna pozostawił na poręczy schodków, kiedy wsiadał na pokład wojskowego samolotu w Lizbonie. To Amerykanin nazwiskiem James McCollum. Znasz go?

– Posługuje się fałszywym nazwiskiem Dominick Sabre. Pracuje dla nas.

– Ponieważ jesteś moim przyjacielem, Alfredzie, zamierzam ci z pełnym szacunkiem wyjawić, że tkwisz po uszy w gównie. Widziałem to w twoich oczach. Nie miałeś pojęcia, że twój człowiek znajduje się w drodze na Synaj.

Znów cisza.

– On nie ma obowiązku informowania mnie na bieżąco. Dla nas liczą się wyłącznie rezultaty.

– Wytłumacz mi więc, co on robi w towarzystwie Cottona Malone’a i czy zamierza odnaleźć bibliotekę?

– Powiedziałeś Synaj? Z pewnością trafili na miejsce, gdzie biblioteka rzeczywiście może być ukryta. Dostatecznie blisko Aleksandrii, żeby był możliwy transport manuskryptów w starożytności, ale jednocześnie miejsce odizolowane. Biegły tam handlowe szlaki w czasach przed narodzinami Chrystusa i później. Faraonowie zbudowali tam kopalnie, w których wydobywano miedź i turkusy. Egipt dobrze poznał topografię Synaju.

– Nieźle znasz historię.

– Wiedza przynosi pożytek. Zwłaszcza w tym wypadku.

– Alfredzie, to nie są jakieś intelektualne zmagania. Usiłuję dokonać fundamentalnej zmiany w polityce zagranicznej Ameryki. Daniels i ja toczymy w tej sprawie spór. Teraz wreszcie będę mógł zrobić w tej kwestii krok do przodu. Nadeszła pora, byśmy okazali Arabom taki sam szacunek i respekt, jaki od zawsze okazujemy Izraelowi. Podobnie jak ty, gdy była mowa o wynajętym przez ciebie pomocniku, ja również jestem zainteresowany wyłącznie rezultatami. Ty i twoja kohorta pragniecie generować zyski. Ja natomiast pragnę przejąć władzę.

– My zaś chcemy, żebyś dostał tę posadę.

– W takim razie powiedz mi, Alfredzie, kiedy prezydent Stanów Zjednoczonych opuści ziemski padół?

– Wydaje się, że ta idea jest bliska twemu sercu – skomentował Hermann.

– Przekonałeś mnie.

– Wszystko jest załatwione – rzekł Hermann. – Niezapowiedziana podróż Danielsa do Kabulu zakończy się niezwykle spektakularnie.

– Kiedy już będzie w powietrzu – podjął wiceprezydent – potwierdzę wszystko w sposób, jaki wcześniej omówiliśmy. Zgodnie z planem, wybiera się w drogę w przyszły czwartek. Wie o tym tylko czterech ludzi. On, ja oraz szefowie naszych gabinetów. Nawet prezydent Afganistanu nie wie o tej wizycie. Zostanie powiadomiony o tym dopiero na chwilę przed lądowaniem maszyny. Cała ta sprawa to chwyt reklamowy, obmyślony przez ludzi zajmujących się w Białym Domu kreowaniem publicznego wizerunku. Próba zwiększenia poparcia w sondażach dzięki podróży, jaka ma na celu podniesienie morale naszych żołnierzy.

– Pociski rakietowe są już na miejscu – potwierdził Hermann. – Dogadaliśmy się z jednym z głównych zastępców samego bin Ladena. Był wręcz zachwycony pomysłem. To będzie ich pierwszy znaczący atak na

Amerykę od kilku lat. Już wcześniej robiliśmy interesy z tymi szatanami. Są zawsze na wyciągnięcie ręki i działają z odpowiednią dozą przezorności, lecz zawsze z powodzeniem.

– Mimo to wciąż mam opory. Arabowie zabiją Danielsa. Ale moi przyjaciele w Arabii Saudyjskiej twierdzą, że większość z nich ma również po dziurki w nosie bin Ladena. Najchętniej by się go pozbyli. Jego błazeństwa sprawiły, że zmiana nastawienia światowej opinii publicznej stała się nieporównanie bardziej trudna. Nie mogą otwarcie związać się z nami, dopóki obowiązuje doktryna „robimy tak, jak chce Izrael lub nie robimy wcale". Ale kiedy pozbędziemy się Danielsa, a zmiana polityki stanie się klarowna i oczywista, przyłączą się do nas w polowaniu na bin Ladena.

– Członkowie mojego Komitetu Politycznego są zdania, że Arabowie będą bardziej niż skłonni do ustępstw.

– Czy oni o tym wiedzą? – zapytał wiceprezydent głosem, z którego przebijało zaskoczenie.

– Oczywiście, że nie. Komitet po prostu rozważa rozmaite scenariusze, a pierwszy z nich opiera się na zmianie amerykańskiej polityki zagranicznej. Od dawna pragniemy, żeby tak się stało.

– Czy teraz, Alfredzie, pojmujesz, jakie są moje zamiary?

Hermann zachichotał.

– Nie ma żadnego śladu. Emisariusze, którzy negocjowali sprawę z bin Ladenem, zostaną wysłani na łono Allacha w przyszłym tygodniu. Ten pomocnik, o którym wspomniałeś, zajmie się tym osobiście. Nie pozostanie żaden trop, który prowadziłby do kogokolwiek.

– Pokładasz w tym człowieku ogromne zaufanie – skomentował wiceprezydent.

– Nigdy mnie nie zawiódł.

– Ogromnie ważne jest, żeby nie sprawił ci zawodu właśnie teraz. Tego dnia, kiedy Daniels wyruszy w podróż, będę w Chicago. Biały Dom nie wyda żadnego oświadczenia. Będzie to wyglądało tak, jakby prezydent pozostawał w Waszyngtonie i pracował. Potem nadejdzie wiadomość, że on jest w drodze do Afganistanu. Następnie umieszczą mnie w bezpiecznej kryjówce aż do jego powrotu. To standardowa procedura po jedenastym września.

– Co zrobisz, kiedy samolot zostanie zestrzelony? – zapytał Hermann.

– Złożę przysięgę i będę rządził przez kolejne trzy lata. Później wygram wybory, zaliczę kolejne cztery lata i odejdę.

– Chciałbym, żebyś zrozumiał, że jeśli uda nam się odnaleźć zaginioną bibliotekę, to natychmiast zaczniemy wdrażać to, co razem zaplanowaliśmy.

– Święta racja. Im szybciej, tym lepiej. Zamierzam trzymać z dala od bazy zarówno Izrael, jak i Arabów. Ja będę ich głaskał, ty zaś będziesz walił w nich jak w kaczy kuper. Saudyjczycy będą musieli pójść na ugodę. Nie mogą pozwolić sobie na to, żeby ich kraj stanął na krawędzi upadku. Zależy mi na obniżeniu cen ropy równie mocno jak tobie. Kilka dolarów za baryłkę sprawi, że nasz produkt narodowy brutto wzrośnie o setki miliardów dolarów. Nikt nie będzie stawał mi na drodze w tym dążeniu. Cały świat dołączy do nas. Arabowie będą kusić, błagać o przyjaciół. Wtedy właśnie dołączą do nas i wszyscy zwyciężymy.

– Członkowie mojego Komitetu Politycznego są przekonani, że może dojść do destabilizacji na dużą skalę.

– A kto by się tym przejmował? Poziom mojego poparcia w sondażach osiągnie apogeum. Nic bardziej nie daje ikry Amerykanom niż wezwanie do działania pod narodową flagą. Ja zaś zamierzam nieść tę flagę przez najbliższe siedem lat. Arabowie są handlarzami. Zorientują się, że nadszedł czas na współpracę, zwłaszcza że odbędzie się to ze szkodą dla Izraela.

– Można odnieść wrażenie, że przemyślałeś wszystko gruntownie.

– W ciągu kilku ostatnich miesięcy niemal nie myślałem o niczym innym. Usiłowałem też przekonać Danielsa do zmiany poglądów, lecz on jest nieugięty, gdy sprawa dotyczy Izraela. Ten przeklęty kraj wielkości kilku amerykańskich hrabstw zrujnuje nas wszystkich. Nie zamierzam pozwolić, żeby tak się stało.

– Następnym razem, kiedy się spotkamy – oznajmił Hermann – będziesz prezydentem Stanów Zjednoczonych.

– Alfredzie, oprócz terrorystów, którzy *de facto* wykonają brudną robotę, ty i ja jesteśmy jedynymi ludźmi na tej planecie, którzy wiedzą, co się szykuje. Dopilnowałem tego.

– Podobnie jak ja.

– A zatem niech to się stanie, my zaś cieszmy się nagrodą.

SZEŚĆDZIESIĄT TRZY

Hermann usiłował wybadać mężczyznę, który siedział naprzeciwko niego. Był to wiceprezydent Stanów Zjednoczonych, lecz człowiek ten nie różnił się niczym od kroci innych politykierów, których kupował i sprzedawał po całym świecie, mężczyzn i kobiet żądnych władzy i pozbawionych sumienia. Amerykanie lubili przedstawiać siebie w sposób opisany przed chwilą, jednak ambicja brała górę w każdym, kto zaznał smaku władzy. Ten człowiek, który siedział tu, w jego bibliotece, tego wieczoru, kiedy trwało zimowe Walne Zgromadzenie, nie stanowił wcale wyjątku. Usta miał pełne frazesów o wzniosłych celach, mówił też o zmianie w polityce zagranicznej, ale od samego początku zamierzał zdradzić własny kraj, swojego prezydenta i samego siebie.

Bogu dzięki.

Zakon Złotego Runa rozkwitał bujnie dzięki moralnym ułomnościom innych.

– Alfredzie – przemówił wiceprezydent. – Bądź ze mną szczery. Czy naprawdę możliwe jest znalezienie dowodu, który negowałby roszczenia Izraela do Ziemi Świętej?

– Oczywiście. Stary Testament stanowił jeden z głównych przedmiotów dociekań w Bibliotece Aleksandryjskiej. Pojawienie się Nowego Testamentu, blisko kresu istnienia biblioteki, również zostało poddane gruntownej analizie. Wiem o tym dzięki manuskryptom, które zdołały przetrwać do naszych czasów. Rozsądne jest zatem założenie, że oba teksty oraz studia nad Biblią w jej oryginalnej, starohebrajskiej wersji, wciąż się tam zachowały.

Przypomniał sobie, co relacjonował Sabre z Rothenburga. Trzech kolejnych kandydatów zostało zabitych przez służby specjalne Izraela. Każdemu z nich wcześniej wizytę złożył gwardian. Każdy z nich specjalizował się w badaniach Starego Testamentu. Sam Haddad również otrzymał zaproszenie. Z jakiej innej przyczyny miałby zasłużyć na taki

zaszczyt? I dlaczego Izraelczycy uparli się sprzątnąć Palestyńczyka z tego świata?

Musiało istnieć jakieś rowiązanie.

– Ostatnio byłem w Anglii – podjął rozmowę wiceprezydent. – Pokazano mi Biblię z Synaju. Powiedziano mi, że pochodzi z czwartego wieku naszej ery i stanowi najstarszy zachowany egzemplarz Starego Testamentu. Napisany greką.

– To doskonały przykład – ucieszył się. – Znasz jego historię?

– Jedynie fragmentarycznie.

Hermann opowiedział swojemu gościowi o niemieckim uczonym Tischendorfie, który w 1844 roku podróżował po Bliskim Wschodzie w poszukiwaniu starych manuskryptów. Odwiedził też klasztor św. Katarzyny u stóp góry Synaj. Zauważył tam kosz wypełniony czterdziestoma trzema stronicami zapisanymi antyczną greką. Mnisi powiedzieli mu, że rękopisy służyły za opał, podobnie jak wiele innych, wcześnie strawionych przez ogień. Tischendorf stwierdził, że na stronach tych zapisano tekst z Biblii, a mnisi pozwolili mu zatrzymać je. Piętnaście lat później powrócił do klasztoru św. Katarzyny z misją zleconą przez rosyjskiego cara. Pokazano mu wtedy pozostałe strony, on zaś zdołał powrócić wraz z manuskryptem do Rosji. Koniec końców po rewolucji komuniści sprzedali rękopis Brytyjczykom, którzy wystawiają go po dziś dzień w British Museum.

– Biblia z Synaju – podjął opowieść Hermann – jest jednym z najstarszych manuskryptów, jaki się zachował. Niektórzy spekulowali, że jego powstanie zlecił osobiście Konstantyn. Ale trzeba pamiętać, że dokument jest napisany greką, a zatem stanowi przekład z hebrajskiego dokonany przez osobę całkowicie nam nieznaną, przekład z oryginału, który jest nam równie nieznany. Cóż zatem tak naprawdę mówi nam kodeks z Synaju?

– Że mnisi w klasztorze św. Katarzyny wciąż jeszcze są wkurzeni, nawet bardziej niż przed stu laty, że nigdy nie zwrócono im ich Biblii. Przez długie dekady zwracali się do Stanów Zjednoczonych, żeby w ich imieniu interweniowali u Brytyjczyków. Dlatego właśnie pojechałem tam, żeby zobaczyć manuskrypt. Chciałem się też dowiedzieć, o co chodzi w całym tym zamieszaniu.

– Biję brawa Tischendorfowi za zabranie księgi. Mnisi tak czy inaczej spaliliby ją lub pozwolili jej zmienić się w proch. Niestety, sporą część naszej wiedzy spotkał podobny los. Możemy wyłącznie żywić nadzieję, że gwardianie wykazali więcej troski i przezorności.

– Ty naprawdę dajesz wiarę temu wszystkiemu, czyż nie?

Zastanawiał się, czy powinien powiedzieć więcej. Sprawy posuwały się do przodu w szybkim tempie, a ten człowiek, który wkrótce miał zasiąść na prezydenckim fotelu, powinien zrozumieć skomplikowaną sytuację.

Wstał.

– Pozwól, że coś ci pokażę.

Thorvaldsen natychmiast odczuł niepokój, kiedy Alfred Hermann wstał z fotela i odstawił na stół kieliszek z koniakiem. Zaryzykował jeszcze jedno spojrzenie na dół i zobaczył Austriaka, który prowadził wiceprezydenta po podłodze z twardego drewna w kierunku spiralnych schodów. Szybkim spojrzeniem obiegł górną kładkę i zorientował się, że nie ma innej drogi zejścia na dół. Na pozostałych trzech ścianach również znajdowały się okienne nisze, nie było jednak żadnego sposobu, żeby on i Gary zdołali się wymknąć niepostrzeżenie.

Natychmiast zostaliby dostrzeżeni.

Hermann i wiceprezydent przeszli jednak obok schodków i zatrzymali się przed szklaną gablotą.

Hermann wskazał na oświetloną gablotę. W jej wnętrzu spoczywał antyczny kodeks, którego drewniana oprawa była podziurawiona, jakby zaatakowały ją korniki.

– Ten manuskrypt również pochodzi z czwartego wieku. Jest to traktat na temat nauk wczesnego Kościoła napisany przez samego Augustyna. Mój ojciec kupił go wiele lat temu. Nie ma on znaczenia historycznego – istnieją liczne kopie – ale prezentuje się imponująco.

Sięgnął pod podest i nacisnął przycisk, który imitował śrubę ze stali nierdzewnej. Na wysokości jednej z osi, w narożniku, jedna trzecia gabloty odsunęła się od reszty. Na dole pozostałych dwóch trzecich spoczywało dziewięć kart kruchego pergaminu.

– Te natomiast są niezwykle cenne. Ojciec również kupił je kilka dekad temu od tej samej osoby, która sprzedała mu kodeks. Kilka z tych stronic zostało napisanych ręką Eusebiusa Hieronimusa Sophroniusa, który żył w trzecim i czwartym stuleciu. Jeden z ojców Kościoła. Przetłumaczył Biblię z języka hebrajskiego na łacinę, tworząc dzieło znane pod nazwą *Wulgaty*, która stała się wersją wiążącą. Historia nazywa go też innym imieniem. Hieronim.

– Jesteś dziwnym człowiekiem, Alfredzie. Fascynują cię osobliwe rzeczy. Jakim cudem te pomarszczone stronice, pamiętające czasy starożytne, mogą mieć dzisiaj jakiekolwiek znaczenie?

– Zapewniam cię, że mają ogromną moc. Być może tak wielką, że są w stanie zmienić nasze myślenie. Kilka tych stron jest też dziełem Augustyna. Są to listy, jakie pisywali do siebie Hieronim i Augustyn.

Po minie Amerykanina widział, że ten wciąż nie był pod wrażeniem.

– W tamtych czasach funkcjonowała już poczta?

– W szczątkowej postaci. Podróżnicy zmierzający w danym kierunku przewozili korespondencję tam i z powrotem. Niektóre z najważniejszych źródeł, jakie dotrwały do naszych czasów, to listy.

– Teraz to zaczyna brzmieć interesująco.

Hermann postanowił przejść do sedna.

– Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się nad tym, w jaki sposób powstała Biblia?

– Raczej nie bardzo.

– A jeśli cała jej treść jest kłamstwem, co wtedy?

– To tylko kwestia wiary, Alfredzie. Jakie to ma znaczenie?

– Ma, i to ogromne. Jeśli ojcowie Kościoła – ludzie tacy jak Hieronim i Augustyn, którzy nadali kształt religijnej doktrynie – postanowili zmienić treść objawionych tekstów, co wtedy? Pamiętaj, w jakich czasach żyli.

Czterysta lat po Chrystusie, długi czas po tym, jak Konstantyn usankcjonował religię chrześcijańską, w okresie, kiedy Kościół dopiero się formował i eliminował filozofów, jacy sprzeciwiali się jego naukom. Dopiero wtedy ostatecznego kształtu nabierał Nowy Testament. Różne Ewangelie włączano do kanonu i redagowano tak, żeby stanowiły w miarę jednorodne przesłanie. Przede wszystkim miały prezentować Boga miłosiernego i potrafiącego przebaczać, który zesłał na ziemię Chrystusa. Lecz oprócz tego istniał przecież Stary Testament, którym posługiwali się Izraelici. Chrześcijanie pragnęli, by również stanowił część ich Pisma Świętego. Na szczęście dla tych wczesnych ojców Kościoła, egzemplarze Starego Testamentu były nieliczne i wszystkie zapisane w języku starohebrajskim.

– Ale powiedziałeś, że ten Hieronim dokonał przekładu Biblii na łacinę.

– To właśnie miałem na myśli. – Sięgnął do gabloty i podniósł jedną z kart pergaminu płowej barwy. – Listy są napisane greką, oficjalnym językiem w czasach Hieronima.

Pod pergaminami leżały zadrukowane kartki papieru. Po nie również sięgnął.

– Zleciłem przetłumaczenie tych tekstów. Trójce niezależnych ekspertów, żeby mieć pewność. Chciałbym ci coś przeczytać. Sądzę, że potem zrozumiesz, do czego nawiązywałem.

Jestem świadom, jakich zdolności potrzeba, by wytłumaczyć dumę z tego, jak wielka jest cnota pokory, która nas podnosi, nie przez ludzką arogancję, lecz przez łaskę Boga. Naszą powinnością jest zapewnienie, żeby ludzka dusza unosiła się oraz żeby przesłanie było jasne za pośrednictwem słów Chrystusa. Twoja mądrość, którą mi zaoferowałeś, kiedy rozpoczynałem to zadanie. Dzieło to, nad którym się trudzę, stanie się pierwszą interpretacją starożytnego Świętego Pisma na język, który potrafią zrozumieć ludzie niemal bez edukacji. Logiczne bowiem wydaje się to, że powinna istnieć więź między starym a nowym. Ponieważ fakt, że to Święte Pismo znajduje się w konflikcie, wydaje się powodować destrukcję i mogłoby się przyczynić do wyniesienia do pozycji uprzywilejowanej filozofii synów Izraela, gdyż istnieje ona znacznie dłużej niż nasza wiara. Od czasu, kiedy wymieniliśmy listy po raz ostatni, zmagałem się

z kolejnymi partiami starożytnego tekstu. Postępy są bardzo powolne z powodu tak wielu niejednoznacznych zdań. Ponownie w Tobie szukam przewodnika w tym krytycznym momencie. Jerozolima jest w starych tekstach świętym miastem. Wyraz yeruwshalayim występuje często jako określenie miejsca, lecz nigdzie w tym starym tekście nie występują słowa ìyr yeruwshalayim, które w sposób niewątpliwy oznaczają „miasto Jerozolima". Pozwól, że zademonstruję, na czym polega problem. W wersji hebrajskiej, w Księdze Królewskiej, Bóg mówi do Salomona: „miasto w Jeruzalem, które wybrałem ze wszystkich pokoleń Izraela". Dalej zaś oznajmia: „aby przez to zachować przed sobą płomyk mego sługi, Dawida, po wszystkie czasy w Jeruzalem, które sobie obrałem, by tam umieścić moje imię". Bracie mój, czy dostrzegasz dylemat? Starożytny tekst nie mówi o Jerozolimie jako o mieście, lecz jako o regionie. Samuel w rzeczy samej również mówi o tym jako o krainie, w której, jak powiada wersja hebrajska: „Razem ze swoimi ludźmi król wyruszył do Jerozolimy przeciw Jebusytom, zamieszkującym tę krainę". Utrudziłem się nad przekładem w nadziei na znalezienie błędu w oryginale, lecz użycie w tej formie występuje konsekwentnie w wersji hebrajskiej. Wyraz yeruwshalayim – Jerozolima zawsze dotyczy regionu obejmującego wiele miast, nie zaś miasta o tej nazwie.

Hermann przestał czytać i podniósł wzrok na wiceprezydenta.

– Hieronim napisał to do Augustyna, kiedy pracował z mozołem nad przetłumaczeniem Starego Testamentu z hebrajskiego na łacinę. Teraz zaś pozwól, że przeczytam ci, co Augustyn odpisał Hieronimowi.

Wziął w dłonie drugą kartkę z tłumaczeniem listu.

Mój uczony bracie, Twój wysiłek jest zarazem żmudny i chwalebny. Jak fascynujące musi być odkrywanie tego, co skrybowie, którzy odeszli z tego świata tak dawno, zapisali, a wszystkim tym w nadprzyrodzony sposób kierował nasz pełen wiekuistej chwały Bóg. Jesteś zapewne świadom walki, jaką wszyscy toczymy w tych niezwykle niebezpiecznych czasach. Pogańscy bogowie dogorywają. Przesłanie o życiu Chrystusa staje się ciałem. Jego słowa na temat

pokoju, miłosierdzia oraz miłości są przesycone prawdą. Wielu odkrywa nasze przesłanie po prostu dlatego, że staje się ono dostępne. Który to fakt przydaje Twoim wysiłkom ożywienia pradawnych słów jeszcze większej rangi. Twoje listy opisują istotę trudności, na jakie natrafiasz, w sposób zaiste klarowny. Przyszłość tego Kościoła, jak też i naszego Pana, spoczywa na naszych barkach. Pogodzenie starego przekazu z nowym nie stanowi w żadnej mierze grzechu. Jak sam stwierdziłeś, słowa mają wiele znaczeń, któż zatem jest w stanie rozstrzygnąć, które z tych znaczeń jest prawdziwe? Z pewnością ani Ty, ani ja. Poprosiłeś o wskazanie drogi, zatem wskazuję Ci ją. Uczyń tak, by stare słowa zgadzały się z nowymi. Gdyby bowiem stare przesłanie odbiegało od nowego, ponad wszelką wątpliwość wprawilibyśmy w rozterkę ludzi pobożnych, rozniecając ogień niezadowolenia, który podkłada wielu naszych wrogów. Zadanie Twoje jest przeogromne. Danie niemal wszystkim sposobności czytania słów starego pisma oznacza wiele. Te niezwykle ważne teksty przestaną być w wyłącznym posiadaniu uczonych mężów i rabinów. Zatem, bracie mój, pracuj ciężko, a pozostań w spokoju sumienia, że trudzisz się dziełem Pana.

– Chcesz przez to powiedzieć, że oni z premedytacją zmienili tekst Starego Testamentu? – zapytał z niedowierzaniem wiceprezydent.

– Oczywiście, że to zrobili. Już ta wzmianka na temat Jerozolimy stanowi dobry przykład. W przekładzie Hieronima, który po dziś dzień jest uznawany za kanoniczny, Jerozolima jest miastem. W Drugiej Księdze Królewskiej czytamy bowiem „miasto w Jeruzalem, które wybrałem ze wszystkich pokoleń Izraela”. To pozostaje w całkowitej sprzeczności z tym, co Hieronim pisał w swoim liście. „Jeruzalem, miasto, które w nim wybrałem”. Ogromna różnica, zgodzisz się? A taki opis Jerozolimy spotykamy w całym przekładzie Hieronima. Jerozolima w Starym Testamencie stała się miastem, gdyż taka była wola Hieronima.

– To jakiś obłęd, Alfredzie. Nikt nie da temu wiary nawet na jotę.

– Nie ma potrzeby, żeby ktokolwiek dawał temu wiarę. Jeśli dowód zostanie znaleziony, nikt nie będzie w stanie temu zaprzeczyć.

– Dowód jakiego rodzaju?

– Manuskrypt Starego Testamentu napisany przed narodzinami Chrystusa stanowiłby dowód nie do obalenia. Wtedy zyskalibyśmy możność przeczytania tych słów bez filtru, jaki nałożyli na nie chrześcijanie.

– Życzę ci powodzenia.

– Powiem ci coś. Pozostawię ci rządzenie Ameryką, ty zostaw mi tę sprawę.

Thorvaldsen patrzył, jak Hermann wkłada zapiski z powrotem do gabloty i zamyka sekretną skrytkę. Obaj mężczyźni zwlekali z wyjściem jeszcze przez kilka minut, w końcu opuścili bibliotekę. Choć godzina był już późna, on wcale nie czuł senności.

– Zamierzają zabić prezydenta – odezwał się przejęty do głębi Gary.

– Wiem. Chodź, musimy stąd wyjść.

Zeszli na dół po spiralnych schodkach.

Lampy w bibliotece wciąż były zapalone. Przypomniał sobie, jak Hermann chełpił się, że w swojej bibliotece zgromadził blisko dwadzieścia pięć tysięcy woluminów, w tym wiele pierwszych wydań, które liczyły sobie setki lat.

Poprowadził Gary’ego do gabloty, w której znajdował się kodeks. Chłopiec nie widział tego, co on zdołał podejrzeć. Włożył rękę pod blat i zaczął szukać włącznika, lecz nie trafił na nic. Z trudem pochylił się tak nisko. To jedno z ograniczeń skrzywionego kręgosłupa.

– Czego szukasz? – zaciekawił się Gary.

– Tę gablotę można otworzyć, jeśli się wie jak. Zerknij na dół i zobacz, czy nie ma tam jakiegoś przycisku.

Gary uklęknął i rozglądał się badawczo.

– Nie sądzę, żeby to było takie oczywiste. – Spoglądał na przemian to na gablotę, to na drzwi biblioteki, mając nadzieję, że nikt nie wejdzie do środka. – Znalazłeś coś?

Usłyszał szczęknięcie, po czym gablota rozdzieliła się na dwie nierówne części, mniej więcej na jednej trzeciej jej szerokości.

Gary powstał z klęczek.

– Jedna ze śrub. Całkiem sprytne. Jeśli jej nie naciśniesz, nie wpadniesz na to.

– Dobra robota.

Odsłonił ukryty segment i dostrzegł sztywne arkusze pergaminu zapisane od lewego brzegu po prawy. Policzył. Dziewięć. Rozejrzał się po półkach z książkami i dostrzegł kilka atlasów o dużych rozmiarach. Pokazał w ich kierunku.

– Przynieś mi jedną z tych ksiąg dużego formatu.

Gary wyciągnął ciężki wolumin. Thorvaldsen z wielką ostrożnością wsunął arkusze pergaminu oraz strony z tłumaczeniami między stronice atlasu, zarówno po to, żeby je ochronić, jak również ukryć.

Ponownie zamknął gablotę.

– Co to za dokumenty? – zapytał chłopiec.

– Te, po które przyszliśmy, jak sądzę.

SZEŚĆDZIESIĄT CZTERY

PIĄTEK, 7 PAŹDZIERNIKA
GODZINA 9.15

Malone oparł się o wewnętrzną przegrodę w kadłubie samolotu transportowego Herkules C130H. Brent Green zadziałał bardzo sprawnie, załatwiając im przelot samolotem wojskowym wiozącym zaopatrzenie z Anglii do Afganistanu. Międzylądowanie w Lizbonie, w bazie sił powietrznych Montijo, rzekomo z powodu konieczności dokonania drobnej naprawy, umożliwiło im wejście na pokład bez wielkich fanfar i gali. Czekała ich również zmiana stroju; Malone, Pam i McCollum paradowali teraz w polowych mundurach sił zbrojnych. Do tego buty do chodzenia po pustyni oraz spadochrony. Pam nieco się zlękła na widok spadochronu, ale wzięła za dobrą monetę wytłumaczenie, że wchodzi on w skład standardowego wyposażenia.

Lot z Lizbony na półwysep Synaj trwał bez mała osiem godzin, Malone zdołał więc trochę się przespać. Bez specjalnego wzruszenia przypomniał sobie inne przeloty maszynami transportowymi. Z kolei drobinki lotniczego paliwa, jakie unosiły się w kadłubie, przywołały w nim wspomnienia lat, kiedy był młodszy i przebywał poza domem znacznie częściej niż w domu. Popełniał błędy, które sprawiały ból do dzisiaj.

Pam najwyraźniej nie przypadły do gustu pierwsze trzy godziny lotu. Co było zresztą zrozumiałe, uwzględniwszy to, że komfort był najmniejszym zmartwieniem sił powietrznych. Lecz w końcu zwinęła się w kłębek i zasnęła.

Zupełnie inaczej miała się sprawa z McCollumem.

Sprawiał wrażenie, jakby był wreszcie u siebie w domu, zakładając spadochron z wprawą i precyzją eksperta. Chyba rzeczywiście służył w siłach specjalnych. Malone nie otrzymał od Greena informacji o tożsamości McColluma. Czegokolwiek jednak by się dowiedział, wkrótce

nie będzie to miało wielkiego znaczenia. Niebawem mieli się znaleźć poza zasięgiem łączności, pośrodku niczego.

Wyjrzał przez okno.

Pokryta pyłem jałowa ziemia rozciągała się w każdym kierunku. Nieregularny płaskowyż, idący ukośnie pod górę, w miarę jak półwysep Synaj zawężał się i eksplodował pofałdowanymi górskimi masywami z brązowego, szarego i czerwonego granitu. Krzew Gorejący oraz teofania Jahwe, czyli jego objawienie się ludziom w widzialnej postaci, wszystko to działo się tutaj. Wielka i porażająca dzika przyroda opisana w Księdze Wyjścia. Mnisi i pustelnicy od stuleci wybierali tę krainę na miejsce odosobnienia, jak gdyby samotność umiejscawiała ich bliżej niebios. Być może rzeczywiście tak było. Jakimś osobliwym trafem przypomniała mu się wizja z dramatu *Przy drzwiach zamkniętych* Jeana Paula Sartre'a.

Piekłem są inni ludzie.

Obrócił się od okna i zobaczył, jak McCollum odchodzi od szefa lotu i zmierza w jego kierunku, po czym siada na aluminiowej ramie biegnącej od przegrody. Pam leżała trzy metry dalej, po przeciwnej stronie, wciąż pogrążona we śnie. Malone konsumował właśnie porcję MRE, gotowego wojskowego jedzenia – befsztyk z grzybami – i popijał wodą z butelki.

– Jadł pan? – zapytał McColluma.

– Kiedy spaliście. Fajita z kurczakiem. Całkiem niezłe. Pamiętam MRE aż nazbyt dobrze.

– Sprawia pan wrażenie, jakby był u siebie w domu.

– Byłem tu, robiłem to.

Obaj zdjęli ochronne nauszniki, które w znacznym stopniu wyciszały monotonny warkot silnika. Samolot był wyładowany paletami z częściami zamiennymi do samochodów, wykorzystywanych przez armię w Afganistanie. Malone wyobrażał sobie, że lotów takich ja ten każdego tygodnia odbywało się wiele. Kiedyś szlaki zaopatrzeniowe kojarzyły się z konnymi wozami, pociągami towarowymi i ciężarówkami, teraz przestworza i morze oferowały najszybsze i najbezpieczniejsze drogi zaopatrzenia.

– Sprawia pan wrażenie, jakby również jadł kiedyś z tego garnka – zauważył McCollum.

– Przypomina mi to różne rzeczy.

Uważał na to, co mówi. Nie miał znaczenia fakt, że McCollum pomógł im wyjść cało z opresji w Belém. Wciąż był niczym enigma. Poza tym zabijał z precyzją eksperta i bez cienia skrupułów. Jakiż był więc z niego pożytek? To on posiadał „peregrynacje herosa”.

– Ma pan rzeczywiście niezłe dojścia – zmienił temat McCollum. – Sam prokurator generalny załatwił ten przelot?

– Mam kilku przyjaciół.

– Służy pan w CIA, w wywiadzie wojskowym albo też w czymś podobnym.

– Żadne z wymienionych. Poza tym odszedłem już ze służby.

McCollum roześmiał się ironicznie.

– Niezła bajeczka. Podoba mi się. Lubię to. Odszedł pan ze służby. Jasne. Tkwi pan w czymś po uszy.

Skończył jeść i zauważył, że szef lotu spogląda na niego. Przypomniał sobie, że ludzie pełniący tę funkcję są wrażliwi na punkcie tego, w jaki sposób wyrzuca się opakowania po gotowych żołnierskich daniach. Mężczyzna wykonał gest, a Malone zrozumiał. Kubeł na śmieci przy drugim końcu ławki.

Później czterokrotnie zamknął i otworzył dłoń.

Dwadzieścia minut.

Malone przytaknął.

SZEŚĆDZIESIĄT PIĘĆ

WIEDEŃ
GODZINA 8.30

Thorvaldsen usiadł w motylarni i otworzył atlas. On i Gary obudzili się przed godziną, wzięli prysznic i zjedli lekkie śniadanie. Przyszedł do „domu motyli” nie tylko po to, żeby uniknąć elektronicznych urządzeń podsłuchowych, ale także po to, żeby oczekiwać na to, co nieuniknione. Odkrycie przez Hermanna kradzieży było bowiem wyłącznie kwestią czasu.

Ranek był dla członków zakonu czasem wolnym, gdyż kolejna sesja obrad Walnego Zgromadzenia była zaplanowana na późne popołudnie. Stare manuskrypty ukryte w atlasie Thorvaldsen całą noc trzymał pod łóżkiem. Teraz z niecierpliwością pragnął dowiedzieć się więcej. Chociaż władał nieźle łaciną, jego greka była na elementarnym poziomie, o znajomości języka starogreckiego, którym z pewnością posługiwali się Hieronim i Augustyn, nawet nie wspominając. Był więc wdzięczny Hermannowi za zlecenie przekładu listów.

Gary siedział naprzeciw niego.

Zdecydował, że chłopiec zasługiwał na poznanie prawdy.

– Porwanie ciebie miało zmusić twojego ojca do odnalezienia czegoś, co ukrył przed kilkoma laty. Jestem przekonany, że te dokumenty mają również z tym związek.

– Co to za dokumenty?

– Listy dwóch uczonych – Augustyna i Hieronima. Żyli w czwartym i piątym stuleciu, a przyczynili się do ostatecznego uformowania religii chrześcijańskiej.

– Historia. Zaczynam ją lubić, lecz to bardzo obszerna dziedzina.

Henrik się uśmiechnął.

– Dzisiaj problem polega na tym, że dysponujemy tak niewielką liczbą źródeł pisanych pochodzących z tamtych czasów. Wojny, polityka, czas oraz brak właściwej troski i dbałości sprawiły, że ogromna część dawnych

dokumentów nie dotrwała do naszych czasów. Jednak te rękopisy wyszły spod ręki dwóch uczonych mężów o nieprzeciętnych umysłach.

Wiedział co nieco na temat ich obu. Augustyn urodził się w Afryce, z chrześcijańskiej matki i ojca poganina. Dopiero w wieku dojrzałym przyjął chrzest, a występki młodości opisał w dziele *Wyznania*, księdze, o której Thorvaldsen wiedział, że stanowi lekturę obowiązkową na większości uniwersytetów. Został wyniesiony do godności biskupa Hippony, stał się intelektualnym przywódcą afrykańskiego katolicyzmu oraz wpływowym adwokatem ortodoksji. Jemu przypisuje się sformułowanie w sporej części wczesnej doktryny chrześcijańskiej.

Hieronim również urodził się w rodzinie pogańskiej i spędził młodość, prowadząc tryb życia odległy od cnotliwego. Odebrał gruntowne wykształcenie i został uznany za jednego z ojców Kościoła o największym intelektualnym potencjale. Prowadził żywot pustelnika. Trzydzieści lat poświęcił na tłumaczenie Biblii. Od tamtej pory jest postacią kojarzoną z bibliotekami do tego stopnia, że stał się ich świętym patronem.

Ze strzępów rozmowy wiceprezydenta i Alfreda Hermanna, jaką Thorvaldsen podsłuchał poprzedniego wieczoru, wynikało, że obaj starożytni uczeni, którzy mieszkali w dość odległych od siebie częściach antycznego świata, najwidoczniej korespondowali w okresie, kiedy Hieronim dokonywał przekładu Biblii. Hermann zwrócił uwagę wiceprezydenta na manipulowanie biblijnym tekstem, lecz Henrik sam pragnął w pełni zrozumieć, o co w tym chodzi. Sięgnął więc po kartki z tłumaczeniami listów i pogrążył się w ich lekturze, czytając na głos.

> *Mój uczony bracie Augustynie. Był taki czas, kiedy uważałem, że Septuaginta jest cudownym dziełem. Czytałem ten tekst w Bibliotece Aleksandryjskiej. Chciałem poznać myśli tamtych skrybów, którzy opisywali dole i niedole Izraelitów, i wykreowali wiarę, która od dawna przepełnia moją duszę. Teraz jednak tamtą radość wypiera konsternacja. Trudząc się osobiście nad przełożeniem starożytnego tekstu, zyskuję coraz większą pewność, że w Septuagincie pozwolono sobie na wiele swobody w tym względzie. Okazuje się, że w każdym ustępie są jakieś błędy. Jerozolima nie jest miastem, lecz regionem z licznymi miastami. Najświętsza z rzek, Jordan, okazuje się nie rzeką, ale górskim pasmem. Tak samo nazwy wielu miejscowości są*

błędne. Grecki przekład nie jest zbieżny z hebrajskim oryginałem. Można nawet odnieść wrażenie, że całe przesłanie zostało zmienione, nie przypadkiem, ale świadomie.

Hieronimie, mój druhu, zadanie Twoje jest trudne. Tym trudniejsze, że wielka jest nasza misja. To, co odkryłeś, nie uszło niezauważone. Ja również spędziłem wiele czasu w bibliotece w Aleksandrii. Wielu z nas studiowało gruntownie te manuskrypty. Czytałem traktat Herodota, który odwiedził Palestynę w piątym wieku przed narodzinami naszego Pana. Stwierdził wtedy, że krainę tę, będącą wówczas pod władaniem Persów, zamieszkiwali Syryjczycy. Nie zauważył obecności ludu nazywanego Izraelitami lub Żydami. Nie było tam Jerozolimy ani Judei. Wydało mi się to osobliwe, uwzględniwszy fakt, że stare teksty mówią o odbudowaniu w tamtym okresie żydowskiej świątyni w Jerozolimie, Judea zaś cieszyła się sławą rozległej prowincji. Gdyby rzeczywiście istniały, uczony Grek musiałby o nich wiedzieć, gdyż uchodzi za wnikliwego obserwatora. Odkryłem, że pierwsza znana wzmianka o starożytnym Izraelu jest autorstwa Strabona, z urodzenia Greka, z obywatelstwa Rzymianina. Jego Historia jest dziełem rzetelnym i całościowym. Dostąpiłem przywileju jego lektury w bibliotece. Swoją pracę Strabon ukończył dwadzieścia trzy lata po narodzeniu naszego Pana, pisał ją zatem w latach życia Chrystusa. Stwierdza on, że nazwa Judea w stosunku do Palestyny pojawiła się po raz pierwszy za czasów greckiego panowania. Grecki wyraz Ioudaia oznaczał krainę Żydów. Stało się to zaledwie na sto lat przed narodzinami naszego Pana. A zatem w okresie między pobytem tu Herodota oraz wizytą Strabona, które oddziela okres czterystu lat, Żydzi pojawili się na trwałe w Palestynie. Strabon relacjonował również o dużym odłamie Izraelitów, którzy uciekli z kraju na południu i osiedlili się w Palestynie. Nie miał pewności co do tego kraju, lecz uwzględniając bliskość Egiptu i łatwy do niego dostęp, doszedł do wniosku, że Exodus był ucieczką z Egiptu do Palestyny. Żaden jednak dowód nie potwierdza tego wniosku. Strabon zauważył również, że źródłem jego relacji byli Żydzi zamieszkali w Aleksandrii, między którymi spędził wiele czasu. Był też biegły

w języku hebrajskim, a w swoim dziele Historia zapisał komentarz, że on sam również zauważył błędy w tekście Septuaginty. Napisał też, że uczeni w Bibliotece Aleksandryjskiej, którzy przełożyli starożytne teksty na grekę, łączyli po prostu treść pradawnych tekstów z tym, czego dowiedzieli się od współczesnych im Żydów. Strabon stwierdził ponadto, że Żydzi z Aleksandrii zapomnieli o swojej przeszłości i zdawali się zadowoleni z tworzenia nowej wersji własnych dziejów.

Mój drogi bracie Augustynie, czytałem dzieła Józefa Flawiusza, Żyda, który pisał, ciesząc się wielkim autorytetem. Umarł blisko sto lat po narodzinach naszego Pana. W jednoznaczny sposób uznaje Palestynę za kraj opisany w starożytnych tekstach, zauważa przy tym, że region ten jest jedynym miejscem, jakie znał, w którym istniał niezależny izraelski byt polityczny. W nowszych nieco czasach Euzebiusz z Cezarei, na zlecenie naszego pełnego uniesienia cesarza Konstantyna, umieścił nazwy ze starych tekstów w różnych miejscach Palestyny. Zgłębiałem jego dzieło O nazwach miejsc w Piśmie Świętym. Po lekturze starych tekstów spisanych po hebrajsku zyskałem jednak pewność, że dzieło Euzebiusza roi się od błędów. Wydaje się, że ze zbytnią beztroską przypisywał znaczenia do nazw miejsc, a w niektórych wypadkach po prostu zgadywał. Mimo to jego dzieło ma ogromne znaczenie. Pobożni i łatwowierni pielgrzymi posługują się tym dziełem jako wskazaniem drogi.

Hieronimie, druhu mój, musimy wypełnić to zadanie z ogromną starannością. Nasza religia dopiero się kształtuje, ze wszystkich stron czają się zagrożenia. Twoje starania mają zatem podstawowe znaczenie dla naszego istnienia. Przetłumaczenie starożytnych tekstów na łacinę sprawi, że słowa te będą czytane przez wielu. Zatem nakłaniam Cię żarliwie, abyś nie zmieniał tego, czego dokonali ci, którzy napisali Septuagintę. Nasz Pan, Jezus Chrystus, żył w Palestynie. Przesłanie, jakie pragniemy zawrzeć w Nowym Testamencie, musi brzmieć jak jeden głos. Uznaję to, co odkryłeś: że starożytne teksty nie są opisem dziejów Izraelitów w krainie, którą nazywamy Palestyną. Z jakiego jednak powodu miałoby to mieć

znaczenie? Nasze zadanie odbiega znacznie od celu, jaki przyświecał autorom Septuaginty. Nasz Nowy Testament musi stanowić spełnienie Starego Testamentu. Jedynie w ten sposób znaczenie nowego przesłania zostanie wyniesione do poziomu wyższego niż miało stare. Połączenie starego objawienia z nowym wykaże, jak ważne było nadejście naszego Pana, Jezusa Chrystusa, oraz jak ważne jest jego przesłanie. Błędy, jakie dostrzegłeś w Septuagincie, nie muszą zostać skorygowane. Jak wcześniej pisałeś, Żydzi, którzy pomagali w tym przekładzie, zapomnieli o własnej historii. Nie wiedzą nic o swoich dawnych dziejach. Orientują się jedynie w wydarzeniach z czasów nieodległych. Zatem w Twoim przekładzie Palestyna, jaką znamy, powinna pozostać Palestyną w obu Testamentach. Takie jest nasze zadanie, bracie drogi, nasza misja. Przyszłość naszej wiary i religii, naszego Pana, Jezusa Chrystusa, jest w naszych rękach. On zaś daje nam inspirację, byśmy wypełnili Jego wolę.

Thorvaldsen przestał czytać.

Miał przed sobą listy dwóch ojców Kościoła, być może dwóch o najwybitniejszych umysłach spośród wszystkich. Z premedytacją deliberowali oni o manipulowaniu przekładem Starego Testamentu na łacinę. Hieronim znał z pewnością dobrze oryginalny manuskrypt napisany po hebrajsku i znał błędy, jakie wkradły się do znacznie wcześniejszego tłumaczenia na grekę. Augustyn znał również dzieła Herodota i Strabona. Ten pierwszy jest uznawany za ojca historii, drugi zaś – geografii. Jeden był Grekiem, drugi obywatelem Rzymu greckiego pochodzenia. Uczeni mężowie, których lata życia oddzielały stulecia i którzy w fundamentalnym stopniu zmienili ten świat. *Geografia* Strabona dochowała się do naszych czasów i jest uznawana za jedno z najcenniejszych dzieł starożytności, które odsłania ogrom wiedzy o ówczesnym świecie, lecz *Historia* przepadła na zawsze.

Nie zachowała się żadna kopia.

Ale Augustyn miał sposobność zapoznać się z tym dziełem.

W Bibliotece Aleksandryjskiej.

– Co to wszystko może znaczyć? – zapytał Gary.

– Bardzo dużo.

Jeśli na wczesnym etapie historii Kościoła zafałszowano przekład Starego Testamentu, dobierając słowa tak, żeby służyły zamierzonemu celowi, mogło to pociągnąć za sobą katastrofalne następstwa.

Hermann miał rację. Chrześcijanie z pewnością dołączą do walki.

W głowie Henrika kłębiły się myśli dotyczące planów Niebieskiego Krzesła. Z rozmów, jakie prowadzili z sobą przez ostatnie lata, wiedział, że Hermann nie jest osobą wierzącą. Uważał religię za instrument polityki, wiarę zaś traktował jako oparcie dla ludzi słabych. Z ogromną satysfakcją obserwował, jak trzy wielkie religie toczyły z sobą spór będący konsekwencją przekazu Starego Testamentu. Teraz zaś miało się okazać, że spór ten jest w zasadzie bezpodstawny.

Stronice, które Thorvaldsen przeglądał, były w istocie niezwykle cenne. Stanowiły część dowodów, jakie gromadził Hermann. Lecz Niebieskie Krzesło potrzebował więcej. Dlatego właśnie tak ważna była Biblioteka Aleksandryjska. Jeżeli jeszcze istniała, mogła stanowić jedyne archiwum, które pozwoliłoby rzucić więcej światła na tę sprawę. Teraz jednak był to problem Malone’a, zakładając, że rzeczywiście znajdował się w drodze na Synaj.

Życzył swojemu przyjacielowi powodzenia.

Ale był jeszcze prezydent Stanów Zjednoczonych. Jego nagłą śmierć zaplanowano na najbliższy czwartek.

To był problem Thorvaldsena.

Wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy i wybrał numer.

SZEŚĆDZIESIĄT SZEŚĆ

PÓŁWYSEP SYNAJ

Malone obudził Pam. Podniosła się z pozycji półleżącej i wyciągnęła zatyczki z uszu.

– Jesteśmy na miejscu – poinformował ją.

Usiłowała odgonić resztki snu i z miejsca się ożywiła.

– Podchodzimy do lądowania?

– Jesteśmy na miejscu – powtórzył, starając się przebić przez warkot silników.

– Jak długo spałam?

– Kilka godzin.

Wstała z ławki, ze spadochronem wciąż przepisowo założonym na plecy. Herkules C130 przedzierał się przez poranne powietrze.

– Ile czasu zostało nam do lądowania?

– Wysiadamy tu niebawem. Jadłaś coś?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– W żadnym razie. Żołądek podszedł mi do gardła. Ale w końcu przestało mnie mdlić.

– Wypij trochę wody.

Otworzyła butelkę i pociągnęła kilka łyków.

– Lot czymś takim przypomina jazdę w krytym wagonie towarowym.

Uśmiechnął się.

– Trafnie to ujęłaś.

– Przywykłeś do latania takimi wehikułami?

– Zawsze z nich korzystałem.

– Miałeś fuchę wymagającą wyrzeczeń.

Był to pierwszy raz, kiedy wyraziła się w sposób w miarę oględny o jego byłej profesji.

– Sam się o to prosiłem.

– Powoli zaczynam rozumieć. Wciąż nie mogę wyjść z szoku z powodu tego zegarka nafaszerowanego pluskwami. Wyszłam na idiotkę, sądząc, że ten mężczyzna naprawdę coś do mnie czuje.

– Być może tak było.

– A jakże! Po prostu mnie wykorzystał, Cotton.

Odniósł wrażenie, że to wyznanie sprawiło jej ból.

– Wykorzystywanie ludzi to część tego biznesu. – Przerwał na moment, po czym dodał: – Akurat za tą częścią specjalnie nie przepadałem.

Napiła się jeszcze wody.

– Wykorzystałam ciebie, Cotton.

Miała rację. Wykorzystała.

– Powinnam była powiedzieć ci prawdę o Garym. Lecz nie zrobiłam tego. Kim zatem jestem, żeby osądzać innych.

Nie była to najlepsza pora na tę rozmowę. Dostrzegł jednak, że Pam była zatroskana wszystkim tym, co się wydarzyło.

– Nie martw się tym teraz. Zakończymy tę sprawę. Porozmawiamy o tym przy innej okazji.

– Nie martwię się tym. Po prostu chciałam, żebyś wiedział, jak się z tym czuję.

Pierwszy raz z jej strony padła taka deklaracja.

Od strony ogona samolotu dobiegł drażniący wizg i jednocześnie zaczęła otwierać się tylna rampa. Do wnętrza ładowni wleciał gwałtowny strumień powietrza.

– Co się dzieje? – zapytała.

– Oni mają pewne obowiązki. Pamiętaj, że tylko nas podwożą. Podejdziemy do tyłu i zatrzymamy się w miejscu, w którym stoi szef lotu.

– Dlaczego?

– Ponieważ poproszono nas o to. Idę razem z tobą.

– Jak się miewa nasz przyjaciel? – chciała wiedzieć.

– Oboje musimy mieć na niego baczenie.

Patrzył, jak szła w kierunku ogona. Podszedł do przegrody po przeciwnej stronie.

– Czas ruszać – poinformował McColluma.

Zauważył, że McCollum przysłuchiwał się ich rozmowie.

– Ona wie?

– Jeszcze nie.

– To dość okrutne, nie sądzi pan?

– Nie, gdyby pan ją znał.

McCollum pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Niech mi pan da znać, kiedy nadepnę panu na odcisk.

– Mówiąc prawdę, to naprawdę jest dobra rada.

Dostrzegł, że przekaz między wierszami został właściwie zrozumiany.

– Jasne, Malone. Jestem tylko facetem, który ocalił panu skórę.

– I właśnie dlatego znalazł się pan tutaj.

– Jakie to wspaniałomyślne z pańskiej strony, zwłaszcza uwzględniwszy fakt, że to ja jestem w posiadaniu „peregrynacji".

Sięgnął po plecak, w którym upchał wszystko, co zostawił mu George Haddad, oraz książkę o św. Hieronimie. Odebrali te rzeczy ze skrytki na lotnisku przed opuszczeniem Lizbony. Przypiął plecak paskami do klatki piersiowej.

– A tu jest to, co ja posiadam. Zatem jesteśmy kwita.

McCollum również przypiął swój plecak paskami do torsu. Wziął z sobą tylko te rzeczy, którą mogą się przydać. Woda, racje żywnościowe, urządzenie GPS. Według mapy osada znajdowała się pięć kilometrów od miejsca, do którego zmierzali. Jeśli nic nie odnajdą, będą mogli wyruszyć stamtąd piechotą i dojść do drogi odległej o trzydzieści kilometrów, która prowadziła do lotniska w pobliżu Góry Mojżesza oraz do klasztoru św. Katarzyny. Jedno i drugie stanowiło popularne turystyczne atrakcje.

Nałożyli gogle i hełmy, po czym ruszyli w stronę ogona samolotu.

– Co oni robią? – zapytała Pam, kiedy podszedł bliżej.

Musiał przyznać, że w polowym mundurze wyglądała świetnie.

– Muszą wykonać zrzut spadochronowy.

– Ten ładunek? Będą go gdzieś tu zrzucać?

Prędkość samolotu zmalała do dwustu dwudziestu kilometrów na godzinę, a maszyna leciała teraz z nosem lekko zadartym do góry.

Założył hełm z kevlaru na głowę Pam i szybkim ruchem zapiął pasek pod brodą.

– Co robisz? – Jej twarz wyrażała nagłą konsternację.

Dopasował jej gogle.

– Tylna rampa jest opuszczona. Wszyscy musimy to zrobić. Takie są wymagania bezpieczeństwa.

Obejrzał uprząż spadochronu i upewnił się, że wszystkie otwierane jednym ruchem sprzączki są zapięte. Już wcześniej gruntownie sprawdził stan własnego ekwipunku. Podpiął siebie oraz Pam do linek otwierających automatycznie spadochron po opuszczeniu samolotu.

Dostrzegł, że McCollum również już się podpiął.

– Jakim sposobem możemy wylądować, skoro rampa jest opuszczona?! – wykrzyknęła.

Spojrzał jej prosto w oczy.

– Nie możemy.

Zauważył, że wreszcie pojęła.

– Nie mówisz tego poważnie. Chyba się nie spodziewasz, że ja...

– Otwiera się automatycznie. Po prostu odczekaj i ciesz się lotem w przestworzach. Ten typ spadochronu gwarantuje powolne spadanie. Przeznaczony specjalnie dla żółtodziobów. Kiedy uderzysz o ziemię, będzie to jak skok z wysokości około metra.

– Cotton, chyba zupełnie pomieszało ci się w głowie. Wciąż dokucza mi rana barku. W żadnym razie...

Szef lotu przekazał sygnał, że zbliżali się do punktu, którego współrzędne podał. Nie było zatem czasu na spieranie się. Po prostu chwycił ją od tyłu i przesunął do przodu.

Usiłowała uwolnić się z uchwytu.

– Cotton, błagam. Nie mogę. Błagam.

Zepchnął ją z rampy.

Jej przerażający krzyk ucichł szybko.

Zdawał sobie sprawę z tego, co teraz przeżywała. Pierwsze pięć metrów swobodnego spadania dawało wrażenie nieważkości, kiedy specjalna linka się rozwijała. Serce Pam zapewne podskoczyło jej do gardła. Prawdę mówiąc, niezły pęd. Potem poczuje szarpnięcie, kiedy linka wyciągnie z plecaka czaszę spadochronu. Patrzył, jak Pam opada na tle porannego nieba.

Szarpnęło nią, kiedy czasza spadochronu chwyciła powietrze.

Nie upłynęło pięć sekund i opadała majestatycznie ku ziemi.

– Chyba będzie nieźle wkurzona.

Nie przestawał oglądać jej skoku.

– Tak. Ale zawsze chciałem zrobić coś w tym stylu.

SZEŚĆDZIESIĄT SIEDEM

Sabre sterował linkami spadochronu i cieszył się opadaniem ku ziemi. Poranne powietrze oraz nowomodny spadochron zapewniały niezbyt szybkie opadanie. Malone powiedział mu o tym typie czaszy, bardzo różniącym się od tych z czasów, które pamiętał, kiedy spadał niczym kamień i w duchu liczył na to, że nie złamie nogi.

On i Malone wyskoczyli w ślad za Pam z samolotu transportowego, który szybko znikł na wschodnim horyzoncie. Załogi w ogóle nie obchodziło to, czy dotrą bezpiecznie na ziemię. Piloci swoje zadanie wykonali.

Spoglądał w dół na surowe otoczenie.

Rozległa równina pokryta piaskiem i kamieniami. Przywołał w pamięci słowa Alfreda Hermanna o południowym Synaju. To rzekomo najświętsza pustynia na ziemi. Zwiastun cywilizacji. Miejsce, w którym łączą się Afryka i Azja. Ale okaleczone wojnami. Na tym terytorium spośród całego świata stoczono najwięcej bitew. Syryjczycy, Hetyci, Asyryjczycy, Persowie, Grecy, Rzymianie, krzyżowcy, Turcy, Francuzi, Anglicy, Egipcjanie i Izraelczycy. Wszyscy oni najeżdżali tę ziemię. Wiele razy słyszał, jak Hermann rozprawiał o znaczeniu tego obszaru. Teraz miał poznać ten kraj na własnej skórze.

Znajdował się gdzieś na wysokości trzystu metrów nad ziemią. Pam opadała pod nim, Malone nieco nad nim. W uszach dzwoniła cisza – ostry kontrast z głośnym i miarowym warkotem silnika w samolocie. Przypomniał sobie ciszę towarzyszącą innym jego skokom. Ryk silników cichł stopniowo do głębokiej nicości. Jedynie wiatr mógł zakłócać ten niezmącony spokój, lecz dzisiaj panowała flauta.

Czterysta metrów na wschód jałowy krajobraz ustępował ponurym granitowym wzgórzom, pozbawionym indywidualnego charakteru, które stanowiły po prostu bezładną układankę szczytów i grani. Czy gdzieś tutaj znajdowała się Biblioteka Aleksandryjska?

Z pewnością wszystkie poszlaki wskazywały na to, że tak właśnie jest.

Wciąż opadał ku ziemi.

U podnóża jednego z poszarpanych wzniesień, w odległości kilkuset metrów, dostrzegł grupę budynków. Skorygował lot za pomocą linek sterujących, przybliżając oś własnego opadania do miejsca, w którym za moment miała wylądować Pam Malone. Płaski fragment pustyni, na którym nie było żadnych terenowych przeszkód. Żadnych głazów. To dobrze.

Spojrzał do góry i przekonał się, że Malone wykonał podobny manewr.

Tego faceta będzie być może trudniej zabić niż mu się początkowo wydawało. Lecz teraz przynajmniej był uzbrojony. Miał pistolet zdobyty w klasztorze oraz zapasowe magazynki. Kiedy ocknął się na kościelnym chórze, po tym, jak stracił na jakiś czas przytomność, pistolet wciąż był na miejscu. Co swoją drogą, zdziwiło go.

Czemu więc miała służyć napaść na niego?

Czy to zresztą ważne?

On przynajmniej był gotów.

Malone pociągał za linki, sterując kierunkiem opadania. Szef szkolenia spadochroniarzy w bazie sił powietrznych w Lizbonie poinformował go, że nowe czasze były inne, i miał absolutną rację. Powolne opadanie bez szarpnięć. Nie bardzo podobała im się sytuacja Pam – zupełna nowicjuszka, która nawet nie będzie zdawać sobie sprawy, że ma skoczyć, do chwili, kiedy będzie za późno – ponieważ rozkaz podjęcia współpracy nadszedł z samego Pentagonu, nikt się nie spierał.

– Niech cię szlag, Cotton! – usłyszał wściekły krzyk Pam. – Niech cię jasny szlag trafi.

Skierował wzrok do dołu.

Do ziemi brakowało jej jeszcze około stu pięćdziesięciu metrów.

– Kiedy będziesz dotykać ziemi, ugnij nogi – zawołał. – Dobrze ci idzie. Resztę załatwi spadochron.

– Pieprz się! – odkrzyknęła.

– Kiedyś to robiliśmy. Ale nic z tego nie wyszło. Przygotuj się.

Patrzył, jak uderza i odbija się od ziemi, a czasza spadochronu opada za nią. Widział, jak McCollum zdejmuje plecak przypięty z przodu, potem dociera do podłoża i ląduje na nogach.

Malone dociągnął linki sterujące i zwolnił opadanie tak mocno, że niemal zawisł w powietrzu. Odpiął swój plecak, chwilę później poczuł, jak piasek pustyni drapie o podeszwy jego butów.

On również zdołał ustać na nogach.

Od ostatniego skoku, jaki wykonał, upłynęło sporo czasu, poczuł więc satysfakcję, przekonawszy się, że wciąż nieźle sobie radzi. Odpiął uprząż, następnie wyplątał się z linek spadochronu.

McCollum robił to samo.

Pam wciąż leżała na ziemi. Podszedł do niej, zdając sobie w pełni sprawę z tego, co się stanie za chwilę.

Zerwała się na równe nogi.

– Ty żałosny sukinsynie! Wypchnąłeś mnie z tego pieprzonego samolotu!

Usiłowała pochwycić go, lecz nie odpięła jeszcze uprzęży. Wciąż rozdęta czasza działała jak kotwica, ograniczająca jej ruchy.

Stał poza zasięgiem jej ramion.

– Czy ty zupełnie postradałeś zmysły?! – krzyczała. – Nawet nie wspomniałeś pieprzonym słowem o skakaniu z samolotu.

– A jak twoim zdaniem mieliśmy dostać się tutaj? – zapytał z całkowitym spokojem.

– Słyszałeś kiedyś o lądowaniu?

– To jest terytorium Egiptu. Naraziliśmy się już, skacząc w dzień. Uważałem jednak, że skok nocą byłby dużo bardziej okrutny.

Jej niebieskie oczy ciskały wściekłe gromy z intensywnością, jakiej nigdy wcześniej u niej nie widział.

– Musieliśmy dostać się tutaj w taki sposób, żeby nie wiedzieli o tym Izraelczycy. Lądowanie zatem nie wchodziło w grę. Mam tylko nadzieję, że wciąż jeszcze namierzają sygnał z twojego zegarka, który zaprowadzi ich donikąd.

– Jesteś kretynem, Cotton. Absolutnym, pojebanym kretynem. Wypchnąłeś mnie z samolotu.

– Rzeczywiście to zrobiłem.

Zaczęła szarpać się z uprzężą, usiłując uwolnić ciało z uchwytu linek i czaszy.

– Pam, zamierzasz się uspokoić?

Wciąż szukała głównej klamry, po czym przestała.

– Musieliśmy dostać się tutaj – przekonywał ją. – Ten środek transportu był idealny. Po prostu wyskoczyliśmy po drodze. Nikt się o tym nie dowie. Ten obszar jest niemal niezamieszkany, mniej niż trzech ludzi na kilometr kwadratowy. Należy powątpiewać, by ktokolwiek nas wypatrzył. Jak już wcześniej powiedziałem, zawsze chciałaś wiedzieć, co wcześniej porabiałem. W porządku. Miałaś okazję się przekonać.

– Powinieneś był zostawić mnie w Portugalii.

– To raczej kiepski pomysł. Izraelczycy mogli cię potraktować jako niezatarty trop. Lepiej, że zniknęłaś razem z nami.

– Nie. Ty mi po prostu nie ufasz. Wolałeś zatem, żebym znalazła się tu, gdzie masz na mnie oko.

– Ta myśl również przeszła mi przez głowę.

Przez chwilę milczała, jakby wreszcie zaczynała pojmować.

– W porządku, Cotton – przemówiła zaskakująco spokojnym głosem. – Przekonałeś mnie. Jesteśmy tutaj. Włos nie spadł nam z głowy. Czy teraz pomożesz mi uwolnić się z tego?

Podszedł bliżej i odpiął uprząż.

Uniosła ręce i zrzuciła plecak na ziemię. Potem uderzyła go kolanem w krocze.

Elektryzujący ból przebiegł wzdłuż rdzenia kręgowego i dotarł do mózgu. Ugięły się pod nim nogi i osunął się na ziemię.

Usiłował złapać dech.

Od dawna nie dał się zaskoczyć w tak prosty sposób.

Zwinął się w kłębek i czekał, aż najgorszy ból przeminie.

– Mam nadzieję, że to będzie z pożytkiem również dla ciebie – oznajmiła Pam.

SZEŚĆDZIESIĄT OSIEM

WIEDEŃ
GODZINA 9.28

Hermann wszedł do biblioteki i zamknął drzwi. Nie spał dobrze. Nie mógł wiele zrobić do czasu, kiedy Thorvaldsen popełni błąd. Gdy to się stanie, on będzie gotowy. Wprawdzie Sabre wyjechał, lecz Hermann wciąż dysponował ekipą ludzi, którzy zawsze zrobią to, co im rozkaże. Szef służby ochrony, z pochodzenia Włoch, nieraz dał do zrozumienia, że chętnie przejąłby posadę Sabre'a. Nigdy nie traktował na poważnie tej prośby, lecz teraz, gdy Dominick był daleko, on sam potrzebował lojalnego pomocnika, polecił więc Włochowi pozostawać w gotowości.

Zamierzał najpierw wypróbować sztukę dyplomacji. We wszystkich okolicznościach był to najlepszy sposób. Być może uda mu się przekonać Thorvaldsena teraz, gdy Duńczyk na własne oczy się przekonał, że zademonstrowanie światu faktu zmanipulowania treści Starego Testamentu może być skutecznym instrumentem politycznych nacisków – jeśli posłużyć się nim umiejętnie i ze zręcznością. Wiele razy w dziejach potrafiono wyciągać korzyści z chaosu i zamieszania. Cokolwiek stanie się zarzewiem konfliktu na Bliskim Wschodzie, będzie miało wpływ na ceny ropy. Wiedza o tym, że taka sytuacja nadchodzi, może stać się bezcenna. Kontrolowanie skali tych wydarzeń wydaje się wręcz niewyobrażalne. Członkowie zakonu już mogli zacierać ręce, ciesząc się perspektywą przyszłych kolosalnych zysków.

Ich nowo pozyskany sojusznik w Białym Domu również na tym skorzysta.

Jednak do osiągnięcia tego wszystko potrzebny był mu Sabre.

Co on właściwie porabiał na Synaju?

Razem z Cottonem Malone.

Jedno i drugie uznał za dobry znak. Plan Sabre'a zakładał pobudzenie Malone'a do odnalezienia aleksandryjskiego ogniwa. Później sukces zależał

już tylko od Malone’a. Albo uda im się dowiedzieć, ile zdołają, i wtedy wyeliminują byłego agenta, albo też zawrą z nim sojusz i przekonają się, dokąd to ich zaprowadzi. Najwyraźniej więc Sabre zdecydował się na ten drugi wariant.

Od kilku już lat myślał o tym, co się stanie, kiedy on opuści ziemski padół. Wiedział bowiem, że Margarete doprowadzi rodzinną fortunę do ruiny. Co gorsze, ona nawet nie zdawała sobie sprawy z własnej niekompetencji. Usiłował ją wykształcić, lecz wszelkie jego wysiłki szły na marne. Mówiąc szczerze, odczuł ulgę, kiedy Thorvaldsen ją uprowadził. Być może w ten sposób pozbędzie się problemu? W głębi duszy jednak w to powątpiewał. Duńczyk nie był mordercą, bez względu na pozory brawury i determinacji, jakie usiłował zademonstrować.

Hermann w rzeczywistości polubił Sabre’a. W tym człowieku tkwił potencjał. Słuchał uważnie, działał szybko i sprawnie, lecz nigdy pochopnie czy na oślep. Często przemyśliwał nawet o tym, że Sabre nadawałby się doskonale na jego spadkobiercę. Nie miał żadnego potomka w linii męskiej, a musiał dopilnować, że zgromadzona fortuna będzie dalej kwitła i rozwijała się bujnie.

Dlaczego jednak Sabre się nie odzywał?

Czy stało się coś nieprzewidzianego?

Odpędził od siebie te myśli i skoncentrował się na tym, co niepokoiło go tu i teraz. Niedługo rozpocznie się kolejne posiedzenie Walnego Zgromadzenia. Wczoraj omamił członków ambitnymi zamierzeniami. Dzisiaj miał zaprezentować meritum sprawy.

Stał nad folio wbudowanym w dolną część gabloty. Wewnątrz trzymał mapę, której wykonanie zlecił przed trzema laty. Ten sam uczony, z którego wiedzy skorzystał, potwierdzając teorię Haddada na temat Starego Testamentu, naniósł również na mapę odkrycia Palestyńczyka. Wtedy też się dowiedział, że biblijne miejsca, jedno po drugim, pasowały idealnie do geografii regionu Asir.

On jednak pragnął zobaczyć to na własne oczy.

Porównując miejsca charakterystyczne z nazwami hebrajskimi, zarówno w Starym Testamencie, jak i w świecie realnym, wynajęty przez niego ekspert zdołał zidentyfikować takie biblijne miejsca, jak Gilgala, Sydon, al-Lit, Dan, Hebron, Beer Szewa oraz Miasto Dawida.

Wyciągnął mapę.

Była już ona zeskanowana i umieszczona w pamięci komputera zainstalowanego w sali obrad. Członkowie zakonu zyskają niebawem okazję zobaczenia tego, co on sam podziwiał od dawna.

Nawet zagadka dwudziestu sześciu bram Jerozolimy, o których mowa w Księgach Kronik, Księgach Królewskich, Księdze Ezdrasza oraz Księdze Nehemiasza, została rozwiązana. Miasto otoczone murem z reguły nie miało więcej niż cztery bramy, każda wychodząca na inną stronę świata.

Dwadzieścia sześć bram budziło więc wątpliwości od samego początku. Jednakże hebrajskie słowo *shaar*, używane konsekwentnie w Starym Testamencie na oznaczenie bramy, ma dwojakie znaczenie. Drugie to „przejście” lub „przełęcz górska”. Co interesujące, w górskim paśmie, jakie oddzielało odkryty na nowo region Jerozolima od Judei, oznaczono dwadzieścia sześć przełęczy i przesmyków. Przypomniał sobie własne zdumienie, kiedy się o tym dowiedział. Brama Króla, Brama Więzienna, Brama Fontanny, Brama Nizinna oraz wszystkie pozostałe określenia opisane tak obrazowo w Starym Testamencie można było połączyć z idealną trafnością – dzięki bliskości wciąż istniejących osad i miejscowości – z górskimi przełęczami masywu górskiego Jordan, usytuowanego w regionie Asir.

Nic podobnego, nawet w znikomym stopniu, nie istniało w Palestynie.

Dowód nie budził żadnych kontrowersji.

Wydarzenia opisane w Starym Testamencie nie nastąpiły zatem w Palestynie. Wszystko to działo się setki kilometrów na południe, na Półwyspie Arabskim. Hieronim i August wiedzieli o tym, lecz świadomie pozostawili błędy zawarte w *Septuagincie*. Pozwolili sobie również na dalsze zmiany w tekście Starego Testamentu po to, aby zawarte w nim ustępy wyglądały na proroctwa, które spełniają się w Ewangeliach Nowego Testamentu. Żydzi mieli przestać się radować wyłącznie Słowem Bożym. Jeśli religia chrześcijan miała rozwijać się i kwitnąć, musiała również opierać się na boskim objawieniu.

Dlatego sprokurowali tekst tego objawienia.

Wystarczyło jednak odnaleźć Biblię hebrajską napisaną przed narodzinami Chrystusa, by dostarczyć niezbitego dowodu. Lecz nawet egzemplarz *Historii* Strabona udzieliłby odpowiedzi na liczne pytania. Jeśli Biblioteka Aleksandryjska wciąż jeszcze istniała, miał prawo żywić nadzieję, że jedno z tych dzieł lub nawet oba zachowały się do dziś.

Podszedł do szklanej gabloty, której zawartość poprzedniego wieczoru zaprezentował wiceprezydentowi. Nie zrobiło to na Amerykaninie zbyt wielkiego wrażenia, ale któż by się tym przejmował. Nowy prezydent Stanów Zjednoczonych na własne oczy zobaczy chaos i zamęt, jaki będzie rezultatem ujawnienia tych dokumentów. Wciąż więc miał nadzieję, że Thorvaldsen zareaguje z większą uległością, gdy zobaczy te dokumenty na

własne oczy. Sięgnął pod blat i nacisnął przycisk zwalniający zamknięcie. Otworzył dolną skrytkę i przez chwilę odniósł wrażenie, że wzrok go myli.

Pusto.

Starodawne pergaminy oraz kartki z ich tłumaczeniami zniknęły. Jakim cudem? Na pewno nie zrobił tego wiceprezydent. Hermann osobiście odprowadził wzrokiem odjeżdżającą kawalkadę samochodów. Nikt inny nie znał tej kryjówki.

Było tylko jedno wyjaśnienie.

Thorvaldsen.

Uniesiony gniewem podbiegł do biurka. Podniósł słuchawkę i zadzwonił do szefa ochrony. Następnie otworzył szufladę i wyjął pistolet.

Do diabła z Margarete!

SZEŚĆDZIESIĄT DZIEWIĘĆ

PÓŁWYSEP SYNAJ

Malone wciąż jeszcze czuł drżenie w nogach oraz dotkliwy ból w kroczu. Od chwili wyrównania rachunków Pam nie odzywała się niemal wcale, a McCollum roztropnie trzymał się z dala od zarzewia konfliktu. Malone nie powinien jednak narzekać. Sam się prosił o to, co go spotkało.

Rozglądał się na wszystkie strony wymarłego pustkowia. Słońce wznosiło się szybko, powietrze zrobiło się gorące jak w piecu. Wyciągnął z plecaka urządzenie GPS i oszacował, że punkt o precyzyjnych koordynatach – 28º41’41’’ N i 33º38’44’’ E – znajdował się półtora kilometra drogi od nich.

– Okay, McCollum. Co teraz?

Zapytany wyciągnął z kieszeni fiszkę i zaczął czytać na głos.

– *Później, niczym pasterze malarza Poussina, zdziwiony zagadką, zostaniesz zalany światłem inspiracji. Zbierz ponownie czternaście kamieni, następnie posłuż się kwadratem i kompasem, żeby znaleźć ścieżkę. W południe wyczuj obecność czerwonego światła, dostrzeż niekończącą się spiralę czerwonego węża z gniewem. Lecz wczytaj się w sens liter. Niebezpieczeństwo grozi temu, kto przybędzie w wielkim pośpiechu. Jeśli podążysz właściwym szlakiem, nie zwątpisz w prawdziwą drogę.* To już wszystko, co zawierają „peregrynacje” – podsumował McCollum.

Malone raz jeszcze odtwarzał w myślach usłyszane słowa.

Pam usiadła i napiła się wody.

– Na tej altanie w Anglii znajdował się relief przedstawiający obraz Poussina. Co na nim było? Jakiś grobowiec z napisem. Najwidoczniej więc Thomas Bainbridge również pozostawił jakieś wskazówki.

Właśnie zaczął myśleć dokładnie o tym samym.

– Widzi pan ten budynek, o tam? – Malone skierował pytanie do McColluma. – Na zachód, w odległości czterystu metrów. Tam właśnie wskazują współrzędne.

– Wydaje się, że szlak jest oczywisty.

Założył plecak. Pam wstała.

– Czy zgodzisz się z tą argumentacją?

Wzruszyła ramionami.

– Wypchnij mnie jeszcze raz z samolotu, a zobaczysz, co się stanie.

– Wy dwoje zawsze się tak zachowujecie? – chciał zaspokoić ciekawość McCollum.

Malone ruszył w drogę.

– Tylko wtedy, kiedy jesteśmy razem.

Malone podszedł do budynku, który widział z powietrza. Nie było w nim nic szczególnego. Niska przysadzista budowla z podniszczonym już dachem, której fundamenty kruszyły się, jak gdyby pochłaniała je ziemia. Zewnętrzne ściany miały równą szerokość i wysokość, ich ciągłość była przerywana tylko dwoma oknami bez żadnych zdobień, zaczynającymi się na wysokości blisko trzech metrów. Frontowe drzwi, wykonane z butwiejącego już grubego drewna cedrowego, wisiały krzywo na żelaznych zawiasach pociągniętych czarną farbą.

Otworzył drzwi kopnięciem.

Powitała ich jedynie jaszczurka, która rzuciła się do ucieczki w poprzek brudnej posadzki.

– Cotton.

Obrócił się. Pam wskazywała inny obiekt wystający z podłoża. Podszedł do niego, a każdy jego krok pozostawiał ślad stopy na pokrytym pyłem piasku.

– Wygląda jak grobowiec na tej płaskorzeźbie w Bainbridge Hall – zauważyła.

Trafne spostrzeżenie. Przyglądał się budowli z czterech graniastych bloków, zwieńczonej półkolistym kamieniem. Szukał płaskorzeźb na bocznych ścianach obelisku, szczególnie zaś inskrypcji *et in arcadia ego*. Nic takiego nie znalazł. Co zresztą nie było zaskakujące, ponieważ pustynia już dawno temu mogła zamazać pozostałości reliefu.

– Jesteśmy w punkcie o właściwych współrzędnych, a ten obiekt przypomina wyglądem grobowiec z altanki.

Przywołał w pamięci słowa z „peregrynacji”. *Później, niczym pasterze malarza Poussina, zdziwiony zagadką, zostaniesz zalany światłem*

inspiracji.

Oparł się o zwietrzałe kamienne bloki.

– Co teraz, Malone? – zapytał McCollum.

Po ich północnej stronie wyrastały pagórki, przechodząc dalej w jałowe górskie masywy, gdzie czarne granie były rozdarte głębokimi szczelinami. Z nieba lał się coraz gorętszy żar, w miarę jak słońce wspinało się wyżej po nieboskłonie.

Malone w myślach analizował dalsze słowa „peregrynacji”.

Zbierz ponownie czternaście kamieni, następnie posłuż się kwadratem i kompasem, żeby znaleźć ścieżkę. W południe wyczuj obecność czerwonego światła, dostrzeż niekończącą się spiralę czerwonego węża z gniewem.

W Belém wszystko wydawało się niemal oczywiste – kombinacja historii i nowoczesnej technologii, co wydawało się znakiem firmowym gwardianów. W końcu ostatecznym zadaniem było dotarcie do celu tych, którzy otrzymali zaproszenie. Ta część łamigłówki okazała się jednak prawdziwym wyzwaniem.

Choć nie niemożliwym do rozwiązania.

Spoglądał badawczo na rozpadający się budynek i prowizoryczny grobowiec.

Potem dostrzegł je i policzył.

Czternaście.

Sabre zastanawiał się, czy nie powinien po prostu zabić ich oboje teraz. Czy znalazł się już dostatecznie blisko, żeby resztę łamigłówki rozwiązać własnymi siłami? Malone doprowadził go bardzo daleko, tak jak na to liczył. Sięgając po potencjał, jakim dysponował, poprowadził całą trójkę z Anglii, przez Portugalię, aż do tego miejsca.

Nakazał sobie jednak zachować cierpliwość.

Sam nigdy nie zdołałby rozwiązać zagadek składających się na „peregrynacje”, nie mówiąc już o tak błyskawicznym tempie. W tej chwili Niebieskie Krzesło z pewnością przystąpił już do poszukiwania go. Trwały

obrady Walnego Zgromadzenia, miał zatem nadzieję, że do jutra będą mieli czym się zająć. Z drugiej strony wiedział też, jak bardzo Hermann pragnął się dowiedzieć, czy ślad, którym on sam podążał, był obiecujący. Wiedział też, co starzec planował poza tym i jak ogromne znaczenie miał mieć jego osobisty udział w wydarzeniach przyszłego tygodnia. Trzech posłańców uczestniczyło w negocjacjach z bin Ladenem. On zaś miał złożyć wizyty wszystkim trzem, zabijając dwóch i pozostawiając przy życiu tylko jednego.

Ta osoba oraz biblioteka miały stać się jego kartą przetargową.

Wymagało to jednak założenia, że rzeczywiście uda się ją tu odnaleźć.

Jeśli tak się nie stanie, zabije Malone'a i jego byłą żonę, a potem pozostanie mu nadzieja, że zdoła jakoś wyłgać się z tarapatów.

Malone wpatrywał się w jedną ze ścian rozpadającego się budynku. Na wysokości około trzech metrów wyłaniał się jeden z nagich otworów. Przeszedł na drugą stronę budowli i przyjrzał się badawczo drugiemu portalowi, usytuowanemu na podobnej wysokości.

Wrócił do miejsca, gdzie stali McCollum i Pam.

– Wydaje mi się, że znalazłem rozwiązanie. Budynek jest wzniesiony na rzucie kwadratu, a oba te otwory też są kwadratowe.

– Posłuż się kwadratem i kompasem – przypomniała Pam.

Wykonał ruch ręką.

– Te dwa kwadraty stanowią klucz.

– Co ma pan na myśli? – zaciekawił się McCollum. – Wejście tam, na górę, nie będzie łatwe.

– Niekoniecznie. Niech się pan rozejrzy. – Na piasku leżały bezładnie głazy i skalne bloki. – Zauważył pan coś charakterystycznego w tych skalnych blokach?

Pam podeszła do jednego z odłamków i przykucnęła. Malone przyglądał się, jak przejechała dłonią po jednej z krawędzi.

– Kwadrat. Wszystkie ściany mają równą długość, około trzydziestu centymetrów.

– Powiedziałbym, że masz rację. Przypomnij sobie wskazówkę. *Zbierz ponownie czternaście kamieni, następnie posłuż się kwadratem i kompasem, żeby znaleźć ścieżkę*. Tu w pobliżu jest rozrzuconych czternaście takich kamieni.

Pam wstała.

– Jest oczywiste, że „peregrynacje” zawierają również elementy z zakresu fizyki. Nie każdy jest w stanie zebrać ponownie te kamienne bloki. Jak zakładam, dają one możliwość zajrzenia w okienne otwory?

Malone zrzucił plecak na ziemię.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać – oznajmił McCollum, który poszedł w jego ślady.

Dwadzieścia minut zajęło im zebranie czternastu kamiennych bloków i utworzenie z nich piramidy o ściętym wierzchołku. Dolną warstwę tworzyło sześć bloków, następną pięć, szczytową zaś trzy. W razie potrzeby jeden z trzech można było ustawić na pozostałych dwóch, zwiększając tym samym wysokość, lecz Malone uznał, że wysokość konstrukcji była co najmniej dostateczna.

Wszedł na górę i balansował ciałem.

Spoglądał teraz przez kwadratowy otwór w spękanej ścianie. Przez taki sam otwór w przeciwległej ścianie, oddalonej o sześć metrów, zobaczył górski masyw oddalony o siedemset metrów. *W południe wyczuj obecność czerwonego światła, dostrzeż niekończącą się spiralę czerwonego węża z gniewem*.

Budynek ze zniszczonym dachem był ustawiony wzdłuż osi wschód--zachód.

Nie była to więc budowla mieszkalna. Podobnie jak rozeta w kościele w Belém, również zorientowanym w kierunku wschód-zachód, był to kompas.

Posłuż się kwadratem i kompasem, żeby znaleźć ścieżkę.

Spojrzał na zegarek.

Za godzinę odnajdzie drogę.

SIEDEMDZIESIĄT

MARYLAND
GODZINA 7.30

Stephanie jechała samochodem kombi, który oddał do ich dyspozycji prezydent Daniels. Wręczył im również dwa pistolety, jakimi posługiwali się funkcjonariusze Secret Service, oraz zapasowe magazynki. Nie bardzo wiedziała, w co się właściwie pakują, ale jemu najwyraźniej zależało, żeby były gotowe na wszystko.

– Zdajesz sobie sprawę, że ten samochód jest prawdopodobnie monitorowany elektronicznie – ostrzegła ją Cassiopeia.

– Módlmy się, żeby tak właśnie było.

– Jesteś również świadoma, że cała ta sprawa to istne wariactwo? Nie mamy pojęcia, komu zaufać, wliczając w to samego prezydenta Stanów Zjednoczonych.

– Bez wątpienia. Jesteśmy pionkami na szachownicy, ale odpowiednio ustawiony pionek może zbić króla.

– Stephanie, stanowimy przynętę.

Była tego samego zdania, ale wstrzymała się od komentarza.

Jechały przez niewielkie miasteczko oddalone mniej więcej o sześćdziesiąt kilometrów na północ od Waszyngtonu, jedno z niezliczonych osiedli-sypialni otaczających stolicę. Jadąc zgodnie z otrzymanymi wskazówkami, dostrzegła nazwę restauracji z przeszkloną ścianą od frontu, ulokowaną pod baldachimem drzew obficie pokrytych liśćmi.

CIOTKA B’S.

Jedno z ulubionych miejsc Larry’ego Daleya.

Zaparkowała, po czym weszły do środka, a przywitała je ostra mieszanina woni jabłek i bekonu oraz smażonych ziemniaków. Parujący bufet był oblegany przez wygłodniałych porannych klientów. Przeszły obok kasy i dostrzegły siedzącego samotnie Daleya.

– Zamówcie sobie coś do jedzenia – zaproponował. – Ja stawiam.

Przed nim stał talerz z kopiastym daniem, składającym się z jajecznicy, kaszy i steku.

Zgodnie z ustaleniami, Cassiopeia zajęła stolik w miejscu, z którego mogła obserwować salę restauracyjną, a Stephanie usiadła z Daleyem.

– Nie, dziękuję – odparła.

W pobliżu bufetu dostrzegła kolorowy szyld, na którym widniały trzy różowe prosiaki sporych rozmiarów, a wokół niech wił się slogan: NABIERAJ SADŁA U CIOTKI B'S. Wskazała na szyld.

– To dlatego stołujesz się tutaj? Żeby nabrać sadła?

– Lubię to miejsce. Przypomina mi kuchnię mojej matki. Wiem, że trudno ci w to uwierzyć, ale mam w sobie ludzkie cechy.

– Dlaczego nie kierujesz biurem Magellan Billet? Jesteś teraz jego szefem.

– Panuję nad sytuacją. Mamy jednak poważniejszy problem.

– Na przykład ocalenie twojego tyłka.

Odkroił kawałek mięsa.

– To jedzenie jest świetne. Powinnaś coś zjeść. Przydałaby ci się odrobina sadełka, Stephanie.

– To miłe z twojej strony, że zwróciłeś uwagę na moją szczupłą figurę. Gdzie się podziewa twoja przyjaciółka?

– Nie mam pojęcia. Zakładam, że sypia ze mną po to, żeby się przekonać, ile zdoła ze mnie wyciągnąć. Nie dowiedziała się jednak niczego. Ja robię zresztą to samo. I znów, wbrew temu co myślisz, nie jestem kompletnym idiotą.

Zgodnie z sugestią Danielsa, zadzwoniła do Daleya dwie godziny wcześniej i poprosiła o spotkanie. Zgodził się z ochotą. To z kolei kazało jej się zastanowić, dlaczego Daniels przerwał jej rozmowę z Daleyem w muzeum, skoro rzeczywiście chciał, żeby z nim porozmawiała. Skończyło się jednak na tym, że dodała to pytanie do ciągle powiększającej się listy rzeczy do wyjaśnienia.

– Nie skończyliśmy naszej rozmowy.

– Czas stanąć twardo na ziemi, Stephanie. Te haki, które masz na mnie? Zatrzymaj je. Wykorzystaj je. Nie obchodzi mnie to. Jeśli ja zostanę pogrążony, ten sam los spotka prezydenta. Prawdę mówiąc, chciałem, żebyś znalazła te materiały.

Nie bardzo wierzyła w to, co słyszy.

– Wiedziałem wszystko o prowadzonym przez ciebie dochodzeniu. Ta dziwka, którą na mnie nasłałaś. Nie jestem wcale taki podatny na kobiece uroki. Sądzisz, że po raz pierwszy jakaś kobieta usiłowała poznać moje sekrety? Wiedziałem, że ryjesz pode mną. Ułatwiłem ci zatem znalezienie tego, co chciałaś zdobyć. Chociaż zajęło ci to sporo czasu.

– Niezła próba, Larry. Ale ten pies nie poluje tutaj.

Zajął się zjadaniem jaj zmieszanych z kaszą.

– Wiem, że nie dasz wiary niczemu, co powiem. Czy jednak choć na chwilę możesz zapomnieć o swojej antypatii do mnie i po prostu mnie wysłuchać?

W końcu po to tutaj przyszła.

– Trochę powęszyłem. Gdzie człowiek spojrzy, tam jakieś gówno. Dzieją się podejrzane rzeczy. Nie znajduję się w kręgu wtajemniczonych, ale jestem dostatecznie blisko, żeby przemówiła intuicja. Kiedy zorientowałem się, że kazałaś mnie śledzić, domyślałem się, że w pewnym momencie wysuniesz wobec mnie zarzuty – a kiedy to zrobisz, będziemy mogli zawrzeć układ.

– Dlaczego nie poprosiłeś mnie o pomoc?

– Bądź realistką. Nie możesz znaleźć się w tym samym pokoju co ja. Zamierzasz mi pomóc? Doszedłem do wniosku, że kiedy już zajrzysz przez okno i zobaczysz, co się dzieje, staniesz się zdecydowanie bardziej podatna. Tak jak teraz.

– Wciąż przekupujesz ludzi w Kongresie?

– Tak. Ja oraz dobry tysiąc innych lobbystów. Do diabła, to powinna być dyscyplina olimpijska.

Spojrzała na Cassiopeię i nie dostrzegła nic niepokojącego. Rodziny oraz starsze pary siedziały przy wielu innych stolikach.

– Zapomnij o tym. To najmniejsze z naszych zmartwień – zasugerował Daley.

– Nie wiedziałam, że mamy jakieś zmartwienia.

– Dzieje się znacznie więcej – pociągnął kilka łyków soku pomarańczowego. – Cholera. Oni faszerują to coś cukrem. Ale to całkiem dobre.

– Skoro codziennie odżywiasz się tak obficie, jakim cudem zachowujesz tak szczupłą sylwetkę?

– Stres. Najlepsza na świecie dieta. – Odstawił szklankę na stół. – Szykuje się spisek, Stephanie.

– Którego celem jest...?

– Zmiana na fotelu prezydenta.

Wreszcie coś nowego.

– To jedyna rzecz, jaka ma sens. – Odsunął talerz na bok. – Wiceprezydent jest w Europie, gdzie uczestniczy w gospodarczym szczycie. Poinformowano mnie jednak, że wczoraj wieczorem opuścił hotel i pojechał na spotkanie z człowiekiem, który nazywa się Alfred Hermann. Miała to podobno być wizyta kurtuazyjna, ale wiceprezydent nie jest człowiekiem słynącym z nadmiernej kurtuazji. Zrobił to w określonym celu. Już wcześniej spotykał się z Hermannem. Sprawdziłem to.

– Przekonałeś się więc, że Hermann kieruje organizacją o nazwie Zakon Złotego Runa.

Na twarzy Daleya pojawił się wyraz zaskoczenia.

– Wiedziałem, że będzie z ciebie pożytek. Zatem już o tym wiesz.

– Zastanawiam się po prostu, z jakiego powodu ma to być ważne.

– Ta struktura dysponuje politycznymi wpływami i ma wpływy na całym świecie. Hermann i wiceprezydent przyjaźnią się od jakiegoś czasu. Słyszałem, jak rozmawiano o nim oraz o zakonie, ale wiceprezydent zatrzymuje własne przemyślenia wyłącznie dla siebie. Wiem tylko, że pragnie zostać prezydentem. Niby przygotowuje się do wyborów, ale moim zdaniem szuka drogi na skróty.

Daniels nawet nie zająknął się na ten temat.

– Wciąż masz te pamięci przenośne, które zabrałaś z mojego domu?

Przytaknęła.

– Na jednej z nich są cyfrowe nagrania rozmów telefonicznych. Tylko kilku, ale cholernie interesujących. Rozmówcą jest szef gabinetu wiceprezydenta, prawdziwy dupek, jeśli tacy chodzą po ziemi. To on przekazał informacje o aleksandryjskim ogniwie bezpośrednio Alfredowi Hermannowi.

– W jaki sposób ty zdołałeś się o tym dowiedzieć?

– Byłem tam.

Kamienny wyraz jej twarz nie uległ najmniejszej zmianie.

– Byłem tam razem z nim. Zarejestrowałem więc całe spotkanie. Spotkaliśmy się z Hermannem w Nowym Jorku kilka miesięcy temu. Dał

mu wszystko. Wtedy też ściągnąłem Dixon.

To również było coś nowego.

– Tak, poszedłem do niej i powiedziałem, co się stało z ogniwem. Opowiedziałem jej również o spotkaniu z Hermannem.

– To chyba nie było zbyt roztropne.

– Wtedy jednak takie mi się wydawało. Izraelczycy byli jedynym sojusznikiem, jakiego mogłem pozyskać. Doszli do przekonania, że cała ta sprawa z Hermannem stanowiła zręczny manewr, który miał sprawić, że znajdą się w tarapatach. Zyskałem jednak tylko tyle, że Dixon stała się moją niańką. – Upił jeszcze odrobinę soku. – Co właściwie nie było takie złe.

– Teraz zbiera mi się na mdłości.

Daley pokręcił z dezaprobatą głową.

– Mniej więcej miesiąc później szef gabinetu wiceprezydenta i ja spotkaliśmy się w cztery oczy. Prawdziwy z niego dupek, ale przy okazji lubi się przechwalać. To zresztą bywa przyczyną kłopotów, w jakie tego typu faceci zwykle wpadają. Wypiliśmy kilka drinków i wymieniliśmy kilka uwag. Wtedy zacząłem już żywić podejrzenia, zabrałem więc z sobą kieszonkowy dyktafon. Tamtego wieczoru zdobyłem niezły materiał.

Cassiopeia wstała od stołu i podeszła do przeszklonej ściany, aby przyjrzeć się sytuacji na ocienionym parkingu.

– Mówił o Dwudziestej Piątej Poprawce. O tym, jak intensywnie ją zgłębiał i poznawał szczegóły. Zapytał mnie, co wiem na ten temat, choć nie było tego wiele. Udawałem pijanego i niezainteresowanego sprawą, chociaż było przecież inaczej.

Wiedziała, że Dwudziesta Piąta Poprawka głosi: *W razie odejścia prezydenta z pełnionego urzędu z powodu śmierci lub rezygnacji, urząd prezydenta przejmuje wiceprezydent.*

SIEDEMDZIESIĄT JEDEN

PÓŁWYSEP SYNAJ

Malone spojrzał na zegarek – była godzina jedenasta pięćdziesiąt osiem. Już wcześniej patrzył przez oba otwory okienne, ale niczego nie dostrzegł. Pam i McCollum stali poniżej, gdy balansował ciałem na szczycie piramidy ustawionej z czternastu kamiennych bloków.

Nadeszło południe i z oddali rozległ się dźwięk dzwonów karylionowych.

– To niesamowite – skomentowała Pam. – Zupełnie jakby ze środka nicości.

Zgodził się z nią.

– Brzmi osobliwie.

„Zupełnie jak z nieba” – pomyślał.

Słońce świeciło ostro nad ich głowami. Jego ciało i mundur polowy były już mokre od potu. Raz jeszcze wyjrzał na zewnątrz.

Szczyt po szczycie górska grań stawała się coraz lepiej widoczna. Ciemne plamy, które mogły być jaskiniami pustelników, widniały niczym czarne oczy. Później dostrzegł coś jeszcze. Kamienna ścieżka na zboczu jednego z masywów. Czyżby szlak wielbłądów? Jeszcze w Lizbonie, zanim odlecieli, sprawdził, że w tych górach kryło się wiele urodzajnych kotlin, nazywanych przez miejscowych koczowników *farsh*. Zazwyczaj znajdowało się w nich źródło wody przyciągające nielicznych mieszkańców krainy. Na południu wznosił się klasztor św. Katarzyny, blisko Góry Mojżesza, gdzie również znajdował się taki *farsh*. Przyjął założenie, że w tym rejonie podobnych kotlin było więcej.

Patrzył, jak znikają cienie, a barwa granitowej ściany tworzącej górskie masywy przeistaczała się z grafitowej w ciemnoczerwoną. Kręta ścieżka wiła się zboczem góry, teraz przybrawszy barwę kasztanową. Kształtem przypominała węża. Okienne otwory stanowiły ramy obrazu dla tego widoku.

Dostrzeż niekończącą się spiralę czerwonego węża z gniewem.

– Znalazłeś coś? – zapytała Pam.

– Wszystko.

Stephanie piorunowała wzrokiem Larry’ego Daleya.

– Chcesz mi powiedzieć, że wiceprezydent planuje mord na prezydencie?

– Właśnie to moim zdaniem się szykuje.

– Jakim cudem jesteś jedyną osobą na tej planecie, która to zauważyła?

– Nie wiem, Stephanie. Może po prostu jestem bystrym gościem. Jestem pewien, że coś się szykuje.

Musiała wiedzieć więcej. Po to właśnie wysłał ją Daniels.

– Larry, próbujesz po prostu ocalić własny tyłek.

– Stephanie, zachowujesz się jak facet, który szuka zgubionej ćwierćdolarówki w świetle ulicznej latarni. Inny gość podchodzi do niego i pyta, co ten robi. Pierwszy z nich odpowiada: „Szukam zgubionej ćwierćdolarówki”. Przechodzień znów pyta: „Gdzie ją pan zgubił?” Gość wskazuje odległe miejsce i dodaje: „Po tamtej stronie”. Przechodzień zdumiony pyta raz jeszcze: „Dlaczego więc szuka jej pan tutaj?”. Facet pod latarnią odpowiada: „Ponieważ tutaj jest jaśniej”. To właśnie ty, Stephanie. Przestań szukać tam, gdzie świeci światło, a spójrz tam, gdzie powinnaś.

– W takim razie daj mi jakiś konkret.

– Chciałbym bardzo. Mam jednak tylko drobne elementy, które łączą się z sobą. Spotkania, które wiceprezydent opuścił i z których nie powinien rezygnować jako kandydat. Rozdrażnianie ludzi, których będzie później potrzebował. Nieliczenie się ze zdaniem partii. Nic specjalnie wyraźnego. Drobne fragmenty, jakie polityczny ćpun mojego pokroju po prostu zauważa. Niewielu jest wtajemniczonych w te sprawy. Ci ludzie utrzymują rzecz w tajemnicy.

– Czy jednym z tych ludzi jest Brent Green?

– Nie mam pojęcia. Brent jest dziwny. Trzyma się z dala od wszystkich. Usiłowałem przycisnąć go wczoraj. Groziłem mu, ale jemu nerwy nie puściły. Chciałem zobaczyć, jak zareaguje. Potem, kiedy ty pojawiłaś się w moim domu i znalazłaś tę książkę, wiedziałem, że musisz zostać moim sojusznikiem.

– Być może źle wybrałeś, Larry. Nie daję wiary ani jednemu słowu, które tu powiedziałeś. Zabójstwo prezydenta nie jest rzeczą łatwą.

– Tego akurat nie wiem. Każdy zamachowiec, który planował atak na prezydenta, czy to rzeczywisty, czy potencjalny, był pomyleńcem, szaleńcem albo farciarzem. Wyobraź sobie, co mogą zrobić zawodowcy.

Trudno było nie przyznać mu racji.

– Gdzie są te pamięci przenośne? – zapytał.

– Ja je mam.

– Mam nadzieję, ponieważ jeśli ktokolwiek się o nich dowie, będziemy mieli kłopoty. Oni się dowiedzą, że mam ich nagranych. Nie będę w stanie wytłumaczyć, dlaczego nagrywałem rozmowy z szefem gabinetu wiceprezydenta. Potrzebuję tych nagrań z powrotem, Stephanie.

– Nic z tego. Mam jednak sugestię, Larry. Dlaczego się nie nawrócisz, nie przyznasz się do przekupywania kongresmanów i nie poprosisz o federalną ochronę? Wtedy będziesz mógł opowiedzieć swoje brednie każdemu, kto zechce cię wysłuchać.

Wyprostował się na swoim krześle.

– Wiesz co, sądziłem, że ty i ja możemy porozmawiać jak cywilizowani ludzie. Jednak nie. Ty chcesz być bardziej cwana niż ustawa przewiduje. Zrobiłem, co musiałem zrobić, Stephanie, ponieważ tego właśnie chciał prezydent.

To ją zainteresowało.

– Czy on wiedział, co robisz w Kongresie?

– Jak inaczej, twoim zdaniem, wartość moich akcji tak szybko wzrosłaby w Białym Domu? Chciał, żeby ustawy przechodziły, ja zaś zapewniałem, że tak się działo. Ten prezydent odnosi sukcesy w Kongresie, co również wyjaśnia, dlaczego z taką łatwością wygrał drugą kadencję.

– Masz dowód jego współudziału?

– Czy nagrywałem na przykład Danielsa? Nie. Pomyśl tylko o realiach, Stephanie. Ktoś musi sprawiać, że wszystko to się kręci. Tak po prostu

działa ten świat. Jestem człowiekiem Danielsa. Ja wiem o tym i on o tym wie.

Spojrzała na Cassiopeię i przypomniała sobie to, co wcześniej od niej usłyszała. Naprawdę już nie wiedziały, komu zaufać, wliczając w to także prezydenta.

Daley wstał od stołu i rzucił kilka dolarów napiwku.

– Kilka dni temu ty i Green uważaliście, że chodzi tutaj o spuściznę po Danielsie. Powiedziałem wam to, co chcieliście usłyszeć, żeby was uśpić. – Daley pokręcił głową z dezaprobatą. – Tu chodzi o życie Danielsa. Rozmowa z tobą to strata czasu. Załatwię to więc w inny sposób.

Malone szedł pierwszy w górę surowego górskiego masywu. Nad ich głowami na niebie krążyły orły i myszołowy. Złociste promienie słońca drążyły mózg i prażyły ociekające potem ciało. Na ścieżce znajdowała się cienka warstwa żwiru, a spalona słońcem górna warstwa gleby stanowiła mieszaninę piasku i iłu.

Szedł serpentyną ku wierzchołkowi, gdzie trzy potężne głazy, które osunęły się dawno temu, stworzyły tunel tuż przed grzbietem wzniesienia. Drobny kurz, którego szelest przypominał chlupot wody, osuwał się z kamieni. Mimo słońca wewnątrz korytarza było chłodno. Z prawdziwą satysfakcją przywitał odrobinę cienia. Druga strona szczytu pojawiła się w odległości dziesięciu metrów.

Nagle dostrzegł przed sobą błysk czerwieni.

– Widziałaś to? – zapytał.

– Tak – odparła Pam.

Zatrzymali się i obserwowali, czekając, aż zjawisko się powtórzy.

Wtedy zrozumiał, co się dzieje. Południowe słońce znalazło drogę między trzema głazami i odbijało się od czerwonego granitu, nadając wnętrzu tunelu szkarłatną barwę.

– Interesujące zjawisko.

Dostrzeż niekończącą się spiralę czerwonego węża z gniewem.

– Najwyraźniej jest tutaj dużo rozzłoszczonych czerwonych węży – skomentował.

W połowie tunelu dostrzegł słowa wyryte w granicie.

Zatrzymał się i przeczytał łacińską inskrypcję, tłumacząc ją na głos:

– *Nie zbliżaj się tu! Zdejmij sandały z nóg, gdyż miejsce, na którym stoisz, jest ziemią świętą.* – Znał ten wers. – To z Księgi Wyjścia. Słowa Boga ukrytego w Krzewie Gorejącym powiedziane do Mojżesza.

– Czy to tutaj właśnie się wydarzyło? – chciała wiedzieć Pam.

– Tego nie wie nikt. Wzniesienie położone mniej więcej pięćdziesiąt kilometrów na południe stąd, zwane Górą Mojżesza, jest uznawane za święte miejsce przez wszystkie trzy religie monoteistyczne. Ale któż to wie?

Gdy tunel nagle się urwał, nieoczekiwanie otoczył go ciepły blask. On zaś spoglądał na falisty *farsh*, w którym rosły pojedyncze cyprysy. Delikatne białe obłoki bawiły się w berka na niemal bezchmurnym niebie niczym rośliny oderwane od podłoża i niesione przez wiatr. Zmrużył oczy z powodu oślepiającego blasku.

Ze zbocza odległej góry, wtulone w szczelinę ogromnego klifu, wyrastały ściany i budynki opierające się o skałę, jakby były fragmentem góry. Ich barwy – żółta, brązowa i biała – zlewały się z tłem jak kamuflaż. Wieżyczki wydawały się unosić nad ziemią. Wąskie stożki cyprysów kontrastowały ze spalonymi od słońca pomarańczowymi dachami. Wielkość i kształty zdawały się przeczyć logice. Cały kompleks kojarzył się Malone’owi z anachronicznym urokiem górskiej wioski rybackiej we Włoszech.

– Klasztor? – zapytała go Pam.

– Z mapy wynika, że w tym regionie są trzy. Żaden z nich nie jest specjalnie ukryty.

Zbudowana z kamiennych stopni ścieżka prowadziła w dół. Stopnie opadały stromo, po trzy zgrupowane głazy oddzielane płaszczyznami gładkiej skały. Na dole kolejna ścieżka biegła w poprzek kotliny, mijając niewielki stawek wśród cyprysów.

– To jest to miejsce.

Stephanie patrzyła, jak Daley wychodzi z restauracji. Cassiopeia podeszła do niej i usiadła przy stoliku.

– Dowiedziałaś się czegoś interesującego? – zapytała.

– On twierdzi, że Daniels wie o wszystkim, czym on się zajmuje.

– Co jeszcze powiedział?

– Daley w ogóle nie wspominał, że spędziłyśmy ostatnią noc w Camp David.

– Nikt nas nie widział poza agentami ochrony i Danielsem.

To była prawda. Przespały się w weekendowej siedzibie prezydenta, a dwaj agenci pełnili straż na zewnątrz. Kiedy się obudziły, jedzenie czekało już w kuchence mikrofalowej. Później wpadł do nich sam Daniels i poinformował, że zaaranżował spotkanie z Daleyem. Daley zatem albo nie wiedział, albo nie chciał powiedzieć.

– Dlaczego prezydent chciał, żebyśmy się z nim spotkały, wiedząc, że Daley może zaprzeczyć temu, co on nam powiedział? – zapytała bardziej samą siebie niż Cassiopeię.

– Dodaj to pytanie do naszej listy.

Patrzyła przez szybę restauracji, jak Daley szedł noga za nogą przez posypany żwirem parking w kierunku swojego land-rovera. Nigdy nie lubiła tego człowieka. Kiedy w końcu się potwierdziło, że jest unurzany w błocie, sprawiło jej to wielką radość. Teraz jednak nie była pewna.

Daley doszedł do samochodu po przeciwnej stronie parkingu i wsiadł do środka. One też musiały już odjeżdżać. Czas odszukać Brenta Greena i przekonać się, czego on się dowiedział. Daniels nie wspomniał o rozmowie z Greenem, ale jej zdaniem, było to najlepsze posunięcie.

Zwłaszcza teraz.

Wybuch wstrząsnął całym budynkiem.

Gdy ustąpił pierwszy szok, uświadomiła sobie, że restauracja jest cała. Głośne dyskusje oraz nieliczne krzyki powoli ucichły, kiedy pozostali również zaczęli sobie zdawać sprawę, że budynek wciąż stoi nietknięty.

Wszystko było w porządku.

Lecz nie na zewnątrz.

Spojrzała przez szybę i zobaczyła, że wóz Larry’ego Daleya pochłaniały języki ognia.

SIEDEMDZIESIĄT DWA

PÓŁWYSEP SYNAJ

Malone podszedł do drewnianej bramy z metalowymi okuciami. Spalone słońcem ściany z czerwonego granitu, wsparte na ogromnych przyporach, opadały tarasami, na których straż pełniły cyprysy, drzewa pomarańczowe i cytrynowe oraz oliwne. Przy samej ziemi rosły krzewy winorośli. Ciepły wiatr omiatał piasek.

Ani śladu żywej duszy.

Ponad bramą Malone dostrzegł kolejną inskrypcję po łacinie, tym razem z Psalmu 118, i przeczytał na głos jej treść:

OTO JEST BRAMA PANA
PRZEZ NIĄ WEJDĄ SPRAWIEDLIWI

– Co teraz robimy? – zapytała Pam. Zauważył, że nieprzyjazny teren miał wyraźny związek z jej szybko pogarszającym się usposobieniem.

– Zakładam, że to, do czego służy ta lina – odparł, wskazując przed siebie ręką.

Wysoko nad bramą, wewnątrz otwartej wieżyczki, wisiał żeliwny dzwon. Malone podszedł i pociągnął za linę. Dzwon zabrzmiał kilka razy. Już zamierzał zadzwonić po raz drugi, kiedy wysoko w furcie otworzyło się niewielkie okienko i pokazała się w nim brodata twarz młodego mężczyzny w słomianym kapeluszu na głowie.

– W czym mogę wam pomóc? – zapytał po angielsku.

– Przybyliśmy tu zobaczyć bibliotekę – odpowiedział McCollum.

– Tutaj jest tylko klasztor, miejsce odosobnienia. Nie ma tu żadnej biblioteki.

Malone zastanawiał się, skąd gwardianie wiedzą, że ktoś, kto pojawi się przy bramie, jest jednym z tych, którzy otrzymali zaproszenie. Mogło przecież upłynąć bardzo dużo czasu, zanim podróż dobiegnie końca, poza

tym w żadnym momencie „peregrynacji” nie pojawiał się element weryfikacji. Musiało zatem istnieć jeszcze jedno wezwanie końcowe. Takie, o którym nie było mowy w „peregrynacjach”.

– Jesteśmy zaproszonymi i ukończyliśmy „peregrynacje” – powiedział głośno. – Szukamy wejścia do biblioteki.

Okienko w drzwiach się zamknęło.

– To nie było zbyt grzeczne – skomentowała Pam.

Malone otarł pot ociekający z czoła.

– Przecież nie mają zamiaru otwierać bramy przed każdym, kto się tutaj pojawi.

Małe okienko znów się otworzyło.

– Pana nazwisko? – zapytał młody mężczyzna.

McCollum już zamierzał odpowiedzieć, ale Malone chwycił go za rękę.

– Niech mi pan pozwoli – szepnął, po czym podniósł wzrok i odparł: – George Haddad.

– Kto jest z panem?

– Towarzysze mojej podróży.

Oczy, które spoglądały zza furty, wpatrywały się w nich nieustępliwie, jakby młody człowiek usiłował rozstrzygnąć, czy przybysz przy bramie zasługiwał na zaufanie.

– Jeszcze jedno pytanie, jeżeli wolno?

– Ależ proszę bardzo.

– Pana droga tutaj. Proszę mi powiedzieć.

– Najpierw do Belém i klasztoru Hieronimitów, później na witrynę internetową betlejem-kropka-org i w końcu tutaj.

Okienko się zamknęło.

Malone usłyszał, jak po drugiej stronie bramy odsuwają się rygle, po czym drewniane drzwi uchyliły się nieco i wyszedł z nich młody mężczyzna. Miał na sobie workowate spodnie zwężone w łydkach, rdzawego koloru habit przewiązany w talii sznurem, który służył za pasek. Jego stopy chroniły sandały.

Zatrzymał się przed Malonem i ukłonił.

– Witamy, panie Haddad. Ukończył pan „peregrynacje”. Czy zechce pan złożyć wizytę w bibliotece?

– Chętnie.

– W takim razie proszę wejść i zobaczyć to, czego pan szuka.

Podążyli za nim rzędem przez bramę, która prowadziła do ciemnego korytarza o wysokich ścianach niedopuszczających słonecznego światła. Przeszli trzydzieści kroków, skręcili pod kątem prostym i znów znaleźli się w świetle dnia między ścianami. Zobaczyli przed sobą miejsce wypełnione zielenią, na którym rosły cyprysy, palmy, winorośl oraz kwiaty – spacerował tutaj nawet paw.

Usłyszeli też kojącą melodię, którą ktoś grał na flecie. Malone dostrzegł źródło muzyki: grający siedział na jednym z balkonów podpartych grubymi drewnianymi wspornikami. Budynki ustawiono blisko siebie, różniły się bardzo wielkością i układem. Dostrzegł podwórza, klatki schodowe, żelazne balustrady, sklepione arkady, spadziste dachy oraz wąskie przejścia. Miniaturowy akwedukt prowadził wodę od jednego końca zabudowań do drugiego. Wszystko wydawało się tutaj porozrzucane jakby przypadkowo. Przypominało mu to średniowieczną osadę.

Szedł za mężczyzną w słomianym kapeluszu.

Poza mnichem grającym na flecie Malone nie dostrzegł nikogo, chociaż wewnątrz klasztornych zabudowań panowała czystość i porządek. Promienie światła przebijały się przez cienkie zasłony w oknach, nie zauważył jednak żadnego ruchu za szybami. Na grządkach warzywnych ułożonych w terasy dojrzewały obficie pomidory. Coś jednak zwróciło jego uwagę: panele baterii słonecznych dyskretnie przymocowane do dachów oraz duża liczba parabolicznych anten, każda schowana między drzewami i kamiennymi markizami, które stanowiły element budynków. „Zupełnie jak w Disneylandzie – pomyślał Malone – gdzie elementy infrastruktury są ukryte przed wzrokiem zwiedzających”.

Mężczyzna w słomianym kapeluszu zatrzymał się przed drewnianymi drzwiami i ogromnym mosiężnym kluczem otworzył zamek. Weszli do refektarza, przestronnej sali jadalnianej, ozdobionej religijnymi freskami przedstawiającymi sceny z życia Mojżesza. W powietrzu unosił się zapach kiełbasy i kwaszonej kapusty. Deski na stropie były na przemian barwy żółtej i maślanej, a ich rytmiczny układ przerywał panel w kształcie rombu o barwie błękitu ozdobionego złocistymi gwiazdami.

– Pana podróż była zapewne długa – oznajmił mężczyzna. – Przygotowaliśmy jedzenie i napoje.

Na jednym ze stołów leżały tace z piaskowobrązowymi bochenkami chleba oraz misy z pomidorami, cebulą i oliwą. W innej misie ułożono stos

daktyli. W jeszcze innym naczyniu znajdowały się trzy ogromne granaty. Z czajnika obok buchała para. Malone wyczuł aromat herbaty.

– To miło z pana strony – podziękował Malone.

– Naprawdę miło – dodał McCollum. – Chcielibyśmy jednak zobaczyć bibliotekę.

Na kościstej twarzy młodego mężczyzny pojawił się wyraz rozdrażnienia, ale tylko na krótką chwilę.

– Wolelibyśmy, żebyście najpierw zjedli i odpoczęli. Poza tym być może zechcecie umyć się przed wejściem do biblioteki.

McCollum wyszedł do przodu.

– Ukończyliśmy „peregrynacje”. Chcielibyśmy zobaczyć bibliotekę.

– Tak naprawdę to pan Haddad ukończył „peregrynacje” i zyskał prawo wejścia. Zaproszenie nie dotyczyło pana ani tej kobiety. – Mężczyzna w słomianym kapeluszu spojrzał na Malone’a. – Zabierając z sobą tych dwoje, ryzykował pan unieważnienie zaproszenia.

– W takim razie dlaczego jestem tutaj?

– Ponieważ uczyniono wyjątek.

– Skąd pan wiem, kim jestem?

– Znał pan szlak „peregrynacji”.

Mężczyzna w słomianym kapeluszu nie powiedział już nic więcej i opuścił salę jadalnianą, zamykając za sobą drzwi. Stali przez chwilę w milczeniu.

– Jestem głodna – odezwała się w końcu Pam.

Cottonowi kiszki również grały marsza. Położył plecak na stole.

– W takim razie skorzystajmy z ich gościnności.

SIEDEMDZIESIĄT TRZY

MARYLAND

Stephanie i Cassiopeia wybiegły z restauracji. Nic już nie można było zrobić dla Larry’ego Daleya. Jego samochód zamienił się w zwęgloną masę wciąż trawioną przez płomienie. Wybuch ograniczył się do wnętrza auta, czyniąc niewiele szkody innym samochodom stojącym obok.

Precyzyjne uderzenie.

– Musimy stąd znikać – ponagliła Cassiopeia.

Stephanie się z nią zgodziła.

Ruszyły pospiesznie w stronę swojego samochodu i wskoczyły do środka. Stephanie zajęła miejsce za kierownicą. Włożyła kluczyk do stacyjki, ale przez moment się zawahała.

– Co o tym sądzisz? – zapytała.

– Jeśli to nie prezydent podłożył bombę w jego samochodzie, nic nam nie grozi. Nikt nie kręcił się w pobliżu, kiedy byłyśmy w restauracji.

Przekręciła kluczyk. Silnik z warkotem obudził się do życia. Opuściła parking tuż przed tym, jak zza zakrętu wyjechał policyjny radiowóz i skręcił w stronę miejsca wybuchu.

– Co on ci powiedział? – chciała wiedzieć Cassiopeia.

Stephanie krótko powtórzyła przebieg rozmowy.

– Sądziłam, że to stek bzdur. Spisek mający na celu zabicie Danielsa...

Drugim pasem minął ich rozpędzony ambulans.

– Nie muszą się śpieszyć – skomentowała. – Nawet nie wiedział, że umiera.

– Nieco dramatyczne – odrzekła Cassiopeia. – Istniało wiele cichszych sposobów na pozbycie się Daleya.

– Chyba że ktoś chciał zwrócić na to uwagę. Zastępca doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego ginie w samochodzie, w którym podłożono bombę? To będzie chyba spora sensacja.

Jechała powoli, utrzymując prędkość znacznie powyżej dopuszczalnego limitu, opuszczając miasteczko i zmierzając z powrotem ku autostradzie. Zatrzymała się na skrzyżowaniu, po czym skręciła na południe.

– Dokąd teraz? – zapytała Cassiopeia.

– Musimy znaleźć Greena.

Po przejechaniu dziesięciu kilometrów we wstecznym lusterku dostrzegła samochód, który szybko się zbliżał. Spodziewała się, że je minie, zwolniła zatem na niemal pustej dwupasmowej drodze. Szary ford coupe zbliżył się jednak do zderzaka ich kombi. Zauważyła dwie osoby na przednich siedzeniach.

– Mamy towarzystwo.

Jechały teraz z prędkością około stu kilometrów na godzinę, a droga wiła się meandrami przez zalesione tereny. W pobliżu było tylko kilka farm oraz pola i lasy.

Przez okno na siedzeniu pasażera wysunęła się uzbrojona dłoń. Rozległ się strzał, a kula z brzdękiem odbiła się od tylnej szyby, która nie pękła.

– Niech Bóg błogosławi Secret Service – skomentowała. – Kuloodporna.

– Ale opony już takie nie są.

Cassiopeia miała rację. Zwiększyły prędkość, ale ford siedział im na ogonie. Skręciła nagle w lewo i wykonała gwałtowny zakręt na przeciwległy pas, po czym zwolniła, pozwalając, by ford ją minął. Gdy to zrobiła, mężczyzna strzelił w bok samochodu kombi, kule znów odbiły się jednak rykoszetem.

– Mamy również pancerne płyty – ucieszyła się Cassiopeia.

– Chyba polubię czołgi. Jak ci się wydaje, kim oni są?

– Ten gość, który strzela, gonił nas na deptaku w parku kilka dni temu. Stwierdziłabym zatem, że znaleźli nas Saudyjczycy.

– Widocznie śledzili Daleya, kiedy się pojawiłyśmy.

– Mamy fart.

Znów skręciła na pas prowadzący na południe, teraz siedząc na ogonie forda. Cassiopeia obniżyła szybę i przestrzeliła tylną szybę przeciwników dwiema kulami. Ford starał się wykonać ten sam manewr co one, zmieniając pas ruchu, ale musiał powrócić na prawy pas, żeby uniknąć zderzenia z nadjeżdżającą ciężarówką. Cassiopeia wykorzystała ten moment i posłała jeszcze jedną kulę w stronę tylnej szyby forda.

Pasażer w tamtym wozie wymierzył pistolet do tyłu, Cassiopeia zniechęciła go jednak do strzelania, posyłając w jego kierunku jeszcze jeden pocisk.

– Chyba mamy kolejne problemy – odezwała się Stephanie. – Z tyłu za nami. Drugi wóz.

Drugi samochód siedział już na ich tylnym zderzaku. Dwóch mężczyzn w środku, podobnie jak w pierwszym. Wciąż jechała do przodu – gdyby się zatrzymała, wydałyby się na łaskę czterech uzbrojonych mężczyzn.

Cassiopeia zdawała się oceniać sytuację, w końcu podjęła decyzję:

– Zamierzam przestrzelić opony tym, którzy są przed nami. Wtedy zajmiemy się tymi, którzy jadą za nami.

Z zewnątrz dobiegł huk strzału, potem brzdęknięcie.

Stephanie poczuła, że tyłem samochodu zarzuciło w prawo i natychmiast zdała sobie sprawę z tego, co się stało. Tylna opona została przestrzelona. Nacisnęła hamulec i starała się utrzymać panowanie nad pojazdem.

Kolejny strzał i szarpnęło tyłem samochodu w lewo.

Wiedziała, że zwykłe kule nie spowodują eksplozji opon. Powoli traciły jednak powietrze i zaledwie za kilka minut będą jechały na felgach. Prowadziła wóz dalej, ale za mniej więcej kilometr będzie musiała się zatrzymać.

Cassiopeia wręczyła jej pistolet i zmieniła magazynek w swoim. Na początku mogły wykorzystać swoje kombi do obrony przed kulami napastników. Później dojdzie do strzelaniny, a ponieważ godzina była wczesna i okolica słabo zamieszkana, napastnicy mogli się cieszyć dużą swobodą.

Tył auta osiadł na drodze i usłyszała głośne metaliczne dźwięki, które oznajmiły jej, że podróż dobiegła końca. Zatrzymała samochód i chwyciła pistolet.

Ford, który jechał z przodu, zjechał na pobocze.

Samochód z tyłu uczynił to samo.

Z obu pojazdów wyskoczyli uzbrojeni mężczyźni.

Malone skończył jeść owoc granatu – jeden z jego ulubionych – następnie wypił duszkiem filiżankę gorzkiej herbaty. Pozostawiono ich na około czterdzieści pięć minut, nie mógł się jednak pozbyć wrażenia że są obserwowani. Rozglądał się badawczo po otoczeniu, starając się rozstrzygnąć, czy znajdowała się tutaj ukryta kamera. Wszystkie stoły były puste. Podobnie jak ławy pod ścianami. Wyobraził sobie ciche brzękanie talerzy, delikatne dźwięki sztućców oraz gwar rozmów w kilku językach, które zapewne towarzyszyły każdemu posiłkowi. Zamknięte drzwi w drugim końcu pomieszczenia prowadziły, jak przypuszczał, do kuchni. W korytarzu było chłodno, zapewne z powodu grubych kamiennych murów.

Drzwi wejściowe otworzyły się i wszedł mężczyzna w słomianym kapeluszu. Malone zauważył, że każdy ruch młodego mężczyzny podkreśla to, że jest służącym, a sam sprawia wrażenie, jakby przez głowę przechodziła mu tylko jedna myśl.

– Panie Haddad, czy jest pan gotów wejść do biblioteki?

Malone przytaknął.

– Żołądek mam pełny i odpocząłem.

– W takim razie możemy iść.

McCollum zerwał się z krzesła. Malone czekał, co on zamierza zrobić.

– Czy będzie pan miał coś przeciwko temu, jeśli najpierw udamy się do toalety?

Mężczyzna w słomianym kapeluszu przystanął, słysząc tą prośbę.

– Mogę pana zaprowadzić. Ale później wróci pan tutaj. Pan Haddad jest tym, który otrzymał zaproszenie.

McCollum machnął ręką, słysząc to zastrzeżenie.

– W porządku. Proszę mnie tylko zaprowadzić do toalety.

– Panie Haddad, czy pan również pragnie skorzystać z łazienki? – zapytał gospodarz.

Malone zaprzeczył ruchem głowy.

– Czy pan jest gwardianem?

– Jestem.

Spoglądał badawczo na twarz mężczyzny w słomianym kapeluszu. Jego skóra była nadzwyczaj gładka, kości policzkowe osadzone wysoko, owalne oczy nadawały twarzy orientalny wyraz.

– W jaki sposób radzicie sobie w tym miejscu, skoro jest was tylko kilku? Widzieliśmy tylko jedną osobę, wchodząc tutaj.

– Nigdy nie było z tym problemu.

– Co z intruzami? – chciał wiedzieć McCollum.

– Pan Haddad jest uczonym człowiekiem, nie mamy się czego bać.

Malone postanowił skończyć tę rozmowę.

– Niech pan zaprowadzi go do toalety. Zaczekamy tutaj.

Gwardian obrócił się w stronę Pam.

– Ja dziękuję, nie potrzebuję – odparła.

– Wrócimy za chwilę.

Stephanie szykowała się do walki. Ktoś zabił Larry’ego Daleya, a teraz chciał pozbawić je życia. Była wściekła, że wciągnęła do walki Cassiopeię, ale jej przyjaciółka znalazła się w tej sytuacji na własne życzenie. W oczach Cassiopei nie widziała też ani lęku, ani żalu, wyłącznie determinację. Czterej mężczyźni zbliżali się do ich samochodu.

– Ty zajmij się tymi z przodu – doradziła Cassiopeia. – Ja wezmę na siebie tych dwóch z tyłu.

Jej przyjaciółka skinęła głową, przytakując.

Obie szykowały się do otwarcia drzwi, żeby zacząć strzelać. Miało to więcej sensu niż czekanie i pozwolenie na to, by mężczyźni zaatakowali je według własnego planu. Być może moment zaskoczenia da im przewagę. Wykorzystają osłonę drzwi i szyby tak długo, jak się da.

Dochodzący nie wiadomo skąd dudniący odgłos przebierał na sile, a samochód zaczął drżeć.

Stephanie zobaczyła, że dwaj napastnicy z przodu rozbiegli się ze względu na rwący prąd powietrza. Po chwili dostrzegła też helikopter.

Później pojawił się jeszcze jeden samochód i gwałtownie się zatrzymał.

Usłyszała szybką wymianę ognia.

Ciała dwóch mężczyzn obracały się niczym bączki. Spojrzała we wsteczne lusterko. Samochód z tyłu usiłował odjechać. Jeden z uzbrojonych napastników leżał martwy na autostradzie. Wóz wykręcił.

Helikopter wisiał mniej więcej piętnaście metrów nad ziemią.

Boczne drzwi maszyny otworzyły się i dostrzegła człowieka z karabinem. Helikopter dogonił uciekające auto i widziała – chociaż nie słyszała – strzały. Następnie samochód skręcił gwałtownie w lewo i uderzył w drzewo.

Dwaj mężczyźni z przodu leżeli w kałuży krwi na poboczu. Otworzyła drzwi od swojego kombi.

– Czy nikomu nic się nie stało? – zapytał męski głos.

Obróciła się i dostrzegła agenta służby ochrony prezydenta, którego pamiętała z muzeum, stojącego przy drugim zaparkowanym samochodzie.

– Tak, nic nam się nie stało.

Usłyszała dzwonek swojego telefonu komórkowego, który leżał wewnątrz samochodu. Sięgnęła po aparat i nacisnęła klawisz.

– Pomyślałem, że przyda wam się małe wsparcie – powiedział Daniels.

Sabre podążał za Gwardianem na zewnątrz, później przeszli jeszcze przez labirynt pogrążonych w ciszy budynków. Słońce rzucało długie cienie nad linią dachów i w poprzek nierównej uliczki. „Wymarłe miasto – pomyślał. – Martwe, a jednak żywe”.

Został wprowadzony do innego budynku, wewnątrz którego znajdowała się łazienka. Cynowy pojemnik zawieszony pod sufitem zapewniał wodę do spłukiwania muszli klozetowej. Stwierdził, że nadeszła właściwa pora. Wyciągnął zatem pistolet, który zdobył w klasztorze, wyszedł z kabiny i przyłożył lufę do twarzy młodego mężczyzny.

– Prowadź do biblioteki.

– Nie jest pan tym, którego zaproszono.

– Co powiesz na to? Strzelę ci w głowę i sam tam trafię.
Mężczyzna wydawał się bardziej zdziwiony niż przestraszony.
– Proszę za mną.

SIEDEMDZIESIĄT CZTERY

WIEDEŃ

Hermann szybko się zorientował, że Thorvaldsen poszedł do motylarni. Jego szef ochrony – krępy mężczyzna o oliwkowej skórze i żywym charakterze – szedł za nim, kiedy ruszył w tamtym kierunku. Nie chciał ściągać na siebie uwagi, szedł zatem niespiesznie, uśmiechając się i od czasu do czasu pozdrawiając członków zakonu, którzy spacerowali po ogrodzie różanym obok rezydencji.

Spodobało mu się miejsce, do którego wybrał się Thorvaldsen. Budynek znajdował się dostatecznie daleko, żeby można było zająć się tam problemem w atmosferze prywatności. Właśnie tego potrzebował.

Przez liście i szklane ściany Thorvaldsen widział, jak jego gospodarz nadchodzi – zwrócił uwagę na zdecydowany krok i minę pełną determinacji. Dostrzegł też szefa ochrony.

– Gary, pan Hermann idzie tutaj. Chciałbym, żebyś schował się gdzieś w krzakach i pozostał ukryty między roślinami. Najprawdopodobniej będzie w złym humorze, ja zaś muszę się nim zająć. Nie chcę, żebyś się pokazywał, dopóki cię nie zawołam. Zrobisz to dla mnie?

Chłopiec przytaknął.

– Znikaj i zachowuj się cicho.

Chłopiec pobiegł ścieżką, która prowadziła serpentyną przez fragment deszczowego lasu, i zniknął w zaroślach.

Hermann zatrzymał się na zewnątrz.

– Zaczekaj tu – powiedział do szefa ochrony. – Nie chcę, żeby mi przeszkadzano. Dopilnuj tego.

Po czym otworzył drewniane drzwi i odsunął gwałtownie skórzaną kotarę. Motyle latały cichymi zygzakami w ciepłym powietrzu. Ścieżka dźwiękowa nie została jeszcze włączona. Thorvaldsen siedział na jednym z krzeseł, które on i Sabre zajmowali kilka dni temu. Natychmiast dostrzegł listy i wyciągnął pistolet z kieszeni.

– Masz coś, co należy do mnie – oznajmił oschłym tonem.

– Zgadza się. Ty zaś zapewne chcesz to odzyskać.

– To przestało być zabawne, Henriku.

– Wciąż mam twoją córkę.

– Zdecydowałem, że mogę żyć bez niej.

– Jestem pewien, że możesz. Zastanawiałem się tylko, czy ona zdaje sobie z tego sprawę.

– Ja przynajmniej mam wciąż potomka.

Ten cios ugodził go boleśnie.

– Czujesz się lepiej, kiedy to powiedziałeś?

– Zdecydowanie, zresztą jak trafnie zauważyłeś, Margarete najprawdopodobniej zrujnuje tę rodzinę, kiedy już odejdę.

– Być może odziedziczyła to po matce? O ile sobie przypominam, ona również była kobietą pełną egzaltacji.

– Na wiele sposobów. Nie chcę jednak, żeby Margarete stanęła na drodze naszego sukcesu. Jeśli zamierzasz ją skrzywdzić, zrób to. Ja zaś chcę odzyskać moją własność.

Thorvaldsen wskazał gestem listy.

– Zakładam, że je czytałeś.

– Wiele razy.

– Zawsze mówiłeś z takim przekonaniem, gdy temat dotyczył Biblii. Twój krytycyzm był stanowczy i muszę przyznać, dobrze uzasadniony. – Thorvaldsen przerwał na moment. – Myślałem o tym. Na świecie żyją dwa

miliardy chrześcijan, nieco ponad miliard muzułmanów oraz blisko piętnaście milionów żydów. Słowa napisane na tych kartach mogą zaś wzbudzić gniew w nich wszystkich.

– Na tym polega skaza religii. Brak szacunku dla prawdy. Żadna z nich nie troszczy się o to, co jest prawdziwe, ale jedynie o to, co powinno zostać przekazane jako prawda.

Thorvaldsen wzruszył ramionami.

– Chrześcijanie będą więc musieli stawić czoła temu, że ich Biblia, zarówno Nowy, jak i Stary Testament, jest sfabrykowana. Żydzi dowiedzą się, że Stary Testament jest zapisany przez przodków, którzy żyli gdzie indziej, nie w Palestynie. Muzułmanie dowiedzą się zaś, że ich święta ziemia, najważniejsze dla nich miejsce, pierwotnie była ojczyzną izraelitów.

– Nie mam na to czasu, Henriku. Oddaj mi listy, a mój szef ochrony wywiezie cię z rezydencji.

– W jaki sposób wyjaśnisz to innym?

– Wezwano cię nagle do Danii. Pilne interesy – rozejrzał się dookoła. – Gdzie jest syn Malone’a?

Thorvaldsen znów wzruszył ramionami.

– Zapewne bawi się gdzieś na terenie rezydencji. Powiedziałem mu, żeby trzymał się z dala od kłopotów.

– Sam powinieneś skorzystać z tej rady. Wiem o twoich powiązaniach z Izraelem i zakładam, że już poinformowałeś ich o naszych planach. Jestem jednak pewien, że powiedziano ci, że szukamy Biblioteki Aleksandryjskiej, i rzeczywiście tak jest. Usiłowali nas zatrzymać, ale jak dotąd bez powodzenia. Teraz jest już zbyt późno.

– Pokładasz wiele wiary w swoim człowieku. Nie jest jednak wykluczone, że on cię rozczaruje.

Hermann nie chciał, żeby jego niepewność została zauważona. Zamiast tego stwierdził stanowczo:

– Nigdy.

Malone wstał od stołu i wyjął pistolet z plecaka.

– Zastanawiałam się, jak długo zamierzasz tutaj jeszcze siedzieć – skomentowała Pam.

– Dostatecznie długo, żeby mieć pewność, że nasz przyjaciel tutaj nie wróci.

Zarzucił plecak na ramię i otworzył drzwi wejściowe. Nie usłyszał żadnego dźwięku. Żadnego stukania podeszew. Żadnego grania fletu. Klasztorny kompleks wydawał się teraz pusty i wymarły.

Rozległo się bicie dzwonów oznaczające godzinę trzecią po południu.

Szedł pierwszy, mijając budynki, z których każdy kolorem i szorstką powierzchnią przypominał uschnięte liście. Jasnoszara wieżyczka, zwieńczona rodzajem kopuły, stała samotnie. Uliczka była stara, zdradzały to jej liczne nierówności. Jedyną oznakę życia stanowiły wyprane ubrania – bielizna, skarpety, spodnie – rozwieszone na sznurkach na balkonie.

Wyglądając zza narożnika, dostrzegł McColluma i mężczyznę w słomianym kapeluszu, jak przechodzili przez niewielki placyk z fontanną mniej więcej trzydzieści metrów od niego. Klasztor najwyraźniej miał dostęp do studni i widocznie nie było żadnych problemów z wodą, podobnie z energią elektryczną, jak można było wnioskować z liczby baterii słonecznych oraz satelitarnych anten.

McCollum trzymał pistolet przystawiony do głowy gospodarza.

– Dobrze wiedzieć, że nie myliliśmy się co do naszego partnera – powiedział szeptem.

– Wygląda na to, że chce zajrzeć do biblioteki pierwszy.

– Cóż, to naprawdę niegrzeczne z jego strony. Idziemy?

Sabre trzymał pistolet wymierzony w tył głowy Gwardiana. Minęli kolejne budynki i weszli głębiej na teren klasztornych zabudowań, dochodząc niemal do miejsca, gdzie dzieło człowieka stykało się z tworami natury.

Nie cierpiał tak upiornej ciszy.

Niepozorny kościółek o ścianach barwy żółtych pierwiosnków przylegał ściśle do skalnego masywu. Wewnątrz sklepiona nawa była oświetlona światłem naturalnym. Mnóstwo w niej było ikon, tryptyków i fresków. Gęstwina srebrnych i złotych żyrandoli wisiała nad bogato ozdobioną mozaiką na podłodze. Przepych stanowił ostry kontrast z prostotą zewnętrznej bryły.

– To nie jest biblioteka – stwierdził.

Przy ołtarzu pojawił się jakiś mężczyzna. On również miał oliwkową cerę, był jednak niski i miał popielate włosy. Był już stary. Być może przekroczył siedemdziesiątkę.

– Witamy – odezwał się mężczyzna. – Jestem bibliotekarzem.

– Czy pan jest tu zwierzchnikiem?

– Mam ten zaszczyt.

– Chciałbym zobaczyć bibliotekę.

– Żeby tak się stało, musi pan uwolnić człowieka, którego pan trzyma na muszce.

Sabre odepchnął od siebie gwardiana.

– W porządku – uniósł broń i wycelował w bibliotekarza. – Ty mnie zaprowadzisz.

– Z pewnością.

Malone i Pam weszli do kościółka. Dwa rzędy monolitycznych kolumn pomalowanych na biało ze złoconymi kapitelami ozdobiono portretami proroków ze Starego Testamentu i apostołów z Nowego Testamentu. Freski na ścianach przedstawiły Mojżesza, który otrzymuje Prawa od Boga i rozmawia z Krzewem Gorejącym. W przeszklonych gablotach znajdowały się relikwiarze, pateny, kielichy oraz krzyże. Ani śladu McColluma czy mężczyzny w słomkowym kapeluszu.

Po prawej stronie, w niszy, Malone dostrzegł dwie brązowe klatki. W jednej znajdowały się setki czaszek koloru piaskowca, ułożone

w upiorny stos jedna na drugiej. Druga mieściła chaotyczną mieszaninę ludzkich kości, ułożonych bez względu na reguły anatomii.

– Gwardianie? – domyśliła się Pam.

– Nie inaczej.

W nawie oświetlonej słonecznym blaskiem coś innego przyciągnęło jego uwagę. Nie było tutaj ławek. Zastanawiał się, czy to świątynia prawosławna. Trudno było to stwierdzić na podstawie dekoracji, które sprawiały wrażenie eklektycznej mieszaniny różnych wyznań.

Ruszył po podłodze z mozaiki w stronę niższy po przeciwnej stronie.

Wewnątrz, na kamiennej półce, oświetlony blaskiem padającym przez okno z witrażem, siedział szkielet ubrany w haftowaną szatę i kaptur, głowę miał lekko przechyloną, jakby zadawał pytanie.

Kości palców, na których wciąż jeszcze utrzymywały się resztki wysuszonego mięsa i paznokci, trzymały pastorał oraz różaniec. Poniżej w granicie były wyryte słowa:

CVSTOS RERVM PRVDENTIA

– Rozwaga jest strażnikiem rzeczy – powiedział na głos, tłumacząc, ale znał łacinę wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że pierwsze słowo można było przetłumaczyć jako „mądrość”. Tak czy inaczej, przekaz wydawał się jasny.

Usłyszał dźwięk przypominający najpierw otwieranie drzwi, potem zamykanie, który dobiegał zza ikonostasu w przedniej części kościółka. Ściskając mocniej pistolet, ruszył przed siebie ostrożnie i przeszedł przez wejście pośrodku misternie udekorowanej ściany.

Po drugiej stronie dostrzegł pojedyncze drzwi.

Podszedł bliżej.

Skrzydła drzwi wykonano z drewna cedrowego. Nad nimi znajdowała się inskrypcja z Psalmu 118. OTO JEST BRAMA PANA, PRZEZ NIĄ WEJDĄ SPRAWIEDLIWI.

Chwycił linkę i pociągnął. Drzwi otworzyły się, czemu towarzyszyła kakofonia jęków i skrzypień. Dostrzegł coś jeszcze. Bardzo stare drzwi wyposażono w nowoczesny dodatek – elektroniczny zamek umieszczony po drugiej stronie. Przewód dochodził do zawiasów, po czym znikał w otworze wywierconym w kamieniu.

Pam również to zauważyła.

– To trochę dziwne – stwierdziła.

Był tego samego zdania.

Spojrzał głębiej do środka, a wówczas poczuł się jeszcze bardziej skonsternowany.

SIEDEMDZIESIĄT PIĘĆ

MARYLAND

Stephanie wyskoczyła z helikoptera, który przetransportował ją i Cassiopeię z powrotem do Camp David. Daniels czekał na nie na lądowisku. Stephanie podeszła wprost do niego, gdy helikopter odleciał ku porannemu niebu i zniknął za wierzchołkami drzew.

– Być może jest pan prezydentem Stanów Zjednoczonych – odezwała się ostrym tonem – ale nie zmienia to faktu, że jest pan żałosnym sukinsynem. Wysłał nas pan tam, wiedząc, że zostaniemy zaatakowane.

Daniels wyglądał, jakby zupełnie nie zgadzał się z tym, co mówiła.

– Skądże miałem to wiedzieć?

– Helikopter ze snajperem znalazł się w okolicy zupełnie przypadkowo? – zapytała zaczepnym tonem Cassiopeia.

Prezydent wskazał im gestem drogę.

– Przejdźmy się.

Szli szeroką ścieżką. Trzech funkcjonariuszy ochrony prezydenckiej podążało mniej więcej dwadzieścia metrów za nimi.

– Opowiedz mi, co się stało – poprosił Daniels.

Stephanie już się uspokoiła i opisała wydarzenia poranka.

– Sądził, że ktoś szykuje spisek, którego celem jest zabicie pana – zakończyła relację, czując się dziwnie, gdy mówiła o Daleyu w czasie przeszłym.

– On miał rację.

Zatrzymali się.

– Mam dosyć – oznajmiła. – Nie pracuję dla pana zbyt długo, kazał nam pan jednak działać w całkowitej ciemności i po omacku. Jak więc mam postępować?

– Jestem pewien, że chciałabyś odzyskać swoją posadę, nieprawdaż?

Nie odpowiedziała natychmiast, a milczenie stanowiło wyraźną informację – ku jej rozdrażnieniu – że rzeczywiście chciała. Biuro Magellan

Billet było jej pomysłem i kierowała nim od początku przez cały czas istnienia agencji. Bez względu na to, co się działo, początkowo nie była w to zaangażowana, ale teraz ludzie, których ani nie lubiła, ani nie podziwiała, wykorzystywali ją. Postanowiła zatem odpowiedzieć prezydentowi szczerze.

– Nie, jeśli muszę całować pana w tyłek – odparła. – I nie, jeśli ponownie sprawię, że Cassiopeia znajdzie się w niebezpiecznej sytuacji.

Daniels wydawał się tym zupełnie nie przejmować.

– Chodźcie ze mną.

Szli w milczeniu przez las do stojącej w nim budowli. Wewnątrz prezydent sięgnął po przenośny odtwarzacz CD.

– Posłuchajcie tego.

– Brent, nie mogę wyjaśnić wszystkiego poza faktem, że wczoraj wieczorem podsłuchałem rozmowę między waszym wiceprezydentem a Alfredem Hermannem. Zakon, a konkretnie Hermann, planuje zabicie waszego prezydenta.

– Poznałeś jakieś szczegóły? – zapytał Green.

– W przyszłym tygodniu Daniels wybiera się w niezapowiedzianą podróż do Afganistanu. Hermann dogadał się z ludźmi bin Ladena i dostarczył rakiety potrzebne do zestrzelenia samolotu.

– To bardzo poważne oskarżenie, Henriku.

– Nie mam w zwyczaju rzucać słów na wiatr. Słyszałem to na własne uszy, podobnie jak chłopak Cottona Malone'a. Czy możesz powiadomić prezydenta? Wystarczy odwołać podróż. To, póki co, rozwiąże problem.

– Oczywiście. Co tam się dzieje, Henriku?

– Więcej nie mogę wyjaśnić. Będę w kontakcie.

– To zostało nagrane ponad pięć godzin temu – wyjaśnił Daniels. – Mój zaufany prokurator generalny w ogóle nie pofatygował się jednak, aby zadzwonić. Można by pomyśleć, że przynajmniej mógłby spróbować. Przecież nietrudno mnie znaleźć.

Chciała się dowiedzieć jednego.

– Kto zabił Daleya?

– Larry, niech jego dusza spoczywa w pokoju, starał się być nowatorski. Oczywiście był zajętym gościem. Wiedział, co się święci, ale postanowił zagrać Lone Rangera i to był jego błąd. Co z ludźmi, którzy mają te pamięci przenośne? To oni zabili Larry’ego.

Stephanie i Cassiopeia spojrzały na siebie.

– Green – powiedziała w końcu.

– Wygląda na to, że mamy zwycięzcę konkursu pod tytułem „kto jest zdrajcą”.

– W takim razie niech pan karze go aresztować – oznajmiła.

Daniels zaprzeczył ruchem głowy.

– Potrzebujemy więcej informacji. Artykuł trzeci, paragraf trzeci konstytucji jest w tym względzie jednoznaczny. Zdrada wobec Stanów Zjednoczonych polega na udzieleniu pomocy wrogowi. Ludzie, którzy chcą mojej śmierci, są naszymi wrogami. Za zdradę można jednak skazać tylko wtedy, gdy dwaj świadkowie potwierdzą akt jawnej zdrady danej osoby. Potrzebujemy zatem więcej informacji.

– Sądzę, że powinien pan w takim razie polecieć do Afganistanu, a kiedy już samolot zostanie zestrzelony, będziemy mieli akt jawnej zdrady. Cassiopeia i ja złożymy wtedy we dwie zeznania.

– To niezły pomysł, Stephanie. W porządku. Stanowiłyście przynętę, ale przecież zabezpieczałem wam tyły.

– Jak to miło z pana strony.

– Nie możesz wypłoszyć ptaków z zarośli bez dobrego psa. Strzelanie wcześniej to po prostu marnowanie śrutu.

Zrozumiała. Sama wydawała tego rodzaju zalecenia wielokrotnie własnym agentom.

– Co zatem chce pan, abyśmy zrobiły?

W jej głosu było słychać rezygnację.

– Spotkajcie się z Brentem Greenem.

Malone spoglądał na zagadkowy widok. Drzwi w kościółku otwierały się do wnętrza góry. Przed nim znajdowała się sala na planie prostokąta szerokości około piętnastu metrów i podobnej długości. Słabo oświetlona srebrnymi kinkietami. Ściany z granitu były wyszlifowane niemal do gładkości lustra. Tu również podłogę zdobiła elegancka mozaika, a sufit udekorowano bordiurami i arabeskami w kolorze czerwonym i brązowym. Po przeciwnej stronie sali stał rząd sześciu kolumn z biało-czarnego marmuru, oplecionych girlandami z pierwiosnków. Między kolumnami znajdowało się siedem wejść przypominających czarną paszczę. Nad każdym z nich znajdowała się łacińska litera: V S O V O D A. Nad literami widniał kolejny cytat z Biblii. Z Apokalipsy Świętego Jana. Po łacinie.

Przetłumaczył na głos:

– *Przestań płakać! Oto zwyciężył Lew z pokolenia Judy, Odrośl Dawida, tak że otworzy księgę i siedem jej pieczęci*.

Usłyszał echo kroków za jednymi z drzwi. Nie był jednak w stanie stwierdzić, skąd dokładnie dochodziło.

– McCollum tam jest – stwierdziła Pam. – Ale gdzie?

Podszedł do jednego z wejść i wszedł do środka. Wewnątrz tunel wrzynał się w skałę, był oświetlony listwami z żarówkami o słabej mocy ustawionymi co sześć metrów. Zajrzał do przyległego wejścia, które również prowadziło do wnętrza góry, ale innym tunelem.

– To interesujące. Kolejny test. Siedem możliwych dróg. – Zrzucił plecak z ramion. – Gdzie podziały się dni, kiedy wystarczyło mieć kartę biblioteczną?

– Prawdopodobnie podziały się w tym samym miejscu, co opuszczanie samolotu tylko wtedy, kiedy ląduje.

Uśmiechnął się szeroko.

– Prawdę mówiąc, to był rzeczywiście niezły skok.

– Nawet mi nie przypominaj.

Spoglądał na siedem wejść.

– Wiedziałeś, że McCollum zacznie teraz działać, prawda? Dlatego pozwoliłeś mu odejść z gwardianem.

– Nie przybył tutaj dla doświadczeń intelektualnych. Nie jest też łowcą skarbów. Ten człowiek to zawodowy zabójca.

– Podobnie jak ten prawnik, z którym się spotykałam, był nie tylko prawnikiem.

– Izraelczycy posłużyli się tobą, ale nie powinnaś się tym przejmować. Zagrali również ze mną.

– Sądzisz więc, że wszystko to było pułapką?

Pokręcił przecząco głową.

– Raczej manipulacją. Odzyskaliśmy Gary’ego zbyt łatwo. Może oni chcieli, żebym zabił tych porywaczy? Wtedy ruszyłem za Haddadem, oni zaś po prostu podążali za mną. Oczywiście byłaś tam, a Izraelczycy mogli kontrolować twoje ruchy. Dopilnowali zatem, żebym zabrał cię z sobą, sprawiając, że zacząłem się o ciebie bać tam, na lotnisku i w hotelu. Wszystko to ma sens. Także sposób, w jaki Mosad zabił George’a, a wtedy już skończyli grę. Ktokolwiek jednak porwał Gary’ego, związał się z nami, by znaleźć to miejsce. Co oznacza, że porywacze mieli zupełnie inne plany niż Izraelczycy.

– Sądzisz zatem, że McCollum porwał Gary’ego?

– On lub przynajmniej ci, dla których on pracuje.

– Co zatem robimy?

Wyciągnął z plecaka zapasowy magazynek i włożył go do kieszeni munduru polowego.

– Ruszamy za nim.

– Którym wejściem?

– Odpowiedziałaś na to sama w Lizbonie, kiedy stwierdziłaś, że Thomas Bainbridge zostawił wskazówki. Przeczytałem w samolocie jego powieść. Nie ma tam nic, co nawet w niewielkim stopniu wiązałoby się z tym, czego doświadczyliśmy. Jego zagubiona biblioteka znajdowała się w południowym Egipcie. Nie ma tam też „peregrynacji herosa”. Nic. Altana w jego ogrodzie to jednak inna sprawa. Zastanawiałem się nad ostatnią częścią „peregrynacji” którą przekazał nam McCollum. Nie miałoby sensu dotarcie tutaj po prostu, ot tak sobie.

– Chyba że masz na muszce kogoś, kto cię zaprowadzi.

– Prawda. Ale coś tutaj jest nie tak. – Wskazał na wejścia. – Mając takie zabezpieczenia, mogliby bez trudu wyprowadzić intruza na manowce. Gdzie wszyscy się podziali? To miejsce jest opustoszałe.

Raz jeszcze spojrzał na litery nad wejściami.

V S O V O D A

Domyślił się.

– Zwykle strofowałaś mnie, kpiąc sobie, do czego właściwie przydaje mi się ejdetyczna pamięć.

– Nie, dziwiłam się, dlaczego nie jesteś w stanie zapamiętać moich urodzin czy też naszej rocznicy ślubu.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Tym razem okazuje się, że dobra pamięć się przydaje. Przypominasz sobie ostatnią część „peregrynacji”? Wczytaj się w sens liter. Altana. W Bainbridge Hall. Łacińskie litery.

Przypomniał je sobie dokładnie.

D OVOSVAVV M

– Pamiętasz, zapytałaś mnie, dlaczego litery „D” oraz „M” są odsunięte od pozostałych ośmiu. – Wskazał na wejścia. – Teraz już wiemy. Jedna litera wskazuje wejście. Druga, jak zakładam, pozwoli opuścić to miejsce. Nie mam jeszcze pewności, co jest pośrodku, ale zapewne wkrótce do tego dojdziemy.

SIEDEMDZIESIĄT SZEŚĆ

WIEDEŃ

Thorvaldsen oceniał sytuację. Musiał pokonać Hermanna. Właśnie w tym celu trzymał pod swetrem pistolet. Wciąż miał też listy św. Augustyna i św. Hieronima, ale Hermann również miał broń.

– Dlaczego porwałeś Gary'ego Malone'a? – zapytał.

– Nie mam zamiaru wysłuchiwać pytań.

– Dlaczego jednak nie sprawisz mi chwili satysfakcji, skoro wkrótce wyjeżdżam.

– Po to, żeby jego ojciec zrobił to, co powinien zrobić. I to zadziałało. Malone zaprowadził nas wprost do biblioteki.

Przywołał w pamięci to, czego domyślał się wczoraj wiceprezydent, i postanowił zająć się tą kwestią.

– Ty też o tym wiedziałeś?

– Zawsze wiem, Henriku. Na tym polega różnica między nami. Dlatego to ja stoję na czele tej organizacji.

– Członkowie zakonu nie mają pojęcia, co planujesz. Wydaje im się, że zrozumieli.

Starał się wychwycić więcej szczegółów, o ile to możliwe. Kazał schować się Gary'emu z dwóch powodów. Po pierwsze, żeby nie było możliwości, że to, co podsłuchali ostatniego wieczoru, zostałoby ujawnione. To zaś postawiłoby ich obu w dużym niebezpieczeństwie. Po drugie, wiedział, że Hermann przyjdzie uzbrojony, i chciał sam uporać się z tym zagrożeniem.

– Oni darzą krąg zaufaniem – odparł Hermann. – My zaś nigdy ich nie zawiedliśmy.

Wskazał na stare pergaminy.

– Czy to właśnie zamierzałeś mi pokazać?

Hermann przytaknął.

– Miałem nadzieję, że kiedy przekonasz się o fałszu zawartym w Biblii, o kardynalnych błędach, zrozumiesz, że chcemy tylko poinformować świat o tym, o czym powinien dowiedzieć się przed piętnastoma wiekami.

– Czy świat jest na to gotów?

– Nie zamierzam o tym dyskutować, Henriku. – Wysunął ramię do przodu i wymierzył pistolet. – Interesuje mnie tylko, w jaki sposób dowiedziałeś się o tych listach.

– Podobnie jak ty, Alfredzie, zawsze wiem.

Pistolet wciąż pozostawał wymierzony.

– Zastrzelę cię. To moja ziemia i poradzę sobie z tą sprawą, kiedy już opuścisz ziemski padół. Ponieważ porwałeś moją córkę, mogę to wykorzystać. Próbowałeś mnie szantażować, wymyśliłeś jakiś spisek, który poszedł nie tak. To nie ma zresztą znaczenia, przynajmniej dla ciebie.

– Jestem przekonany, że wolałbyś widzieć mnie martwego.

– Bez wątpienia. W każdym razie byłoby dużo łatwiej.

Thorvaldsen usłyszał szelest szybkich kroków w tym samym momencie, kiedy dostrzegł, jak Gary wyskakuje z zarośli i przewraca Alfreda Hermanna. Chłopiec był wysoki, szczupły i silny. Impet uderzenia zwalił starego człowieka z nóg i sprawił, że Hermann wypuścił pistolet z ręki.

Gary przeturlał się i chwycił broń.

Wydawało się, że Hermanna zaskoczył ten atak, zaczął wstawać na kolana, usiłując złapać dech.

Thorvaldsen wstał i wziął pistolet od Gary’ego. Ujął broń dłonią i nie dając Hermannowi czasu na powstanie, uderzył go rękojeścią w bok głowy.

Oszołomiony Austriak osunął się na ziemię.

– To było nierozsądne – powiedział do Gary’ego. – Poradziłbym sobie.

– Jak? Trzymał cię na muszce.

Nie bardzo chciał się przyznać, że rzeczywiście możliwości wyjścia cało z sytuacji szybko się wyczerpywały, poklepał zatem chłopca po prostu po ramieniu.

– Masz rację, chłopcze. Ale nie rób tego więcej.

– Jasne, Henriku. Nie ma sprawy. Następnym razem pozwolę, żeby cię zastrzelili.

Uśmiechnął się.

– Jesteś taki sam jak twój ojciec.

– Co teraz? Na zewnątrz jest drugi facet.

Poprowadził Gary’ego do wyjścia i odezwał się szeptem:

– Wyjdź na zewnątrz i powiedz mu, że Herr Hermann go potrzebuje. Później przepuść go w wejściu pierwszego. Resztą ja się zajmę.

Malone podążał podziemnym korytarzem oznaczonym literą „D”. Tunel był wąski, mogły nim iść razem dwie osoby. Wchodził głęboko w masyw góry. Szlak skręcał dwukrotnie. Chłodne, nasycone atmosferą tajemniczości powietrze miało w sobie coś gryzącego i piekło w oczy. Po kilku zakrętach dotarli do pomieszczenia ozdobionego wspaniałymi malowidłami ściennymi. Podziwiał mistrzowskie dzieło. Sąd Ostateczny, piekielne ognie w nurcie rzeki, drzewo Jessego. W skalnej ścianie od strony, z której nadeszli, znajdowało się siedem wykutych wejść, a nad każdym z nich widniała jedna łacińska litera. Po przeciwnej stronie znajdowało się kolejnych siedem wejść. Również i tu nad każdym wejściem znajdowała się jedyna litera.

D M V S O A I

– Wybieramy wejście oznaczone literą „O”, prawda? – chciała upewnić się Pam.

Uśmiechnął się.

– Szybko chwytasz. Altana stanowi drogowskaz prowadzący przez ten labirynt. Powinno być jeszcze siedem takich miejsc, jak to. V O S V A V V. Tyle jeszcze pozostało. Thomas Bainbridge pozostawił ważną wskazówkę, ale taką, która nabiera sensu dopiero wtedy, gdy już się tutaj dotrze. Dlatego właśnie gwardianie pozostawili tę budowlę w stanie nienaruszonym przez trzysta lat. Bez tego wskazówka nie ma znaczenia.

– Chyba że dotrze się do tego diabelnego labiryntu.

Szli do przodu, pokonując stopniowo zagadkowe wejścia, korytarze prowadzące donikąd, ślepe chodniki. To, ile trzeba było czasu oraz energii do zbudowania tych tuneli, niemal przekraczało wyobraźnię Malone’a. Gwardianie pełnili przecież swoją misję od ponad dwóch tysięcy lat – to

sporo czasu na wykazanie się pomysłowością oraz wykonanie tych wszystkich prac.

Minęli po drodze siedem podziemnych rozstajów dróg, on zaś z zadowoleniem stwierdzał, że za każdym razem nad jednym z wejść widniała litera z zestawu wyrytego w marmurowej altanie. Trzymał pistolet gotowy do strzału, nie słyszał jednak z przodu, przed sobą, żadnych odgłosów. Każde z miejsc, gdzie zbiegały się podziemne korytarze, było ozdobione hieroglifami, kartuszami, motywami z literami oraz symbolami zapisanymi pismem klinowym.

Kiedy przeszli przez siódme skrzyżowanie korytarzy i weszli do kolejnego tunelu, wiedział, że przed nimi znajduje się ostatnia ścieżka.

Skręcili za rogiem, a kiedy doszli do kolejnego wejścia, zauważyli, że światło było wyraźnie jaśniejsze niż na poprzednio mijanych rozstajach podziemnych korytarzy. Tam mógł się zaczaić McCollum. Malone przesunął zatem Pam za siebie i ruszył ostrożnie do przodu.

Przed progiem zatrzymał się w cieniu i zerknął do środka pomieszczenia.

Sala była dosyć duża, miała powierzchnię około dwunastu metrów kwadratowych, a u sufitu wisiały żyrandole. Ściany pięły się na wysokość sześciu metrów, pokrywały je mozaiki z mapami. Egipt. Palestyna. Jerozolima. Mezopotamia. Morze Śródziemne. Stopień szczegółowości nie był zbyt duży. Linia brzegowa biegła w nieznane, opisy zredagowano w językach greckim, arabskim i hebrajskim. W przeciwległej ścianie wykuto siedem kolejnych wejść. To, nad którym widniała litera „M”, z pewnością prowadziło do biblioteki.

Weszli do wnętrza pomieszczenia.

– Witamy, panie Malone – odezwał się męski głos.

Z półmroku w jednym z innych wejść wyłoniły się dwie męskie sylwetki. Jednym z przybyłych był gwardian, którego wcześniej McCollum trzymał na muszce, teraz jednak bez słomkowego kapelusza. Drugim był Adam, którego Malone spotkał w mieszkaniu Haddada oraz w klasztorze w Lizbonie.

Malone wycelował pistolet.

Ani gwardian, ani Adam się nie ruszyli. Obaj mężczyźni wpatrywali się w niego, a ich twarze wyrażały głęboki niepokój i troskę.

– Nie jestem pańskim wrogiem – oznajmił Adam.

– Jak pan nas odnalazł? – zapytała zdziwiona Pam.

– Nie zrobiłem tego. To wy odnaleźliście mnie.

Malone przypomniał sobie, że mężczyzna, który stał teraz przed nim, zastrzelił George’a Haddada. Potem zauważył, że Adam był ubrany podobnie jak młody gwardian – workowate spodnie, habit przewiązany w biodrach paskiem ze sznura, sandały.

Żaden z nich nie miał broni.

– Jest pan gwardianem? – zapytał Adama.

– Pokorny sługa.

– Dlaczego zabił pan George’a Haddada?

– Nie zabiłem.

Ruch za plecami obu mężczyzn przyciągnął uwagę Malone’a. Dostrzegł trzecią postać wychodząca z wejścia.

Ewa z mieszkania Haddada. Cała i zdrową.

– Panie Malone – przemówiła. – Jestem asystentką bibliotekarza i jestem też panu winna wyjaśnienie, ale musimy się spieszyć.

W końcu otrząsnął się z zaskoczenia.

– Zjawiliśmy się w Londynie, żeby stworzyć iluzję. Konieczne było bowiem, żeby kontynuował pan poszukiwania, a bibliotekarz był przekonany, że podstęp to najlepszy sposób osiągnięcia tego celu.

– Bibliotekarz?

Przytaknęła.

– On nami kieruje. Nie jest nas wielu, ale zawsze było nas dość, żeby skutecznie chronić to miejsce. Wielu gwardian pełniło tu posługę. Jestem pewna, że widział pan ich kości w kościółku. Świat się jednak zmienia. Kontynuowanie naszej misji staje się coraz trudniejsze. Niebawem wyczerpią się nasze fundusze, a ostatnio pozyskiwanie nowych gwardian staje się coraz trudniejsze. Na dodatek pojawiło się nowe zagrożenie.

Czekał, aż wyjaśni ostatnie zdanie.

– W ciągu kilku minionych lat ktoś usiłuje nas wytropić. Na pewnym etapie były w to zaangażowane nawet rządy państw. Incydent sprzed pięciu lat z udziałem George’a Haddada, kiedy to pan był w stanie odkryć sekret, sprawił, że zaproszony wybraniec został rozpoznany, a jednocześnie jego życie znalazło się w niebezpieczeństwie. Coś takiego nie wydarzyło się nigdy wcześniej. Wcześniej wszyscy wybrańcy dotrzymywali tajemnicy, do czego byli zobowiązani, poza jednym – Thomasem Bainbridge’em.

Szczęśliwym trafem jednak jego występek okazał się przydatny. Zakończył pan z powodzeniem „peregrynacje” dzięki słabości charakteru Bainbridge’a.

– Wiedzieliście, że się tutaj zjawimy? – zdziwiła się Pam.

– Niemal cała wasza podróż była przez nas zaplanowana, niezależnie od tego, że Izraelczycy w bardzo brutalny sposób starali się was odnaleźć. Wmieszani w to byli nawet Amerykanie, ale kierowali się chyba innymi pobudkami. Wszyscy chcieli pozbawić nas tego, co mamy. Bibliotekarz postanowił więc rozpocząć bieg zdarzeń, który kontrolowaliśmy i za pomocą którego mogliśmy doprowadzić bezpośrednio tutaj wybranych graczy.

– Jak to było możliwe? – wciąż powątpiewał.

– Jest pan tutaj, czyż nie?

– Zjawiliśmy się w Londynie, żeby pobudzić pana do działania. Wykorzystaliśmy teatralne efekty specjalne, żeby uwierzył pan, że strzelanina jest prawdziwa – rzekł Adam, po czym spojrzał na Pam. – Postrzelenie pani było przypadkowym zbiegiem okoliczności. Nie spodziewałem się, że znajdzie się pani na zewnątrz.

– No to jest nas dwóch – skomentował Malone.

Było jednak coś jeszcze. Skierował wzrok na Ewę.

– George strzelił do pani. Wziąłem jego pistolet. Był załadowany ostrą amunicją.

– Tak. Dzięki Bogu ma dobre oko. Wciąż jeszcze odczuwam ból, ale kamizelka spełniła swoje zadanie.

– Pojechaliśmy do Lizbony – podjął Adam – aby dopilnować, że będziecie ciągle posuwać się do przodu, a jednocześnie zamierzaliśmy odciągnąć uwagę Izraelczyków. Musieliśmy dopilnować, że dotrzecie tutaj tylko wy troje. Inni, którzy znaleźli się w opactwie, stanowili część plutonu egzekucyjnego Mosadu. Ale wy ich wyeliminowaliście.

Malone rzucił okiem w kierunku Pam.

– Wygląda na to, że nie tylko ty byłaś pionkiem na szachownicy.

– Mężczyzna, który przybył tu z wami, nazywa się Dominick Sabre – dodała Ewa. – Chociaż tak naprawdę od urodzenia nosił nazwisko James McCollum. Pracuje dla organizacji znanej pod nazwą Zakonu Złotego Runa. Przybył tu, żeby przejąć bibliotekę.

– Ja zaś sprowadziłem go tutaj – dokończył Malone.

– Nie – zaprzeczył Adam. – My pozwoliliśmy, żeby pan go tutaj sprowadził.

– Gdzie jest ten bibliotekarz? – chciała wiedzieć Pam.

Adam wskazał w stronę wejść.

– Tam, w środku. Wszedł razem z Dominickiem Sabre. Z pistoletem przy głowie.

– Cotton – odezwała się Pam. – Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co oni mówią? Jeśli Ewa nie zginęła, to...

– George Haddad jest bibliotekarzem.

Ewa przytaknęła, a w jej oczach zaszkliły się łzy.

– On zamierza umrzeć.

– Zaprowadził Sabre’a do środka, wiedząc, że sam już stamtąd nie wróci.

– Skąd on o tym wie? – zapytał Malone.

– Zakon lub on osobiście zamierza zagarnąć to miejsce dla siebie. Która z opcji jest prawdziwa? To się dopiero okaże. Nie ulega jednak wątpliwości, że wszyscy zostaniemy, tak czy inaczej, zabici. Ponieważ jest nas zaledwie garstka, nietrudno będzie osiągnąć ten cel.

– Nie ma tu żadnej broni?

Adam zaprzeczył, kręcąc głową.

– Reguła nie zezwala na to.

– Czy to, co znajduje się tam, jest warte oddania życia? – zapytała Pam.

– Z całą pewnością – odpowiedział Adam.

Malone wiedział już, co się dzieje.

– Wasz bibliotekarz jest odpowiedzialny za śmierć jednego z gwardianów przed wieloma laty. Uważa, że jego śmierć stanie się pokutą za ten grzech.

– Wiem – rzekła Ewa. – Tego ranka obserwował, jak skakaliście ze spadochronami, i wiedział, że nadszedł jego ostatni dzień. Wyjawił mi, co musi koniecznie zrobić.

Podeszła do przodu. Łzy spływały teraz po jej policzkach.

– Powiedział też, że pan powstrzyma to, co się tu dzieje. Niech pan go zatem ocali. Niech pan ocali nas wszystkich!

Malone spojrzał w kierunku wejścia oznaczonego literą „M” i zacisnął dłoń na rękojeści pistoletu. Zrzucił z ramion plecak na kamienną posadzkę.

– Zostań tutaj – nakazał Pam.

– Nie – sprzeciwiła się. – Ja też idę.

Spojrzał na nią. Ta kobieta, którą jednocześnie kochał i nienawidził, znajdowała się na rozdrożu, podobnie jak Haddad.

– Chcę pomóc – zadeklarowała.

Nie miał pojęcia, co wydarzy się w czeluściach biblioteki.

– Gary potrzebuje przynajmniej jednego z rodziców.

Spojrzała na niego stanowczym wzrokiem.

– Ten stary człowiek również nas potrzebuje.

SIEDEMDZIESIĄT SIEDEM

MARYLAND

Stephanie słuchała w radiu wiadomości stacji Fox News. Podano już informacje o zamachu bombowym, sprawdzono numery rejestracyjne samochodu i zidentyfikowano już Daleya. Klienci z restauracji opisali jego wygląd, a także kobietę, z którą siedział. Świadkowie zeznali również, jak ta kobieta oraz inna – o śniadej cerze – uciekły jeszcze przed przyjazdem policji.

Nic dziwnego, że media nie podawały informacji o ciałach uzbrojonych mężczyzn odnalezionych kilka kilometrów od miejsca eksplozji. Służba ochrony prezydenta posprzątała ślady po sobie szybko i skrupulatnie.

Jechały teraz innym samochodem, chevroletem tahoe, również dostarczonym przez Danielsa. Prezydent chciał, żeby oddaliły się od Camp David, zanim zadzwonią. Znajdowały się teraz sto dwanaście kilometrów na południe, na przedmieściach Waszyngtonu od strony północnej. Sięgnęła po telefon komórkowy i wybrała numer komórki Greena.

– Czekałem – odezwał się Green, kiedy odebrał. – Czy słyszałaś o Daleyu?

– Siedziałyśmy w pierwszym rzędzie.

Opowiedziała mu, co się wydarzyło w restauracji.

– Co tam robiłyście?

– Jadłyśmy śniadanie. On stawiał.

– Jakiś powód, dla którego jesteś tak bardzo nonszalancka?

– Gdy widzisz, jak ktoś umiera, twój światopogląd może się bardzo zmienić.

– Co się wydarzyło? – zapytał Green.

– Ci sami ludzie, którzy zabili Daleya, usiłowali sprzątnąć Cassiopeię i mnie. Zdołałyśmy jednak wyjść z tego cało. Najprawdopodobniej śledzili Daleya i ruszyli za nami, kiedy odjechałyśmy z restauracji.

– Wydaje się, że masz kilka żyć, Stephanie.

– Daley powiedział mi kilka rzeczy, Brent. Dzieje się bardzo dużo. On zaś był w to wtajemniczony. I miał dowód.

– Czy on był zdrajcą?

– Raczej nie. Korona należy się wiceprezydentowi. Daley zgromadził sporo materiałów obciążających wiceprezydenta.

Jechała dalej i wsłuchiwała się w ciszę, jaka zapadła po drugiej stronie telefonicznego łącza.

– Niezbite dowody?

– Dostatecznie dobre, aby pójść z tym do „The Washington Post”. Był tym przerażony. Dlatego właśnie spotkał się ze mną. Liczył na moją pomoc. Przekazał mi trochę materiałów.

– W takim razie twoje życie jest zagrożone, Stephanie.

– Zdołałyśmy już na to wpaść. Teraz potrzebujemy twojej pomocy.

– Oczywiście. Macie ją. Co chcecie, żebym zrobił?

– Te przenośne pamięci z domu Daleya. Mają związek z dowodami, którymi teraz dysponujemy. Razem wystarczą, żeby pogrążyć wiceprezydenta. Kiedy on już popłynie, wtedy dowiemy się reszty, ponieważ wątpię, że łaskawie pogrąży się w pojedynkę. Za zdradę płaci się srogą karę. Jedną z opcji dla ławy przysięgłych jest wyrok śmierci.

Znów nastała cisza.

– Wiesz przypadkiem, czy Cotton się odzywał? – zapytała.

– Nikt mnie o tym nie poinformował, nawet jeśli dzwonił. Ja też nie miałem żadnej wiadomości. Co z Thorvaldsenem? Kontaktował się z Cassiopeią?

– Ani słowem.

Poczuła głęboki żal w sercu, gdy zdała sobie sprawę, że Brent Green stanowił element tej układanki. Ból na jej twarzy pozwolił Cassiopei się domyślić, że to on jest zdrajcą.

– Musimy się spotkać, Brent. Prywatnie. Tylko ty, ja i Cassiopeia. Jakie masz na dziś plany?

– Nic, czego nie mógłbym zmienić.

– Dobrze. Daley zebrał więcej dowodów. Materiały, które jak mówił, w sposób oczywisty pokazują, kto jeszcze jest w to zamieszany. Zbierał te dowody od pewnego czasu. Na tych przenośnych pamięciach, które masz, są nagrane rozmowy szefa gabinetu wiceprezydenta, który mówi o sukcesji

po śmierci prezydenta. Jest tam nawet więcej. Musimy spotkać się w domu Daleya. Możesz tam dotrzeć?

– Oczywiście. Wiesz, gdzie są ukryte te informacje?

– Powiedział mi.

– W takim razie zajmijmy się tym.

– Taki jest plan. Spotkajmy się więc tam za pół godziny.

Rozłączyła się.

– Przykro mi – pocieszyła ją Cassiopeia.

Nie zamierzała roztkliwiać się nad czyjąś porażką.

– Musimy zachować ostrożność. Green zlecił zabicie Daleya. Teraz to wiemy. On również knuje zabójstwo prezydenta.

– Planuje też zabić nas – dodała Cassiopeia. – Ci ludzie pracowali dla Saudyjczyków. Oni najwyraźniej sądzą, że Green i wiceprezydent są po ich stronie. Wiceprezydent działa jednak również ręka w rękę z zakonem. Co oznacza, że Saudyjczycy nigdy nie osiągną zamierzonego celu. Wszystko zdobędzie zakon i wykorzysta w taki sposób, w jaki będzie chciał.

Na drodze międzystanowej robił się coraz większy korek, w miarę jak zbliżały się do centrum Waszyngtonu. Stephanie zwolniła.

– Mam nadzieję, że Arabowie to zrozumieją, zanim postanowią zająć się nami – powiedziała.

SIEDEMDZIESIĄT OSIEM

PÓŁWYSEP SYNAJ

George Haddad prowadził swojego kata do Biblioteki Aleksandryjskiej. Oświetlona jasno podziemna sala mogła w pierwszej chwili wywołać zdumienie. Ściany ożywiały mozaiki przedstawiające sceny z codziennego dnia: zakład fryzjerski, salon kosmetyczny, pracownię malarską czy rzemieślnika zajmującego się tkaniem płótna. Wciąż przypominał sobie pierwszą wizytę, ale na człowieku, który zamierzał go zabić, otoczenie nie zrobiło chyba wrażenia.

– Skąd pochodzi zasilanie?

– Czy ma pan jakieś nazwisko? – zapytał Haddad.

– To nie jest odpowiedź.

Uniósł brwi, okazując zdziwienie.

– Jestem starym człowiekiem, nie stanowię więc dla pana zagrożenia. Jestem po prostu ciekaw.

– Nazywam się Dominick Sabre.

– Przybył tu pan we własnym imieniu czy w interesie innych?

– Przybyłem tutaj z własnej inicjatywy. Postanowiłem zostać bibliotekarzem.

Uśmiechnął się.

– Przekona się pan, że ta posada to prawdziwe wyzwanie.

Sabre wydawał się odprężony i rozglądał się po pomieszczeniu. Sala przypominała katedrę, miała wzmocnione ściany i kolebkowe sklepienie. Polerowany czerwony granit świecił niczym klejnot. Kolumny wyrastały z posadzki ku sufitowi. Wykute w skale, każda ozdobiona literami, rysunkami twarzy, roślin oraz zwierząt. Wszystkie podziemne sale i tunele były kiedyś kopalniami należącymi do faraonów, porzuconymi setki lat przed nadejściem Chrystusa. Później ponownie wykorzystywane przez wieki przez ludzi, których pasję stanowiła wiedza. W tamtych czasach źródłem światła były pochodnie oraz lampy oliwne. Dopiero rozwój

technologiczny w ciągu minionych stu lat pozwolił na usunięcie sadzy i przywrócenie pierwotnego piękna tym wnętrzom.

Sabre wskazał mozaikę z emblematem, która dominowała na przeciwległej ścianie.

– Co to jest?

– To przednia strona egipskiego pojazdu do transportu ciężarów, udekorowana głową szakala. Przedstawia ciężki blok skały na płozach. To hieroglif oznaczający cud. Każde z pomieszczeń biblioteki nosi własny symbol, który jednocześnie nawiązuje do nazwy sali. To jest Sala Cudu.

– Wciąż pan nie powiedział, skąd bierze się zasilanie.

– Słońce. Mamy tu elektryczność o niskim napięciu, ale wystarcza to do zasilania świateł, komputerów oraz urządzeń zapewniających łączność. Czy wie pan, że idea energii słonecznej narodziła się ponad dwa tysiące lat temu? Zamiana światła na energię. Jednak ideę tę zapomniano i przypomniano sobie o niej dopiero w ciągu minionych pięćdziesięciu lat, kiedy ktoś ponownie wpadł na ten pomysł.

Sabre zrobił gest pistoletem.

– Dokąd prowadzi to wejście?

– Do kolejnych czterech pomieszczeń. Do Sal: Prowincji, Wieczności, Życia oraz do czytelni. W każdym pomieszczeniu znajdują się zwoje, jak pan widzi. W tej sali jest ich około dziesięciu tysięcy.

Haddad mimochodem podążał do środka pomieszczenia. Kamienne pojemniki w kształcie rombów, ułożone bokiem na krawędzi, tworzyły długie rzędy i zawierały ułożone luźno zwoje.

– Wielu z nich nie da się już przeczytać. Czas zrobił swoje. Ale zgromadzono tu wiele rzeczy. Prace Euklidesa, matematyka. Prace Herofilesa na temat medycyny. *Historia* Manethona opisująca czasy wczesnych faraonów. Kallimach, poeta i gramatyk.

– Dużo pan mówi.

– Sądziłem tylko, że ponieważ chce pan zostać bibliotekarzem, powinien pan zacząć uczyć się związanych z tym obowiązków.

– W jaki sposób wszystko to zdołało przetrwać?

– Pierwsi gwardianie wybrali dobrze to miejsce. W górach jest sucho. Wilgoć to tutaj rzecz rzadka, a woda jest największym wrogiem słowa pisanego, oczywiście poza ogniem. – Wskazał gaśnice, które w regularnych odstępach były porozstawiane w sali. – Jesteśmy na to przygotowani.

– Zobaczmy zatem pozostałe sale.

– Oczywiście. Powinien pan zobaczyć je wszystkie.

Poprowadził Sabre’a w kierunku kolejnego wyjścia, odczuwając zadowolenie.

Najwyraźniej napastnik nie miał pojęcia, kim on jest.

To powinno przynajmniej wyrównać szanse.

Hermann otworzył oczy. Na rękawie jego marynarki siedziały trzy motyle, a jego ramię spoczywało bezwładnie na jasnoszarej podłodze – takiego koloru była większość elementów wyposażenia w motylarni. W głowie czuł pulsujący ból i przypomniał sobie cios, jaki wymierzył mu Thorvaldsen. Do głowy mu nie przyszło, że Duńczyk potrafi zdobyć się na tego rodzaju akt przemocy.

Z trudem wstał na nogi i dostrzegł szefa swojej ochrony leżącego sześć metrów dalej.

Pistolet zniknął.

Chwiejnym krokiem podszedł do swojego pracownika, wdzięczny za to, że w pobliżu nie było nikogo. Zerknął na zegarek. Był nieprzytomny przez dwadzieścia minut. Lewa skroń pulsowała, delikatnie namacał zaczątki pokaźnego guza.

Thorvaldsen zapłaci mu za tę napaść.

Świat wciąż jeszcze nie był stabilny, ale powoli dochodził do siebie i otrzepał ziemię z ubrania. Pochylił się i potrząsnął szefem ochrony, chcąc go ocucić.

– Musimy iść – ponaglił.

Drugi mężczyzna wstał z mozołem, rozcierając przy tym obolałe czoło.

Hermann zbierał w sobie siły.

– Nikomu ani słowa o tym – wydał polecenie.

Jego pracownik przytaknął.

Hermann podszedł do skrzynki z telefonem i sięgnął po słuchawkę.

– Znajdźcie mi Henryka Thorvaldsena.

Zdziwił się, gdy głos po drugiej stronie łącza oznajmił, że wie, gdzie znajduje się ten człowiek.

– Na froncie rezydencji. Szykuje się do wyjazdu.

SIEDEMDZIESIĄT DZIEWIĘĆ

PÓŁWYSEP SYNAJ

Sabre nie był w stanie uwierzyć we własne szczęście. Odnalazł Bibliotekę Aleksandryjską. Wszędzie wokół niego znajdowały się niezliczone zwoje, papirusy, pergaminy oraz źródła pisane, które starzec nazywał kodeksami – księgi zwarte o niewielkim formacie, których karty były już kruche i zbrązowiałe. Każdy kodeks leżał na płask na półce obok kolejnego niczym ciała w zbiorowym grobowcu.

– Skąd bierze się tu świeże powietrze? – chciał wiedzieć.

– Dmuchawy wentylacyjne nawiewają powietrze z zewnątrz do tych pomieszczeń ochładzanych we wnętrzu góry. To jeszcze jedna innowacja, jaka doszła w ostatnich dziesiątkach lat. Gwardianie, którzy służyli przede mną, byli prawdziwymi geniuszami. Traktowali swoje obowiązki bardzo poważnie. Czy pan również zamierza tak robić?

Znajdowali się w trzeciej sali, nazywanej Salą Wieczności. Kolejna mozaika z hieroglifów – kucający mężczyzna z ramionami uniesionymi w sposób przypominający sędziego sygnalizującego przyłożenie – zdobiła ścianę aż po sufit. Na całej jej długości znajdowały się kodeksy ułożone na półkach, między którymi były wąskie przejścia. Bibliotekarz wyjaśnił, że były to księgi pochodzące z VII wieku naszej ery, z okresu tuż przed zajęciem Biblioteki Aleksandryjskiej i jej ostatecznym zniszczeniem przez muzułmanów.

– Wiele zdołano uratować w ciągu kilku miesięcy przed zmianą władzy – wyjaśniał bibliotekarz. – Te słowa nie istnieją nigdzie indziej na świecie. Fakty i wydarzenia, które świat uznaje za historię, uległyby weryfikacji, gdyby te dokumenty stały się przedmiotem naukowych badań.

Podobało mu się to, co słyszał. Wszystko to przekładało się w jedno – władzę. Potrzebował wiedzieć więcej, i to szybko. Malone może zmusić innego gwardiana do pokazania mu drogi przez labirynt. Z drugiej jednak strony, jego przeciwnik mógł również czekać do chwili, kiedy on wyjdzie

na zewnątrz. To wydawało się bardziej logiczne. Sabre zaznaczał każde drzwi, jakie mijali, robiąc znak „X” na kamieniu. W ten sposób bez trudu odnajdzie drogę powrotną. Potem zajmie się Cottonem Malone.

Najpierw jednak musiał uzyskać odpowiedź na to, o co chciał zapytać Alfred Hermann.

– Czy są tu manuskrypty na temat Starego Testamentu?

Haddad odczuł zadowolenie, że jego gość w końcu przeszedł do sedna swojej wizyty. Zadał sobie bardzo dużo trudu, żeby tak się stało. Po sfingowanej śmierci w Londynie odczekał w mieszkaniu, w którym zainstalował podsłuch i ukryte kamery, i patrzył, czy ktoś inny nie nadchodzi. I rzeczywiście, człowiek, którzy zamierzał go zabić, znalazł informacje, jakie z myślą o nim zostawił na twardym dysku komputera oraz na taśmie dyktafonu.

W Bainbridge Hall Haddad czekał na Malone’a, gdyż materiały, jakie mu zostawił pod łóżkiem, prowadziły wprost do tego miejsca. Pojawienie się Sabre’a trochę go zaskoczyło. Zabicie dwóch ludzi w rezydencji pogłębiło jedynie w Palestyńczyku przekonanie o złych intencjach, jakimi kierował się ten człowiek.

Jeden z gwardianów zdołał pojechać za Cottonem do hotelu Savoy i na własne oczy widzieć jego wspólne śniadanie z Dominickiem Sabre. Później te same oczy śledziły ich obu wraz z byłą żoną Malone’a na pokładzie samolotu do Lizbony. Ponieważ Haddad osobiście ułożył tekst „peregrynacji”, których szlakiem podążał Malone, wiedział dokładnie, dokąd zmierzała cała trójka.

Z tego też powodu wysłał do Lizbony Adama i Ewę. Chciał zyskać pewność, że nic nie przeszkodzi Cottonowi oraz jego nowo pozyskanemu sojusznikowi wyruszyć w dalszą podróż na Synaj.

Haddad sądził, że zagrożenie może nadejść ze strony któregoś z rządów – Izraela, Arabii Saudyjskiej lub Stanów Zjednoczonych. Teraz jednak zdał sobie sprawę, że największe niebezpieczeństwo stanowił człowiek, który

stał dwa metry od niego. Miał tylko nadzieję, że Sabre pracował na własne konto. Obserwując niecierpliwość jego słów i działań, zyskał niemal całkowitą pewność, że zagrożenie to da się powstrzymać.

– Dysponujemy wieloma tekstami poświęconymi Biblii – odpowiedział. – Był to temat, któremu uczeni pracujący w bibliotece poświęcali ogromną uwagę.

– Stary Testament po hebrajsku. Czy posiadacie te manuskrypty?

– Trzy egzemplarze. Dwa stanowią prawdopodobnie kopię wcześniejszych tekstów. Jeden natomiast to oryginał.

– Gdzie?

Wskazał w kierunku wejścia, którym przed chwilą tu dotarli.

– Dwa pomieszczenia wcześniej. W Sali Prowincji. Jeśli zamierza pan zostać bibliotekarzem, będzie się musiał zorientować, gdzie są przechowywane materiały.

– O czym mówią te Biblie?

Udawał niewiedzę.

– Co ma pan na myśli?

– Widziałem listy. Hieronima i Augustyna. Z ich treści wynika, że Stary Testament został zmieniony. Że świadomie przekłamano treść przekładu. Byli też inni zaproszeni, którzy zgłębiali ten temat. Jeden z nich, Palestyńczyk, ogłosił przed pięcioma laty tezę, że Stary Testament opowiada o dziejach Żydów, którzy jednak nie zamieszkiwali w Palestynie, lecz gdzie indziej, na terenach dzisiejszej Arabii Saudyjskiej. Widziałem nawet mapy starożytnej Arabii z naniesionymi biblijnymi miejscami.

Sabre uniósł pistolet i wymierzył w niego.

– Pokaż mi.

– Jeśli nie włada pan biegle hebrajskim albo arabskim, nie będą one nic dla pana znaczyć.

– Powtarzam raz jeszcze, stary człowieku. Pokaż mi, inaczej zabiję cię, a potem policzę się z twoimi podwładnymi.

Haddad wzruszył ramionami.

– Po prostu staram się być pomocny.

Sabre nie miał pojęcia, czy stronice i kodeksy, jakie leżały przed nim, były tym, czego pożądał Alfred Hermann. Nie miało to znaczenia. Zamierzał zagarnąć dla siebie wszystko to, co go otaczało.

– To są traktaty napisane w drugim stuleciu przez filozofów, którzy pracowali w Aleksandrii – kontynuował wyjaśnienia bibliotekarz. – Żydzi dopiero zaczynali stawać się polityczną siłą w Palestynie, przy okazji potwierdzając swoją obecność na tej ziemi od wieków oraz rozpowszechniając wieść o swoim prawie do tej ziemi. Czy gdzieś już pan to słyszał? Uczeni doszli do wniosku, że przed wiekami Żydów nie było na tej ziemi. Zgłębiali hebrajskie teksty Starego Testamentu, jakie znajdowały się w zasobach biblioteki, i doszli do przekonania, że opowieści przekazywane przez Żydów w tradycji ustnej różnią się, i to bardzo, od tego, co zapisano w tekstach, zwłaszcza starożytnych. Wydaje się, że w miarę upływu czasu opowieści te w coraz większym stopniu dopasowywano do ówczesnej ojczyzny Żydów, która stała się później Palestyną. Po prostu zapomnieli o swojej historii na ziemiach arabskich. Gdyby nie nazwy miejscowości, które nie ulegają zmianie, oraz gdyby nie Stary Testament zapisany w oryginalnej hebrajszczyźnie, cała ta historia nigdy nie wyszłaby na jaw.

Bibliotekarz wskazał jeden z kodeksów.

– Ten jest znacznie późniejszy. Piąte stulecie. Kiedy chrześcijanie zapragnęli włączyć do swojej Biblii także Stary Testament. Ten traktat w jednoznaczny sposób potwierdza, że treść przekładu została zmieniona, żeby tekst Starego był zgodny z nabierającym ostatecznego kształtu Nowym Testamentem. Świadoma próba ugładzenia przekazu uwarunkowana epoką historyczną, religią oraz polityką.

Sabre spoglądał na księgi.

Bibliotekarz wskazał inny plik pergaminów umieszczony w pojemniku z przezroczystego plastiku.

– To najstarsza Biblia, jaka znajduje się w naszym posiadaniu. Napisana czterysta lat przed narodzinami Chrystusa. W całości po hebrajsku. Na

świecie nie ma drugiej takiej. O ile wiem, najstarszy egzemplarz Biblii, spoza tego pomieszczenia, datowany jest na dziewiąte stulecie po Chrystusie. Czy tego pan szuka?

Sabre nie odpowiedział.

– Jest pan osobliwym człowiekiem – nagle zmienił temat bibliotekarz.

– Co masz na myśli?

– Czy zdaje pan sobie sprawę, jak wielu tych, których zaproszono, dotarło do tego miejsca? Wiele tysięcy w ciągu wieków. Nasza księga gości naprawdę robi wrażenie. Zaczyna się w dwunastym stuleciu od wpisu Awerroesa, arabskiego filozofa, który pisał krytyczne rozprawy wobec Arystotelesa i kwestionował tezy Augustyna. Studiował tutaj. Ówcześni gwardianie doszli do wniosku, że nadeszła pora, żeby dzielić się nagromadzoną tu wiedzą, chociaż wybiórczo. Wielu z tych nazwisk nikt już nie rozpozna – po prostu mężczyźni i kobiety o wyjątkowej inteligencji, którzy przyciągali uwagę gwardianów. Umysły, które wnosiły przyczynek do naszej wiedzy. W epoce przed powstaniem radia, telewizji i komputerów gwardianie mieszkali w dużych miastach, zawsze wypatrując tych, których warto zaprosić. Tomasz z Akwinu, Dante, Petrarka, Boccaccio, Poussin, Chaucer – ludzie ich pokroju trafiali tutaj, do tej sali. Montaigne tu właśnie napisał swoje *Próby*. Francis Bacon tutaj, w Sali Prowincji, ukuł swoje słynne powiedzenie: „Zabiorę całą wiedzę do mojej prowincji”.

– Czy wszystko to ma mieć dla mnie jakieś znaczenie?

Stary mężczyzna wzruszył ramionami.

– Staram się jedynie wyjaśnić obowiązki, jakie na pana spadną. Oznajmił pan, że zamierza zostać bibliotekarzem. Jeśli tak, pańskim udziałem stanie się niezwykły przywilej. Ci, którzy służyli tu wcześniej, spotkali Kopernika i Keplera. Descartesa i Robespierre’a. Beniamina Franklina. Nawet Newtona we własnej osobie. Wszystkie te uczone głowy skorzystały bardzo na bytności tutaj, a świat skorzystał na ich zdolności pojmowania wiedzy i jej dalszego rozwijania.

– I żaden z nich nigdy nie wspomniał, że odwiedził to miejsce?

– Po cóż mieliby to czynić? Nie dążymy do własnej chwały. W ten sposób właśnie zyskujemy satysfakcję. Czy im pomagamy? To nasz obowiązek. Już samo ocalenie tych zbiorów było nie lada osiągnięciem. Czy będzie pan w stanie kontynuować tę tradycję?

Ponieważ nie zamierzał pozwolić, żeby ktokolwiek inny mógł zobaczyć to miejsce, zapytał o to, co naprawdę chciał wiedzieć.

– Ilu gwardianów urzęduje tutaj?

– Dziewięciu. Nasze szeregi zostały bardzo uszczuplone.

– Gdzie oni przebywają? Na zewnątrz widziałem tylko dwóch.

– Klasztor jest rozległy. Wypełniają swoje obowiązki.

Machnął pistoletem.

– Wracajmy do pierwszej sali. Chcę zobaczyć coś jeszcze.

Starzec ruszył przed siebie.

Sabre zastanawiał się, czy nie zabić go teraz. Lecz Malone do tej pory zapewne zorientował się już, co się dzieje. Albo czekał na drugim końcu labiryntu, albo też właśnie go pokonywał.

Tak czy inaczej, stary człowiek mógł okazać się jeszcze przydatny.

OSIEMDZIESIĄT

Malone minął ostatni zakręt i dostrzegł wejście utworzone przez dwa uskrzydlone lwy z ludzkimi głowami. Rozumiał tę symbolikę. Umysł człowieka, siła zwierzęcia oraz wszechobecność ptaka. Marmurowe wrota, zawieszone na zawiasach, były otwarte.

Weszli do środka i z zapartym tchem spoglądali na przepych i bogactwo.

Wyobrażał sobie, ile czasu musiało zająć stworzenie czegoś tak niezwykłego. Rzędy pojemników w kształcie rombów stały na wyłożonej płytami posadzce, przerywane wąskimi przejściami. Każdy wypełniony zwojami po brzegi. Podszedł do jednego z pojemników i wyciągnął zwój, który znajdował się na wierzchu. Dokument wyglądał na dobrze zachowany, lecz nie odważył się go rozwinąć. Zajrzał do wnętrza rulonu i stwierdził, że pismo wciąż da się odczytać.

– Nie wierzyłam, że coś takiego w ogóle może istnieć – odezwała się z przejęciem Pam. – To przechodzi ludzkie pojęcie.

Widział w życiu wiele zdumiewających rzeczy, lecz nigdy nie był to tak cudowny widok jak ten, który przedstawiała ta sala. Na jednej ze ścian z czerwonego polerowanego granitu dostrzegł jeszcze jedną łacińską inskrypcję. AD COMMUNEM DELECTATIONEM. Dla radości wszystkich.

– Gwardianie rzeczywiście dokonali czegoś nadzwyczajnego.

Zauważył relief na innej ze ścian. Podszedł bliżej i spostrzegł wielką księgę, która zawierała schemat pomieszczeń, znajdujących się przed nimi, z opisami po łacinie. Przetłumaczył je po kolei na głos dla Pam.

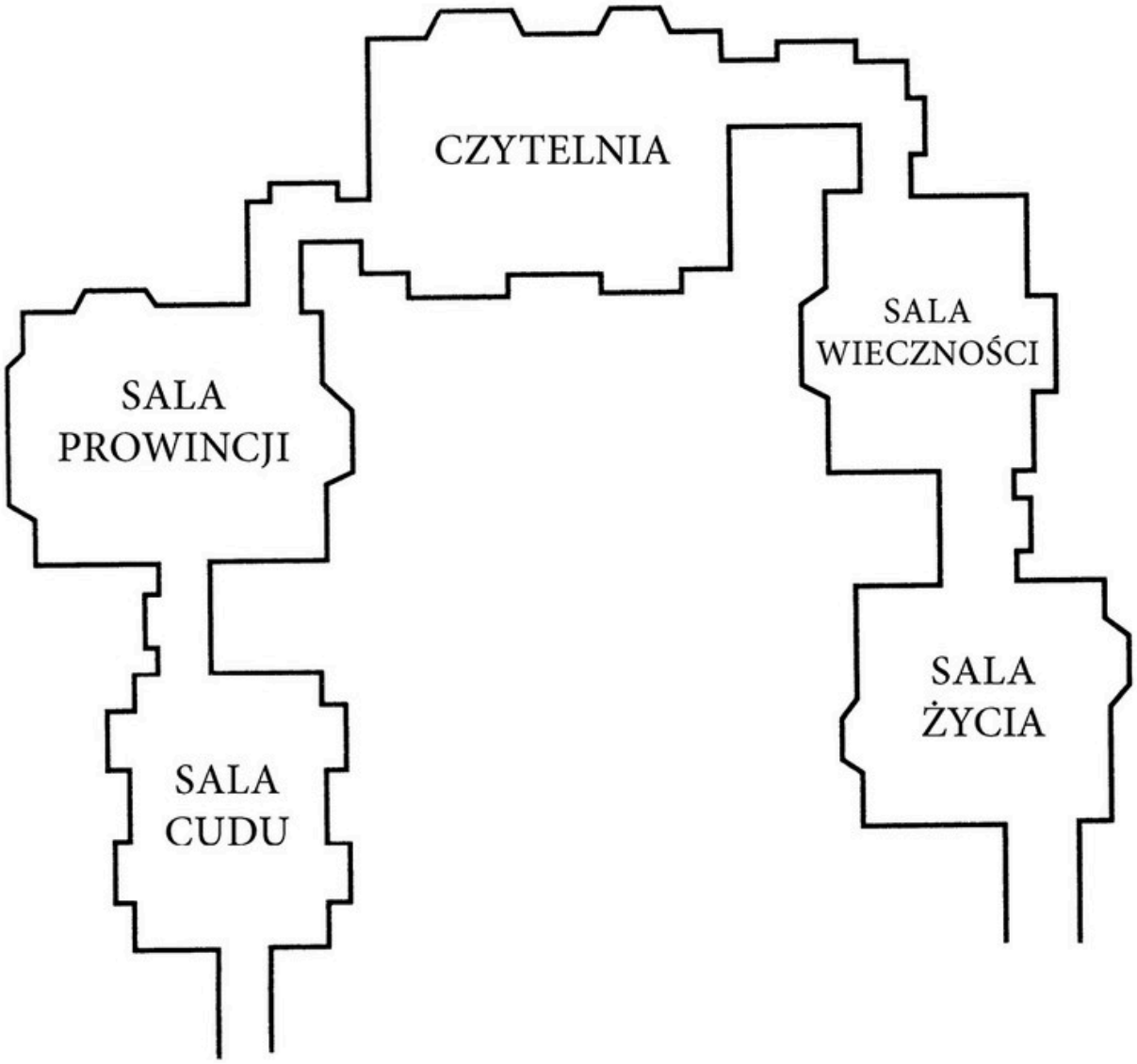

– Pięć sal – dodał. – Mogą być w jednej z nich.

Ruch w wejściu po przeciwległej stronie przyciągnął jego uwagę.

Dostrzegł George’a Haddada, potem McColluma.

– Na ziemię – ostrzegł Pam, jednocześnie podnosząc broń.

McCollum dostrzegł go i pchnął Haddada na posadzkę, wycelowując pistolet ku drugiemu końcowi sali i oddając strzał. Malone rzucił się na posadzkę, wykorzystując półki między nimi jako osłonę. Kula odbiła się z brzdękiem od granitowej kolumny z tyłu za nim.

– Szybko się pan rusza – dobiegł głos McColluma z drugiego końca pomieszczenia.

– Nie chciałem, żeby został pan sam.

– Bibliotekarz dotrzymywał mi towarzystwa.

– Zatem pan i on zdołaliście się poznać?

– Za dużo gada, ale zna to miejsce.

Chciał wiedzieć jeszcze jedno.

– Co teraz?

– Obawiam się, że pan oraz pańska była musicie zginąć.

– Ostrzegałem pana, żeby nie nadepnął mi pan na odcisk.

– Przyspieszmy rozstrzygnięcie, Malone. Skoro dotarłem tak daleko, nie zamierzam teraz przegrać. Mam zatem propozycję, rozegrajmy to fair. Tylko pan i ja. Tutaj. Jeśli pan zwycięży, ten starzec i pańska była będą bezpieczni. Zgoda?

– To pan ustala warunki. Niech więc pan postępuje zgodnie z nimi.

Haddad słuchał wymiany zdań między mężczyznami. Ci dwaj musieli rozstrzygnąć konflikt między sobą. On również zamierzał spłacić własny dług. Myślami znów pobiegł ku gwardianowi, którego spotkał przed dziesiątkami lat, kiedy tamten młody mężczyzna spoglądał mu w oczy z pełną determinacją. Wtedy po prostu nie zrozumiał. Teraz jednak, kiedy na własne oczy zobaczył bibliotekę, poznał to, co wiedział tamten człowiek pełen wiary, którego spotkał w 1948 roku.

Zabił wtedy bez powodu dobrego człowieka.

Potem żałował tego przez całe życie.

– Wstań – nakazał Sabre bibliotekarzowi i patrzył, jak starzec podnosi się z posadzki. – W porządku Malone. Przestrzegam warunków. Odsyłam go

do pana.

Wykonał ruch pistoletem.

– Idź.

Bibliotekarz szedł powoli wzdłuż przejścia między pojemnikami w kształcie rombów. Sabre pozostał w miejscu, przesuwając się jedynie za jeden z rzędów pojemników.

Po przejściu dziesięciu metrów bibliotekarz zatrzymał się i obrócił.

Oczy, które spoglądały na niego, przebijały go na wylot. Zastanawiał się, co zamierza starzec. Było w nim coś, co sygnalizowało zagrożenie, jak gdyby dusza, która kryła się za tym spojrzeniem, już wcześniej znalazła się w takiej sytuacji i nie odczuwała lęku. Zastanawiał się, czy nie zabić bibliotekarza, ale to mogło rozdrażnić Malone’a.

A tego nie chciał. Nie teraz.

Malone stanowił ostatnią przeszkodę. Kiedy się jej pozbędzie, biblioteka będzie należała do niego. Odetchnął zatem z ulgą, kiedy starzec w końcu ruszył przed siebie.

OSIEMDZIESIĄT JEDEN

WASZYNGTON

Stephanie przejechała obok domu Larry’ego Daleya i zaparkowała dalej przy tej samej ulicy. Resztę drogi ona i Cassiopeia pokonały piechotą. Nigdzie nie dostrzegły Brenta Greena ani nikogo innego. Podeszły do frontowych drzwi. Cassiopeia ponownie otworzyła zamek, a Stephanie dezaktywowała alarm. Przekonała się, że kombinacja cyfr nie uległa zmianie. Daley nie fatygował się zmienianiem kodu, nawet kiedy włamały się do jego domu. Albo głupota, albo też kolejny dowód na to, że niewłaściwie oceniała tego człowieka.

Wewnątrz domu panowała cisza. Cassiopeia zajrzała do każdego pomieszczenia, upewniając się, że są same. Stephanie zatrzymała się przy wnęce, która służyła za gabinet, gdzie wcześniej znalazła pamięci przenośne. Potem obie czekały w pobliżu drzwi frontowych.

Po dziesięciu minutach na zewnątrz zaparkował samochód.

Stephanie zerknęła przez firanki i zobaczyła, jak Green wysiada i zmierza w kierunku drzwi frontowych.

Sam.

Skinęła głową do Cassiopei, potem otworzyła drzwi.

Green był ubrany w typowy dla siebie ciemny garnitur z krawatem. Kiedy prokurator generalny znalazł się wewnątrz, zamknęła drzwi i przekręciła klucz w zamku. Cassiopeia zajęła pozycję obok jednego z okien.

– W porządku, Stephanie. Możesz mi wyjaśnić, co się dzieje?

– Przywiozłeś z sobą pamięci przenośne?

Sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął je.

– Przesłuchałeś te nagrania?

Skinął głową, potakując.

– Oczywiście. Rozmowy są interesujące, lecz w żaden sposób nie obciążające. Jest tu mowa o Dwudziestej Pierwszej Poprawce, ale to

wszystko. Gadanie. Z pewnością nie ma mowy o spisku ani odniesienia do takich działań.

– Dlatego właśnie Daley zebrał więcej haków – oznajmiła. – Powiedział mi, że od pewnego czasu wypatrywał śladów tego.

– Śladów czego?

Dostrzegła nagłą irytację.

– Spiskowych knowań, Brent. Wiceprezydent planuje zabójstwo Danielsa. Zaaranżował łańcuch zdarzeń, jakie mają nastąpić podczas niezapowiedzianej wizyty Danielsa w Afganistanie w przyszłym tygodniu.

Obserwowała jego reakcję na te słowa, która mogła potwierdzić, że wiedział o czym ona mówi.

Green zachował jednak stoicki spokój.

– Jaki dowód znalazł Daley?

– Kolejne rozmowy. Mówiąc prawdę, założył podsłuch w prywatnym gabinecie wiceprezydenta. Nie było to wcale trudne, ponieważ to on otrzymał zadanie dopilnowania, żeby sprawy nie były monitorowane. Wydaje się, że wiceprezydent jest powiązany z Zakonem Złotego Runa. Jego szef, Alfred Hermann, dogadał się z ludźmi samego bin Ladena, że zestrzelą samolot z prezydentem na pokładzie.

– Stephanie, mam nadzieję, że Daley naprawdę zgromadził przekonujące dowody. To oskarżenie, które nawet nie mieści się w głowie.

– Sam przecież stwierdziłeś, że cała administracja to kloaczny dół. Deklarowałeś, że chcesz ich dopaść. Teraz masz szansę.

– Jak to udowodnimy?

– Nagrania są tutaj. Daley powiedział mi o nich. Stwierdził, że wskazują na wszystkich, którzy są w to zamieszani. Mieliśmy przyjechać tu razem, kiedy jego samochód eksplodował.

Green stał w holu obok schodów, gdzie wczoraj paradowali w negliżu Daley i Heather Dixon. Sprawiał wrażenie pogrążonego głęboko w myślach. Jego pokerowa twarz. Co oczywiste, chociaż ten człowiek okłamał ją co do Thorvaldsena i nie przekazał prezydentowi nawet słowa o tym, co odkrył Henrik; potrzebny był konkretny dowód jego zdrady.

– Wiem, gdzie ukrył te nagrania – zagrała w ciemno.

W końcu w oczach Greena pojawiła się iskierka zainteresowania. Cassiopeia stała obok okna, tak żeby nikt jej nie widział.

Stephanie zaprowadziła Greena do niszy, gdzie znajdowało się niewielkie biurko oraz wąski regał na książki. Na jednej z półek stały płyty CD w plastikowych pudełkach. Sięgnęła po jedno z pudełek – *Tybetańskie cuda* – i otworzyła je. W środku zamiast płyty CD z muzyką znajdowała się inna płyta. Wyciągnęła ją.

– Lubił mieć te gadżety ukryte pod ręką.

– Co dokładnie zawiera to nagranie?

– Mówił, że jest to dowód potwierdzający, kto jest zamieszany w spisek. Stwierdził, że knowania osiągnęły pułap, którego nikt nigdy by nie podejrzewał. – Czuła, jak niemal poci się z nerwów i podniecenia. – Chcesz posłuchać?

Green jednak nie odpowiedział.

– Dlaczego pozwoliłeś na przeciek danych na temat aleksandryjskiego ogniwa – chciała jeszcze wiedzieć.

– Mówiłem ci. Żeby znaleźć zdrajcę. Zaprowadziło to nas w kilka miejsc. Dzięki temu odkryliśmy zainteresowanie Izraelczyków osobą Pam Malone. Ten przeciek puścił w ruch bieg wydarzeń.

– Miałeś dostęp do tych danych?

– Skąd te pytania, Stephanie?

– Ponieważ nie zdawałam sobie sprawy, że miałeś pojęcie o istnieniu aleksandryjskiego ogniwa, nie wspominając już o szczegółach, które pozwalały uznać to za przynętę w stosunku do Izraela.

Green przechylił głowę na bok w sposób, który wyrażał zdziwienie.

– Tego się nie spodziewałem. Krzyżowy ogień pytań.

Nie zamierzała teraz poluzować.

– Kiedy po raz pierwszy rozmawialiśmy o tym wszystkim, dałeś jasno do zrozumienia, że to ty celowo dopuściłeś do przecieku danych, w których było niewiele poza informacją o tym, że Malone znał miejsce pobytu George’a Haddada. Lecz ty bez zająknięcia wspomniałeś o przymierzu z Abrahamem. Skąd o tym wiedziałeś?

– Plik wcale nie był taki sekretny.

– Czyżby? Daley twierdził całkiem co innego. Upierał się, że informacje o nim były skąpe, a wiedza o nich ograniczała się do garstki najwyżej postawionych osób – doprawiła własne słowa szczyptą bezczelności. – Ciebie nie było na tej liście. Lecz mimo to wiedziałeś cholernie dużo.

Green wyszedł z niszy i skierował się do salonu.

Podążyła za nim.

Cassiopeia zniknęła.

Stephanie rozejrzała się dookoła, zaniepokojona.

– Zatroszczyli się o nią moi ludzie – wyjaśnił Green.

To, co usłyszała, wcale się jej nie spodobało.

– Któż zatroszczy się o mnie?

Green sięgnął pod marynarkę i wyciągnął pistolet.

– Na mnie spadnie ten obowiązek. Lecz najpierw muszę z tobą porozmawiać w cztery oczy.

– Żeby się przekonać, jak dużo wiem? Jak dużo wie Cassiopeia? I kto jeszcze wie?

– Wątpię, żebyś miała pomocników. W końcu, Stephanie, nie cieszyłaś się w tej administracji największą sympatią. Daley usiłował podczepić się do ciebie, ale nic z tego nie wyszło.

– Twoja robota?

Green przytaknął.

– Podłożyliśmy ładunek wybuchowy w jego samochodzie i czekaliśmy na właściwy moment. Miało to stanowić element zmasowanego ataku terrorystów na to państwo, który rozpoczął się od Daleya i ma skończyć się na Danielsie. W tym kraju zapanuje prawdziwy chaos i zamieszanie.

– Co wykorzysta wiceprezydent, kiedy już zostanie zaprzysiężony. Potem będzie mu potrzebny nowy wiceprezydent, ty zaś będziesz pod ręką.

– Nie mam już tak wielu sposobności, by dalej piąć się w górę, Stephanie. Trzeba brać to, co przynosi życie. Będę stanowił doskonały wybór na kryzysowe czasy. Zyskam jednogłośne poparcie.

– Jesteś żałosny.

Spojrzał na nią z autoironiczną miną.

– Przyjmuję ten prztyczek. W końcu zostało ci zaledwie kilka minut życia. Przy okazji, ty również miałaś stać się celem jednego z ataków. Kiedy pojawiłaś się w tej restauracji, zdecydowałem dołożyć jeszcze jedną warstwę, lecz jakimś cudem udało ci się wyjść cało ze spotkania z ludźmi, których za tobą wysłałem. Wciąż nie wiem, jak zdołałaś tego dokonać.

– Dobre wyszkolenie. Rozstrzyga o wszystkim.

Obdarzył ją chłodnym uśmiechem.

– Będzie mi brakowało twojego ciętego poczucia humoru.

– Czy zdajesz sobie sprawę, na co się porywasz? Zamierzasz obalić siłą demokratycznie wybranego prezydenta.

– O ile wiem, nazywa się to aktem zdrady. Ale Danny Daniels jest słabym, nieudolnym człowiekiem, który nie wie, co jest najlepsze dla jego kraju. Jest przyjacielem Izraela, bez względu na wszystko. Już samo to wykoleiło nas na Bliskim Wschodzie. Nadeszła pora, by sympatię Ameryki skierować w inną stronę. Arabowie mają do zaoferowania bez porównania więcej.

– I ma się to stać za sprawą aleksandryjskiego ogniwa?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Będzie to problemem nowego prezydenta. On zaś twierdzi, że wszystko jest pod kontrolą.

– Tak bardzo zależy ci na tym, żeby pokazać się publicznie?

– Nie nazwałbym piastowania urzędu wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych pokazywaniem się publicznie. Ponieważ w tak dużym stopniu przyczyniam się do zmiany władzy, zyskam też unikalną relację. Dużo odpowiedzialności, niewiele transparentności.

Wskazała gestem na pistolet.

– Zamierzasz mnie zabić?

– Nie mam wyboru. Ta płyta CD z pewnością mnie obciąża. Nie mogę na to pozwolić i nie mogę też ciebie wypuścić.

Zastanawiała się, dokąd zabrano Cassiopeię. Plan tego nie przewidywał. Ponadto nie spodziewała się, że sam Green będzie uzbrojony. Przez głowę przeszła jej jedna myśl.

Graj na zwłokę.

– Prokurator generalny Stanów Zjednoczonych zamierza mnie zabić?

– Myślałem o tym przez cały dzień i niestety nie mam wielkiego wyboru.

– Co ze wszystkimi twoimi wartościami chrześcijańskimi, o których mówiłeś niemal bez przerwy?

– To jest kulminacyjna faza bitwy i zasady są inne. To kwestia przetrwania, Stephanie. Jak już powiedziałem, przesłuchałem nagrania Daleya z przenośnych pamięci. Szef gabinetu wiceprezydenta mówi bardzo dużo o prezydenckiej sukcesji. Zbyt dużo. To nie jest jeszcze obciążające, lecz z pewnością wzbudziłoby pytania. Daley najwyraźniej prowadził dochodzenie na własną rękę. Dysk, który masz ty, zawiera nawet więcej. To

trzeba koniecznie zatrzymać w tym miejscu. Oczywiście twojego ciała nikt nigdy nie odnajdzie. W ambasadzie Arabii Saudyjskiej czeka już na ciebie trumna. Jeden z ich dyplomatów zmarł, a jego życzeniem było, by został pochowany na ojczystej ziemi. Spędzisz podróż do Arabii Saudyjskiej razem z nim w samolocie, który poleci rejsem dyplomatycznym.

– Widzę, że pomyślałeś o wszystkim, nieprawdaż?

– Przyjaciele czasami się przydają. Właśnie się o tym przekonuję. Przez długi czas podążałem samotnie, lecz teraz odpowiada mi partycypowanie w zespole. Saudyjczycy pragną jedynie unicestwienia Izraela. Obiecaliśmy im, że to będzie możliwe. Izraelczycy sądzą, że Saudyjczycy działają z nimi ręka w rękę. Wcale tak nie jest. Oni współdziałają z nami. Od samego początku.

– Oni nie mają pojęcia, jakimi dwulicowymi obłudnikami jesteście. Chodzi wam wyłącznie o pieniądze i władzę. I o nic więcej.

– Chciałabyś powiedzieć coś jeszcze?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

Potem rozległ się huk wystrzału.

OSIEMDZIESIĄT DWA

WIEDEŃ

Thorvaldsen stał razem z Garym. Gdy tylko wyszli z motylarni, zadzwonił do Jespera i powiedział mu, żeby podesłał samochód z kierowcą. Kiedy tylko wraz z chłopcem znajdą się w drodze powrotnej do Kopenhagi, poleci swojemu służącemu uwolnić Margarete. Nie zawracał sobie głowy zabieraniem ich rzeczy i ubrań. Nie było na to czasu. Miał z sobą tylko atlas zabrany z biblioteki, w którym były ukryte listy świętych Hieronima i Augustyna.

Samochody podjeżdżały i odjeżdżały z alejki dojazdowej, która prowadziła wśród drzew do frontowej bramy. Nie wszyscy członkowie zakonu nocowali w rezydencji. Wielu z nich zdecydowało się na wizytę u przyjaciół lub preferowało pobyt w ulubionych wiedeńskich hotelach. Rozpoznał kilka osób spośród przybyłych i przez chwilę rozmawiał z nimi towarzysko. W ten sposób wtopił się w otoczenie. Musieli jednak opuścić to miejsce razem z drogocennymi listami, zanim Hermann się ocknie.

– Czy wpadliśmy w tarapaty? – zapytał Gary.

– Nie jestem pewien.

I rzeczywiście nie był.

– Nieźle przyłożyłeś tym facetom w głowy.

Spostrzegł, że na chłopcu jego wyczyn zrobił spore wrażenie.

– Rzeczywiście, nieźle oberwali.

– Nie chcę być tutaj, kiedy się przebudzą.

On również sobie tego nie życzył.

– Musimy zatrzymać te listy. Obawiam się jednak, że nasz gospodarz nigdy na to nie pozwoli.

– A co z jego córką? Zdaje się, że nie bardzo mu na niej zależy.

– Jestem przekonany, że nigdy mu na niej nie zależało. Porwanie jej było po prostu czymś nieplanowanym, co spowodowało, że on znalazł się w rozterce na tak długo, żebyśmy mogli przystąpić do działania. – Myślami

pobiegł ku własnemu nieżyjącemu już synowi. – Ludzie pokroju Alfreda niewiele troszczą się o rodzinę.

Jakie to musi być okropne. Brakowało mu własnej żony i syna. Gdy widział, jak Gary ruszył mu z odsieczą, odczuł jednocześnie trwogę i satysfakcję. Poklepał chłopca po ramieniu.

– O co chodzi? – zapytał Gary.

– Twój tato byłby z ciebie dumny.

– Mam nadzieję, że u niego wszystko w porządku.

– Ja również.

Trzy samochody zjechały z dużą prędkością z głównej drogi i sunęły wyłożoną brukiem alejką dojazdową. Zatrzymały się przy *château. Z* pierwszego i trzeciego wysiadło kilku mężczyzn, wszyscy ubrani w ciemne garnitury. Rozejrzeli się szybko dookoła, potem jeden z nich otworzył tylne drzwi środkowego auta.

Wiceprezydent Stanów Zjednoczonych wysiadł na słoneczne popołudnie, ubrany na sportowo w sweter i klubową marynarkę w granatowym kolorze.

Thorvaldsen i Gary stali dziesięć metrów dalej i patrzyli, jak funkcjonariusze ochrony otoczyli wiceprezydenta, a potem wszyscy ruszyli w stronę głównego wejścia do *château*. W połowie drogi wiceprezydent zatrzymał się i zmienił kierunek.

Zmierzał teraz w ich stronę.

Thorvaldsen obserwował tego człowieka z mieszaniną gniewu i odrazy. Ten ambitny głupiec był chyba zdolny do wszystkiego.

– Nie odzywaj się ani słowem, chłopcze – nakazał Gary’emu. – Pamiętaj: uszy otwarte, usta zamknięte.

– Sam na to wpadłem.

– Pan musi być Henrikiem Thorvaldsenem – powiedział wiceprezydent, kiedy podszedł bliżej i się przedstawił.

– W rzeczy samej. To zaszczyt poznać pana, sir.

– Bez tych formalności typu sir, proszę. Jest pan przecież jednym z najbogatszych ludzi na tym świecie, ja natomiast wyłącznie politykiem.

– Jak brzmi to powiedzenie? Jedno uderzenie serca od prezydentury.

Amerykanin się roześmiał.

– Właśnie. Lecz mimo to jest to raczej nudna posada. Ale za to muszę dużo podróżować i lubię przyjeżdżać do takich miejsc jak to.

– A co sprowadza tutaj pana dzisiaj?

– Alfred Hermann i ja jesteśmy przyjaciółmi. Przyjechałem przekazać mu wyrazy szacunku.

Kolejny samochód wjechał na podjazdową alejkę. Auto marki BMW w jasnym kolorze, z szoferem w liberii. Thorvaldsen machnął ręką, a samochód ruszył w jego kierunku.

– Wyjeżdża pan? – zapytał wiceprezydent.

– Musimy pojechać do miasta.

Amerykanin wskazał na Gary’ego.

– Kim jest ten młodzieniec?

Thorvaldsen przedstawił ich sobie, podając prawdziwe nazwisko Gary’ego. Potem chłopiec i dygnitarz wymienili uścisk dłoni.

– Nigdy wcześniej nie spotkałem wiceprezydenta – wyznał Gary.

Samochód marki BMW zatrzymał się, kierowca wysiadł, obszedł auto dookoła i otworzył Thorvaldsenowi tylne drzwi.

– Ja natomiast nigdy nie spotkałem syna Cottona Malone’a – odwzajemnił się wiceprezydent.

Thorvaldsen zdał sobie sprawę, że znaleźli się w tarapatach. Co zresztą tylko się potwierdziło, kiedy dostrzegł zmierzającego w ich kierunku Alfreda Hermanna i szefa jego ochrony podążającego w ślad za nim.

– Brent Green przesyła pozdrowienia – oznajmił wiceprezydent.

W oczach wiceprezydenta Thorvaldsen dojrzał zdradę Greena.

– Obawiam się, że nigdzie się pan nie wybiera – dodał wiceprezydent cichym głosem.

Hermann dotarł na miejsce i zamknął tylne drzwi samochodu.

– Herr Thorvaldsen rezygnuje z przejażdżki. Może pan odjechać.

Thorvaldsen zamierzał zaprotestować głośno i zrobić scenę, lecz dostrzegł, jak szef ochrony Hermanna staje obok Gary’ego. Pistolet ukryty pod marynarką wycelowany był wprost w chłopca.

Przekaz był jednoznaczny.

Spojrzał na szofera.

– To prawda. Dziękuję, że pan przyjechał.

Hermann odebrał mu atlas.

– Możliwości manewru, jakie ci pozostały, szybko maleją, Henriku.

– Tak bym to ujął – dodał wiceprezydent.

Hermann sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Co ty tutaj robisz? Co się dzieje?
– Wprowadź ich do środka, wtedy powiem ci o wszystkim.

OSIEMDZIESIĄT TRZY

PÓŁWYSEP SYNAJ

Malone czekał, aż George Haddad będzie bezpieczny za krawędzią regału na zwoje i kodeksy, gdzie on i Pam zajęli pozycję obronną.

– Powstałeś ze zmarłych? – zapytał z przekąsem Haddada.

– Zmartwychwstanie bywa chwalebne.

– George, ten człowieka zamierza zabić was wszystkich.

– Pojąłem to. Na szczęście jesteś z nami.

– A jeśli nie zdołam go powstrzymać, co wtedy?

– Wtedy wszystkie moje starania pójdą na marne.

Musiał wiedzieć jeszcze jedno.

– Co jest tam dalej?

– Trzy kolejne sale oraz czytelnia. Wszystkie podobne do tego pomieszczenia. Nie ma zbyt wielu miejsc, gdzie można się ukryć.

Przywołał w pamięci rozkład pomieszczeń.

– Mam po prostu stoczyć z nim strzelecki pojedynek?

– Ściągnąłem ciebie tutaj. Teraz więc nie rozczaruj mnie.

Czuł, jak wzbiera w nim gniew.

– Były łatwiejsze sposoby, żeby to uczynić. On mógł ściągnąć posiłki.

– Wątpię w to. Ale mam wystawione czujki, które pilnują, czy ktoś jeszcze wchodzi do *farsh*. Założę się, że on jest sam i że to się nie zmieni.

– Skąd to wiesz? Izraelczycy cały czas deptali nam po piętach.

– Oni odeszli – Haddad wskazał na drugi koniec pomieszczenia. – Pozostał tylko on.

Malone dostrzegł, jak McCollum biegnie przez arkadę i znika głębiej w podwojach biblioteki. Trzy inne sale i czytelnia. Zamierzał złamać wiele zasad, które utrzymywały go przy życiu przez dwanaście lat służby w Magellan Billet. Jedna była oczywista: „Nigdy nie wchodź, chyba że wiesz, że stamtąd wyjdziesz”. Ale przyszła mu do głowy również inna

nauka: „Kiedy sprawy mają się źle, wszystko może ci zaszkodzić, w tym również nierobienie nic”.

– Powinieneś dowiedzieć się w końcu – podjął rozmowę Haddad. – Ten człowiek jest odpowiedzialny za uprowadzenie twojego syna. Jego zasługą jest również puszczenie z dymem twojej księgarni. On jest w równym stopniu co ja odpowiedzialny za to, że znalazłeś się tutaj. Z zimną krwią zabiłby Gary’ego, gdyby zaszła taka potrzeba. I z przyjemnością zabiłby ciebie.

– Skąd pan wie to, co mówi o Garym? – zapytała Pam.

– Gwardianie dysponują dostępem do wielu informacji.

– A jak to się stało, że jesteś teraz bibliotekarzem? – chciał wiedzieć Malone.

– To skomplikowana historia.

– Założę się, że tak jest. Ty i ja będziemy musieli odbyć długą rozmowę, kiedy będzie już po wszystkim.

– Tak, mój stary druhu. Czeka nas długa rozmowa.

Malone wskazał na Pam i zwrócił się do Haddada.

– Przypilnuj ją tutaj. Ona w ogóle nie słucha poleceń.

– Idź już – ponagliła go. – Nic nam nie będzie.

Postanowił skończyć utarczkę i pobiegł przed siebie w dół przejścia. Przy wyjściu zatrzymał się po jednej z jego stron. Sześć metrów dalej zaczynała się następna sala. Kolejne wysokie ściany, rzędy kamiennych półek, litery, wizerunki i mozaiki, ciągnące się od posadzki aż po sufit. Podkradł się ostrożnie do przodu, tuląc się do polerowanej kamiennej ściany korytarza. Wszedł do drugiej sali i znów skrył się za jednym z rzędów regałów. Pomieszczenie w większym stopniu przypominało kwadrat niż pierwsza sala. Dostrzegł zgromadzone tu zwoje i kodeksy.

Nawet śladu ruchu. To, co robił, było cholernie głupie. Dawał się wciągać w głąb. W którymś momencie McCollum zatrzyma się i podejmie walkę, na własnych warunkach.

Ale kiedy?

Haddad obserwował Pam Malone. W Londynie usiłował ocenić jej osobowość, zastanawiając się przy tym, co ona właściwie tam robiła. Gwardianie zgromadzili dane osobowe na temat Cottona Malone'a, sprawy, o których Haddad wiedział niewiele – Malone rzadko mówił o swojej żonie i rodzinie. Łączyła ich przyjaźń podbudowana naukowymi zainteresowaniami, której impuls dawało zamiłowanie do książek oraz szacunek dla wiedzy. Wiedział jednak dostatecznie dużo, a teraz nadeszła pora, żeby wiedzę tę wykorzystać.

– Musimy tam pójść – oznajmił.

– Cotton powiedział, żebyśmy zostali tutaj.

Spojrzał na nią przenikliwym wzrokiem.

– Musimy tam pójść.

Chcąc potwierdzić, że mówi poważnie, wyciągnął pistolet spod poły habitu.

Nawet się nie wzdrygnęła, co swoją drogą zaskoczyło go.

– Widziałam, jakim wzrokiem patrzył pan na McColluma.

– Takie nazwisko wam podał?

Przytaknęła.

– Nazywa się Sabre i jest zabójcą. W mieszkaniu w Londynie mówiłem poważnie. Muszę spłacić dług i nie zamierzam pozwolić, żeby Cotton zapłacił go za mnie.

– Widziałam to w pańskich oczach. Chciał pan, żeby on strzelił. Ale wiedział pan, że on tego nie zrobi.

– Ludzie pokroju Sabre'a z reguły nie grzeszą nadmiarem odwagi. Zachowują ją na chwile, kiedy jest im naprawdę potrzebna. Takie chwile jak ta teraz.

– Wiedział pan, że wszystko to się wydarzy?

Wzruszył ramionami.

– Wiedziałem, myślałem, miałem nadzieję. Nie wiem. Obserwowaliśmy Sabre'a. Wiedzieliśmy, że planuje coś w Kopenhadze, a kiedy porwał Gary'ego, zdaliśmy sobie sprawę, że podejmuje próbę odnalezienia mnie. Wtedy właśnie postanowiłem osobiście się w to zaangażować. Kiedy zadzwoniłem po raz drugi na Zachodni Brzeg Jordanu, podsłuchali to izraelscy szpiedzy, co w końcu pobudziło Mosad do działania. Potem w Lizbonie przekonałem się, w jaki sposób mogę przyprowadzić tu całą waszą trójkę, lecz już bez Izraelczyków.

– Uczynił pan to wszystko wyłącznie po to, żeby móc umrzeć?

– Uczyniłem to, żeby chronić bibliotekę. Sabre pracuje dla organizacji, która bez cienia wątpliwości pragnie wykorzystać zgromadzoną tu wiedzę dla własnych korzyści, politycznych i gospodarczych. Od jakiegoś czasu usiłują nas wytropić. Lecz słyszała pani jego słowa. Dotarł tu dla własnego interesu. Nie w ich imieniu. Wystarczy powstrzymać jego i powstrzyma się wszystkich.

– Co zamierza pan zrobić?

– Nie ja. Pani musi to zrobić.

– Ja?

– Cottonowi potrzebna będzie pomoc z pani strony. Zamierza pani stąd odejść?

Patrzył, jak trawi w myślach pytanie, które przed chwilą zadał. Wiedział, że jest kobietą bystrą, odważną i arogancką. Ale także podatną na atak. I wykazywała skłonność do popełniania błędów. Spędził życie na rozszyfrowywaniu ludzi i miał teraz nadzieję, że właściwie ocenił Pam Malone.

– W żadnym razie – odparła.

Sabre przebiegł przez Salę Prowincji i znalazł się w czytelni, w której mniej było półek, a więcej stołów. Wiedział z wcześniejszego rekonesansu, że następne pomieszczenie, Sala Wieczności, prowadziło do ostatniej sali, a cała biblioteka miała kształt litery „U”. Imitacje okien oraz nisze były ozdobione malowidłami przedstawiającymi odległe pejzaże. Specjalne oświetlenie sprawiało wrażenie, jakby pejzaże były rzeczywiste. Musiał przypomnieć sobie, że znajduje się w podziemiach.

Zatrzymał się pośrodku czytelni.

Czas wykorzystać to, czego dowiedział się wcześniej.

Malone posuwał się naprzód z pistoletem gotowym do strzału. Zmienił magazynek na ostatni pełny, pozostało mu więc przynajmniej dziewięć strzałów. Trzy kolejne naboje włożył do kieszeni. Miał więc teraz dwanaście szans na powstrzymanie McColluma.

Przebiegł wzrokiem od ściany do ściany oraz od posadzki po sufit. Zmysły znów były wyostrzone i w pełnej gotowości. Czuł, jak pot spływa mu po torsie i kręgosłupie, a chłodne powietrze podziemi sprawiło, że poczuł nagły chłód. Przeszedł przez drugie pomieszczenie i ruszył drugim korytarzem w stronę kolejnej oświetlonej sali, która była usytuowana pod kątem prostym w stosunku do poprzedniej. Do przodu popychały go słowa, jakie wypowiedział Haddad: – McCollum był tym, który uprowadził Gary’ego. Sukinsyn odważył się tknąć jego syna. I porwać go. Zmusił też Malone’a do zabicia człowieka. Nie było sposobu, żeby te przewiny pozostały bez kary. McCollum chciał walki. Za chwilę więc do niej stanie.

Dotarł do wejścia trzeciego pomieszczenia.

Czytelnia.

W sali znajdowało się około dwudziestu stołów zbitych z grubych desek o ciemnej barwie, ustawionych między regałami.

Skierował wzrok ku wyjściu po przeciwnej stronie.

Pomieszczenie było większe od dwóch poprzednich, miało kształt prostokąta i mierzyło blisko dwadzieścia metrów długości. Ściany wzmocniono gzymsami i nadprożami bizantyjskiego pochodzenia. Ozdabiały je mozaiki, których tematyka była tym razem poświęcona kobietom. Niektóre przędły i tkały, inne zaś uprawiały różne dyscypliny sportu. Oderwał wzrok od dzieła sztuki i skoncentrował się na problemie.

Spodziewał, że McCollum lada chwila wyskoczy gdzieś spomiędzy stołów. Był gotowy. Lecz nic takiego się nie stało.

Zatrzymał się.

Coś było nie tak.

Potem, po drugiej stronie sali, u nasady przeciwległej ściany, dostrzegł odbicie w połyskującym czerwonym granicie. Jedynie niewyraźny cień, jak

gdyby spoglądał przez butelkę napoju gazowanego, zarysowany mgliście na kamiennej tafli gładkiej jak lustro.

Przytulony do posadzki.

Pod stołami.

Wtedy zrozumiał.

OSIEMDZIESIĄT CZTERY

WASZYNGTON

Stephanie usłyszała huk wystrzału, lecz żadna kula w nią nie trafiła. Wtedy dojrzała dziurę z boku głowy Brenta Greena i uświadomiła sobie, co się wydarzyło.

Obróciła się.

Heather Dixon stała z pistoletem w dłoni.

Ciało Greena uderzyło z głuchym odgłosem o podłogę z twardego drewna, lecz ona nie odrywała wzroku od Dixon, która opuściła broń.

Z tyłu za izraelską agentką pojawiła się Cassiopeia.

– To już koniec tej historii – oznajmiła Dixon.

Stephanie ściągnęła na siebie uwagę Cassiopei.

– Co się stało?

– Kiedy ty i Green poszliście na tył domu do gabinetu, pojawiła się ona. Miałyśmy rację. Green sprowadził tu kilku ludzi, którzy czekali w odwodzie. Agenci Secret Service pojmali ich i wtedy – tu Cassiopeia wskazała na Dixon – ona weszła do środka.

Stephanie zrozumiała.

– Współpracujesz z prezydentem?

– Trzeba to było zrobić. Ten drań zamierzał sprzedać nas wszystkich. On oraz wasz wiceprezydent mogli wszcząć trzecią wojnę światową, gdyby zdołali zrealizować swoje zamiary.

Wyczuła jakiś przekaz między wierszami. Chciała się upewnić.

– A twój związek z Daleyem?

– Lubiłam Larry’ego. Przyszedł do nas po pomoc, opowiedział o tym, co się dzieje. On i ja zbliżyliśmy się do siebie. Możesz w to wierzyć lub nie, ale on próbował powstrzymać bieg zdarzeń. Musisz mu to oddać.

– Byłoby bez porównania prościej, gdybyście oboje przyszli do mnie i opowiedzieli o wszystkim.

Dixon pokręciła przecząco głową.

– To twój problem, Stephanie. Żyjesz w sterylnym bąblu. Nienawidziłaś Larry’ego. Nie darzyłaś sympatią Greena. Sądziłaś, że Biały Dom nie przepada za tobą. Jakim cudem byłaś w stanie zrobić cokolwiek?

– Ale za to stanowiła doskonałą przynętę – wtrąciła Cassiopeia. – Nieprawdaż?

– W każdym fortelu potrzebna jest przynęta. W tym wypadku byłyście nią wy obie.

Stephanie wciąż trzymała płytę CD, którą podłożyła w gabinecie Daleya. Płyta była czysta. Stanowiła jedynie pretekst, który sprowokował Greena do reakcji.

– Czy mają nagrane wszystko na taśmie?

Jeszcze przed wyjazdem z Camp Dawid założono na niej urządzenia podsłuchowe.

– Każde słowo – przytaknęła Cassiopeia.

– A Saudyjczycy? – zwróciła się z pytaniem do Dixon. – Kiedy rozmawiałyśmy pierwszy raz, współpracowałaś z nimi.

– Typowe dla Arabów. Grali na dwie strony. Początkowo zawarli sojusz z wiceprezydentem, w przekonaniu, że zamierza on postawić tamę wszystkiemu, co wiąże się z aleksandryjskim ogniwem. Potem się zorientowali, że były to kompletne bzdury. Potajemnie nawiązali więc kontakt z nami i zawarliśmy umowę. Tamtego dnia w parku National Mall pojawili się jedynie po to, żebyś nabrała motywacji do działania, nic poza tym. Oczywiście żadne z nas nie zdawało sobie sprawy, że pozyskałaś osobistą ochronę – Dixon wskazała na Cassiopeię. – Wciąż jestem pani dłużna za tę strzałkę.

– Być może pewnego dnia będzie pani miała okazję do rewanżu.

Dixon się uśmiechnęła.

– Być może.

Stephanie skierowała wzrok na zwłoki Brenta Greena. Przypomniała sobie, jak zasugerował, że byłby zainteresowany zacieśnieniem relacji między nimi. Przez moment nawet spodobała się jej ta perspektywa. Deklarował nawet gotowość rezygnacji ze stanowiska w jej obronie. Ona natomiast zaczęła wątpić w zasadność swoich uprzedzeń wobec niego.

Wszystko to jednak okazało się jedynie grą pozorów.

– Prezydent przysłał mnie tutaj, żebym zakończyła sprawę – podjęła rozmowę Dixon, przerywając tok jej myśli. – Żadnego procesu. Żadnych

sensacji w prasie. Prokurator generalny borykał się z problemami natury osobistej, które doprowadziły do tego, że odebrał sobie życie. Jego ciało zostanie poddane kremacji, a świadectwo zgonu wystawią lekarze z sił zbrojnych. Samobójstwo. Zostanie pochowany z wszelkimi honorami i pozostanie w ludzkiej pamięci jako dobry obywatel. Koniec pieśni.

– A co z aleksandryjskim ogniwem? – chciała jeszcze wiedzieć.

– George Haddad zniknął. Mamy nadzieję, że jest razem z Cottonem Malone. Haddad zadzwonił do ludzi w Autonomii Palestyńskiej kilka miesięcy temu, potem ponownie kilka dni temu. Po pierwszym telefonie oraz po tym, jak Larry opowiedział mi, co się szykuje, podczepiliśmy się pod Pam Malone. Mosad planował nawet uprowadzenie Gary'ego Malone'a. Jednak nasz premier udaremnił te plany. Wtedy zakon zrobił to za nas. Monitorując ruchy Pam Malone, po prostu ruszyliśmy w ślad za nią. Lecz nie wszystko poszło zgodnie z naszymi oczekiwaniami. Potem wydarzyło się to wszystko. Daniels zapewnił nas, że nic z tego zamieszania nie wyjdzie. Mój rząd mu ufa.

– Czy są jakieś wieści od Cottona?

Dixon zaprzeczyła ruchem głowy.

– Kiedy ostatnio słyszeliśmy o nim, skakał na spadochronie gdzieś na Synaju. Ale to bez znaczenia. Zgodnie z umową, nigdy już o tym nie usłyszymy.

– A kiedy Daniels przestanie być prezydentem? – zapytała Cassiopeia.

– Wtedy już wszyscy powinni o tym zapomnieć. Jeśli nie, Izrael uczyni to, co czynił przez stulecia. Podejmie zażartą walkę. Zawsze podejmowaliśmy bój i to się nie zmieni.

Stephanie wierzyła tym słowom. Była jednak jeszcze jedna sprawa.

– Wiceprezydent. Co z nim?

– Z tego, co wiemy, jedynie Green, wiceprezydent oraz Alfred Hermann mieli pojęcie, co się święci. Kiedy Green odsłuchał rozmowę, jaką Larry nagrał z szefem gabinetu wiceprezydenta, wpadł w panikę i zlecił Saudyjczykom sprzątnięcie Daleya. Co dla nich typowe, nie wspomnieli nam o tym, inaczej byśmy ich powstrzymali. Ale Arabom nie wolno ufać. – Dixon przerwała na moment. – Wtedy pojawiłyście się wy dwie, na spotkaniu z Larrym. Green jeszcze bardziej spanikował i przekonał Saudyjczyków, żeby zajęli się również wami dwiema. Po tym, jak Daniels udaremnił zamach na wasze życie, zabijając wszystkich wynajętych

napastników i kiedy Green opuścił już ziemski padół, sprawa jest zamknięta także dla Saudyjczyków.

Stephanie wskazała na Greena.

– A co z tym?

– Nasi ludzie już czekają, żeby zabrać tę kupę gówna do jego domu, gdzie zwłoki zostaną znalezione jeszcze dzisiaj po południu. Śmierć Larry’ego nie zostanie powiązana z żadnym terrorystycznym zamachem, jak tego chciał Green.

– To może okazać się trudne. W końcu samochód eksplodował.

– Sprawa po prostu zostanie uznana za nierozwiązaną. Pozostawi jednak pewne poszlaki, które wykorzysta Daniels, co zresztą ci idioci zaplanowali. Sądzę, że Larry’emu to by się mogło spodobać. Wciąż bowiem będzie pomocny, nawet jeśli tylko zza grobu.

– Jednej rzeczy pani nie wyjaśniła – wtrąciła Cassiopeia. – Jakim cudem bieg zdarzeń został opanowany, choć wiceprezydent wciąż pełni urząd?

Dixon wzruszyła ramionami.

– To problem Danielsa.

Potem izraelska agentka wyjęła telefon komórkowy i nacisnęła jeden z klawiszy.

– Panie prezydencie, Green nie żyje, zgodnie z pańskim życzeniem.

OSIEMDZIESIĄT PIĘĆ

PÓŁWYSEP SYNAJ

Sabre strzelił z odległości dwunastu metrów, mierząc w nogi Malone’a. Przy żadnym ze stołów nie stały krzesła, w polu widzenia nie było więc przeszkód. Chciał zranić przeciwnika w nogi, strzelając z dołu, żeby potem już bez najmniejszego trudu dokończyć egzekucję.

Posłał w kierunku Malone’a trzy kule.

Lecz nogi zniknęły.

„Do jasnej cholery!”

Przeturlał się spod jednego stołu pod drugi, podniósł się na kilka centymetrów, żeby dojrzeć Malone’a. Lecz go nie zobaczył.

Wtedy pojął.

Malone zrozumiał, że McCollum zamierza postrzelić go w nogi, wskoczył więc na blat stojącego najbliżej stołu ułamek sekundy przed tym, jak w sali rozległ się huk trzech wystrzałów. Przyciski do papieru z kwarcu w kolorze złota upadły ze stukotem na podłogę. McCollum zapewne błyskawicznie się zorientuje, jaki manewr zastosował Malone, dlatego postanowił wykorzystać chwilową przewagę.

Odczekał moment, potem przeturlał się i zobaczył, jak McCollum siedzi w kucki za jednym ze stołów. Wymierzył i oddał dwa strzały, lecz McCollum zmienił pozycję i wykorzystał do osłony jeden z grubych postumentów.

Dalsza strzelanina w galerii nie wróżyła powodzenia.

Pobiegł w stronę rzędu regałów, który stał po jego lewej stronie.

– Nieźle, Malone – usłyszał głos przeciwnika dobiegający z drugiej strony sali.

– Staram się.

– Nie wyjdzie pan stąd żywy.

– Przekonamy się.

– Zabijałem już większych chojraków niż pan.

Zastanawiał się, czy była to brawura, czy też gra psychologiczna.

Ani jedno, ani drugie nie zrobiło na nim wrażenia.

Haddad prowadził Pam Malone przez podwoje biblioteki, zmierzając w przeciwnym kierunku do tego, w którym podążyli Sabre i Malone. Usłyszeli już strzały. Musiał więc pospieszyć się. Weszli do piątego pomieszczenia, nazwanego odpowiednio Salą Życia, której symbol stanowił krzyż z owalną pętlą zamiast górnego ramienia.

Przeszedł przez pomieszczenie i dotarł do czytelni, zatrzymując się przy drzwiach wyjściowych. Z korytarza, który skręcał pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, dobiegły go głosy. Najwidoczniej walna rozprawa odbywała się w sali, która służyła za czytelnię. Dużo stołów, mało regałów, więcej odkrytej przestrzeni. Wcześniejsza wycieczka Sabre’a po bibliotece służyła rekonesansowi, jego przeciwnik zobaczył więc wszystko, co powinien był zobaczyć. Kiedyś sam robił dokładnie to samo, gdy walczył z Żydami. Zawsze poznaj dobrze pole bitwy.

Z tym akurat był zaznajomiony bardzo gruntownie.

Przed pięcioma laty pokonał potajemnie cały szlak „peregrynacji herosa”. Tuż przed tym, jak zadzwonił do Cottona Malone’a po pomoc. Kiedy przybył tu po raz pierwszy, wpuszczono go do biblioteki, on zaś się przekonał, że wszystkie jego przypuszczenia dotyczące Biblii okazały się prawdziwe. Był tym przytłoczony. Lecz kiedy gwardianie poprosili go o pomoc, troska ustąpiła miejsca zachwytowi. Wielu gwardian rekrutowało się spośród zaproszonych wybrańców, wszyscy zaś jak jeden mąż doszli do przekonania, że Haddad powinien zostać bibliotekarzem. Wytłumaczyli mu,

w obliczu jakich zagrożeń znalazła się biblioteka, a on zgodził się rozwiązać ich problemy. W końcu okazało się jednak, że sam potrzebuje pomocy. Dlatego właśnie wciągnął w to wszystko Malone’a.

Jak dotąd cierpliwość i wiedza służyły mu dobrze.

Miał jedynie nadzieję, że nie przeliczył się w rachubach.

Stał nieruchomo w wejściu, które prowadziło do Sali Wieczności. Pam Malone stała tuż za nim.

– Niech pani tu zaczeka – powiedział szeptem.

Ostrożnie ruszył korytarzem przed siebie, skręcił za rogiem i zajrzał do wnętrza czytelni. Dostrzegł ruch po lewej i po prawej stronie. Jeden z mężczyzn skrył się za regałem, drugi zaś wykorzystywał stoły do osłony.

Podkradł się z powrotem do Pam Malone i wręczył jej swój pistolet.

– Muszę tam wejść – rzekł do niej cichym głosem.

– I nie zamierza pan wyjść stamtąd?

Pokręcił przecząco głową.

– To koniec.

– Obiecał pan Cottonowi długą rozmowę.

– Skłamałem – odparł, potem przerwał na moment. – A pani wiedziała o tym.

– To prawnik, który tkwi we mnie.

– Nie, to ludzka istota, która jest w pani. Wszyscy robimy rzeczy, których potem żałujemy. Ja też mam swoje na sumieniu. Ale przynajmniej w ostatnich chwilach mojego życia zdołałem podtrzymać przy życiu tę bibliotekę. – Dostrzegł w jej oczach coś nowego. – Wie pani, co mam na myśli, prawda?

Przytaknęła.

– W takim razie wie pani, co musi pani zrobić.

Zauważył jej konsternację, poklepał ją więc po ramieniu.

– Będzie pani wiedziała, kiedy nadejdzie ta chwila. – Wskazał pistolet. – Czy kiedykolwiek wcześniej strzelała pani?

Pospiesznie zaprzeczyła ruchem głowy.

– Wystarczy wymierzyć i pociągnąć za spust. Nieźle kopie, zatem niech pani trzyma mocno.

Nie odpowiedziała nic, lecz odczuł zadowolenie, że zrozumiała.

– Niech się pani wiedzie w życiu. Proszę przekazać Cottonowi, że zawsze bardzo go szanowałem.

Potem odwrócił się i ruszył w kierunku czytelni.

– Możemy tkwić tutaj cały dzień – powiedział głośno Malone.

– To pan znalazł się w sytuacji, która pana przerosła – odparł McCollum. – Chyba wyszedł pan nieco z wprawy, czyż nie?

– I tak skopię panu tyłek.

McCollum nie mógł powstrzymać się od chichotu.

– Powiem panu, co zamierzam zrobić. Sądzę, że wrócę do wyjścia i zabiję pańską byłą żonę. Zabiłbym również pańskiego chłopaka, gdy nie sprzątnął pan tych idiotów, których wynająłem. Przy okazji, sądzi pan, że wszystko to dzieje się za pańską sprawą? To ja ukartowałem wszystko, a pan podąża w ślad, jak pies, który tropi lisa. Plan B przewidywał zabicie chłopca. Tak czy inaczej, odnalazłem George'a Haddada.

Wiedział, do czego zmierzał McCollum. Usiłował go rozpracować. Chciał go wkurzyć. Pobudził go do gwałtownej reakcji. Lecz zastanowiło go co innego.

– Spotkał się pan kiedykolwiek z Haddadem?

– Nie. Był pan przy tym, jak zastrzelili go Izraelczycy. Słyszałem to na własne uszy.

„Słyszałem"? McCollum nie miał pojęcia, kim był bibliotekarz.

– Skąd zatem zdobył pan „peregrynacje"? – zapytał.

– Dostał ode mnie.

Głos, który wypowiedział te słowa, należał do George'a Haddada.

Malone zobaczył Palestyńczyka, który stał w wejściu po przeciwnej stronie.

– Panie Sabre, manipulowałem panem przez cały czas, podobnie jak pan manipulował Cottonem. Zostawiłem taśmę magnetofonową z nagraniem oraz informacje w komputerze, żeby pan je odnalazł. Wliczając w to „peregrynacje". Zapewniam pana, podróż, którą odbyłem, by odnaleźć to miejsce, była bez porównania trudniejsza.

– Gadasz jakieś bzdury, starcze – zbył go McCollum.

– To musiało wyglądać na wyzwanie. Gdyby było zbyt łatwe, mógłby się pan domyślić, że to pułapka. Gdyby było natomiast zbyt trudne, nigdy by pan tego nie dokonał. Pan jednak był zachłanny. Zostawiłem panu nawet przenośne pamięci obok mojego komputera, lecz nie wzbudziło to w panu podejrzeń. To jeszcze jedna z przynęt, które prowadziły do tej pułapki.

Malone zauważył, że przestrzeń między miejscem, gdzie stał Haddad, i pozycją, w której ukrywał się McCollum, była całkowicie odsłonięta. Z czego ten drugi z pewnością zdawał sobie sprawę.

– George, co ty robisz? – zawołał.

– Kończę to, co kiedyś rozpocząłem.

Haddad zrobił krok w kierunku McColluma.

– Zaufaj temu, co wiesz, Cotton. Ona ciebie nie zawiedzie.

Jego przyjaciel się nie zatrzymał.

Sabre patrzył, jak bibliotekarz zmierza w jego kierunku. Ten człowiek miał być George’em Haddadem? Wszystko, co się wydarzyło, było z góry ukartowane? Dał się prowadzić jak ślepa kura?

Co ten starzec powiedział? Pułapka? W żadnym razie.

Oddał jeden strzał.

Celując w głowę bibliotekarza.

Malone wykrzyknął „Nie!”, kiedy kula trafiła w głowę George’a Haddada. Miał tyle pytań, które chciał mu zadać, tak wiele wciąż nie rozumiał. W jaki sposób Palestyńczyk trafił z Zachodniego Brzegu przez Londyn do tego miejsca? Co się wydarzyło po drodze? Co wiedział Haddad, a co warte było tego poświęcenia?

Wezbrał w nim nagły gniew i oddał dwa strzały w kierunku McColluma, lecz kule drasnęły jedynie przeciwległą ścianę.

Haddad leżał bez ruchu, wokół jego głowy utworzyła się kałuża krwi.

– Ten starzec miał ikrę – zawołał McCollum. – Tak czy inaczej zamierzałem go zabić. Być może wiedział o tym?

– Jest pan trupem – były to jedyne słowa Malone'a, jakie padły w odpowiedzi.

Z drugiej strony pomieszczenia dobiegł chichot.

– Miał pan na myśli chyba samego siebie. Ze mną będzie miał pan ciężką przeprawę.

Wiedział, że musi zakończyć te zmagania. Gwardianie liczyli na niego. Haddad również liczył na niego.

Wtedy zobaczył Pam.

W drzwiach wyjściowych. Stała ukryta w cieniu, w miejscu, w którym McCollum nie mógł jej widzieć.

Trzymała w ręku pistolet.

Zaufaj temu, co wiesz.

Ostatnie słowa Haddada.

On i Pam spędzili razem większą część życia, chociaż przez ostatnie pięć lat darzyli się nawzajem nienawiścią. Była jednak częścią niego, on zaś częścią niej, i na zawsze będą z sobą powiązani. Jeśli nie przez osobę Gary'ego, to przynajmniej przez coś, czego żadne z nich nie jest w stanie wytłumaczyć. Niekoniecznie była to miłość, lecz jakaś więź. On nie pozwoli, by ją spotkało cokolwiek złego, i pokładał zaufanie, że ona nie pozwoli, by krzywda stała się jemu.

Ona ciebie nie zawiedzie.

Wyciągnął magazynek z pistoletu, wymierzył w kierunku McColluma i pociągnął za spust. Pocisk, który znajdował się w komorze, wbił się w blat jednego ze stołów.

Potem usłyszał szczęknięcie iglicy. Potem drugie.

Jeszcze jedno, żeby nie było wątpliwości.

– Koniec podróży, Malone – odezwał się McCollum.

Stał nieruchomo, żywiąc jedynie nadzieję, że jego przeciwnik zechce się rozkoszować zabijaniem. Gdyby McCollum postanowił strzelić z ukrycia, jemu i Pam pisana była śmierć. Lecz on znał swojego wroga. McCollum wstał z wycelowanym pistoletem i wyszedł zza stołu, zmierzając

przejściem blisko miejsca, w którym znajdował się Malone. Teraz był ustawiony plecami do wyjścia. Nie był w stanie dostrzec niczego nawet kątem oka.

Musiał grać na zwłokę.

– Nazywa się pan Sabre?

– To nazwisko, którym posługuję się w Europie. Tak naprawdę nazywam się McCollum.

– Co zamierza pan zrobić?

– Zabić wszystkich i zatrzymać to wszystko dla siebie. To naprawdę proste.

– Nie ma pan pojęcia, jakie skarby są tu ukryte. Co chce pan z tym zrobić?

– Sprowadzę tu ludzi, którzy się na tym znają. Założę się, że jest tu wiele bezcennych pozycji. Wystarczy sam Stary Testament, żebym zmienił dzieje świata.

Pam wciąż się nie ruszała. Z pewnością usłyszała szczęknięcia iglicy i zdawała sobie sprawę, że był teraz wystawiony na łaskę i niełaskę McColluma. Wyobrażał sobie jej trwogę. W ciągu kilku ostatnich dni widziała, jak ludzie umierają. Teraz ogarnęła ją groza związana z zabiciem innej osoby. Sam kiedyś czuł te opory. Taki czyn pociągał za sobą konsekwencje, strach przed którymi potrafił niemal całkowicie paraliżować. Mógł jedynie żywić nadzieję, że instynkt weźmie górę nad przerażeniem.

McCollum uniósł pistolet.

– Niech pan pozdrowi ode mnie Haddada.

Pam ruszyła biegiem spod sklepionego wejścia, a odgłosy jej kroków odciągnęły na moment uwagę McColluma. Skierował spojrzenie w bok i najwidoczniej dostrzegł kątem oka jakiś ruch. Malone wykorzystał ten ułamek sekundy na wytrącenie kopnięciem broni z ręki McColluma. Potem walnął przeciwnika pięścią w twarz, skutkiem czego McCollum zatoczył się do tyłu. Malone rzucił się do przodu, żeby dołożyć jeszcze draniowi, lecz McCollum odzyskał równowagę i natarł. Spięci w klinczu uderzyli o jeden ze stołów i przewrócili się na drugą stronę. Zdołał uderzyć go kolanem w brzuch i usłyszał, jak przeciwnik z trudem łapie dech.

Wstał i podniósł McColluma z posadzki, spodziewając się, że ten będzie się wyrywał. Lecz zamiast tego dwa ciosy McColluma trafiły Malone’a – jeden w tors, drugi w twarz.

Pomieszczenie zawirowało mu przed oczyma, wyparł z mózgu uczucie bólu.

Obrócił się i zobaczył nóż w dłoni McColluma.

Ten sam nóż, jaki Sabre miał w Lizbonie.

Szykował się do ostatecznego starcia.

Nie dane mu jednak było dokończyć tej walki.

Padł strzał.

McCollum sprawiał wrażenie zdziwionego. Potem z otworu w prawym boku zaczęła wypływać krew. Rozległ się drugi strzał i jego ręka podskoczyła w powietrze, potem on sam zatoczył się do tyłu. Trzeci i czwarty strzał. Jego ciało przechyliło się do przodu, wywrócił do góry białkami oczu. Krew wypływała mu z ust z każdym wydechem, potem osunął się ciężko na ziemię, twarzą do dołu.

Malone się obrócił.

Pam opuściła pistolet.

– Najwyższa pora – powiedział z ulgą.

Ona jednak nic nie odparła. W jej szeroko otwartych oczach wciąż rysowała się groza tego, co przed chwilą uczyniła. Podszedł bliżej i opuścił jej rękę. Wpatrywała się w niego z kamienną twarzą.

Od strony pogrążonego w cieniu wejścia zaczęli pojawiać się gwardianie.

Dziewięć osób zbliżało się w milczeniu.

W tej grupie byli Adam oraz mężczyzna w słomkowym kapeluszu. Ewa miała łzy w oczach, kiedy uklękła obok ciała Haddada.

Inni uczynili to samo.

Pam wciąż stała nieruchomo i spoglądała na tę scenę.

Malone również ukląkł.

W końcu musiał przerwać ich żałobę.

– Zakładam, że macie tutaj jakąś aparaturę zapewniającą łączność ze światem?

Adam podniósł na niego wzrok i przytaknął.

– Muszę z niej skorzystać.

OSIEMDZIESIĄT SZEŚĆ

WIEDEŃ

Thorvaldsen znów znalazł się w bibliotece razem z Garym – tym razem jednak za wiedzą Hermanna i wiceprezydenta. Siedzieli sami za zamkniętymi drzwiami, funkcjonariusze ochrony pełnili wartę na zewnątrz.

– Oni byli tutaj wczorajszego wieczoru – oznajmił wiceprezydent, najwyraźniej rozdrażniony. – Zapewne gdzieś tam.

Wskazał na pomost i regały na górze.

– To cholerne miejsce przypomina salę koncertową. Thorvaldsen zadzwonił do prokuratora generalnego i opowiedział mu o wszystkim.

– Czy to spowodowało jakieś problemy? – zapytał Hermann.

– Dzięki Bogu, nie. Brent zostanie moim wiceprezydentem, kiedy wszystko to już się wydarzy. Kieruje sprawami w Waszyngtonie, kiedy mnie tam nie ma. Przynajmniej jedną rzecz mamy więc pod kontrolą.

– Ten człowiek – Hermann wskazał na Thorvaldsena – porwał wczoraj moją córkę. Zrobił to, zanim usłyszał cokolwiek wczoraj wieczorem.

– Co rodzi całą serię dodatkowych pytań. – Głos wiceprezydenta emanował coraz silniejszym rozdrażnieniem. – Alfredzie, nie podawałem w wątpliwość tego, co tutaj robisz. Pragnąłeś dotrzeć do aleksandryjskiego ogniwa, dostarczyłem ci więc trop. Stało się tak za moją sprawą. Nie mam pojęcia, co zrobiłeś z tymi informacjami i nie chcę tego wiedzieć, ale najwyraźniej to zaczyna stanowić problem.

Hermann pocierał obolałą skroń.

– Henrik zapłaci drogo za to, że mnie uderzył. Żaden człowiek nigdy tego nie uczynił.

Thorvaldsen nie wydawał się tym przejęty.

– Być może nadeszła na to pora.

– A ty, młody człowieku?

Thorvaldsen poczuł nagły ucisk w gardle. Nie planował ściągnięcia zagrożenia na Gary’ego.

– Alfredzie – rzekł wiceprezydent. – Wydarzenia wymykają się spod kontroli. Będziesz musiał poradzić sobie z tą sytuacją.

Po czole Thorvaldsena zaczęły spływać kropelki potu, kiedy pojął znaczenie tych słów.

– Ci dwaj nie będą mieli okazji pisnąć ani słowa o tym, co wiedzą.

– Porwałbyś się na życie chłopca? – zapytał Thorvaldsen.

– A ty porwałbyś się na życie mojej córki? Cóż zatem? Tak, zabiję chłopaka.

Nozdrza Hermanna drgały nerwowo, a z jego oczu biła wściekłość, nad którą najwyraźniej nie był w stanie zapanować.

– Nie przywykłeś do tego, Alfredzie, prawda?

– Szydzeniem ze mnie niczego nie zyskasz.

Lecz Thorvaldsen mógł zyskać na czasie i była to jedyna opcja, jaka mu jeszcze pozostała. Zwrócił się do wiceprezydenta.

– Brent Green był uczciwym człowiekiem. Co się z nim stało?

– Nie jestem jego spowiednikiem, nie wiem. Zakładam, że dostrzegł profity, jakie wynikają z objęcia mojej posady. Ameryka potrzebuje silnego przywództwa, ludzi u władzy, którzy nie boją się nią posługiwać. Brent to potrafi. Ja to potrafię.

– A ludzie z charakterem?

– To pojęcie względne. Osobiście wolę, żeby Stany Zjednoczone tworzyły partnerskie więzi z kręgami biznesowymi na świecie, co pozwoli osiągnąć wzajemnie korzystne cele.

– Jest pan mordercą – odezwał się Gary.

Od strony drzwi dobiegło ciche pukanie. Hermann przeszedł przez salę, chcąc dowiedzieć się, o co chodzi. Jeden z funkcjonariuszy służby ochrony wiceprezydenta szeptał przez chwilę do ucha Hermanna. Na twarzy Austriaka pojawił się wyraz zdziwienia, potem skinął głową, a funkcjonariusz się oddalił.

– Prezydent jest na linii telefonicznej – poinformował Hermann.

Oblicze wiceprezydenta wyrażało bezmierne zdumienie.

– Co, do diabła?

– Wytropił cię tutaj z pomocą prezydenckiej ochrony. Twoi ochroniarze poinformowali go, że jesteś tutaj ze mną oraz z dwiema innymi osobami, w tym z chłopcem. Prezydent pragnie porozmawiać z nami wszystkimi.

Thorvaldsen zrozumiał, że nie mieli żadnego wyboru. Najwidoczniej prezydent wiedział o wszystkim.

– Chciał również wiedzieć, czy w aparacie telefonicznym jest opcja głośnomówiąca – dodał Hermann, podszedł do biurka i wcisnął przycisk.

– Dzień dobry, panie prezydencie – powiedział na powitanie Hermann.

– Nie sądzę, żebyśmy pan i ja spotkali się wcześniej. Mówi Danny Daniels z Waszyngtonu.

– Nie, sir. Nie spotkaliśmy się. Miło mi pana poznać.

– Czy jest tam mój wiceprezydent?

– Jestem tu, panie prezydencie.

– I Thorvaldsen, jesteś tam? Razem z chłopakiem Malone’a?

– Jest tu ze mną – odpowiedział Thorvaldsen.

– Po pierwsze, kilka tragicznych wiadomości. Wciąż jeszcze nie mogę się po nich pozbierać. Brent Green nie żyje.

Uwadze Thorvaldsena nie uszedł szok, jaki przemknął po twarzy wiceprezydenta. Nawet Hermann się wzdrygnął.

– Samobójstwo – kontynuował Daniels. – Strzelił sobie w głowę. Dowiedziałem się o tym zaledwie kilka minut temu. Potworne. Pracujemy nad oświadczeniem dla prasy, zanim wybuchnie sensacja.

– Jak to się stało? – dopytywał wiceprezydent.

– Nie wiem, ale stało się i jego już nie ma. Nie żyje również Larry Daley. Bomba w samochodzie. Nie mamy pojęcia, kto się za tym kryje.

Wyraz konsternacji na twarzy wiceprezydenta pogłębiał się z sekundy na sekundę. Sprawiał też wrażenie, jakby skulił się w ramionach.

– Oto, jak wygląda sytuacja – podjął Daniels. – W tych okolicznościach nie będę w stanie polecieć w przyszłym tygodniu do Afganistanu. Ameryka potrzebuje mnie tutaj, zamiast mnie poleci więc wiceprezydent.

Wiceprezydent nie odezwał się słowem.

– Jest tam kto? – zapytał głośniej Daniels.

– Tak, sir – odparł wiceprezydent. – Jestem tutaj.

– Świetnie. Zatem zabieraj stamtąd swój tyłek i przygotuj się do podróży w przyszłym tygodniu. Oczywiście, jeśli nie jesteś gotów odbyć podróży, żeby odwiedzić naszych żołnierzy, możesz ogłosić swoją rezygnację. Wybór należy do ciebie. Osobiście wolę jednak, żebyś udał się w drogę.

– Co pan mówi?

– To nie jest bezpieczna linia, wątpię więc, żebyś chciał usłyszeć, co naprawdę myślę. Pozwól więc, że opowiem ci historyjkę. Był sobie ptak, który odlatywał zimą na południe. Dopadła go jednak śnieżyca i spadł na ziemię. Już prawie zamarzał, kiedy obok przechodziła krowa i nasrała na ptaszka. Ciepły krowi placek sprawił, że ptaszyna odtajała. Powrót do życia spodobał się stworzeniu na tyle, że zaczęło ćwierkać radośnie. Nadszedł kot, który chciał się przekonać, skąd to całe zamieszanie. Zapytał, czy może pomóc, zobaczył, że ma przed sobą posiłek i pożarł ptaszka. A teraz morał tej bajki, i to nie jeden. Nie każdy, kto na ciebie sra, jest twoim wrogiem. Nie każdy, kto przychodzi z pomocą, jest twoim przyjacielem. Jeśli natomiast jest ci ciepło i odczuwasz szczęście, nawet siedząc po uszy w gównie, trzymaj mordę na kłódkę. Zrozumiałeś, co mam na: myśli?

– Co do joty, sir – potwierdził wiceprezydent. – Jak, pańskim zdaniem, powinienem uzasadnić swoją rezygnację?

– Trudno będzie posłużyć się zawsze popularną piosenką *Spędzaj więcej czasu z rodziną*. Nikt na tak wysokim stanowisku nie rezygnuje z podobnych powodów. Sprawdźmy... Ostatnia rezygnacja wiceprezydenta była następstwem postawienia go w stan oskarżenia. Nie możemy tego wykorzystać. Co oczywiste, możesz powiedzieć prawdę, że przyłapano cię, gdy dokonywałeś zdrady państwa. Co byś powiedział na „Prezydent i ja nie jesteśmy w stanie dłużej pracować razem”? Jesteś przecież wytrawnym politykiem, jestem więc pewien, że będziesz dobierał słowa nad wyraz roztropnie, ponieważ nie życzę sobie usłyszeć czegokolwiek, co mogłoby mi się nie spodobać. W przeciwnym razie zamierzam powiedzieć prawdę. Przedstaw problemy, omów różnice między nami, opowiadaj ludziom, że jestem dupkiem. Wszystko to przejdzie. Ale niczego, czego nie chciałbym usłyszeć.

Thorvaldsen obserwował wiceprezydenta. Wydawało się, że ten człowiek pragnie zaprotestować, lecz roztropnie zdał sobie sprawę, że wszelkie wysiłki nie przyniosą niczego dobrego.

– Panie prezydencie – do rozmowy włączył się Thorvaldsen. – Czy u Stephanie i Cassiopei wszystko w porządku?

– Nic im nie jest, Henriku. Czy wolno mi zwracać się do pana w ten sposób?

– Ależ oczywiście.

– Odegrały pierwszoplanową rolę w rozpracowaniu spraw po tej stronie.

– Co słychać u mojej mamy i mojego taty? – nie wytrzymał dłużej Gary.

– To musi być chłopak Cottona. Miło mi cię poznać, Gary. Twoja mama i twój tato mają się dobrze. Rozmawiałem z twoim tatą przed kilkoma minutami. Co w końcu prowadzi mnie do pana, Herr Hermann.

Hermann wychwycił pogardę w głosie prezydenta.

– Sabre, pański człowiek, odnalazł Bibliotekę Aleksandryjską. W rzeczywistości to Cotton odnalazł ją dla niego, lecz pański najemnik usiłował zagarnąć zbiory tylko dla siebie. Sabre nie żyje. Zatem przegrał pan. Biblioteka jest w naszym posiadaniu i zapewniam pana, że nikt nigdy się nie dowie, gdzie jest ukryta. Co do pana, Herr Hermann, lepiej będzie, jeśli Henrik i chłopiec opuszczą *château* bez problemów. Nie chcę też więcej słyszeć o panu, w przeciwnym razie opowiem Izraelczykom oraz Saudyjczykom, jak pan sprytnie wszystko to uknuł. Wtedy znajdzie się pan w tarapatach, jakich nikt by panu nie pozazdrościł. Nie znajdzie pan miejsca na ziemi, w którym ukryje się pan bezpiecznie.

Wiceprezydent opadł na jeden z foteli.

– Jeszcze jedna rzecz, Hermann. Ani słowa bin Ladenowi i jego ludziom. Chcemy spotkać się z nimi, kiedy będą czekać na mój samolot. Jeśli nie będzie ich tam z rakietami gotowymi do odpalenia, wyślę moich komandosów, żeby zabrali pana.

Hermann nie odpowiedział.

– Pańskie milczenie traktuję jako wyraz zrozumienia moich słów. Widzi pan, piastowanie funkcji przywódcy wolnego świata to naprawdę wspaniała sprawa. Dysponuję rzeszami ludzi gotowych wykonać to, czego sobie zażyczę. Ludzi dysponujących rozmaitymi talentami. Pan posiada pieniądze. Ja natomiast władzę.

Thorvaldsen nie miał nigdy okazji poznać prezydenta Stanów Zjednoczonych, lecz już zdążył go polubić.

– Gary – odezwał się prezydent. – Twój tato będzie z powrotem w Kopenhadze za kilka dni. Aha, Henriku, dziękują za wszystko, co uczyniłeś.

– Nie jestem pewien, czy w czymkolwiek dopomogłem.

– Wygraliśmy, prawda? I tylko to liczy się w tej grze.

Połączenie zostało przerwane.

Hermann stał w milczeniu.

Thorvaldsen wskazał na atlas.

– Te listy są bezużyteczne, Alfredzie. Nie jesteś w stanie niczego udowodnić.

– Wynoś się.

– Z przyjemnością.

Daniels miał rację.

Gra dobiegła końca.

OSIEMDZIESIĄT SIEDEM

WASZYNGTON
PONIEDZIAŁEK, 10 PAŹDZIERNIKA
GODZINA 8.30

Stephanie siedziała w Gabinecie Owalnym. Bywała tu wiele razy, zazwyczaj odczuwając dyskomfort. Lecz nie tego dnia. Ona i Cassiopeia przybyły na spotkanie z prezydentem Danielsem.

Brent Green został pochowany wczoraj z honorami w stanie Vermont. Środki masowego przekazu wychwalały zalety jego osobowości oraz osiągnięcia i dokonania. Demokraci i Republikanie deklarowali zgodnie, że to wielka strata. Daniels osobiście wygłosił mowę pogrzebową, oddając tym samym wzruszający hołd zmarłemu. Larry Daley również został pochowany, na Florydzie, bez pompy i rozgłosu. W ceremonii uczestniczyła jedynie rodzina oraz kilkoro przyjaciół. W tym także Stephanie i Cassiopeia.

To interesujące, jak błędnie oceniała obu tych ludzi. Daley w żadnym razie nie był świętoszkiem, ale też nie posunął się do zabójstwa i zdrady. Usiłował nawet zahamować spiskowe knowania. Niestety, bieg zdarzeń zatrzymał dalszy bieg jego życia.

– Chciałbym, żebyś ponownie pokierowała biurem Magellan Billet – zwrócił się do niej Daniels.

– Może pan mieć trudności z wytłumaczeniem tej decyzji.

– Nie muszę się tłumaczyć z własnych decyzji. Nigdy nie chciałem, żebyś odchodziła, ale w tamtym momencie nie miałem wyboru.

Pragnęła odzyskać tę posadę. Lubiła swoją robotę. Ale była jeszcze inna sprawa.

– Co z kupowaniem głosów w Kongresie?

– Powiedziałem ci, Stephanie. Nic o tym nie wiedziałem. Ale stawiam temu tamę, tu i teraz. Podobnie jednak jak w wypadku Greena, ten kraj nie

odniesie żadnych korzyści ze skandalu tego pokroju. Zakończmy to i ruszajmy do przodu.

Nie była do końca pewna, czy Daniels nie współdziałał w tym procederze, lecz zgodziła się z jego zdaniem. Było to lepsze wyjście.

– Nikt nigdy się nie dowie, co się wydarzyło? – zapytała Cassiopeia.

Daniels siedział za swoim biurkiem, z nogami opartymi o jego brzeg. Całą potężną sylwetkę oparł na fotelu.

– Ani słowem.

Wiceprezydent zrezygnował w sobotę, uzasadniając ten krok różnicami dotyczącymi polityki rządu. Media domagały się głośno jego wystąpienia przed kamerami telewizyjnymi, lecz jak dotąd nieskutecznie.

– Wyobrażam sobie – podjął Daniels – że mój wiceprezydent chciał zyskać przy tej okazji nieco rozgłosu. Dojdzie między nami do kilku publicznych sporów na temat polityki i tym podobne sprawy. Być może nawet spróbuje wystartować w kolejnych wyborach. Lecz nie obawiam się tej walki. Przy okazji, mówiąc o walce, chciałbym, żebyś miała oko na Zakon Złotego Runa. Ci ludzie to zarzewie kłopotów. Teraz podcięliśmy im nogi, ale wkrótce znowu podniosą łby.

– A Izrael – zapytała Cassiopeia. – Co z nimi?

– Mają moje zobowiązanie, że nic z tego, co się znajduje w bibliotece, nigdy nie ujrzy światła dnia. Jedynie Cotton i jego była żona wiedzą, gdzie się mieści, ja jednak nie zamierzam nawet przyjąć tego faktu do wiadomości. Niech ta cholerna sprawa pozostanie ukryta. – Daniels spojrzał na Stephanie. – Ty i Heather zawarłyście rozejm?

– Wczoraj podczas pogrzebu. Ona naprawdę polubiła Daleya. Wyjawiła mi kilka faktów z życia i pracy Daleya, o których nie miałam pojęcia.

– Widzisz, nie powinnaś oceniać ludzi zbyt pochopnie. Green wydał polecenie zabicia Daleya po przejrzeniu zawartości pamięci przenośnych. Treść wskazywała na przecieki w ich spisku, postanowił więc je uszczelnić. Heather jest dobrym agentem. Wykonuje swoją robotę. Green i wiceprezydent chcieli doprowadzić do unicestwienia Izraela. Liczył się dla nich wyłącznie własny interes. Ty zaś byłaś zdania, że to ja jestem przyczyną problemów.

Stephanie uśmiechnęła się radośnie.

– Myliłam się co do pana, panie prezydencie.

Daniels zwrócił się do Cassiopei.

– Wraca pani na budowę zamku we Francji?

– Nie było mnie tam przez dłuższy czas. Przypuszczam, że moi pracownicy zastanawiają się, co się ze mną dzieje.

– Jeśli pani pracownicy są tacy jak moi, to dopóki otrzymują pensje, są w pełni szczęścia – odparł Daniels i wstał. – Dziękuję wam obu za to, co zrobiłyście.

Stephanie nadal siedziała. Wyczytała coś między wierszami.

– Czego pan nie powiedział?

W oczach Danielsa pojawił się blask.

– Prawdopodobnie sporo.

– Chodzi o bibliotekę. Przed chwilą mówił pan o niej w sposób nad wyraz niefrasobliwy. Nie zamierza jej pan pozostawić w ukryciu, prawda?

– Nie ja o tym zdecyduję. Ktoś inny teraz sprawuje nad nią pieczę, a my wszyscy wiemy o kim mowa.

Malone słuchał, jak kopenhaskie kuranty wybijały godzinę piętnastą. Højbro Plads był zatłoczony, jak zwykle wczesnym popołudniem. On, Pam i Gary siedzieli przy stoliku pod gołym niebem i właśnie skończyli lunch. Cotton i Pam przylecieli wczoraj z Egiptu, w sobotę uczestnicząc wraz z gwardianami w ostatniej posłudze dla George’a Haddada.

Gestem poprosił o rachunek.

Thorvaldsen stał w odległości około pięćdziesięciu metrów, nadzorując renowację księgarni Malone’a, która rozpoczęła się w zeszłym tygodniu, kiedy wszyscy byli jeszcze daleko. Czterokondygnacyjną fasadę obejmowało teraz rusztowanie, robotnicy pracowali już na zewnątrz i wewnątrz budynku.

– Zamierzam pożegnać się z Henrikiem – oznajmił Gary i popędził od stołu przez tłum.

– To była smutna sobota, gdy żegnaliśmy George’a – wyznała Pam.

Wiedział, że wciąż jeszcze wiele trawiła w myślach. Nie rozmawiali dużo o tym, co wydarzyło się w bibliotece.

– Doszłaś już do siebie? – zapytał.

– Zabiłam człowieka. Był wprawdzie żałosną kupą gówna, lecz mimo to zabiłam go.

Powstrzymał się od komentarza.

– Stałeś tam – ciągnęła dalej. – Twarzą w twarz z nim, wiedząc, że jestem z tyłu. Wiedziałeś, że strzelę.

– Nie byłem wcale tego pewien. Ale wiedziałem, że coś zrobisz, a to było wszystko, czego potrzebowałem.

– Nigdy wcześniej nie strzelałam. Kiedy Haddad wręczył mi broń, powiedział, żebym po prostu wycelowała i strzeliła. On również wiedział, że to zrobię.

– Pam, nie możesz teraz tego rozpamiętywać. Zrobiłaś to, co musiałaś zrobić.

– Podobnie jak ty to robiłeś przez wszystkie te lata. – Zamilkła na chwilę. – Pragnę coś powiedzieć, chociaż nie jest to łatwe.

Czekał.

– Przepraszam. Naprawdę przepraszam, za wszystko. Nie wiedziałam, przez co przechodziłeś w trakcie służby. Sądziłam, że to *ego*, kwestia bycia prawdziwym macho. Nie rozumiałam tego. Teraz dopiero pojmuję. Myliłam się. W wielu sprawach.

– To jest nas dwoje. Ja również przepraszam. Za wszystko, co przez wszystkie te lata nie poszło tak jak trzeba.

Uniosła ręce w geście poddania.

– W porządku. Myślę, że dość już tych emocji dla każdego z nas.

Wyciągnął rękę w jej kierunku.

– Pokój?

Przyjęła jego gest.

– Pokój.

Potem jednak pochyliła się ku niemu i pocałowała go delikatnie w usta. Nie spodziewał się tego i poczuł, jak po plecach przechodzą mu ciarki.

– Co to miało znaczyć?

– Niech ci nic nie przychodzi do głowy. Uważam, że lepiej będzie, jak pozostaniemy rozwiedzeni, lecz nie znaczy to wcale, że nie pamiętam o tobie.

– Może więc żadne z nas nie zapomni tego drugiego?

– Wystarczy tego – odparła. – Ale co z Garym? Co zrobimy? Powinien poznać prawdę.

Zastanawiał się już nad tym problemem.

– I dowie się. Dajmy sobie trochę czasu, a potem porozmawiamy wszyscy troje. Wiem, że to ma znaczenie z wielu różnych punktów widzenia. Ale masz rację, on ma prawo poznać prawdę.

Zapłacił rachunek i poszli w kierunku Thorvaldsena i Gary'ego.

– Będzie mi brakować tego chłopca – oświadczył Henrik. – On i ja stworzyliśmy niezłą drużynę.

Malone i Pam dowiedzieli się o wszystkim, co wydarzyło się w Austrii.

– Myślę, że póki co ma dość knowań i intryg – skomentowała Pam.

Malone był tego samego zdania.

– Teraz wracasz do szkoły. Stało się źle, że musiałeś doświadczyć tego wszystkiego.

Dostrzegł, że Thorvaldsen rozumiał, co ma na myśli. Rozmawiali o tym wczoraj. I chociaż myśl, że chłopiec przewrócił człowieka z pistoletem, wzburzyła go, w skrytości ducha odczuwał dumę. Wprawdzie w żyłach chłopca nie płynęła krew Malone'a, lecz dostatecznie dużo cech ojca przeszło na syna pod każdym względem, który się liczył.

– Czas, żebyście się zbierali.

Wszyscy poszli na koniec placu, gdzie Jesper czekał już w samochodzie Thorvaldsena.

– Ty chyba również masz intryg po dziurki w nosie? – Malone zwrócił się do Jespera.

Mężczyzna za kierownicą tylko uśmiechnął się i przytaknął. Thorvaldsen poinformował ich wczoraj, że dwa dni spędzone z Margarete Hermann było wszystkim, co był w stanie wytrzymać Jesper. Uwolniono ją w sobotę, kiedy Thorvaldsen i Gary wracali już samolotem do Danii. Z tego, co Thorvaldsen powiedział o Hermannie, relacja ojciec – córka była raczej nie do pozazdroszczenia. Łączyły ich wprawdzie więzy krwi, lecz niewiele poza tym.

Przytulił syna.

– Kocham cię. Opiekuj się matką.

– Wydaje się, że do tego wcale nie jestem jej potrzebny.

– Nie bądź taki pewny.

Spojrzał na Pam.

– Jeśli kiedykolwiek będziesz mnie potrzebować, wiesz, gdzie mnie znaleźć.

– I vice versa. Przynajmniej wiemy teraz, jak chronić siebie nawzajem.

Nie powiedzieli Gary'emu, co się wydarzyło na Synaju, i nie mieli zamiaru nigdy tego zrobić. Thorvaldsen zgodził się wziąć Gwardianów pod swoje skrzydła i zapewnić fundusze na utrzymanie klasztoru oraz biblioteki. Rozpoczęto już prace nad elektronicznym katalogiem zgromadzonych tam manuskryptów. Szykowano również rekrutację, dzięki której szeregi gwardianów miały stać się równie liczne jak dawniej. Duńczyk już się cieszył perspektywą udzielenia wsparcia i czekał z niecierpliwością na pierwszą, bliską już wizytę.

Wszystko jednak miało pozostać w tajemnicy.

Thorvaldsen zapewnił również Izraelczyków, że sprawa nie ujrzy światła dnia. Podobne zapewnienia złożyły Stany Zjednoczone, co wydawało się całkowicie satysfakcjonować Żydów.

Pam i Gary wsiedli do samochodu. Malone pomachał im na pożegnanie, kiedy auto zniknęło w ulicznym ruchu, zmierzając w kierunku lotniska. Potem przecisnął się przez tłum do miejsca, gdzie Thorvaldsen obserwował, jak robotnicy wynosili gruz z wnętrza budynku.

– Czy spokój powrócił? – zapytał Henrik.

Wiedział, co jego przyjaciel miał na myśli.

– Demony odeszły.

– Przeszłość potrafi czasami zżerać ludzką duszę.

Zgodził się z tą sentencją.

– Albo też bywa najlepszym przyjacielem.

I tym razem wiedział, co Thorvaldsen chciał przez to powiedzieć.

– Zgłębianie zasobów biblioteki będzie fascynujące.

– Nie mówiąc już o skarbach, jakie tam czekają.

Obserwował ludzi na rusztowaniu, którzy za pomocą gorącej pary oczyszczali z sadzy frontową fasadę.

– Będzie się prezentowała równie okazale jak kiedyś – zapewnił Thorvaldsen. – Do ciebie natomiast będzie należało odtworzenie księgozbioru. Dużo książek do kupienia.

Tęsknił już za tym. W końcu tym się teraz zajmował. Był księgarzem antykwariuszem. Ale musiał też wyciągnąć nauki z tego, co wydarzyło się w ciągu ostatnich kilku dni. Rozpatrywał raz jeszcze, jak cała rodzina Malone znalazła się w zagrożeniu, i wiedział, co tak naprawdę się liczy. Wskazał na odnawiany budynek.

– Nic z tego nie jest wcale ważne.

Duńczyk obdarzył go pełnym zrozumienia uśmiechem.

– To tylko rzeczy, Henriku. I to wszystko. Tylko rzeczy.

SŁOWO OD AUTORA

Powstanie tej książki wymagało licznych peregrynacji. Odbyłem podróże do Danii, Anglii, Niemiec, Austrii, Portugalii oraz Waszyngtonu. Wstępny zamysł zrodził się w trakcie kolacji w Camden w Północnej Karolinie, na której jeden z gości, Kenneth Harvey, zapytał mnie, czy kiedykolwiek słyszałem o libańskim uczonym nazwiskiem Kamal Salibi. Kiedy zaprzeczyłem, Ken podarował mi cztery publikacje pióra Salibiego. Mniej więcej rok później idea napisania tej powieści rozkwitła w pełni. Jak zawsze, finalna opowieść stanowi połączenie faktów oraz literackiej fikcji.

Teraz nadeszła pora wytyczyć linię, która oddziela jedno od drugiego.

Jeśli chodzi o *nakba*, o której wspomniano po raz pierwszy w prologu, tragedia ta jest aż nazbyt prawdziwa i po dziś dzień ciąży mocno na stosunkach między krajami Bliskiego Wschodu.

Budowla opisana w rozdziale 8 i 34 ma swój pierwowzór w istniejącej rzeczywiście marmurowej altanie, jaką wzniesiono w posiadłości Shugborough Hall w Anglii. Sympatycy ruchu New Age oraz zwolennicy spiskowej teorii dziejów od wielu dziesięcioleci debatują nad jej znaczeniem. Konferencja prasowa przedstawiona w rozdziale 8 rzeczywiście odbyła się w Shugborough Hall. W jej trakcie przedstawiono interpretacje sporządzone przez ekspertów, które autor zamieścił w książce. Pomysł, że ciąg łacińskich liter to zaszyfrowany drogowskaz, jest dziełem autora.

Jak już wspomniałem, hipoteza o tym, jakoby Stary Testament był zbiorem relacji starożytnych Żydów, którzy zamieszkiwali inną krainę niż Palestyna, nie należy do mnie. W 1985 roku Salibi przedstawił ze szczegółami swoją teorię w książce zatytułowanej *The Bible Came from Arabia*. Libański uczony rozwinął tę teorię w trzech kolejnych publikacjach: *Who Was Jesus* z 1988 roku, *Secrets of the Bible People* z tego samego roku oraz *The Historicity of Biblical Israel* z 1998 roku. Tropy, po jakich szedł George Haddad, odnajdując powiązania między zachodnimi obszarami Półwyspu Arabskiego a Biblią, opisane ze

szczegółami w rozdziale 52, stanowią wierne powtórzenie doświadczeń Salibiego. Prawdą jest również to, że rząd Arabii Saudyjskiej rzeczywiście nakazał zniszczenie buldożerami kilku miejscowości po opublikowaniu pierwszej książki Salibiego. Po dziś dzień władze tego kraju nie wydają zgody na prowadzenie naukowych wykopalisk w regionie Asir.

Mapy, których reprodukcje zamieszczono w rozdziale 57 i 68, są efektem dociekań Kamala Salibiego. Pomysł, że ziemia obiecana przez Boga Abrahamowi w ramach zawartego przymierza znajduje się w regionie bardzo odległym od dzisiejszej Palestyny, jest, mówiąc najoględniej, bardzo kontrowersyjny. Jednak, jak zauważyli Salibi oraz George Haddad, hipotezę tę dałoby się bez większego trudu udowodnić albo odrzucić dzięki wykopaliskom archeologicznym. Komentarza wymaga też kwestia języka. W całej powieści termin „starohebrajski" jest używany w stosunku do oryginalnego języka hebrajskiej Biblii. Niewiele wiemy na temat jego ortografii, gramatyki, składni czy idiomów. Był to język w głównej mierze nauki, którym mówiono rzadko. Z powszechniejszego użycia wyszedł w VI lub V wieku przed naszą erą. Starohebrajski – w odróżnieniu do biblijnego czy rabinackiego hebrajskiego – został wybrany po prostu dla wygody czytelnika.

Sprzeczności i niespójności Starego Testamentu opisane w rozdziałach 20, 23 i 57 nie są niczym nowym. Uczeni prowadzą dysputy nad nimi od stuleci. Biblia jednak jest dziełem o niejednoznacznym charakterze, a każde pokolenie pozostawia własne piętno, jeśli chodzi o interpretację zawartych w niej treści.

Opowieść o losach Dawida Ben-Guriona przedstawiona w rozdziale 22 również jest zgodna z prawdą historyczną. Ojciec współczesnego Izraela po 1965 roku radykalnie zmienił politykę, przechodząc na pozycje znacznie bardziej ugodowe względem Arabów. Później został odizolowany od wpływu na politykę Izraela, aż do swej śmierci w 1973 roku. Co oczywiste, jego wizyta w bibliotece jest wątkiem fabuły zmyślonym przez autora.

Historia życia Nicolasa Poussina, którą po części zajmuje się rozdział 29, opiera się na faktach. W jego egzystencji również nastąpił dramatyczny przełom. Losy jego obrazu *Pasterze Arkadii* zostały opowiedziane wiernie, a fragment listu, który opisuje, czego być może potajemnie dowiedział się Poussin, jest autentyczny. Wciąż natomiast nierozwikłaną tajemnicą pozostaje, dlaczego Poussin stworzył *Pasterzy Arkadii II*, dzieło będące

lustrzanym odbiciem pierwowzoru (które wiernie jest odzwierciedlone w budowli w Shugborough Hall).

Gwardianie są postaciami zmyślonymi. Gdyby pochodzili ze świata realnego, Biblioteka Aleksandryjska zostałaby być może ocalona. Opis wyglądu wnętrz biblioteki, przedstawiony w rozdziale 21, jest najlepszym spośród wszystkich dostępnych. Jeśli zaś chodzi o to, jakim sposobem ponad pół miliona manuskryptów zniknęło na zawsze, to trzy potencjalne wytłumaczenia zaprezentowane w tym rozdziale stanowią najbardziej prawdopodobne hipotezy sformułowane przez badaczy. Uczeni mężowie opisani w rozdziale 32 są postaciami historycznymi, chociaż, co stwierdzam ze smutkiem, żadne z ich dzieł nie dotrwało do naszych czasów w rezultacie spustoszenia zasobów i zniszczenia Biblioteki Aleksandryjskiej. Mapa Piri Reisa (rozdział 32) istnieje po dziś dzień i stanowi jedynie drobny przyczynek, który pozwala wyobrazić sobie to, co mogło zostać utracone.

„Peregrynacje herosa” do wątek zmyślony, którego pomysł został zaczerpnięty z tajemniczego manuskryptu zatytułowanego *Czerwony wąż*. Na dokument ten natrafiłem w Rennes-le-Château, gromadząc materiały do powieści *Dziedzictwo templariuszy*.

Zakon Złotego Runa był średniowiecznym francuskim bractwem powołanym do życia tak, jak to opisuje rozdział 18. Organizacja społeczna o tej nazwie istnieje i ma się dobrze we współczesnej Austrii, lecz nie ma żadnego związku z fikcyjną strukturą, która ożyła wyłącznie na stronicach tej powieści. Inspiracji dla szat i insygniów zakonu dostarczyły piętnastowieczne pierwowzory.

Klasztor Santa Maria de Belém stoi w Lizbonie. Odwiedziłem ten sakralny kompleks dwukrotnie. Jego historia oraz majestatyczny przepych – opisane w rozdziałach 46, 48, 51, 53 oraz 54 – odpowiadają rzeczywistości, chociaż pewne elementy geografii wnętrza zostały zmienione. To miejsce niezwykłe, podobnie zresztą jak i sama Lizbona.

Sakramentarium, które odgrywa główną rolę w „peregrynacjach herosa”, znajduje się w zespole kościelno-klasztornym w Belém. Niezwykłą przemianę srebrnej barwy obiektu w złocistą zauważono już przed setkami lat. Dzisiaj srebrne tabernakulum kąpie się nieustannie w światłach reflektorów. Oczywiście w fabule powieści ten szczegół został pominięty.

Narodowe Muzeum Lotnictwa i Przestrzeni Kosmicznej to jedno z moich ulubionych miejsc, z radością więc umieściłem je w jednej z moich opowieści. Kronborg Slot (rozdział 9), Helsingør (rozdział 11 i 14), *Baumeisterhaus* w Rothenburgu (rozdział 22), Dolina Renu oraz most spinający brzegi rzeki Mozeli w środkowych Niemczech istnieją naprawdę.

Listy, jakie wymieniali święty Hieronim i święty Augustyn (rozdział 63 i 65), są dziełem wyobraźni autora. Obaj byli uczonymi mężami, brali aktywny udział w formowaniu doktryny wczesnego Kościoła. Listy prezentują, w jaki sposób przekład Starego Testamentu, dokonany przez Hieronima z hebrajskiego na łacinę, mógł zostać zmanipulowany, by lepiej służył doraźnym celom Kościoła. Wychwycone niekonsekwencje nie są moim dorobkiem, lecz efektem dociekań Kamala Salibiego, i doprawdy skłaniają do postawienia fascynujących pytań.

Nigdy nie skakałem na spadochronie z samolotu Herkules C130H, lecz wielokrotnie czynił to pułkownik Barry King, który opowiedział mi o tym ze szczegółami.

Kompleks klasztorny na półwyspie Synaj (rozdział 72) to obiekty, na który składają się liczne tego typu przybytki usytuowane w tym słabo zaludnionym regionie. Umiejscowienie tam cudem zachowanej Biblioteki Aleksandryjskiej, w podziemiach (rozdział 78), wcale nie przekracza granic realizmu. Starożytni Egipcjanie drążyli w tych górach rozległe kopalnie, a podziemne tunele zapewne dotrwały do pierwszych wieków po narodzinach Chrystusa.

Opowieść o Kodeksie z Synaju (rozdział 63) odpowiada prawdzie historycznej ze wszelkimi detalami. Kodeks z Aleppo (rozdział 23), datowany na 900 rok po Chrystusie, jest wystawiony w muzeum w Jerozolimie i jest najstarszym zachowanym egzemplarzem Starego Testamentu. Ale Biblia sprzed narodzin Chrystusa – jak ta opisana z rozdziale 79 – z pewnością zmieniłaby niemal wszystko, co wiemy dziś o Starym Testamencie.

Konflikt na Bliskim Wschodzie znów się zaognia. Swoją drogą to zdumiewające, że wszystkie trzy główne religie świata – judaizm, islam oraz chrześcijaństwo – uparły się szukać swoich korzeni w jednym i tym samym miejscu w Jerozolimie. Te skłócone ideologie toczą z sobą bój o supremację od dwóch tysięcy lat (islam o pół tysiąclecia krócej), lecz, jak stwierdzono w rozdziale 7, najbardziej fundamentalny poziom tych zmagań

nie dotyczy ziemi, wolności czy polityki. Koncentruje się na czymś bardziej podstawowym.

Na Słowie Bożym.

Każda z trzech religii hołubi własną wersję tego Słowa. I każda żarliwie wierzy, że pozostałe dwie są błędne.

Ta natomiast, bardziej niż cokolwiek innego, tłumaczy dlaczego konflikt ten wciąż trwa...